



Na ponurej, opustoszałej części pustyni Nevada policja Las Vegas odnajduje zmasakrowane zwłoki młodej i pięknej dziewczyny. Sprawą postanawia zająć się detektyw Romulus Poe. Uderza go niezwykle podobieństwo tej zbrodni do morderstw popełnionych przed ćwierćwieczem przez anonimowego psychopatę, zwanego Koszmarem.

W miesiąc później na pustyni zostają znalezione kolejne zwłoki. Jeśli Poe chce rozwiązać serię makabrycznych zbrodni i uratować kobietę, którą niegdyś kochał, musi wejść w niezwykle świat, zanim wszyscy dadzą się schwytać w śmiertelny taniec księżycowej muzyki.

WIECZORNA MUZYKA
ELLERMAN FAYE



780372961800

CENA: 19,00

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO
ISBN 83-7298-182-5
Cena 29 zł



9788372981820

Faye Kellerman

KSIEŻYCOWA
MUZYKA

Tłumaczyli
Ewa i Dariusz Wojtczakowie

Zysk i S-ka

Wydawnictwo

Moon Music

Copyright © 1998 by Faye Kellerman

All rights reserved

Copyright © 2002 for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j.,

Poznań

Wydanie I ISBN 83-7298-182-5

Zysk i S-ka Wydawnictwo

ul. Wielka 10,61-774 Poznań

tel. (0-61) 853 27 51, 853 27 67, fax 852 63 26

Dział handlowy, ul. Zgoda 54,60-122 Poznań

tel. (0-61) 864 14 03,864 14 04

e-mail: sklep@zysk.com.pl nasza strona: www.zysk.com.pl

Druk i oprawa: ABEDIK Poznań

*Dla Jonathana, mamy i dzieci —
moich niebiańskich istot*

Szczególne podziękowania dla Phillipa Rolanda, rzecznika Departamentu Policji Las Vegas, Sharon Masady z prokuratury oraz dla emerytowanego detektywa sierżanta Williama Keetona z Miejskiego Departamentu Policji Las Vegas za ich bezcenną pomoc. Dzięki, że tak hojnie poświęcaliście mi swój czas. Wszelkie ewentualne nieścisłości w opisie miejsc akcji i procedury policyjnej popęnilam ja, a nie oni.

Prolog

Była to kraina wroga i bezlitosna. Składały się na nią rozległe obszary dzikiej zasadowej pustyni, nad którymi zimą wiatr stale przynosił drobiny żwiru, latem zaś w dzień panował tu przeraźliwy skwar. Co roku gdzieś w okolicy połowy sierpnia powierzchnie nieużytków wietrzały i pękały, toteż ową krainę ognistego piekła pokrywała siatka głębokich szczelin. Ten pozornie pozbawiony życia teren uznano niegdyś za idealne miejsce do testowania bomby atomowej.

Jednak nieliczni wybrańcy (wśród nich ona) nazywali to miejsce domem. Znała ten jałowy kraj równie dobrze jak każdą komórkę własnego ciała. Znała jego skalne rozpadliny, jaskinie, skalne pasma i kryjóvky. Gdy spoglądała na teren z wysoka, w oku kręciła jej się ła.

Kiedyś w tutejszych kanionach bujnie krzewiła się roślinność: wszędzie rosły dzikie trawy i kwiaty karmione wodą z naturalnych źródeł artezyjskich. Kraina była nieziemsko piękna, więc Indianie nazwali ją Łakami. Później ktoś przetłumaczył to słowo na język hiszpański i tak narodziła się nazwa Las Vegas. Niestety, chciwość Białego Człowieka rosła, więc w pewnym momencie wyciągnął rękę po cenne zasoby tej ziemi. Pojawili się cnotliwi, lecz przemądrzali mormoni ze swym wszystkowiedzącym Bogiem, rozpasani poszukiwacze srebra, miliarderzy tworzący bezduszne imperia... Na dokładkę niebawem Departament Energii Atomowej urządził na pustyni poligon doświadczalny, a bezkarnie panoszący się w mieście gangsterzy „przynieśli ze sobą” zbrodnie i korupcję...

Wszystkich bez wyjątku uważała za pasożyty. Potrafili zabudować pustynię, lecz nie umieli sprawić, by ponownie zakwitła. Ponieważ ani na chwilę nie skupili się nad pierwotnymi mieszkańcami tej krainy — wielkimi, majestatycznymi owcami amerykańskimi, śmiercionośnymi grzechotnikami, rozbrykanymi królikami, starymi żółwiami pustynnymi, sprytnymi kojotami i pięknymi, dystygowanymi orłami, które wznosiły się tak wysoko, jakby zamierzały poszybować aż do samego słońca...

Kobieta uśmiechnęła się z wywyższością i nadzieją. Nie wszystko było jeszcze stracone, albowiem prześladowcy tej ziemi trwali w ciemnościach i nie mieli pojęcia o prawdziwej mocy Nevady. Pozostawiali nieświadomi potężnej tajemnicy tego stanu i tkwiących w nim magicznych sił. Dostrzegali jedynie materialną powłokę i nie zdawali sobie sprawy z rzeczywistej potęgi tej cudownej krainy i zaludniających ją stworzeń.

Ona jednak poznała prawdę. Odkryła niezwykły sekret pustyni. Wiedziała, że pustynia potrafi walczyć.

Rozdział pierwszy

Jensen zignorował stłumione wibracje pod poduszką, było mu bowiem, cholera, zbyt wygodnie. Rozgrzany i zaspokojony wdychał pełną piersią wspaniały, zmysłowy, piżmowy zapach seksu. Po chwili zmusił się jednak do uniesienia opornych powiek i jego wzrok natychmiast zaatakowały jaskrawe neony najśłynniejszej części Las Vegas, zwanej Pasem*. Na dworze jęczał wiatr, w świetle unosił się pył. Drobinki żwiru uderzały w panoramiczne okna hotelu. Świat wypełniała tęcza nieistniejących w naturze barw. Prawdziwy kicz.

Policjant odwrócił wzrok od szyby i położył głowę na poduszce. Obok niego spała Gretchen — młodziutka i gibka. Krople potu zraszały szczelinę między jej małymi, krągłymi pośladkami. Miał niemal ochotę odgryźć kawałek tej pięknej pupy. Jego oddech stał się szybszy i głośniejszy.

* Pas (ang. *Strip*) — położona nieco na południe od centrum miasta sześciokilometrowa część Las Vegas Boulevard; tu znajduje się większość najśłynniejszych kasyn i hoteli. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczy).

W tym momencie znowu odezwał się pager.

Jensen zaklął pod nosem, po czym z rezygnacją oderwał głowę od poduszki. Nigdy wcześniej nie podejrzewał, że czaszka może ważyć tak dużo. Zagrzebał palce w materac, oparł się na nich i dźwignął własne ogromne ciało. Usiadł. W mroku spróbował odczytać numer, lecz w końcu poddał się i zapalił światło.

- No nieee... — chrząknęła dziewczyna. — Wyłącz.
- Za chwilę.
- Która godzina?

Na widok numeru aż podskoczył. Komórka Roma! Od jak dawna sierżant usiłował się z nim skontaktować?!

— Która... godzina? — powtórzyła sennie Gretchen.

— Wpół do drugiej — odburknął.

— Wpół do drugiej? — jęknęła. — Daj spokój, kochanie. Bebe dał nam pokój do trzeciej. Wyłącz światło.

Jednak mężczyzna już nakładał spodnie.

— Muszę iść.

— Ale na zewnątrz tak paskudnie...

„Paskudnie?” Tak, delikatnie mówiąc... Wiatr wyl wściekle, przevalając w tę i z powrotem tumany kurzu i piachu. Policjant włożył koszulę i skarpetki, następnie zawiązał buty rozmiar jedenaście. Wykręcił wyjściowy na miasto i zadzwonił do Romulusa. Zakłócenia na linii sugerowały burzę. Poprzez hałas dosłyszał zwięźle: „Poe”.

— Tu Steve.

— Czekaj, wejdę do wozu. Jeśli nas rozłączy, zadzwoń jeszcze raz.

Połączenie utrzymało się, mimo że słuchawkę wypełniły świszczące dźwięki, które nadpływały i cofały się niczym morskie fale. Jensen zawiązał krawat, potem pogładził dziewczynę po pośladkach. Zamruczała, przekreśliła się i wydała ciche sapnięcie. No cóż... Nie było sensu zaczynać czegoś, czego nie będzie mógł dokończyć. Usłyszał trzask zamykanych samochodowych drzwiczek i zakłócenia ustąpiły.

— Co się dzieje?

— Wyłączyłeś pager, Stephen?

— Jasne, że nie. Ale skoro pytasz... Ile razy do mnie dzwoniłeś?

— Chyba z sześć.

Jensen wiedział, że Poe przesadza.

— Hmm, pewnie miałem głęboki sen.

W zasadzie nie skłamał, lecz sierżant i tak mu nie uwierzył.

— Wiesz, prawie zrezygnowałem. Już chciałem zadzwonić do twojego domu.

Policjantowi zaczęło łomotać serce. Zanim się odezwał, przełknął ślinę. Przecież Rom powiedział „prawie”!

Jak gdyby Alison nie wiedziała... Na szczęście wołała odgrywać głupią. Po piętnastu latach małżeństwa ciągle jeszcze jej nie rozgryzł. We wczesnych latach trzymała go na dystans. Przypisywał to młodszej nieśmiałości... dzielącej ich różnicy wieku. Później natomiast, z powodu psychicznych kłopotów, stała się dla niego zupełnie nieprzenikniona, jej umysł znalazł się za stalowymi drzwiami niezdiagnozowanej choroby.

Jensen przybrał ton profesjonalisty.

— Więc co się dzieje, Rom?

— Mamy ciało. Znalaziono je na pustyni za West Charleston.

— W Red Rock?

— Tuż przed. — Poe podał mu szczegółowe namiary. — Odpowiem też od razu na pytanie, którego nie zadałeś: jakim cudem ktoś znalazł na pustyni ciało w środku nocy i do tego przy tak paskudnej pogodzie? Nie mam pojęcia, Steve. Też nie widzę w tym żadnego sensu. Tak czy owak, ktoś zadzwonił do nas z automatu przed hotelem Big Top. — Po chwili spytał:

— Tak przy okazji, gdzie jesteś?

— Właśnie w Big Top. — Jensen zamyślił się. — Zejdę na dół i rozejrzę się.

— A masz przy sobie zestaw do pobierania odcisków, stary?

— No nie. Chodziło mi raczej o ogólną lustrację budki telefonicznej. — Policjant podniósł nieco głos. — Jesteś na mnie wkurzony, Rom?

„Jestem na ciebie wkurzony każdej nocy, kiedy cię potrzebuję, Stewie”, pomyślał Poe, powiedział jednak coś innego:

— Posłałem już kogoś pod hotel. Ale jasne, czemu nie? Zejdź na dół i rzuć okiem, jeśli uważasz, że warto. — Zawahał się. — Dobra, idę dokładniej przyjrzeć się ciału, zanim przyjedzie ekipa. I zanim piasek go całkowicie zagrzebie.

— Sztywniak to mężczyzna czy kobieta?

— Babka. Jedną pierś ma częściowo obnażoną. Nie potrafię ci powiedzieć, czy jest zupełnie naga, bo resztę przykrywa piach. Nie

udało mi się znaleźć portfela ani dokumentów. W nocy i tak nic pewnie nie znajdziemy, chociaż... kto wie. Rano zajmiemy się szczegółami, ubraniem i tak dalej.

— My czyli kto?

— No ty, ja i... prawdopodobnie Patricia. — Sierżant odgarnął wilgotne, ciemne włosy znad czarnych oczu i wyrzwał przez przednią szybę hondy. Powietrze było ciemniejsze niż syrop klonowy i niemal równie gęste. Nawet księżyc z trudem się przebijał. — Gdy już sprawdzisz budkę, przyjedź tutaj. Przywieź ze sobą jakieś latarki. Żwiru lata tu tyle, że ledwie widzę własny cień.

— Może ogrodzisz teren, rozlepisz taśmę i pojedziesz do domu? — zaproponował Jensen. Odczekał sekundę, po czym dodał: — Nieboszczka chyba jakoś do rana wytrzyma.

Poe wyobraził sobie w tym momencie lubieżny uśmiezek współpracownika. Pewnie pieścił właśnie tyłek najnowszej kochanki. Jak miała na imię? Greta? Jakoś tak.

— Rozłączam się.

Jak powiedział, tak zrobił.

Podmuchy wiatru zwiewały sierżantowi włosy na oczy, więc spróbował zawiązać sobie koński ogon. Tyle że większość kosmyków okazała się zbyt krótka i ciągle się wymykały, łaskocząc mu powieki i do czerwoności podrażniając oczy. Poe zamrugał kilka razy. Żałował, że nie zabrał okularów ochronnych. Jednorazowa maska na twarz niewiele pomagała na ukłucia żwiru. Strzelił palcami w rękawiczkach, potem przyłapał się na tym odruchu i opuścił ręce na boki. Nad zwłokami ustawiono prowizoryczny namiot, który miał stanowić jako taką ochronę dla nich i patologa. W środku niczym flesze tańczyły promienie latarek. Jensen stał kilka metrów dalej z podniesionym kołnierzem i dłońmi wbitymi w kieszenie. Sierżant poczuł na sobie niechętnie, podejrzliwe spojrzenie swego zwalistego podwładnego. Jensen był od niego o dziesięć lat starszy, dobre piętnaście centymetrów wyższy, cięższy ponad dwadzieścia kilo... A jednak życie tak się potoczyło, że Poe był jego szefem.

— Poczekaj w samochodzie — krzyknął do współpracownika.
— Jesteś pewny? — spytał Jensen.
— Jasne, idź. Będziemy się zmieniać.
— Dzięki. — Policjant ruszył ku swemu nowiutkiemu terenowemu explorerowi z napędem na cztery koła; sekundę później wślizgnął się na siedzenie kierowcy i zatrzasnął za sobą drzwiczki.

Sierżant odczuwał niepokój. Podbiegł do namiotu i wpadł do środka. Ciało zostało już obfotografowane i ogrodzone dziewięćdziesięciocentymetrowymi słupkami. Chociaż wierzchnią warstwę pustyni stanowił luźny piasek, trzydzieści, góra sześćdziesiąt centymetrów niżej leżała czysta glina. Poe klęknął obok lekarki.

— Zasłaniasz mi światło — zauważyła cicho Rukmani.

W jej gorącym oddechu wyczuł aromat hinduskich przypraw, którymi raczyli się tego wieczoru. Ich romantyczną kolację składającą się z *baigan maseledar* brutalnie przerwała informacja z biura. Pod płaszczem Ruki nosiła przepisowy fartuch, lecz jej twarz przesłaniał tradycyjny hinduski welon — zielony, dopasowany do roboczego stroju.

— Przepraszam. — Poe wstał, po czym wycofał się w cień. Stanął przed namiotem, podskoczył raz, potem zadrżał. Było mu zimno, czuł się paskudnie i głupio. Chociaż spotykali się już od sześciu miesięcy i ich związek wyglądał całkiem poważnie, nie rozumiał Rukmani. Gdy byli we dwoje, wydawała się miła i czuła, a jednak nalegała, by na miejsce zbrodni przyjeżdżali osobno. Prawie wszędzie jeździli osobno! Chyba że sierżantowi udało się ją jakoś przekonać, wtedy ją podwoził. Uważał ten drobiazg za bardzo znaczący...

— Więc sprawa wygląda tak, Rom... — zawołała nagle.

— Co mówisz? — Wrócił do środka, klęknął przed przykrytym brezentem ciałem. — O co chodzi?

— Zrobiłam wszystko, co w tych warunkach możliwe. Zmierzyłam temperaturę, ale wątpię, czy jest dokładna, ponieważ wątroba była wystawiona na wiatr. Nie chcę tutaj ciąć zwłok, by nie zabrudzić

ich piaskiem. I tak są w kiepskim stanie. Dobrze się przyjrzałeś dziewczynie?

— Nie.

Podniosła brezent, odkrywając twarz zamordowanej. Żołądek Pogo niemal wykonał fikołka. Mężczyzna długą chwilę odzyskiwał głos. Kiedy mu się udało, straszliwie zaskrzeczał:

— Co... Co się stało z jej twarzą?!

Patolog obojętnym tonem zignorowała jego wzburzenie.

— Zgaduję, że pytasz o jedną połowę jej twarzy. Możesz mi poprawić okulary? Znowu zsunęły mi się z nosa.

Sierżant spełnił jej prośbę. Jego wnętrzości szalały. Jak to możliwe, że ta kobieta pozostawała taka spokojna? Być może w dzieciństwie widywała setki martwych ciał unoszących się na wodach Gangesu.

— Więc co... co jej się stało? — wyjąkał.

— Na pierwszy rzut oka twarz wygląda jak wyżłobiona czymś... — Ciemne oczy Rukmani spojrzały na oblicze trupa. — Rozdrapał ją aż do kości. Wydłubał też lewe oko...

— Wystarczy, Ruki!

Patolog zerknęła na niego zdumiona.

— Co się z tobą dzieje? Zachowujesz się jak żółtodziób.

— Bo... wygląda tak... groteskowo.

— Rzeczywiście. — Kobieta studiowała dalej okaleczoną twarz. — Mam wrażenie, że ktoś na niej eksperymentował. Spójrz na tę idealną dwustronną symetrię... prosto przez czubeczek nosa. Czyżby zabójca użył ekierki? Prawa strona twarzy jest zupełnie nietknięta, lewa zaś potwornie pokiereszowana. Wiesz, co mi ten widok przypomina?

— Nie chcę słuchać twoich opowieści!

— *Upiora w operze*. Zastanawiam się, czy mordercą nie jest jakiś miłośnik Andrew Lloyda Webbera. — Zakryła twarz brezentem. — To by było chwilowo na tyle. Wzywam moich ludzi, bierzemy ją do kostnicy i tam dokończę.

— Mogłabyś poprosić tutaj Steve'a?

Rukmani zdarła rękawiczki.

— Z przyjemnością, sierżancie.

Ściśle rzecz biorąc, był detektywem sierżantem. Uśmiechnął się wymuszenie. Gdy lekarka wyszła, odsunął brezent i skupił się na twarzy... na jedynym oku. Kiedyś było niebieskie. Teraz z powodu nieruchomej źrenicy wyglądało na czarne. Mimo straszliwego okaleczenia ocenił, że dziewczyna była kiedyś piękna. Ładna cera, wysokie kości policzkowe, pełne wargi... połowa warg... Powoli odsunął cały brezent, skrzywił się i cofnął.

Górna część tułowia zwłok stanowiła odzwierciedlenie twarzy.

Jedna połowa pozostała całkowicie nietknięta. Delikatne kości. Duża pierś, bez wątpienia powiększona implantem. Gładka skóra, płaski brzuch, wcięcie w talii... kształtne nogi.

Niestety drugą połowę klatki piersiowej zmieniono w poszatowanego hamburgera. Luźne mięśnie zwisały z obnażonych kości; tańczyły z każdym podmuchem wiatru.

Dokładnie w tym momencie wszedł Jensen. Otworzył usta i zaga-pił się na w połowie rozszarpany korpus. Instynktownie ruszył z powrotem do wyjścia. Przez chwilę szukał po omacku poły namiotu, wreszcie wystawił głowę na zewnątrz. Resztki zjedzonej wcześniej kolacji wybuchły z niego niczym wulkan i chlusnęły na ziemię. Policjant poczuł w ustach gorący, stopiony ołów. Wypluł ślinę. Wymiotował tak długo, aż całkowicie opróżnił żołądek. Kiedy skończył, pozbył się ostatnich kawalków, następnie wytarł oczy i wargi chusteczką. Chwiejnym krokiem wrócił do ciała, lecz nie patrzył na nie.

— Przepraszam.

— Kim była, Steve?

Policjant oblizał gorzkie od żółci usta.

— O czym mówisz?

— Znałeś ją. Z jakiego innego powodu taki weteran jak ty miałby rzygać?

— No cóż... A przyjrzałeś się przypadkiem jej twarzy?

— Tak, jest odrażająca. No więc... Kim była ta kobieta?

Jensen poczuł się jak w pułapce. Wytarł twarz. Uznał, że lepiej się przyznać, zanim nie będzie miał odwrotu.

Zakaszłał.

— Sądzę, że nazywa się... nazywała się... Brittany. Brittany Newel.

— Aha. Tak sądzisz?

Policjant milczał.

— Wiek? — spytał Rom.

Jensen westchnął ciężko.

— Dwadzieścia dwa... dwadzieścia trzy lata.

— Ładne nogi. — Poe wstał, otrzepał spodnie. — Tancerka?

— Tak, zdaje mi się, że tańczyła.

— Show czy solo?

— Nie wiem, pewnie jedno i drugie.

— Pamiętasz w którym hotelu?

— Boże, to było tak dawno... może w Havanie.

— Tam ją poznałeś?

— Co za różnica?

— Teraz, gdy nie żyje, to jest wielka różnica.

Policjant zmrużył oczy i wyprostował się energicznie. Zmierzył Poego wyzywającym spojrzeniem z góry.

— Przesłuchujesz mnie?

Sierżant zignorował groźną postawę podwładnego.

— Co do niej, tak. Muszę wiedzieć, co cię z nią łączyło.

W sprawie o morderstwo, oczywiście, że nie.

„Jeszcze nie”, pomyślał.

Wyjaśnienie nieco osłabiło gniew Jensena.

— Poderwałem ją w jakimś barze, Poe, Mniej więcej rok temu.

Szybki numerek. Nic na dłuższą metę.

— Na dłuższą metę nie — powtórzył przeciągle sierżant. — Czyżbyś nie był żonaty?

Policjant obrzucił go piorunującym spojrzeniem, po czym wypadł z namiotu, zderzając się z Rukmani. Impet uderzenia aż odrzucił kobietę. Jensen natychmiast się zatrzymał i zawrócił do środka.

— Boże, przepraszam. Nic pani nie jest?

Lekarka potarła obolałe ramię.

— Co się dzieje?

— Nic pani nie jest?

— Och nie, nic. Przeżyję.

Poe pochylił się i przykrył ciało.

— Ekipa już jedzie, pani doktor?

— Tak, oczywiście, Rom. Potrwa chwilę, zanim rozładują nosze.

— Co może pani nam powiedzieć o tej zbrodni? — spytał Jensen.

— Oprócz tego, że facet musiał mieć sporo świństwa pod paznokciami.

— Sądzisz, że ktoś rozorał jej ciało paznokciami? — spytał sierżant.

— Jeśli nie, to czym...?

— Na przykład jakimś narzędziem — odparł Poe.

— Niezbyt ostrym — dodała Rukmani. — Zbyt wiele postrzępionych krawędzi. Może jakieś grabie. Wiele linii równoległych. Obejrzę strzępy tkanek pod mikroskopem. Jeśli ktoś użył narzędzia, znajdziemy kawałki metalu albo plastiku... W przeciwnym razie — kawałki paznokcia. Kogoś bardzo silnego, o ostrych, mocnych paznokciach. No, są już nosze. — Uśmiechnęła się do Roma. — Trochę tu tłoczno.

Sierżant skinął głową na Jensena.

— Chodźmy.

Po wyjściu ich twarze natychmiast pokryły się żwirkiem.

— Porozmawiamy w moim samochodzie — krzyknął Poe.

Ruszyli do hondy. Kiedy znaleźli się w środku, dobre kilka minut ścierali piasek i kurz z twarzy i ust.

— Nie powinieneś brać udziału w tej sprawie — zauważył Poe.

— Daj spokój...

— Steve, masz problem. Pieprzyłeś ofiarę!

Policjant skrzywił się i odgarnął z czoła blond włosy.

— Jeśli mnie odsuniesz, automatycznie stanę się podejrzanym.

Daj spokój, Rom. Przydam ci się, w śledztwie.

— Jak?

— Przypuszczam, że znam najwięcej faktów. Mogę od razu pojechać do jej mieszkania i porozmawiać ze współlokatorką. — Zamyślił się, po chwili dodał: — Chociaż w gruncie rzeczy nic o niej nie wiem. Ani o jej przyjaciółkach, ani o jej wrogach... Wiesz, znam tylko... kwestie podstawowe.

Poe zastanowił się nad propozycją Jensena. Rzeczywiście, jeśli teraz wyłączy go ze śledztwa, niemal wskaże go palcem jako podejrzanego... A przecież w tej sprawie liczyła się jeszcze Alison...

— Zadzwoń do Patricii. Możecie pojechać razem...

— Och, na litość boską, Rom...

— Robię to dla twojego dobra, Steve. — I skomentował w myślach: „A w razie czego chcę mieć pewność, że nie przetrząsniesz osobistych rzeczy zabitej i nie zwiniesz jakiegoś obciążającego dowodu”. — Patricia będzie cię ubezpieczać.

Policjant odpowiedział mu przez zaciśnięte zęby:

— Nie mam nic do Tłustej Patty. Uwielbiam ją. Ale sam sobie poradzę. Nie potrzebuję wsparcia.

— Niestety, ja tu rozkazuję — odparł oschle sierżant. — Dzwonisz do Patricii albo wracasz do domu. Wybór należy do ciebie.

Steve przeszył go gniewnym spojrzeniem, jego oczy cięły jak sztylety. Poe domyślał się słów, którymi tamten obrzuca go w myślach... Karzełek ze skurwysyńskim kompleksem Napoleona. Na nieszczęście dla Jensena, to sierżant tu dowodził.

Zapadła długa cisza.

— No dobra, zadzwoń po Patricię — mruknął w końcu Poe.

— Nie marnujmy więcej czasu.

Policjant wypadł wściekle z auta, zatraskując za sobą drzwi. Explorer zabuksował kołami w piasku i popędził drogą.

Kilka minut później w okno obok kierowcy zastukała Rukmani. Otworzyła drzwi i wślizgnęła się na siedzenie pasażera.

— Strasznie nerwowy ten Jensen.

— Znał ją. Tę martwą dziewczynę...

— Co takiego...?

— Pieprzył ją.

Patolog zachowała zimną krew.

— To wszystko tłumaczy. Zachowywał się, jakby był winny. Sierżant zaczął mimowolnie strzelać palcami.

— Nie, nie zrobił tego.

— Jesteś pewien?

— No cóż, niczego nie jestem pewien. — Ciągłe trząsał palcami.

— Ale to nie w stylu Steve'a. Lubi swoje młode panny. Zdecydowanie żywe.

Rukmani chwyciła jego dłonie i przytrzymała w swoich.

— Te twoje tiki... Regularne niczym zegarek. Powinieneś brać prozac.

Poe spowaźniał.

— Należało go wykluczyć z tej sprawy.

— Więc dlaczego tego nie zrobiłeś?

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem.

— Chodziło o Alison, prawda?

Wyszarpnął ręce, lecz zanim jej odpowiedział, zawahał się.

— Może... Prawdopodobnie.

„Ach, ta Alison”, pomyślał.

— Ocenilem, że pozwolę mu się zajmować sprawą przez dzień czy dwa. Będę go w tym czasie uważnie obserwował. Jeśli jest winny, popełni jakiś błąd. Jeśli nie jest, dlaczego skazywać go z góry? Facet ma żonę i dzieci.

„Żonę i dzieci!”, powtórzył w myślach.

— Może i nie darzy mnie sympatią, ale nie zamierzam pochopnie rujnować mu kariery. — Po sekundzie dorzucił: — Poza wszystkim, to nieżyły policjant, a przynajmniej był taki do tej pory.

Lekarka wygładziła płaszcz.

— No cóż, jadę do kostnicy. A ty co zamierzasz?

— Chyba zajmę się duchem o nazwisku Brittany Newel. — Podrapał się po orlim nosie. — Podobno pracowała jako tancerka. Show w Hawanie. Zacznę od tego przybytku dekadencji.

Rukmani pogłaskała go łagodnie po pociągłej, szczupłej twarzy.

— Wiesz, że trafisz tam na złe fluidy, Rom. Bądź ostrożny.

Skinął głową. Dobra rada, gdy się mieszka w mieście, które nigdy nie zasypia.

Rozdział drugi

Było już dobrze po trzeciej w nocy, więc Alison przypuszczała, że nieobecność Steve'a wynika z pracy nad nagłą sprawą. Nic zaskakującego, jeśli wziąć pod uwagę wydarzenia wieczoru...

Niezależnie od tego, ile razy się kąpała, smród nie opuszczał jej ciała. Zapach potu, mdlący aromat krwi... A także pęd adrenaliny, który pojawiał się nagle i znikąd. Dziesiątki zadrapań pokrywały jej ramiona, piersi i plecy. Były powierzchowne. Nie bolały... Prawdopodobnie znikną za dzień czy dwa. Jednakże wyglądały podejrzanie. Jeśli Steve je zobaczy, będzie zadawał pytania. Spyta, skąd jego żona je ma.

Jakby wiedziała.

Co jej się właściwie przydarzyło?!

Bez końca myła się i szorowała. Najpierw mydłem, potem kosmetycznym spirytusem, w końcu wybielaczem. Ciało płonęło i żądliło. Wiedziała, że nie pozbędzie się tych zapachów, chyba że obedrze się ze skóry...

Zastanowiła się przez chwilę.

Może sama się podrapała. Własnymi paznokciami... Albo twardą gąbką z luffy. Może nawet zwykłą gąbką kąpielową. Lub też kuchennym stalowym czyścikiem.

Dlaczego to zrobiła?

Tak czy owak, ciągle czuła się strasznie brudna... splugawiona.

Splugawiona. Tak, to było kluczowe słowo.

Splugawiona!

Musiała je przemyśleć. Spróbować znaleźć sens w całej tej sprawie.

Jednak myślenie było niebezpieczne. Zamiast próżnych rozważań,

powinna wszak prowadzić swoje badania. Powinna spróbować odkryć przyczyny. Na pewno istniały. I ona musiała je poznać.

Jej badania! Tylko one trzymały ją przy życiu. Wszystkie informacje znajdowały się w zielonej książeczce. Były tam. Gdybyż tylko potrafiła poskładać je w całość, miałyby wszystkie odpowiedzi.

Stała przy łazienkowej umywalce, ubrana w wielki aksamitny turecki szlafrok Steve'a. Wydała się sobie gruba i rozdęta niczym zaspas śnieżna. Yeti z Las Vegas... Mokra blond włosy nadal miała nieuczesane, orzechowe oczy otaczały czerwone obwódki i ciemne kręgi. Przez chwilę machinalnie odkręcała kran z wodą i zakręcała.

Odkręcała i zakręcała. Odkręcała i zakręcała. Odkręcała i zakręcała...

Nagle narzuciła sobie spokój. Nie mogła przecież zdenerwować chłopców.

Usiłowała wszystko przemyśleć od nowa.

Tak samo, jak wówczas, gdy była mała.

Rytualne zachowania zaczęły się po śmierci mamy. Wszyscy wokół Alison zgodnie ten fakt przyznawali. Wyzwoliła je tragedia. Początkowo owe rytuały były całkiem niewinne. Ot, głupie, dziecięce obsesje. Wielokrotnie sprawdzała okna przed pójściem do łóżka. Otwierała i zamykała szuflady komody, zanim wyjęła jedną część garderoby.

Potem rytuały rozwinęły się w męczące nawyki, przed którymi nie potrafiła uciec. Przed pójściem spać całowała słupek łóżka tysiąc razy. Zasuwała i odsuwała zasłony przez pełną godzinę. Stale sprawdzała swoją szafę w poszukiwaniu ukrytych włamywaczy. Porządkowała biurko tak wiele razy, że zasypiała, zanim zdążyła się czegokolwiek nauczyć. Na szczęście pomagała jej wrodzona inteligencja, dzięki której bez zbytnich starań pozostawała uczennicą piątkowo-czwórkową.

Po śmierci matki nastąpiły w życiu Alison lata terapii. Ojciec zaciągnął dziewczynkę do każdego psychiatry w mieście. Szukał

przyzwoitego lekarza w mekce hazardu, która chełpiła się głównie rewiami i wszelkimi innymi gatunkami rozrywki. Pomijając kasyna, gwiazdy, blask i blichtr, Las Vegas — miasto jej młodości — było jedynie małą prowincjonalną osadą, która miała niewiele do zaoferowania poza upałem i piaskiem.

Leki, leki, leki... Jedna terapia za drugą. Winą za chorobę Alison obarczano tragedię. Tragedię! Ponieważ do pewnego momentu nikt nie ośmielał się wymawiać słowa „samobójstwo”.

Najwyraźniej jednak któreś z lekarstw musiało jej pomóc, ponieważ podczas okresu dojrzewania, kiedy większość z klasowych koleżanek popadała w dziwaczne rodzaje psychoz i autodestrukcji, Alison wyrosła na modelową nastolatkę. Opanowana, chłodna, bardzo popularna ze względu na bystry umysł i klasę. Ładna, doświadczona w odpowiednich sprawach. Nie, nigdy nie miała problemów z przyciągnięciem uwagi chłopców. Wręcz przeciwnie — raczej trudno jej było utrzymać ich z dala od siebie. Rzucąca ich niczym żetony. Zależnie od nastroju rzucała ich lub gromadziła. Powoli, w jakiś magiczny sposób, jej towarzysze zapomnieli o stukniętej małej dziewczynce, która przesiadywała niegdyś samotnie i z nikim nie rozmawiała.

Nie wszyscy oczywiście zapomnieli. Rom na przykład nie zapomniał. W dodatku znacznie się różnił od pozostałych. Miał oczy z tyłu głowy — widział i słyszał wszystko. W szkole średniej poprosiła go, by dał jej spokój, a on potulnie przychylił się do prośby. A jednak, stale jej towarzyszył... Czaił się w jakimś kącie... Nieziemsko spokojny, mimo swych dziwactw. Nic go nigdy nie zrażało: ani zniewagi, ani szyderstwa. Nie sposób go było przegonić. Słowne strzały i groty odbijały się od niego, jakby nosił kolczugę. Podziwiała go za to. O czym mu zresztą powiedziała, kiedy już dorośli.

Wtedy wszakże nie potrafiła go zaakceptować. Dlatego że była taka popularna. A popularne dziewczyny nie mówiły pewnych rzeczy dziwakom.

W tym momencie poczuła wstyd i dostała wypieków. Jej policzki były gorące. Przecież nie ponosiła winy! Po prostu nie miała obok

siebie nikogo, kto by nią pokierował. Poza tym... wszystko jej się udawało. Wszyscy ją kochali!

Przez szkołę średnią prześlizgnęła się bezboleśnie, gdyż zdołała skondensować swój szczególny rozkład zajęć w jeden czy dwa starannie przemyślane rytuały.

Na przykład mycie rąk. Nieskończenie lepiej stale myć ręce, niż całować słupki łóżka. Od tej pory miała przynajmniej zawsze czyste dłonie.

Minęło dziesięć minut.

Włączyła i wyłączyła wodę. Włączyła i wyłączyła. Włączyła i wyłączyła.

Później podjęła życiową decyzję. Zmusiła się do zakręcenia kurków i podniosła szczotkę do włosów. Poczowała straszliwy niepokój, który objawił się przyspieszonym biciem serca, mdłościami, zawrotami głowy. Od czegoż jest wszakże siła woli?!

„Będzie okej — powtarzała sobie — będzie dobrze, poradzę sobie ze sobą, będzie dobrze...”

Przeczesała twardą nylonową szczotką długie do ramion loki. Wyczesalała kołtuny. Z każdym kolejnym pociągnięciem szczotki czesała się coraz wolniej. Kiedy skończyła, musiała włączyć i wyłączyć wodę zaledwie dwa tuziny razy. Wtedy postanowiła wyjść z łazienki.

I wykonać ćwiczenie, którego nauczyła się przed laty. Dosłownie wziąć się za rękę i wyprowadzić z „terenu wysoce osobliwego zachowania”. Pociągała własne palce, aż znalazła się z powrotem w sypialni.

„Teraz położyć się!”

Rozkaz!

Zawsze słuchała rozkazów.

No, chyba że mówiły do niej głosy — wtedy nie słuchała.

Na szczęście nie przemawiały do niej zbyt często. Nie, ostatnio już nie. Wiedziała, że nie są realne i często je przeganiała. Chociaż w takich przypadkach znowu czuła się zmuszona do umycia rąk.

Tęskniła za powrotem do łazienki.

Uruchomić kran.
Odkręcić i zakręcić.
Odkręcić i zakręcić.
Odkręcić i zakręcić.

Nie, nie, nie! Lepiej zabrać się za badania.

„Masz mózg, Alison. Po prostu naucz się go używać”. — Tak brzmiała zwięzła recepta Steve'a dla młodej żony.

Tak mówił tuż po ich ślubie. Mniej więcej w miesiąc po bajecznym miesiącu miodowym, który spędzili na Hawajach. Wtedy Alison coś spaliła w piecyku... chyba kurczaka. Pomyślała, że skoro zgodnie z przepisem kurczaka piecze się dwie godziny w temperaturze 180 stopni Celsjusza, dlaczego nie upiec go w godzinę w 360 stopniach? Ustawiła więc pokrętko na maksymalną temperaturę i czekała.

Jeszcze chwila, a ich mały drewniany domek doszczętnie by spłonął. Strażacy powiedzieli jej wtedy, że miała dużo szczęścia.

Wcale nie czuła, że ma szczęście.

Ale to nie była jej wina! Cóż wiedziała o gotowaniu? Dla jej ojca domowe jedzenie oznaczało zerwanie grejpfruta z drzewa na podwórku za domem. Biedne małe drzewko, marniejące w gliniastej glebie. A jednak ojciec był wytrwały. Nawoził drzewko, pielęgnował je. I w końcu wydało owoce... piękne, słodkie, różowe.

Tak samo było z Alison. Urodziła dwóch pięknych synów. Tato bardzo ich pokochał.

Jej chłopcy!

Wiedziała, że musi pozostać przy zdrowych zmysłach, w przeciwnym razie zabiorą jej dzieci. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Niby nikt nie powiedział jej tego wyraźnie, znała jednak zasady.

Tak, tak, musiała pozostać przy zdrowych zmysłach.

Wcale nie tak trudno było ich wszystkich oszukać. Kiedy trzeba, potrafiła udawać zupełnie zdrową. Chociaż... Niełatwo było udawać przez cały czas. Któż potrafi przez cały czas pozostawać przy zdrowych zmysłach?

Tak czy owak, badania trzymały ją twardo na ziemi.
Czytać i pisać. Pisać i czytać.
Cokolwiek!
Wszystko po to, by umysł był zajęty.
Bo gdy umysł jest zajęty, nie ma w nim miejsca dla głosów!

Rozdział trzeci

— Nie każę ci go szpiegować. Masz tylko mieć na niego oko i nie dopuścić, żeby zrobił coś nieodpowiedniego.

Na linii zapanowało krępujące milczenie. W końcu Patricia spytała:

— Mam udawać głupią? Nie będę się z tym dobrze czuła, sierżancie.

— Nie o to chodzi, śmiało możesz mu powiedzieć, że do ciebie dzwoniłem... Pozwalam ci nawet dokładnie powtórzyć mu moje słowa. Znając Steve'a, od razu ci wszystko opowie... wywali z siebie całą żółć. — Poe przeczesał włosy palcami. — Prawdopodobnie powie coś niemiłego na mój temat. A niech sobie przeklina. Pozwól mu się wygadać. Po prostu uważaj na niego.

— W porządku.

W jej głosie nie było jednak entuzjazmu. Sierżant wiedział, że spycha ją na głęboką wodę, obarczając tak delikatnym zadaniem, lecz skoro zdecydował się nie wyłączać Steve'a ze sprawy, musiał przydzielić mu nadzorcę jego poczynań.

— Jensen powinien tam być lada chwila.

— Właśnie podjeżdża.

— Jadę do Havany. Daj znać na pager, jeśli będziesz mnie potrzebowała. Potem... o ile nie dostanę jakiegoś nagłego wezwania... wrócę do biura i dokończę papierkową robotę. Ustalmy zebranie we trójkę za dwie godziny.

— Dobrze.

— Na razie. — Poe odłożył słuchawkę, zapalił silnik i zostawił go na jałowym biegu. Zanim włączył wsteczny bieg, zdjął plastikową kurtkę przeciwdeszczową i włożył lekki hebanowy blezer, który woził w bagażniku na wszelki wypadek. Sweter nie dawał zbyt dużo ciepła, lecz sierżant nieźle w nim wyglądał.

Poza tym... Czarna kurtka, czarny golf, czarne dżinsy, czarne skarpetki i buty. Wielce praktyczny strój. Poe pasowałby w nim wszędzie. Ponownie przeczesał paznokciami opadające loki. Obejrzał się w lustrze. Był nieogolony, przez co wyglądał jak typowy nocny bywalec kasyn.

Pojechał Charleston Boulevard na zachód. Do Main Street dotarł w niecałe pięć minut. Minął kilka przecznic i już był na Las Vegas Boulevard. Ulicami jeździły nieliczne samochody i taksówki, lecz Pas był właściwie opustoszały. Życie zwalniało, gdy noc zbliżała się do świtu. Ludzie nazywali ten okres fajrantem, który spędzali w hotelowych pokojach, liżąc rany po przegranej lub odsypiając kaca. Zresztą, pogoda nie nastrojała do przechadzek.

Przyjemnie się jechało pustym bulwarem. Pozbawionym życia, lecz nie światła. Sierżant spędził większą część swego życia w tym bajkowym mieście, którego atmosferę stanowiła dziwaczna kombinacja małomiasteczkowej życzliwości i wielkomiejskiego szaleństwa. Tandeta i kicz ulic Las Vegas łączyły się dla Poego z nutką sentymentu. Kojarzyły mu się z własną zwariowaną rodziną. Co prawda trudno z nią było wytrzymać, lecz koniec końców innej nie miał, więc musiał ją zaakceptować i basta.

Mimo trzeciej nad ranem jaskrawe neony ciągle jeszcze migotały. Były kiczowate, choć i tak znacznie łagodniejsze, niż bywały w Las Vegas z jego młodości. Od tamtej pory powstało sporo nowych hoteli, które prześcigały się w architektonicznych pomysłach. Wiele natchmiaszt można było rozpoznać po symbolach. Hard Rock Cafe strzelało w niebo gigantycznym gryfem najśłynniejszej gitary elektrycznej świata, zwanej Gold Top Les Paul, kasyno Luxor zaś szkowało wielkim, połyskującym hologramem faraona Tutanchamona.

Od lat osiemdziesiątych miasto próbowało wszakże zapanować nad rozpasaną architekturą i — zamiast dwudziestoczworometrowych wąskich kieliszków z bąbelkującym różowym szampanem — nowe hotele wybierały standardowe wejścia pod markizą. Dekoracje przed kasynami — poza tym, że zdecydowanie zgrabniej i mniej monumentalnie zaprojektowane — stawały się również wspaniałą reklamą Las Vegas; dochodziło do integracji formy i funkcjonalności w stylu Madison Avenue.

Poe minął wysoką na trzysta cztery metry iglicę Needle in the Sky (budynek bardziej przypominał stację kosmiczną niż hotel), potem wielką Saharę, która kiedyś słynęła z najlepszych na Pasię girłasek oraz Big Top — namacalny hołd wobec porzekadła P.T. Barnuma: „Tu co minutę rodzi się frajer”. Lokal nastawiony był prorodzinnie, toteż znajdował się tu park rozrywki, mały cyrk i elektryczne samochodziki. Hotel szczycił się też tanimi pokojami i jedzeniem. Najedzone i zajęte jazdą szaloną górską kolejką dzieciaki nie przeszkadzały mamie i tacie w przegrywaniu przyszłych opłat malców za czesne w college'ach. Cztery oddzielne kasyna wyposażono we wszelkie możliwe automaty i stoliki do gry — począwszy od „jednorękiach bandytów”, na których można było zagrać już za dziesięć centów. Ze względu na niewinną, domową fasadę w hoteliku Brendon, zwanym również Bebe, Jensen przez ponad trzy lata wynajmował pokoiki, traktując to miejsce jak swoją drugą sypialnię. Poza sezonem otrzymywał tam nawet upusty w postaci darmowych godzin.

Tak jak obecnie.

W ostatnich dwóch tygodniach turystyka przeżywała szczególnie regres. Nastął okres kwietniowej zapaści. W tym miesiącu obywatele rozliczali się z Urzędem Podatkowym, toteż ostrożniej szastali gotówką i tradycyjnie tracili ochotę na przepuszczanie jej w kasynach. Poe jeszcze się nie rozliczył. Tego roku, podobnie jak w latach ubiegłych, ponad połowa jego dochodów pochodziła z wygranych w kasynach. Szczególnie dobrze radził sobie w oczko. Wprawdzie do większości dużych kasyn nie miał już wstępu, znał jednakże sposoby obejścia tych ograniczeń.

Sierżant kochał kasyna i uwielbiał hazard. Lubił usiąść wygodnie, chwycić w ręce karty i grać. Na kilka godzin zmieniał swoje życie, stawał się kimś innym. Karty fascynowały go i zajmowały równie mocno jak praca w policji.

Przejechał obok Stardust, The Mirage i Treasure Island — wytworów wspaniałego umysłu Stevena Wynn'a. W ciepłe letnie noce tutejsze chodniki były zapchane gapiami, którzy obserwowali piratów toczących bitwy na unieruchomionych galeonach. Ludzie tłoczyli się także przed idealną kopią szesnastometrowego czynnego wulkanu plującego ognistą lawą. Kiedyś Poe przypadkiem znalazł się w jednym z hotelowych pokoi wychodzących na dymiącą górę. Spoglądał w dół, w samo wnętrze stworzonej przez człowieka miniaturowej Wezuwiusza. W całej okazałości widział wszystkie te gazowe dysze i rurki.

Minął Hilton, Bellagio, Monte Carlo, Caesars Palace, MGM, Excalibur, Luxor... aż po ostatnie kilka brudnych parceli przed McCarran International.

Hawana powstała niedawno. Budowla stanowiła wynik spółki dwóch największych magnatów hotelowych. Tereny gęsto porastały palmy kokosowe, setki tropikalnych drzewek owocowych i lasy bananowe. Latem szeregi rozmaitych zraszaczy i spryskiwaczy utrzymywały krajobraz w stanie bujnym i zielonym. Miejsce leżało niżej niż miasto i zaspokajało potrzeby staroświeckich bogaczy lubiących dekadencję i prywatność.

Główny hol i sam hotel imitowały kubańską plantację. Budynek liczył cztery piętra, był otynkowany na waniliowo, miał markizę w zielone i białe pasy, dach pokryty czerwoną dachówką oraz liczne balkony i werandy. Już choćby z tego względu prezentował się niezwykle, ponieważ większość frontów hoteli Las Vegas wyglądała płasko niczym asfalt. Za głównym gmachem znajdowała się część droższa — i znacznie bardziej prywatna — bungalowy. Skalna sadzawka okazywała się w istocie przedsiódkiem sporej konstelacji sztucznych jezior, strumieni i fontann obrzeżonych tropikalnym lasem, w którym gnieździła się importowana populacja papug. Jednak najwspanialszym pomieszczeniem wydawał się sklep z tytoniem. Chociaż na

ziemi Wujka Sama obowiązywał zakaz importu kubańskich cygar, Havana chełpiła się własną linią produkcyjną, na której wytwarzano je z oryginalnego kubańskiego tytoniu. Podobno krzewy porastały prywatne pola właścicieli kasyna gdzieś na południu. Taka przynajmniej krążyła pogłoska, choć nikt nigdy nie sprawdził, czy owe pola rzeczywiście istnieją, czy też tytoń pochodzi z przemytu. Hotelowy nawilżacz powietrza zaś niemal dorównywał wielkością sali balowej Phileasa Fogga.

Sierżant wjechał na wielopasmowy kolisty podjazd i dotarł nim do wejścia. Boy hotelowy zajrzał w okno hondy i otworzył drzwiczki. Zawahał się na ułamek sekundy, zanim posłał Poemu szeroki uśmiech. Sierżant wiedział, że chłopak ocenia go pod kątem napiwku. Wygląd Poego — proste czarne włosy, wielkie, ciemne oczy w kształcie migdałów i cera w odcieniu kawy z mlekiem — połączone z tanim samochodem sugerowały rdzennego Indianina z południowej odnogi plemienia Pajutów, skromnego indiańskiego gracza, który prawdopodobnie nie śmierdzi groszem. Z drugiej strony, proste czarne włosy, ciemne oczy i smągła cera mogły też oznaczać całkiem hojnego Włocha. Rzeczywiście, policjant miał w rodzinie przedstawicieli obu narodowości, a także kilku innych... Był prawdziwym mieszkańcem. Błysnąwszy odznaką, uśmiechnął się, po czym wręczył młodzieńcowi niezły napiwek i kazał zaparkować hondę od frontu.

Hol Havany miał trzy piętra. Znajdowało się tu pół tuzina atriów z egzotycznymi ptakami i innymi skrzeczącymi stworzeniami, łącznie z makakami — małpami, które nie pochodziły z Ameryki Środkowej, lecz z Azji. Jak do tej pory niewiele osób (jeśli w ogóle ktokolwiek) protestowało przeciw umieszczeniu tu tych wszystkich zwierzątek. Aktywiści ruchu obrony praw zwierząt próbowali wprawdzie początkowo zatrzymać budowę, lecz władze hotelu przekonały ich o swej dobrej woli, tworząc w mieście ogród zoologiczny, w którym stały ogromne klatki symulujące naturalne środowiska zwierząt. Poe podziwiał przemysłowość bogaczy.

Aby dostać się do recepcji, musiał przejść przez kasyno w stylu kubańskim — błyskające światłami, ogłuszające kaskadą dzwonów, dzwonek i gwizdków. Krupierzy nosili tu białe dwurzędowe garnitury i lniane koszule, białe mokasyny i panamy o szerokich rondach. Kelnerki z koktajlami były ubrane w krótkie bluzeczki z rozłożystymi kołnierzami i wielobarwne sarongi. We włosy wpiwały sobie kwiaty, natomiast w najgorętszym okresie nocy często zakładały wielkie kapelusze z owocami à la Carmen Miranda. Sierżant przeszedł po kwiecistym dywanie korytarzykiem między szeregami „jednoręki bandytów”. Automaty brzęczały monotonicznie, domagając się monet, które gracze wrzucali w ich wiecznie głodne paszcze. Maszyny te zupełnie nie interesowały Poego i nie przyciągały żadnym magicznym czarem; uważał je za zwykłych pożeraczy pieniędzy.

Stoły to co innego — przy nich mógł zagrać w kości, ruletkę, regularnego pokera, pokera *pai gow* czy w oczko. Gdyby na wpół poszatkowana kobieca twarz nie torturowała jego duszy, może nawet by się przy nich zatrzymał. Poszedł jednak dalej, zostawiając za sobą ciche, dystyngowane odgłosy bakarata. Wkroczył na prywatny, odgradzony teren. Tu grano o bardzo wysokie stawki, a krupierzy nosili białe fraki. O trzeciej rano stało w tej części pół tuzina stolików, lecz gracz był tylko jeden. Kelner krążył wokół niego niczym troskliwa kwoka.

W końcu sierżant dotarł do recepcji. Spacer był długi. Chyba niewiele osób potrafiłoby się oprzeć impulsowi wrzucenia gdzieś ćwierćdolarówki. A wtedy łatwo utknąć...

Recepcjonistka nosiła białą garsonkę i różowo-purpurową bluzkę przywodzącą na myśl hibiskusa. Siedziała na tle żółtozielonej dżungli, miała pod trzydziestkę, kremową skórę i blond włosy związane w warkocz. W jej twarzy jednak dostrzegł jakąś surowość — stalowe oczy zapewne umiały jednoznacznie oszacować możliwości finansowe gościa. Posłała Poemu wyszkolony uśmiech i spytała, w czym może mu pomóc. Wyjął odznakę, na co zmarszczyła brwi, a jej oczy zmatowiały.

Nazwisko na plakietce brzmiało Noel Goddard.

— Chciałbym porozmawiać z kierownikiem nocnej zmiany, pan-no Goddard.

Oficjalny ton policjanta wyraźnie zburzył wystudiowany dystans kobiety. Gdy odpowiadała, zająknęła się.

— Mogę... spytać, o co chodzi?

— Rutynowe śledztwo.

— W jakiej sprawie?

— Może pani poprosić kierownika?

Zawahała się.

— Kierownika kasyna czy hotelu?

Poe uśmiechnął się.

— Bez różnicy.

Znowu się zawahała, po czym zniknęła za ukrytymi drzwiami na tyłach recepcji. Pięć minut później wróciła z podstarzałym mięśniakiem ubranym w lniany garnitur i jaskrawoniebieską hawajską koszulę. Mężczyzna miał około pięćdziesięciu pięciu lat, był łysy, a jego bicepsy przypominały kule z kręgielni. Nie nosił plakietki z nazwiskiem, lecz sierżant znał Petera Delatorre od lat.

Teraz Poe wyszczerzył zęby, Delatorre zaś odpowiedział mu piorunującym spojrzeniem. Wymamrotał podziękowanie w stronę Noel, potem kiwnął na Poego serdelkowanym paluchem. Recepcjonistka otworzyła wahadłowe drzwi i obaj mężczyźni weszli w labirynt prywatnych korytarzy. Kilka minut później kierownik kasyna włożył klucz w zamek i otworzył drzwi prowadzące do sekretnego pokoju.

Pomieszczenie było obite pluszem w kolorach tropików, wyłożone grubymi, zielono-niebieskimi dywanami, zastawione miękkimi wielobarwnymi sofami i fotelami. Obok stał barek z rżniętego kryształu wypełniony butelkami rumu i szkockiej. Pod sufitem obracał się brzęczący wentylator. W rogu znajdował się mały wiklinowy stolik z telefonem i faksem. Najwyraźniej mieścił się tu wcześniej apartament, Poe zauważył bowiem otwarte drzwi do sypialni. Delatorre zamknął je i wskazał swemu rozmówcy fotel.

Sierżant zakolysał się na nogach i rozejrzał wokół. W miejscu okien dostrzegł lustra, prawdopodobnie weneckie. W jednym narożniku zamontowano kamerę wideo.

— Jak leci, Pete?

Kierownik przechadzał się nerwowo po pokoju.

— Co ty, u diabła, wyprawiasz, Rom? Po cholere robisz widowisko przed personelem?

— O czym mówisz?

— Wciskasz pod nos odznakę tej biednej dziewczynie i...

— Niczego nie wciskam. Pokazałem jej po prostu odznakę, bo jestem policjantem. Zwykła procedura, zgodna z regulaminem...

Delatorre uśmiechnął się drwiąco.

— Siadaj. — Chwilę milczał, choć przestał chodzić. — Albo nie siadaj. Czego chcesz?

— Kiedy zacząłeś pracować w Hawanie? — spytał Poe.

— Sześć miesięcy temu.

— Co się stało z Potetskim?

— Wolałbyś nie wiedzieć. — Mężczyzna wyraźnie nie zamierzał kontynuować tematu. — Zatem... jakież dobre wiatry przygnały cię dziś wieczorem, Rom?

— Prowadzę śledztwo w sprawie tancerki nazwiskiem Brittany Newel. Słyszałem, że pracowała na parkiecie, również tutaj w Copa Room.

— Szukasz jej, bo jest podejrzana, czy może to twoje najnowsze zwłoki?

— Zgadłeś. Leży w kostnicy.

— Jezu! — Delatorre skrzywił się. — Chcesz przez to powiedzieć, że mam zdobyć klucze do pokoju z aktami?

— Byłbym ci niezmiernie wdzięczny, Pete.

— Zostań tu... z dala od moich stołów. Postaram się.

— I tak zamierzam się trzymać z dala od twoich stołów.

— Jasne, jasne. Tylko dlaczego jakoś ci nie wierzę?

— Ponieważ nie jestem godny twojego zaufania.

— No tak. Zapomniałem. Masz w sobie przecież sporo krwi indiańskiej.

— Ale i włoskiej. Hmm... Jest dwadzieścia minut po trzeciej nad ranem. Możemy przyspieszyć tę zabawę?

— Sądziłem, że jesteś nocnym markiem.

— Cóż, chyba się starzeję.

— Tak, rzeczywiście wyglądasz dość kiepsko. — Kierownik znowu zaczął chodzić po pokoju. — A ile właściwie masz lat? Pewnie ze trzydzieści, co?

— Trzydzieści pięć. — Pauza. — Chyba nie wyglądam tak źle, skoro oceniałeś, że dopiero co skończyłem trzydziestkę.

— Może wzrok mi szwankuje.

— Cóż, i tak dzięki za komplement.

Delatorre zmarszczył brwi.

— Oczekujesz kolejnych? A może chcesz prawdziwego kopa?

— Obawiam się, że muszę odmówić.

— Zawsze staram się uszczęśliwiać dobrych gliniarzy z Miejskiej .

— Dziękuję ci. Już jesteście bardzo szczęśliwi. Klucze?

Kierownik roześmiał się i machnął z rezygnacją ręką.

— Dobra, chodźmy.

Wyszli tylnymi drzwiami, przeszli przez słabo oświetlony i wypełniony grobową ciszą korytarz. Ich kroki tłumił gruby dywan. Poe nie miał pojęcia, dokąd się udają, lecz Delatorre bezbłędnie wybierał zakręty niczym szczur podczas eksperymentu. Stary Pete zaczynał od wycierania podłóg w kasynie Flamingo, potem krupierował w Stardust dla Lefty Rosenthala i w końcu awansował na szefa parteru: najpierw w Rivierze, później w Tropicanie. Najwyraźniej sprawdził się, skoro został kierownikiem kasyna w Hawanie. Spory awans zarówno pod względem płacy, jak i prestiżu. I prawdopodobnie sobie nań zasłużył. Znał się świetnie na hazardzie i — co ważniejsze — na graczach.

Kiedy dotarli do celu, Delatorre wyciągnął kartę identyfikacyjną, zatrzymał się przed czytnikiem i przytrzymał kartę przy skanerze. W kilka chwil później czerwone światelko na panelu zmieniło się w zielone. Mężczyzna wystukał kod na cyfrowej klawiaturze, po czym odwrócił się do swego towarzysza.

— Uśmiechnij się do kamery, Rom.

— Gdzie jest?

Kierownik chwycił go za ramiona i lekko obrócił o dziewięćdziesiąt stopni.

— Spójrz w górę.

Rzeczywiście, kamera wideo. Poe pomachał w jej kierunku.

— Sądziłem, że wchodzimy tylko do kadr.

— Nikomu nie ufam. A już szczególnie policji. — Delatorre wyciągnął pęk kluczy, wsunął dwa z nich w skomplikowany zamek i w końcu otworzył zabezpieczone cyfrowym kodem drzwi. — Nie masz chyba broni, co? Nie mam ochoty usłyszeć wycia alarmu.

— Nie, w ogóle nie mam nic metalowego, nawet kluczyków. Zostawiłem je chłopakowi przed wejściem.

— Wchodzimy. Ty pierwszy.

Poe wszedł do zwykłego pokoju zastawionego setkami szafek z aktami. Oceniał, że mieszczą zapewne dziesiątki tysięcy personalnych teczek. W środku stał szereg terminali komputerowych i klawiatur na blacie przyśrubowanego do podłogi okrągłego metalowego stołu, a przy nim trzy również przyśrubowane krzesła.

Delatorre wszedł za sierżantem i zamknął drzwi. Pneumatyczna blokada odessała powietrze i uruchomił się wentylator.

— Wiesz — wyjaśnił — od porwania córki Wynna kierownictwo dostało fioła na punkcie bezpieczeństwa. Wszystkie meble przykręcają do podłogi, aby nie można ich było użyć jako broni. A kodów zabezpieczających mamy więcej niż Pentagon.

Włożył kluczyk do jednego z terminali i włączył go.

— Tyle, że jaki to ma sens w przypadku prostytutek? Taka wszędzie może trafić na świra. Ale wszystkie te zabezpieczenia przynajmniej odstraszą od nas kidnaperów i inne męty, które chciałyby skorzystać z naszej bazy danych. Jak się nazywała?

Przypomnij mi.

— Brittany Newel. — Poe przeliterował. Delatorre wystukał na klawiaturze.

— Masz jej zdjęcie?

- Nie.
- Nawet pośmiertne?
- Nie wyglądała zbyt pięknie, stary.

Kierownik krzywił się podczas pisania. W końcu komputer wypuł nazwisko, dane i numer porządkowy.

— Tak, pracowała tutaj przez jakiś rok. Hmm, z akt wynika, że zwolniono ją dwa miesiące temu.

— Z jakiego powodu?

— Cóż... Sprawdźmy... Numer piętnaście, kreska, czterdzieści dwa, A. Obecnie wszystko kodujemy, a potem... jeszcze raz kodujemy.

— I dzięki temu panuje u was powszechna uczciwość.

— Taaa, po prostu złodzieje robią się coraz bystrzejsi. Uff... No, mam. Wyrzucili ją za opuszczanie występów. Chcesz wiedzieć, ilu? — Wzruszył ramionami. — Powiem ci, jaka jest polityka Havany. Opuszczasz bez usprawiedliwienia dwa dni robocze i wylatujesz.

— Jest jeszcze coś interesującego w jej aktach?

Delatorre badawczo przejrzał dane.

— Nie... nic.

— Mogę zobaczyć jej podanie o pracę?

— Mowy nie ma. Nawet dla policji! — Kierownik podniósł wzrok.

— Te informacje są tajne.

— Pete, ta dziewczyna nie żyje.

Kierownik wycelował pękaty palec wskazujący w Poego.

— Celna kwestia.

Wpatrzył się badawczo w monitor, wybrał odpowiedni numer akt, zapisał go na kawałku kartki i ruszył do jednej z szafek. Dwie minuty później wyjął akta Newel i przejrzał je.

— Mogę? — spytał sierżant.

— Najpierw muszę sprawdzić, czy nie ma czarnych znaczków... Widzisz, jeśli w teczce są zawarte jakiekolwiek informacje dotyczące naszych aktualnych pracowników, wówczas ktoś mógłby mnie oskarżyć o łamanie tajności. Muszę działać zgodnie z przepisami.

— Jest tam jej zdjęcie?

— Wiele zdjęć. — Delatorre wyjął jedno i oglądał je przez chwilę. W tym czasie Poe zdążył zerknąć na inną fotkę leżącą w aktach.

— Ładna dziewczyna — rzucił kierownik. — Sam zobacz.

Portretowe zdjęcie. Ufryzowane włosy w odcieniu miodowego blondu opadały na szczupłe, nagie ramiona. W kryształowo-błękitnych oczach czaiło się zdumienie, wydęte usteczka wydawały się stworzone do całowania. Wdzięczna szyja i gładka młoda cera. Bardzo piękna dziewczyna... I bardzo nijaka. Typowa girlaska z Las Vegas. Kompletnie pozbawiona oryginalności.

Dokładnie w stylu Steve'a.

Cud, jak on złapał Alison...

W pokoju panowała pełna skupienia cisza.

„To nie tak, Rom, stary draniu — pomyślał Poe. — Alison chciała zostać złapaną”.

Tak, w owym czasie pragnęła czegoś wspaniałego... a równocześnie czegoś bardzo, bardzo normalnego.

Delatorre ciągle przeglądał akta.

Niby przypadkowo, sierżant odwrócił się plecami do kamery i wprawnym ruchem wsunął fotografię w spodnie, po czym zsunął ją, aż znalazła się między górną częścią uda i slipkami. Dobrze, że nosił obcisłe dżinsy.

Kierownik mówił coś:

— ...nie możesz zobaczyć reszty akt, Rom. Przykro mi. Są w nich poufne informacje, które dotyczą innych osób. Jeśli chcesz przejrzeć te dane, musisz zdobyć nakaz.

— W porządku. — Sierżant wyjął notes i długopis. — Możesz mi podać podstawowe fakty z jej życia?

— Chyba... tak, tak przypuszczam... — W tym momencie odezwał się pager Delatorre'a. Mężczyzna odczytał numer. — Kłopoty, stary, muszę iść.

— Może poświęcisz mi jeszcze z minutkę, Pete? Chyba nie chcesz, żeby kolejna z twoich dziewczyn skończyła w ten sposób.

— Brittany nie należała do moich dziewczyn.

— Ale skończyła paskudnie, Pete. Szybkie rozwiązanie tej sprawy leży w interesie nas wszystkich.

Kierownik wymamrotał coś, jednak naprędce przejrzał podanie zamordowanej.

— Urodziła się w roku 1975. Metr siedemdziesiąt dwa, pięćdziesiąt kilo, blond włosy, niebieskie oczy... Przez siedem lat uczyła się tańca w Los Angeles. Zanim przyjęła tę pracę, pracowała jako sekretarka. Są tu rekomendacje od nauczycielki tańca, byłego szefa, przyjaciół i jakiegoś kalifornijskiego senatora. Nieźle musiała mu obciągać, że go do tego namówiła, załóżę się... O tej pracy dowiedziała się od swojego chłopaka. Miejscowy. Chcesz adres?

Poe westchnął w duchu. Zaraz się dowie, dokąd pojedzie o czwartej nad ranem.

— Wal.

Delatorre podyktował mu adres i zamknął teczkę.

— Aha, oddaj zdjęcie.

— Oddałem ci.

— Nieprawda, nie oddałeś.

— Otwórz akta. Dałeś mi fotkę, na której dziewczyna odpoczywa z głową na ręce.

Mężczyzna otworzył teczkę. I rzeczywiście, było tam zdjęcie Brittany Newel z głową opartą na otwartej dłoni.

— Nie dałem ci tego, lecz zdjęcie portretowe.

— Nie mam go, Pete. — Wyciągnął ręce na wysokości talii. — Chcesz mnie przeszukać, proszę bardzo. Nie będę protestował, bo jesteś ode mnie większy.

Kierownik kasyna studiował przez moment twarz policjanta, w końcu zamknął teczkę i odłożył ją do szafki. Zagryzł wargi i bez słowa wystukał cyfry na ściennym panelu. Drzwi się otworzyły.

— Ty pierwszy — rzucił cicho.

— Dzięki.

Poprowadził Poego z powrotem przez labirynt i do recepcji. Przeszedł z nim niemal pół kasyna. Potem się zatrzymał.

— Nadal uważam, że jesteś mi dłużny fotografię, Rom.

Sierżant wyszczerzył zęby.

— Obiecuję, że nie będę grał na twoich stołach.

Delatorre popatrzył na niego w milczeniu.

— Pieprzony Indianiec.

Policjant zignorował zniewagę.

— Będziemy w kontakcie.

— Świetnie — odparł zgryźliwie tamten. — Tylko następnym razem raczej wcześniej zadzwoń.

Rozdział czwarty

Gdy Brittany Newel ukończyła dwadzieścia trzy lata, jej los znacząco się pogorszył. Mówiąc obrazowo, zaczęła się staczać po równi pochyłej i z dobrze opłacanej girlaski oraz dziewczyny na telefon spadła do statusu ulicznej dziwki (dziesięć dolców za numerek). A wszystko to z powodu zbytnej miłości do cracku. Adres Brittany zaprowadził Jensena w północną część miasta, do zapuszczonego kompleksu mieszkalnych bungalowów. W mieszkaniu zastał współlokatorkę zamordowanej dziewczyny. Miała na imię Ria i była bladą, małą kobietką, która chyba również przeżywała ostatnio nie najlepsze chwile.

Ku zaskoczeniu Jensena miejsce nie wyglądało jak kompletny chlew. W zlewie oczywiście stały brudne naczynia, kontuary się lepily, podobnie jak stół. Jednakże tapczany, chociaż stare, wyglądały na zadbane, dywan zaś stanowił dziwną fluorescencyjną zieloną tkaninę przywodzącą na myśl astrodarń*, lecz zasadniczo wydawał się czysty. W pomieszczeniach panował zaduch typowy dla ludzi, którzy zbyt dużo czasu spędzają w łózkach.

* Astrodarń — sztuczna nawierzchnia, którą wyklada się boiska obiektów sportowych (na przykład kortów tenisowych).

Ria powitała Jensena i Tłustą Patty w pospiesznie narzuconym szlafroku. Gdy tylko usiadła, rozsunęła jego poły. Pod szlafrokiem

nosiła krótką białą koszulkę, przez którą prześwitywały ogromne silikonowe piersi. Skąpe czerwone koronkowe figi nie zasłaniały zbyt wiele.

„Powiedział Głupi Jasio* do piekarza: pozwól mi spróbować swoich towarów”.

* Głupi Jasio — dziecięcy bohater baśni Hansa Christiana Andersena.

Po sposobie, w jaki dziewczyna popatrzyła na niego, Jensen wiedział, że oceniała go jak kobieta mężczyznę. Wyglądała znajomo. Może kiedyś z nią spał.

Odwrócił się do Patricii Deluki, mając nadzieję, że jego partnerka skończy rozmowę przed świtem. Zadali już rutynowe pytania — Kiedy? Gdzie? Z kim? Ria odpowiadała półsłówkami. Nawet pojedyncze zdania wyraźnie przekraczały możliwości jej mózgu. Pozwoliła im pogrzebać w rzeczach Brittany. Nie było ich wiele. Szafa pełna typowych dla ulicznej dziwki ubrań i butów, w łazience pigułki, narkotyki i mnóstwo prezerwatyw. Żadnych igieł, ale sporo fajek do cracku. Jensen chciał iść do domu, jednak Tłusta Patty nalegała na kontynuację nieformalnego przesłuchania. Wciąż jeszcze była pełnym zapału żółtodziobem... Starła się naprawdę mocno. Jensen nawet ją lubił. Zabawne, ponieważ nigdy przedtem nie „lubił” żadnej kobiety.

Wrócili do salonu. Tym razem Ria postanowiła zdjąć również szlafrok. Patricia zignorowała ostentacyjny negliż dziewczyny i beznamiętnie ciągnęła:

— Chcę tylko uściślić pani słowa, więc proszę o jeszcze kilka minut cierpliwości.

— Ale tylko kilka minut... Jestem naprawdę zmęczona.

— Doceniam pani uprzejmość. Jeśli tylko poświęci nam pani jeszcze chwilę...

— A mam wybór?

Policjantka przekartkowała notes, obserwując nadąsaną twarz Rii — z okrągłych jak spodeczki błękitnych oczu wyciekły dwie czarne od mascary łzy. Dziewczyna farbowała włosy na platynowy blond; kolor ten nie bardzo kontrastował z jej widmową cerą — niezbyt dziwną o

czwartej nad ranem. Na jej policzkach pozostały ślady niedoleczonego trądziku z okresu dojrzewania... Podsumowując: zmarniałe ciało z nienaturalnie wielkimi silikonowymi piersiami.

Korpulentna Patty czuła się przy niej jak okaz zdrowia. Przyglądała obcisły czarny kostium. Większość projektantów mody skupiała się na małych rozmiarach, wśród większych ubrań zdecydowanie królowały workowate brzydactwa. Jak gdyby kobiety przy kości nie miały figur! No cóż, Patricia niewątpliwie miała figurę. Po prostu w bardzo dużym rozmiarze.

— Twierdzi pani, że po raz ostatni widziała Brittany około jedenastej rano?

Ria zapaliła kolejnego papierosa.

— Raczej przed południem... — odparła szeptem. — Tak, koło południa. — Spojrzała na Jensena, później znów na Delucę. — Wstała przede mną. Pamiętam.

— I gdzie była? — spytał Steve. — Gdy pani wstała, gdzie była Brittany?

Kobieta szeroko rozsunęła kolana.

— Już wam mówiłam... po prostu siedziała przy stole z kubkiem kawy.

Ewidentnie pokazywała Jensenowi łono. Zauważył niewielki pieprzyk na udzie. Wyglądał znajomo. Czyżby *déjà vu*? Naprawdę zaczął podejrzewać, że z nią spał.

— Więc piła kawę, tak? — powtórzył. — Zgadza się.

— Może również paliła?

Ria zastanowiła się, po czym kiwnąwszy głową, potwierdziła.

— Co paliła? Crack czy papierosa? — spytała Deluca.

Oczy dziewczyny wykonały kolejny taniec. Zgasiła papierosa.

— Oczekuje pani, że odpowiem na to pytanie?

— Jesteśmy z Wydziału Zabójstw, moja droga, nie z narkotyków.

— Ale jesteście gliniarzami — odpaliła Ria. — To mi wystarczy.

— Kiedy Brittany skończyła palić, co zrobiła? — spytała Patricia. Jej rozmówczyni wzruszyła ramionami.

— Powiedziała mi: „Do zobaczenia”, wstała i wyszła. Koniec opowieści,

— Zwierzyła się pani, dokąd idzie? Jakie ma plany na resztę dnia?

Kobieta potrząsnęła głową.

— Powiedziała nam pani, że Brittany... hmm... pracowała w hotelach — wtrącił Jensen.

— Tak twierdziła. — Ria wzruszyła ramionami. Deluca skupiła wzrok na jej wątych ramionkach „przymocowanych” do wielkich niczym balony piersi i zastanawiała się, czy dziewczynę nie bolą od nadmiernego biustu plecy... — W hotelach, motelach... wszędzie, gdzie się kręci biznes.

— Miała alfonsa? — spytał policjant.

Dziewczyna westchnęła.

— Cóż, właściwie nie wiem o niej zbyt wiele. Dzieliłyśmy ten lokal zaledwie przez dwa miesiące. Było trochę krucho z kasą, więc pomyślałam o współlokatorce. Brittany pierwsza odpowiedziała na ogłoszenie.

— Ale jakoś się dogadywałyście?

— Jasne, a czemu nie? Ona robiła swoje, ja swoje.

— Nie wie zatem pani, czy Brittany miała alfonsa? — Patricia powtórzyła pytanie swego towarzysza.

— Prawdopodobnie знаła paru przydatnych w tej branży facetów.

— Gońców? Krupierów? Kierowników kasyn? Może jakieś wyżej postawione osoby?

— Hmm, początkowo chwaliła się, że zna wiele prawdziwych szych. — Ria podrapała się po kostropatym policzku. — Prawdopodobnie nie kłamała. Widziałam jej stare zdjęcia. Niezła była z niej dupa.

Stare... czyli sprzed dwóch lat. Czy tego typu panienki nigdy niczego się nie uczą?

Patricia zamyśliła się na chwilę nad sobą. Cokolwiek powiedziec o jej figurze, piersi miała jak najbardziej naturalne. Mężczyźni wręcz uwielbiali jej cycki. Choć była puszysta i wydawała się przyciężkawa, nie miała najmniejszych problemów ze znajdowaniem facetów. Wręcz przeciwnie — musiała się niemal opędać od natrętnych adoratorów.

— Miała regularnych kochanków?

Ria rzuciła Jensenowi szybkie spojrzenie.

— Tak, sądzę, że tak.

Patricia błyskawicznie przeanalizowała sytuację. Ciekawe, czy dziewczyna wiedziała, że policjant spał z jej współlokatorką? Hmm... I ciekawe, czy Jensen spał również z Rią. Steve porzucał dziwki równie łatwo jak Patricia kolejne diety.

— Dlaczego się do pani wprowadziła?

— Ponieważ była splukana i nie miała dokąd pójść. Chłopak ją wykopał.

— Chłopak?

— Oczywiście ekschłopak. Nie rozmawialiśmy o nim zbyt dużo, powiedziała mi tylko, że miał paskudne usposobienie i czasem ją bił. Ma na imię Trent i jest krupierem.

— Czy krupier Trent nosi jakieś nazwisko? — spytała Deluca.

— Jestem pewna, że tak, niestety go nie znam.

— Był alfonsem Brittany?

— Nie mam pojęcia.

— W jakich hotelach pracowała?

Ria rzuciła kilka nazw.

— Niezłe adresy — zauważył Jensen.

— O ile jej wierzyć.

— A zdarzało jej się kłamać?

— Nie wiem. Może na początku rzeczywiście pracowała w droższych hotelach. Ale, cóż, popadła w nałóg. Sami wiecie, że w lokalach dla bogaczy... nie toleruje się panienek o paskudnych przyzwyczajeniach.

Jensen podniósł małą plastikową torebkę na kanapki. W jej rogu

tkwiło parę brązowych kryształków. Znalazł je w sypialni Brittany.

— Niewielki zapas jak na narkomankę. Od kogo brała towar? Dziewczyna zamachała ręką i jeszcze szerzej rozsunęła nogi.

— W naszym mieście nietrudno go zdobyć, no nie?

— Gdzie dokładnie kupowała? — spytała cierpliwie Patricia.

— Jeśli nie wiecie, gdzie tym handlują — prychnęła Ria pogardliwym tonem — to kiepscy z was detektywi.

— Wiemy, wiemy... Jednak czy mogłaby pani zawęzić nieco nasze poszukiwania?

Dziewczyna ponownie wzruszyła ramionami.

— Przykro mi, ale nie.

Policjant wymienił znaczące spojrzenia z Delucą.

— Chyba skończyliśmy — oświadczyła Patricia.

Ria wstała.

— No wreszcie. Jest czwarta rano. Środek nocy. — Ruszyła do sypialni, po czym zatrzymała się w drzwiach i odwróciła.

— Wciśnijcie zapadkę i zatrzaśnijcie za sobą drzwi. — Popatrzyła badawczo na policjanta. — Chyba że chcecie się jeszcze trochę tu pokręcić... — Posłała mu lubieżny uśmiech. — Może któreś z was wpadnie na jakiś dodatkowy pomysł.

Jensen odwzajemnił jej się spokojnym, seksownym uśmiechem.

— Nie, nie. Sądzę, że ani ja, ani detektyw Deluca nie mamy więcej pytań. Dziękujemy, że poświęciła nam pani tyle czasu.

Ria spojrzała na niego gniewnie i odrzekła:

— *De nada*, detektywie. To po hiszpańsku: „nie ma za co”.

— Miała niegdyś chłopaka — relacjonowała Patricia przez kómkę. — Krupiera. Zgodnie ze słowami współlokatorki, miał zwyczaj bić Brittany.

— Nazywa się Trent Minors — odparł Poe. — Obecnie rozdaje przy stole w oczko. W kasynie Shakespeare. Mam jego adres. Natychmiast tam jadę.

— Kiepsko skończyła, szefie... Chodzi mi o jej życie... to znaczy,

zanim ją zabito. Spłukana, nieuleczalna ćpunka. Crack. Zresztą podobnie jak ta druga... Ria. Też bierze. Obie takie młode... strasznie to smutne.

Jensen dorzucił w słuchawkę:

— Smutne, lecz prawdziwe.

— Na razie nie ma chyba po co zwoływać narady w biurze. Skończcie robotę papierkową, potem jazda do domu. Sam pogadam z Weinbergiem i powiem mu, co mamy. Spotkamy się ze starym późnym rankiem.

— Gdzie? — spytała Patricia.

— Może w lokalu Myry? — zasugerował Jensen.

— W porządku. U Myry o dziesiątej. — Sierżant sprawdził godzinę. — Będziecie mogli się z pięć godzin przespać.

— Brzmi nieźle — zauważyła Deluca.

— Rzeczywiście — przyznał Jensen.

Poe rozłączył się i pojechał pod adres Minorsa. Dzielnica składała się z małych jednopiętrowych domów oraz tanich apartamentów. Nawet w ciemnościach wyglądała znajomo. Poe na pewno tu wcześniej był. Rozpoznał punkt orientacyjny w postaci płotu z kutego żelaza, który miał charakterystyczne płastugowate zwieńczenia.

Nagle uprzytomnił sobie, że znajduje się zaledwie pięć minut od mieszkania Honey. Po prostu wjechał na ten teren z północy zamiast od południa i dlatego nie rozpoznał go od razu. Przez głowę przemknęła mu myśl o Ruki, która wyraźnie trzymała go na dystans.

Nacisnął pedał gazu, kilka razy skręcił z piskiem w prawo, po czym zaparkował przed budynkiem, w którym mieszkała Honey.

„Hmm... Właściwie czego ta Ruki się po mnie spodziewa?!”, pomyślał wściekle.

„No tak — odpowiedział sam sobie w myślach. — Niczego się po mnie nie spodziewa. W tym właśnie tkwi problem”.

Callgirl nie była zadowolona, że sierżant ją obudził. Włosy miała w nieładzie, powieki ciągle ciężkie od snu. Z ramion zwiślał jej gruby

aksamitny szlafrok, jej stopy zaś tonęły w wielkich kapciach z króliczkami.

— Spadaj — rzuciła na powitanie.

Poe wsunął stopę między drzwi, zanim zdążyła je zamknąć.

— Proszę.

— Może pójdziesz podręczyć Rukmani?

— Obawiam się, że nadal pracuje.

— No cóż, więc połowa łóżka pusta.

Sierżant wepchnął kolano do środka.

— Jesteś okropna.

Zatrzepotała rzęsami i zmrużyła ciemnoniebieskie oczy.

— Wiesz, która godzina?

— Piętnaście po czwartej.

— Ciężka noc, co Rom?

Z rękoma w kieszeniach Poe wskoczył do środka i popatrzył na ściany obwieszane stuletnimi obrazami Audubona.

— W sensie zawodowym, tak.

Honey zamknęła drzwi.

— W sensie zawodowym? To znaczy jako gracz, czy jako gliniarz?

— Na nieszczęście to drugie. — Przekręcił zamek. — Powinnaś zawsze zamykać od środka, Honey. Po to masz zamek.

— Wyglądasz na zdenerwowanego. — Zacisnęła szlafrok na pożądanym biuście. Była prawdziwą cycatką. Mężczyźni za nią szaleli. — Ogólnie źle się dzieje, nieprawdaż?

— Zamordowano dziewczynę nazwiskiem Brittany Newel. Kiedyś była tancerką w Havanie. Ostro ćpała. Crack. Kto wie, co jeszcze. Może również handlowała. Jadę odwiedzić jej chłopaka. Krupier w Shakespearze. Nazywa się Trent Minors.

Callgirl wzruszyła ramionami.

Sierżant wyjął skradzione zdjęcie Brittany.

— Tak przy okazji, znałaś tę dziewczynę?

Kobieta patrzyła przez moment na fotografię, w końcu potrząsnęła głową.

— Nie.

Milczeli przez kilka minut. Nieoczekiwanie Honey westchnęła.

— W porządku. Chodź, siadaj na tapczanie.

Poe natychmiast posłuchał. Stała przed nim, potem opadła na kolana. Rozsunęła mu nogi, rozpięła spodnie i zabrała się do pracy. W pięć minut później, gdy robiła kawę w kuchni, poczuła, jak policjant otacza rękoma jej talię od tyłu i całuje w szyję.

— Dziękuję ci — powiedział.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparła. — Jesteś bardzo dobry, wiesz?

— Dobry? — Poe był wyraźnie zakłopotany. — Chciałaś powiedzieć: „szybki”?

Roześmiała się głośno i odsunęła od niego. Po chwili odwróciła się ku niemu z termosem pełnym kawy.

— I robię to za darmo?

— Prawdopodobnie. — Sierżant potarł oczy. — Muszę wracać do pracy.

— Biedny Romulus.

Poe wyciągnął portfel. Honey położyła rękę na jego dłoni.

— Nie musisz.

— Ależ muszę. — Sierżant wyjął studolarowy banknot. — Szczycę się tym, że zawsze płacę swoje rachunki.

Dziewczyna niechętnie przyjęła franklina.

— No cóż, męska duma to dla mnie świętość.

Policjant wyjął zdjęcie Brittany i jeszcze raz pokazał kobiecie.

— Popatrz na nią, Honey. Nie wygląda znajomo?

Callgirl sapnęła.

— Rom, to tylko jedna z wielu twarzy w tłumie.

— Tańczyła w Havanie...

— Już to mówiłeś. — Rozdrażniona, odsunęła zdjęcie. — Naprawdę jej nie znam.

— Nie wkurzaj się. Musiałem zapytać. — Po sekundzie dodał: — Wiesz, jak to jest. Młode dziewczyny pracują dla dziwnych facetów. Po co inne mają zostać... skrzywdzone.

Popatrzył na nią znacząco. Wytrzymała jego spojrzenie.

- Wiem, co robię.
- Jesteś bardzo ponętą kobietą. Po prostu dbaj o siebie.
- Zawsze to robię. — Złagodniała i pocałowała go w nos. — Powodzenia i dobrej nocy.

Cicho zatrzasnął za sobą drzwi. W chwilę później usłyszał głośne kliknięcie zamka. Pomyślał o okaleczonej twarzy zamordowanej ślicznotki... Dobrze, że Honey poważnie potraktowała jego przestrożę.

Rozdział piąty

Mieszkanie mężczyzny było typowe i tanie, lecz czyste i zadbane; na ścianach wisiały reprodukcje świadczące o dobrym guście — kubi-styczne kompozycje i portretowe szkice. Poe spoglądał to na ściany, to na Minorsa nerwowo przemierzającego dywan. Krupier założył szarą bluzę i džinsy, zapomniał jednak o butach. Miał włochate stopy, twarz pociągłą, o regularnych rysach — z wyjątkiem ust: wąskie, zacięte wargi nadawały mu niesympatyczny wygląd. Chcąc przerwać niekończący się spacer swego gospodarza, sierżant poprosił o kawę. Minors zaparzył płyn równie gorzki jak jego nastrój.

— Nie mogę uwierzyć — mruczał gniewnie — że Brittany tak marnie skończyła. — Zamyślił się. — Oczywiście, nie chcę przez to powiedzieć, że zasłużyła na taką śmierć, ale...

— To dobrze, że pan tak nie myśli.

Minors poczerwieniał, spojrzął na swoje stopy.

— Jest pan pewien? Że to faktycznie... ona?

Poe nie odpowiedział od razu, przez jakiś czas jeszcze sączył nędzną kawę. Później zabębnił palcami o kubek. Rzeczywiście... to było dobre pytanie. Newel znaleziono nagą, bez portfela, w dodatku pół twarzy miała zmasakrowane. Jednak drugą połowę można było zidentyfikować — niewątpliwie pasowała do kobiety, której zdjęcie zwinął w Havanie.

— Dokonałiśmy — odezwał się w końcu — przedwstępnej identyfikacji...

— Czyli że nie jest pan pewny?

— Kontynuujemy rozmowę, jakbyśmy mieli do czynienia z ciałem Brittany Newel. — Odstawił kubek. — Chyba jest pan na nią bardzo wściekły. Dlaczego?

Minors zacisnął usta, aż zrobiły mu się zmarszczki na policzkach.

— Wściekły? Ależ skąd. Nie widziałem jej od miesiący.

Sierżant wyjął notes.

— Wie pan... To normalne, ja też się czasem gniewam na ludzi, których nie widziałem od lat. Rozstaliście się w przyjaźni?

— Hmm... Powiem tylko, że jestem szczęśliwy z powodu naszego rozstania.

— Dlaczego się rozstaliście?

— Traciła kontrolę.

— Narkotyki?

— A niby co innego?

— Jak długo brała herę?

— Dla mnie wystarczająco długo, abym powiedział jej: „żegnaj”.

— Kiedy zaczęliście się spotykać, już ćpała?

Minors osunął się na krzesło niczym zwiędły kwiat.

— Nic mocniejszego.

— Trawka?

— Sporadycznie.

— Co pchnęło ją w stronę twardych narkotyków?

— A któż to może wiedzieć? — mruknął krupier. — Żyjemy w przeklętym mieście, które połyka ludzkie żywoty na śniadanie i prosi o więcej.

— Robiła panu numery? — spytał Poe.

— Można to tak ująć — odrzekł Minors.

— Dlatego ją pan bił?

Krupier spurpurowiał.

— Nie biłem jej...

— Podobno waliłeś ją równo, Trent. Oszczędź mi czasu i nie graj świętoszka, okej?

— No może parę razy się wkurzyłem...

— Parę razy? — Policjant popatrzył na niego z powątpiewaniem.

— To które z was tak naprawdę zaczęło tracić kontrolę?

— Nie wygarniałem jej, że jest kurwą, rozumie pan?! — wyrzucił z siebie Minors. — Jasne?!

Poe polizał wargi i postukał długopisem w notes.

— A niby dlaczego nie czynił jej pan z tego powodu wyrzutów?

Krupier odpowiedział z całkowitym spokojem:

— Ponieważ zawarliśmy porozumienie.

— Jakiego rodzaju?

Pytanie wyraźnie zaniepokoiło mężczyznę.

— No, że nie będziemy sobie wzajemnie wchodzić w paradę. Każde miało swoje sprawy.

— Swoje sprawy — powtórzył wolno sierżant. — Ma pan na myśli sprawy prywatne czy zawodowe?

— I takie, i takie.

— Czyli, że pozwalał pan jej się kurwić, ponieważ przynosiła pieniądze?

— To był jej wybór, sierżancie! — wybuchnął Minors. — Jej biznes, jej forsa. Nie miałem z tym nic wspólnego. Nie byłem jej alfonssem, okej?

— Jednak wiedział pan, czym się zajmowała.

Krupier milczał.

— Skoro miał pan tyle zrozumienia dla jej pracy, Trent, dlaczego ją pan grzmocił?

— Kto panu naopowiadał tych głupot?

Policjant zignorował jego pytanie.

— Bił pan ją, ponieważ uważał, że zatrzymywała dla siebie pieniądze?

— Mówiłem już, że nie byłem jej alfonssem!

— Kto w takim razie nim był?

Mężczyzna ciężko westchnął.

— Twierdziła, że bywa w hotelach.
— W Havanie?
— We wszystkich. — Z trudem przelknął ślinę. — Kręciła się po mieście.

— I nic to pana nie obchodziło?

— Tego nie twierdzę — jęknął Minors. — Powiedziałem tylko, że wiedziałem, jak zarabia i nie próbowałem się wtrącać.

— Możemy wrócić do mojego pierwszego pytania? — naciskał Poe. — Skoro pan wiedział o jej kurestwie i wykazywał pan tyle zrozumienia... dlaczego ją pan bił?

Krupier nie odezwał się. Sierżant zaczął się zastanawiać, co tamten ukrywa.

— Może zaprzyjaźniła się z kimś innym, co, Trent? — spytał w końcu.

Jego rozmówca zeszywniał.

— Hej! To ja ją wykopałem. Miałem jej dość...

— Wówczas, gdy się pan dowiedział, że skumała się z kimś innym... Z kim?

Mężczyzna gwałtownie zerwał się z miejsca.

— Nie muszę z panem rozmawiać...

— Siadać! — warknął policjant. Energicznie odstawił kubek na ławę. — Niech się pan przestanie zachowywać jakby... miał pan coś na sumieniu.

Zapanowała długa cisza. Krupier w końcu usiadł.

— A zatem Brittany poznała kogoś — oświadczył sierżant z przekonaniem. — Niech mi pan powie, o kogo chodzi, a obiecuję, że nie zawlokę pana na posterunek na przesłuchanie. Ułatwi mi pan w ten sposób życie... No i nie muszę nikomu mówić, że dostałem tę informację od pana.

Minors odchrząknął.

— Zaprzyjaźniła się z szefem.

Poe odczekał sekundę. Czyżby mężczyzna miał na myśli szefa kasyna z Havany?

— Mówi pan o Peterze Delatorre?

- Nie mówię o Havanie. To był ktoś znacznie potężniejszy.
- Krupier wycelował kciuk w sufit. — Stał wyżej w hierarchii.
- Szef całego hotelu...
- Jeszcze wyżej.

Sierżant starał się zachować spokój.

— Skończmy tę zgaduj-zgadulę, Trent. Muszę znać nazwisko tego człowieka.

— Co pan powie na Parkera Lewistona?

Policjant z wrażenia aż otworzył usta, ale natychmiast się opanował. Do Parkerboya należała połowa Las Vegas. Miliarder gustował zazwyczaj w kobietach nieco starszych od Brittany Newel — mniej więcej dwudziestopięcioletnich — i o niebotycznie wyższej klasie niż zabita. Do jego pańienek należała kiedyś Honey. Zanim zrezygnował z jej usług, nieźle ją zresztą zabezpieczył. Podarował jej mieszkanie i płacił roczną pensję. Czyżby coś mu się nie spodobało w Brittany? I, co najważniejsze, czym właściwie taka tania dziwka zwabiła Lewistona?

Milczenie przeciągało się.

Istniała oczywiście możliwość, że — parafrazując wypowiedź Virginii Hill na temat HUAC* — Newel (w swoim szczytowym okresie) była najlepszą obciążarką w Ameryce.

* HUAC (House of Un-American Activities Committee) — Komisja do Badania Działalności Antyamerykańskiej pod przewodnictwem senatora Josepha McCarthy'ego; w latach czterdziestych i pięćdziesiątych prowadziła przesłuchania pisarzy oraz osób związanych z filmem pod kątem sprzyjania komunizmowi; wpisanie artysty na tzw. „czarną listę” w praktyce oznaczało zakaz zatrudnienia.

— Trudno uwierzyć, co? — Minors zrobił się zgryźliwy. — Brittany i Parkerboy.

— Tyle że Lewiston dba o swoje kobiety, Trent.

— Mówiłem już panu, że Brittany zaczęła tracić kontrolę!

Parkerboy rzeczywiście nie tolerował jakiegokolwiek niesubordynacji ze strony swoich dziewczyn, jeśli jednak któraś się zbuntowała, odsuwał ją od siebie i... żyła sobie dalej, szczęśliwa i zadowolona. Po popatrzył podejrzliwie na swego rozmówcę.

— Rzuciła mi to bez przerwy w twarz — kontynuował Minors wysokim, żalonym głosem. — „Ciągłe mnie bijesz”. — Naśladował jej ton. — „Chyba nagadam na ciebie Parkerowi”.

— Ale nigdy mu nic nie powiedziała. Ponieważ gdyby szepnęła choć słówko, miliarder błyskawicznie wykopałby pana z Vegas na drugi koniec Stanów. — Sierżant odczekał chwilę. — Nieźle była zaćpana w chwili śmierci. Skąd brała towar?

Krupier wzruszył ramionami.

— Może od Lewistona.

— Nie, skoro ją odsunął.

— W takim razie nie wiem.

— Mówiła panu, że dostawała crack od Lewistona?

— Taaa — mruknął, po czym dorzucił z gniewem: — To Parker-boy zamienił ją w to, czym jest dzisiaj.

— W zwłoki?

Twarz Minorsa zrobiła się szkarłatna.

— Nie, wcale nie mówię... — zająknął się. — Nie twierdzę, że Lewiston miał coś wspólnego z...

— Niech się pan przestanie pocić, Trent. Lewistona nie ma tu z nami.

Mężczyzna nerwowo spojrzął przez ramię.

— Chcę tylko powiedzieć, że... no cóż, póki się z nim nie związała, nie używała twardych narkotyków. Przez niego stała się wiecznie zaćpaną dziwką.

Policjant zauważył, że Minors obniżył nieco głos. Jakby ściany miały uszy! Może i miały.

Zamierzała udawać, że śpi, lecz Steve dostrzegł jej otwarte oczy.

— Jeszcze nie śpisz, kochanie? — zagruchał.

Nie odpowiedziała. Usiadł na krawędzi łóżka i poluźnił krawat. Kątem oka zobaczyła, że mąż opuszcza rękę. Zaczął głośno głąskać jej ramię. Natychmiast jej ciałem wstrząsnęła fala odrazy. Tym razem jednak Alison postanowiła nie cofać się przed jego dotykiem.

„Niech myśli, że sytuacja się poprawia”.

Jensen dalej pieścił żonę.

— Nie obudziłem cię, prawda?

Zaprzeczyła potrząśnięciem głowy.

— Kolejna paskudna noc, kochanie?

„Wszystkie moje noce są paskudne”, odparła mu w myślach.

— Nic mi nie jest — wyszeptła.

Jensen zerknął na zegarek. Była piąta rano. Niechętnie przerwał pieszczotę. Wstał i zdjął koszulę.

— Na dworze jest okropnie. No i znaleźliśmy ciało na pustyni. Sporo papierkowej roboty... Oto, co mi zabrało tyle czasu.

Skinęła głową.

— Sprawa jest... trudna. To chyba właściwe określenie. Nie żebym się szczególnie przejmował... Po prostu jakaś dziwka poszła za niewłaściwym facetem... Najwyraźniej.

Zauważył, że mimowolnie ściska koszulę, wbijając się paznokciami w materiał. Miął ją spoconymi dłońmi... Zwalczył podenerwowanie i spróbował się uśmiechnąć.

— Zapomnij o tym, co powiedziałem, Alison. Wymknęło mi się. Czasami plotę bez zastanowienia.

Nie odezwała się.

Wiedziała, że Steve chce porozmawiać, zrzucić z siebie choć część swoich zmartwień. Dusił je w sobie zbyt długo. I ciągle obwiniał siebie o chorobę żony. Niemądry! Przecież Alison zaczęła chorować, zanim mąż zaczął ją oszukiwać.

Tyle że wtedy lepiej skrywała swoje nastroje. A jednak była pewna, że Steve coś podejrzuje.

Gdy się pobrali, miała dwadzieścia lat, on zaś trzydzieści dwa. Przypomniała sobie zdjęcia ze ślubu. Stanowili taką ładną parę. Ilekroć patrzyła w lustro, czesząc włosy, przypuszczała, że nadal dobrze razem wyglądają.

Jensen odciągnął nieco pościel na łóżku.

— Ciągle masz na sobie szlafrok, kochanie.

— Jestem zbyt leniwa, by go zdjąć — odparła szeptem.

— Chyba nie jest ci wygodnie...

— Wszystko w porządku...

— Jest bardzo gruby, Alison — nalegał mąż. — Przyniosę ci jedwabną koszulę, dobrze? Mówiłaś, że tak przyjemnie pieści twoją skórę... Chcesz purpurową czy różową?

— Może być różowa.

— Hej, ja też ją lubię. — Uśmiechnął się słabo. — W różu wyglądasz naprawdę wspaniale, kochanie.

Zdjęła nogi z łóżka. Już miała wstać, gdy Steve po rycersku wyciągnął do niej rękę.

— Pomogę ci.

Tym razem strąsnęła jego rękę. Wyprostowała się, po czym spojrzała mu w oczy.

— Nie jestem inwalidką.

Przybrał nieszczęśliwą minę.

— Oczywiście, że nie, Alison. Nie miałem na myśli...

— Nic się nie stało.

Jej głos brzmiał bardziej szorstko, niż pragnęła.

— Przepraszam, kochanie. Znasz mnie. — Kolejny słaby uśmiech.

— Po prostu uwielbiam się tobą opiekować.

Poczuła wilgoć w oczach, lecz nie chciała, żeby zobaczył jej łzy. Nie mogła sobie na nie pozwolić. Aby odwrócić jego uwagę, niezauważalnym ruchem podczas wstawania strąsnęła z siebie szlafrok i stanęła przed Steve'em wyzywająco naga. Pozwoliła mu podziwiać swe zgrabne ciało.

Mężczyzna aż się zasapał. Przez chwilę łączywie chwycił powietrze.

— Na Boga, jesteś piękna jak anioł — wyszeptał. Odwróciła wzrok, następnie śmiało spojrzała mu w oczy. Nawiązali kontakt wzrokowy. Mąż ostrożnie podszedł do niej.

— Naprawdę... przepiękna.

Zrobił kolejny mały krok. Ciągle nie uciekała.

— Piękno... wcielone.

Znalazł się już tak blisko, że mógł jej dotknąć. Wyraźnie jednak brakowało mu odwagi. Oboje czekali.

— Mogę cię pocałować? — spytał w końcu Jensen.

Pokiwała głową.

Niemal nie wierzył we własne szczęście! Pocałował ją. Nie zeszywniała.

— Kocham cię — szepnął.

Nie odpowiedziała.

— Bardzo cię kocham. — Powoli otoczył ramionami jej ciało i przyciągnął ją do swej nagiej piersi. — Tak bardzo... och, tak bardzo cię kocham.

Nadal tkwiła w jego ramionach.

Ostrożnie pociągnął ją na łóżko.

Już wcześniej zdecydowała, że tym razem dopuści go do siebie. Ponieważ z powodu zwłok na pustyni... naprawdę cierpiał. I ona o tym doskonale wiedziała, nieprawdaż?

Jak zwykle szczytowała już mniej więcej po pięciu minutach. Steve doszedł w kilka minut później, omdlewając z zachwytu i słów miłości. Jakże piękna jest jego żona i jak żywo reaguje!

Pomyślała, że „żywa” reakcja jest przyjemna. Jednak orgazm nigdy nie wydawał jej się celem stosunku, a jedynie jego rezultatem.

No cóż, tak czy owak, teraz jej ciało wypełniło się jego spermą.

W ten sposób Alison zyskała wspaniałą wymówkę, by wstać i pójść się umyć.

Rozdział szósty

— Według komputera matka Brittany Newel mieszka w Ohio. — Weinberg postawił kubek z czarną kawą. — Zadzwoniliśmy pod jej numer, ale został czasowo wyłączony. Lichy efekt jak na tyle zachodu, by dopchać się do serwera waszyngtońskiej bazy danych.

Porucznik łypnął zza okularów. Właściwie potrzebował

dwuogniskowych, lecz stale był zajęty i nie mógł znaleźć czasu na umówienie się z okulistą. Obniżył okulary i popatrzył przez stół na troje swoich detektywów. Niezły zespół... i bardzo zmęczony.

Podwinął rękawy białej koszuli i poluźnił krawat. Przy wyłączonym wentylatorze było strasznie duszno. Mokre zakola znaczyły pachy Weinberga, pot zrosił kropelkami jego łysą głowę. Zastanawiał się, kiedy wreszcie jego żona Myra zamierza włączyć urządzenie!

— Nic nie wiadomo o ojcu — podjął. — Podsumowując, formalnej identyfikacji Brittany będzie musiał dokonać ktoś tutejszy. Najlepszym kandydatem wydaje mi się ten jej eksprzyjaciel. Rom, idź, zadzwoń po niego... Rom, jesteś z nami?

Poe natychmiast otworzył oczy.

— Jestem, jestem.

Porucznik podsunął mu kubek z kawą.

— Pij.

Sierżant podniósł kubek, wypił łyk, po czym zabębnił palcami o blat.

— Jest mleko?

Krzyk Weinberga odbił się echem w pustej restauracji.

— Myro, moglibyśmy dostać trochę mleka do kawy? I może też coś do jedzenia? Ci fantastyczni przedstawiciele prawa muszą się dobrze odżywiać.

— Piekarnik jeszcze się nie nagrzał — odpowiedział głos z kuchni.

— Może coś z patelni? — zawołał porucznik.

— Jeśli chcecie, mogę wam przygotować kilka omletów z farszem.

Weinberg zerknął pytająco na swoją ekipę.

— Mogą być omlety?

— Brzmi świetnie. — Jensen uświadomił sobie nagle, że jest strasznie głodny.

— Zjem cokolwiek — dodała obojętnie Patricia.

Ktoś dobijał się do zamkniętych szklanych drzwi frontowych. Porucznik popatrzył w ich kierunku i wrzasnął:

— Jeszcze zamknięte! — Zaczął pokazywać coś rękoma. — Otwieramy dopiero o jedenastej. — Podniósł dziesięć palców, odczekał, po czym podniósł palec wskazujący. — O jedenastej!

— Zmarszczył brwi i wymamrotał pod nosem: — Tłumoki, nie rozumieją na migi, czy jak?

Poe nadal popijał cierpką kawę.

— Mówił pan coś do mnie, poruczniku?

— Tylko tyle, że przydzielam ci zadanie dostarczenia do kostnicy chłopaka Brittany Newel, Trenta Minorsa. Niech ostatecznie zidentyfikuje ciało.

— Ma zidentyfikować Brittany w jej obecnym stanie?

— W jakim stanie, Poe? Jest przecież martwa.

— Poruczniku, dziewczyna wygląda potwornie. Połowę twarzy i ciała obdarto jej ze skóry. Lewe oko zostało wydlubane...

Nagle przerwał.

— Co? — spytał Weinberg.

Sierżant zamrugął.

— Nic.

— Daruj sobie gierki, o co chodzi?

— Cóż, coś mi przemknęło przez głowę.

— Więc łaskawie podziel się ze mną tą myślą, Poe.

— Hmm... Nazwałbym to przebłyskiem *déjà vu*. — Zawahał się.

— Gdy byłem dzieckiem, toczyła się taka sprawa... brzydkie, paskudne morderstwo... może nawet więcej niż jedno, nie pamiętam zbyt dokładnie. W porównaniu z dzisiejszymi standardami... z mordercami, takimi jak Jeffrey Dahmer czy John Wayne Gacy... tamtego można by nazwać całkiem zwyczajnym. Tyle że byłem dzieckiem, więc dla mnie... Zresztą, wszyscy czuli się straszliwie przerażeni, krążyła osobliwa plotka o nadnaturalnym pochodzeniu sprawcy... Facet wydawał nam się potworem rodem z nocnych koszmarów. I tak go nazywaliśmy. Koszmar. Przez jakiś czas terroryzował całe miasto.

— Które miasto? — spytała Patricia.
— Nasze. Las Vegas.
— Nie pamiętam takiej sprawy — zauważył Weinberg.
— Prawdopodobnie nie było pana jeszcze tutaj, poruczniku. Zdarzyło się to mniej więcej ćwierć wieku temu.
— Byłem tu od dobrych dziesięciu lat wcześniej.
— Hmm... Może sprawa nie dotarła na Pas. Władze skutecznie utajniły przecież testowanie bomby atomowej, zapewne więc równie bezproblemowo zatuszowały kilka morderstw. Ale na przedmieściach. .. — Uniósł brwi. — Panowała prawdziwa nerwowość.

— Pamiętasz szczegóły? — zainteresował się Jensen.

Ciałem Poego wstrząsnął nagły dreszcz. Przypominał sobie tyle drobiazgow, które zdarzyły się w dzieciństwie... Tak, pamiętał je bardzo dokładnie.

— Krążyły plotki. Prawdopodobnie niezgodne z prawdą... Ludzie mówili, że zabójca bezcześci zwłoki. Że wylupuje ofiarom oczy...

— Dla wszystkich omlety? — zaszcebiotała w tym momencie Myra i postawiła pośrodku stołu talerz ze wspaniałymi omletami nadziewanymi *pastrami**, salami i wędzonym indykiem. Duże kawałki mięsa w cielistym kolorze owinięte drżącym niczym galareta jajkiem.

* *Pastrami* — płaty wędzonej wołowiny.

— Wszyscy zauważyli — mruknął ironicznie Jensen — że jajka przypominają z wyglądu trzewia?

Jego towarzysze aż jęknęli z niesmaku.

Myra bezceremonialnie postawiła na stole cztery talerze, sztućce oraz karton mleka Mocha Mix, po czym z gracją oparła na biodrach pokryte błękitnymi żyłkami dłonie. Miała krótkie i nieskalanie czyste paznokcie, około pięćdziesięciu pięciu lat, orzechowe oczy, krótkie, siwe włosy przycięte w stylu księcia Valianta. Jej okrągła, otwarta twarz wyrażała obecnie strapienie. Kobieta nosiła białą koszulę, szarą spódnicę i biały kucharski fartuszek. Na nogach miała tenisówki.

— Spróbujcie tylko grymasić, to pocałujecie klamkę z drugiej strony — rzuciła żartobliwie.

— Na moje oko wygląda nieźle. — Jensen nałożył sobie łyżką sporą porcję na talerz. — A jak się lepiej przyjrzyć, wygląda wspaniale. Dzięki, Myro. Umieram z głodu.

Kobieta uśmiechnęła się ciepło.

— Jeszcze kawy, Steve? Soku pomarańczowego?

— Najchętniej jedno i drugie. Dzięki.

Weinberg rozstawił pozostałe naczynia.

— Częstujcie się.

Patricia zerknęła na aromatyczny przysmak. Wprawdzie zamierzała zjeść tylko tosta, ale może lepiej zjeść małą porcję jajek? Zastanowiła się. Po prawdzie, nie jadła nic od wczorajszej kolacji, a było już w pół do jedenastej. Z drugiej strony jednak, całe to salami i pastrami... Tony tłuszczu i kalorii! I jak tu przestrzegać diety... skoro wszyscy przysięgli się przeciw niej?

Poe nalał sobie mleka do kawy.

— Wiesz co, Myro? Psujesz nas.

— Ona wszystkich psuje. — Porucznik napił się kawy. — W naszym domu nie zamykają się drzwi. Panuje taki ruch, że chyba zaczę sprzedawać bilety wstępu.

— Wszyscy kochają Las Vegas — zauważyła jego żona.

— Wszyscy kochają świetne i do tego darmowe posiłki — poprawiła ją Patricia.

— Właściwie to ujęłaś, Deluca. Stale odwiedzają nas jacyś krewni. Ludzie, o których istnieniu Myra dotąd nawet nie wiedziała, a już na pewno nigdy ich nie spotkała. — Weinberg rzucił żonie czułe spojrzenie. — Lecz ona mimo to ich u nas gości.

— Tak... na wszelki wypadek — odparła kobieta.

— Na wypadek czego? — spytał Jensen.

Myra popatrzyła na niego i wzruszyła ramionami.

— Jakby ten gest coś wyjaśniał — gderał Weinberg. — Zamierzasz kiedyś włączyć wentylator, Myro?

— Tak, rzeczywiście jest trochę duszno. — Nałożyła mężowi na talerz omlet. — Jedz, Mick, nim będzie zimne. Zrobię jeszcze tosty. —

Odchodząc, poklepała mężczyznę pieszczotliwie po głowie.

Weinberg wyjął z kieszeni spodni jarmułkę i nałożył ją na łysą czaszkę.

— Właściwie — zwrócił się do sierżanta — co ci przypomniało tę sprawę sprzed ćwierćwiecza? Wydlubane oko?

— Prawdopodobnie.

— Czy to prawda? — spytała Patricia.

— Zapewne — mruknął Poe i zmienił temat. — Szefie, wydaje mi się, że Trent Minors ma dziś zmianę od południa do północy. Spróbuję go dopaść, zanim wyjdzie do pracy.

— Dobry pomysł. Chciałbym też, żeby któreś z was wróciło na miejsce zbrodni i przeczesało je raz jeszcze za dnia. Posłałem tam już mundurowego. Miał pilnować terenu. Im szybciej ktoś tam dotrze, tym lepiej.

— Czego powinniśmy szukać? — spytał Jensen.

Weinberg głośno przeżuł twardy kawałek *pastrami*.

— Zamordowaną znaleziono nagą od pasa w górę. Trzeba by się rozejrzeć za bluzką... Brakowało też butów... i portmonetki. — Popił śniadanie kubkiem wody. — Ubiegłej nocy była burza. Wiatr mógł rozwiać jej rzeczy po całej okolicy.

— O ile zabójca porzucił ubranie razem z ciałem — zauważył sierżant.

— Myśli pan, szefie, że zabójca zatrzymał jakieś trofeum? — zapytała Patricia.

— Niewykluczone. Jednak... Małe prawdopodobieństwo, że zatrzymał wszystko. Znaleźliśmy przecież tylko nagie ciało. Gdzieś muszą być rzeczy. Bez aluzji...

Dźgnął kawałek wędzonego indyka i przeżuł go w zadumie.

— Patricio, chcesz tam pojechać?

— Pojadę.

— A co ze mną? — spytał Jensen.

— Ciągłe jeszcze nie wiemy, jak Brittany spędziła ostatnie godziny — odparł Poe. — Ktoś powinien się zabrać za przeszukiwanie barów...

— Nie lepiej zrobić to w nocy, sierżancie?

Poe skinął głową.

— Wtedy również możesz się tam pokręcić. Skoro jednak Brittany upadła tak nisko, myślę sobie, że może pracowała na ulicy także w dzień. Ktoś powinien sprawdzić Nagie Miasto.

— Biorę to zadanie — zadeklarował się Jensen.

— Myślałam, że masz bilety do MGM na koncert dinozaurów rock'n'rolla — powiedziała Patricia.

— Dałem... Oddałem je. — Jensen westchnął. — Alison nie czuje się dobrze.

Przez moment nikt się nie odzywał.

— A może zrobmy tak? — Sierżant przerwał pełną napięcia ciszę.

— Oboje obejrzyjcie miejsce zbrodni, potem niech Patricia przeczesze bary, Steve zaś może pogadać z boyami hotelowymi. Myślę, że chłopcy otwierają się łatwiej przed mężczyznami.

„Poza tym Steve ma tam wiele osobistych kontaktów”, dodał w myślach.

— Świetnie — odparł Jensen.

— Co robisz po identyfikacji, Rom? — spytał Weinberg.

— Przyszło mi do głowy, żeby porozmawiać z doktor Kalii. Chciałbym poznać przyczynę śmierci Brittany. I dowiedzieć się, czy została obdarta ze skóry żywcem...

— Dobry Boże, czy ten poziom szczegółów jest naprawdę konieczny? Wiem, wiem... — Patricia nałożyła sobie kolejną porcję omlęta. — Tak, oczywiście, jest konieczny. Musimy wiedzieć, czy facet jest sadystycznym zabójcą, czy może tylko patologiem-amatorem. Ktoś zauważył, czy ciało ma rany klute albo dziury od kul?

— Było ciemno, Deluca — odparował oschle Jensen.

„A poza tym — pomyślał Poe — stary Steve rzygał jak pies”. Odzrekł jednak:

— Ja również nie potrafię ci odpowiedzieć na to pytanie. Ale spytam Rukmani. Po co mamy szukać po omacku. Łusek, noża czy, diabli wiedzą, czego jeszcze. To nam ułatwi lustrację.

— No dobra, mądrale, a wiecie już może przypadkiem, czy morderstwa dokonano w miejscu, gdzie znaleźliśmy zwłoki? — spytał Weinberg.

— Co do mnie, nie zauważyłem dużej kałuży krwi — odparł Jensen, po czym dodał: — O ile byłaby jakaś. Ubiegłej nocy naprawdę ostro wiało.

— Piasek pustyni działa jak naturalna gąbka — zauważył sierżant. — Powierzchniowy żwirek błyskawicznie wchłania krew. Nie zostaje nawet ślad.

— No tak — odparował Weinberg — lecz jeśli krwi było sporo, mogła się przesączyć przez żwir i być może zalega kilka centymetrów niżej, w gliniastym podłożu.

— Czyli, że mam przeryć piasek, tak? — mruknęła niechętnie Patricia.

Poe ponownie zabębnił palcami o blat.

— Nie zapomnieliśmy o kimś? — spytał.

— No tak, o Lewistonie — przyznała policjantka.

— Co mamy z nim zrobić, szefie?

— Za wcześnie na przesłuchanie.

— Ale on ją pieprzył, szefie.

— Rom, to była prostytutka. Lewiston jest ekscentrycznym bogaczem, który prawdopodobnie przeleciał trzy czwarte dziewczyn z naszego miasta. Kiedy policzysz, ile razy każde z nich z osobna się pieprzyło, wyjdzie ci, że musieli się spotkać. To nic nie znaczy.

— Moim zdaniem, Parkerboy stanowi ważne ogniwo w sprawie — odparował sierżant. — Mógłbym pójść do niego pod pretekstem prośby o pomoc.

— Nie przełknij takiej bzdury. Lewiston nic ci nie powie bez nakazu.

— Szefie, gdyby Brittany była utrzymanką przeciętnego obywatela. ..

— A skąd pewność, że Lewiston w ogóle ją znał? Dziewczyna była dziwką. To notoryczne mitomanki. W dodatku bazujesz na słowie jej sfrustrowanego ekschłopaka.

— No to kontrolnie zagadnę o nią Parkerboya. Sprawdzimy, czy wyprze się znajomości z dziewczyną.

Zaległo milczenie.

W końcu Weinberg ustąpił.

— W porządku. Gdy skończysz identyfikację, porozmawiasz z doktor Kalii i obejrzysz miejsce zbrodni, spróbuj się z nim skontaktować. Ale nie obiecuj sobie za wiele po tym spotkaniu.

Jensen uśmiechnął się z wyższością.

— Tylko szukasz wymówki, żeby pojechać do Laredo. Stoliki bez ograniczeń stawek, pełnia szczęścia.

Poe odpowiedział mu złośliwym uśmiechem. Jednak oskarżenie było prawdziwe. Steve znał jego słabości. Sierżant zaś znał ze szczegółami dziwaństwa Jensena... aż po kolor oczu jego kurewek.

Niestety, żaden z nich tak naprawdę nie znał Alison.

Rozdział siódmy

— Jeśli zapytasz mnie o szczegóły, nie odpowiem ci. Nie mam jeszcze nic konkretnego. To musi potrwać, Romulusie.

Rukmani mówiła poprzez białą papierową maseczkę na usta i nos. Z opuszczoną głową wpatrywała się w otchłań tkanek i trzewi. Za pomocą jakiegoś metalowego instrumentu badała coś czerwonego i gąbczastego. Godzinę temu Trent Minors wymiotował nad twarzą Brittany. Teraz patolog dosłownie zredukowała młodą dziewczynę do ciała i kości.

Rukmani znowu się odezwała... raczej coś wymamrotała. Poe ledwie ją zrozumiał.

— Możesz zrobić sobie przerwę?

— Przerwę?

— Tak. Na przykład na kawę. Albo na herbatę.

Podniosła wzrok, po czym przykryła ciało brezentem.

— Przeszkadza ci ten zapach? — spytała.

— Trochę. — Strzelał palcami, rozglądając się po stalowym pokoju do autopsji. Wreszcie ramieniem otoczył Rukmani ubraną w chirurgiczne błękity. Wyglądała jak pozbawiona tlenu mumia. — Trudno tu rozmawiać — dorzucił.

— Daj spokój. — Odwiązała maskę, zdarła rękawiczki. — Ale tylko na pięć minut. Nie lubię zostawiać moich zwłok bez opieki.

— Dziękuję. — Pocałował ją w policzek, który śmierdział formaldehydem.

Razem wsiedli do dwuosobowej windy dla personelu.

Wyłącznie dla personelu!

Jak gdyby kostnica rola się od zwiedzających...

Pojechali na trzecie piętro. Biuro lekarki znajdowało się od razu po prawej. Było mniej więcej rozmiaru trumny, lecz posiadało drzwi, które można było zamknąć na klucz. No i należało tylko do niej. Standardowe wyposażenie biura stanowiło biurko i para krzeseł. Ściana z półkami na książki zawierała medyczne tomy i zdjęcia dwójga dorosłych dzieci Rukmani — dwudziestopięcioletniej Shoby, studentki drugiego roku Harvard Medical School oraz dwudziestosiemioletniego Michaela, stażysty na oddziale radiologicznym w Barnes Hospital w St. Louis.

Lekarka wyszła za mąż jeszcze w rodzinnym kraju. Syna urodziła w dwa tygodnie po swych szesnastych urodzinach. Przedwczesna śmierć jej dużo starszego męża, z zawodu handlowca, tajny składzik oszczędzonych na „czarną godzinę” pieniędzy i paru amerykańskich krewnych umożliwiło jej nowe życie w Stanach. Tu nie osądzano jej ze względu na przynależność do kasty ani ze względu na teściów. Tu nie zmuszano jej, by unikała słońca i nie musiała dbać, by zachować hinduską karnację w jak najjaśniejszym odcieniu. Był to zapewne powód, dla którego wybrała akurat Las Vegas. Obecnie cera Rukmani była tak brązowa jak gałka muszkatołowa.

— Siadaj. — Nadal myślała o pracy. — Co konkretnie chcesz wiedzieć? — spytała.

— Dziury po kulach?

— Jak dotąd, nie.

- Rany klute?
 - Żadnej... do tej pory.
- Poe poczuł napływające mdłości.
- Żyła, gdy ten potwór wydłubywał jej oko?
 - Możliwe.

Zabębnił placami o blat biurka i czekał na dalszy ciąg.

— Istnieją inne sposoby zabicia kogoś poza zakłuciem i zastrzele-
niem — oświadczyła patolog. Ułożyła dwa palce w taki sposób, jakby
trzymała strzykawkę i wkłuwała sobie igłę w zgięcie ramienia.

- Naćpał ją najpierw? — spytał sierżant.
- Albo przynajmniej uśpił. Tak mi się zdaje.
- Znalazłaś coś w jej żyłach?
- Wyniki testu krwi jeszcze nie przyszły. — Rukmani pchnęła
okulary głębiej na nos, potem otoczyła dłońmi ręce Poego, pragnąc
powstrzymać ich drzenie. — Wyglądasz na zmęczonego. Spałeś w
ogóle?

— Godzinę, rano przy biurku. A ty?

— Około czterech. — Pomyślała. — Przyjedź do mnie dziś wieczoro-
rem. Ugotuję kolację. Jeśli plaśniesz nosem w talerz z *mulligataw-
ny**, nie będę miała ci tego za złe.

* *Mulligatawny* — hinduska zupa z kurczakiem lub innym mię-
sem, przyprawiona curry.

- Brzmi cudownie, ale prawdopodobnie całą noc będę pracować.
- Romulusie, nie jesteś w stanie efektywnie działać, skoro sy-
piasz tylko godzinę dziennie.

Miała rację.

— Nic się nie dzieje w tym mieście przed zmrokiem — odparł. —
Prześpię się parę godzin, zanim znowu wyjdę.

Rukmani popatrzyła na niego poważnie.

- Dlaczego nie mieszkasz w normalnym domu?
- Lubię mieszkać tam, gdzie mieszkam. Kocham ten spokój.
- Nie masz jednak ani bieżącej wody, ani elektryczności.

— Nowoczesne wygodę są wysoce przereklamowane.
— Przynajmniej zamień materac na łóżko.
— Nie zdołałbym przenieść łóżka przez drzwi.
— Kup zatem większe drzwi, na litość boską!
— Dlaczego się na mnie złościysz? Wiesz, że chciałbym przyjść na kolację i spędzić z tobą noc wypełnioną dzikim, namiętym seksem. Sądziysz, że pracuję dla przyjemności? Płacą mi za to i tyle. Dokładnie tak jak tobie.

— Istnieje normalna praca — odrzekła Rukmani — i obsesja.

— Przyganiał kociół garnkowi!

Tym razem patolog nie zripostowała.

„Może dlatego jest taka nieprzyjazna? — Zastanowił się. — Nie lubi mojego domu. Albo moich godzin pracy. A jednak pracuje w tych samych godzinach”. Skierował rozmowę z powrotem ku kwestiom zawodowym.

— Dlaczego sądziysz, że została uśpiona, gdy on... no wiesz... obdzierał ją ze skóry?

— Świadczą o tym bardzo równe żłobienia w ciele. Linie równoległe, prawie jak wykonane za pomocą linijki. Gdyby była przytomna, rzucałyby się i linie wyszłyby nierówno,

— Może ją po prostu związał?

— Nawet w takim przypadku przecięcia nie byłyby tak regularne. No, chyba że włożyłby jej głowę w imadło. Nawet milimetrowy ruch i w liniach powstałyby drgania albo szczeliny. A niektóre z nich były niemal... chirurgicznie precyzyjne.

— Lekarz?

— Możliwe. Albo ktoś bardzo dokładny.

Poe zrobił kwaśną minę.

— Więc albo nie żyła, albo była uśpiona, gdy ją... zaatakował.

— Raczej to drugie. Są ślady świeżego krwawienia w przecięciach, dlatego skłaniam się raczej do stwierdzenia, że ją uśpił. Bardzo głęboko. Żyła, lecz była nieprzytomna. Prawdopodobnie nawet niczego nie poczuła. — Posłała mu słaby uśmiech. — Niewielka pociecha...

Pomyślał, że jej opinia może być inspirująca, choć Rukmani nie była detektywem.

— Hmm... Mówi nam to coś o charakterze zabójcy?

— Co na przykład?

— Szaleniectwo, ale opanowane. Chce mieć ofiarę kompletnie bezbronną, aby móc robić swoje. Nie zostawia niczego przypadkowi.

— A może ma po prostu wrażliwe uszy lub nie lubi krzyków? Sierżant skinął głową.

— Może...

— Czułe uszy?

— Nie lubi słuchać krzyków, ponieważ nie torturuje dla samego torturowania.

— Hmm... Czyli że znajduje przyjemność w samym kaleczeniu ludzkiego ciała? — Kobieta potrząsnęła głową. — Przypuszczam, że facet traktuje to jak hobby.

— Lubi zabijanie. — Poe mówił w tym samym stopniu do siebie, co do lekarki. — Lubi... nadawać ofierze pewną... formę. Postępuje podobnie jak myśliwy na polowaniu. Prawdziwi myśliwi nie widzą frajdy w torturowaniu zwierząt. Lubią czyste, zabójcze strzały. Jedno duże bum i zwierzę pada. Takich ludzi cieszy samo polowanie.

— A później sprawiony łeb z porożem łąduje na ścianie w salonie — mruknęła patolog. — Coś, czym mogą się chwalić przed kumplami. Może ta zabita dziewczyna pełniła podobną rolę. Była trofeum zabójcy.

— Powiedziałbym, że na oko w niczym nie przypominała trofeum... Chociaż... Prawda jest taka, że zobaczyłem ciało po długiej wichurze. Kto wie, jak wyglądało przedtem?

— Powinna wracać — oznajmiła lekarka.

— Masz pomysł, jakim narzędziem wykonano te głębokie rany? — spytał Poe.

— Miałam nadzieję, że o to nie spytasz.

— Mów.

— Znalazłam wprawdzie opłki metalu wbite tuż przy kości...

Pasowałyby grabie albo coś w tym rodzaju. Ale odkryłam też kawałki szkliska... zębów.

— Co, jak rozumiem, sugeruje ugryzienia.

— Właściwie, to nie są ślady po ugryzieniach, Rom. Raczej... ślady metodycznego szarpania zębami ciała ofiary. — Popatrzyła w bok. — W tej śmierci jest jakieś potworne zezwierzęcenie. Jak gdyby morderca... chciał pożreć dziewczynę...

— Och, Chryste!

— ...Albo raczej, choć to może nie do końca trafne porównanie, nieco się pożywić...

— O rany! Naprawdę obrzydliwe.

Rukmani podrapała się w opiętą czepkiem głowę.

— To będzie niełatwa autopsja. Minie trochę czasu, zanim dojdę do ostatecznych wniosków. — Wstała. — Muszę już iść, wybaczone.

Sierżant również się podniósł.

— Skusisz się szybkim lunchem u mnie?

— Lunchem?

— No cóż, lunchem i nie tylko...

Kobieta roześmiała się i rubasznie klepnęła go w ramię.

— Chciałabym, ale wiesz... mam już umówionego trupa...

— Jezu! Ależ znalazłaś wymówkę!

— Zrozum, Rom, jeśli podczas sekcji zostawia się rozgrzebane ciało, z każdą minutą postępuje rozkład...

— Weźmy tego byka za rogi... — Urwał. — Skąd mi przysłała do głowy taka bzdura?

Rukmani zaśmiała się z wyraźnym zmęczeniem.

— U mnie, jutro wieczorem?

— Zgoda.

— Cóż, jesteśmy ostatnio naprawdę zajęci. Prawie się nie widzimy.

— Sądzę, że dzięki temu stanowimy prawdziwie idealną amerykańską parę.

— Jeśli będziemy dalej tak tyrać i wypalać się, równie dobrze możemy się pobrać.

— Wyznacz datę.

Odprawiła go machnięciem ręki, potem pocałowała w policzek.

— Przeżyjesz, jeśli nie odprowadzę cię do wyjścia? Wzywa mnie Brittany Newel.

Poe strzelił palcami.

— Rzeczywiście myślisz o niej jako o Brittany Newel?

— Jasne, że tak. Za życia miała przecież nazwisko. Niech mnie diabli, jeśli chciałabym jej odebrać je po śmierci.

Niezależnie od pory dnia czy nocy bary Las Vegas wyglądały w zasadzie tak samo: lekko przyciemnione, nieco zadymione, pełne hałasujących maszyn zwanych „jednorękami bandytami” i znacznie cichszych automatów do wideopokera. Bar w Casablance znajdował się w samym środku kasyna, stanowiąc obracający się co godzinę gigantyczny dysk ze stolikami i krzesłami. Zwykle w lokalach rezerwuje się miejsca z najlepszym widokiem, tutaj wszakże wszystkie miały widok jedynie na automaty do gry. Patricia doskonale wyczuwała przemysłowość takiej lokalizacji. Hazardowe maszyny nieustannie wabiły pijących, którzy co jakiś czas wstawali i szli zagrać.

Miała za sobą piekielne popołudnie. Ale i bardzo owocne, musiała to przyznać. Jej pierwszej wpadł w ręce dowód — but na szpilce. Co ważniejsze, znalazła też portmonetkę — makramową, w odcieniu écru; leżała mniej więcej pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie porzucono ciało ofiary, niemal niewidoczna w piasku pustyni. W portmonetce znajdowało się prawo jazdy dziewczyny, dwie przeterminowane karty kredytowe, trzysta dolarów oraz sporo celofanowych torebek z krystaliczną kokainą.

Na pierwszy rzut oka motywem zabójstwa nie był ani napad, ani narkotyki. Z drugiej strony, Patricia doskonale wiedziała, że może morderca chciał w ten sposób zmylić detektywów z Wydziału Zabójstw.

Tak czy owak, policjantka była z siebie dumna. Weinberg pogratulował jej, klepnął ją w plecy, po czym wręczył listę barów do sprawdzenia. Było ich dwadzieścia.

I tak trafiła do Casablanki. Czuli się brudna niczym nieumyty szpinak bądź pustynny szczur. Usiadła przy kontuarze naprzeciwko dwóch barmanów, oczekujących leniwie na wieczorną falę nowych tłumów graczy, którzy jak zwykle ożywią lokal. Patricia obserwowała naturalny przepływ klientów przez kasyno. Po barze kręciły się pierśiaste kelnerki w przezroczystych bluzkach, przez które prześwitywały ich płaskie brzuchy z klejnotami w pępkach. Dziewczyny niestrużenie krążyły tam i z powrotem — z kasyna do baru, z baru do kasyna...

Jeden z barmanów zbliżył się do policjantki. Aladynem to on nie był. Ale w końcu i ona nie była Jasminą. Wyglądał na Samończyka, mieszkańca Tonga lub innej z wysp Pacyfiku. Wielki facet o kręconych czarnych włosach. Nosił luźne czarne arabskie spodnie, purpurową kamizelkę z satyny na białej przejrzystej koszuli oraz sandały. Z plakietki wynikało, że ma na imię Nate.

Wytarł kontuar i błysnął białymi zębami w uśmiechu.

— Dobry wieczór.

— Poproszę gazowaną mineralną — zamówiła Patricia.

Była osiemnasta trzydzieści. Patricia od dwóch godzin odwiedzała kolejne bary, starając się wysledzić, w którym z nich Brittany spędziła ostatnie godziny przed śmiercią. Policjantkę bolały już nogi. Sześciu barmanów rozpoznało twarz zabitej, lecz niestety żaden nie przypominał sobie, by widział ją ubiegłego wieczoru.

Casablanca stanowiła numer dwanaście na liście barów od szefa. Patricia wypila dotąd dwadzieścia (pedantycznie je liczyła) szklaneczek wody mineralnej, z powodu których z tuzin razy musiała skorzystać z łazienki. Ależ mordęga!

Wyjęła odznakę i pokazała ją Nate'owi. Barman zerknął od niechcienia. Ani się nie wzdrygnął, ani nie cofnął. Ucieszyła się. Może ten mężczyzna porozmawia z nią bez gróźb i męczących podchodów.

— Z cytryną, pani policjant?

— Jestem detektywem. Wydział Zabójstw.

Zamrugął.

- Woda z cytryną, pani detektyw?
- Z limonką.
- Bardzo proszę.

Zmierzył ją spojrzeniem z góry na dół, potem spojrzął na jej lewą rękę. Patricia uśmiechnęła się do własnych myśli. Wyglądali jak dwa zgarbione nosorożce.

Nie żeby była aż taka brzydka!

Hmm... Chociaż po skończonej służbie, zanim się przebrała... Uważała, że ma wszystko pod kontrolą... że nad wszystkim panuje. Włożyła cywilne ciuchy, wyszła i... znowu poczuła się jakaś brudna... Niedobrze...

Dostrzegła złośliwy uśmieszek barmana. Zignorowała go.

A przecież, gdy wróciła do mieszkania, wymiotowała.

W zasadzie nigdy nie była szczupła. Niekiedy bywała tylko „przy kości”, często jednak aż „otyła”. Raz, w przeciągu dwóch lat, roztyła się do stu trzynastu kilogramów. Nigdy właściwie nie odkryła, dlaczego nagle przestała się tak maniacko objadać. Może była chora i zmęczył ją ludzki śmiech. Zwłaszcza śmiech Homera.

Głodziła się, by zaliczyć cykliczne testy wydolnościowe departamentu. Żyła powietrzem i przekonaniem, że potrafi schudnąć. Niestety, w momencie gdy została detektywem, znowu zaczęła jeść bez umiaru. Jakby znowu przestała ją obchodzić reakcja otoczenia.

I rzeczywiście, nikt nie zareagował. Ani zwierzchnicy, ani nowi współpracownicy z wydziału. Dosłownie nikt nie robił nigdy żadnego przytyku do jej tuszy czy też wypowiedział złośliwości na temat jej seksualnej atrakcyjności.

Wręcz przeciwnie — faceci okazali się całkiem mili. Wspierali ją. Pomagali jej. Nawet taki pies na baby jak Steve zawsze chętnie odpowiadał na jej pytania. Powoli, powoli kilogramy zaczęły topnieć. Waga Patricii zatrzymała się na siedemdziesięciu dziewięciu kilogramach. Nieźle jak na kobietę, która mierzyła metr siedemdziesiąt dwa i miała ciężkie kości.

Wszędzie wokół mówiło się o molestowaniu seksualnym. No i

wtedy zadzwonił do niej Homer — cały w skowronkach i beztroski. Więc jadła, aby uspokoić nerwy. Zebrała się w sobie, zadzwoniła do niego i wszystko sobie wyjaśnili. Czuła się dobrze! Na nieszczęście, nagle ponownie przekroczyła dziewięćdziesiąt kilo. Na ostrej diecie waga spadła do osiemdziesięciu czterech i tam się zatrzymała.

Nate postawił przed nią mineralną oraz miseczki orzeszków i chipsów. Odsunęła przekąski na bok, wyjęła zdjęcie Brittany Newel i położyła je na kontuarze.

Barman odwrócił je ku sobie i przez chwilę oglądał w zadumie.

— Tak, już ją kiedyś widziałem.

Zaskoczona jego szczerością, wyjęła notes.

— Kiedy?

Wzruszył ramionami.

— Nie pamiętam. Może z tydzień temu. Może dwa.

— A wczoraj?

Nate wyraźnie się zastanawiał.

— Hmm... to niesamowite.

— Co takiego? Proszę kontynuować.

— Nocami nie pracuję tutaj, ale u Barry'ego. Mały, nędzny lokalik, chociaż nie uwierzyłaby pani, jakie tam dają napiwki.

Notując, policjantka pokiwała głową.

— Bar dla robotników. Nijak nie przypomina tego tu. — Zmarszczył czoło. Koncentrował się. — Nie jestem pewny, ale wydaje mi się, że widziałem ją tam ubiegłej nocy.

Patricia omal nie udławiła się kostką lodu.

— Rozumiem. — „Spokojnie, dziewczyno”, powiedziała sobie. — O której godzinie?

— W zasadzie nie jestem pewny, czy to było ostatniej nocy. Stale widuję mnóstwo osób. Nie ufam swojej pamięci. — Barman zawahał się. — Będę tam o dwudziestej drugiej dziś wieczorem. Niech pani przyjdzie, to wszystko opowiem.

Podyktował jej adres. Podziękowała i odparła, że na pewno zjawi się o wyznaczonej godzinie.

Nagle oblała się potem, a pod pachami zrobiło jej się mokro. Dobrze, że użyła dobrego dezodorantu. Wytarła twarz papierową chusteczką. Resztki piasku zostawiły na niej smugi brudu. Patricia czuła się naprawdę nieczysta. I coraz bardziej zakłopotana.

— Miałam ciężki dzień. Muszę się wykąpać.

Odchrząknął.

— Daleko stąd pani mieszka?

Zmierzyła go badawczym spojrzeniem.

— Dlaczego pan pyta?

— Kolacja o ósmej? — Uśmiechnął się z chłopcym wdziękiem.

— Znam świetny włoski bufet, lepszy niż wszystko, co pani może dostać na Pasię.

Innymi słowy, wyglądała jak kobieta, która lubi jeść!

— Może jutro? — rzuciła z myślą, że do tego czasu sprawdzi barmana w bazie danych NCIC*. — Mam dziś jeszcze mnóstwo pracy.

* NCIC (National Crime Information Center) — ogólnoamerykańska komputerowa kartoteka przestępców.

Nate uśmiechnął się szeroko.

— Jutro? Wspaniale!

Wypiła ostatni łyk wody.

— Dzięki za pomoc, Nate. N

azywasz się jakoś?

— Och, jasne, Malealani. — Przeliterował jej.

— A gdzie mieszkasz?

Dał jej adres wraz z numerem telefonu. Nieśmiało spytał:

— Dałem ci mój. Mogę dostać twój?

— W odpowiednim czasie. Najpierw zobaczymy się u Barry'ego.

— Tak! Świetnie!

Facet popatrzył jawnie prosząco. Strój bynajmniej nie pomagał mu w poważnym wyglądzie. Zmusiła się do uśmiechu. Mężczyzna wydawał się taki niewinny... taki nieskalany trującymi miazmatami

tego miasta. Czyżby ryzykowała? Ale wyglądał na szczerego. Z drugiej strony znajdowali się w Las Vegas, którego mieszkańcy stanowili trudną do rozszyfrowania hybrydę drapieżców i ofiar. Nawet Patricia — mimo wrodzonej przenikliwości skrywanej pod maską cynizmu — nie zawsze potrafiła rozróżnić jednych od drugich.

Rozdział ósmy

Ćwiczyć, ćwiczyć. I oczyszczać się.

Chodziła wściekle po treningowej bieżni. Pot spływał jej po twarzy. Odnosiła wrażenie, że płacze każdy por skóry jej twarzy. Dłonie miała tak mokre, że ledwo mogła utrzymać poręcz. Za minutę się jej ześlizgną i Alison poleci w przestrzeń. Spadnie z ruchomej bieżni i plaśnie w ścianę niczym bohater komedii slapstickowej. Tak czy owak, póki może, będzie jak najszybciej chodziła po bieżni, maksymalnie przechylona... Taki miała zamiar. Czuła, że pas wbija jej się w kręgosłup.

Aby nie myśleć o bólu, skupiła się na badaniach. Zielona książka! Były w niej wszystkie odpowiedzi. Gdyby tylko Alison poświęciła księdze wystarczająco dużo czasu... Gdyby tylko potrafiła zejść z tej cholernej bieżni i skoncentrować się na badaniach!

Własne zachowanie doprowadzało ją do szału. Fakt, że musiała wciąż biegać... Biegała, ponieważ za bardzo się bała nie biegać. Sądziła, że jeśli się zatrzyma, mogą jej się przydarzyć straszne rzeczy. Wrócą okropne głosy. Pojawią się obrzydliwe wizje, pełne okrwawionych wnętrzności i jakiegoś lepkiego paskudztwa. Nigdy nie zjawiały się, gdy była zajęta. Wolała więc nie ryzykować.

Biegała.

Uciekała... donikąd.

Tak wyglądała trafna ocena jej życia.

Biec, biec, biec bez żadnej przyjemności, bez przyjemności, przyjemności...

O mało się nie załamała. A zaszła już przecież tak daleko.

Chociaż kiedyś zdarzało się też, że strach trzymał ją w łóżku niemal przez dwadzieścia godzin na dobę. Wtedy Steve musiał sam wszystko załatwiać, przygotowywać posiłki, robić zakupy, chodzić na zebrania do szkoły i tak dalej.

Teraz umiała już jako tako funkcjonować. Chodziła po zakupy i odbierała chłopców ze szkoły... Uśmiechała się do nauczycieli i witała z nimi. Często odwzajemniali uśmiech i odpowiadali na powitanie. Kiedy opuszczała dom, starała się dobrze wyglądać. Tak, na pewno świetnie się prezentowała.

Tak, czasami zachowywała się całkiem normalnie. Była normalną kobietą, która solidnie wypełnia swoje obowiązki. Niestety, bywały też inne okresy...

I dlatego biegała.

Gdyby mama biegała, może żyłaby do dziś. Ale nie biegała i stąd jej problemy.

Monotonne brzęczenie silnika treningowej bieżni bez reszty wypełniało głowę Alison. Mięśnie jej nóg kurczyły się i rozszerzały, wysiłek wzmacniał jej płuca i serce, zwiększał wytrzymałość. Dzięki ćwiczeniom stawała się taka silna!

Gdyby tylko mama biegała.

Zresztą, mama gdzieś tam biegała, gdzieś uciekała. Nie były to jednak ćwiczenia dla zdrowia... Ach, te jej dziwaczne wypadki w środku nocy. Druga, trzecia godzina nad ranem... a matka wychodzi. Jej zniknięcia przerażały Alison, która była wtedy dzieckiem. Ojciec nie stanowił dla niej zupełnie żadnego oparcia, ponieważ szalał ze zmartwienia. Czasami mama zostawała poza domem przez kilka dni z rzędu. A kiedy wracała... wyglądała jak... hmm... Bywały chwile, gdy Alison pragnęła, by matka już nigdy nie wróciła... Skoro miała być potem taka obca, tak milcząca i ponura, o dzikich i zawsze przekrwionych oczach.

Może piła po barach.

Ponieważ straszliwie śmierdziało jej z ust. Jak gdyby żywiła się padliną.

Kolejne kłótnie. Papa pytał mamę, gdzie była, ta odpowiadała, że nie pamięta. Papa oskarżał mamę o kłamstwo, ta dostawała histerii. Papa błagał mamę, żeby spotkała się z psychiatrą. Mama wychodziła z domu.

Zamknięte koło bez wyjścia: znikanie, awantura, znikanie...

Ach, te koszmarne eskapady mamy. Kiedy Alison miała dziesięć lat, spytała o nie jednego z własnych psychiatrów. Doktor Jones nazwał je stanami fugi. Alison sprawdziła słowo „fuga” w swoim młodzieżowym słowniku: „Muzyczna forma albo kompozycja, w której temat jest podejmowany i rozwijany przez różne instrumenty lub głosy w następstwie zgodnym z surowymi zasadami kontrapunktu”.

Czyżby mama przez cały ten czas zajmowała się muzyką?

Pojęcie „fugi” intrygowało dziewczynkę przez kilka lat. Dopiero gdy podrosła, znalazła słowo w większym słowniku. Okazało się, że termin „fuga” ma dwa znaczenia. Drugie z nich brzmiało: „Stan psychologicznej amnezji, podczas której pacjent wydaje się zachowywać w świadomy i racjonalny sposób, chociaż po powrocie do normalnej świadomości może nie pamiętać danego okresu ani tego, co w owym czasie robił. Jest to tymczasowa ucieczka od rzeczywistości”.

Tymczasowa ucieczka od rzeczywistości.

W przypadku mamy wcale nie taka tymczasowa.

Ponieważ Alison nie zareagowała na dzwonek do drzwi, Poe wyjął wytrych i w minutę później znalazł się w środku. Kobieta ćwiczyła na ruchomej bieżni. Twarz miała czerwoną i mokrą jak śliwka na deszczu. Jej długie nogi stawiały wielkie kroki, by nadażyć za nienaturalnie szybkim tempem. Alison tak mocno zacisnęła dłonie na poręczy, że aż jej kłykcie pobieleały. Oddychała szybko, zawzięcie i o wiele za płytko.

Poe otworzył szafę w korytarzu i wyjął z niej czerwony ośmiokątny

znak „Stopu” zamocowany na długim kijku. Podniósł znak i umieścił go przed twarzą kobiety.

Nie dostrzegła go, jakby był jedynie powietrzem.

Cóż, zanim spróbował, już wiedział, że tym razem ten fortel nie zadziała. Alison pędziła tak szybko... Nie panowała nad sobą. Poe musiał natychmiast coś wymyślić. Stopniowo redukowało tempo marszu, aż kobieta szła niemal spacerowym krokiem. Pozwolił jej tak iść jeszcze przez pięć minut, po czym wyłączył bieżnię.

Alison zatrzymała się. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

— Popatrz na mnie — szepnął sierżant.

Spojrzała mu w oczy, po czym uciekła do sypialni. Usłyszał nagły odgłos wody płynącej w rurach. Dał jej dziesięć, może piętnaście minut na prysznic.

Podczas czekania zdał sobie sprawę, że zgłodniał. Była osiemnasta trzydzieści, a on zjadł swój ostatni posiłek u Myry dobrze ponad osiem godzin temu. Odstawił znak „Stopu” do szafy, potem wszedł do kuchni i otworzył lodówkę. Ucieszył się, widząc, że jest dobrze zaopatrzona. Zrobił sobie kanapkę z klopsiem i ostrą musztardą na grubej pajdzie razowca. Nalał też sobie szklanek soku pomarańczowego. Jadł powoli, mając nadzieję, że woda przestanie w końcu lecieć. Oczywiście, nie przestała.

Niechętnie wstał od stołu i wszedł do sypialni.

Do ich sypialni!

I do łazienki.

Otworzył drzwi kabiny prysznicowej i wsunął rękę do środka. Woda zrobiła się już zimna, toteż Alison drżała. Zakręcił kurki, narzucił kobiecie na ramiona ręcznik kąpielowy, łagodnie wyprowadził ją do sypialni i posadził przed komodą z lustrem. Niedbale pozwoliła ręcznikowi opaść na podłogę.

Poe przyjął jej nagość spokojnie. Usiłował nie reagować. Ponownie zarzucił jej na ramiona szlafrok, po czym odwrócił wzrok.

Po chwili zaakceptowała okrycie i wsunęła się weń. Obserwowała

się w lustrze. Schwyciła szczotkę, wbiła ją we włosy i zaczęła się wściekle czesać.

— Wyglądam gównianie.

— Wyglądasz przepięknie.

— Nie mogę tego pojąć. Obojętnie, jak długo biegam po tej cholernej maszynie, ciągle mam grube, tłuste uda! — Dla podkreślenia swoich słów zaczęła gwałtownie poklepywać swoje ciało. — Niczym worki z piaskiem.

— Jesteś chuda jak szczapa. Wpadasz w anoreksję. Wstydz się.

— Nie krzycz na mnie.

— Przesadzasz, Alison. Masz obsesję na punkcie swojej figury.

— Możesz łaskawie wyjść? Chciałabym się ubrać.

Zawahał się.

— W porządku, wyjdę. Ale jeśli znowu usłyszę, że puszczasz wodę...

— Przestań! — Rzuciła w niego ręcznikiem. Teraz jednak się uśmiechała. Pięknie się uśmiechała! — Idź, zrób coś pożytecznego.

— Co na przykład?

— Może kawę?

— Gdzie twoja rodzina?

— Steve zabrał chłopców na kolację.

— Kiedy wrócą?

Alison posłała mu powłóczyście, kuszące spojrzenie.

— Nachodzisz mnie podczas nieobecności mojego męża. Nie jestem przedmiotem.

Sierżant nie miał co do tego pewności.

— Lepiej zaparzę kawę.

Przyłączyła się do niego, gdy woda zaczęła się gotować. Alison ubrała się w luźną czarną tunikę i czarne legginsy. Twarz miała rumianą od ćwiczeń, blond włosy uczesane i związane w kucyk; fryzura podkreślała idealne kości policzkowe. Płatki jej uszu zdobiły złote kolczyki-szyfty. Wargi pokryła różową, nawilżającą szminką.

Nalał kawy do dwóch kubków. Usiedli przy kuchennym stole. Dom zbudowano w stylu rancza na sporej działce z basenem. Był przyzwoitych rozmiarów, miał duży salon dla gości i jadalnię przy wejściu. W tylnej części budynku znajdowała się ogromna kuchnia, nisza s'niadaniowa i gabinet, który na co dzień traktowano jako drugi salon. Obecnie w domu było trochę niechlujnie — walały się stosy starych gazet, części garderoby, a na ławie stały brudne naczynia. Jednak Poe widział go już w gorszym stanie.

Wszystkie trzy sypialnie znajdowały się w lewym skrzydle.

— Po co przyszedłeś? — spytała Alison.

— Po prostu wpadłem się przywitać.

— Akurat. — Sączyła kawę. — W twoich oczach widzę, że to kłamstwo. Czego chcesz? Oprócz tego, że jak zwykle chciałbyś mnie przelecieć. Odpowiedź brzmi: „nie”.

— Alison, kiedy po raz ostatni spytałem, czy chcesz się ze mną przespać? Dwadzieścia lat temu?

— A może raczej sześć miesięcy temu?

— O czym ty mówisz?

— Pocałowałaś mnie, Rom.

— Alison, miałaś wtedy urodziny...

— Oj, nie, to nie był zwykły pocałunek, lecz z języczkiem.

— Sama wsunęłaś mi język...

— Nie chcę o tym rozmawiać, Rom. Przestań.

Sierżant nie odpowiedział. Zamiast tego, zaczął bębnić palcami o blat.

Położyła dłoń na jego ręce, by uspokoić drzenie.

— Steve pracował ubiegłej nocy, prawda?

— Tak.

— Zwłoki na pustyni.

Zmierzył ją czujnym spojrzeniem.

— Powiedział ci?

— Od czasu do czasu rozmawiamy. Bardzo go ta sprawa wytrąciła z równowagi. Czy znał tę kobietę, Rom?

Poe potrząsnął przecząco głową.

Alison uważnie go obserwowała, analizując jego minę.

— Coraz trudniej mi interpretować twoje gesty — oświadczyła.

— To naprawdę paskudna sprawa — stwierdził. — Ciało kobiety zostało... zmasakrowane.

— Zakłuto ją nożem?

Nie odpowiedział.

— Och, po prostu wyrzuć to z siebie, Rom. Przecież się nie roztopię. Steve spał z nią kiedyś, prawda?

— Alison, pamiętasz psychopatycznego mordercę zwanego Koszmarem? — rzucił zamiast odpowiedzi.

Gniew przeszył jej serce. Obrzuciła mężczyznę dzikim, pełnym nienawiści spojrzeniem. Pod ciężarem jej wściekłości sierżant aż zbladł.

— Co...?! Co takiego powiedziałem?

Uświadomiwszy sobie, że jej złość jest irracjonalna, Alison złagodniała.

— Nie pamiętasz?

„Och, Boże, jaki nerw podrażniłem tym razem?”, zastanowił się.

Koszmar. Poe miał wtedy jakieś dziesięć lat. Czyli że Alison miała siedem, może osiem...

Czyżby chodziło o jej matkę?!

Jasne, że tak. Zapewne niechcący przywołał bolesne wspomnienia.

— Grasował mniej więcej w tym czasie, gdy umarła twoja matka. Przepraszam, nie sądziłem...

— To nie był zwykły zbieg okoliczności. Pomyśl intensywniej.

Sierżant poczuł się zakłopotany. Wyczekująco milczał.

— Jak mogłeś zapomnieć?! — zbesztła go.

— Ja... przepraszam, ale...

— Moja matka... Jej śmierć. Gliniarze nazwali jej samobójstwo podejrzanym. Przyszli do mojego domu i wypytywali mnie...

— O Chryste! — Nie mógł uwierzyć, że zapomniał szczegóły. — Alison, nie sądzę, żeby śmierć twojej matki miała jakiś związek...

Chociaż... Ależ był głupi! Przecież przebywał wówczas w jej domu! Przypomniawszy sobie stukanie do drzwi. Weszło dwóch mężczyzn w garniturach. Jeden nosił kowbojski kapelusz i wąski krawat z turkusową spinką. Weszli niemal bez słowa usprawiedliwienia i naskoczyli na nich oboje. Na dwoje małych dzieci, które bawiły się akurat w jakąś grę. Ojciec Alison spytał Poego, czy mógłby popilnować jego córki, sam zaś wyszedł do sklepu spożywczego.

Zakupy zajęły mu sześć godzin!

Rany, jej ojciec zniknął naprawdę na długo!

Mężczyźni przedstawili się jako detektywi. Zaczęli zadawać pytania, chociaż ojca dziewczynki nie było w domu. Wypytywali o matkę Alison, mimo iż ich pytania przyprawiały małą o płacz. Od pogrzebu nie minął jeszcze miesiąc.

W końcu pojawił się Y, Indianin z plemienia Pajutów — stary przyjaciel zarówno matki Poego, jak i matki Alison — zmaterializował się niczym widmowy wybawca. Gdy dostrzegł, że pytania policji przerażają dzieci, zaczął ich bronić jak lew. Poe ciągle pamiętał narzmiące żyły na czerwonej szyi wodza. Y kazał gliniarzom wyjść... oględnie mówiąc. Jeśli sierżant dobrze pamiętał, nigdy więcej już nie wrócili.

To było wiele, wiele lat temu. Kiedy Y był silny i pełen życia...

— Jezu, Alison, tak strasznie mi przykro — stwierdził Poe.

— Sądziłeś, że mamę również zabił Koszmar, wiesz... Że może była z nim tej nocy, gdy... niby się zabiła. Ponieważ... pocięła się dość paskudnie.

Z czułością sięgnęła po jego rękę.

— Nie możesz przecież pamiętać najdrobniejszych detali — powiedziała. — Przepraszam. Ostatnio reaguję na wszystko zbyt emocjonalnie. — Lekko uściśnęła jego rękę. — A właściwie dlaczego spytałeś mnie o tę sprawę?

— Nieważne.

— Czy ostatnie morderstwo przypomina tamto sprzed lat?

Odchrząknął.

— Może. Nie pamiętam wiele z dzieciństwa, ale wydaje mi się, że dostrzegam pewne podobieństwa.

Odczekał sekundę.

— Niewiele, ale jednak coś pamiętam. Jak zresztą mógłbym to wszystko zapomnieć? Tyle się wydarzyło... W dodatku moje wspomnienia stają się coraz żywsze. Tak, teraz pamiętam... Y wszedł w sam środek przesłuchania. Przegonił policjantów. Jest prawdziwym bohaterem tej historii.

— Z pewnością, — Zdjęła dłoń z ręki sierżanta. — Jak się miewa?

— Jak zwykle. Przegrywa indiańską rentę. Podobnie jak moja matka...

— Z moją matką był bardzo blisko — wtrąciła Alison. — Sądzę, że byli kochankami.

Poe bez słowa pokiwał głową.

— Sprawa Koszmara bardzo dziwnie wpłynęła na moją matkę — dodała kobieta.

— Alison, my nie... — Urwał. Jeśli chciała mówić, nie powinien jej przerywać. — Kontynuuj.

Zastanowiła się, co chce powiedzieć.

— Morderstwo... a raczej morderstwa... bo sądzę, że były dwa... ogromnie poruszyły moją matkę. Wiem, że była niezrównoważona emocjonalnie. Jeśli jednak spytasz mnie, co ją doprowadziło na skraj przepaści, powiedziałabym, że właśnie te morderstwa.

Sierżant usłyszał, że frontowe drzwi się otwierają.

— Chciałabym, żeby sobie po prostu poszedł! — wyszeptała wściekle Alison.

— Lepiej to ja już pójdę. — Kiedy zaczął wstawać, chwyciła go za nadgarstek. — Czego się boisz?

Popatrzył na nią i ponownie usiadł.

— Niczego.

Chłopcy — Harrison i Scott — wpadli do kuchni. Obaj synowie Alison byli rudowłosi jak jej ojciec. Uściskała ich energicznie niczym lwica.

— Hej, rozrabiaki, jak tam kolacja?

— Witaj, mamó — odparł Scotty. — Przynieśliśmy ci kurczaka w pomarańczach i smażyony ryż.

— Brzmi zachęcająco!

— Idę do siebie — oświadczył Harrison. — Muszę odrobić lekcje. Scott postawił na kuchennym stole torbę z daniem na wynos.

— Zamierzam popracować nad matematyką. Potem będziesz musiała podpisać.

— Doskonale — odparła Alison.

— Chcę powiedzieć, że nie musisz czytać ani nic. Tylko podpisać.

— Nic mi nie będzie, jeśli przeczytam.

— Wolałbym, żebyś nie czytała.

— Jak chcesz, Scotty.

Chłopiec popatrzył czule na matkę.

— W porządku?

Kobieta siłą woli powstrzymała krzyk.

— Świetnie.

Chociaż Scotty wyraźnie pozostał sceptyczny wobec tej deklaracji, pocałował matkę w policzek i odszedł.

— Trzymaj się. Cześć.

Alison wstała i posłała mężowi półuśmiešek.

— Dzięki, że ich zabrałeś na kolację.

Jensen pocałował ją w usta, równocześnie kątem oka posyłając Poemu przepelnione nienawiścią spojrzenie. Teoretycznie miał powody do podejrzliwości. Ale przecież znał Alison. A jeszcze lepiej znał swego sierżanta. Wiedział, że nie interesowały go mężatki.

— Przerwałem wam?

— Niby co, kochanie? — zaszczębiotała jego żona. — Chcesz kawy, Steve?

Jensen wymusił uśmiech.

— Nie, dzięki. — Zobaczył, że sierżant wstaje i rzucił: — Nie chciałem cię wypędzać.

Poe poczuł się równie potrzebny jak piąte koło u wozu.

— Muszę lecieć — rzucił. — Pewne osoby nie mogą się wprost doczekać mojej wizyty.

— Lewiston? — spytał szeptem Jensen.

Skinął głową.

— Odprowadzę cię do wyjścia, szefie — mruknął policjant.

— Dobrej nocy, Alison. — Poe ostentacyjnie cmoknął kobietę w policzek. Pragnął tym pocałunkiem zapewnić swego współpracownika o całkowitej niewinności spotkania.

— Dobranoc. — Odwróciła się plecami i zaczęła coś robić przy kontuarze.

Gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem jej wzroku, Jensen chwycił sierżanta za ramię i pchnął go do wyjścia. Wyszli. Steve zatrzasnął frontowe drzwi i w tym momencie jego udawany spokój rozproszył się niczym dym.

— O czym rozmawialiście?

— Zabierz ode mnie swoje cholerne łapska!

Jensen zaczerwienił się i puścił ramię Poego.

— O czym rozmawialiście? — powtórzył.

— Nie twoja sprawa — odparł sierżant. — I nie ośmielaj się wypytwać swojej żony w tej materii...

— Nie wpytuję jej, lecz ciebie. — Jensen stanął twarzą w twarz z Poem i wpatrzył się w niego z furią. — Sądysz, że jestem o ciebie zazdrosny, prawda? Uważasz mnie za przygłupiego osiłka, zazdrosnego palanta, który...

— Steve, nie wiem, o czym mówisz.

— Nie pojmujesz, cholera? Ślepy jesteś, czy co? Każda wasza pogawędka, każde wasze wspominki dobrych, starych czasów mnóstwo ją kosztują. Nie widzisz tego? No tak, bo dla ciebie twoje głupie gadki nic nie znaczą... są zwyczajną przyjemnością. A ponieważ ona podczas rozmowy z tobą zachowuje się niby normalnie...

— Steve...

— ...jednak w parę godzin później, gdy jesteś już od dawna daleko i pieprzysz jakieś dziwki albo swoją dziewczynę... lub grasz w karty, jako że jesteś Jaśnie Panem Dupkiem Beztroskim Kawalerem... wtedy Alison zostaje sama z własnymi myślami. A kiedy moja żona jest sama, pogrąża się coraz bardziej, Rom. Zgadnij, kto musi sobie radzić z jej głównianymi problemami?!

Przez chwilę obaj milczeli.

Jensen raptownie wypuścił powietrze.

— Za każdym razem, gdy przychodzisz z wizytą, obracasz wniwecz efekty sześciomiesięcznej terapii.

Znowu zapadła niezręczna cisza.

— Na wypadek, gdybyś nie zauważył — dodał Steve — Alison jest bardzo krucha i niezrównoważona...

— Jestem doskonale świadom...

— Gówno wiesz, z wyjątkiem tego, co sama ci powie. Zawsze masz do czynienia jedynie z jej punktem widzenia. Z jej dziwacznymi myślami. Nie twierdzę, że nie można jej pomóc. Ty jednak się do tego nie nadajesz, rozumiano?

Poe wcisnął ręce w kieszenie, podniósł głowę i zagapił się w czarne rozgwieżdżone niebo.

— Jeśli... niechcący spowodowałem jakieś tarcia między tobą i twoją żoną, przepraszam.

— Nie potrzebuję twoich przeprosin, Rom. Chcę, żebyś zostawił ją w spokoju. Rozumiesz?

— Jasno i wyraźnie.

Nagle policjant się zgarbił. Wyglądał na zmęczonego, wręcz wycieńczonego.

— Weinberg jakoś dziwnie na mnie patrzy. Chyba mu nie powiedziałeś o...

— Nie, nie powiedziałem mu.

— Spytała cię w ogóle o tę sprawę?

— Kto? Alison?

Steve pokiwał głową.

— Tak. Mówiła, że byłeś bardzo zdenerwowany ubiegłej nocy. Spytała, czy spałeś z ofiarą.

— I oczywiście zaprzeczyłeś, prawda?

— W ogóle nie odpowiedziałem na jej pytanie.

Przez długą minutę milczeli.

— Dowiedziałeś się czegoś? — spytał w końcu Poe.

— O Brittany? — Jensen wzruszył ramionami. — Nic, co by wskazywało na zabójcę. Tylko nieistotne drobiazgi.

— Powinniśmy się spotkać we troje... z Patricią i porównać notatki.

— Podaj czas i miejsce.

Sierżant zaczął strzelać palcami, lecz się powstrzymał.

— W biurze za... hmm... dwie godziny. O dwudziestej pierwszej.

— Przyjadę. — Jensen potarł twarz i zrobił gest w stronę drzwi wejściowych. — Muszę... nie chcę jej zostawić w domu samej. — Mocniej zacisnął szczękę. — Chociaż nie wierzę, że Alison rozkoszuje się moim towarzystwem.

— Steve, ja...

— Zapomnijmy o wszystkim, stary.

Poe skinął głową. Jego współpracownik miał rację. Pewnych kwestii lepiej nie dopowiadać.

Jensen klepnął sierżanta w ramię, odwrócił się na pięcie i ruszył ku domowi. Poe stał jak wrośnięty w ziemię. Przesunął wzrokiem po nieskończonym atramencie nieba. W nocnej ciszy odbiły się echem odgłosy jego strzelających palców. Powoli zmusił się i zrobił krok. Odszedł.

Miał gigantyczną migrenę.

Prawdopodobnie zaaplikował sobie zbyt dużo kofeiny.

Koniecznien musi ograniczyć picie kawy.

Rozdział dziewiąty

Dla rozgrzewki miliarder zamachał kilka razy kijem. Żelazny koniuszek śmignął w powietrzu.

— A ty, synu? Dobry jesteś?

— Nie gram w golfa, panie Lewiston — odparł Poe.

— Jaka szkoda! — Miliarder wykonał szereg kolejnych próbnych machnięć w powietrzu. Potem nadszedł moment prawdy. Mężczyzna napiął ciało i przez chwilę się koncentrował, wpatrując się w spoczywającą na podwyższeniu piłeczkę. Wybrał cel i zakołysał kijem. Uderzenie było czyste. Piłeczka podskoczyła, opadła, potoczyła się po trawie i wpadła w otwór około pięćdziesiąt metrów dalej.

Tak wielkie miał biuro!

Sierżant szacował, że zajmuje ono połowę najwyższego piętra Laredo. Piętra dwudziestego szóstego, chociaż w istocie dwudziestego piątego, ponieważ zgodnie z zabobonną amerykańską tradycją w budynku nie było trzynastego piętra. Wyposażenie biura — mnóstwo biurek, krzeseł, foteli, tapczanów, stolików i przeróżnych innych mebli — stało na dywanie z naturalnej darni. Intensywnie zielonej, równo przyciętej darni. Temperatura w pomieszczeniach do pracy wynosiła parne trzydzieści trzy stopnie Celsjusza.

Lewiston ponownie pochylił się nad kijem.

— Więc mówi pan, że nie gra w golfa?

— Zgadza się. — Poe usadowił się w skórzanym fotelu, którego nóżki tkwiły w trawie. Lewa strona zagłębiła się w darń, powodując niebezpieczny przechył, więc detektyw natychmiast się wyprostował.

— Próbował pan kiedykolwiek?

— Kilka razy.

Lewiston podparł się na kiju. Poe poczuł na sobie wzrok właściciela kasyna. Drapieżca przyglądający się potencjalnej zdobyczy. Stalowoniebieskie oczy były gadzio zimne. Twarz wyglądała jak wyrzeźbiona — tak dokładnie wygolona i gładka, że wydawała się mokra.

Krótkie włosy w odcieniu zbyt intensywnym, by można go było nazwać siwym. Raczej srebrnym. Miliarder miał sześćdziesiąt lat, lecz trzymał się prosto; był wysoki, mniej więcej wzrostu Jensena. Na pokaz golfa włożył czarne jedwabno-welniane spodnie i białą jedwabną koszulę, której rękawy podwinął do łokci. Na nogach miał czarne buty. Nosił wąski krawat, na którym tkwiła spinka z kamieniem szlachetnym — może z akwamaryną. Teraz przerzucił sobie ów krawat przez ramię, by nie przeszkadzał mu w uderzeniu.

— Synu, skoro nie grałeś ze mną, to nic nie wiesz o tym sporcie. Może przyłączy się pan do mnie na partyjkę na jednym z moich pól w najbliższą sobotę? Golf zawsze nastraja mnie towarzysko.

— Rozbieżność między naszymi umiejętnościami byłaby zbyt rażąca, więc muszę odmówić, ale dziękuję za zaproszenie.

„Poza tym, bratanie się z szychami nie leży w mojej naturze, drogi Parkerze — dodał w myślach. — W ten sposób traci się obiektywizm”.

— Dobry z pana strzelec? — spytał Lewiston.

— Raczej tak.

— W strzelaniu do tarczy?

— Również.

— W takim razie golf to będzie dla pana małe piwo.

— Wydaje mi się, że wpakowanie piłki do oddalonej o pięćdziesiąt metrów dziury w ziemi wymaga znacznie większej precyzji niż trafienie z pistoletu w tekturową planszę.

— Hmm, mnie natomiast się zdaje, że nie powinno wymagać większej precyzji — naciskał właściciel kasyna. — Ponieważ strzelanie z broni palnej jest znacznie bardziej skomplikowane niż uderzenie w piłkę. Powinien pan popracować nad celnością na strzelnicy, synu.

Poe nie zamierzał się poddać.

— Może to kwestia perspektywy. Podejmowania natychmiastowej decyzji. Trudno strzelać dokładnie, gdy ktoś celuje do pana z wielkokalibrowej strzelby. — Szepnął: — Ręka zbyt mocno drży.

Bogacz uśmiechnął się, błyskając zębami pokrytymi tytoniowymi plamami.

— Nad tym również powinien pan popracować. Niech inni nigdy nie widzą, że się pocisz, synu.

— Będę o tym pamiętał następnym razem, gdy pogonię za uzbrojonym bandziorem, który właśnie napadł na bank. Albo, jeszcze lepiej, zadzwonię wtedy do pana. Przyniesie pan swoje kije i pokaże mu, kto naprawdę jest szefem.

— W trudnej sytuacji lepszą bronią na pewno jest magnum. Zawsze może pan pożytyć moje.

— Chętnie bym to zrobił, jednak departament mógłby mieć w tej kwestii inne zdanie. — Poe zacisnął dłonie w pięści, aby powstrzymać się przed pstrykaniem. — Dziękuję, że spotkał się pan ze mną, panie Lewiston. Naprawdę to doceniam. Szczególnie, że tak trudno do pana dotrzeć.

Przez dwie godziny próbował oficjalnie połączyć się z apartamentem miliardera. Bez rezultatu. Na szczęście, przyciągnął uwagę ludzi z ochrony kasyna, gdy dwadzieścia minut pokręcił się przy stolikach do oczka. Z niezłym skutkiem. Piętro miało nowego szefa. Wstyd, że Parkerboj nie informował swoich ludzi na bieżąco.

— Wszyscy doskonale wiedzą, jak niezwykle cenię sobie prywatność — odparł, patrząc przez zmrużone oczy. — Wydaje się pan wytrwałym facetem. Takich jak pan można by nazwać szkodnikami... insektami... albo czymś równie irytującym.

Sierżant udawał zamyślnego.

— Z całym należnym szacunkiem, nie zgadzam się z panem. Weźmy dzisiejszy wieczór. Zamiast natarczywości i natręctwa, po prostu zostawiłem kilka... subtelnych wiadomości. Wyobraziłem sobie, że spotkam się z panem, gdy będzie pan wychodził. Kręciłem się więc przy stoliku, czekając na właściwy moment.

Wyjął gruby zwitek banknotów z Benem Franklinem na szczycie. Powoli trzepnął w plik kciukiem. Tysiące dolarów zatańczyło niczym staroświecka książeczka z ruchomymi obrazkami.

— To właśnie robiłem, panie Lewiston. Zabijałem czas. Uśmiech miliardera był kwaśny jak nadgniłe jabłko.

— Może potraktujemy te dolary jako prezent pożegnalny?

— Machnął ręką. — Skoro pan... wychodzi.

Poe schował gotówkę do kieszeni i wyjął notes.

— Chciałbym zadać panu kilka pytań o Brittany Newel.

— Brittany Newel? — Lewiston wydawał się zakłopotany.

— Czy powinienem znać to nazwisko?

— Podawała się za jedną z pana dziewczyn.

— Podawała się? Kiedyś, w przeszłości? Już się za nią nie podaje?

— Nie możemy jej o nic zapytać, proszę pana, ponieważ nie żyje.

Lewiston wzruszył ramionami.

— Zdarza się.

— Znał ją pan? — spytał policjant.

— Nie pamiętam.

Poe wyjął fotografię i pokazał swemu rozmówcy.

— Oto ona. Znał ją pan?

Lewiston od niechcienia rzucił okiem na zdjęcie.

— Ładna dziewczyna. Kto to taki?

„Czy Parkerboy kpi sobie ze mnie?”, zastanowił się sierżant.

— Nie wygląda znajomo?

Miliarder zachował idealnie pokerową twarz.

— Synu, wygląda jak tysiąc innych girlasek w tym mieście.

— Nazywała się Brittany Newel.

Mężczyzna rzucił kolejne spojrzenie na fotkę.

— Wstyd mi, ale nie sądzę, żeby kiedykolwiek u mnie pracowała.

— Z jej zeznań podatkowych wynika coś zgoła innego.

Bez chwili wahania Lewiston podniósł słuchawkę interkomu.

— Lois, skontaktuj się, proszę, z personalnym. Sprawdź, czy młoda dziewczyna nazwiskiem Bethany...

— Brittany.

Miliarder odwrócił się do Poego.

— Niech mi pan, synu, przeliteruje imię i nazwisko, jeśli łaska.

Sierżant cierpliwie zastosował się do prośby.

— W porządku, moja droga — powiedział bogacz do telefonu. — Dzięki, moja droga. — Odwrócił się do policjanta. — Poszukiwania zajmą trochę czasu. Proszę do mnie zadzwonić jutro po południu.

„Gdy już usuniesz z akt dowody, mój drogi”, pomyślał Poe. Na szczęście widział je pierwszy!

— Dziękuję, panie Lewiston.

Miliarder zachichotał.

— Przyznam, że jest pan niezłym graczem, synu. Dobrze pan sobie radził przy moich stolikach. Dam panu jeszcze godzinkę i podwójne stawki za wygrane. Czy to wystarczająca zapłata za odwagę?

Większość gier w Las Vegas była czysta, ponieważ w jakiś magiczny sposób, nawet bez oszustw, kasyna zawsze wychodziły na swoje. Wiadomo, rachunek prawdopodobieństwa — jedna osoba wygrywa, milion innych przegrywa. Tym niemniej, istniały tysiące sposobów sfalszowania gry. Szczególnie że kasyna wyposażano w tuziny kamer, dzięki którym właściciel widział karty wszystkich graczy. Być może Lewiston pragnął zemsty.

Tak czy owak, Poe nie miał zamiaru dłużej grać frajera. Wstał z fotela i wyciągnął rękę.

— Może innym razem. Nie mamy do siebie żalu?

— Ależ skąd. — Miliarder chwycił wyciągniętą dłoń i zgniół ją w potężnym uścisku. — Ani trochę.

Sierżant policzył do trzech, po czym cofnął rękę. Przez cały czas się uśmiechał. „Dupek!” Czuł się, jakby dłoń miażdżyła mu prasa hydrauliczna. Nie przejmował się jednak za bardzo bólem. Przy najmniej nie będzie mu się chciało strzelać tak obolałymi palcami. Nie ma tego złego, co by...

— No cóż, jeśli zatem nie zamierza mi pan potowarzyszyć na polu golfowym w sobotę, lepiej niech pan już znika. — Lewiston uśmiechnął się leniwie. — Proszę mnie nie zmuszać, żebym zadzwonił do swojego prawnika. Władzom miejskim nie spodoba się pańskie nartęstwo.

— Może i nie. — Poe znowu wyjął gotówkę. — Mogę dostać kwit na pieniądze?

— Na dole. — Lewiston zadzwonił do sekretarki. — Lois, pokaz proszę detektywowi Poe drogę do wyjścia.

— Sierżantowi.

Król hazardu jednakże tylko podniósł kij i smagnął nim w powietrzu. Udawał, że nie słyszy.

Z powodu problemów lokalowych Wydział Zabójstw wyprowadził się z magistratu do własnego budynku, nieadekwatnie do wyglądu nazywanego „pałacem sprawiedliwości”. Gmach był bardzo nieciekawym i nijakim — jednopiętrowy otynkowany dom z dachówkowym dachem i podwójnymi szklanymi drzwiami; zdecydowanie bardziej pasował na biuro agencji ubezpieczeniowej albo towarzystwa powierniczego. Przed frontem znajdował się mały parking, na tyłach — brukowany plac, za nim zaś podobna architektonicznie, choć znacznie niższa budowla — laboratorium kryminologiczne.

Przeprowadzka wywołała prawdziwy aplauz w Wydziale Zabójstw. Detektywi natychmiast pokochali nowe otoczenie. Siedziba mieściła się teraz w odległości wielu kilometrów od innych departamentów, a także od wiecznie wtrącającego się szefostwa. Jednym słowem, otrzymali spokojny azyl, w którym mogli swobodnie myśleć i pracować. Niebagatelny był również fakt, że obecnie pod ręką mieli sekcję Analizy Miejsca Zbrodni; wystarczył ledwie kilkuminutowy spacer od własnego biurka do laboratorium, by uzyskać wszelkie informacje o okolicznościach popełnienia przestępstwa. Nawiasem mówiąc, dzięki tej bliskości dwóch gmachów, dowody znacznie rzadziej ostatnio ginęły.

Jensen od jakiegoś już czasu ślęczał za biurkiem. Uznał, że pora na przerwę, odsunął się od notatek i odchylił się na krześle. Do dwudziestej pierwszej pozostało dziesięć minut. Czyli że pozostali zjawiają się dosłownie za chwilę. Deluca i Poe byli znani z punktualności. Policjant zrobił głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. Wstał, podszedł do stolika z ekspresem i nastawił dzbanek kawy bezkofeinowej.

Pobyty w tym pomieszczeniu uspokajał Jensena bardziej niż kochanki, alkohol czy noce spędzane na spotkaniach z kumplami... Szczególnie lubił przebywać tu sam, w nocy. Pokój detektywów zaprojektowano jako jedno wielkie, prostokątne pomieszczenie. Całkowicie otwarte. Żadnych boksów czy przeszklonych kabin. Niemal każda rozmowa była słyszalna dla pozostałych, toteż policjanci co rusz omawiali ważne kwestie podczas przypadkowych pogawędek. Ściany pomieszczenia pomalowano na pastelowy błękit, podłogę — od ściany do ściany — pokrywał błękitny dywan. Kwadratowe panele fluorescencyjnego światła zmieniały sufit w szachownicę światła i cienia. Obecnie pod ścianami znajdowało się piętnaście stanowisk; każdy detektyw miał osobne biurko, krzesło, komputer, drukarkę, telefon i kubek do kawy.

Czegóż więcej mogli potrzebować?

W jednym rogu stała lodówka i ekspres do kawy, w drugim — przeszklona szafka z bronią. Nad drzwiami wejściowymi wisiał plastikowy sęp — maskotka wydziału. W dzień za tylnymi oknami widać było parking. Ogólnie rzecz biorąc, ludzie zdecydowanie bardziej czuli się tu jak w zwyczajnym biurze niż w Wydziale Zabójstw. Jensenowi to odpowiadało.

Często oglądał telewizję i nigdy nie mógł pojąć pewnej rzeczy — w jaki sposób serialowi wielkomięscy gliniarze potrafili pracować w takim chaosie? Jak mogli pisać raporty, skoro wszędzie wokół nich przeklinali przestępcy, pyskowały zatrzymane dziwki, a czasem nawet oczekujące na przesłuchanie kobiety rodziły dzieci... Domyślał się, że podobne tło stanowiło dobrą scenografię dla telewizyjnego dramatu, chociaż w takim pandemonium z pewnością nikt nie mógł myśleć. U nich wszystko było stonowane i spokojne... niczym w biurze małomiasteczkowego szeryfa. Porównanie wydawało się całkiem stosowne, gdyż Las Vegas początkowo zbudowano na wzór typowej

osady z Dzikiego Zachodu, łącznie z saloonem pośrodku, teraz, gdy populacja przekroczyła milion, miasto borykało się z problemami wszystkich metropolii. Coraz częściej przybysze przywozili do mekki hazardu swoje kłopoty i stare konflikty. A później lokalna policja musiała walczyć z tym bajzlem.

Weszła Deluca. Rzuciła torebkę na biurko, usiadła i przeczesała pękatymi paluchami świeżo umyte włosy. Twarz miała zarumienioną, minę wesołą.

— Złapałam trop.

Jensen wyprostował się na krześle i ostentacyjnie powąchał powietrze.

— Perfumujesz się?

— Tylko kropelka — odparła beztrąsko Patricia. — Przesadziłam?

— Nie. W gruncie rzeczy, pachniesz bardzo ładnie. Cóż to za okazja?

— Musiałam... hmm... zająć się moim tropem. — Wyjęła notatki.

— Przepytowałam tego barmana, który miał dla mnie cenne informacje. Nazywa się Nate...

— Kim jest Nate? — spytał Poe, wchodząc do pokoju detektywów.

— Barmanem, który podsunął Patty trop.

— Chciałeś powiedzieć: Tłustej Patty, kolego. — Patricia mrugnęła łobuzersko do nagle czerwieniącego się Jensena. — Wiem, jak mnie nazywacie za plecami. — Odwróciła się do sierżanta. — Otrzymałam pewną wskazówkę. Być może barman widział Brittany Newel ubiegłej nocy w knajpie U Barry'ego.

Podążyła im adres.

Poe wyjął notes i zapisał.

— Nigdy o tym lokalu nie słyszałem — stwierdził Jensen.

— Bo to bar dla tubylców — odparła Patricia.

— Czyli dla Indian? — spytał Jensen.

— Nie, nie, dla mieszkańców Las Vegas. Popatrz na adres. Dzielnica robotnicza.

— Założę się, że Y go zna — mruknął sierżant.

— Nie wątpię — odrzekł Steve. — Ten facet zna wszystkie bary w naszym mieście. Tak swoją drogą... Ile on ma lat, koło osiemdziesiątki?

— Raczej sześćdziesiąt pięć, góra siedemdziesiąt — odpowiedział Poe. — Po prostu ma mocno pomarszczoną twarz.

— Wygląda jak mumia — zauważył Jensen. — Jest z tobą spokrewniony? O, przepraszam, pewnie nie lubisz, kiedy ci się publicznie wypomina, że w twoich żyłach płynie indiańska krew.

— Wręcz przeciwnie. Jestem dumny ze swego pochodzenia. — Nadal z notesem w rękę Poe rozsiadł się na krześle i skrzyżował stopy na blacie biurka. — Jak się skumałaś z tym barmanem, Patricio? I jak się nazywa, tak przy okazji?

— Nathan Malealani.

— Hawajczyk? — wtrącił Jensen.

— Raczej Samoanczyk. W dzień pracuje w barze Oaza w Casablanca. Bar był na liście Weinberga. Zdaje mi się, że miałam dużo szczęścia.

— Myślę, że znacznie pomogłaś szczęściu. — Sierżant zwrócił się do Steve'a: — Dowiedziałeś się czegoś interesującego?

— Nic szczególnego. — Jensen podniósł listę z biurka. — Rozmawiałem z gośćmi. Dwóch, trzech... no może czterech w ogóle skojarzyło Brittany. Żaden nie współpracował z nią na co dzień. Z powodu narkomanii zrobiła się strasznie niesolidna.

— Jak się dzielili? — spytał Poe.

— Początkowo pół na pół — odparł Jensen. — Kiedy wygląd Britany się pogorszył, dostawała już tylko czterdzieści procent. Przeważnie dzwoniли do niej w weekendy, gdy wzmagal się ruch.

— Zarabiała dość pieniędzy, by przeżyć tydzień? — spytała Patricia.

— To zależy, ile zarobiła w weekend. A może pożyczala od Lewistona?

Poe wsunął do ust gumę.

— Zaprzeczył, że ją znał.

W pokoju zapadło milczenie. Przerwał je Steve:

— Naprawdę rozmawiałeś z Parkerboyem?

— Po dwóch godzinach czekania zacząłem się włóczyć po kasynie. W tę i z powrotem. Laredo ma nowego szefa piętra.

Patricia uśmiechnęła się.

— Jak pana znam, szefie, to nieźle ich pan naciągnął, nieprawdaż?

— Jasne, moja droga! — Poe gwałtownie zdjął nogi z biurka, wstał i klasnął w ręce z radości. — Znacząco odchudziłem im kasę i zadrwiłem z sukinsyna, który chroni Parkerboya przed glinami.

— Krupierzy nie wierzą w tasowanie kart? — spytał Jensen.

Sierżant roześmiał się.

— Trafiło mi się szczęśliwe rozdanie. Mniej więcej godzinę później poczułem swojskie klepięcie w ramię. Odwróciłem się, uśmiechnąłem i pokazałem odznakę panu Gilowi Lawsonowi.... który zapewne kiedyś nazywał się Guido Lombardi.

— „Czas iść, Poe” — zacytował Jensen.

— W tym momencie facet ugrzązł — kontynuował sierżant. — Chciał mnie wykopać, ale odkrył, że jestem gliniarzem. I nie wiedział, co, do diabła, robić. Więc wymyśliłem, że mu pomogę. Tak przynajmniej zasugerowałem. Że odejdę od stolika bez awantury, jeśli będę mógł zamienić kilka słów z jego szefem. Po dziesięciu minutach otrzymałem odpowiedź. A rezultaty? — Roześmiał się i potrząsnął głową. — Facet jest fanatykiem golfa. Całe wielgachne biuro ma pokryte dywanem, który wygląda jak prawdziwa trawa. Ćwiczy sobie na nim uderzenia.

— Och, niech pan da spokój — mruknęła Patricia.

— Nie żartuję.

— Nie posiada przypadkiem własnego pola golfowego? — spytał Jensen. — Tego za Saharą, obok Rancho Fiesta. Grałem tam raz na benefisie jakiegoś policjanta. To dobre pole.

— Facet posiada własne pole golfowe? — zainteresowała się Patricia.

— A dlaczego nie? — spytał Jensen. — Do Wynna należy na przykład pole przy naszym uniwersytecie.

— Tak, lecz tamto jest otwarte dla wszystkich, prawda? — drążyła dalej policjantka.

Poe wzruszył ramionami.

— Tak czy owak, podczas naszej rozmowy Lewiston wyparł się znajomości z Brittany. I zastanawiam się właśnie nad powodami takiego stwierdzenia.

— Może faktycznie jej nie znał.

— Oj, chyba jednak znał — odpalił sierżant. — W każdym razie, stwierdził, że jej nie pamięta. Podobnie Reagan nie pamiętał, że sprzedał broń...

— Reagan to może rzeczywiście nie pamiętał — zauważyła zgryźliwie Patricia. — Ma przecież Alzheimera.

— Każdy wie, że Parkerboy to pies na dziwki. Miał setki dziewczyn. Dlaczego miałby nie znać akurat Brittany?

— Nawet jeśli ją znał, nie musi być zaraz zamieszany w jej śmierć — stwierdził Jensen. — Może po prostu nie chciał dać ci się w cokolwiek wplątać. Gdyby się przyznał do kontaktów z nią, zacząłbyś zadawać szczegółowe pytania. Łatwiej mu było stłumić sprawę w zarodku. Umył od niej ręce i już.

— Hmm... Zachowywał się raczej, jakby coś ukrywał — odparł Poe. — Chciałbym się dowiedzieć, gdzie przebywał ubiegłej nocy.

Steve uśmiechnął się.

— Może wypytasz jego goryla?

Sierżant roześmiał się.

— Świetny pomysł, stary. Zanim mnie rozwali czy dopiero później?

— Dajcie spokój — przerwała Patricia. — Bugsy umarł dawno temu...

— Ale pamięć o nim nadal żyje — odparował Jensen.

— Nie wykończyliby gliniarza. — Policjantka upierała się przy swoim.

— Prawdopodobnie nie. — Chociaż Poe naprawdę nie był pewny, co mogłoby mu się przydarzyć, gdyby zaczął deptać miliarderowi po piętach. — Co zatem mamy? Podsumujmy. Jest dziewczyna poszatkowana przez jakiegoś sadystycznego psychola, który zanim się za nią zabrał, nafaszerował ją narkotykami...

— Skąd to wiesz? — przerwał mu Jensen.
— Do takiego wniosku doszła Rukmani.
— Co jeszcze mówiła? — spytała Patricia. Przez chwilę sierżant przerzucał notatki.

— Żadnych ran kłutych ani postrzałowych... W próbkach tkanek znalazła nieliczne kawałki metalu sugerujące użycie jakiegoś narzędzia, ale też fragmenty szkliva zębów. Nie było wszakże śladów ugryzienia. Mówiła, że raczej zęby rozdzierały ciało zabitej...

Zamknął notes i spojrzął na swoich detektywów.

— Doktor Kalii sądzi, że hmm... facet znęcał się nad jeszcze żywą ofiarą. Brittany prawdopodobnie była nieprzytomna, lecz żywa. Rukmani znalazła paznokieć tego potwora.

Zaczął nerwowo strzelać palcami i natychmiast się skrzywił. Rękę nadal miał obolałą od miazdzącego uścisku Lewistona.

— Okej, wiemy zatem, że Brittany krążyła po barach. Patricia sprawdzi U Barry'ego, gdzie być może zamordowana przebywała ubiegłej nocy. Może wyszła stamtąd z kimś... Była przecież prostytutką. — Spojrzął na Jensena. — Czy któryś z twoich gońców nie podesłał jej klienta ostatniej nocy?

— Jeśli tak, żaden się nie przyznał.

— Wróć i przyciśnij ich — polecił Poe.

— Zrobię to, Rom. Sądzę jednak, że dawno minął okres, kiedy Brittany działała w dużych hotelach jako callgirl. Założę się, że ostatnio pracowała głównie dla ulicznych dilerów w zamian za narkotyki.

— Skoro Patty i ty jesteście zajęci, chyba osobiście muszę sprawdzić Nagie Miasto. — Sierżant uniósł brwi. — Wnosząc z akt, dziewczyna była jego honorową obywatelką.

Rozdział dziesiąty

Nate nie żartował, gdy mówił, że knajpa U Barry'ego jest barem dla robotników. Lokalik nie posiadał żadnych wabików dla turystów. Chociaż całkiem przestronny, był ciemny, zadymiony i cuchnął tanim alkoholem. Na wyposażenie składał się kontuar z laminowanego drewna w kształcie podkowy, szereg stołków barowych oraz około dwudziestu stolików otoczonych krzesłami. No i parę bilardowych stołów. Lokal był pustawy, zajęty ledwie w około jednej trzeciej. Pora była wszakże jeszcze wczesna. Większość klienteli stanowili mężczyźni, Patricia dostrzegła jednak również kilka długowłosych kobiet po czterdziestce. Dla zabicia czasu gawędziły lub grały na automatach pokerowych. Natomiast przy jednym z narożnikowych stolików toczyła się partyjka tradycyjnego pokera.

Policjantka przez moment przyzwyczajała wzrok do ciemności, po czym wybrała miejsce przy najdalszym krańcu kontuaru. W odległości sześciu stołków od niej siedziały dwie kobiety w obcisłych dżinsach i kraciastych koszulach. Piły piwo i flirtowały z barmanem.

Dziwne, lecz Patricią poczuła się tutaj prawie jak w domu. Lokal wydał jej się osobliwie przyjazny. Pijący zachowywali się nadspodziewanie przyzwoicie. Zresztą, była pewna, że w razie kłopotów Nathan Malealani i jego współpracownik — olbrzym o wyglądzie zapaśnika sumo — zapanują nad sytuacją. Nate zmoczył i przycesał niesforne loki; założył odblaskowo-różową hawajską koszulę zadrukowaną palmami i wykończonymi drewnem luksusowymi samochodami kombi. Policjantka wymieniła z nim spojrzenia. Pomachał jej, a jego wspaniały uśmiech niemal rozświetlił pomieszczenie. Dziewczyna mimowolnie również się do niego uśmiechnęła. Usiadła przed nim, potem mechanicznie wrzuciła trzy ćwierćdolarówki w stojącego obok „jednorękiego bandytę”. Przycisnęła guzik z napisem: „włóż trzy”. Maszyna zatrzymała się na układzie trzech wisienek. Wygraną obwieściła kakofonia dźwięków.

— Dobry początek — zauważył Malealani.

- Jeśli teraz przerwę, pozostaną zwyciężczynią.
- Tak, na tym właśnie polega ta zabawa — przyznał. — Trzeba wiedzieć, kiedy przestać. — Wcisnął guzik i wyjął z automatu żetony.
- Przechowam dla ciebie wygraną.
- Dzięki. — Patricia studiowała barmana oczami policjantki. Wcześniej sprawdziła jego nazwisko w komputerze. Na zachodzie nie był notowany, więc nie szukała dalej. Może popełniła błąd? Z jakiegoś powodu wszakże nie chciała sprawdzać dokładniej.
- Podoba mi się twoja koszula.
- Uśmiech mężczyzny rozszerzył się.
- Dzięki. To jedna z moich ulubionych.
- „Ulubionych? Ciekawe, ile ich ma?”, pomyślała Patricia, głośno jednak powiedziała:
- Podkreśla osobowość.
- Tak, to cały ja. Mogę ci postawić piwo? A może wolisz kolejną gazowaną wodę z limonką?
- Cóż, jestem jeszcze na służbie, więc muszę się zadowolić wodą.
- Uśmiech Malealaniego przygasł przy jej stwierdzeniu „na służbie”.
- Barman nie sądził chyba, że wpadła do niego z wizytą towarzyską?
- Chociaż... przecież się uperfumowała.
- Nalał do szklanki wody sodowej. Jego zachowanie stało się bardziej powściągliwe.
- Chcesz pewno spytać o faceta, który pracuje ze mną za barem?
- Szarpnął głową na prawo. — Nazywa się Raymond Takahashi. Nazywamy go Dużym Rayem.
- Pseudonim rzeczywiście pasuje. To duży facet.
- Metr dziewięćdziesiąt osiem. Pan Bennington chętnie zatrudnia wysokich, postawnych facetów. Wiesz, efekt psychologiczny... gdy sytuacja robi się paskudna. Na pewno rozumiesz. Tak czy owak, moim zdaniem powinnaś porozmawiać z Rayem. Wydaje mi się, że obsługiwał tę dziewczynę, której szukasz.
- Patricia sączyła wodę.
- Pytałeś go o nią?

— Nie. Nie chciałem czegoś popsuć, więc postanowiłem nic nie mówić. Zresztą, wiesz, jak to jest. Niektórzy, gdy im wspomnisz o gliniarzach, zaraz robią się nerwowi. Wolałem go nie płoszyć, zanim sama będziesz miała okazję z nim porozmawiać.

— Mądre posunięcie.

— Och, po prostu zdrowy rozsądek. Przysłać ci teraz mojego kolegę?

— Byłoby świetnie. — Uśmiechnęła się. — I dzięki za pomoc. Naprawdę to doceniam.

Malealani przesunął palcami po kontuarze.

— Jesteśmy umówieni na jutrzejszy wieczór?

Patricia wzruszyła ramionami.

— Jak mogłabym sobie odmówić wizyty we włoskim barze.

Mężczyzna bez powodzenia starał się ukryć radość.

— Ale jeśli chcesz iść do jakiejś innej knajpki...

— Włoska będzie świetna, Nathanie.

Dwie dziewczyny usiadły z prawej strony policjantki. Patricia przesunęła się o trzy stołki dalej.

— Lepiej, żeby nikt nie słyszał naszej rozmowy.

— Jest wpół do jedenastej — stwierdził barman. — Niedługo znacznie się tu robić tłoczno. Jeśli chcesz spokojnie pogadać, powinnaś się pospieszyć.

Zawahał się jednak. Najwyraźniej nie chciał jej puścić.

— Hmm... Chyba nie podałam ci swojego imienia — zauważyła.

— Było na twojej wizytówce.

— A jednak nie przedstawiłam się. — Wyciągnęła rękę. — Patricia Deluca. Większość osób nazywa mnie Tłusta Patty.

Nate roześmiał się rubasznie.

— Może wystarczy Patty?

— Może być Patty. No dobra, czas pomówić z twoim kumplem.

— Hej, Duży Ray — zawołał Malealani i skinął palcem na drugiego barmana. — Chodź, przedstawię ci kogoś.

Wielkolud porzucił wycieranie kontuaru, zmarszczył brwi, odwrócił

się, popatrzył na policjantkę, wreszcie podszedł. Patricia odniosła wrażenie, że w tym potężnym mężczyźnie nie było ani grama tłuszczu. Same mięśnie. Każdy działanie wykonywał w oddzielnym ruchu — niczym robot.

Podobnie jak Nate, Duży Ray pochodził z Melanezji. Nosił luźną błękitną koszulę ze sztucznego jedwabiu i dżinsy. Wyglądał, jakby przymierzał się do rzutu kulą na kręgielni. Zmierzył Patricię przeciągłym spojrzeniem, oblizal wargi i skinął głową.

— To jest detektyw Deluca. Szuka kogoś — powiedział Malealani.

Patricia wyciągnęła rękę.

— Jak pan się miewa?

Olbrzym z ostentacyjną obojętnością ujął jej rękę. Jego twarz pozostała całkowicie pozbawiona emocji.

— Kogo pani szuka?

— Masz przecież zdjęcie, prawda? — rzucił w jej stronę Nate.

Rzeczywiście, miała fotkę. Wyjęła ją i pokazała Dużemu Rayowi.

— Jestem z Wydziału Zabójstw. Znaleźliśmy tę kobietę martwą ubiegłej nocy. Nate twierdzi, że być może pan ją obsługiwał.

— Tak, zgadza się.

Patricia o mało nie spadła ze stołka. Zazwyczaj cynicznie podchodziła do życia, podejrzewała więc, że przystojny barman ją zwodzi. Na szczęście, pomyliła się.

Najpierw trzy wisienki w „jednorękim bandycie”, a teraz coś takiego!

Zbyt wiele szczęścia na jeden dzień. Zadała sobie pytanie, kiedy w takim razie zaczną się problemy. Wyjęła notes.

— Jest pan pewien, że właśnie tę kobietę?

Duży Ray potwierdził bez wahania.

— Nie wyglądała tak dobrze, jak na tym zdjęciu. Ale twarz była ta sama.

— Jak zatem wyglądała? — spytała Patricia.

— No... nie wiem. Po prostu niezbyt dobrze. Niby młoda, a jakaś taka zniszczona. — Rozejrzał się po pomieszczeniu. — Pasowała do

kobiet, które tutaj bywają. Są zniszczone... jakby mieszkały na wysypisku śmieci.

— Była z kimś?

— Przyszła sama, ale całkiem szybko poderwała faceta.

— Kogo?

— A takiego młodego bubka — odparł Ray.

— Młodego?

— Tak, młodego. Był niski.

— Niski?

— Tak, dość niski.

Patricia przestała pisać, spojrzała na niego i zapytała poważnie:

— A konkretnie?

Duży Ray kantem dłoni oznaczył miejsce na piersi.

— Sięgałby mi dotąd.

Na oko może metr siedemdziesiąt dwa, góra siedemdziesiąt pięć.

— Jak wyglądał? — naciskała policjantka.

— Poza tym, że był niski? — zastanowił się Duży Ray.

— No właśnie.

— Nie pamiętam żadnego niskiego faceta — mruknął Malealani.

„Zamknij się, Nathan!”, warknęła w myślach Patricia.

— Jak...? — zaczęła.

— Zamówił szklaneczkę czystego dewara — powiedział Duży Ray.

— Nie pamiętasz go?

Malealani zmarszczył brwi.

— Aaa, ten facet.

— Tak, dokładnie ten.

— Pamiętasz go, Nate? — spytała Patricia.

— Trochę. — Do Dużego Raya powiedział: — I wyszedł z tą dziewczyną?

— Tak.

— Kiedy się zjawił?

— Wszedł zaraz po niej. Około dwudziestej drugiej trzydzieści.

— Wyszli razem? — Policjantka chciała się upewnić.

— No cóż, nie pamiętam, czy razem wychodzili. Ale zniknęli mniej więcej w tym samym czasie.

— O której?

— Nie pamiętam dokładnie. Mniej więcej o dwudziestej trzeciej trzydziści, może o północy.

Ciało znaleziono dwadzieścia dwie minuty po godzinie pierwszej w nocy. Aż nadto czasu na morderstwo. Choć z drugiej strony, zważywszy na stopień okaleczenia ciała, zabójca musiałby się nieźle spieszyć...

Ktoś krzyknął z dalekiego końca baru:

— Hej, mogę dostać piwo?

Malealani natychmiast się ruszył.

— Należę — oświadczył.

Patricia rozejrzała się. Lokal powoli się zapełniał. Pomyślała, że musi bardziej przycisnąć barmana.

— Więc wyszli około północy?

— Tak.

— Co jeszcze może mi pan powiedzieć o tym niskim facecie?

— Był chudy.

— Niski i chudy.

— Można go tak opisać.

Zjawili się kolejni klienci. Patricia dała sobie jeszcze jakieś pięć minut.

— A jego włosy? Jakiego były koloru? Był blondynem, brunetem, może łysy?

— Nie, łysy nie był. — Duży Ray był zakłopotany. — Ale nie pamiętam koloru włosów.

— No cóż, a może były proste lub kręcone? Falujące, rzadkie, gęste...

— W ogóle nie pamiętam jego włosów.

Patricia zaczęła myśleć jeszcze szybciej.

— A może przypadkiem nosił kapelusz?

Duży Ray uniósł brew. Nie wiedzieć czemu, dopiero to pytanie wyrwało go z letargu, w jakim pogrążony był od początku rozmowy.

— Tak. Właśnie. Nosił kapelusz. Czarny. Jak Charlie Chaplin. — Przerwał. — I miał koński ogon. Nie pamiętam koloru włosów, lecz na pewno nosił kitkę.

Patricia zapisała szybko. Wrócił Malealani.

— Ten facet od dewara nosił koński ogon — oznajmił mu Duży Ray, później znowu spojrzął na policjantkę. — I był starannie ogolony. Chociaż zaraz... hmm... miał taki brzoskwiniowy meszek na twarzy. Wie pani, jak smarkacze, zanim zaczną im rosnąć broda. I taki sam meszek pod nosem.

— Brzoskwiniowy meszek... Aż taki był młody?

— Nie, miał trzydzieści lat. Sprawdzalem jego prawo jazdy, bo wyglądał na nieletniego.

Patricia poczuła, że serce bije jej szybciej.

— Widział pan jego prawo jazdy?

Duży Ray skinął głową.

— Może... zapamiętał pan nazwisko?

Barman nawet nie rozważył jej pytania.

— Nie, nie. Zerknąłem tylko na datę urodzenia. Tyle pamiętam. — Podał datę.

— Pamięta pan jeszcze jakieś szczegóły związane z wyglądem tego mężczyzny? Na przykład oczy?

Duży Ray odpowiedział ze śmiertelną powagą:

— Tak, miał oczy.

Obaj mężczyźni parsknęli śmiechem.

— Bardzo zabawne — mruknęła, ale również się uśmiechnęła. Chciała im pokazać, że ma poczucie humoru. Najważniejsze, żeby mówili! — Zauważył pan kolor?

— Były jasnoniebieskie albo zielone. Coś w tym rodzaju. — Zastanowił się. — A może jasnobrażowe... Nie jestem pewien. Nie przyglądam się ludziom, póki nie sprawiają problemów.

— A wargi? Jakie miał? Cienkie, grube...?

— Grube.

— A same usta? Szerokie, wąskie...?

— Po prostu usta.

— Z grubymi wargami.

- Tak, właśnie.
- A twarz? Jaka była? Pociągła? Puciołowata?
- Raczej pociągła. — Duży Ray rozejrzał się wokół. — No, zaczyna się robić tłoczno.
- Wiem. Może mi pan poświęcić jeszcze minutkę?
- No, chyba że jedną.

Patricia błyskawicznie zsumowała w myślach uzyskane informacje. Nie miała nazwiska towarzysza Brittany, jedynie jego datę urodzenia. Niski, szczupły mężczyzna w kapeluszu i z końskim ogonem. Pija whisky marki Dewar, ma brzoskwiniowy meszek na twarzy, brązowawe oczy i grube wargi. Nie był to może opis fotograficzny, ale w sumie nie najgorszy.

— Ray, jeśli znalazłby pan jutro godzinę, proszę spotkać się z naszym policyjnym rysownikiem. Może uda się sporządzić portret pamięciowy tego faceta.

Melanezyjczyk wzruszył ramionami.

— Nie ma sprawy.

Rozległ się głośny trzask, później dźwięki tłuczonego szkła.

— Tak, no dobra, cholera z tobą, Farley! — zawołał ktoś.

Duży Ray zerknął ponad głowę policjantki.

— Co się tam dzieje? — wrzasnął.

Malealani był już na miejscu. Wielki facet przy kości, a taki szybki. Jego potężny, grzmiący głos niemal dźwięczał.

— Za dużo wypiliśmy, koleś?

— Pieprzę cię...

— Zaprowadzę cię do łazienki.

— Powiedziałem...

— Wiesz co, chyba jednak pomogę ci znaleźć tylne wyjście.

— Chrzanię twoją pomoc...

— Tak, tak, jasne! — Malealani zaczął ciągnąć po podłodze jakiegoś rozkrzyczanego faceta w czerwonej koszuli. Otworzył tylne drzwi i wyrzucił go na ulicę.

Duży Ray roześmiał się.

— Nigdy niczego się nie nauczą. Muszę wracać do pracy — rzucił w stronę Patricii.

Odwrócił się i odszedł. Po chwili wrócił Nate. Wycierał ręce w spodnie.

— Jeszcze szklaneczkę mineralnej, Patty?

— Nie, nie, dzięki. — Policjantka wsunęła notes do torebki. — Jądem na posterunek. Muszę spisać raport, zanim coś zapomnę.

— Dobrze, zatem wpadnę po ciebie jutro o dziewiętnastej. Mam nadzieję, że to nie za wcześnie? Musimy wpasować kolację między moje etaty. — Odczekał moment. — Ale w niedzielę jestem wolny. Możemy się wtedy umówić na dłuższą kolację. Znam pewien przyjemny tajski lokalik w odległości godziny jazdy od miasta. Zapewnię cię, że nigdy nie kosztowałaś tak wspaniałego jedzenia.

— Och, zobaczymy najpierw, jak będzie jutro — mruknęła Patricia. Malealani podrapał się po brodzie.

— Przepraszam, chyba się robię natarczywy. Trochę się zagalopowałem, ale po prostu zmęczyłem się już kontaktami z ludźmi... hmm... zdesperowanymi. Szczególnie kobietami. Tyle jest smutnych, zrozpaczonych kobiet w naszym mieście. Pewnie spotykasz je w swojej pracy równie często jak ja w mojej. — Obliznął nerwowo wargi. — Chciałem tylko powiedzieć, że wydajesz mi się osobą, która wie, czego chce, i pragnę cię znów zobaczyć.

Patricia miała ochotę krzyknąć: „Kto? Ja?!” Zamiast tego zachichotała i uprzejmie podziękowała za komplement. Uznała, że powinna zachowywać pozory. Jak większość ludzi w Las Vegas.

Rozdział jedenasty

Needle in the Sky przypominało raczej wieżę radiową niż kasyno. Jego budowę rozpoczęto pod koniec lat osiemdziesiątych, zakończono — w dziewięćdziesiątych. Tak powstał najwyższy budynek w Las

Vegas. Królował samotnie pośrodku pustki, w wyodrębnionej przestrzeni między krzykliwym Pasem a reprezentacyjnym centrum miasta. Cóż jeszcze można o nim powiedzieć? Rozciągał się z niego widok na całe miasto i na niedzielny obiad nie sposób było sobie wyobrazić przyjemniejszego miejsca. Wnętrze kapąło od przepychu. Istna świątynia hazardu. Okolice jednakże nie nastrojała optymistycznie. Tuż za Needle rozciągał się obszar zavalony stosami gruzu i straszący pustymi okiennicami porzuconych budynków. Teren ten mieszkańcy Las Vegas ochrzcili Nagim Miastem i uważali za naj-
nędzniejszą i najpodlejszą dzielnicę metropolii.

Taksówkarze zawsze czujnie i z obawą lustrowali pasażerów, którzy pragnęli pojechać tam w nocy. Wiedząc o tym, Poe zawsze dawał zaliczkę na początku trasy. Własny pojazd zostawiał na parkingu biura. Nie mógł nim pojechać do Nagiego Miasta i zaparkować na ulicy, ponieważ albo by go ukradli złodzieje, albo rozebrali amatorzy samochodowych części.

Sierżant szczerze nienawidził tego miejsca, toteż na wyprawy do niego zawsze zabierał ze sobą broń i liczył się z tym, że będzie jej musiał użyć. Wolalby nie, uważał bowiem, że strzelaniny są dla mundurowych, komandosów lub innych oddziałów specjalnych. W każdym razie nie dla detektywa z Wydziału Zabójstw, który próbuje odtworzyć ostatnie godziny życia pewnej zabitej dziwki. A jednak, na wszelki wypadek Poe wyczyścił dziś wieczorem pistolet. Przemknęło mu przez myśl, że postąpił jak frajer. Dlaczego właściwie nie przydzielił Steve'a do tej cholernej roboty?

Wysiadł z taksówki przed kasynem Needle. Kierowca odebrał resztę zapłaty i odjechał w cholerę.

Sierżant ruszył przed siebie. Podniósł kołnierz płaszcza i wcisnął ręce do kieszeni, wyczuwając przez materiał kaburę. Nosił broń przy pasku, ponieważ była w ten sposób łatwiej dostępna niż z uprząży pod pachą. Minął znak „Union 76”, potem długi niczym przecznica market General Store i sklep z zabawkami Toon Town. Podążał ku centrum ponurego świata beznadziei.

Mimo nocy w środku tygodnia, ruch panował tu całkiem spory. Po okolicy kręciło się tak wielu dilerów cracku, jakby urządzili sobie zawody i zleźli się tu z całego miasta. Ci z najniższego szczebla przestępczej drabiny wykorzystywali każdą okazję do handlu, w przeciwnym razie niewiele zarabiali. Byli wyłącznie pośrednikami i oferowali otrzymane od swoich szefów narkotyki klientom w samochodach, odłamując dla nich kawałek po kawałku. Dziewczyny miały w tym procederze pewną przewagę nad, wyrostkami, gdyż w kiepskie noce mogły dorobić, sprzedając swe młode ciała. Ulicznikom płci męskiej pozostawały natomiast drobne kradzieże albo obrobienie pozostawionego nieopatrnie przez kogoś auta.

Gdyby Poe dokładniej się rozejrzył, dostrzegłby wokół siebie pośredników biegających lub rozpraszających się jak karaluchy w czynszowej kamienicy na Manhattanie. Wybrał pewien mroczny zaułek, zagapił się w niego i czekał. Po chwili do krawężnika podjechała wolno honda accord z zaciemnionymi szybami.

Natychmiast zjawili się dostawcy. Najszybsza okazała się zielonowłosa dziewczyna w krótkich szortach, sandałach i staniku z czarnej skóry. Podeszła do otwartego okna, skinęła głową. Następnie zerknęła przez ramię i jej dzikie oczy błysnęły w księżycowej poświacie. W końcu sięgnęła za stanik i wyjęła coś, co sierżant uznał za grudkę krystalicznej kokainy.

Prawdopodobnie nie mylił się.

Transakcja szybko się zakończyła i samochód pojechał swoją drogą. Dziewczyna rzuciła się w tył, jej duże piersi zatrzepotały niczym wypełnione wodą balony. W minutę później zniknęła za stosem gruzu.

Scenka powtarzała się kilkakrotnie.

Policja od czasu do czasu robiła nalot na dzielnicę i zgarniała handlarzy, częściej jednak im odpuszczała. Pomijając fakt, że na ulicy rezydowały jedynie płotki, detektywi mieli w Nagim Mieście swoich informatorów.

Sierżanta nikt nie zauważał. Musiał sam sprowokować działanie.

A przede wszystkim wyjść z ukrycia. Zaczął szpiegować młodą białą dziewczynę, która przyjmowała polecenia od starszego Murzyna. Ledwie zdążył rozróżnić jego rysy, zanim mężczyzna wycofał się w cień. Poe podszedł do dziewczyny i pokazał jej banknot pięćdziesięciodolarowy.

Zrobiła kilka kroków ku niemu, po czym się zatrzymała. Kupcy zazwyczaj przyjeżdżali tu samochodami; nikt nie przychodził na piechotę. Sierżant był jednak cierpliwy i wiedział, że w końcu młoda dziewczyna skusi się na pięćdziesiątkę.

Och, była naprawdę bardzo młoda! Pod maską makijażu znajdowała się twarz dziecka, mniej więcej piętnastoletniego.

Dziewczyna miała podpuchnięte jedno oko, a jej ramiona i nogi szpeciły oparzenia od papierosów. W dodatku była boleśnie szczupła, jej włosy były różowe, usta — czerwone i popękane w kącikach. Nosiła rozdarty czarny podkoszulek i spódniczkę mini. Ewidentnie nie miała pod spodem bielizny. Musiała odczuwać dotkliwie zimno. Jej widok rozdzierał policjantowi serce. Przez chwilę chciał ją nawet aresztować — tylko po to, by spędzić tę noc w cieple. Wiedział jednak, że bez codziennej dawki narkotyku dziewczyna zacznie szaleć. A w budynku policji miejskiej Las Vegas nie ma co liczyć na detoksykację.

Jeszcze raz zamachał pięćdziesiątkiem w powietrzu.

Wciąż się wahała.

— Tam, skąd pochodzą, jest ich więcej — dodał. — I możesz zatrzymać towar. Pragnę jedynie informacji...

Wtedy dziewczyna rzuciła się do ucieczki.

„Świetne zagranie”, podsumował Poe swój ruch w myślach.

Boże, jak nienawidził tego miejsca!

W chwilę później dziewczyna wróciła ze swoim dilerem. Murzyn miał około trzydziestki, pociągłą twarz i kozią bródkę. Nosił dzinsy i lotniczą kurtkę skórzaną. Dłonie skrył w skórzanych mitenkach. Zgiętym palcem wskazującym zachęcił Poego do wejścia na swój teren.

Z sercem na ramieniu sierżant podszedł do niego, zatrzymując się w bezpiecznej odległości. Diler był od niego wyższy o dobre dziesięć

centymetrów. Wycelował broń w Poego i spytał zaskakująco wysokim głosem:

— Gliniarz?

Policjant skinął głową.

— Chciałbym zobaczyć odznakę.

— Schowaj pistolet, człowieku. Wtedy pokażę.

— Dlaczego miałbym to zrobić?

— Ponieważ jeśli sięgnę do kieszeni, możesz strzelić, a potem powiesz, że w samoobronie. Daj spokój, koleś. Zapewniam, że nie jestem z Narkotyków.

— Czego chcesz?

— Informacji o pewnej dziewczynie.

— Ile za nią zapłacisz?

— To zależy od tego, czego się dowiem.

Murzyn powoli opuścił broń.

— Nawijaj.

— Mam w kieszeni zdjęcie — stwierdził sierżant. — Pokażę ci je.

— Wyjął fotkę Brittany. — Pracowała kiedykolwiek dla ciebie?

Diler popatrzył na zdjęcie i skrzywił się.

— To jest Brittany.

Policjant aż się zakołysał na nogach, powstrzymując się przed strzeleniem palcami.

— Tak, Brittany Newel. Pracowała na ulicy?

Murzyn uśmiechnął się drętwo.

— Tak, ale nie handlowała prochami — była moją panienką. Przez miesiąc. Niezła dupa. Robiła wszystko, co jej kazałem. Dzięki jej cipce zarobiłem sporo forsy. Ale wiesz co? Jak ją jeszcze raz zobaczę, uduszę! Suka mnie okradła.

— Rozumiem — rzucił oschle Poe. — Czyli że nie kręciła się tu ostatnio.

Diler potrząsnął głową.

— Gdyby się pojawiła, nie odeszłaby stąd żywa. Nie mam cierpliwości dla takich jak ona. Jak spotkasz tę sukę i ona wspomni o mnie, powtórz jej, co ci mówiłem.

— Raczej mało prawdopodobne, bo została zamordowana.

Mężczyzna nawet nie mrugnął.

— Wcale nie jestem zaskoczony. Skoro ktoś okrada ludzi, to oni mają prawo wymierzyć sprawiedliwość.

Sierżant zastanowił się, czy diler jest winny. Wyciągnął pięćdziesiątkę. Murzyn chwycił ją w koniuszki palców. Potem wskazał na nastolatkę z popękаныmi wargami i podbitym okiem.

— Pozwolę ci ją przelecieć za jedyne dwadzieścia dolców. Za crack natomiast... cena jest standardowa.

Na myśl o seksie z dzieckiem Poe poczuł mdłości.

— Dzięki, ale chyba sobie odpuszczę.

Diler bez słowa zniknął w cieniu.

Policjant rozejrzał się. Minęła długa chwila, zanim dostrzegł młodzieńką dziewczynę o różowych włosach. Ukrywała się za stosem popękanego betonu. Zapalona zapalka oświetliła jej zniszczoną twarz. Później zapalka trafiła do szklanej lufki z crackiem. Dziewczyna wessała odrobinę i zaciągnęła się głęboko. Odrzuciła głowę, po sekundzie głowa opadła jej do przodu, podbródek dotknął piersi. W następnej chwili różowowłosa znalazła w sobie siłę i nierównym ruchem podniosła głowę. Wytarła nos i zagapiła się przed siebie. Patrzyła, lecz niczego nie widziała.

Jakie było jej życie? Od dilera do kupca, od kupca do dilera. Podbierała kawałki cracku i paliła go, aby nie myśleć o przyszłości. Jej świat z wolna rozpadał się w nicość.

Poe pomyślał z całym przekonaniem, że nawet piekło nie może być gorsze od Nagiego Miasta.

Im bliżej północy, tym silniejszy stawał się impuls. Nie aż tak mocny jak ubiegłej nocy... tym niemniej Alison czuła się wobec niego bezsilna. Wiedziała, że stale musi się mieć na baczności. Ostatniej nocy zaniedbała czujność i dała się przyłapać nieprzygotowana. Jednak naprawdę się opierała!

Nigdy nie powinna się opierać!

Nigdy, ale to przenigdy nie powinna.

Czy jej matka stawiała opór? Jeśli tak, czy właśnie ten opór doprowadził ją nad krawędź?

A może impulsy były powodem jej długich wypadów, znikania z domu... stanów fugowych, które bez wątpienia nie miały nic wspólnego z muzyką. Czy matka czuła tak intensywny popęd jak Alison? Czy ten popęd zmusił ją do ucieczki, do porzucenia doczesnego ciała i wzniesienia się na „wyższy poziom”?

No cóż, jeśli tak (a Alison często tak to sobie wyobrażała), szczerze matce współczuła. Mogła sobie pozwolić na współczucie, ponieważ była od matki znacznie silniejsza.

Po pierwsze: jej ciało... Wystarczyło spojrzeć na jej ciało.

Już zaczęły się sensacje...

Kiedy się zaczęły, wiedziała, że zostało jej bardzo niewiele czasu.

Chłopcy spali od ponad dwóch godzin. Steve wyszedł. Sytuacja była idealna.

Nie istniała żadna wymówka, by nie poddać się impulsowi.

Alison ciężko oddychała... Czuła, że przedramiona i bicepsy jej się rozszerzają... twardnieją. Podobnie uda i łydki... Jej ciało nabierało wprost nadludzkiej mocy.

W tych momentach kobieta wiedziała, że owa metamorfoza jest sprzeczna z logiką, a jednak jej umysł się nie buntował.

Hmm... albo była po prostu zdrowo kopnięta.

Naprawdę już nie wiedziała. I nie dbała o to.

Liczył się impuls!

Jej ciało żądało uległości.

Zrzuciła nocną koszulę... Stała na moment naga i silna.

Później wybiegła przez tylne drzwi w zimną, bezchmurną i bezwietrzną noc. Zimno uderzyło ją w nagą pierś, jej skóra zlodowaciała i pokryła się gęsią skórką. Twarz Alison stała się dziwna i obca.

Kobieta wbiegła do garażu, podniosła ciężki kufer i obróciła się z nim wokół własnej osi. Zaśpiewała hymn sławiący Boga i czar księżycowej poświaty. Ależ cudowną nową moc posiadała!

Odstawiła skrzynię na podłogę, potem zaczęła ją przetrząsać.

Stare ubrania Steve'a. Miała je zanieść jako dar do hospicjum Towarzystwa Antynowotworowego, ale dotąd jakoś nie mogła się zmusić do ich przejrzenia. Zaczęła wyrzucać poszczególne stroje w powietrze; materiały furczały niczym żagle na wietrze.

Co włoży dziś wieczorem?

Którą koszulę?

Którą parę spodni?

Którą parę butów? (Odpowiedź na to pytanie była łatwa. Buty Steve'a niestety na nią nie pasowały, musiała się zatem zadowolić własnymi).

Ubierała się szybko.

Oceñała swoje odbicie w popękany m lustrze.

Całkiem, całkiem dobrze. Skromnie i grzecznie.

Wszystko jest kwestią wprawy.

Teraz potrzebowała już tylko kapelusza.

Rozdział dwunasty

Wewnętrzny przymus, aby zagrać, był wręcz przygniatający. Jednak Poego znali w Needle, więc musiał zadowolić się piwem i papierosem przy barze.

Chwila odprężenia.

Głowa go bolała, był zmęczony i samotny jak pies. Szybkiego rozwiązania nie było. Potrzebował towarzystwa, szczególnie kobiecego. Przeklął się za to, że nie zdołał się umówić z Rukmani, pocieszyła go jednakże własna szlachetność. Przecież Ruki potrzebowała snu.

Sącząc spienione piwo, popatrzył na karcianą rozgrywkę przy stole i jego niepokój wzrósł. Miał straszną ochotę zagrać! Zakołysał się na barowym stołku, bez rytmu postukał podeszwą w belkę na stopy, potem badawczo przyjrzał się tłumom, w końcu zamrugał, wziął piwo i ruszył tuzin siedzeń dalej.

Y podniósł wzrok i skierował na Poego, po czym odwrócił się z powrotem do automatu pokerowego. Staremu z ust zwisał papieros, długi słupek popiołu wręcz domagał się strzepnięcia. Sierżant wyjął wodzowi papierosa z ust, strzepnął popiół do szklanej popielniczki, po czym ponownie wsunął papierosa w usta Y.

Brązowa twarz Indianina zmarszczyła się z koncentracji. Jak zwykle włożył skórzaną koszulę w odcieniu piaskowym, wąski krawat z turkusową spinką i dżinsy. Na nogach miał buty marki Nike. Czarne włosy splótł w warkocz, który opadał mu na plecy. Wcisnął guziczek i wylosował ósemkę kier. Maszyna trafiła dwójkę karo. Y znowu przegrał.

— Dlaczego czekasz na trójkę zamiast wybrać strita? — spytał Poe.

— Większe szanse wygranej.

— Najważniejsze jest zwycięstwo nad maszyną.

Y wsunął kolejną ćwierćdolarówkę w otwór automatu.

— Dla mnie najważniejsze jest wydanie wszystkich pieniędzy, a potem urżnięcie się do nieprzytomności.

— Chyba że tak... — Sierżant zlizął pianę z ust i zgasił papierosa. — Jeśli mówisz poważnie, kupię ci piwo.

Wódz nie odezwał się, najwyraźniej nie był zdecydowany. Przypatrzył się kartom rozłożonym przed nim na monitorze. Może Poe miał rację. Może najważniejsze było pokonanie maszyny. Ustawił pod fula.

Policjant zmarszczył brwi.

— Eee, lepiej postaw na sekwens.

— Przestań się wtrącać.

— Podsuwam ci tylko mądrą radę.

Stary Indianin znowu przegrał. Już miał wpuścić kolejną ćwierćdolarówkę, gdy sierżant przysłonił ręką otwór. Y spojrzął na niego z uwagą.

— O co chodzi?

— Skoro już cię znalazłem...

— Znalazłeś mnie? Wcale się nie zgubiłem.

— Mogę ci zadać pytanie?
— Potrafię słuchać i grać równocześnie.
— Co pamiętasz na temat sprawy zabójcy o pseudonimie Koszmar?

— Zabierz łapę.

Poe zdjął dłoń z otworu. Starzec wsunął weń dwie monety.

— O co konkretnie ci chodzi? — spytał.

— O wszystko.

Y spróbował sekwensu i skończył z parą asów. A jednak wygrał z komputerem, który wylosował tylko parę dam.

— „Wszystko” to dość ogólnikowe stwierdzenie.

Sierżant sączył piwo.

— Hmm... Chociaż tak w skrócie... Pamiętam plotki, że facet zostawiał jakąś część ciała ofiary jako trofeum...

— Ofiar. Były dwie.

— Rzeczywiście, miało to być pytanie numer dwa. Dlaczego pamiętam tylko jedną?

— Ponieważ byłeś dzieckiem, a drugą sprawę przemilczano. Jakaś bezdomna dziewczyna. Bez rodziny i znajomych. Policja po prostu utrzymała jej śmierć w tajemnicy. Musieli tak zrobić, ponieważ zabójstwo pierwszej ofiary wywołało straszliwą burzę.

— Opowiedz mi o niej... o tej pierwszej.

— Nauczycielka z lokalnego liceum. Miała ponoć jakieś układy z miejscowymi szychami. Gazety zwietrzyły aferę i zrobiły z całej tej sprawy cyrk. Było niezłe zamieszanie.

— W jaki sposób policja powiązała obie ofiary z jednym mordercą?

— Skąd mam wiedzieć? Odrób pracę domową. Idź do biblioteki i przejrzyj policyjne akta.

Y wyjął kolejną ćwierćdolarówkę. Poe nakrył ręką jego kościste palce.

— Mógłbyś przestać na chwilę grać?

Stary chrząknął, ale wstrzymał się.

— Pamiętasz może coś na temat... części ciała?

— Masz na myśli oczy?

— Hmm... A więc Koszmar wydłubał jej oczy.

Indianin nie odpowiedział.

— Tak? Nie? — spytał sierżant.

— Nie zadałeś mi pytania.

— Pamiętasz, czy Koszmar usuwał ofierze... ofiarom oczy?

— Krażyły takie pogłoski.

— Wiesz, czy prawdziwe?

Wódz spojrział na niego badawczo.

— Dlaczego właściwie mnie pytasz o Koszmar?

— Ze względu na podobieństwa między jego sprawą a tą, nad którą obecnie pracuję.

— Więc idź pogrzebać w aktach.

Policjant pokiwał głową.

— Czy Koszmar miał nazwisko?

— O ile wiem, nigdy faceta nie schwytano.

— A miał może cokolwiek wspólnego z zamordowaniem matki Alison?

Y wpił się swemu towarzyszowi wzrokiem w oczy.

— Od kogo to słyszałeś?

— Alison tak twierdzi. Mówiła, że policja podejrzewała, jakoby jej matka również była ofiarą Koszmar. Ponieważ została dość paskudnie pocięta.

Stary Indianin nadal gapił się na niego. Wzrok miał lodowaty i bezlitosny. Jednak Poe nie zamierzał dać się zniechęcić.

— Byłeś blisko z jej rodziną. Sądziłem, że może masz jakieś... hmm... nieoficjalne informacje.

Y wyrzucił zgasłego papierosa, zapalił następnego.

— Źle myślałeś, sierżancie.

— Mój błąd, wybacz. — Tym razem to policjant obrzucił wodza piorunującym spojrzeniem. — Tylko wykonuję swoją pracę, stary.

— Rozgrzebujesz nie do końca zasklepione rany.

— Czyje? Alison czy twoje? — Pochylił się bliżej. — Y, obaj wiemy, że Koszmar zniknął po samobójstwie matki Alison. Ostatniej nocy Alison powiedziała mi, że to samobójstwo było podejrzane. Jej

sugestia skłoniła mnie do myślenia. Szczególnie po tym, co widziałem ubiegłej nocy. Powinieneś zobaczyć, co ten potwór zrobił zabitej przez siebie dziewczynie. Muszę go znaleźć, zanim zamorduje następną.

— No więc czemu mnie pytasz o Koszmara? — spytał starzec. Nadal jego ton pobrzmiwał goryczą. — Sądzisz, że wrócił po dwudziestopięcioletniej przerwie?

Poe odrzucił głowę w tył.

— Może i tak.

Y zaciągnął się papierosem, potem podał go swemu towarzyszowi.

— Tym bardziej sprawdź dawne akta. Być może moją pamięć zacięmiła starcza demencja.

Policjant pociągnął papierosa i oddał go Y.

— Niezły dowcip, ale mnie nie nabierzesz. Nadal jesteś ostrym cwaniakiem. — Strzelił palcami, potem się powstrzymał. Obserwował Indianina. — Y, czy my jesteśmy spokrewnieni?

— Mów mi tato.

— Pytam poważnie.

— Wszyscy Pajuci są ze sobą duchowo spokrewnieni.

— Nie dostanę od ciebie prostej odpowiedzi, co?

Y zmilczał jego pytanie.

— Przyszło mi do głowy odtworzenie drzewa genealogicznego własnej rodziny — mruknął sierżant. — Pewnie nie znajdę Szoszonów czy południowych Pajutów w mormońskich archiwach. Wyobraziłem sobie, że byłbyś moim najlepszym informatorem.

— Zdziwisz się. Mormoni najechali nasz kawałek skały i zamieszkali na tych żyznych ziemiach w tym samym czasie, co my. Marukats przynieśli nam cywilizację, a równocześnie zredukowali naszą tysiącletnią kulturę do sklepu z kiczowatymi pamiątkami na Main Street.

— Wcale nie jesteś rozgoryczony, co?

Starzec wrzucił kolejną monetę do maszyny.

— Mormonów i Pajutów łączy jedna wspólna rzecz.

— Jaka?

— Poligamia.

Poe uśmiechnął się.

— Zgaduję, że w kwestiach związanych z cipkami faktycznie doskonale się rozumieją.

Y wymusił uśmieszek, po czym spoważniał.

— Nie powinieneś rozmawiać z Alison o jej matce. Dziewczyna jest delikatna, a rozmowy o przeszłości przywołują wspomnienia.

Policjant westchnął.

— Steve palnął mi już na ten temat wykład.

— I miał rację.

— Zostajesz tutaj na całą noc, wodzu?

— Tu jest cieplej niż na ulicach.

— Chcesz pojechać do mojego domu?

Stary rozważał przez moment tę opcję.

— Nie wydałem jeszcze wszystkich pieniędzy.

— Ten automat nadal tu będzie jutro rano. — Wstał. — Daj spokój, Y. Weźmiemy taksówkę, pojedziemy do mojego auta. — Wódz chrząkał, gdy sierżant pomagał mu wstać.

— Skąd masz tyle pieniędzy na grę, stary? Nigdy nie widziałem, żebyś pracował.

— Od Wujka Sama.

— No tak, zgadza się. Jesteś przecież weteranem.

— Tak, najpierw byłem w Korei, a potem zaciągnąłem się do Wietnamu i zostałem podwójnym weteranem. Byłem w przeszłości prawdziwym wojownikiem.

— W moim mniemaniu nadal nim pozostałeś.

— Dostaję też forszę za to, że jestem Indianinem, rdzennym mieszkańcem Ameryki, czy jak tam nas nazywają. Odszkodowanie za życie w złym miejscu i o zły porze. — Y zatoczył się i potknął, na szczęście natychmiast odzyskał równowagę. — Tak, jestem weteranem wojen zewnętrznych i domowych. Stary Wuj Sam wykorzystał mnie do swoich celów i teraz mi za to płaci. Będę musiał spać u ciebie na podłodze?

- Możesz w łóżku.
- Och, prawdziwie chrześcijańskie miłosierdzie.
- Nazywaj mnie świętym Romulusem.

Telefon zadzwonił, gdy Poe przekroczył próg swojej jednopokojowej glinianki. Ciągłe podtrzymując starca, zapalił lampę na baterie, włączył komórkę i wsunął ją sobie pod brodę. Równocześnie wypluwał drobiny żwirku, który niósł ostry wiatr pustyni.

- Słucham?
- Detektyw sierżant Poe?

Nieznajomy głos, lecz osoba znała jego służbowy stopień. Niedobry znak w godzinę po północy! Zamknął nogą drzwi.

- Tak, to ja.
- Witam. Mówi sierżant Willis Hollister z Reno.
- O rany! — Y robił się ciężki jak z ołowiu, a jego głębokie chrapanie przeszkadzało Poemu w rozmowie. — Może pan chwilkę poczekać?

— Jasne, nie ma problemu.

Sierżant położył starca na tapczanie. Zamierzał się zająć przyjacielem natychmiast, kiedy tylko zażegna najnowszy kryzys. Telefony od policjantów z Reno zawsze oznaczały kłopoty.

W końcu mógł swobodnie mówić.

- Chodzi o moją matkę?
- Niestety, tak.
- Gdzie jest?
- No cóż, w tej chwili... w więzieniu.
- Dobry Boże.

— Próbowaliśmy... uniknąć kłopotów. W przeszłości pański brat zawsze w tego typu sytuacjach z nami współpracował. Tym razem nie udało nam się jednak z nim skontaktować i dlatego właśnie dzwonię do pana.

Poe ponownie spojrzął na zegarek. Czasami, gdy jego brat miał duże zlecenie, pracował do późna.

- Proszę posłuchać, wykonam kilka telefonów. Gdyby pan mógł

opóźnić oficjalne postawienie matce zarzutów, na znajdę kogoś, kto odbierze ją z pańskich rąk. Po co zapychać sądy błahostkami, nieprawdaz?

— Musi się pan pospieszyć, sierzancie. Pańska matka blokuje nam celę w areszcie, no i w ogóle trzeba tę sprawę załatwić w taki czy inny sposób.

— Niech mi pan poda swój numer, sierzancie Hollister. Oddzwonię w przeciagu kwadransa. Wystarczy?

— Tak, kwadrans mogę poczekać.

— Dzięki. Jeśli będzie pan kiedykolwiek w okolicy Las Vegas...

— Wakacje spędzam na rybach.

Rozłączył się.

Poe zaczął szaleńczo wystukiwać numery. Brata nie było ani w pracy, ani w domu.

Cholera, cholera, cholera!

Znowu sprawdził czas. Za późno, by łąpać samolot do Reno. Nie miał też najmniejszej ochoty tłuc się samochodem. Nawet jadąc z prędkością na granicy ryzyka, spędziłby godziny monotonnej jazdy po krętych drogach. A kiedyś przecież powinien się wyspać.

Pomyślał o ciotce Shirley. Zastanowił się, czy kontaktując się z nią, nie pogorszy czasem sprawy. Ponieważ jednak brat był nieuchwytny, nie miał wyboru. Wykręcił numer. Na szczęście podniosła słuchawkę. I w dodatku (drugi szczęśliwy zbieg okoliczności), wnosząc z głosu, była trzeźwa.

— Dobry wieczór, ciotciu Shirley, mówi Romulus...

— Romulusie, jak miło, że dzwonicz! Co u ciebie?

— Dziękuję, wszystko w porządku. — Odczekał sekundę. — Wiesz? Potrzebuję twojej pomocy.

— Och, co mogę zrobić dla takiego miłego chłopca?

— Chodzi o mamę.

— A cóż tym razem zrobiła ta nieszczęsna kobieta?

„Nic, czego nie robisz sama”, pomyślał z ironią, głośno natomiast powiedział:

— Chyba wypila trochę za dużo. Zdaje się, że mamy problem.

— A zatem...

Y prychnął przez sen, przetoczył się na bok i wbił głowę w oparcie sofy. Sierżant pociągnął nosem i skrzywił się. Stary, pocił się odorem alkoholu.

— Widzisz, ciociu, mama jest na posterunku. Zastanawiałem się, czy nie mogłabyś wziąć taksówki i odebrać jej. Oczywiście, za wszystko zapłacę.

Przez moment Shirley pomrukiwała coś niechętnie, potem zaczęła posapywać, wydawać ochy i achy. Była wyraźnie niezadowolona.

— Zapłacę także za czas, który będziesz musiała poświęcić.

— Och, Romulusie. Jakże to miło z twojej strony. Ale wiesz przecież, że nie oczekuję zapłaty za pomoc własnej siostrze.

— Wiem, wiem. Nalegam jednak, byś przyjęła ode mnie drobną rekompensatę.

— No cóż, skoro nalegasz. — Przerwała. — A gdzie jest twój brat?

Doskonałe pytanie!

— Prawdopodobnie pracuje nad jakimś bardzo ważnym projektem. No dobrze, możesz już zamówić taksówkę, ciociu Shirley? Chociaż... lepiej zamówię ci ją sam.

— Och, byłoby słodko.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Tylko... no wiesz... będziesz musiała zapłacić za wypuszczenie mamy i podpisać jakieś papiery.

— Mój drogi, doskonale znam procedurę.

Mimo zmęczenia policjant się uśmiechnął.

— Bardzo ci dziękuję, ciociu Shirley.

— Wiesz, Romulusie, przyszło mi kiedyś do głowy, żeby wybrać się do Las Vegas i złożyć ci wizytę. Niestety, mój artretyzm się pogłębia...

Jęknął w duchu.

— Ciociu Shirley, zawsze się chętnie z tobą spotkam — oświadczył. W głowie mu tętniło, jakby ktoś walił mu w mózg młotem

pneumatycznym. Teraz zadzwonię po taksówkę dla ciebie, więc muszę się rozłączyć. Do widzenia i dziękuję.

— Do widzenia, Romulusie. I powiedz taksówkarzowi, żeby poczekał minutkę. Muszę się ubrać.

— Jasne. — Wcisnął przycisk kończący rozmowę.

Świetnie, doprawdy świetnie. Jedna pijaczka ma się zaopiekować drugą. Jaki może być najgorszy możliwy efekt tej wyprawy? Najwyżej obie panie po opuszczeniu aresztu udadzą się do najbliższego baru, gdzie znowu wpadną w kłopoty... i obie zostaną aresztowane.

Ale wtedy może będzie już ranek.

Poego obudziło wycie kojotów. Co prawda zdążył się już przyzwyczaić do tych odgłosów, jednakże dziś w nocy zwierzęta wydawały się wyjątkowo zawzięte. Według indiańskich legend kojoty zapowiadały śmierć. Z drugiej wszak strony szanowały człowieka i dlatego ukradły dla niego ogień. W jakiej roli pojawiły się dzisiejszej nocy w pobliżu domu sierżanta? Otworzył oczy i odkrył, że leży na podłodze. Podniósł się nieco. Grzbiet go bolał, w głowie mu łomotało. Rozejrzał się.

Z tej perspektywy nigdzie nie dostrzegął Y.

Wstał ocieźżale, potarł dłońmi twarz i zamrugnął. Przez pozbawione zasłon okna wpływała do pomieszczenia poświata księżycowa; w promieniach skrzyły się drobinki pyłu niesione przez wiatr.

Tapczan rzeczywiście był pusty.

Poe sięgnął po spodnie i sprawdził portfel. Ponieważ był beznaziejnym nałogowcem, nabrał pewnego codziennego zwyczaju. Starał się pamiętać, by każdego ranka włożyć do głównej części portfela pięć dwudziestodolarówek, a jeden studolarowy banknot — w przegródkę na karty kredytowe; tak na wszelki wypadek albo na dziwki. Każdego wieczoru przed snem sprawdzał również zawartość portfela.

Tak jak podejrzewał, wódz znalazł pieniądze, na szczęście zwinął mu jedynie dwie dwudziestki. Sierżant wzruszył ramionami, poszedł

do swego tajnego schowka i uzupełnił żelazny zapas gotówki, po czym położył się na tapczanie, lecz natychmiast się z niego zerwał.

Pościel i kapa były przesiąknięte smrodem potu i alkoholu. Poe zdjął je jednym szybkim ruchem i umieścił w zapchanej perforowanej torbie. Znowu zaniedbał pranie. Obiecał sobie, że zaraz z rana pojedzie do samoobsługowej pralni. Kupi kawę i poczeka, aż wszystkie rzeczy się wypiorą.

Podniósł z podłogi śpiwór i położył się na gołym materacu. Kolejny koncert wycia kojotów przyprawił go o drżenie. Na pustyni Mohawe znajdowało się mnóstwo rezerwatów przyrody. Poe często widywał tu rysie, dzikie konie, jelenie i wielkie owce amerykańskie. Wszystkim tym zwierzętom towarzyszyły zazwyczaj kojoty. Wnioskując z częstotliwości nocnych odgłosów, drapieżcy świętowali każdą zdobycz.

Dziś kojoty musiały upolować coś naprawdę dużego. Policjant miał nadzieję, że nie był to człowiek...

Rozdział trzynasty

Wstał tuż przed świtem, zeszywniały i zziębnięty. Wsunął stopy w kaptcie, wziął latarkę oraz butelkę chemicznego rozpuszczalnika i wyszedł do ubikacji na dworze. Po chwili wrócił do domu — glinianej lepianki przypominającej architektoniczne połączenie ula i budy ze slumsów. zamiótł brudną podłogę, znalazł czystą pościel, po czym złożył tapczan. W końcu włożył workowaty dres i wybiegł na poranną przebieżkę.

Słońce nie mogło się przebić przez barierę w postaci szarych chmur, ale już wzeszło. Wokół nie było nawet śladu cywilizacji. Sierżant biegał po pustynnym podłożu, obejmującym pogórze pasm zachodnich gór. Podczas joggingu zawsze uprzytamniał sobie, dlaczego znosi te wszystkie niewygody: brak instalacji wodnokanalizacyjnej, elektryczności, ubikację na dworze... Tu czuł się sobą, tu był wolny,

tu był częścią natury. Gdy tak przemierzał pustą okolicę, odczuwał tę łączność każdą komórką swego ciała.

Wrócił do domu spocony i rozbudzony. Włączył telewizor na baterie i wpatrywał się w telegazetę na ekranie niewiele większym od zwykłej koperty. W hrabstwie Clark nie zdarzyły się nowe morderstwa. Czyli pozytywna wiadomość. Poe zapakował starannie plecak. Włożył broń, lunch z suszonych owoców, warzyw i zimnego mięsa — świeżego, bo trzymał je w piknikowej lodówce. Załadował do samochodu plecak i torbę z praniem. Prysznic planował wziąć w sali gimnastycznej departamentu.

Podczas jazdy wystukał numer brata w Reno. Nadal nikt nie podnosił słuchawki.

Dziwne.

Następnym logicznym posunięciem powinien być telefon do ciotki Shirley, jednakże sierżant nie miał ochoty psuć sobie takiego przyjemnego poranka. Jeśli czekały na niego złe nowiny, nie chciał ich na razie znać. Wcisnął więc zakodowany numer Rukmani. Odebrała po trzecim sygnale.

— Słucham. — Głos miała nieco oszołomiony.

— Jesteśmy umówieni na dziś wieczór?

— Tak — odparła jakoś osobiście cicho. — Porozmawiamy później.

— Zjemy razem śniadanie?

— Poczekaj.

Wysłała go w elektroniczną próżnię. Wróciła po długiej chwili i wyszeptła:

— Nie przedźnij niż za pół godziny. Muszę najpierw posprzątać dom.

„Ach tak. Czyli że znowu!”

Poe od początku ich związku wiedział, że nie jest jedynym mężczyzną w jej życiu, aczkolwiek tym najbardziej ulubionym. A co do wczoraj, sam był sobie winien. Przecież Rukmani proponowała mu kolację, a sierżant odmówił. To znaczy, praca mu przeszkodziła...

- Będę w Beeny Boy's.
- Robisz pranie?
- A cóż innego mógłbym tam robić?
- Dobrze. Spotkajmy się tam za mniej więcej trzydzieści minut.
- Hmm... Muszę cię ostrzec, że jeszcze się nie kąpałem.

Roześmiała się.

— Romulusie, jestem pewna, że w porównaniu z istotami, z którymi stykam się co dzień, będziesz dla mnie pachniał lepiej niż francuskie perfumy.

Weinberg wbił widelec w omlet z *pastrami*, nałożył pełną porcję i wsunął sobie do ust. Przeżuwając, studiował portret pamięciowy sporządzony przez policyjnego rysownika.

— Słodki biały facecik.

— Naprawdę młodo wygląda — dodała Patricia — chociaż Duży Ray mówił, że zgodnie z prawem jazdy skończył trzydziestkę.

— Widziałem wcześniej takie twarze — wtrącił Jensen. — Faceci bez zarostu i o nijakich rysach. Starzeją się na sposób nieco kobiecy. I trudno ich wychwycić w tłumie.

— Przynajmniej mamy trop, od którego możemy zacząć.

— To prawda. — Porucznik Weinberg odłożył szkic. — Nieźle się spisałaś, Deluca.

Podniósł solniczkę i posolił omlet. Jensen popatrzył zaskoczony.

— Jak to możliwe, że jadasz nafaszerowane kaloriami jajka, do tego walisz tony soli i nie dostałaś jeszcze zawału?

— Cholesterol mam na całkiem przyzwoitym poziomie stu siedemdziesięciu. Pomyśl o tym i płacz, Jensen.

Do drzwi zamkniętej restauracji zastukał Poe. Myra podbiegła i wpuściła go.

— Trochę się spóźniłeś, więc nici z omleta. Mam tylko zapiekany ryż. Chętnie dla ciebie podgrzeję.

— Dzięki, jestem po śniadaniu.

- Kawy?
- Jasne. — Usiadł z pozostałymi i wziął ze stołu rysunek. — Dobra robota, Deluca.
- Jestem chlubą naszej policji — odparła.
- Sierżant zadumał się nad szkicem.
- Hmm... Facet wygląda znajomo, chociaż nie wiem, gdzie go mogłem spotkać.
- Też miałem takie pierwsze wrażenie — zgodził się z nim Jensen. — Niestety, nic konkretnego nie przyszło mi do głowy.
- Ma pospolitą twarz — stwierdziła Patricia. — Ale jest całkiem przystojny.
- Wygląda nieco... no nie wiem... jakoś wymoczkowato.
- Nie nazwałbym go wymoczkkiem.
- Przeciętny... — Poe przesunął palcem przez mokre czarne włosy. — Trudno go będzie znaleźć.
- Po co ten kapelusz? — zainteresował się Jensen.
- Co masz na myśli? — spytał sierżant.
- Filcowe kapelusze dawno wyszły z mody, nikt takich dziś nie wkłada, chyba że na bal przebierańców. Raz miałem jakiś na przyjęciu z okazji Halloween. O ile dobrze pamiętam, tylko ten jeden jedyny raz włożyłem kapelusz.
- Poe odłożył rysunek.
- No, chyba że posłużył komuś do radykalnej zmiany wyglądu.
- Weinberg uniósł brwi i przesunął jarmułkę na tysej głowie.
- Ciekawa myśl, sierżancie. Bez kapelusza nasz facecik może wyglądać zupełnie inaczej. — Ponownie się przyjrzał naszkicowanemu obliczu. — Wiecie, co zrobić? Polecę Melowi, żeby wykonał jeszcze jeden rysunek tego mężczyzny, ale tym razem z wąsami... Skoro lubi przebieranki.
- Dokończył śniadanie.
- Dobra. Następny krok: szeroko zakrojone poszukiwania. Zaczniecie pokazywać rysunek po barach, może ktoś gościa rozpozna. Co macie na dziś w grafiku?
- O dwunastej muszę być w sądzie — odparł Poe. — Potem

pojadę do Laredo i spytam sekretarkę, czy znalazła akta Brittaney Newel.

— Parkerboy niczego ci nie da — mruknął Jensen.

— Steve, musi mi coś dać. Z wyciągów jej akt podatkowych wynika, że pracowała dla niego, choćby przez krótki okres — odparł sierżant. — Po Laredo będę wolny, szefie.

— Hmm, więc zrobimy tak — zaczął porucznik. — Patricia weźmie bary w kasynach, Jensen — gońców i innych alfonsów. — Skoncentrował wzrok na Poem. — W co, do diabła, wpakowałeś się ostatniej nocy?

— Słucham?

— Często jeździsz bez żadnego wsparcia do Nagiego Miasta? To głupota. Prowokujesz los.

— Nie miałem żadnych kłopotów.

— Mimo to nie rób tego więcej, bo pogadamy oficjalnie. — Po chwili spytał z zaciekawieniem: — Dowiedziałeś się czegoś?

— Zlokalizowałem alfonsa, dla którego Brittaney niegdyś pracowała. Podobno go okradła. Facet powiedział, że gdy ją znowu zobaczy, poderżnie jej gardło.

Weinberg wyprostował się na krześle.

— Przypominał naszego przyjaciela?

— Ani trochę. Przede wszystkim jest czarny.

— Mógł kogoś wynająć.

Poe wzruszył ramionami.

— Wątpię, czy aż tak mu na niej zależało. Na oko ma z tuzin innych panienek.

— Dużo mu Newel ukradła?

— Tego mi nie powiedział. Nawet nie wiem, co wzięła: gotówkę czy kokę. Mówił tylko, że coś mu zabrała.

Podeszła Myra z dzbankiem i naląła sierżantowi kubek kawy.

— Mickey, pamiętałeś, żeby zamówić dodatkowe krzesła?

— Tak, w firmie R and R Rentals — odparł porucznik. — Zapewnili mnie, że dostarczą przed czwartą.

— Dziś wieczorem zapowiada się niezła impreza! — oświadczyła jego żona. — Przyjdzie sto pięćdziesiąt osób. Osiemdziesiąte urodziny

Sama Silvermana. Sam od czterdziestu pięciu lat obchodzi urodziny w Las Vegas, tyle że w zeszłym roku jego syn zrobił się bardzo religijny i zaczął jadać tylko kosherne potrawy. Silverman szalał na myśl, że jego potomek nic nie zje na przyjęciu... i wtedy odkrył mój lokalik. — Zniżyła głos do szeptu. — Płaci mi dwa razy więcej; niż zapłacił trefnej* restauracji, którą wynajął w ubiegłym roku. Jest ogromnie szczęśliwy! Dzięki Bogu za nawróconych Żydów. Utrzymują nas. Komu dolać?

* Trefny (hebr. *trejf*) — niezgodny z przepisami Talmudu w zakresie zachowania obrzędowej czystości; niekoszerny, nieczysty.

Patricia podsunęła kubek. Szczerze uwielbiała kawę. Kawa nie tylko ożywiała, ale miała też zero kalorii.

— Dzięki, Myra.

— Tak czy owak jadę do centrum do sądu. — Poe poinformował Weinberga. — Mogę się zatrzymać przy Freemont i pogrzebać w aktach. Może znajdę osobnika, który pasuje do naszego szkicu. Poszukiwałbym też w komputerze spraw podobnych do zabójstwa Newel. Może zdarzyła się jakaś ostatnio.

— Na przykład jaka? — spytał porucznik. — Od ponad roku nie znaleźliśmy zwłok na pustyni.

Umysł sierżanta pracował szaleńczo.

— A w lutym zeszłego roku? Filipinki, których ciała znaleźliśmy w plastikowych torbach?

— Porzucono je na miejskim śmietniku — odrzekł Jensen. — Były zagrzebane pod metrem śmieci. Gniły, lecz poza tym były nietknięte.

— Z wyjątkiem ran postrzałowych w głowach — dodała zgryźliwie Patricia.

— Newel nie zastrzelono, ale rozszarpano. Sprawca jest niczym zwierzę. Odkryliśmy jej zwłoki na otwartej pustyni. Nie widzę żadnego związku, Poe.

— Tak czy owak, ciała obu Filipinek porzucono na śmietniku.

- Każde ciało morderca gdzieś porzuca.
- Sądzę, że warto się przyjrzeć tej sprawie — nalegał sierżant.
- Nie słyszałem o żadnych podobnych sprawach — rzucił Weinberg. — Szczególnie ostatnio. Ale jasne, spróbuj również od tamtej strony, Poe. Byle byś nie tracił czasu na wykopywanie niezwiązanych ze sprawą kości.

Sierżant przytaknął.

Potrzebował tylko paru godzin, by pogrzebać w starych aktach.

Budynek Komendy Głównej Policji Las Vegas z pewnością nie miał szans na żadną nagrodę w dziedzinie architektury, choć Poe osobiście dawał jego twórcom piątkę za wysiłek. Gmach miał osiem pięter i kształt cylindra, w środku którego „wydrążono” trójkąt na dziedziniec wyłożony kamieniami brukowymi i udekorowany wielkimi betonowymi donicami, które nie tylko miały zdobić, lecz także chronić spieszących się, niesfornych kierowców przed uderzeniem w ścianę budowli. Ściana od strony ulicy była kamienna i pokryta tajemniczą mozaiką kafelków w kompozycji nieregularnej szachownicy, zewnętrzna ściana dziedzińca zaś stanowiła nieprzerwany obszar szklanych okien i betonowych balkonów.

Archiwum mieściło się na pierwszym piętrze tuż obok Wydziału Drogowego. Setki tysięcy dokumentów związanych z licznymi sprawami ułożono według numerów. Aby odszukać odpowiednie informacje, należało zajrzeć do katalogu, a później przeprowadzić wyczerpujące poszukiwania na półkach z papierowymi teczkami. Sierżant natychmiast odkrył, że niczego interesującego tu nie znajdzie, najwcześniejsze tecki bowiem pochodziły z połowy lat dziewięćdziesiątych.

Czyli że musiał się udać do archiwum w Wydziale Spraw Wewnętrznych. Podobnie jak Wydział Zabójstw, WSW posiadał własny budynek. Mikrofilmy starych akt stanowiły tam osobną bibliotekę. Tymczasem Poe postanowił załatwić tyle, ile mógł tu, w komendzie głównej.

Powoli wszedł na drugie piętro. W tym ogromnym budynku

pracowała większość detektywów policji miejskiej. Każdy rodzaj przestępstwa miał przydzielony odrębny pokój z komputerowymi terminalami dla prowadzących śledztwo detektywów. W dziesięciu centralnych pomieszczeniach odbywały się przesłuchania — salki te wyglądały jak wyspy na środku pięter. Poe dostrzegł pusty terminal w Dziale Osób Zaginionych. Przysunął sobie krzesło i wpisał detale sprawy Brittany Newel.

Począł, aż kursor zamiga.

W ciągu następnej godziny z hakiem komputer wypuł dwadzieścia podobnych spraw, które zdarzyły się podczas ostatnich dwóch lat.

„Rezultaty:

Seryjni zabójcy, którzy zabierali części ciała jako trofea; wiele skalpów.

Seryjni zabójcy, którzy cięli ciała ofiar i okaleczali.

Seryjni zabójcy, którzy zjadali swoje ofiary”.

Makabryczny materiał, lecz żadna sprawa nie przypominała zabójstwa Brittany Newel.

Kiedy zegar wybił piętnastą, sierżant miał dość. Wylogował się z komputera, potem wyjął szkic i przejrzał zdjęcia przestępców. Bez rezultatu. W końcu westchnął ciężko. Opuścił budynek i skierował się do Wydziału Spraw Wewnętrznych, gdzie dotarł w pięć minut później.

Wylegitymował się w recepcji i wszedł do archiwum, gdzie natrafił na przeszkodę w postaci bardzo pedantycznej urzędniczki-służbistki. Młoda kobieta miała włosy związane w kok. Z jej plakietki można się było dowiedzieć, że nazywa się Madison.

— Nie wypełnił pan właściwie formularza.

Poe uprzejmie wyjaśnił, że nie jest pewny, której sprawy szuka, zna tylko mniej więcej okres, w jakim się zdarzyła.

— Detektywie, wie pan równie dobrze jak ja, że bez upoważnienia nie może pan sobie ot tak przetrząsać akt. Naruszyłby pan w ten sposób regulamin wewnętrzny i prawa obywatelskie...

— Trup nie posiada żadnych praw obywatelskich. — Sierżant

starał się panować nad gniewem. — Poza tym mówimy o sprawie sprzed dwudziestu pięciu lat. Ofiara na pewno nie wróci, by nas podać do sądu.

Urzędniczka zmarszczyła brwi.

— Zna pan przynajmniej rok tej sprawy?

Poe potarł twarz.

— Siedemdziesiąty drugi lub trzeci.

— Powiedziałam: rok. W liczbie pojedynczej!

— A ja pani podałem dwa lata zamiast jednego. Niech pani nie przesadza. To nie jest obóz harcerski. Być może od moich poszukiwań zależy ludzkie życie.

Madison powiodła wzrokiem niczym stara, ostra nauczycielka, niedająca wiary wymówkom ucznia, który usprawiedliwia się, że nie odrobił pracy domowej.

— Ile czasu zamierza pan tu spędzić?

— Może z godzinkę.

Kobieta z ostentacyjną niechęcią wskazała mu wejście do pomieszczenia.

Po piętnastu minutach znalazł się wreszcie sam na sam z czytelnikiem. Szybko przełączał mikrofilmy. Słyszał bicie własnego serca i swój miarowy oddech. Był jedyną osobą w pokoju.

Koszmar nie miał swego pliku, gdyż tym sensacyjnym pseudonimem ochrzciły go media. Poe znalazł tylko jedną nie rozwiązana sprawę morderstwa sprzed ćwierć wieku, która zawierała wszystkie właściwe elementy.

Dziewczyna nazywała się Janet Doward.

Y twierdził, że była nauczycielką, w rzeczywistości jednak okazała się studentką na praktyce; w chwili śmierci liczyła zaledwie dziewiętnaście lat. Jej ciało porzucono na pustyni, w pewnej odległości od drogi Spring Mountain... około czterystu metrów od miejsca, gdzie obecnie znajdowało się kasyno Treasure Island.

Tak blisko Pasa! W owym czasie było tam mnóstwo pustych działek i parceli. Bardzo dużo pustej przestrzeni. Takie właśnie Las Vegas

Poe pokochał i dlatego zamieszkał na odludziu, w samym środku dziczy.

Sprawdził wśród osób zaginionych. Rzeczywiście, dziewczyny szukano. W tydzień po rozpoczęciu poszukiwań jedna z grup odkryła częściowo rozłożone ciało. Tożsamość została potwierdzona na podstawie kartotek stomatologicznych.

Sierżant popatrzył na policyjne zdjęcia z miejsca zbrodni.

Wystarczyły, by zmienić w wegetarianina najbardziej zaprzysiężonego mięsożercę. Wśród głębokich cięć i mięsnych much niewiele ciała pozostało dla sekcji. To, co nie zgniło, wyschło na słońcu i było prawie zmumifikowane.

Autopsja wykazała, że morderca porąbał dziewczynę narzędziem o ząbkowanej krawędzi. Skóra Doward była porozdzierana i poszarpana. Jej oczy znaleziono wraz z ciałem, zostały jednakże wydłubane z oczodołów. Poe zapatrzył się w czarne otwory mocno wypełnione białymi larwami much.

Robił notatki, gdy nagle podskoczył na krześle, nogi mu zadrżały, stopy mimowolnie głośno zastukały o podłogę. Starał się uspokoić kończyny, lecz nie mógł przerwać drżenia.

Czytał dalej.

Padlinożerne zwierzęta naruszyły zwłoki, toteż na pośladkach i udach ofiary odkryto ślady ugryzień.

Policjant odwrócił wzrok i zakrył twarz. Zmusił się do głębokiego wdechu, po czym powoli wypuścił powietrze. Zrobił jeszcze kilka wdechów.

„Przestań tupać nogami, Rom”, rozkazał sobie w myślach.

Ścisnął kciuk z palcem wskazującym.

Nie, nie, nie może sobie pozwolić na strzelanie palcami!

Widział już tuziny martwych ciał. Dlaczego akurat to zabójstwo tak bardzo go poruszyło?

Powinien myśleć o sprawie!

Zapisał:

„Podobieństwa:

1. Zwłoki porzucone na pustyni.

2. Rozszarpane Ciało.
3. Wydłubane oczy.
4. Prawdopodobnie oba trupy zostały naruszone przez padlinozerców.

Różnice:

1. Brittany nie miała śladów od noża.
2. Brittany nie miała śladów ugryzień.

Analiza płynów fizjologicznych:

Zakrzepła krew pobrana z aorty i żyły udowej.

Ilość alkoholu we krwi — 0.5 promila.

Próbka śliny.

Próbka wydzieliny z nosa.

Próbka wydzieliny z pochwy.

Próbka wydzieliny z odbytu”.

Znaleziono dowody, że Doward odbyła stosunek lub stosunki seksualne, choć nie ustalono, ile czasu przed śmiercią. Wyniki prawdopodobnie zostały zniekształcone z powodu zaawansowanego stanu rozkładu ciała. Niewykluczony był również akt nekrofilii.

W próbkach pobranych spod paznokci rąk i nóg odkryto mikroskopijne ilości włosów, krwi, skóry i ziemi.

Poe przetarł oczy i wrócił do notatek. Skupił się na szczegółach. Zerknął na zegarek i odkrył, że tkwi przy komputerze już od ponad godziny. Madison mogła go stąd przegonić w każdej chwili. Czas biegł, więc sierżant zmusił się do odszukania drugiej ofiary Koszmarra. Y twierdził, że chodziło o dziewczynę, która uciekła z domu.

Zaczął przeszukiwać wcześniejsze akta. Klikał, przewijał i szukał.

Sprawy przeskakiwały mu przed oczyma tak szybko jak wskazówka sekundnika.

Odkrył, że w owym okresie nie zamordowano żadnej uciekinierki.

Zamrugał gwałtownie i powtórnie przeszukał akta. Jak mógł przeoczyć dane? Zbrodnia na pewno została skatalogowana. Przecież Y powiedział, że ofiary były dwie.

Ponieważ niczego nie znalazł, zaczął przeglądać późniejsze akta.

Interesująca go sprawa zdarzyła się mniej więcej rok po morderstwie Janet Doward. Mówiąc dokładnie, rok i miesiąc później.

AA — niezidentyfikowana dziewczyna lat około szesnastu. Jej zwłoki porzucono na pustyni. Sierżant obejrzał wykonane pośmiertnie zdjęcia. Ofierze podcięto gardło i wydłubano oczy.

Rozległy się kroki. Nie musiał się obracać. I tak wiedział, że nadchodzi Madison. Była na wojennej ścieżce.

Szybko nagryzmołił detale.

„Podobieństwa:

1. Oba ciała porzucone na pustyni.

2. Usunięte oczy. Różnice:

1. U AA żadnych śladów aktywności padlinożerców.

2. Żadnych śladów ugryzień.

3. Tylko AA miała poderżnięte gardło (Brittany — nie).

4. Ponad rok różnicy.

Płyny fizjologiczne:

Ilość alkoholu we krwi — 1.2 promila — była prawdopodobnie pijana.

Próbki z ust, nosa.

Próbki z pochwy i odbytu: znaleziono spermę.

Próbki paznokci rąk i nóg: włosy, krew, skóra, trawa, piasek i ziemia”.

Poe usłyszał, że urzędniczka wywołuje jego nazwisko.

— Idę! — Zebrał notatki. Różnic było znacznie mniej niż podobieństw. Nie pasował jedynie czasowy odstęp między oboma zabójstwami.

Ale Y powiedział, że ofiary były dwie!

Sierżant zastanowił się.

No chyba że Y kłamał.

Taka możliwość istniała zawsze.

Rozdział czternasty

Gdy zamknął drzwi swego domu, aż podskoczył na widok giganta. Wielki mężczyzna leżał na jego tapczanie, wgniatając go swoim ciężarem niemal do podłogi. Przy jego boku stała torba podróżna.

Gigant wstał.

Długie na metr dwadzieścia nogi o grubych, ciężkich kościach. Małpie ramiona wyrastające z potężnego torsu. Ogromne dłonie baseballisty. Kark muskularnego byka. Stercząca dolna szczęka, lekko otwarta i przekrzywiona na bok niczym drzwi dyndające na jednym zawiasie. Głęboko osadzone pod szerokim wydatnym czołem gniewne oczy zrobiły się świńsko małe na widok brata. Gęste, proste czarne włosy mężczyzna miał zaczesane do tyłu. Nosił typowy dla siebie czarny garnitur i białą koszulę. Był bez krawata, lecz w wielkich jak kajaki butach. Polizał gumowate usta.

— Witaj, Rom.

Głos miał nosowy, głęboki i wściekły. Poego zatkało. Zaczął strzelać palcami, w końcu się powstrzymał.

— Wydzwaniałem do ciebie całą noc — warknął.

— Nie wątpię w to. Widzę, że nie panujesz nad swoimi tikami, więc jesteś zły.

Sierżant natychmiast wsunął ręce w kieszenie.

— Napijesz się czegoś, Remus? Może piwka?

— Nie, dzięki.

— I tak przyniosę. — Wskazał na tapczan. — Siadaj, proszę.

Remus usiadł.

Poe zamknął oczy, potem je otworzył. Poszedł do przenośnej łódki piknikowej i zauważył, że ręce mu drżą. Zrobił głęboki wdech. Był zdenerwowany. Remus zawsze tak na niego działał. Zresztą, z powodu swego wzrostu i słoniowatych rysów działał tak na wszystkich.

Jego brat.

Brat bliźniak.

Identyczny bliźniak... to znaczy aż do wieku dziesięciu lat. Sierżant przypuszczał, że nadal są identyczni w sensie genetycznym, ponieważ urodzili się jako bliźnięta jednojajowe. Jednak słowo „identyczny” nie wydawało się już stosowne.

Byli bardzo małymi chłopcami. Naprawdę malutkimi. Romulus mierzył jakieś dwa centymetry więcej od brata, lecz i tak był sporo niższy niż chłopcy w jego wieku. Matka prowadziła ich od jednego specjalisty do następnego. Wszyscy sugerowali podanie hormonów wzrostu. Matka nie miała na to ochoty. Lekarze próbowali ją przekonać. Twierdzili, że chłopcy powoli w ogóle przestają rosnąć i niedługo może być za późno na jakąkolwiek pomoc. Konieczna była szybka interwencja.

Nawet kiedy mama się zgodziła, pozostała ostrożna.

„Podajcie hormony najpierw jednemu”, poleciła.

Wybrano Remusa, ponieważ był mniejszy. Rozpoczęły się kuracje, na które przysadka dziecka zareagowała natychmiast. Chłopiec zaczął rosnąć w alarmującym tempie, jego kości wydawały się wydłużać z dnia na dzień, przynosząc mu miesiące straszliwych bólów szkieletowych i oślepiających migren. Po sześciu miesiącach lekarze odstawili leki.

Jednakże Remus oszukał ich i nie przestał rosnąć. Już w wieku jedenastu lat stał się niewiarygodnym gigantem.

Różnica we wzroście stała się przyczyną długich godzin bezsenności i koszmarów bliźniaków. Jako karzełki byli oczywiście obiektami szyderstw, teraz natomiast — gdy Remus tak bardzo urósł — stali się niemal pariasami. Nikt nie ośmielił się z nich wyśmiewać, ponieważ większy brat wykańczał wielu „szczekaczy” jednym dobrze wymierzonym ciosem pięścią. Nikt też niestety nie odważał się z nimi rozmawiać.

Nerwowy, przestraszony i mały Romulus znalazł pocieszenie w szeregach tików. Zaczął bez końca bębnić palcami i przeraźliwie się jękał. Własne dziwactwa zbliżyły braci, przyciągali również rozmaitych odmieńców, powoli skupiając wokół siebie sporą grupkę dziwaków. I jakoś przeżyli bolesne lata młodości.

Rom znalazł się w niesamowitej sytuacji — potajemnie zazdrościł

bratu gigantycznego wzrostu. Tak, Remus był brzydki i dziwaczny, ale przynajmniej był wysoki! Z tego też względu Romulus nie przestawał błagać matkę o kurację hormonalną.

Jego największym sojusznikiem w tej sprawie okazał się jego brat.

„Nie udało im się ze mną — krzychał Remus do matki — ale na pewno uda im się z Romem. Nie możesz pozwolić, aby pozostał taki mały. Jest mu gorzej niż mnie”.

Ich zaszokowana matka złamała się w końcu i rozpoczęła energiczne poszukiwania lekarza, któremu mogłaby zaufać. Tymczasem kości Romulusa powoli osiągały ostateczną długość. Wreszcie matka znalazła odpowiedniego specjalistę. Medyk zajął się wzrostem Poego — tyle że chłopiec rósł w potwornie powolnym tempie.

W wieku siedemnastu lat Rom osiągnął wzrost osoby dorosłej. W licealnej czapce i todze mierzył metr siedemdziesiąt i pół. Był wdzięczny za każdy milimetr. Wdzięczny swemu bratu!

Uspokoiwszy ręce, Poe przyniósł dwie szklanki do piwa.

— Hmm... sytuacja jest chyba poważna.

Remus wychylił piwo jednym haustem.

— Musisz zabrać mamę.

Cisza.

— Na jak długo? — spytał sierżant.

— Na zawsze.

Ciałem Poego szarpnął lęk.

— Chyba nie mówisz poważnie...

— Bardzo poważnie.

Policjant zaczął chodzić po pokoju.

— Remusie, rozejrzyj się po moim domu. Pies się tu nie zmieści, a cóż dopiero człowiek. Nie mam bieżącej wody. Ani prądu...

— Więc przeprowadź się do normalnego mieszkania...

— Remusie...

— Rom, pustelnictwo nie zwalnia cię z odpowiedzialności. Ja jestem dziwolągiem, ale to też mnie z niej nie zwalnia!

Sierżant nic odpowiedział, myśli szaleńczo przewalały mu się przez głowę.

— Była u mnie przez ostatnie piętnaście lat — ciągnął Remus. — Teraz twoja kolej. Nawet świry mają własne życie.

Poe chciał się odezwać, lecz słowa utknęły mu w gardle. Jego serce waliło jak dzwon.

„Spróbuj empatii — powiedział sobie. — Uspokój go”.

— Rozumiem, że jesteś... zestresowany. I wiem, że długo się nią opiekowałeś. Zatem niby masz prawo... stawiać żądania.

Remus czekał. Sierżant pospiesznie myślał.

— Wiem, że nie chcesz tego słyszeć, ale...

— Więc nie mów.

— Remusie, mama jest naprawdę zbyt dużym ciężarem dla każdego z nas. Istnieje wiele przyjemnych wspólnot...

— Nie.

— ...które specjalizują się...

— Nie ma mowy.

— Zyskałaby licznych przyjaciół...

— Nie umieścisz jej w żadnym domu starców! — zawołał Remus.

— Remusie...

— Nie zamkniesz jej jak jakiegoś starego zwierzaka.

— Nie możesz mnie po prostu wysłuchać?

— Nie chcę cię wysłuchać! — Remus gniewnie wycelował palec w pierś brata. — Pomyśl, o czym mówisz. To twoja matka. I moja. Zostawiłeś ją piętnaście lat temu. Wtedy nie myślałeś ani o mnie, ani o niej. Bez słowa skargi wziąłem odpowiedzialność na swoje barki. No cóż, teraz mam pewne plany, Rom. Duże plany. I co mam z nią zrobić?

Poe aż skoczył na równe nogi, nagle zaciekawiony.

— Jakiego rodzaju plany?

— Przestań zmieniać temat.

— Wybacz mi, stary. Wpadasz niezapowiedziany i oczekujesz, że w pięć minut podejmę poważne decyzje życiowe...

— Dokładnie tak samo mnie potraktowałeś, gdy przed piętnastoma laty nagle spakowałeś torby i opuściłeś dom.

— Byłem do twojej dyspozycji, ilekroć mnie potrzebowałeś. Zabierałem ją na weekendy, na wakacje...

— Chcesz za to medal, Rom?

— Nie, ale daj mi choć chwilę do namysłu. Muszę się zastanowić nad twoją prośbą.

— Bracie, masz na to całe trzy tygodnie. Wtedy ci ją przywiozę. Sierżant zaczął krzyczeć.

— Remus, nie możesz zrzucać tego na mnie!

Gigant podniósł torbę i skierował się do drzwi.

— Spotkamy się później.

Poe zablokował drzwi — był to gest ostentacyjny, lecz daremny. Gdyby tylko brat zechciał, jednym pacnięciem pozbyłby się go niczym komara. Zamiast tego Remus stanął i czekał.

— Nie odchodź — poprosił policjant. — Chcę powiedzieć, że... Możemy porozmawiać racjonalnie o tej sprawie?

Wielkolud ani drgnął.

„Pamiętasz policyjne szkolenie, detektywie? — zapytał się w myślach Poe. — Pamiętasz, jak sobie radzić z domowymi awanturami? Odwróć jego uwagę! Zjednaj go!”

— Słyszę desperację w twoim głosie, bracie — powiedział. — No dobrze, sprowadź tu matkę.

Masywne szczęki rozwarły się. Remus zamknął je szybkim kłapięciem.

— Mówisz poważnie?

— Tak. Jeśli jednak mam się nią opiekować, zrobię to po swojemu.

— Czyli?

Poe zaczął strzelać palcami.

— Nie mogę z nią mieszkać, stary. Wiem, że ty z nią mieszkałeś i podziwiam twoje synowskie przywiązanie, lecz ja nie jestem taki szlachetny... Nie mogę mieszkać z matką...

— Ależ musisz...

- Umieszczę ją w jakimś mieszkaniu blisko mojego domu.
- Nasza matka potrzebuje opieki!
- Zatrudnię pielęgniarkę.
- I będziesz ją wypasał — mruknął Remus.
- Obiecuję, że codziennie będę ją odwiedzał.
- Jesteś główniarzem, Rom.

Sierżant potarł twarz.

- Ty również powinieneś zdobyć się na kompromis, bracie.

Minuty mijały.

— Okej — odezwał się w końcu Remus — zawrzemy umowę. Mówisz, że nie możesz z nią mieszkać. Rozumiem. — Po chwili dorzucił: — Z matką jest coraz gorzej, Rom. Wymyka się z domu w nocy, znika na całe godziny. Koszmar. Potrzebuje stałego doгляdu. Będziesz więc musiał zatrudnić kogoś, kto potrafi sobie z nią poradzić.

- Już dziś zacznę szukać.

Zapanowało milczenie.

- Gdzie jest teraz? — spytał Poe.
- Mam kogoś, kto pilnuje i jej, i cioci Shirley.

Policjant zaczął wpadać w panikę.

- Chyba nie będę musiał się zająć również Shirley, prawda?!
- Nie, na Shirley będę miał oko. Ciotka nie jest taka paskudna jak mama... jeszcze nie.

Sierżant poczuł nagły wstyd.

- Remusie, doceniam to, co dla niej zrobiłeś przez te wszystkie lata. Wiem, że przeżywałeś piekło.

Brat odwrócił wzrok.

- No dobra — stwierdził ostatecznie. — Zorganizuj dla niej jakieś mieszkanie. Stawiam jednak pewne warunki. Słyszysz?

- Kontynuuj.

Gigant wstał i zaczął chodzić.

- Każdego ranka wypij z nią kawę. Zrób jej jajka, podaj płatki. I nie odchodź, zanim nie skończy jeść. Będziesz musiał także rutynowo sprawdzać jej mieszkanie, szukać alkoholu i papierosów. Potrafi przekupywać pielęgniarce. Nie wystarczy zwrócić jej uwagę, zresztą

wtedy daje, pielęgniarcom łapówki, aby nic nie mówiły.

— Skąd ma pieniądze na łapówki?

— Dostaje niewielką rentę od pewnej agencji rządowej.

— Opieka społeczna?

— Nie, nie sądzę. — Remus zatrzymał się. — Prawdopodobnie ma to coś wspólnego z jej indiańskim pochodzeniem i z latami sześćdziesiątymi. Renta nie jest duża, lecz wystarcza na tani alkohol. Po prostu zabieraj butelki. Nie obchodzi mnie, co z nimi zrobisz. Byleby matka nie miała do nich dostępu.

— W porządku. Co jeszcze?

— Musisz jadać z nią kolację. Nie mówię, że masz jeść razem z nią, ale upewnij się, że zjadła. Matka zapomina o jedzeniu, Rom. A jeśli nie zje, następnego dnia choruje.

— Co z lunchem? — spytał Poe.

— Zrób jej kanapkę z tuńczykiem i włóż do lodówki. Powiedz pielęgniarce, by przypilnowała matkę podczas lunchu. Później matka ogląda zazwyczaj mydlane opery w telewizji. Potem drzemie. Kiedy się obudzi, pielęgniarka zwykle ją kąpie. Po kąpieli matka lubi wyjść na przechadzkę, a po powrocie jest już czas na kolację. Zwykle staram się dotrzeć do tej pory do domu... żeby jej dopilnować. Wracam do biura około dziewiętnastej... dwudziestej. O tej godzinie matka jest już dość zmęczona. Ostatnio łatwo się męczy.

Sierżant poczuł łomot w głowie.

— Dlaczego?

— A któż to może wiedzieć? Nie jest zdrowa.

— Nigdy nie miała w sobie nadmiaru energii. — Poe zamrugał kilka razy. — Coś jeszcze?

— Nie, to wszystko. — Remus milczał przez moment. — Gdybyś mógł się nią zająć... przez... powiedzmy rok. Weź ją na rok. Potem wrócę i przejmę ją z powrotem.

„Rok?! — przeraził się, jednak szybko dodał w myślach: — Zamknij się, Poe. Przynajmniej podał ci jakiś termin”.

— Od „zabierz ją na zawsze” do „weź ją na rok”? — wyrzucił z siebie pytanie.

— Skarżysz się?

— Oczywiście, że nie. — Zdał sobie sprawę, że obaj nadal stoją. — Chodź, braciszku. Siadaj.

Remus wrócił na tapczan i przetarł oczy.

— Wypiłbym jeszcze jedno piwo, jeśli masz.

— Jasne. Chcesz u mnie przenocować?

— Zaproszono mnie do kasyna Buckingham Palace.

Po drodze do lodówki sierżant uniósł brwi.

— A cóż to za okazja? Pracujesz dla Sułtana?

— Ściśle rzecz biorąc, tak.

Poe zatrzymał się w pół drogi.

— Co takiego robisz?!

— Najpierw usiądź.

Poszedł po piwo i wrócił.

— No, mów.

— Wiesz, że Sułtan właśnie kończy nowe kasyno. Palace North w Tahoe.

— Tak, słyszałem.

— Jego wysokość ma dom w Nevadzie, teraz zaś chce mieć drugi — w Kalifornii. Coś bardzo prywatnego i ukrytego. Rozmawiał z architektami w Reno. Między innymi ze mną. A później... wręczył mi czek na ćwierć miliona tytułem zaliczki za projekt.

Policjant aż się zakrztusił piwem.

— Jako zapłatę wstępnie zgodził się dać mi dziesięć procent kosztu budowy.

— Ja... Jaki... — jąkał się Poe. Zakaszłał, po czym przełknął ślinę.

— Jaki przewidujesz koszt?

Remus zdławił śmiech.

— Około piętnastu, dwudziestu milionów...

— O cholera! Ja pieprze!

— Sułtan jest perfekcjonistą — zauważył poważnie Remus. — Mam być dyspozycyjny dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— Czyli z tego właśnie powodu przyjechałeś do Las Vegas — stwierdził sierżant. — Kiedy zacząłeś dla niego pracować?

— Jakieś cztery, pięć miesięcy temu.

— I nic mi nie powiedziałeś. — Poe uśmiechnął się. — Sukinsynu! Brat powoli odwzajemnił uśmiech.

— Sułtan jest kurduplem, Romulusie. Sądzę, że zatrudnił mnie, ponieważ dzięki temu może się pokazywać w towarzystwie prawdziwego olbrzyma.

Policjant poklepał Remusa po twardych jak stal plecach.

— O rany, braciszku, to naprawdę wspaniała wiadomość. Strasznie jestem z ciebie dumny!

— Nie podpisaliśmy jeszcze ostatecznej umowy.

— Hej, jeśli nawet cię jutro wywali, i tak zgarniesz ćwierć miliona dolców. — Sierżant promieniał niczym ojciec dopiero co narodzonego dziecka. — Pojedziemy gdzieś na kolację?... Och... cholera, obiecałem Rukmani, że spotkam się z nią. Możesz iść z nami, jeśli chcesz. Zabierzemy też Richarda Jenniego. Wiem, że go lubisz, a akurat jest w mieście.

— Dzięki, ale mam dziś wieczorem spotkanie w interesach.

— Remus wyjął chusteczkę i wytarł spocone czoło. — Jutro też jestem zajęty... przez cały ranek. Odlatuję samolotem o trzynastej piętnaście. Możemy się umówić na wczesny lunch około jedenastej, jeśli masz ochotę.

— Jasne, wskaż tylko lokal.

— Wszędzie, byle nie na Pasie.

Jedynym miejscem, jakie przyszło policjantowi do głowy, był lokalik Myry. Gigant wstał.

— A później... Zadzwoń do ciebie mniej więcej za dwa tygodnie... Wtedy możemy ustalić następny ruch. — Popatrzył na niego.

— Nie zmienisz zdania?

— Nie.

— Nie planujesz na przykład żadnych nagłych wakacji?

— Powiedziałem, że się nią zajmę, to się zajmę — odparł twardo Poe.

Remus uściskał bratu rękę; przytrzymał ją trochę dłużej niż zazwyczaj.

— Zobaczymy się jutro o jedenastej.

— Na pewno przyjdę.

Zawahali się, lecz po chwili uściskali się na pożegnanie.

Wiatr szalał, wyjąc niczym uwięziony demon. Bombardował okna fontannami żwiru i piasku. Hałas zbudził Poego z ciężkiego snu. Przeszył go lodowaty ziąb strachu. Starał się nie wiercić i nie rzucać. Rozpaczliwie rozejrzał się po ciemnym pokoju, wreszcie skupił spojrzenie na Rukmani. Nie miała o niczym pojęcia, skulona pod kocem i pogrążona w spokojnym śnie.

Powoli i ostrożnie sierzant wstał z łóżka i włożył spodnie oraz koszulę. Małymi krokami poszedł do kuchni, otworzył lodówkę i nalał szklankę soku pomarańczowego. Napój smakował wyśmienicie. Pozazdrościł Rukmani sokowirówki. Jego umysł nadal jeszcze huczał po niedawnym spotkaniu z bratem.

Jakby bez mamy nie miał dość na głowie! No cóż, dobrze. Zatrudni doskonałą pielęgniarkę. Pieniądze nie stanowią problemu. Jeśli mu się skończą, Remus da, ile będzie trzeba.

Pomyślał, że nie zaszkodzi mu odrobina trosk, poza zawodowymi. W końcu chodziło o jego matkę, która na dodatek nie miała łatwego życia. W głębi serca Poe żywił nadzieję, że niemal przemocą narzucona mu przez brata opieka nad matką stanie się swego rodzaju pokutą za głęboko zakorzenione poczucie winy i wyrzuty sumienia. Odczuwał je, ponieważ przez wiele lat spychał na Remusa wszystkie rodzinne obowiązki.

No bo właściwie jakie życie miał jego brat? Nigdy nie chodził na randki, nigdy żadne hobby nie wyciągało go z domu i najwyraźniej nigdy żadnego nie pragnął. Istniała dla niego jedynie praca i mama. Poe zawsze uważał, że Remus używa matki jako wymówki dla swego odosobnienia. Może teraz, gdy znajdzie się z dala od niej, zajmie się

sobą... może nawet zawrze jakieś przyjaźnie. Sierżant miał na to szczerą nadzieję, zwłaszcza że, w gruncie rzeczy, kochał brata. Uważał, że samotne mieszkanie jest przyjemne, a nawet pożądane. Jednak życie w samotności było przekleństwem.

Wiatr gwałtownie napał na szyby. Romulus aż podskoczył. Zastanowił się, jak Rukmani może w tym hałasie spać. Zapewne zdążyła się już przyzwyczaić. Cóż, jej mieszkanie nie było najlepiej usytuowane. Okna wychodziły wprost na dmący z pustyni wiatr. A ten rzadko przynosi coś dobrego.

Rozdział piętnasty

Gigant oznajmił, że wypije jeszcze kubek kawy i poczeka. Stale spoglądał na zegarek — mniej więcej co trzydzieści sekund.

Myra przyniosła dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą i spytała Remusa, jak mu się podoba w Las Vegas. Odparł, że wychował się w tym mieście, lecz nigdy za bardzo go nie lubił. Dziś przyjechał w interesach i właśnie czeka na brata.

Kiedy zasapany Poe usiadł przy stole, Myra z wrażenia prawie przelała kubek jego bliźniakowi.

— Przepraszam za spóźnienie. — Sierżant ciężko dyszał. — Samochód nie chciał zapalić. Zadzwoiłem do hotelu, ale już wyszedłeś.

Gigant zareagował spokojnie i kobieta pomyślała, że wyjaśnienie policjanta zadowoliło go.

— Gdzie zostawiłeś auto, Rom? — spytała.

— Przed biurem. — Poe wypił łyk z kubka swego towarzysza. — Myro, to jest mój brat bliźniak, Remus.

Brat bliźniak?! Rom był mężczyzną — w najlepszym razie — przeciętnego wzrostu, gigant zaś na oko mierzył ze dwa metry dziesięć. Restauratorka pomyślała, że to żart, lecz nie dała tego po sobie poznać.

- Miło mi pana poznać — odparła kurtuazyjnie.
- Mnie również.
- Ta kobieta przyrządza najlepsze jedzenie w mieście — oświadczył policjant.

Myra uśmiechnęła się i desperacko usiłowała dostrzec rodzinne podobieństwo.

— Co mogę tobie podać, Rom...? Och, Romulus i Remus...

— Roześmiała się. — Całkiem sprytnie.

Żaden z braci się nie odezwał. Kobieta spłonila się.

— Pewnie w dzieciństwie wiele osób naśmiewało się z waszych imion. Przepraszam. Nie miałam na myśli niczego...

— Nie szkodzi — uciął szybko Poe. — Urodziliśmy się w okresie, gdy nasza matka fascynowała się mitologią rzymską. O mało wtedy nie zmieniła własnego imienia na Westa. Jak się udało wczorajsze przyjęcie?

Myra rozpromieniła się.

— Bez najmniejszych komplikacji.

— To świetnie.

— Co podać, chłopcy?

Remus zaryczał głośnym śmiechem.

— Od dawna nikt nie nazwał mnie chłopcem.

Sierżant uśmiechnął się.

— Zjadłbym kanapkę z peklowaną wieprzowiną.

— A pan, Remusie Poe? — spytała kobieta.

— Indyk na ryżu, musztarda. Bez majonezu. — Gigant ponownie się roześmiał. — Miły ten pani lokalik.

Myra po raz drugi się zarumieniła i dotknęła jego ramienia.

— Dzięki. Zaraz wracam z daniami.

Po jej odejściu Remus spytał:

— Żona szefa?

Policjant skinął głową.

— Wygląda na bardzo sympatyczną osobkę.

— Jest wprost wspaniała. Prawdziwy szczęściarz z naszego starego. Poznałeś kiedyś Weinberga, prawda?

— Hmm... Chyba z dziesięć lat temu.
— Jeszcze raz cię przepraszam za spóźnienie. Ile zostało ci czasu do odlotu?

— Po prawdzie całkiem sporo. Zdecydowałem się na późniejszy lot, ponieważ i tak nie dokończyłem tu kilku spraw. Nie spieszę się.
— Remus obserwował, jak brat pije kawę. Romowi wyraźnie drżały ręce. — Ten problem z matką... Czy pojawia się w złym momencie twojego życia?

Poe popatrzył na niego, zaskoczony bezpośredniością pytania.

— Nie, nie, w porządku.

— Nad czym ostatnio pracujesz?

Sierżant głupkowato wskazał palcem na swoją pierś.

— Ja?

— A kóżby inny? Widzisz tu jakieś duchy?

— Nad morderstwem, oczywiście! Nad czym innym miałbym pracować? — Policjant odstawił kubek i zawołał Myrę. — W wolnej chwili prosiłbym o dolewkę kawy. — Rozmasował ramiona. — Rany, ależ wiało wczorajszej nocy!

— Rzeczywiście, paskudnie. — Remus zmarszczył brwi. — Nie-nawidzę tego miasta. Stale nie mogę zrozumieć, dlaczego do niego wróciłeś. Szczególnie po tym, co ci ono zrobiło...

— W Reno mi się nie podobało.

— Nie poznałeś dostatecznie...

— Też prawda.

„Zrobiłeś to dla Alison, a ona i tak z tobą zerwała”, pomyślał Remus.

— Wiem, że Las Vegas nie jest najwspanialszym miejscem na ziemi — dorzucił sierżant. — Żadnemu z nas nie było tu dobrze. Ale pogodziłem się z tym.

Myra przyniosła kawę i kanapki.

— Coś jeszcze?

— To wszystko, dziękuję — odparł z uśmiechem Poe.

Kobieta odwzajemniła uśmiech, nalala kawy i odeszła. Remus w trzech kęsach zjadł połowę lunchu.

— Co cię martwi, Rom? Czy chodzi o mamę?

— Nic, kłopotczę się inna, sprawą — odparł, choć dodał w myślach: „No cóż, może trochę i mamą”.

— Co się zatem dzieje? — naciskał gigant.

Sierżant wiedział, że nie warto okłamywać brata. Remus potrafił przeświecić jego duszę na wylot.

— Pamiętasz Koszmarę? — odrzekł w końcu. — Były takie morderstwa, gdy mieliśmy około dziesięciu lat.

— Oczywiście, że pamiętam — odparł Remus. — Dlaczego pytasz?

Policjant zauważył, że jego bliźniak pobałdł. Tak, tak, on również doskonale znał swego brata.

— Mam bardzo podobną sprawę do tamtej. Czemu tak żywo zareagowałeś na wzmiankę o Koszmarze?

— Wcale nie.

— Ależ tak.

Remus skończył kanapkę, dopił kawę, po czym odstawił kubek.

— A co ty pamiętasz z tej sprawy? — spytał Poego.

— Tylko tyle, że cholernie mnie przeraziła.

— Nic więcej?

— Przypominam sobie, że morderca wydłubywał ofiarom oczy. Zresztą, wczoraj przejrzałem stare akta i znalazłem morderstwo, które prawdopodobnie popełnił. Czy też raczej jedno z jego morderstw. Wiesz, rozmawiałem o nim z Y i stary mi powiedział, że morderstwa były dwa. Niestety, nie udało mi się znaleźć tego drugiego... W każdym razie, nie w tym samym przedziale czasowym. Znalaziono wprawdzie drugie ciało... również porzucone na pustyni, ale dopiero w rok później. Albo więc przegapiłem coś w aktach, albo Y mnie okłamał. Tylko po co miałyby to robić?

— Nie, nie, Y miał rzeczywiście rację. Też pamiętam, że chodziło o dwie kobiety, Romulusie. Obie zginęły mniej więcej w tym samym okresie. Chociaż nie wiem, czy morderca był ten sam...

Sierżant popatrzył z uwagą na brata.

— Naprawdę to pamiętasz?!

— Tak, i to bardzo dokładnie.

— Jestem pod wrażeniem.

— Nie musisz. Sprawa Koszmara miała dla mnie spore znaczenie. Chyba akurat wtedy lekarze skończyli z zastrzykami. Może nawet całkowicie przerwali kurację... Tak czy siak, straszliwie wówczas cierpiałem i nadal mocno tęskniłem za szkołą. Chciałem zapomnieć o okropnym bólu i nudzie, toteż czytałem wszystko, co wpadło mi w ręce. Łącznie z lokalnymi brukowcami, które nieustannie rozpisywały się o morderstwach. Te potworne zbrodnie mnie zainteresowały i może dzięki nim zyskałem dystans do własnych problemów... Rozumiesz, odkryłem, że innym ludziom jest jeszcze gorzej niż mnie.

— Nie mogę uwierzyć, że pamiętasz morderstwa. A zwłaszcza że pamiętasz je tak wyraźnie!

— Nic w tym nadzwyczajnego. — Remus chwycił pozostałą bratu połowę kanapki z peklowaną wołowiną i ugryzł wielki kęs. — Nic w tym niezwykłego — powtórzył — szczególnie jeśli się weźmie pod uwagę, że na pewnym etapie śledztwa policja to mnie uważała za Koszmara.

Poe chciał krzyknąć: „Co takiego...?!”, ale zaczęły mu nagle drżeć dłonie i jak przez mgłę przypomniał sobie oderwane zdarzenia z odległej przeszłości. Napastliwe dzieci, które ścigały go pełnymi jadu zaśpiewami: „Twój brat jest Koszmarem! Twój brat jest Koszmarem!” Był zaszokowany, w głowie mu huczało.

— Co... O czym mówisz? — wydukał w końcu.

Remus spuścił wzrok.

— Policja przysłała do naszego domu dwóch detektywów. Chcieli ze mną porozmawiać. Może zadzwonił do nich któryś z chłopaków z naszej klasy. Może powiedział, że zmieniałem się w potwora... Jeśli tak, pewnie miał rację.

Poe aż spurpurowiał z wściekłości.

— W naszej klasie były same dupki!

— Przypuszczam, że zachowywałem się wtedy paskudnie. Paru chłopakom pogruchotałem kości.

— Bo wciąż cię prowokowali do walki.

— Policjanci widzieli to trochę inaczej. Przyszli i zaczęli

przesłuchiwać mamę i mnie. Naskakiwali na nas, dobrze to pamiętam. Mama starała się im wyjaśnić, że hormony źle wpływają na mój organizm. Jednak jej tłumaczenia tylko zwiększyły ich podejrzliwość. Sądzieli, że lekarstwa powodują u mnie agresję i mogły mnie doprowadzać do tych... hmm... aktów zezwierzęcenia. Policjanci dostrzegali we mnie jedynie groteskowo olbrzymie dziecko, które z niewiadomych względów opuszcza mnóstwo lekcji...

— Przesłuchiwanie dziecka to okrucieństwo. — Poe przypomniał sobie, jak policjanci męczyli jego i Alison. „Powinna ich była zaskarżyć”, pomyślał, głośno natomiast oznajmił: — Powinniśmy ich byli zaskarżyć.

— To zabawne, że o tym wspominasz. Detektywi kazali nam przyjść na posterunek, lecz w tym momencie mama oznajmiła, że za chwilę zadzwoni do swojego prawnika.

— Jakiego prawnika? Mama nigdy nie miała prawnika.

— Och, może powiedziała, że zadzwoni do prawnika, a nie do swojego prawnika. W każdym razie, naprawdę zagroziła, że ich zaskarży. — Remus uśmiechnął się do swoich wspomnień.

— Wierz mi, Rom, była cudowna. Niczym Clarence Darrow* zaczęła im wymieniać sprawy... jedną po drugiej... sprawy, w których ludzie zaskarżyli rząd i otrzymali milionowe odszkodowania za straty moralne.

* Clarence Darrow (1857-1938) — słynny prawnik amerykański, który zasłynął z obrony Johna Scopesa (1925), nauczyciela ze szkoły w Dayton, w Tennessee, któremu zarzucano szerzenie teorii ewolucji.

— Nasza mama?! Skąd o tym wszystkim wiedziała?

— Nie mam pojęcia. — Gigant roześmiał się. Śmiech skojarzył się jego bratu z rykiem wołu. — Sądzę, że wyczytała to w jakimś kolorowym magazynie... Ale udało jej się ich przestraszyć i natychmiast dali nam spokój. — Zastanowił się chwilę.

— Zresztą, nie było więcej morderstw, więc sprawę pewnie umorzono.

— Nie miałem o niczym pojęcia.

— Bo nic ci nie powiedziałem. Miałeś własne problemy. Poza

tym oboje z mamą mimo wszystko czuliśmy jakiś wewnętrzny wstyd i chcieliśmy jak najszybciej zapomnieć o tych pomówieniach. — Remus skończył kanapkę Poego. — Kurczę, chyba zjadłem ci lunch.

Sierżant zamówił jeszcze dwie kanapki.

— Wracając do twojego pierwszego pytania... o dwa morderstwa. Nie przypominam sobie zbyt wielu szczegółów na temat żadnego z nich, ale pamiętam, że w artykułach było coś o oczach.

— Więc nie wydawało mi się. Ty również pamiętasz.

— Tak, rzeczywiście.

Policjant westchnął.

— Jak już ci mówiłem, znalazłem na mikrofilmach akta jednego tylko zabójstwa. Niejaka Janet Doward. Druga sprawa, w miarę podobna, datuje się dopiero na ponad rok później.

— W aktach mogą być błędy... Może ktoś źle wpisał rok.

— Remusie, ofiara była nikomu nieznaną, niezidentyfikowaną nastolatką, która prawdopodobnie uciekła z domu na drugim końcu Stanów. Była nikim. Dlaczego ktoś miałby się trudzić i zmieniać datę w aktach?

— Bo może jej zabójca był kimś jak najbardziej znanym.

— Rom, telefon... — powiedziała Myra.

Poe aż podskoczył i coś mruknął. Kobieta stała za nim. W rękę trzymała telefon bezprzewodowy. — Przepraszam — dodała. — Nie chciałam cię wystraszyć.

Policjant posłał jej nikły uśmiech.

— Łatwo mnie przestraszyć, gdy jestem bardzo skoncentrowany.

— Mickey do ciebie. — Wręczyła Poemu telefon. — Wciśnij czerwony guziczek.

Sierżant wcisnął i w tym momencie słuchawkę wypełniły głośne zakłócenia.

— Słucham, szefie! — wrzasnął policjant.

— Myra twierdzi, że twój brat jest w mieście — wołał Weinberg.

— To prawda, szefie.

- Długo zostanie?
- Odlatuje dziś po południu.
- Przykro mi zatem, że muszę wam przerwać spotkanie. Niestety, znaleziono kolejnego trupa. Tuż za Red Rock.
- Chryste!
- Zwłoki w niczym nie przypominają pierwszych. To raczej hmm... tradycyjne zabójstwo. Chciałbym jednak, abyś pojechał na miejsce zbrodni. — Przekazał Poemu szczegóły.
- Zaraz jadę — mruknął sierżant.
- Pozdrów ode mnie brata. — Porucznik rozłączył się.
- Złe wieści? — spytał Remus.
- Dla mnie złe, a jeszcze gorsze dla ofiary — odparł policjant. Remus westchnął głośno.
- Rom, jeśli mama jest dla ciebie zbyt... — Wiesz co? Prawdę powiedziawszy, w tym całym popieprzonym świecie codzienna rozmowa z mamą będzie dla mnie jak łyk świeżego powietrza. — Wstał. — Muszę iść.
- Jak sobie poradzisz? — zapytał brat. — Zdawało mi się, że nie masz samochodu.
- O cholera!
- Remus podał mu kluczyki od wynajętego samochodu.
- Zamówię taksówkę. Nie zapomnij go oddać do wypożyczalni. Sierżant podrzucił kluczyki w dłoń.
- Dzięki. Naprawdę. Serdeczne dzięki.
- Dbaj o siebie, Rom. — Gigant wstał i porwał bliźniaka w niedźwiedzi uścisk, który o mało nie połamał mężczyźnie żeber. Poe bez słowa zniósł ból, przez wzgląd na braterską miłość. Sama myśl o niej dawała prawdziwą pociechę.

Teren otoczono rozpiętą na słupkach żółtą taśmą. Falowała leniwie w słabnącym wietrze. Sierżant zauważył samochód szefa i furgonetkę ekipy technicznej. Wszyscy policjanci nosili okulary przeciwsłoneczne jak na zjeździe ofiar katarakty. Piasek unosił się nad

powierzchnią pustyni, przesuając się niczym szarfa. Poe zatrzymał wynajęty przez brata samochód, zaparkował go, wysiadł i sprężystym krokiem pokonał trzydzieści metrów dzielące go od miejsca zbrodni.

Gdy zobaczył różowe włosy, poczuł ucisk w żołądku.

Zwłoki porzucono niedbale; przywodziły na myśl marionetkę z popękаныmi sznurkami i pobielalymi, połamanymi kończynami. Taka krucha istota... dokładnie taka, jaką ją pamiętał. Widok łamał mu serce. Dziewczyna miała na sobie błyszczącą zieloną minispódniczkę, od pasa w górę zaś była naga.

Na ciele nie było żadnych ran.

Z wyjątkiem jednej. Choć zwłoki przykrywała cieniutka warstwa piasku, który znajdował się na twarzy, w oczach, nosie i uszach, widać było jaskrawą kreskę biegnącą na wysokości tchawicy. Ofierze poderżnięto gardło. Sierżant poczuł duszność i nagły ucisk w skroniach.

— Widziałem ją zaledwie dwa dni temu w Nagim Mieście. Praco-
wała dla alfonsa Brittany Newel.

— Chryste! — zawołał Jensen. — Jesteś przekonany, że to ta sama...

— Absolutnie. Ta sama twarz, ta sama sukienka, no i... te włosy...

W głębi duszy Jensen poczuł ulgę. A zatem tym razem Poe był powiązany z zamordowaną! A on sam — co do tego był pewny — nigdy z nią nie spał.

— Pamiętasz tego alfonsa, Rom? — spytał Weinberg.

— Jasne.

— Wystarczająco dobrze, by polecić sporządzenie portretu pamięciowego?

— Tak.

— Hmm, zatem ów alfons jest łącznikiem obu zbrodni, a może nawet sprawcą, kto wie... Czy wśród rzeczy Newel nie znaleziono jakichś dowodów związanych z nim, Poe?

— Nie, o ile dobrze pamiętam. Ale sprawdzę.

Porucznik przetarł oczy z piasku i wcisnął ręce w kieszenie.

— Okej. Plan na dziś. Deluca i Jensen skończą robotę tutaj. Szczególnie dokładnie przeczyszcie teren wokół. Szukajcie wszystkiego. Dosłownie. Każdy drobiazg może być istotny.

Dwoje detektywów zgodnie skinęło głowami.

— Rom, weź wsparcie i jedź do Nagiego Miasta — kontynuował Weinberg. — Poszukaj alfonsa. Jeśli go nie znajdziesz, dowiedz się, dokąd się wyniósł. Jeżeli trzeba, sygnij kasą, wtedy ludzie są rozmowniej si.

— Dobra.

— Jeśli nie uda ci się namierzyć alfonsa, wróć do centrum i pogadaj z Melem. Jeżeli nie będzie Mela, Cindy pomoże ci wykonać wstępny portret pamięciowy za pomocą komputerowego „Rysownika”.

— Przejrzę też akta — dodał sierżant. — Dowiem się, czy facet był notowany... może nawet aresztowany.

Patricia nie mogła oderwać oczu od ciała. Jeszcze przed chwilą rozmyślała, jak bardzo jest szczęśliwa z Nate'em... Teraz wspomnienie wczorajszego wieczoru obróciło się w pył — równie nijaki jak piasek w jej butach.

— Ależ młodziutka!

— Tak, prawie dziecko. — Poe przełknął ślinę. — Omal jej nie aresztowałem. Powinienem był...

— Rom, do morderstwa doszło ubiegłej nocy — zauważył oschle porucznik — nie zaś dwie noce temu, gdy ją widziałeś. Nawet gdybyś ją wtedy aresztował, wyszłaby na wolność po kilku godzinach. Dziewczyna była urodzoną ofiarą. Nie mogłeś jej uchronić przed przeznaczeniem.

Sierżant pokiwał poważnie głową.

Weinberg mówił prawdę, poza tym starał się pocieszyć swego detektywa. Niestety, słowa porucznika zadźwięczały pusto.

Rozdział szesnasty

— To on! — Poe dźgnął palcem w zdjęcie. — Tak sądzę.

— Jest pan pewien? — spytała Patricia.

— Jestem. Wystarczy mu dorysować bródkę. — Podniósł ołówek i dorysował proste kreseczki wokół podbródka. Przypatrzył się swemu dziełu. — Tak, to mój człowiek. — Przeczytał nazwisko. — Ali Abdul Williams. Aresztowany za napaść z uszkodzeniem ciała półtora roku temu w czerwcu.

Grzmotnięciem zamknął książeczkę ze zdjęciami przestępców.

— Okej, sprawdźmy go w sieci. Może znajdziemy jego adres i jakichś krewnych. Dowiedzmy się czegoś o jego kumplach. Poproszę Weinberga o nakaz aresztowania. Jak będzie już oficjalna decyzja prokuratora, pojedziemy przeszukać mieszkanie tego gagatka.

— Jasne.

— Warto zobaczyć, czy nie wyszedł na warunkowe. Jeśli tak, może ustalimy nazwisko jego kuratora. Jeżeli nadal przebywa na warunkowym, możemy go aresztować za naruszenie zasad zwolnienia. — Zastanowił się, potem dorzucił ze smutkiem: — Byłem tak blisko, Patricio, tak blisko... — Rozsunął kciuk i palec wskazujący na niewielką odległość. — Wkurza mnie to. — Wypuścił powietrze. — Nawet jeśli Williams nie zabił Brittany, powinienem był go przyskrzytnić, gdy miałem okazję. Zamknąć go, zanim zabił tę małą. Hmm... Nie mamy jeszcze jej nazwiska?

Policjantka potrząsnęła głową.

— Szefie, nie można aresztować kogoś przed popełnieniem...

— Pieprzone zasady!

— Ten alfons Williams... — zaczęła Patricia — wiedział, że pan jest gliniarzem, prawda?

— Tak, pokazałem mu odznakę.

— Czyli... pan oznajmił mu, że jest gliną, a on po tym stwierdził, że poderżnie Brittany Newel gardło natychmiast, gdy ją znowu zobaczy. Zgadza się?

— Mów dalej.

— Później zaoferował panu usługi różowowłosej dziewczyny. — Patricia starała się jak najprecyzyjniej ułożyć myśli w słowa. — Jak gdyby chciał, żeby pan ją sobie dobrze obejrzał.

— Raczej usiłował wyciągnąć ze mnie forszę.

— No ale — kontynuowała policjantka — znajdujemy dziewczynę martwą... zamordowaną, z podciętym gardłem. Od razu podejrzenie pada na Williamsa. Albo facet jest strasznie głupi, albo coś przeoczyliśmy.

Poe splótł sztywno dłonie, dzięki czemu udało mu się powstrzymać chęć strzelenia palcami.

— Większość przestępców to idioci.

Patricia zbyła jego stwierdzenie milczeniem.

— Czy te dwa morderstwa są powiązane? — spytał sierżant.

— Nie wiem. Co wiemy? — Rozłączył palce. — Oba ciała porzucono na pustyni, niedaleko od siebie. Obie dziewczyny były powiązane z Ali Abdulem Williamsem...

— Ale umarli w inny sposób.

— To znaczy?

— Myślę, że może ktoś próbował upodobnić do siebie te dwa morderstwa, aby nas zmylić. Skupimy się na poszukiwaniach Williamsa, a tymczasem prawdziwy morderca się nam wymknie.

Poe zmarszczył nos.

— Po prostu głośno myślę — obruszyła się Patricia.

Sierżant zawahał się.

— Rozumiem twój punkt widzenia — stwierdził w końcu.

— Chyba się jednak zapędziłaś. Najpierw odszukajmy Williamsa, przyciśnijmy go, a dalej zobaczymy. Tak przy okazji, gdzie jest Jensen?

— Podobno Alison nie czuje się zbyt dobrze. Zwolnił się wcześniej i pojechał do domu. Mam zadzwonić na pager?

— Nie, nie ma potrzeby. — Poe wyjął notes. — Okej. Sprawdź dane Williamsa w Internecie. Ja wrócę i przejrzę akta Newel. Zobaczę, czy zdjęto z miejsca zbrodni odciski palców albo zebrano inne dowody. Teraz, kiedy mamy podejrzanego, możemy sprawdzić ewentualne

odciski w komputerze. Może akurat będą pasować do alfonsa. Byłoby miło, gdyby pasowały... Wtedy mielibyśmy faceta w garści podczas przesłuchania.

- O ile go znajdziemy.
- Znajdziemy. Tacy jak on nigdy zbyt daleko nie uciekają.
- Chyba że nie żyją — zauważyła policjantka. — Chociaż przypuszczam, że nawet wtedy go znajdziemy. Tyle że już nam się do niczego nie przyda.

Rukmani przemawiała zza maski chirurgicznej, patrząc na młode ciało, które poddawała sekcji na zimnym metalowym stole.

— Wnosząc po zębach i kościach, określiłabym wiek dziewczynki na około czternaście lat. Ma już zęby trzonowe, które wyrzynają się zwykle w wieku dwunastu lat, choć u niej nie są w pełni ukształtowane. Dziaśła jeszcze nabrzmiałe, nawet od wewnętrznej strony. Sam zobacz.

Poe zamachał ręką.

- Och, wierzę ci na słowo.
- Ależ się nagle zrobiłeś wrażliwy.
- Z pewnością nie jestem nadwrażliwy. Tyle że nie interesuje mnie makabra.

Rukmani uśmiechnęła się zza maski.

— Zrobiłam zdjęcia rentgenowskie jej górnych zębów *in situ*.*

* *In situ* (lac.) — w naturalnym położeniu.

Zęby mądrości u ofiary ciągle w fazie wzrostu... Żadnych oznak formacji gnilnej korzenia, która raczej nie pojawia się u osób poniżej szesnastego roku życia. W trakcie sekcji zrobię zdjęcia dolnej szczęki.

Sierżant przecesał włosy rękami w rękawiczkach.

- Kiedy porzucono zwłoki?
- Jest stężenie pośmiertne... z typowymi objawami, takimi jak zasinienie. Czyli że ciało przeleżało przynajmniej dwadzieścia cztery godziny, lecz prawdopodobnie nie dłużej niż czterdzieści osiem. Znalazłam musze jajeczka, jednak nie ma jeszcze larw.

— Czy mogli ją zamordować dwie noce temu?

— Możliwe.

Dwie noce temu! Tuż po jego wizycie w Nagim Mieście. Serce policjanta zamarło. Naprawdę powinien był aresztować wtedy dziewczynę. Zamiast zająć się nią, opiekował się Y. Ależ to była niesamowita noc! Szczególnie to przesywające wycie kojotów, które go obudziło. A stary Indianin nagle zniknął.

— Została zgwałcona? — spytał Poe.

— Zanim ją zabito, uprawiała seks. Nie wiem, czy z własnej woli. — Wzruszyła ramionami. — Czy prostytutki kiedykolwiek zgadzają się na seks? Tak przy okazji, ofiara jest po operacji wycięcia wyrostka.

— Ma to jakieś znaczenie?

— Niby nie, jednak zabieg został wykonany bez zarzutu. Na pewno nie przez pokątnego znachora. Trafiła na dobrego chirurga.

Rukmani naciągnęła brezent na zwłoki, zsunęła maskę z twarzy, poprawiła okulary, podniosła styropianowy kubek z kawą i wypiła łyk. W jaskrawym świetle prosektorium jej włosy błyszczały jak lakierowane.

— Miałeś czas, by poszukać mieszkanie dla matki?

— Umówiłem się jutro na dwa spotkania. Jak możesz pić tutaj kawę?

— Muszę dużo pić. Co znalazłeś dla Emmy?

— Wspaniały apartament zaledwie dwie przecznice od ciebie.

— Jak wygodnie!

— Mówię ci o tym, Ruki, ponieważ jeśli uważasz, że taka bliskość może stanowić problem...

— Pytasz mnie, czy spodoba mi się, jeśli twoja matka będzie do mnie dzwoniła o każdej porze dnia i nocy, zasypując mnie opowieściami o swoim lumbago? Tak robiła ostatnim razem, gdy była w Las Vegas, a znałyśmy się zaledwie tydzień.

— Co to jest lumbago, tak przy okazji?

— Reumatoidalny artretyzm. — Rukmani starła rękawem pot z czoła. — Naprawdę cierpi z tego powodu, biedaczka. Lubię twoją mamę, mimo że nazwała mnie „słodką małą Hinduską”.

— Moja matka ma indiańskie pochodzenie. To był z jej strony komplement. — Zawahał się, po czym dodał: — Nie powinienem cię wciągać w moje kłopoty.

Lekarka potargała go po włosach, nie zdejmując przy tym rękawiczek.

— Wiem, Romulusie, że przyjazd matki nie jest dla ciebie łatwą sprawą. Zrobię, co w mojej mocy, aby ci pomóc.

Poe skinął głową.

— Dzięki.

Założyła maseczkę na nos i usta, potem odkryła ciało. Spojrzawszy na nie, oświadczyła:

— Zbadałam próbki spod paznokci. Wiesz, Rom, ta dziewczyna walczyła jak tygrysica. Zebrałam spore fragmenty skóry zabójcy. Powinieneś szukać osoby z dużą ilością zadrapań na ciele.

Próbki skóry...

— Skóra czarna czy biała? — spytał sierżant.

— Biała.

Starał się nie pokazać po sobie rozczarowania.

— Pamiętasz, czy pod paznokciami Brittany Newel też znalazłaś skrawki skóry?

— Hmm, tak, rzeczywiście. Ale znacznie różnią się od tych.

— Jakiej rasy?

— Także białej.

Policjant strzelił palcami. Próbki białej skóry wykluczały Alego Abdula Williama jako mordercę którejkolwiek z dziewcząt. Choć oczywiście, mógł być współsprawcą... Tak czy owak, alfons stanowił ogniwo łączące obie ofiary i trzeba go było odnaleźć.

— Coś jeszcze?

— Na dziewięćdziesiąt procent zbrodni dokonano na dworze. Pod paznokciami różowowłosej znajdowały się drobiny ziemi, piasku i trawy.

— Trawy?!

— Tak, trawy. Cienkich zielonych źdźbeł, które rosną przed większością podmiejskich domów.

— Nie w Las Vegas. Tutaj mamy piasek, nie darni.

Rukmani popatrzyła na niego badawczo.

— O czym mówisz? Mamy tu mnóstwo trawników. Mieszkańców nie dotyczy nawet nakaz oszczędności wody. Bóg jeden wie, co się stanie, gdy studnie wyschną.

— Nie mówię o małych trawnikach. To przecież miejsca publiczne... Chodzi mi o puste działki, a tam trawy raczej nie ma, tylko jałowcy piasek.

— Z wyjątkiem eleganckich dzielnic, takich jak River Ridge, Pecos Canyon, Dorado Springs. Wszędzie tam znajdują się ogromne obszary trawników, utrzymywane przy życiu za pomocą systemów zraszających.

— Nie mówię, że trawa nie istnieje! Chcę tylko zauważyć, że nie jest rośliną pustynną.

— No cóż, w tej kwestii trudno mi się z tobą nie zgodzić.

Patolog wróciła do pracy.

Poe zamrugał kilka razy. Zamyślił się nad pewnym biurem na wysokościach...

— Pod paznokciami Brittany Newel też znalazłaś trawę?

— Nie, chyba nie. Pamiętałabym. Ale sprawdzę dla ciebie ten szczegół. Dlaczego pytasz?

— Ze zwykłej ciekawości. — Wzruszył ramionami. — Istnieje sposób ustalenia gatunku trawy spod paznokci czternastolatki?

— Mam dać wycinek do sprawdzenia botanikowi?

— Właśnie.

— Tak, mogę to zrobić. Tyle że ekspertyza będzie kosztować.

— W porządku.

— Uważaj sprawę za załatwioną. Podaj mi skalpel. Muszę przeciąć wiązadła, żeby odsłonić większą część dolnej szczęki.

— Hmm... Na mnie chyba już czas.

- Idź, skoro musisz. Może zacytujesz jakąś scenkę pożegnalną? Na przykład z *Casablanki*!
- Może zjemy późną kolację? Kubańskie smakołyki w Hawanie?
- Och, świetnie. Jesteś znacznie lepszy od Bogarta.

Jensen zrobił ostatni gwałtowny ruch i nagle wystrzelił do wnętrza Gretchen. Przesunął dłońmi po jej kształtnych biodrach i ścisnął palcami ponętne, jędrne pośladki. Dziewczyna wydała cichy jęk. Wiedział, że jest to dla niego sygnał, że ma się wycofać. Ale niech go szlag, chciał delektować się tą chwilą! W końcu zsunął się z kochanki i padł obok niej na łóżku.

— Och! — zawołała. — Było po prostu wspaniale!
Chrząknął.

Poklepała go po tyłku, wstała i poszła do łazienki. Jej skorygowane przez plastycznego chirurga nabrzmiałe piersi sterczały idealnie sztywno, kiedy szła. W chwilę później policjant usłyszał odgłos płynącej wody. Popatrzył na swoje ciało. Członek miał nadal w stanie częściowej erekcji. Za kilka minut znowu byłby gotów do rundki numer dwa. Chciał krzyknąć do Gretchen, że nie warto się myć... chociaż... Dlaczego nie pieprzyć wykąpanej kobiety?

Wróciła po paru minutach; kołdrę okręciła wokół bioder. Jensen objął jej szyję, pocałował dziewczynę, po czym powoli skierował jej cudowną główkę do swojego krocza. Gretchen długo i z wprawą ssła jego członek, potem podniosła głowę.

— Dlaczego wciąż z nią jesteś, Stevie? Moglibyśmy tak szaleć co noc.

„Czyż taka perspektywa nie brzmi jak raj?”, pomyślał.

— Moja żona jest chorą kobietą, kochanie — odpowiedział. — Po prostu nie mogę jej opuścić. Nie należę do tego typu facetów. — Znowu pociągnął jej twarz ku swojej pachwinie.

Włożyła sobie jego członek głęboko do ust, niemal do gardła. I natychmiast się wycofała.

— Ona tobą manipuluje, doskonale wiesz o tym. Nie pieprzy się z

tobą, ale wścieka się, że pieprzysz się ze mną. Jak nazwiesz takie zachowanie, jeśli nie typowo suczą manipulacją?

Poczuł, że członek mu wiotczeje. Dlaczego, do cholery, Gretchen stale chce rozmawiać o Alison?

— Kochanie, nie przejmuj się moimi problemami.

— Oczywiście, że się nimi przejmuję, Stevie. Kocham cię. Miał ochotę wrzasnąć: „Nigdy tak do mnie nie mów!” Zamiast tego jednak, ku swojemu przerażeniu, usłyszał własne słowa:

— Och, mała, ja ciebie też kocham. Jednak to nie jest właściwa pora na...

— Nigdy nie nadejdzie ta właściwa.

„Do diabła, Rom, czemu nie dzwonisz, gdy cię potrzebuję?”, warknął w myślach.

— Kochanie, musisz być cierpliwa — oświadczył.

— Stevie, jestem cierpliwa. — Gretchen wyraźnie się obraziła. — Minęło już prawie sześć miesięcy. Istnieją granice ludzkiej wytrzymałości.

Naprawdę nie miał ochoty rozmawiać... szczególnie o innej kobiecie.

„Ucisz ją, dupku!”, polecił sobie.

— Maleńka, bardzo cię kocham. Po prostu potrzebuję trochę czasu...

— Stevie, odbyliśmy identyczną rozmowę przed miesiącem.

— Potrzebuję więcej czasu, Gretchen.

— Ile?

— Jeszcze miesiąc. Tylko tyle. Potem ją zostawię, przysięgam ci. Proszę cię. Daj mi jeden miesiąc. Chcę poczynić pewne kroki w związku z opieką nad synami.

— Steve, kocham cię, lecz już ci nie wierzę. Uważam, że chcesz mnie najnormalniej w świecie zbyć.

I wtedy zadzwęczał pager.

„Dzięki ci, Boże!”, ucieszył się Jensen, po czym popatrzył na wyświetlacz błogosławionego aparaciku.

— Cholera! — mruknął, tłumiąc radość. — Muszę zadzwonić na posterunek.

— Do diabła ciężkiego! — zawołała Gretchen. — Ten głupi kawałek plastiku zawsze się odzywa w nieodpowiednim momencie!

Z ulgą wystukał numer Roma na hotelowym telefonie.

— Cześć, sierzancie, zgłasza się Jensen.

— Powiedziano mi — oznajmił oschle Poe — że wróciłeś do domu ze względu na Alison, która nie czuje się dobrze. Zatrzymałem się przy twoim domu, niestety, nie zauważyłem twojego samochodu. Pojechałeś po papierosy?

„Sarkastyczny kutas!”

— Co mogę dla ciebie zrobić, sierzancie?

Poego zdziwił fakt, że głos Steve'a brzmi tak... szczęśliwie.

— Znalazłem nazwisko alfonsa tej zamordowanej małolaty. Ali Abdul Williams. Jeśli dobrze sprawdziłem, facet zwał, dostałem jednak nakaz rewizji jego mieszkania.

Podał policjantowi adres.

— Będę tam za dziesięć minut — odparł Jensen.

— Rany, ależ jesteś gorliwy. — Po chwili dorzucił: — Kłopoty w rajcu?

— Tak, szefie, dokładnie tak.

Sierżant uśmiechnął się.

— W takim razie, jestem twoim wybawcą. A to oznacza, że masz u mnie dług, nieprawdaż?

— Rzeczywiście. — Jensen rozłączył się.

Poe wyszczerzył zęby. Lubił, gdy Steve miał u niego długi.

Rozdział siedemnasty

Wynik meczu „Żli faceci” kontra Poe — 2:0.

Nagie Miasto było miejscem osobliwie efemerycznym. Ali Abdul Williams wydał się policjantom tornadem, które przez nie przeleciało, pozostawiając po sobie jedynie zniszczenie. Nikt, dosłownie nikt nie przyznał się do choćby pobieżnej znajomości z nim, nic mówiąc o

przyjaźni, współpracy czy pokrewieństwie. Alfons pomieszkiwał w tanim jednopokojowym bungalowie w północnej części Las Vegas. Poe podzielił się z Jensenem wątpliwą przyjemnością przeszukania domku. Znalaziono w nim i skonfiskowano cały arsenał pistoletów i rewolwerów, strzelbę z upiłowaną lufą, a także stertę celofanowych torebek z krystaliczną kokainą i słoiki z mrowiem insektów, które wyglądały na pochodzące z Amazonki. Skończyli przed kolacją, około dwudziestej drugiej trzydziści. Poe dziękował Bogu, że ma przed sobą wolny weekend.

Rukmani zaoferowała mu mnóstwo zrozumienia i swoje łóżko na noc. Jednak po minutach czulego seksu zmęczona odwróciła się na drugi bok i zatopiła we własnym świetle. Sierżant natomiast czuł jakiś nieokreślony niepokój. Wstał z miękkich pościeli i po cichu wyszedł, zostawiając karteczkę. O pierwszej w nocy krążył po Pasie. Ciągle jeszcze nie oddał wynajętego przez Remusa samochodu. Kobieta z wypożyczalni, do której zadzwonił, trochę się na niego zdenewowała, bo volvo według umowy miało wrócić sześć godzin wcześniej. Ponieważ jednak Poe był policjantem, okazała się chętna do współpracy, a nawet całkiem przyjazna.

Sierżant wjechał na parking przy hotelu MGM Grand i zostawił kluczyki parkingowemu. Po wejściu do holu natychmiast rzuciła mu się w oczy diorama Szmaragdowego Miasta. Strach na wróble, Błyszczący drwal, Tchórzliwy Lew i Dorotka radośnie dokazywały na wielobarwnym polu usypiających maków, nie wiedząc, że zaledwie minuty dzielą ich od tragedii. Czyż nie była to doskonała metafora Las Vegas?

Zanim Poe skupił się na swoim zadaniu, dwa razy zagrał w oczko. Kiepsko mu poszło i stracił dwa tysiące. Skoro fortuna nie była mu życzliwa tego wieczoru, porzucił grę i postanowił zdobyć nieco informacji.

Wyjął dwie fotografie — portret pamięciowy białego mężczyzny z kitką i policyjne zdjęcie A. A. Williamsa z wymazanym numerem porządkowym z dnia aresztowania. Sierżant najpierw pokazał zdjęcia

w Sports Lounge, później w innych salach kasyna. Trzydzieści minut później szedł pieszo Las Vegas Boulevard. Odwiedzał kasyno po kasynie, bar za barem, zadając stale to samo pytanie: „Znacie kogoś z tych mężczyzn?” Zazwyczaj jego rozmówcy potrzęsali przecząco głowami. Kilka razy ktoś powiedział: „Może go widziałem...” Policjant zapisywał nazwiska osób do późniejszego sprawdzenia. Notował każdy szczegół.

Gdy dotarł do Caesars Palace, spływał z niego pot. Hotel był monstrualnie ogromny. Samo dotarcie do wind dla gości męczyło bardziej niż aerobik. Po przeciskał się powoli wśród weekendowego tłumu, metodycznie odwiedzał kolejne bary, z których kelnerki w smokingach wyruszały do stolików z darmowymi drinkami dla graczy. Światła błyskały, z automatów wydobywały się rozmaite odgłosy, dym unosił się pod sufitem jak mgła. Sierżant poczuł zbliżający się atak migreny.

Dlaczego nie został z Ruki? No i dlaczego Ruki nigdy się nie budziła, kiedy wychodził?

Było parę minut po czwartej. Rozejrzał się po raz ostatni. Pomieszczenie wydawało się tak rozległe, iż z trudem ogarniał je wzrokiem. Skoncentrował spojrzenie na barowych stolikach i nagle zamrugał, potarł obolałe czoło i przypatrzył się dokładniej. Tak! Około trzydziestu metrów od siebie spostrzegł melonik, a pod nim głowę z kitką. Postać była ubrana na czarno i szła ku wyjściu.

Serce skoczyło Poemu do gardła. Bez wahania popędził wielkimi susami przez kasyno po pokrytej dywanem ścieżce, bezceremonialnie rozpychając otępiałych wczesnoporaną godziną graczy. Nie spuszczał oczu z mężczyzny w meloniku, dopóki nie zniknął za podwójnymi szklanymi drzwiami wyjściowymi. Wtedy sierżant rzucił się ku wyjściu i po chwili wypadł na zewnątrz. Powitała go zimna, klarowna, oświetlona neonami noc.

Szybko popatrzył we wszystkie strony.

Melonik mignął mu pod markizą Caesars, pognał więc długim podjazdem. Prawie dogonił zbiega, ale... mężczyzna przemieszczał się tak szybko, jakby leciał, toteż gdy sierżant dobiegł do chodnika,

Melonik znajdował się już na środku prawie pustej ulicy.

— Hej! — krzyknął Poe, nie zatrzymując się. — Stój! Policja!

Jego głos odbił się echem po nocnym mieście. Sierżant wiedział, że uciekinier go słyszy. A jednak jego wołanie wydawało się mieć odwrotny od zamierzonego skutek, osobnik z kitką bowiem pobiegł jeszcze szybciej; skakał niczym puma lub równomiernie sunął, stawiając giętkie, skoordynowane kroki. I ciągle przyspieszał.

„Niech diabli wezmą tę pracę”, wymamrotał policjant. Sapał jak lokomotywa, w piersi czuł klucie, lecz nieprzerwanie gnał z maksymalną prędkością, starając się dotrzymać kroku Melonikowi. W pewnej chwili chciał wyjąć broń, lecz odrzucił ten pomysł. Biegł zbyt szybko, by strzelać, na ulicach wciąż znajdowali się ludzie, no i było zbyt ciemno na celny strzał.

— Stój! Policja! — wrzasnęła ponownie. — Policja!

Jednak facet z kitką ciągle pędził, sprawnie lawirując między przechodniami i nielicznymi o tej porze samochodami. Kierował się ku Mirage. Poe przyspieszył, dotrzymując mu kroku. Zastanawiał się, w jaki sposób na głowie mężczyzny trzyma się melonik przy tak szalonym biegu. Nagle uciekinier — nie zwalniając — wpadł do hotelu Treasure Island.

„O rany, niech cię szlag, facet!”, zaklął w myślach sierżant.

Kiedy znalazł się w kasynie, wiedział, że zbieg zdołał go oszukać. Zatrzymał się i przez kilka minut ciężko dyszał. Wytarł pot z twarzy i rozejrzał się. Ani śladu Melonika. Nawet o tej godzinie było tu sporo graczy. W Treasure Island zawsze panował duży ruch, w weekendy zaś — prawdziwy ścisk. Zarówno hotel, jak i kasyno cieszyły się wielką popularnością, szczególnie ze względu na przyjazne podejście do rodzin oraz niskie stawki w automatach i przy stolikach. Przyjeżdżały tu tłumy, zwłaszcza z piątku na sobotę.

Poe omiół spojrzeniem tłum.

Nie zauważył kapelusza. Ani końskiego ogona. Ani śladu podejrzanego.

Półgodzinne poszukiwania okazały się całkowicie bezowocne. W końcu sierżant — zmęczony, pokonany i załamany — zadzwonił do Weinberga z budki i zrelacjonował mu pościg.

— Gdy wszedł do kasyna, straciłem go z oczu. Ale może nadal jest tutaj. Jednak zanim zarządę poszukiwania, facet będzie już w połowie drogi do Reno albo do Los Angeles... lub w sercu pustyni Mohawe. Niech szef zadecyduje.

— No cóż, wyszło paskudnie — rzędził porucznik. — Teraz skurwiel wie, że go szukamy.

Poe poczerwieniał i poczuł, że krew tętni mu w głowie. Z trudem zapanował nad gniewem.

— Szefie, przecież tylko pobiegłem za nim...

— Musiałeś wrzeszczeć, że jesteś gliną, człowieku?

— Dopiero gdy zaczął uciekać. Przecież to standardowa procedura...

— Ale w jaki sposób ci się wyślizgnął?! Jesteś najszybszym biegaczem w całej policji.

— Facet pędził niczym wicher! — Sierżant wściekł się. — Ach, niech to wszystko szlag! Mam się przyznać, że spieprzyłem? Chcesz tego, szefie? Dobrze, spieprzyłem...

— Poe...

— Co mam teraz zrobić, poruczniku?

— Najpierw się uspokój.

— Jestem spokojny! Teraz co?

Weinberg zawahał się.

— Dobrze się przyjrzałeś jego twarzy?

— Nie, szefie, nie przyjrzałem się... ani dobrze, ani w ogóle! Za to dobrze sobie obejrzałem kapelusze. Czarny melonik. Bardzo wąski i lekki. Ścigałem pieprzonego Stana Laurela z kitką.

Porucznik zachichotał.

— Przynajmniej wiemy, że ten facet rzeczywiście istnieje.

— Faktycznie, czyż to nie jest pocieszająca nowina?

— Daruj sobie sarkazm, Romulusie.

— Mogę iść do domu i paść na wyrko, szefie?

— W każdej chwili.

Policjant już miał się rozłączyć, lecz dodał:

— Nie mogę uwierzyć, że ten pieprzony melonik pozostał na głowie faceta aż do końca gonitwy. Chyba przykleił go sobie do łba superglue.

Weinberg znowu się roześmiał.

— Wróć do domu i prześpij się.

— Chyba pojedę bezpośrednio do biura. Napiszę szczegółowy raport z mojego katastrofalnego niepowodzenia...

— Nie katuj się, Poe. Znajdziemy go. Do zobaczenia w poniedziałek.

Szef rozłączył się. Poe wiedział, że powinien złapać taksówkę z powrotem do Grandu, odebrać samochód, pojechać do biura i opisać całą pogoń, póki wszystko dobrze pamiętał. Rano mogą mu umknąć drobiazgi, a kto wie, co może okazać się istotne. Wolał jednak skierować się do Hi Ho Matey Bar. Zamówił piwo, zapalił papierosa i rozejrzał się.

Dostrzegł charakterystyczny warkocz.

Poczekał na browar, wziął szklanicę, papierosa i usiadł naprzeciwko Y. Stary jak zawsze grał na automacie pokerowym. Wódz miał tej nocy na sobie czarną zamszową koszulę, czarne dżinsy i wąski krawat luźno związany i udekorowany paseczkiem z koralików.

Sierżant wypuścił dym i chwilę pomilczał.

— Dwie noce temu zniknąłeś bez słowa.

Indianin wrzucił dolara w maszynę.

— Następnym razem zostawię ci karteczkę z podziękowaniem.

Poe wyjął z ust Y wypalonego papierosa i zastąpił go nowym.

— Dokąd poszedłeś?

— Kręciłem się tu i tam.

— Kręciłeś się? Mój dom stoi na kompletnym pustkowiu.

— Jestem z plemienia południowych Pajutów. Cała pustynia jest moim domem.

— Daruj sobie te szamańskie bzdury. Twoja rodzina handluje papierosami i żyje z kantów możliwych dzięki różnicy między podatkiem federalnym i plemiennym.

— Nie oznacza to, że nie znamy starych sposobów.
— Hmm... Starych sposobów na co? — spytał wyzywająco sierżant. — Rozumiem, że masz na myśli upijanie się do nieprzytomności i życie z zasiłku.

— Kiepska noc, Romulusie?

— Martwiłem się o ciebie, wodzu — odburknał policjant. — Nie powinieneś być wychodzić w środku nocy. W okolicy mojego domu roi się od dzikich zwierząt: węży, pum, kojotów... Rany, kojoty były jak diabli po twoim wyjściu. Miałeś szczęście, że cię nie dorwały.

Y znowu przegrał.

— Przynosisz mi pecha.

— Nie, po prostu kiepsko grasz. — Poe włożył żeton do maszyny. Ustawił stawkę na trzy do jednego.

— Widzisz?

Starzec usiadł na następnym stołku i zaczął grać przy innej maszynie.

— Kupić ci drinka? — spytał sierżant.

— Idź sobie.

Poe milczał. Y poliział spieczone usta.

— No cóż, sądzę, że chyba możesz mi coś kupić.

Policjant zamówił mu czystą wódkę, która natychmiast skojarzyła mu się z opowieściami o „wodzie ognistej”. Wódz wziął kieliszeczek i wypił jego zawartość w kilku łykach. Bez słowa podziękowania! Pieprzyć go! Sierżant zgasił papierosa, zgniół go i wstał z zamiarem odejścia. Stary przytrzymał go za ramię.

— Spoglądasz kiedykolwiek w gwiazdy, Romulusie?

— Nie wciskaj mi żadnych indiańskich mistycznych bzdur o duchach na niebie i takich tam, dobra?

Y uśmiechnął się; jego pomarszczone policzki rozsunęły się niczym płaty prażonej skóry.

— Mama tak mówiła, Rom? Że to bzdury?

— Nic dobrego, w każdym razie.

— Siadaj.

Poe usiadł.

— Kiedy byłem dzieckiem — ciągnął Y — znalazłem konstelacje tak dobrze jak tył własnej głowy. Odkąd rzeki wyschły... i zniknęły państwiska... Tak czy owak, w rezerwacie nie było nic do roboty poza piciem. A kiedy jesteś zbyt młody, by pić, siedzisz i się gapisz.

Wsunął następny żeton w maszynę.

— Znam to niebo jak starego przyjaciela, Romulusie. Wielka Niedźwiedzica zawsze mi wskazuje właściwy kierunek. A co do węży... mam na nie swoje sposoby. Jeśli mnie niepokoją, nie żyją zbyt długo.

— Jakie sposoby, stary? Znieważasz je... na śmierć?

Indianin potrząsnął głową.

— Spytaj matkę. — Uderzył pięścią w maszynę. — Cholera! — Włożył kolejną monetę w otwór. — Zabijałeś kiedykolwiek grzechotniki, Romulusie?

— Jako dziecko... przez cały czas. Latem zwykle wyjeżdżaliśmy w góry Sunrise i strzelaliśmy do węży po zachodzie słońca, kiedy zaczynały wychodzić... bo się wtedy ochładzało. Sprzedawaliśmy skóry po horrendalnych cenach naiwnym turystom. Mama robiła gulasz z mięsa.

— Jak się miewa twoja mama?

— Zabawne, że o nią pytasz. Przyjeżdża niedługo do Las Vegas, trochę tu pomieszka.

Wódz przestał grać.

— Kto będzie się nią opiekował?

Poe prawie się na niego obraził.

— Oczywiście, że ja. Zadbam o nią. Znalazłem dla niej mieszkanie. Teraz muszę jedynie zatrudnić całodobową pielęgniarkę.

— Och.

— Co ma znaczyć to „och”? Będę się nią opiekował. Tyle że mama nie czuje się dobrze i potrzebuje stałej opieki. To wszystko.

Y uruchomił maszynę.

— Tak, twoja mama faktycznie nie czuje się dobrze.

Sierżant wpatrzył się w pomarszczone oblicze.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że jutro umrze. Hmm... Czemu

mówisz, że moja matka nie czuje się dobrze? Wiesz coś, czego ja nie wiem?

— Nie. Powtórzyłem tylko twoje stwierdzenie. Po prostu się z tobą zgadzam.

— Więc nie rób tego więcej — odparł policjant poirytowanym tonem. — Przytakiwanie zupełnie do ciebie nie pasuje. — Choć się nie przyznawał, był naprawdę zaniepokojony. Mimo że lekceważył indiańskie czary, wiedział, iż takie oświadczenia starego wodza miały zazwyczaj osobiście złowieszczy podtekst. — Wracam do biura — warknął.

Y nie odpowiedział. Kontynuował grę.

— Chciałbyś się z nią zobaczyć, gdy przyjedzie?

— Tak, lubię twoją matkę.

Ponownie mu się przypatrzył. Twarz Y nie ujawniała żadnych emocji. Po wstał i odszedł bez słowa.

Weszła o czwartej trzydziści. Miała na sobie krótką czerwoną sukienkę bez rękawów, która obciskała jej ciało niczym kochanek. Jej długie włosy zwisały luźno, skóra lekko połyskiwała od potu. Na twarzy Alison nie było śladu makijażu z wyjątkiem świeżej szminki na wargach. Pod jej gołą pachą tkwiła papierowa torebka. Jensen przestał chodzić po pokoju, zbyt zaszokowany, by się odezwać.

— Mój tato ciągle jeszcze tu jest? A może po przyjeździe odesłałeś go do domu? — spytała.

Mężczyzna nie miał siły odpowiedzieć. Nie wiedział, czy ma ochotę ją udusić czy się z nią kochać. Wbrew sobie wybrał trzecią możliwość i zaczął odgrywać zagniewanego męża.

— Gdzie byłaś, do jasnej cholery?

Potoczyła oczyma i skierowała się do łazienki. Poszedł za nią.

— Zadałem ci pytanie! — Zniżył głos do przepelnionego wścickłością szeptu.

Wzruszyła ramionami.

— Odpowiem ci, jeśli przynasz mi się, gdzie ty byłeś.

— Pracowałem! — odpalił tak gwałtownie, że aż wystrzeliły mu z ust kropelki śliny. — Jeżeli mi nie wierzysz, spytaj swego przyjaciela-karzełka.

— Ależ Rom był tutaj, Stephenie. Szukał cię. Zastanawiał się, dokąd poszedłeś, ponieważ mu powiedziałeś, że zwalniasz się wcześniej z mojego powodu. Tak, z mojego! Nieco go zaskoczyła twoja nieobecność w domu.

Jensen zaczął w myślach szaleńczo szukać rozwiązania. To prawda, sierżant coś mu wspomniął, że zatrzymał się przy jego domu. Ten dupek zawsze... Alison czekała na odpowiedź. „Wymyśl coś, palancie!”, powiedział sobie, niestety nic mu nie przychodziło do głowy.

Jego żona znowu potoczyła oczyma.

— To ja dałam mu twój numer do hotelu. Więc przestań mnie indagować, bo za chwilę ta rozmowa obróci się przeciwko tobie.

Mężczyzna poczuł, że jego stanowczość słabnie.

— Naprawdę pracowałem! — jęknął.

Kobieta wrzuciła papierową torbę do szafy i próbowała rozpiąć sukienkę.

— Jestem pewna, że bardzo ciężko pracowałeś. Teraz pomóż mi. Chyba się zamek zaciął.

Jensen podszedł do Alison i rozpiął jej sukienkę.

— Gdzie byłaś?

— Po prostu wyszłam.

„Po prostu wyszła”.

„Dokładnie tak jak jej matka”.

„Boże, nawet nie chce mi się o tym myśleć”.

— Byłaś w jakimś szczególnym miejscu? — spytał spokojnie.

Kobieta odsunęła się od męża, opuściła sukienkę do stóp i wyszła z niej.

— Włóczyłam się po kasynach. Wygrałam na automatach czterysta dwadzieścia dolarów. Najwyraźniej miałam dobrą noc.

— Towarzyszył ci... ktoś?

— Nie, nikt. Poszłam zupełnie sama.

Jensen nie wierzył w ani jedno jej słowo. Tym razem jednak postąpiła całkiem odpowiedzialnie, ponieważ przed wyjściem zadzwoniła do swego ojca i poprosiła, by popilnował dzieci. Zresztą, nawet jeśli pieprzyła się z kimś... Nie, nie, nie chciał rozważać takich kwestii. Za bardzo się bał.

A Poe? Gdzie się wybierał tego wieczoru? Mówił coś o kolacji z Rukmani. Prawdopodobnie spędził wieczór w jej mieszkaniu. Spokojnie... tylko spokojnie. Nie trzeba naciskać Alison. Nie trzeba. Przynajmniej zachowywała się normalnie... rozmawiała... reagowała na jego słowa. Poza tym, wyglądała tak cholernie dobrze.

Podszedł do niej i otoczył dłońmi jej talię.

— Nie próbuję cię kontrolować, kochanie. Po prostu się o ciebie martwiłem. Tylko tyle.

Odwróciła się i pogładziła go po twarzy.

— Biedny, biedny Steve.

Przyciągnął ją do piersi.

— Wiesz, jak bardzo cię kocham. Jak bardzo mnie obchodzisz. Odpowiedziała mu, gładząc go po kroczu.

Byłby wariatem, gdy nie zareagował. W ciągu kilku minut znalazł się w jej wnętrzu. Podniecenie zalało go i nie wiedział, czy potrafi się powstrzymać na tyle długo, by również ona przeżyła orgazm. Czy to nie pieprzona perwersja, gdy własna żona bardziej człowieka podnieca niż kochanka? Czuł się dziwnie, lecz nie mógł poradzić.

Po kilku sekundach Alison zadygotała pod nim. Zareagował natychmiastowym wytryskiem. Jednocześnie uspokoił się i pozbył nadmiaru androgenów. Żona odepchnęła go i skierowała się do łazienki. Wiedział, że powinien za nią pójść, zrobił jednak błąd i zamknął oczy. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał, była płynąca woda.

Kąpiel była tak gorąca, że w poprzednim życiu mocno poparzyłaby ciało Alison. Ale kobieta nauczyła się już znosić drobne niedogodności, które raniły większość śmiertelników.

Wszystko działo się tak szybko.

Szybciej, niż jej badania potrafiłyby to wyjaśnić. Choć może po prostu Alison nie wglębiła się wystarczająco. Była bowiem pewna, że w posiadanych papierach powinna znaleźć odpowiedź na każdą wątpliwość. Wszystko się tam znajdowało. Gdyby tylko poświęciła dość czasu na odkrycie...

Czy podobnie czuła się jej matka? Czy jej ataki były równie nagłe? Czy czuła się tak samo jak córka? Coraz silniejsza... coraz bystrzejsza... coraz bardziej... nieśmiertelna?

Alison wiedziała, że naprawdę zyskuje nieśmiertelność. Wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy — odkryła ten fakt dopiero tej nocy, gdy prześcignęła Romulusa.

Z rozkoszą moczyła się w wypełnionej wrzątkiem wannie.

Zatem Poe gonił ją. Albo raczej jej przebranie... Wiedziała, że w końcu musi do tego dojść, nie oczekiwała jednakże, że zdarzy się to tak prędko.

Wszystko działo się... tak strasznie prędko.

Dzięki temu nagłemu przyspieszeniu wypadków cała sprawa jeszcze bardziej ekscytowała Alison.

Prześcignęła Roma, a niech to!

Wreszcie wiedziała, ile jest warta siła fizyczna. No bo skoro zdołała prześcignąć Romulusa! Ale czy potrafiła go przechytryć? Przecież jej umysł nie zmienił się. Była ciągle taka sama, podobnie zresztą jak on.

Romulus!

Kiedyś był malutkim chłopczykiem, który stale jej towarzyszył, gotów wypełniać jej rozkazy. Ależ ją wtedy adorował! I łąsił się do niej jak głupie szczenię. Byli dla siebie pierwszymi kochankami. Ich fizyczny związek przetrwał sześć miesięcy. Później, gdy Alison rozpoczęła naukę w liceum, Poe rozmył się jakoś w tłumie otaczających ją młodzieńców. Nie było już dla niego miejsca w jej życiu — mógł być najwyżej jej chłopcem do bicia. Najwyraźniej tego nie rozumiał, ponieważ niezależnie od tego, jak bardzo go poniżała, stale wracał.

Łzy spłynęły jej po policzkach.

Wiedziała, że ta sytuacja nie może trwać wiecznie. Lecz czy musiała skończyć się tak prędko?

W końcu go straciła. Odchodził i zaczął spędzać czas ze swoją tak zwaną przyjaciółką. Wczoraj też odszedł, gdyż umówił się na kolację z tamtą. Mimo że ona, Alison, zaproponowała mu kolację we własnym domu... Mogli być sami... tylko we dwoje. Wcześniej w takich momentach zawsze odwoływał swoje randki. Dlaczego tej wczorajszej nie odwołał? A przecież Alison dwa razy go zapraszała! I czemu związał się akurat z taką kobietą? Wszak była dla niego zbyt stara. O wiele za stara!

Łzy toczyły się nieprzerwanie po jej policzkach.

Ach, to pewnie miał być odwet. Tak, właśnie! Ponieważ Rom zawsze uważał, że Steve jest za stary dla Alison.

Oczywiście, tak właśnie było. Poe mścił się!

Wytarła twarz, jednak nie mogła przestać płakać.

Ach, to spojrzenie w jego oczach, kiedy rozmawiali. Dalekie, odległe.

Może dlatego, że Steve kazał mu wyjść. Lecz przecież w przeszłości Rom nigdy nie pozwalał, by Steve wtrącał się w ich związek. Więc pewnie jednak chodziło o tamtą kobietę!

Wszystko... działo się tak szybko.

Wiedziała, że musi sobie z tym poradzić.

Zacisnęła powieki i wyobraziła sobie swój znak „Stopu”.

Stop. Stop!

Powoli przestała myśleć o tym, co się dzieje aktualnie i skupiła umysł na własnej zemście. Równocześnie zamoczyła włosy po raz piąty.

Jeśli jej miłość do Romulusa nie zdoła go zatrzymać, przyciągnie go w inny sposób.

Narzuci mu przyjacielską grę w kotka i myszkę.

A może raczej w myśliwego i zdobycz.

Rozdział osiemnasty

Po wejściu do pokoju detektywów Poe uśmiechnął się na widok tuzina długich krwistoczerwonych róż. Stały w wazonie na stole De-luki.

— Oj, chyba wspaniale spędziłaś weekend.

Dziewczyna nie podniosła wzroku. Jej twarz przybrała barwę róż.

— Tak, całkiem przyjemnie — odparła.

Sierżant powiesił kurtkę. Było wpół do ósmej. Oboje z Patricią byli rannymi ptaszkami i w tej chwili jedynymi pracownikami w budynku.

— Jak się miewa Nate? Przyuważył jakichś nowych złoczyńców, którzy mogliby nas zainteresować?

— Nie sądzę.

Poe usiadł przy biurku i skupił się nad komputerem i modemem.

— Zobaczmy, jakie paskudne sprawy zdarzyły się podczas weekendu. — Poczekał na zakończenie skanu programu antywirusowego.

— Dokąd poszliście?

— A zjedliśmy gdzieś podczas wycieczki po stanie.

Sierżant uśmiechnął się.

— Pytam poważnie.

— Mówię poważnie. Skończyliśmy wycieczkę w Reno, gdzie obejrzeliśmy jakiś nocny show ze striptizem. Potem Nate chciał spróbować szwedzkiego bufetu. Myśleliśmy o wyjeździe na narty w Sierra Nevadas, ale bałam się, że gdy założymy białe kombinezony narciarskie ktoś nas pomyli z gigantycznymi kulami śnieżnymi. Albo niedźwiedziami polarnymi.

Poe roześmiał się.

— Jesteś okropna.

— W końcu zrobiliśmy sobie prywatny wyścig przełajowy na nartach. Chyba straciłam w tuzin kilogramów. Tak się spociłam, że ze mnie kapąło. — Westchnęła. — Ależ pięknie jest w górach!

- Trzeba było zabrać moją matkę, gdy byłeś w Reno.
 - No właśnie, szefie, jak idzie załatwianie opieki?
 - Ciągłe na etapie rozmów wstępnych z pielęgniarkami. — Potarł czoło. — Ruki zna mnóstwo osób. Na pewno znajdziemy kogoś odpowiedniego.
 - A doktor Kalii skończyła sekcję tej anonimowej zabitej?
 - Jestem pewny, że tak, ale niewątpliwie chce jeszcze przejrzeć notatki. Wkrótce powinniśmy dostać roboczy raport. Może w połowie tygodnia. — Zamyślił się. — Powiedziała mi coś ważnego. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że dziewczyna umarła z powodu uduszenia.
 - Uduszenia?! Jest pan pewien?
 - Tak mi powiedziała Rukmani. Wspomniała o zasinieniu komórek płucnych, cokolwiek to znaczy.
 - Może dziewczynę utopiono?
 - Nie... nie miała wody w płucach. Ruki zrobiła również test, który wykluczył zatrucie tlenkiem węgla. Poza tym, jest przekonana, że morderca nie zadusił ofiary rękoma, nie użył także żadnego narzędzia. Ponieważ mimo podejrzanego gardła nie było śladów duszenia. Żadnych wgłębień ani odcisków. Ani z przodu, ani z tyłu. Według Ruki, jeśli dziewczyna rzeczywiście została uduszona, zrobiono to niezwykle delikatnie... na przykład kładąc poduszkę na twarz.
 - Albo plastikowy worek na głowę.
 - Czemu przyszło ci do głowy coś takiego?
 - Bo dilerzy mają wiele plastikowych woreczków.
 - Ach tak. I tu mamy kolejny problem. Rukmani znalazła fragmenty białej skóry pod paznokciami obu ofiar... Fakt ten wyklucza A. A. Williamsa jako bezpośredniego sprawcę. W dodatku dziewczynka walczyła podobno jak tygrysica.
- Zaczerpnął powietrza.
- I to jest kwestia, która wchodzi w sprzeczność z koncepcją łagodnego uduszenia. Skoro dziewczyna walczyła jak szalona o życie...

Poe odchrząknął i spróbował wyciągnąć wnioski z tych dwóch faktów.

— Wiemy, że nastolatka była dziwką, Williams zaś jej alfonsem, prawda?

— Zgadza się.

— Powiedzmy, że podsunał dziewczynę klientowi, który miał ją ochotę przelecieć. Powiedzmy, że facet zrobił się zbyt chamski. Dziewczyna protestowała, więc klient położył jej poduszkę na głowę, żeby ją uciszyć. Jedyne problem, że przytrzymał poduszkę zbyt długo.

Zamilkł.

— I wtedy co? — spytała Patricia.

Poe podrapał się po głowie.

— Nie wiem. Może Williams znalazł dziewczynę martwą, zdenierwował się i spanikował. — Pauza. — Dlaczego w takim razie podciął jej gardło? Przecież sam mi powiedział, że zrobi to następnym razem, gdy ją zobaczy. To się nie trzyma kupy. Tak jak mi mówiłaś w ubiegłym tygodniu, nie może być aż tak głupi. Przecież sam by się nam wystawiał.

— Albo ktoś go wrabia.

— Interesujące spostrzeżenie. Przypuszczam, że dowiemy się więcej po zakończeniu autopsji. Rukmani pobrała wszelkie możliwe próbki. Wyniki krwi, innych płynów oraz skóry powinna dostać jeszcze w tym tygodniu.

— Otrzymamy zatem odpowiedź na pytanie, czy dziewczynę nafaszerowano narkotykami tak jak Brittany Newel.

— Tak, ciekawe, czy obie zostały uśpione. Zwłaszcza że te dwie sprawy są podobne, lecz bynajmniej nie identyczne. Jak gdyby ktoś udawał seryjnego zabójcę, zapomniał jednak o kilku ważnych szczegółach. — Poe strzelił palcami. — Próbowалаś zidentyfikować tę małą?

— Tak, ale na razie bez skutku. Szukałam jej w schroniskach dla nieletnich, w aktach młodocianych uciekinierów oraz w sądzie, w Wydziale dla Nieletnich. Zero. Zamierzam jeszcze sprawdzić w Wydziale Do Spraw Dzieci i Krajowym Rejestrze Zaginionych. Przefakuję im kilka najmniej drastycznych zdjęć dziewczyny i prześlę

z mojego komputera posiadane przez nas dane na jej temat.

— Widzę, że masz plan. — Sierżant popatrzył na monitor swojego komputera. Miał zainstalowany wygaszacz ekranu w postaci cyklicznie następujących po sobie zdjęć westernowych herosów. W tej właśnie chwili John Wayne przemieniał się w Clinta Eastwooda.

Poe wstukał hasło i połączył się z serwisem doniesień policyjnych. Sprawdził, co się zdarzyło w weekend.

Dwie strzelaniny gangów w północnej dzielnicy. Nikt nie zginął. Rannych przewieziono do Uniwersyteckiego Centrum Medycznego.

Kilka samochodowych stłuczek na autostradzie; w jednej — ofiary śmiertelne. W sobotę po południu, około godziny piętnastej. Świadkowie twierdzili, że furgonetka uderzyła w barierkę na środku drogi, przeleciała nad nią, potem jeszcze kilka razy przekoziołkowała na jezdni, w końcu zapaliła się i spadła na pustynne pobocze. Gdy przybyła karetka, sanitariusze znaleźli już tylko na wpół spaloną płataninę ludzkich szczątków. Zginął czarny mężczyzna po trzydziestce i biała kobieta na oko pod dwudziestkę. Policjant przypatrzył się fotografiom wykonanym na miejscu przez patrol autostrady.

Skrzywił się. Zabity stracił sporą część czaszki, rozplątanej jakimś ostrym kawałkiem metalu. Nad oczami trupa nie było brwi. Krew wyciekła z pozbawionej mózgu głowy, twarz zmieniła się w krwawą miazgę, a jednak Poe dostrzegł nietkniętą kocią bródkę.

Przez moment wpatrywał się w zdjęcie, wyężając wzrok.

— Mój Boże! — wysapał wreszcie.

— Co takiego? — spytała Patricia.

Sierżant aż zerwał się z krzesła, po czym pochylił się jeszcze bliżej monitora.

— Ależ to on! To nasz A. A. Williams — alfons zabitej dziewczyny! Chodź, rzuć okiem!

Patricia wstała i podeszła do biurka, lecz odsunęła się na widok fotki.

— Co to za makabra? — zapytała.

— Wypadek samochodowy na trasie numer pięćdziesiąt. — Wskazał na zakrwawione oblicze. — Niepowtarzalna kozia bródka! Widzisz ją! To nasz Williams!

— Tak, szefie — odparła policjantka, choć w istocie widziała jedynie przygotowującą ją o mdłości krwawą miazgę.

— To na pewno on! Istnieje tylko jeden sposób, aby zyskać pewność. Trzeba się dowiedzieć, dokąd zabrano ciała i sprawdzić odciski palców. — Uderzył w stół. — Cholera! Miałem go w rękę i straciłem. Pozwoliłem, żeby mi się wymknął. — „Dokładnie tak samo jak facetowi z kitką”, dodał w myślach. Zaczął chodzić po pokoju. — Pieprzę wszystkie weekendy! Zbyt wielu ludzi wtedy ginie. W tym bałaganie niczego nie można znaleźć ani się dowiedzieć.

— Chce pan trochę kawy, szefie? — zaoferowała się Patricia. — Może bezkofeinowej?

Wszedł Jensen.

— Hej, Stevie — powitał go Poe. — Chodź tu i spójrz na tę fotkę.

— Dlaczego poszedłeś do mnie do domu, Poe? — odparował policjant z pretensją w głosie.

Sierżant zatrzymał się. Czuł, jak włoski stają mu na karku.

— O czym ty mówisz?

— W piątek. Po co poszedłeś do mojego domu?

Poe przeszył go pełnym wściekłości wzrokiem.

— Szukałem cię.

— Nie słyszałeś o telefonach?

— Muszę... wyjść do łazienki — mruknęła młoda policjantka i uciekła.

Sierżant odczekał chwilę i dopiero wtedy się odezwał:

— Patricia mówiła mi, że zwolniłeś się wcześniej. Dzwoniłem do ciebie, Jensen, ale nikt nie odpowiadał. Trochę się zaniepokoiłem, więc pojechałem do...

— Przestań się wtrącać w sprawę mojej rodziny...
— Słuchaj, musiałem cię odszukać. Ponieważ cię nie zastałem w domu, wyszedłem...
— Tak, ale najpierw pogawędziłeś sobie z moją żoną.
— Przywitałem się i pożegnałem.
— Gówno prawda! — Jensen zbliżył się do sierżanta, lecz ten dźgnął go palcem w pierś. — Alison zdradziła mi, że podała ci mój numer do hotelu. No, pochwal się, o czym rozmawialiście? Ocenialiście stopień mojego straszliwego draństwa? — Kolejne dźgnięcie. — Mówiłeś jej, że mogła trafić lepiej? — Jensen dźgnął Poego po raz trzeci. — No, powiedz, Poe? Jakimi bzdurami ją zarzuciłeś? Odpowiedz mi!

Sierżant zamachał ręką.

— Oszukała cię, Steve. Nie dała mi żadnego telefonu i nie dzwoniłem do twojego hotelu. Nie miałem najmniejszego pojęcia, gdzie jesteś. Dzwoniłem na pager, idioto. Nie pamiętasz? Przecież do mnie oddzwoniłeś.

Policjant otworzył usta ze zdumienia. Myślał intensywnie.

„Kłopoty w raj?”

„W takim razie, jestem twoim wybawcą. A to oznacza, że masz u mnie dług, nieprawdaż?”

Poe cofnął się o krok. Podniósł drżącą rękę i wycelował palec w swego współpracownika.

— Stary, nie możemy dłużej razem pracować, działamy sobie na nerwy. Lepiej idź do szefa i poproś o przeniesienie. Niech się z tobą męczy Baylor albo Marine Martin. Od tej pory wyłączam cię ze wszystkich moich spraw.

Wrócił do swojego biurka i ciężko usiadł na krześle. Chociaż była dopiero ósma rano, głowa pękała mu z bólu... Niekończące się rytmiczne walenie w bęben...

Stwierdzenie sierżanta dosłownie замуrowało Jensena. Spuścił głowę i tępo wpatrzył się w swoje stopy. Ogarnęło go poczucie winy. Alison była przecież tak cholernie przekonująca. A on jak głupiec uwierzył w jej kłamstwa. Który to już raz...

— Och, Poe... Moja żona po prostu... zachowywała się jak wariatka. Jak jej matka. Wróciła do domu o wpół do piątej rano...

— Jensen, nic mnie nie obchodzą twoje prywatne kłopoty... — Sierżant wstał nagle i obrócił krzesło tyłem do przodu. — Chcesz znać prawdę, Stevie? Tak, niegdyś darzyłem Alison... pewnym uczuciem. Ale od jakiegoś czasu zaczęła mnie męczyć. Chcesz wiedzieć, co naprawdę zdarzyło się w piątkowy wieczór? Poszedłem do twojego domu wyłącznie dlatego, że cię szukałem. Twoja żona powiedziała, że nie ma cię w domu i zasugerowała, że wie, gdzie jesteś, a ja... jak kompletny kretyn szepnąłem jej kilka współczujących słów. Wtedy potraktowała mnie pogardliwie. Nie wiem nawet, dlaczego w ogóle ją toleruję. Przecież nawet z nią nie sypiam.

— Ani ja... to znaczy niezupełnie...

— Steve! Zabierz się za robotę i zostaw mnie, kurwa, w spokoju! Jensen obliznął nerwowo wargi.

— Powiedziała mi — bąknął — że chciałeś ją zaprosić na kolację.

— To bzdura! — uciał Poe. — Ściśle rzecz biorąc, to Alison zaprosiła mnie na kolację. We dwoje. W twoim domu. Wiesz, co jej odparłem? „Nie, dziękuję, nie skorzystam”. Wtedy zalała się łzami. Szczerze mówiąc, nie obchodziły mnie jej problemy. Byłem umówiony z Ruki i nie zamierzałem rezygnować z randki. Niech mnie diabli, jeśli pozwolę twojej żonie zrujnować nasz związek. Jeśli o mnie chodzi, może was oboje trafić szlag! — Podniósł głowę i zawołał: — Możesz już wrócić, Patty. Wojna skończona.

— Boję się — odkrzyknęła policjantka.

— Naprawdę wszystko jest już dobrze. Steve i ja znowu normalnie rozmawiamy. — Kiwnął palcem na współpracownika. Poczekał, aż Jensen podejdzie do monitora. — Zerknij tylko.

Policjant skrzywił się.

— Na co patrzę?

— Wypadek samochodowy. Widzisz ten szczegół? Tę kozią bródkę? Sądzę, że ta krwawa miazga była kiedyś naszym psychopatycznym alfonsem, Ali Abdulem Williamsem. Ponieważ mi podpadłeś, osobiście zbadasz krakę. Pogadaj z patrolem drogowym i dowiedz się, czy facet miał przy sobie dowód tożsamości. I ustal, kim była jego towarzyszką. Jeśli na podstawie zdjęć nie sposób zidentyfikować twarzy, sprawdź, dokąd zabrano ciała, potem zdejmij odciski palców. Jakies pytania, detektywie?

Jensen wziął kubek Poego i wypił kawę do dna.

— Nie żywisz do mnie urazy, Rom?

Sierżant przewrócił z irytacją oczami.

— Zaczął się jeden z tych paskudnych tygodni. — Nalał wody do ekspresu. — Przestań się nad sobą rozczulać — dodał. — Przynajmniej matki ci nie aresztowali.

— Wolałbym mieć matkę w areszcie niż stukniętą żonę. — Jensen zastanowił się nad własnymi słowami i zreflektował. — Boże, Poe... przepraszam!

— Mów za siebie, stary!

Patricia wyjrzała przez okno na tyły.

— Herrod i Marine Martin właśnie wjechali na parking. Lepiej się sprężmy, bo szef odda im nasze śledztwo.

— Pieprzę ich! — mruknął sierżant. — Jestem lepszy od nich obu.

— Bądź miły dla Herroda, Poe. Dopiero co został dziadkiem. Sierżant milczał przez chwilę.

— Nie powinien to być powód do radości?

— Nie dla kogoś, komu się zdaje, że ciągle ma dwadzieścia lat — odparł Jensen.

— Jest ogromnie przygnębiony — dorzuciła policjantka.

Poe zmarszczył brwi.

— Dokąd zmierza ten świat, skoro ludzie się denerwują, gdy zostają dziadkami?

— To wina tego miasta, szefie — odrzekła Patricia. — Z każdego potrafi zrobić czubka.

*

Sierżant podniósł słuchawkę.

— Poe.

— Mam nowiny.

Jensen był wyraźnie podekscytowany. Sierżant kazał mu chwilę poczekać i wyjął notes.

— Wał — rzucił do telefonu.

— Zdjąłem odciski z obu ciał. Sprawdziłem je w Centralnym Rejestrze Odcisków. I nie uwierzysz! Właśnie dostałem wyniki.

— Dobra robota.

— Co najważniejsze, nasz beczaszkwiec to faktycznie jest... był... Williams.

— A dziewczyna?

— Katerina Barns. Osiemnaście lat. Pracowała jako prostytutka w Elko od jakichś trzech, czterech miesięcy. Zniknęła nagle. Pewnie wtedy spiknęła się z Williamsem. Tak czy owak, miesiąc temu aresztowano ją tu, w Las Vegas za posiadanie cracku. Spędziła tydzień w więzieniu, po czym wypuszczono ją za kaucją z powodu przepełnienia aresztu.

Poe szybko robił notatki.

— Świetnie się spisałeś, stary.

— Jeszcze nie skończyłem. — Jensenowi brakowało tchu. — Słuchaj tylko dalej, Rom. W furgonetce była jeszcze jedna nastolatka rasy białej. Patrol drogowy podejrzewa, że siedziała z tyłu bez pasów, została wyrzucona z furgonetki podczas uderzenia w barierkę, przeleciała ponad autostradą w kierunku zachodnim i wylądowała mniej więcej sześć metrów niżej. Rany, miała strasznego pecha, bo furgonetka spadła akurat na nią. Wylądowała na niej i zmiądzzyła ją doszczętnie niczym prasa hydrauliczna...

— Jezu.

— Tak, wiem, to paskudne, ale będzie jeszcze gorzej. Wiesz, kiedy wypadek nie jest wypadkiem?

— Kontynuuj.

— Nie mam oficjalnych danych, ponieważ dochodzenie trwa, ale pewien mały ptaszek ćwierkał, że ktoś majstrował przy furgonetce.

Sierżant usiadł przy biurku.

— Naprawdę?!

— Ktoś grzebał przy skrzyni biegów. Znasz się trochę na samochodach?

— Na tyle, by wiedzieć, że skrzynia biegów musi być połączona z przekładnią kierowniczą.

— Podobno policja nie zdążyła jeszcze nawet sprawdzić hamulców. Ale to nie wszystko. Jesteś gotowy na następną rewelację?

— Wszystko notuję.

— Williams miał przy sobie sporo gotówki. Dwadzieścia tysięcy w setkach, Rom. Dwa zgrabne, spięte papierową taśmą małe pliki po dziesięć tysięcy dolców każdy. Świeżutkie, nowiutkie banknoty...

— Fałszywe?

— Bynajmniej. Całkowicie prawdziwe. Tylko że świeżutkie. Prosto z banku.

— Możesz sprawdzić z którego?

— Całkiem prawdopodobne.

— Dobra robota. Pokręć się tam jeszcze, może dowiesz się więcej o samochodzie. W razie czego, złapię cię przez pager. Bądź w kontakcie.

— Jasne,

Poe odłożył słuchawkę. Rozsiadł się za biurkiem i przez chwilę zbierał myśli, mimowolnie machając nogą.

„No tak... Czyli co mamy, co mamy?”

Fakty: najwyraźniej A. A. Williams spakował manatki i ruszył na zachód. Zapewne zamierzał się przenieść do Los Angeles. Wziął ze sobą dwie panienki i kupę forsy.

Skąd wziął pieniądze?

Odpowiedź była łatwa. Dilerzy cracku zarabiają codziennie tysiące dolarów. Nietrudno uwierzyć, że facet zdołał zebrać dwadzieścia tysięcy w krótkim czasie, jeśli się weźmie pod uwagę, że poza handlem prochami był alfonsem przynajmniej trzech dziewczyn.

Z drugiej strony, to prawdziwy cud, że miał przy sobie tyle pieniędzy. Dilerzy są znani z rozrzutności. Większość nie potrafi zaoszczędzić nawet dziesięciu centów dla ratowania tyłka. A Williams zdołał zgromadzić aż dwadzieścia patoli w nowych banknotach studolarskich... Co dziwniejsze, mieszkał w nędznej ruderze. Pewnie dostał od kogoś pieniądze w ostatniej chwili...

Jeśli do pieniędzy dodać samochód, przy którym ktoś grzebał, rozdziły się interesujące wnioski: że diler wiedział coś paskudnego. Uciekał ze stanu Nevada... coś go stąd wypłoszyło.

Rozdział dziewiętnasty

Po wprowadzeniu danych do komputera Poe przeanalizował swoje notatki i wypunktował sobie najistotniejsze fakty związane z ofiarami.

1. Brittany Newel. Dwadzieścia trzy lata. Jej ciało porzucono na pustyni zmasakrowane, pocięte, z wydłubanym okiem. Przed zamordowaniem podano dziewczynie środki odurzające. Niegdyś tancerka, później pracowała jako dziwka dla Williamsa i — według jej byłego chłopaka — zadawała się z miliarderem, Parkerem Lewistonem. Narkomanka. Pod jej paznokciami znaleziono skrawki skóry białego człowieka, lecz nie było śladów trawy.

2. Niezidentyfikowana nastolatka. Prawdopodobnie nie miała więcej niż czternaście, piętnaście lat. Ciało porzucono na pustyni. Zmarła z powodu uduszenia, po czym podcięto jej gardło. Pracowała dla Williamsa jako dziwka i uliczna handlarka. Uzależniona od cracku. Pod jej paznokciami znaleziono skrawki skóry białego człowieka, drobiny ziemi, piasku i trawę. Jej oczy pozostały nietknięte.

3. Katerina Barns. Osiemnastolatka. Zginęła wraz z A. A. Williamsem w podejrzanym wypadku samochodowym. Pracowała jako dziwka w Elko, później dla Williamsa. Aresztowana kiedyś za posiadanie narkotyków.

4. Lydia Townsend. Siedemnastolatka, która zmarła przygniecioną przez furgonetkę. Przypuszczalnie również pracowała dla Williamsa.

W tym momencie przez ramię sierżanta zerknęła Patricia. Wpatrzyła się w monitor.

— Niedobrze, że Williams poszedł do piachu. Łączył wszystkie zabójstwa.

Poe potarł obolałe czoło.

— Dwie spośród wyrzuconych na pustynię ofiar miały pod paznokciami białą skórę.

— Może to równie dobrze oznaczać, że po prostu nie podrapały Williamsa, gdy je zabijał.

— Mam inną koncepcję. Williams mógł je wysłać do jakiegoś białego klienta. Facet okazał się sadystą. Najpierw Williams dał mu Brittanę. Sadysta zabił ją, lecz uciszył dilerę dwudziestoma tysiącami w świeżutkich banknotach. Gdy sadysta postąpił tak samo z drugą dziewczyną, Williams zrobił się nerwowy. Uznał, że nie chce mieć nic wspólnego z wariatem, postanowił zabrać dwie dziewczyny i zwiąć. Białe sadysta wściekł się, a ponieważ Murzyn wiedział zbyt wiele, więc go skasował.

— A pański kandydat na białego sadystę to Lewiston.

— Dlaczego nie? Ma dużo trawy w biurze.

— Szefie, Brittany Newel nie miała trawy pod paznokciami. Zresztą, majstrowanie przy samochodzie nie należy do najpraktyczniejszych sposobów morderstwa. Chcę powiedzieć, że Lewiston nie wygląda na człowieka, który pozostawia sprawy przypadkowi.

Miała rację.

— Jednak... podoba mi się pańska teoria, szefie — dodała.

— Wszystko wyjaśnia. — Odczekała sekundę. — Też zdobyłam trochę informacji — rzuciła. — Możliwe że zidentyfikujemy zabita nastolatkę. Prawdopodobnie uciekła z domu, gdzieś w Nebrasce. Przyszły kartoteki stomatologiczne.

Sierżant skinął głową.

— Są rodzice?

— Matka. Sekretarka w sporej firmie, produkującej maszyny rolnicze. Pracuje w niej od trzydziestu lat. Wydawała się bardzo rozbita, gdy przekazałam jej wiadomość. Mówiła mi, że jej córka zawsze była trudnym dzieckiem. Potem kobieta zaczęła się usprawiedliwiać. Nie mogłam tego słuchać... Jej żal brzmiał tak autentycznie!

— Nie wątpię.

— Jej córka nazywa... nazywała się Sarah Yarlborough.

Poe potrząsnął głową.

— Nie wygląda dla mnie na Sarę. Może na Heather czy Amber, ale nie na Sarę.

Marine Martin podniósł wzrok znad swojego biurka i popatrzył na sierżanta konferującego z Tłustą Patty. Wstał, otrzepał spodnie khaki o idealnych kantach, wygładził nakrochmaloną białą koszulę, po czym wziął z biurka papierową teczkę i podszedł do Poego.

— Dla ciebie. Od Jensena.

Sierżant wziął od Martina kopertę.

— Co u ciebie?

— Jakiś przełom w sprawie? — rzucił tamten, ignorując pytanie.

— Jak dotąd nie.

— Kontynuuj zatem. Życzę wytrwałości. I powodzenia.

Poe zasalutował żartobliwie. Martin pomaszerował z powrotem do biurka, które było zasypane akcesoriami związanymi z jego niegdyśszą służbą w Marine: wszędzie wały się odznaki, plakaty, broszurki.

„Ten kraj potrzebuje tylko kilku dobrych facetów”.

Nie, nie, ten kraj potrzebował raczej znacznie mniej złych facetów.

Sierżant rozerwał kopertę i przekartkował jej zawartość. Miał przed sobą raport z wypadku spisany przez patrol drogowy, a także przedwstępne wyniki badań dotyczących furgonetki.

„Tą drogą pójdzie Jensen”, pomyślał.

— Gdzie jest Stevie? — spytał Patricię.

— Hmm... Już kwadrans po piątej, szefie. Sądzę, że poszedł już do domu.

— Po piątej? — Sierżant rzucił okiem na zegar ścienny. Tydzień zaczął się od upału. W tym roku lato przyszło wcześniej.

— Muszę się spotkać z Rukmani — stwierdził. Wepchnął do aktówki raport z wypadku i zamyślił się. — Ech... Zapomniałem o czymś.

— O czym?

Popatrzył na monitor i przypomniał sobie. Niestety, nie miał czasu. Zresztą wyłączył już komputer.

— Przypomnij mi, żebym dodał nazwisko Janet Doward do mojej listy.

— Kto to taki?

— Ofiara morderstwa, które męczyło mnie przez dwadzieścia pięć lat.

— Co ma wspólnego z naszymi zabójstwami?

— Może coś, choć prawdopodobnie nic.

Po wyjściu z sanatorium Hayward Rukmani starła z czoła pot, przyglądała różowo-złote jedwabne sari i założyła okulary przeciwsłoneczne. Panowało okropne gorąco — niezwykle jak na maj, choć w Las Vegas nie tak znów rzadkie.

— I co myślisz?

Sierżant bez słowa wzruszył ramionami. Lekarka pozostała stanowcza.

— Mnie się Karen spodobała. Przyjazna, ciepła... i całkiem ładna. Nie twierdzą, że twoja matka przywiązuje wagę do urody.

— Szturchnęła go rubasznie. — Dlaczego nie miałyby dla nas pracować miss pielęgniarek?

Poe nie odpowiedział. Milczał ponuro. Rukmani wiedziała, że jego okropny nastrój oznacza kłopoty związane z najnowszą sprawą, którą sierżant prowadził. Ponieważ był pracoholikiem, stale zastanawiał się nad szczegółami i rozważał drobiazgi — jakby miał nadzieję, że z jego myśli w cudowny sposób wyłonią się materialne dowody. Niestety,

przeważnie nic się z nich nie wylaniało.

— Chcę znać twoje zdanie. Chyba masz jakieś? — rzuciła.

— Jest krucha.

— Krucho? Poe, ta kobieta od ponad czterech lat pracuje na wydziale geriatrycznym.

— Jest zbyt młoda.

— Ma dwadzieścia dziewięć lat.

— Ma implanty w piersiach.

Rukmani zatrzymała się.

— No i w czym ci one przeszkadzają?!

Sierżant odgarnął włosy z oczu. Podwinął rękawy. Niemal go obezwładniło nagle, przytłaczające gorąco. Słońce prażyło chodnik, zmieniając beton w rozgrzaną patelnię. Nawet przez podeszwy Poe wyczuwał żar.

— Kobiety, które powiększyły sobie biust, nie traktują poważnie swojej pracy.

Lekarka zdjęła okulary i mrużąc oczy, bardzo poważnie popatrzyła na niego.

— Skąd wytrzasnąłeś to durne stwierdzenie?

— Taka jest prawda. — Ruszył do samochodu.

Ponownie założyła okulary.

— Na czym polega prawdziwy problem, Rom? Boisz się, że dziewczyna będzie cię rozpraszać?

Nie odpowiedział, za to przyspieszył. Patolog musiała biec, by dotrzymać mu kroku.

— Jesteś dziś strasznie drażliwy i zgryźliwy. Może pojedziesz do zaprzyjaźnionej panienki, niech cię rozluźni, jak to ona potrafi.

Poe zatrzymał się na krótko przed swoją świeżo naprawioną hondą, przekręcił kluczyk w zamku i szarpnięciem otworzył drzwi. Usiadł ciężko na siedzeniu kierowcy, otworzył od środka drzwiczki pasażera, po czym włączył klimatyzację na najwyższy poziom.

Rukmani wsunęła się do środka i przekręciła panel wentylatora ku swojej twarzy.

- Masz koszmarny humor. Lepiej odwieź mnie do domu.
 - Właśnie to zamierzałem.
 - Wiesz co, Romulusie? Jestem szczęśliwa, że mogę ci pomóc. Ale może spróbowałbyś okazać choć trochę wdzięczności...
 - Dlaczego za każdym razem, gdy jesteś zdenerwowana, wypożyczasz mi przyjaciółki? Sądzisz, że seks rozwiąże moje problemy?
 - W przeszłości bawiły cię moje przytyki. — Westchnęła. — Doskonale wiesz, że żartowałam. Zresztą, twoje przyjaciółki nie mają nic wspólnego z twoim zachowaniem. Martwisz się, bo po tylu latach nagle masz na głowie matkę. Wiem, że nie jest ci łatwo, Poe, jednak zauważ, że nie ty jeden masz problemy. Nie zaszkodzi ci, jeśli...
 - Jakieś skargi?
 - Może jedna czy dwie.
 - Okej, mam zatem propozycję. Spisz wszystkie i prześlij mi je pocztą. Załącz kopertę zwrotną, to się do nich ustosunkuję.
- Lekarka zagryzła wargę.
- Próbujesz mi coś powiedzieć?
- Poe zabębnił palcami o kierownicę. Nie odezwał się.
- No cóż, przynajmniej Alison będzie szczęśliwa. Dostanie z powrotem swego chłopca na posyłki!
- Sierżant gwałtownie skręcił samochód ku krawężnikowi, wyłączył silnik i rzucił kobiecie kluczyki.
- Weź samochód. Pójdę pieszo.
- Rukmani chwyciła go za ramię.
- Daj spokój. Jestem spięta... tak samo jak ty. To nie w porządku.
- Mężczyzna nie poruszył się. Ciągle rozważał opuszczenie samochodu.
- Patolog spróbowała ukryć drżenie w głosie.
- Na dworze jest gorąco. Proszę.
- Poe zamknął drzwi i skupił spojrzenie na tapicerce samochodu. Rukmani włożyła kluczyki do stacyjki, aby z powrotem włączyć klimatyzację. Oboje milczeli.

Aż w końcu sierżant przemówił-

— Jestem zmęczony i boli mnie głowa. Dlatego zrzedzę. Miałem paskudny dzień.

Lekarka skinęła głową.

— Rozumiem.

Uruchomił samochód. Jechali w milczeniu, które doprowadzało kobietę do szału. Była spragniona rozmowy. Postanowiła poruszyć tematy zawodowe. To był neutralny teren.

— Dzwoniła do mnie Patricia. Podobno zna tożsamość zabitej nastolatki.

— Możliwe. Sarah Yarlborough, piętnastoletnia uciekinierka z Nebraski.

— Boże, taka młoda dziewczyna! Szkoda jej. Straszna śmierć.

— Niebawem dostaniesz kartotekę stomatologiczną.

— Okej. Sprawdzę.

Znowu zamilkł.

Spróbowała jeszcze raz.

— W każdej chwili mogę dostać wyniki analizy krwi ofiary. Przykro mi, że tyle to trwało. W tym fachu wszakże najważniejsza jest dokładność.

— Oczywiście.

Znowu przez długą chwilę żadne się nie odzywało. Rukmani poddała się. Poe dojechał do jej mieszkania i zaparkował samochód na krawężniku. Ku zaskoczeniu lekarki, wysiadł i otworzył jej drzwi.

— Odprowadzę cię.

Miała ochotę odparować: „Nie musisz”, ale tylko pokiwała głową. Poszukała w kieszeni klucza, włożyła go w zamek i przekreśliła. Popatrzyła na swego mężczyznę prosząco.

— Wejdz, Rom. Poczęstuję cię aromatyczną mrożoną herbatą Másala z Bengalu.

Sierżant zawahał się, lecz wszedł i usiadł na wyłożonym poduszkami tapczanie. W pokoju było chłodno dzięki klimatyzacji; jej monotony szum działał uspokajająco. U Ruki panował zawsze nieskazitelny porządek, było jasno i przyjemnie. Mieszkanie miało dwie

sypialnie, a jego wyposażenie było zdecydowanie pastelowe — przykryty różowo-złotą kapą tapczan, krzesła o różowych aksamitnych siedzeniach, dywany w odcieniu kości słoniowej. Nogi i ramy ławy oraz stolika wykonano z ciemnego mahoni i wyrzeźbiono w zawile filigranowe wzorki, które stanowiły typowy przykład hinduskiej sztuki ornamentacji. Szczyt blatu ławy zrobiono z rzeźbionej kości słoniowej, która została pokryta szklaną taflą. Z salonem łączyła się część jadalna. Znajdował się w niej prosty kamienny stół i cztery krzesła. Kuchnia była maleńka, lecz niezwykle schludna; szafki pokryto białym lakierem. Po przyjrzał się obrazom na ścianach. Większość przedstawiała hinduskich bogów i boginie o wielu kończynach. Obok wisiało kilka fotografii pałacu jakiegoś radży. Przed medycznymi tomami wypełniającymi biblioteczkę stały pozłacane posążki osobliwych ni to zwierząt, ni to ludzi. Lekarka zdjęła okulary.

— Herbata będzie za chwilę. Chyba jest trochę za ciepło, podkreślić klimatyzację?

— Nie, temperatura jest idealna. I wcale nie chce mi się pić. Siadaj.

Usiadła.

— Brzmi złowrogo.

— Skądże znowu. — Łagodnie dorzucił: — Mam za sobą trudny tydzień. Zero postępów w sprawie, a w dodatku mój neurotyczny brat doprowadza mnie do szału. Przepraszam, jeśli cię denerwuję.

— I nawzajem.

— Rozumiem, ale w przyszłości byłbym ci wdzięczny, gdybyś nie używała słów „Alison” i „chłopiec na posyłki” w tym samym zdaniu.

— Fakt, byłam paskudnie złośliwa. Wybacz. — Odczekała moment. — Chciałabym tylko, żeby Alison... — urwała. „Niech tam, po co jeszcze bardziej gmatwać tę sprawę”, pomyślała i dorzuciła: — Nieważne.

Policjant starał się mówić spokojnie.

— Wiem, co o niej myślisz... Że mnie wykorzystuje. I może masz rację. Ale to moja stara przyjaciółka, Ruki. Jej mąż jest beznadziejnym głupcem. Nie mogę jej opuścić, ponieważ ona nie ma nikogo innego. Po prostu czasami miewa problemy ze sobą. Ale nie przejmuj się, niedługo się uspokoi.

— Tak, kiedy przestaniemy się widywać. Jestem pewna, że wtedy Alison będzie cudowna. — Patolog wstała nagle. — Zrobię sobie herbatę. Jesteś pewien, że nie masz ochoty?

Poe wstał powoli. Podeszedł do kobiety, objął ją w pasie i przytulił do piersi.

— Jeśli zaczniesz nam sprawiać kłopoty, przejdzie do historii.

Rukmani odwróciła się i popatrzyła mu w oczy.

— Już nam sprawia kłopoty. — Westchnęła. — Słuchaj, doskonale rozumiem, że przeszłość ma czasem magnetyczną siłę przyciągania i niełatwo się od niej uwolnić. Nie proszę cię, żebyś wybierała między nami dwiema. Zresztą, to twoja sprawa. Skoro nie obarczam cię własnymi problemami, nie powinnam się mieszać w twoje.

Zdjął ręce z jej talii.

— Muszę już iść.

Przytrzymała jego rękę.

— Dlaczego jesteś taki wkurzony? Czego ode mnie oczekujesz?

— Ruki, pojmuję, że można tolerować sporadyczne zdrady partnera. Jednak... czy na dłuższą metę takie życie cię nie męczy? Nie denerwuje cię? Nie bywasz zazdrosna?

Popatrzyła na niego badawczo.

— Oczywiście, że mnie denerwuje. Nie jestem z kamienia. Ale nie mogę nic poradzić na twoje wyskoki. Więc po co mam się przejmować?

— I właśnie takie podejście mnie wkurza. Mam wrażenie, że większość rzeczy traktujesz od niechcienia, obojętnie... Życie, śmierć, seks, przyjaciółkę, którą mam na boku... Jakbyś była buddyjskim mnichem. Życie z tobą to jedna wielka iluzja.

— Zatem — odparła drżącym głosem — jak powinnam się

zachowywać? Mam okazywać zazdrość? Węszyć? Nie ufać ci? Co zrobisz, gdy zacznę stawiać żądania? Powiem ci — po minucie uciekniesz.

— Istnieje kolosalna różnica między wrzaskliwą zazdrością i całkowitą apatią.

— Przeciwnie, granica jest bardzo cienka. Przejawiasz ogromną potrzebę niezależności, Romulusie. Popatrz, jak żyjesz, gdzie mieszkasz, w jakich dziwnych godzinach sypiasz... A najdłuższy związek łączy cię z kobietą, która traktuje cię jak śmiecia. Co gwarantuje ci w przyszłości kompletne fiasko w kontaktach z innymi kobietami. Nie chcesz się przywiązywać do nikogo ani do niczego. W tym tkwi sedno. Podczas obecności twojej matki w Las Vegas będziesz musiał zmienić styl życia. A ty bardzo nie lubisz, gdy ci się coś narzuca. Dlatego jestem taka obojętna. Sądzę, że jeśli zacznę zrzędzić i zrobię się natrętna, natychmiast odejdziesz.

— O czym ty mówisz? Przecież nieustannie nagabuję cię o wyznaczenie konkretnej daty ślubu.

— Nie nazwałabym tego, jak mówisz „nagabywania”, poważnymi oświadczeniami. — Rukmani wyduła usta i mruknęła, imitując ton Poe: — „No, podaj mi datę, Ruki”. To tylko mało zobowiązująca formułka, dzięki której czujesz się lepszy.

— Czego więc chcesz? Mam klęknąć?

— Czemu nie? Ładny początek!

— Boże, jesteś... nieznośna... — Zaczął klękać.

Lekarka przytrzymała go.

— No już dobrze. Odpowiedź brzmi: „tak”.

Sierżant zagapił się na nią tępo. Zupełnie nie mógł uwierzyć w to, co się właśnie wydarzyło.

— Okej. Czyli że... wszystko ustalone.

— Też mi się tak zdaje.

Długo milczeli.

— Mój dom jest trochę mały... — zauważył wreszcie policjant. Rukmani westchnęła.

Wiesz, nie musimy się pobierać od razu. Nic chcę, żeby małżeństwo kojarzyło ci się z pułapką. — Zaczęła mieszać lód w wysokim dzbanie pełnym herbaty. — W porządku, Rom, później popracujemy nad kompromisem. A tymczasem ty zatrzymasz swój dom, a ja swój.

Roześmiał się nerwowo.

— Jesteś przerażony dokładnie tak samo jak ja.

Nalała herbaty do szklaneczek i potarła czoło.

— Dla mnie małżeństwo jest ekwiwalentem niewolnictwa.

— Więc po co znowu chcesz się w nie pakować?

Zapatrzyła się w szklankę z herbatą. Oczywiście miała czerwone i wilgotne.

— Lubię cię.

Poe powstrzymał się przed uśmiechem.

— Ja też cię lubię.

Wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze.

— Moi rodzice nie będą uszczęśliwieni. Ani moje dzieci. Nie jesteś Hindusem. Nie masz właściwego typu śniadej skóry...

— Od kiedy to kwestie rasowe liczą się w twoim życiu?

— Trudno się pozbyć starych przyzwyczajęń. — Wzięła łyk herbaty, po czym podała mu drugą szklankę. — Ach, znakomita! — Przyjrzała się sierzantowi z uwagą. — Masz jaśniejszą karnację ode mnie... To oczywiście plus. Ale masz sporo żółtego barwnika w odcieniu cery.

— Zażalenia proszę składać u mojej matki.

— Mimo to, dzięki kilku strategicznym sztuczkom mógłbyś uchodzić za Hindusa. Przytnij włosy, a ja cię nauczę niektórych naszych zwyczajów i trochę słów w hindi... Będę cię nazywać Siddharthą... Może nam się uda. Powiem wszystkim, że bardzo dobrze się zasymilowałeś.

— Żartujesz, prawda?

Pogładziła go po twarzy.

— Wiesz, że chodzi tylko o seks, prawda? W sensie erotycznym ogromnie mnie fascynujesz.

— Ja?

— Mój pierwszy mąż był obleśnym, brzydkim staruchem. Seks z nim sprawiał mi ból, był istną torturą. Rom, gdy na ciebie patrzę, widzę Boga... albo to, jak Bóg rozumie seks. — Westchnęła. — Nie powinnam ci mówić takich rzeczy. Przewróci ci się w głowie.

Poe spoważniał.

— Skoro mi się zwierzasz, też muszę ci coś wyznać. — Popatrzył jej w oczy. — Nie mogę mieć dzieci, Rukmani. Jestem bezpłodny.

Oszołomiona kobieta odwróciła wzrok i nic nie powiedziała. Poe zapatrzył się w dal.

— Gdy byłem nastolatkiem, poddano mnie kuracji hormonalnej. W jej wyniku... a właściwie w wyniku jakichś koszmarnych powikłań międzykomórkowych, że tak powiem, usmażyły mi się gonady. Nie miałem o tym zielonego pojęcia do czasu rozmowy z Remusem. Kiedy mi powiedział o własnej bezpłodności, zbadałem się. Mimo że jego kuracje były znacznie bardziej inwazyjne, ja również... Tak czy owak, przeżyłem szok.

Lekarka wzięła go za rękę.

— Strasznie mi przykro.

Sierżant usiłował się uśmiechnąć.

— Już się z tym pogodziłem. Jeśli wszakże to jest dla ciebie ważne... jeśli chcesz mieć więcej dzieci...

— Nie, nie ma problemu.

Policjant ponownie słabo się uśmiechnął.

— Świetnie.

Rukmani patrzyła mu w twarz.

— Zawsze stosowaliśmy antykoncepcję. Dlaczego mi nie powiedziałeś?

— Krępowałem się. — Odwrócił wzrok. — Mam wiele niezwykłych... nawyków. Tiki, mocno widoczne wady. Po co dodawać jeszcze jeden kłopot do listy?

Z oczu popłynęły jej łzy.

— Ależ Rom, nic ci nie brakuje, wierz mi.

Uśmiechnął się, wytarł jej policzki kciukiem i pocałował ją w usta.

— Czy hindi jest trudny?

Rukmani ruchem dłoni zasugerowała, że raczej umiarkowanie.

Odezwał się pager Poego. Detektyw zerknął na numer.

— To Remus. Czego chce tym razem?

— Dobrze, że nie Alison.

— Daj już jej spokój, proszę.

Pochyliła głowę w teatralnym geście pokoju. Sierżant wystukał numer brata na klawiaturze komórki.

— O co chodzi?

— Mama zniknęła!

— Co takiego?!

— Właśnie skończyłem obdzwaniać linie lotnicze. Dwie godziny zajęło mi udowadnianie, że mam prawo uzyskać odpowiedź na zadawane pytanie... W każdym razie, matka kupiła bilet i według rozkładu powinna około jedenastej rano wylądować w Las Vegas. Jesteś w pracy?

— Nie, u Rukmani...

— Miejmy nadzieję, że matka prosto z lotniska udała się do ciebie. Mógłbyś pojechać do domu i oddzwonić, czy dotarła?

Poe uprzytomnił sobie, że ma w domu alkohol!

— Już jadę — rzucił do słuchawki.

— Rom, paskudnie się czuję z tego powodu. Mam przylecieć?

— Nie, nie, nie ma potrzeby. Zajmę się wszystkim. — Położył rękę na słuchawce i powiedział do Ruki: — Moja mama zniknęła. Muszę jechać do domu...

— Pojadę z tobą.

— Rom, przysięgam, że nigdy w życiu — krzyczał Remus — nie krzyknąłem na naszą matkę, ale dziś... wściekłem się. Boże, jeśli cokolwiek się jej stanie...

— Nie panikuj, nic się jej nie stanie...

— Mama sądzi, że wykopałem ją z domu. Próbowałem jej wyjaśnić,

że czekająca ją przeprowadzka do Las Vegas jest jedynie tymczasowa.

— Dobra, jadę prosto do domu.

— Romulusie, nie możesz jej ulokować w jakimś pierwszym lepszym mieszkaniu. Uzna to posunięcie za kolejne odrzucenie. Jest taka wrażliwa...

— Wszystkim się zajmę, Remusie.

— Oddzwonisz?

— Oczywiście. Natychmiast gdy się czegoś dowiem.

— Przepraszam, że tyle na ciebie zrzucam.

— To również moja matka.

— Jesteś wspaniały — odparł z wdzięcznością brat. — Nigdy ci tego nie zapomnę, Rom.

„Taa, jestem prawdziwym bohaterem”, pomyślał Poe.

— Wracaj do pracy, Remusie. Zadzwoń, kiedy ją znajdę.

Rukmani zamknęła mieszkanie i wręczyła sierżantowi kluczyki do samochodu.

— Nie martw się. Odszukamy ją.

Poe potoczył oczami.

— Tego się właśnie obawiam.

Rozdział dwudziesty

Wybuchnęła płaczem, gdy tylko Poe otworzył drzwi.

— Jak miło z twojej strony, że się mną zaopiekujesz! — Lamentując, podbiegła do niego i zarzuciła mu na szyję chude ramionka.

Poe uściskał matkę i zmarszczył nos, gdyż poczuł bijący od niej zapach. Badawczo zlustrował pokój. Na tapczanie dostrzegł torbę podróżną, na kontuarze zaś, obok płytki grzejnej — plastikową reklamówkę pełną artykułów spożywczych. Przy niej stała opróżniona w jednej trzeciej butelka dalwhinne sierżanta. Poe dał znak Rukmani, by zabrała whisky.

— Cieszę się, że cię widzę, mamó — powiedział.

— Mój piękny synek — załkała.

— Ja także cię kocham — mruknął w odpowiedzi.

Kiedyś matka była tęgą kobietą o wydatnym biuście. W ciągu ostatnich dziesięciu lat radykalnie wyszczuplała i ważyła około pięćdziesięciu kilo. Miała pięćdziesiąt pięć lat, ale wyglądała na nieco mniej. Teraz z brązowych oczu w kształcie spodeczków ciekły duże krople łez. Twarz również bardzo jej zmarniała, kości policzkowe sterczały niczym półki skalne. Wargi Emma miała popekane, cerę — suchą. Wydawała się blada, gdyż normalnie jej skóra była nieco ciemniejsza niż jego. Wyraźnie zmęczyła ją godzinka lotu. Wytarła oczy, odsunęła się na długość ramienia i obserwowała go z tej odległości.

— Chyba urosłeś.

— Nie sędzę.

— Ależ tak, urosłeś. Przysięgam, Romulusie, za każdym razem, ilekroć cię widzę, jesteś wyższy.

„Nie, mamó — pomyślał. — Po prostu ty się kurczysz”.

— Naprawdę, nie sędzę...

— Jesteś taki piękny. — Odwróciła się do Rukmani. — Czyż nie jest piękny?

— Najpiękniejszy.

Matka uśmiechnęła się do lekarki, jakby w końcu zdała sobie sprawę, z kim ma do czynienia.

— A ty, jak się miewasz, moja droga?

— Dobrze, pani Poe. Co u pani?

— Och, proszę, mów mi Emmo.

Poe wyswobodził się z uścisku matki i zabrał jej wysoką szklanę, której dno zabarwione było na bursztynowo.

— Siadaj, mamó. Chcesz wody sodowej?

— Och, nie, dziękuję. Zrobiłam sobie drinka. Byłam spragniona. Chyba nie masz nic przeciwko temu.

Sierżant uśmiechnął się. Czuł, jak jarzmo zaciska mu się wokół szyi.

— Mamó, jesteś trochę wcześniej...

— Właściwie... Czekam tu przynajmniej od czterech godzin. — Do Rukmani szepnęła: — Dlatego poczułam pragnienie.

— Chcę powiedzieć, że spodziewaliśmy się ciebie dopiero za jakieś dwa tygodnie.

Kobieta zeszywniała.

— Pokłóciłam się z twoim bratem. Powiedział mi straszne rzeczy.

— Jestem przekonany, że nie miał na myśli niczego...

— Wydaje mi się, że ten ostatni, duży projekt uderzył mu do głowy. Z Remusa zrobiła się szycha. Nic tylko praca i praca. Sądzisz, że choć trochę go obchodzę?

Poe stuknął się w czoło i wyjął komórkę.

— Och, bardzo go obchodzisz. — Zadzwoił do firmy Remusa. W chwilę później uzyskał połączenie z bratem. — Mama jest u mnie. Całkiem bezpieczna.

— Dzięki Bogu! — zawołał Remus. — Daj mi ją do telefonu.

— Na pewno chcesz z nią rozmawiać?

— Daj mi ją, Rom.

Poe wręczył matce telefon.

— Twój syn — wielka szycha.

— Nie chcę z nim mówić.

— Mamo, nie utrudniaj.

Emma pozostała nieruchoma niczym kamień.

— Mamo, jeśli zamierzasz się zachowywać jak dziecko... — zaczął sierżant.

Chwyciła telefon.

— Czego chcesz?

Policjant pogroził jej palcem.

— Bądź miła.

Matka i syn zaczęli rozmawiać poważnie. Podczas ich pogawędki Poe wykorzystał okazję i wypłukał brudną szklanę wodą destylowaną. Zauważył, że Emma wychyliła także parę butelek jego Dos Equis. Najprawdopodobniej nic nie zjadła.

— Mogę ci jakoś pomóc? — spytała Rukmani kojącym tonem.

— Zastrzel mnie.

— Rom...

— No dobra, przejrzyj lodówkę. Usuń z niej cały zapas piwa i zabierz je ze sobą do domu. Mam kilka puszek tuńczyka i pół bochenka ryżowego chleba. Jeśli chcesz mi pomóc, zrób jej kanapkę.

Lekarka zrobiła zdziwioną minę, ale przetrząsnęła lodówkę. Wyjęła tuńczyka.

— Ach, widzę, że masz też mozzarelle w plastrach. Może zrobię Emmie kanapkę z serem? — Przystawiła puszkę rybną do ucha. — Słyszę, jak przemawiają do mnie moi przodkowie.

Poe zachichotał.

— Jakież to złe uczynki popełnili na ziemi, że cofnęli się do stanu przedssaczego?

Rukmani odpowiedziała z wyraźnym hinduskim akcentem:

— Kimże jesteśmy, aby dochodzić, dlaczego Siwa tak, a nie inaczej kieruje duszami w metempsychozie?

Sierżant roześmiał się.

— Meta... czym?

— Romulusie? — wtrąciła matka.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

— Tak, mam?

— On chce z tobą rozmawiać.

Policjant podszedł do kobiety i odebrał od niej swoją komórkę.

— Słucham?

— Sądzę, że powinienem przylecieć! — Remus prawie wrzeszczał.

— Naprawdę chętnie cię zobaczę, ale nie musisz.

Brat nie wydawał się przekonany.

— Jesteś pewny, że sobie poradzisz?

— Strasznie bywasz zmienny w tym tygodniu. W jednej minucie twierdzisz, że jesteś w ciężkich tarapatach, w następnej — wszystko odwołujesz. Odpręż się. Zadzwonię, jeśli będę cię potrzebował.

Zapadła cisza.

— Mógłbyś zadzwonić jutro? — spytał w końcu Remus. Po prostu zdasz mi relację z postępów. Proszę.

— Zadzwonię.

— Tak poważnie i szczerze nie rozmawialiśmy ze sobą chyba od piętnastu lat.

Miał rację.

— Muszę iść — rzucił Poe. — Trzymaj się, braciszku. — Rozłączył się i wsunął komórkę do kieszeni. Zdjął z tapczanu torbę i usiadł obok matki. — Ruki robi ci pyszną kanapkę z serem. Czyż to nie miło z jej strony?

— Bardzo miło.

— Więc zjesz?

Emma popatrzyła na niego z urazą.

— Oczywiście, że zjem. — Wzięła syna za rękę. — Tak... bardzo, bardzo miło. — Nagle zerwała się, otworzyła podróżną torbę i wyrzuciła jej zawartość na podłogę. — Nie mam dużo rzeczy... i są trochę brudne. Od jakiegoś czasu nie robiłam prania.

— Zawiozę je do pralni.

— Och, tu jest! — Kobieta podniosła małą brązową szkatułkę. — Wystraszyłam się, że zostawiłam ją w domu. — Otworzyła pudełeczko i pokazała Poemu komplet prostokątów w kolorze kości słoniowej. Sierżant uśmiechnął się.

— Ciągłe grasz w madżong? Wspaniale.

— A ty grasz?

— Już nie.

— Ale to cudowna gra.

— Tak, rzeczywiście.

— Och, jesteście tacy fantastyczni! — Krzyknęła do Rukmani, która wciąż była w kuchni: — Czy nie jest fantastycznie?

— Zgadza się.

Policjant poczuł napływający atak migreny. Wziął matkę za rękę i ścisnął ją.

— Usiądź, mamo.

Usiadła.

— Och, mammo, kocham cię... — wybuchnął Poe.

— Wiem o tym, mój drogi. Będziemy tu przyjemnie spędzać czas.

Przyszła lekarka. Niosła kanapkę z serem. Zauważyła porozrzucane ubrania. Podala Emmie kanapkę, zebrała stroje i wrzuciła naręczę z powrotem do torby.

— Zajmę się nimi.

— Ja to zrobię — zaoferował się sierżant. — Wiem, że jesteś strasznie zajęta.

Odprawiła go machnięciem ręki.

— I tak muszę zrobić pranie. — Po chwili dodała: — Skoro robię swoje i twojej matki, może zabiorę też twoje? W ostatnich dwudziestu minutach wypociłeś z siebie wiadro wody.

Policjant przyjrzał jej się bacznie.

— Jesteś pewna?

Rukmani ukształtowała dłonie w kukielki i przemówiła dziecięcym głosem, za każdym razem zmieniając nieco ton.

— Jesteś frajerką? — spytała lewa ręka.

— Tak, wielką frajerką — odparła prawa.

— Jak wielką?

Lekarka rozłożyła ręce na boki.

— Taaaką wielką.

W końcu własnym głosem oświadczyła:

— No już, dawaj brudne ciuchy.

Poe podszedł do kosza, wyciągnął stos brudów i wepchnął jej w ramiona.

— Szczęśliwa?

— W ekstazie. — Rukmani zamrugala. — Zapomniałam, jak się czują mężatki. — Powąchała ubrania. — Nieźle. Miło cię znowu widzieć, Emmo.

— Och, mnie ciebie również, moja droga.

— Może wyjdziemy dziś na późną kolację? — zaproponowała lekarka. — Spizarnia Roma jest nieco pustawa.

Starsza pani ożywiła się.

— Cudowny pomysł! A możemy pójść do tego lokalu, który sięga

niemal do nieba? Pamiętam, czułam się tam, jakbym leciała.

— Twoja matka ma na myśli Needle in the Sky? — spytała Rukmani Poego.

— Tak sądzę — odparł.

— W Needle jest nieźle — zauważyła. — Biorę twój samochód, Rom.

— Kluczyki są na kontuarze.

— Zobaczymy się za parę godzin.

— Dzięki. — Poe poczekał, aż ucichnie odgłos silnika, po czym zwrócił się do matki: — Jak się miewasz?

— Świetnie, naprawdę. — Westchnął.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Wreszcie Emma poleciła synowi:

— Wyrzuć to z siebie, Romulusie.

— Mamo, przygotowałam dla ciebie osobne mieszkanie.

Oczy kobiety zwilgotniały.

Sierżant nerwowo postukał nogą i mówił dalej:

— Przytulne jednopokojowe mieszkanie bardzo blisko apartamentu Ruki...

— Ale daleko od ciebie?

— Dziesięć minut samochodem. Jeśli będziesz mnie potrzebowała, przyjadę natychmiast.

— A jeśli będę cię chciała zobaczyć? Nie prowadzę auta, Romulusie.

— Wynająłem pewną osobę właśnie do tego celu — skłamał. — Przesympatyczną kobietę, która jest równocześnie pielęgniarką. Gdy będziesz czegoś potrzebowała, po prostu jej o tym powiesz. A jeżeli zechcesz mnie odwiedzić, ona cię przywiezie...

— Umieram, Romulusie. Mam raka.

Policjant prawie zadławił się własną śliną. W głowie zaczęło mu wściekle łomotać, bicie serca gwałtownie przyspieszyło. W pierwszej chwili pomyślał, że chyba się przesłyszał, ale nie... Matka właśnie wyznała, że ma raka... Czyżby brała go na litość? Nie wierzył jej... Z drugiej strony, strasznie ostatnio wychudła... Wyglądała bardzo

kiepsko. Tak, z pewnością mówiła prawdę.
Gdyby był kobietą, prawdopodobnie by się rozpląkał.

Alison brakło sił, by podnieść się z łóżka. Ostatnie ataki kompletnie ją wyczerpały i otępiły. Wymiotowała przynajmniej ze cztery razy, a jednak mdłości nie słabły.

Bóg ją karał za niegodziwe czyny, była tego pewna. A jednak nie czuła się winna, przecież to głosy namawiały ją do popełniania zła. Kierowały nią niepojęte dla niej siły, głosy mówiły jej, co ma robić. Nalegały. Nie umiała im się oprzeć. Kiedy prowadziła badania, zawsze milkły. Nie lubiły, kiedy Alison wiedziała zbyt wiele. Gdyby tylko potrafiła o własnych siłach wstać z łóżka, mogłaby się ponownie zająć badaniami i tym samym przegonić głosy.

Była taka zmęczona i słaba...

Oddychanie sprawiało jej trudność. Powietrze wydawało się przeźrażliwie gorące i każdy wdech parzył. Jej ciało ociekało potem. Każdy centymetr ciała miała straszliwie rozpalony. (Zastanawiała się, czy już się znalazła w piekle? A może w Las Vegas po prostu panował upał i tyle?) Bolały ją wszystkie mięśnie, niemal wypluwała żołądek, gdy fale kwasu zalewały jej przełyk... Nie kąpała się ani nie myła od dwudziestu czterech godzin; czuła się tak brudna, jakby leżała w gnoju.

Steve przyprowdzi wkrótce chłopców do domu. Alison musi wziąć się w garść, w przeciwnym razie jej mąż pomyśli sobie, że ona wcale nie cierpi z powodu wirusowej grypy, ale z racji nawrotu choroby umysłowej... Nie może zbyt długo wykręcać się grypą, bo Steve się zorientuje. A przecież miała świadomość, że to nie żaden wirus, lecz głosy. Za nic w świecie nie mogła się wszakże wygadać.

I stale jadła, wręcz obżerała się... Ale co właściwie zjadła? Stale męczyły ją potworne torsje... wykaszliwała pęczki futra, jakby cierpiała na paskudną kocią alergię. Nienawidziła siebie.

Może dlatego matka tak postępowała. Czy czuła się podobnie,

jak Alison teraz... Czy równie mocno gardziła każdym skrawkiem swego nędznego ciała?

Zerknęła na zegarek. Tak, Steve wkrótce wróci.

Tydzień temu czas pędził jak wichura, teraz zaś włókł się niczym strudzony piechur spętany łańcuchami.

Alison powoli zsunęła się z łóżka na czworaki i zaczęła się czołgać do łazienki. Podniosła rękę, aby odkręcić wodę. Gorącą wodę. Musiała się pozbyć smrodu, nieczystości, ziemi i brudu.

Nie mogła pozwolić, by chłopcy zobaczyli ją w takim stanie. Steve chroni ją, póki dzieci niczego nie wiedzą. Gdyby się domyśliły, rozgniewałby się.

Leżała twarzą ku ziemi na podłodze i czekała, aż wanna się napęlni. Gdy uznała, że wody jest dość, sięgnęła w górę i wymacała kurki. Chwyliła je i zakręciła. Podciągnęła się i wpadła do wanny, nadal we frotowym płaszczu kąpielowym, który spowijał ją niczym niezbędną drugą skórą.

Moczyła w wodzie swój ból.

Dlaczego to wszystko przydarzało się akurat jej?! Czy istniał jakiś tajny genetyczny program, który przeoczyła? Gdyby tylko mogła znaleźć dość czasu i energii na badania...

Tyle papierów, wycinków, akt... Wszystkie leżały na swoim miejscu. W nich znajdowały się odpowiedzi. Alison była co do tego przekonana. Tak wynikało z zielonej książki. Jednak praca wymagała organizacji, drobiazgowego planowania i segregacji materiałów, a nie chaotycznej szamotaniny pomyłonej kobiety.

Jeszcze kilka dni wcześniej zdawało się jej, że jest królową świata. Teraz czuła się zmarnowana jak pożółkły zagon trawnika. Może winą za jej złe samopoczucie należało obarczyć pogodę — nagłe gorąco, podczas którego na światło dzienne wychodziły drapieźniki. Alison była bardzo wrażliwa na zmiany atmosferyczne.

Moczyła się dalej.

Koniecznien musi zdjąć szlafrok. Steve odkryje, że coś jest nie tak, jeśli przyłapie ją na kąpeli w szlafroku. Nie mogła mu pokazać, jak rozpaczliwie potrzebuje skóry. Za wszelką cenę powinna utrzymać te

sprawę w sekrecie. Całe jej życie stanowiło pasmo sekretów. Było ich tak wiele... tak wiele!

Rozdział dwudziesty pierwszy

Ruki najwyraźniej miała coś do powiedzenia i czekała na właściwy moment. Była tak podniecona, że nie zauważała przygnębienia Poego. A może sierżant dobrze ukrywał. Mama zbyła półsłówkami pytania o szczegóły swojej choroby, więc policjant nie przestawał się zastanawiać nad jej faktycznym stanem. Szczególnie że co jakiś czas przestawała jeść, podnosiła nieobecne oczy i wyglądała na dwór przez panoramiczne okna.

Znajdowali się w najwyższym punkcie miasta. Widok z Needle stanowiła panorama hoteli skąpanych w morzu roziskrzonych świateł, za nimi zaś ciągnęły się długie kilometry tanich domów z różowej cegły. O tej godzinie pustynia przypominała czarną dziurę. Nad ową pustką górowały wielkie, majestatyczne, purpurowe od zachodzącego słońca szczyty; z wolna pokrywały się cieniem. „Jakże mało znaczy człowiek wobec tych gigantycznych tworów przyrody”, zamyślił się Poe.

Spróbował skupić się na prowadzonej przy stoliku rozmowie, niestety temat nie bardzo był mu znany. Kobiety z ożywieniem gawędziły o jedzeniu — o jakości półproduktów, konserwantach, kupowaniu, przyprawianiu i przyrządzaniu potraw. Wymieniały się tuzinami etnicznych przepisów. Mama przestała gotować przed laty, jeszcze zanim Poe wyjechał z Reno. Ostatnim razem widział ją w pobliżu pieca pewnego dnia, gdy kuchnia w jej mieszkaniu o mało nie wybuchła, ponieważ zapalił się rozlany tłuszcz. Położyli mamę wtedy na tapczanie w salonie, by odpoczęła...

Jednak sierżant pamiętał też dawne dobre czasy: niedzielne kolacje z babcią. Rodzina jego matki przeprowadziła się do St. George w stanie Utah, gdy babcia miała dwanaście lat. Ale kobieta nigdy nie wyparła się pajuckiego pochodzenia, wręcz przeciwnie — kultywowała

je przez całe życie. Indiańskie potrawy babci zawsze były proste, lecz pyszne. Pieczone ptaki serwowane z ciastem z kruszonych orzeszków sosnowych i białej fasolki pochodzącej z mimozowatego krzewu *mesquite*. Sałatka z indiańskiego szpinaku, gorzkie zielone warzywa i mieszane prażone nasiona. Owoce kaktusa *Opuntia cholla* i jagody posypane cukrem. Poe uwielbiał tradycyjne potrawy babci, póki nie zaczął chodzić do szkoły. Tam znalazł się wśród dzieci, dla których kwintesencją „wyszukanej sztuki kulinarnej” była musztarda na kanapkach z salami.

Pierwszego dnia w szkole... Poe przyniósł lunch w zatłuszczonej torebce z brązowego papieru. Wyjął go i przez chwilę oblizywał palce, podczas gdy pozostałe dzieci gapily się pogardliwie na jego posiłek. Nigdy nie widziały gołębia upieczonego wraz z głową.

„Eeuu! Wygląda odrażająco!”, oznajmiło któreś.

Od tego dnia on i Remus prosili o kanapki z białego chleba posmarowanego masłem orzechowym.

Poczuł dotyk czyjejś ręki na ramieniu i podniósł wzrok. Przed nim stała Patricia. Była z mężczyzną — wysokim, postawnym Polinezyjczykiem w szerokich, haremowych spodniach, białej lnianej koszuli i purpurowej kamizelce z cekinami. Aladyn na sterydach.

— To Nate Malealani — przedstawiła towarzysza policjantka.

— Aha — odparł sierżant i potrząsnął wielką dłonią. — Świadek, który widział naszego tajemniczego mężczyznę.

— Znalazł go już pan, sierżancie?

„Taa. Znalazłem i zgubiłem”.

— Jeszcze nie — odparł. — Ale dopadniemy go.

Malealani odniósł wrażenie, że wszyscy mu się przyglądają.

— Przepraszam za strój. Dopiero co skończyłem pracę w Casablanca.

— Uważam, że wygląda pan wspaniale! — oświadczyła Emma.

Poe uśmiechnął się.

— Detektyw Deluca, moja matka, Emma Poe. Doktor Kalii już znasz...

— Proszę mówić mi Rukmani. — Lekarka uśmiechnęła się ciepło.

— Przyłączcie się do nas. Posiłek w większym gronie to czysta przyjemność.

Patricia i Nat popatrzyli po sobie.

— Na pewno nie przeszkadzamy? — spytał niepewnie mężczyzna.

— Ależ skąd.

Emma zuła kaski chińskiej sałatki z kurczakiem.

— Bufet jest tutaj doskonały! — oznajmiła z nieklamany entuzjazmem.

— Tak, prawdopodobnie najlepszy w mieście — odparł Malealani.

— Jeśli jednak chcecie skosztować czegoś naprawdę pysznego, musicie wyjechać za miasto.

Matka Poego wytarła usta.

— Dokąd?

— Ach, pełno wokół mało znanych lokalików — wtrąciła Patricia.

— Nate zna je wszystkie. — Odwróciła się do swojego partnera. — Ponieważ masz znacznie mniej czasu niż ja, idź już po jedzenie. Dołącz do ciebie za minutkę.

Mężczyzna nachmurzył się.

— Nienawidzę łązić sam w tych ciuchach. Czuję się jak cyrkowiec.

— Dogonię cię za chwilkę. — Poklepała go po muskularnym ramieniu. — Nie trać czasu. Wiem, że jesteś głodny. — Gdy tylko Nate odszedł, Patricia potoczyła wzrokiem i rzuciła: — Jest wiecznie głodny!

— Co, miesiąc miodowy się skończył? — zadrwił Poe.

Policjantka wzruszyła ramionami.

— Och, Nate jest naprawdę miły. — Strzeliła oczyma od Rukmani do Emmy. Poe zrozumiał aluzję i zasugerował: — Mamo, może dotrzymałabyś towarzystwa Nate'owi. Pomóż mu przy bufecie.

Emma pytająco popatrzyła na niego. Widelec pełen *mu gu gai* zatrzymał się w pół drogi między jej talerzem a ustami.

— Ależ ten chłopiec wygląda, jakby doskonale znał się na jedzeniu.

— Mamo

— Już dobrze, dobrze. — Przypatrzyła się swemu synowi.

— Po prostu mnie spławiasz, prawda?

Sierżant uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział.

Jego matka wstała powoli i ruszyła niechętnie ku stołom uginającym się od jedzenia. Poemu wydało się, że Emma lekko kuśtyka. Czyżby złudzenie?

— Co masz nam zatem do powiedzenia?

— Czy to jest aż tak oczywiste? — Rukmani odpowiedziała pytaniem.

— Ech, kiepski byłby z pani pokerzysta, doktor Kalii — dodała wesoło Patricia. — O co chodzi?

— Dostałam wyniki krwi Sary Yarlborough. W jej żyłach płynęło mnóstwo cracku, jednak na wykresie gazowej chromatografii nie wyszło nic innego. W przeciwieństwie do Newel, nie uspioło jej barbituranami.

— Może zabójca uznał, że crack wystarczy i nie aplikował jej dodatkowo środków nasennych — odparł sierżant. — Po co faszzerować dziewczynę prochami, skoro sama dość się naćpała?

— Pewnie masz rację — przyznała lekarka. — A jednak obie zbrodnie różnią się także znacząco w innych szczegółach. Brittaney podano barbiturany, potem ją torturowano. Została wręcz zamęczona na śmierć. Prawdopodobnie umarła w wyniku potwornego szoku i intensywnego krwotoku, gdyż w jej ciele pozostało naprawdę bardzo niewiele płynów ustrojowych. Przyczyną śmierci Sary było uduszenie. Po śmierci morderca — albo ktoś inny — podciął jej gardło. Straciła stosunkowo niewiele krwi.

— Podcięto jej gardło po śmierci? — upewniła się Patricia.

— Na dziewięćdziesiąt procent.

— Skąd pani to wie?

— Po ilości utraconej krwi — odparła Rukmani. — Uszkodzono aortę szyjną. Gdyby zabójca zrobił to dziewczynie za życia, z każdym uderzeniem pulsu traciłaby mnóstwo krwi. Skoro zaś gardło podciął jej po śmierci, doszło oczywiście do bezpośredniego odwodnienia

pęcherzykowego, lecz nie do utraty surowicy, którą serce pompuje wraz z krwią.

— Czyli... nie uważa pani, że te morderstwa są ze sobą powiązane? — spytała Patricia.

— Nie twierdzę, że nie mogła ich dokonać ta sama osoba — odparła lekarka. — Jednak w detalach ogromnie się różnią. — Nieoczekiwanie się uśmiechnęła. — Spójrz tylko na swoją matkę, Rom. Rozpoczęła wykład na temat cieleniny po sycuańsku.

Poe zerknął w stronę bufetu. Rzeczywiście, Emma mówiła nie tylko do Nate'a, ale także do grupki wysokich siwawych turystów, którzy między sobą rozmawiali w jakimś niezrozumiałym języku. Prawdopodobnie byli Skandynawami. Matka wskazywała na kolejne półmiski z jedzeniem i mówiła, mówiła, mówiła... Nate stał obok niej, kołysał się nieco i wpatrywał się w nią, gdy wyjaśniała niuanse serwowanej w Las Vegas kuchni.

— Twój chłopak wygląda na trochę zagubionego — zauważył sierżant.

— Wybawię go z opresji — odparła Patricia.

Po jej odejściu Rukmani zwróciła się do Poego:

— Wszystko w porządku? Ciągłe strzelasz palcami, chociaż niemal bezgłośnie.

Rom splótł dłonie i rzucił okiem w kierunku matki. Zajął się teraz cielenymi zeberkami.

— Przybierz obojętną minę, dobrze? — poprosił tajemniczo. Lekarka uśmiechnęła się niespokojnie.

— O co chodzi?

— Moja matka ma raka... Nie daj niczego po sobie poznać, błagam cię, Ruki!

Kobieta roześmiała się szybko, by ukryć wstrząs.

— Och, mój Boże! — mruknęła pod nosem.

— Poza tym, dostałem wiadomość na pager dwadzieścia minut temu. Od Steve'a. Alison od paru dni choruje. Jej mąż martwi się o nią.

— Każ mu zatem zadzwonić do lekarza!

Poe odczekał cierpliwie.

— Musiał wyjść wieczorem z dziećmi... na jakieś spotkanie w szkole. Nie chciał zostawiać żony bez opieki, lecz nie miał wyboru... Hmm... Poprosił mnie, żebym wpadł do niej. Wydaje mi się, że powinienem.

Lekarka wybuchnęła gniewem.

— Biorąc pod uwagę to, co właśnie mi powiedziałeś o swojej matce, sądzę, że Alison może poczekać.

— Gdyby zadzwoniła sama, odmówiłbym. Skoro jednak wiadomość pochodziła od Steve'a, jego żona musi być naprawdę w kiepskim stanie.

— Nie w tak kiepskim jak twoja matka. — Lekarka podniosła głos. — Chyba masz problemy z priorytetami, sierzancie!

— Cii — uciszył ją Poe. — Emma jest dla mnie najważniejsza. I poświęcę jej cały mój czas. A do Alison wpadnę tylko na chwilę. Wrócę za godzinę. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym pojechać samochodem. Możesz zabrać moją matkę do domu taksówką? Dojadę tam najszybciej, jak się da. Będę miał jasny umysł i wtedy zastanowimy się nad poważniejszym problemem.

Lekarka niemal wrzała z wściekłości, wiedziała jednak, że lepiej nie wszczynać kłótni. Choć posiadała kilka dyplomów i doktorat, nigdy nie nauczyła się w pełni radzić sobie z mężczyznami. W młodości zbyt długo musiała znosić ich absolutną władzę. Wzięła głęboki wdech jogina i wypuściła powietrze w odmierzonych sekundach.

— Zrób to, co musisz. Zajmę się twoją matką.

— Nie wspominaj jej o niczym...

— Rom, nie jestem głupia.

— Nie miałem na myśli niczego... — Poe zerknął przez ramię. Emma zachwycała się *won ton**. Popatrzył Rukmani w oczy. — Gdybyś zniknęła z mojego życia, oszalałbym. Naprawdę. Dziękuję. Bez ciebie nie dałbym sobie rady.

* *Won ton* — chińskie pierożki nadziewane pikantną mieloną wieprzowiną; często serwowane w zupie.

Kobieta skinęła głową i nadal narzucała sobie spokojny oddech.

Po minucie jej gniew minął. Spojrzała Romowi w oczy i dostrzegła w nich nieprawdopodobny stres. Dlaczego nie zauważyła tego wcześniej? Była przecież lekarzem, na litość boską! Ukochany mężczyzna potrzebował zarówno jej profesjonalnej, jak i emocjonalnej pomocy.

— Bardzo mi przykro — oświadczyła łagodnie. — Co to za nowotwór?

Sierżant westchnął, po czym uśmiechnął się z wysiłkiem.

— Białaczka. Czy zazwyczaj nie chorują na nią dzieci?

— Często, lecz dorosłym również się zdarza. Znasz rodzaj?

— Matka mi powiedziała, ale nie zapamiętałem.

— Limfatyczna czy szpikowa?

— Ruki, masz zbyt poważną minę jak na wesołą rozmowę, którą podobno toczymy.

Roześmiała się.

— Lepiej?

— O wiele. — Wziął ją za rękę. — Sądzę, że mówiła coś o problemach z limfą. Mam kilka jej kartotek medycznych, które przywiozła ze sobą z Reno. Ukradła je z biura i ukryła w zestawie tabliczek do madżonga.

— Sądzę, że twoja matka zamierza walczyć z chorobą.

— Na pewno — powiedział Poe, choć przypomniał sobie, że widział w oczach Emmy rozpacz. — Przejrzałem pobieżnie niektóre z tych papierów, ale nic nie zrozumiałem. Lekarze posługują się własnym żargonem. Papiery są w domu.

— Czy twoja matka poddała się już jakiejś kuracji?

— Jeszcze nie.

— O rany! — Rukmani cmoknęła go żartobliwie w rękę i uśmiechnęła się. — Wracają nasze żarłoki z wielkimi talerzami pełnymi jedzenia.

Sierżant podniósł kieliszek z winem.

— Wypijmy toast za Emmę. Za jej długie życie w zdrowiu. Ruki stuknęła swoim kieliszkiem o jego.

— Amen, bracie, amen.

*

Najweselszym głosem, na jaki potrafiła się zdobyć, Alison zawołała:

— Jestem w sypialni, chłopcy.

— To ja, Alison — odkrzyknął Poe. — Mogę wejść?

Poczuła napływ złego humoru.

— Przecież już wszedłeś!

— Mogę wejść do twojej sypialni?

Szybko wyjęła z nocnej szafki prasowany róż. Czubkami palców musnęła blade policzki i roztarła na nich róż. Jeszcze odrobina szminki na wargi... Starczy. Nie chciała przesadzić. Przeczesała szczotką swoje piękne włosy, wygładziła frotowy szlafrok, który sięgał jej nieco ponad kostki. Poprawiła poduszki, usiadła prosto.

— Wejdz.

Sierżant otworzył drzwi.

— Steve prosił, żebym sprawdził, jak się miewasz. Twierdził, że nie czujesz się zbyt dobrze.

— Steve? — Zrobiła zdziwioną minę.

— Podobno zaatakował cię jakiś wyjątkowo złośliwy wirus grypy.

— Przyjrzał się jej twarzy. — Właściwie wyglądasz całkiem nieźle.

— Całkiem nieźle?

— Raczej bardzo dobrze — poprawił się. Usiadł na rogu jej łóżka.

— Jak się czujesz?

Westchnęła.

— Przejdzie, a ja przeżyję. A czym ty się zamartwiasz?

— Niczym.

Alison świdrowała go wzrokiem.

— Kłamiesz.

— Podać ci coś do picia?

Nadal studiowała jego oblicze.

— Jesteś jakiś taki daleki.

— To zmęczenie. Przynieść ci coś do picia?

— Może trochę wina?

— A może soku pomarańczowego?

Wzruszyła ramionami.

— Brakuje ci poczucia humoru.

— Wiem. — Czuję, że jego cierpliwość wyczerpuje się. — Wypominałaś mi to wiele razy w przeszłości. — Wyszedł z pokoju. Wrócił ze szklanką soku. — Proszę, napij się.

Alison wzięła szklankę i sączyła płyn, przyglądając się swemu gościowi ponad obrzeżem szklanki.

— Miałaś mnie pocieszać, a nie dołować.

Nie odpowiedział. Pochyliła się, poklepała go po ręce, po czym usiadła prosto.

— Wyglądasz na dość sponiewieranego, Rommie. Jak ci leci?

— Problemy... tu i tam. Nic strasznego. Ale dzięki za komentarz.

Wypiła sok i czekała na szczegóły. Ponieważ Poe nie odezwał się więcej, zauważyła:

— Jesteś bardzo sztywny. Czyżby twoja dziewczyna sprawiała ci kłopoty?

— Skądże! — Po chwili dodał: — Moja matka jest w mieście.

— Aha! — oznajmiła triumfalnie Alison. — Wiedziałam, że coś jest nie tak.

— Zostanie tu przez jakiś czas. Remus pracuje nad pewnym dużym projektem, więc mu powiedziałem, że przejmę ją na jakiś czas.

— Ludziom, którzy pragną uszczęśliwić innych, nigdy się nie wiedzie.

— Masz rację.

— Dlaczego jej do mnie nie przyprowadzisz? Zawsze mnie lubiła. Sądzę, że miała nadzieję... że... no wiesz... ty i ja...

„Jakby to była moja wina, że my nie...”, pomyślał.

— Może gdy się ulokuje we własnym mieszkanku, przyprowadzę ją do ciebie — powiedział głośno.

— Zawsze uważałam, że twoja matka jest naprawdę miła.

— Miła?

— No cóż, może chciałam powiedzieć... że dbała o ludzi.

— Tak, kiedy nie była pijana, bywała bardzo dobra.

— Jesteś taki surowy dla innych. Romulusie. Dlaczego zawsze patrzysz na życie negatywnie? To bez sensu. Nikt nie lubi ponuraków.

— Nie patrzę na nic negatywnie, po prostu mówię prawdę. Z całego serca kocham moją matkę, ale nie zaprzeczysz, że jest pijaczką. Niestety... i nic na to nie poradzę. — Wstał. — Mogę sobie nalać soku? Chce mi się pić.

— Często się.

Wyszedł do kuchni i nalał sobie szklanekę soku, po czym dolał do niej wódki Stolichnaya. Wyłopał połowę drinka i wrócił do sypialni.

— Dużo lepiej.

— Jak się miewa?

— Średnio, lecz jak zwykle żwawa i energiczna.

Alison polizowała wargi, podniosła nieco wyżej szlafrok.

— Miałam na myśli twoją przyjaciółkę doktorkę.

— U Rukmani wszystko dobrze.

— Czy ona nie ma przypadkiem dorosłych dzieci?

— Ma.

— Nie przeszkadza ci to?

— Dlaczego jej dzieci miałyby mi przeszkadzać? Nie mieszkają już z nią.

— Chodzi mi o to, że ona jest taka... hmm... Jest w wieku Stephena, prawda?

— Nawet nieco od niego starsza.

— Nie przeszkadza ci jej wiek?

— Nie.

— Co się z tobą stało? — Alison zadrwiła. — Kiedyś byłeś bardziej wybredny.

— Nadal jestem wybredny. Dlaczego właściwie wypytujesz mnie o Rukmani? Do tej pory nie interesowałaś się moimi dziewczynami.

Alison zrobiła nadąsaną minę.

— Ot tak, dla podtrzymania rozmowy. Wybacz, jeśli dotknęłam czułego nerwu.

Poe roześmiał się

— Nie wierzę, że cię to faktycznie obchodzi. Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić? Trochę się śpieszę.

— Może zaproponujesz mi solidny seks?

— Alison...

— Nigdy się nie skupiasz na naprawdę ważnych sprawach.

— *Au contraire**, kiedyś mnie interesowały. To było dawno, a teraz jest teraz. Co w ciebie dziś wstąpiło? Ten wirus musiał chyba zaatakować ci też mózg.

* *Au contraire* (fr.) — przeciwnie.

Kobieta złożyła ramiona przed sobą na piersi i dąsała się, czekając, aż Poe zainicjuje rozmowę. Milczał, więc spróbowała kolejnej taktyki. Starła się przybrać niedbały ton.

— Jak się posuwa sprawa? Ta, która ci przypomniała Koszmara.

— Mam kilka tropów. Rozwiążemy to morderstwo, chociaż zajmie nam to trochę czasu.

— No no no, ależ pewność siebie. Wiesz, że sprawy Koszmara nigdy nie rozwiązano.

— Wiem. Ale — jeśli cię pamięć nie zawodzi — nie służyłem jeszcze wtedy w policji.

Alison roześmiała się — dziewczęco i lekko. Kiedy się uśmiechała, była taka piękna. Znowu odezwała się spokojnie:

— Więc co konkretnie wiesz?

— O mojej sprawie czy o sprawie Koszmara?

— O obu.

Sierżant przypatrzył się jej.

— Parę tygodni temu... kiedy rozmawialiśmy... powiedziałaś mi, że całkiem dobrze pamiętasz Koszmara.

— Tak.

— Pamiętasz zatem z pewnością, ile było ofiar.

— Mówiłam ci już, że moim zdaniem zabił przynajmniej dwie osoby. Jeśli także moją mamę... no cóż, wtedy może byłyby trzy.

Policjant podrapał się po głowie.

— Interesujące. Znalazłem w tamtym przedziale czasowym tylko jedną sprawę, która pasowałaby do Koszmara.

Nagle kobieta wydeła usta. Poe westchnął.

— Cóż głupiego powiedziałem tym razem?

Potrząsnęła głową.

Wstał.

— No dobrze... Nie mów mi...

— Przejrzałeś akta mojej matki?

— Nie. — Zagapił się na nią. — Nie chciałem grzebać w twojej przeszłości.

— Powiedziałam ci przecież, że może była jego ofiarą. Sądziłam, że może...

— Źle sądziłaś.

Tym razem to Alison wpatrzyła się w niego.

— Myślisz o mnie zamiast o swojej sprawie.

— Taki już jestem. Liczę się z uczuciami innych ludzi. — Sprawdził godzinę. — Steve pewnie niedługo wróci do domu. Lepiej już pójde.

— Podobno sam cię tu przysłał?

— To nie znaczy, że chce mnie zobaczyć po powrocie do domu.

Dolać ci soku, zanim wyjde?

— Nie... no chyba że dodasz wódki, tak jak dodałeś sobie.

— Mnie wolno. — Sierżant uśmiechnął się. — Nie jestem chory.

— Jeszcze nie.

— Co to niby ma znaczyć?

— Hmm... Mam nadzieję, że mój wirus nie jest zaraźliwy.

Bez zastanowienia pochylił się do przodu i pocałował ją w usta.

— Miejmy nadzieję, że nie. Dobranoc.

Nie odezwała się.

— Powiedziałem dobranoc, mała.

Odwróciła się od niego. Najwyraźniej zamierzała ostentacyjnie zlekceważyć jego odejście.

Wzruszył ramionami i wyszedł z pokoju. Zanotował w pamięci, żeby przejrzeć akta związane z samobójstwem matki Alison.

Rozdział dwudziesty drugi

Poe obserwował pianę, która wyciekała poza brzeg kufła z piwem i leniwie skapywała mu na palce.

„Nie chcę iść do domu — myślał. — Naprawdę nie chcę iść do domu!”

— Chyba potrzebna ci serwetka — zauważyła Honey. Czułe wytarła jego rękę, po czym klękła przed nim; jej długi różowy peniuar przesunął się po podłodze niczym ślubny tren. Popatrzyła na sierżanta z dołu czułym wzrokiem, który mógł należeć jedynie do zawodowej callgirl dostarczającej przyjemności za dwieście pięćdziesiąt dolarów na godzinę. W końcu położyła mężczyźnie ręce na kolanach; paznokcie miała długie i czerwone. — Powiedz, jak mogę ci pomóc.

— Właśnie mi pomogłaś. — Policjanta przepelniała odraza do samego siebie. Patetyczna rozmowa telefoniczna, którą odbył z Rukmani: „Sprawa się komplikuje znacznie bardziej, niż oczekiwałem. Nie wiem, ile jeszcze czasu mi zajmie”. Kiepska wymówka. Lekarka na pewno go przejrzała. Przez telefon nic wprawdzie nie powiedziała, lecz pamiętał jej wcześniejsze stwierdzenie, które smagało jak bicz jego znużony wojną umysł. „Nie mówię o twoich dziwkach, ale o odpowiedzialności”.

— Chyba się ożenię.

Honey uśmiechnęła się pogodnie.

— Wspaniale. — Przerwa. — Jesteś z tego powodu szczęśliwy?

— Bardzo.

— Rukmani?

— Tak.

— Stanowicie cudowną parę.

— Też mi się tak zdaje.

Dziewczyna przesunęła się.

— Jesteście tolerancyjni wobec swoich wzajemnych potrzeb.

— Do pewnego stopnia.

— Ach! — Zastanowiła się. — Czyżbyś przyszedł się ze mną pożegnać?

Poe sączył przez chwilę piwo.

— Może. Tak czy owak, słysząc to ode mnie, wiesz przynajmniej, że w niczym nie zawiniłaś.

— Jestem egoistką, więc nigdy nie obarczam się za nic winą. — Postukała palcami po jego kolanach i wstała. — Rukmani jest taka... hmm... spełniona. Szczególnie gdy pomyślisz, skąd pochodzi. Życzę wam obojgu wiele szczęścia.

— Dziękuję.

— Kiedy nastąpi ten wielki dzień?

— Jeszcze nie wiem.

Zadarła ciekawsko głowę.

— Odbyliście tylko wstępną rozmowę?

— Ruki trochę się broni. Jej pierwsze małżeństwo bardziej przypominało niewolę niż partnerski układ, toteż boi się zobowiązań.

— A ty?

Uśmiechnął się.

— Więcej niż trochę. — Rozwahał coś przez moment. — Honey, jak długo byłaś z Parkerem Lewistonem?

Zdumiała się.

— Skąd ci przyszło do głowy to pytanie?

— Po prostu jestem ciekaw.

Wycelowała w niego palcem.

— Dobra panienka nigdy nie całuje w usta i nigdy nie opowiada o klientach.

— Nie pytam cię o szczegóły, tylko o czas.

Dziewczyna zachichotała.

— Byliśmy razem przez mniej więcej dwa lata.

— I był dla ciebie dobry?

— Wspaniały.

- Nieco perwersyjny?
- Powtórzyc ci, sierzancie, przysłowie o panience?

Poe drążył dalej.

- A jaki miał gust, jeśli chodzi o kobiety...

— Jego gust był zawsze doskonały.

— Nie miał zboczonych nawyków?

— Dlaczego tak się nim interesujesz?

— Pamiętasz, jakieś dwa tygodnie temu pokazywałem ci zdjęcie zamordowanej kurewki?

— Jak mogłabym zapomnieć? Postawiłeś mi je przed oczami.

— Przypuszczalnie zabita należała do dziewczyn Parkera.

— I co?

— Wyparł się znajomości z nią.

— A zatem?

Policjant dopił swoje piwo Dos Equis i zastanawiał się, czy otworzyć następne. U Honey zaopatrzenie było lepsze niż w większości barów.

— Po prostu nie rozumiem, dlaczego skłamał.

Dziewczyna nalala sobie filiżankę kawy.

— Może istnieć ku temu szereg powodów. Może dostałeś złe informacje. Albo Parker nie pamięta takich tanich małych dziwek.

— Dopiero co oświadczyłaś, że miał doskonały gust, jeśli chodzi o kobiety.

Zmarszczyła brwi.

— Mówiłam o jego guście co do prawdziwych kobiet.

— Ach! — Poe uśmiechnął się. — Rozumiem.

Honey nadal była jednak na niego wkurzona.

— Może Parker po prostu nie chciał się wplątywać w twoje paskudne, brudne sprawy, Rom.

— Moje paskudne, brudne sprawy?! — Sierżant nie wierzył w to, co słyszy. — Tak nazywasz morderstwa?

Zesztywniała.

— Kolejny dobry powód dla Parkera, by trzymać gębę na kłódkę. Nie dotarłby na szczyt, na którym jest dzisiaj, gdyby popełniał błędy.

— Błędy takie jak zabójstwo?
— Rany, ależ jesteś dziś upierdliwy. Chyba szukasz pretekstu do zerwania.

Tak, powinien się wycofać.

— Być może.

Napiła się kawy, po czym złagodziła ton.

— Jeśli interesuje cię moja opinia, powiem ci, że ta mała dziwka nie wygląda na osóbkę w jego typie. Parker preferuje kobiety nie tylko piękne, ale także bystre i zdolne. Lubi z nimi rozmawiać. Kiedy byliśmy razem, naprawdę wierzyłam, że nie potrafiłby się obyć bez moich rad.

„Porzuć złudzenia, mała. Jesteś tylko dziwką. A ja świruję”.

Wstał.

— Dzięki, Honey. Dzięki za wszystko.

Rozpromieniła się.

— Mogę cię pocałować na pożegnanie?

— Obrazilbym się, gdybyś mnie nie pocałowała.

Całowała go długo i namiętnie.

Jej pocałunek smakował jak trucizna.

Strawił zaledwie czterdzieści pięć minut, ale miał wrażenie, że minęły całe godziny. Szedł powoli do domu rozjaśnionego mrocznymi niczym jego nastrój światłami. Rukmani w okularach na nosie i w powłóczystej purpurowej sukni siedziała na krześle. Czytała coś przy latarni na baterie. Jej skórę w odcieniu gałki muszkatołowej pokrywały połyskujące kropelki potu. W domu Poego nie było klimatyzacji, a tylko stary wentylator na baterie, który przepędzał gorące powietrze z kąta w kąt.

Lekarka popatrzyła znad dokumentów i wytarła twarz chusteczką.

— Twoja mama śpi. Rozłożyłam jej tapczan. Wydaje mi się, że wszystko jest w porządku.

Stał w progu. Pot ściekał mu z czoła, w oczach czuł ogień. Przetarł twarz rękawem.

— Byłem u Honey.

— Też tak sobie pomyślałam. Wejdz, ale drzwi zostaw otwarte. Będzie przewiew.

Wszedł do środka i postawił stół obok przyjaciółki. Zanim usiadł, zawahał się.

— Nawet nie wiem, dlaczego tam poszedłem.

Rukmani wzruszyła ramionami.

— Chciałeś potwierdzić swoją niezależność. Uchylasz się przed przyniatającą cię odpowiedzialnością i nie masz ochoty opiekować się chorą matką. Albo jesteś napalonym ogierem... Sam wybierz odpowiedź.

Milczał.

— Tylko mnie nie okłamuj, Romulusie — dodała. — Nigdy przedtem nie kłamałeś. Nie zaczynaj teraz.

Spuścił wzrok.

— Przepraszam.

— Życie jest takie krótkie. Ludzie nie są ideałami. Zapomnij o tej sprawie.

Zauważył papiery, które czytała.

— Widzę, że moja matka opowiedziała ci nieco o swoim stanie.

— Domyśliła się, że rozmawiałeś ze mną o jej chorobie, toteż dorzuciła trochę szczegółów. No i teraz... — Podniosła gruby plik akt. — Przedzieram się przez medyczne brudy.

— Remus o niczym nie wie. Nie pozwoliła mi do niego zadzwonić. — Ponownie starł pot z twarzy. — Ale muszę to przecież zrobić, Ruki. Jestem dłużny mojemu bratu szczerą.

— Zgadzam się z tobą.

— Teraz jestem zbyt zmęczony. Pewnie zadzwonię do niego rano.

— Brzmi logicznie.

Zaczął coś mówić i przerwał. Jego gardło uciskała jakaś gruda. Zakaszał w pięść, po czym podjął:

— Nie chcę, żeby umarła.

Rukmani zdjęła okulary.

— Przedstawię ci sytuację z medycznego punktu widzenia. Naprawdę znam się na chorobach, ponieważ zanim zostałam patologiem,

zajmowałam się żywymi. Leczyłam. Wiem, o czym mówię.

— Zawsze wiesz, o czym mówisz. Kontynuuj.

— Po pierwsze, przejrzałam diagnozę. Emma cierpi z powodu pewnej formy limfatycznej białaczki. Odmiana nie całkiem typowa, jednak rodzajów jest wiele. Przecież życie jest takie skomplikowane... Tak czy owak, bez biopsji i badań komórkowych, mogę jedynie eks-trapolować. Nie sugeruj się zatem do końca moją opinią.

— Rozumiem.

— Mówiąc najogólniej, mamy prawdopodobnie do czynienia z chroniczną białaczką limfatyczną. Organizm Emmy atakuje sporo umiarkowanie zróżnicowanych komórek rakowych. A to bardzo do-brze.

— Naprawdę?

— Tak, naprawdę. Im bardziej komórki rakowe różnią się od sie-bie, tym lepiej. Rom, choroba twojej matki nie jest wyrokiem śmierci. Posiadamy rzetelną diagnozę, a poza tym, istnieją kuracje, które sprawdziły się w przeszłości.

Podniosła dwa palce.

— Dwie kwestie. Po pierwsze, trzeba przeprowadzić staranne te-sty, aby dokładnie ustalić typ nowotworu. Nieco inaczej leczy się po-stać limfatyczną, inaczej szpikową. W przypadku Emmy granice wy-dają się nieco zatarte. W jej organizmie znajduje się zarówno sporo komórek rakowych, które są przejawem białaczki, lecz także w ukła-dzie odpornościowym dostrzec można komórki nowotworowe, wska-zujące na limfomę.

— Rzeczywiście osobliwa odmiana.

— Zdarza się, że limfoma przekształca się w białaczkę i vice versa. Precyzyjne badanie musi się wiązać z drobiazgową pracą laboratoryjną i niepodważalną diagnozą. Sztuczka polega na tym... — Wes-tchnęła. — Sztuczka polega na tym, że badaniom trzeba się poddać w szpitalu. A twoja matka nie chce mieć nic wspólnego z nowoczesną medycyną. Woli indiańskiego szamana.

— Też tak słyszałem.

— Rozmawiała z tobą na ten temat?

— Zgadza się. Szczerze mówiąc, byłem tak oszołomiony, że nawet się z nią nie spierałem. Zresztą, wtedy i tak mój sprzeciw na nic by się zdał.

— Wiesz? Jestem zwolenniczką medycyny holistycznej. My Hindusi wierzymy w leczenie niekonwencjonalne. Widziałam też na własne oczy mistyków, którzy czynili cuda. Jednak na co dzień podstawą jest zachodnia medycyna... Szczepionki, antybiotyki. Uratowały już wiele ludzkich żywotów, a ja nie zamierzam się spierać z empiryzmem.

— Mnie nie musisz przekonywać. — Polizał suche wargi. Spocił się pod pachami. — Mogłabyś z nią porozmawiać?

— Bardzo bym chciała, sądzę jednak, że Emma uzna mnie za przedstawicielkę lekarskiego świata, przed którym właśnie się broni. Propozycja szpitala powinna wyjść od kogoś neutralnego. Macie jakiegoś krewnego, którego twoja matka poważa?

Poe zastanawiał się przez moment.

— Jest Y.

Rukmani podniosła kciuk, dając znak aprobaty.

— Świetnie. Myślisz, że będzie chętny do współpracy?

— Na pewno. — Popatrzył na zegarek. Była dwudziesta druga pięćdziesiąt. Rany, ależ panowało gorąco. Północ w piekle! — Nie jest jeszcze zbyt późno — oświadczył. — Założę się, że zdołam go znaleźć.

— Może się jednak najpierw prześpisz? Wyglądasz na bardzo znużonego.

— Nic mi nie będzie. — Pocałował ją w rękę. — Znowu przepraszam.

Zaśmiała się cicho.

— Nie zdawałam sobie sprawy, że zalegają w tobie tak wielkie pokłady winy. Gdybym... miała inny charakter, mogłabym je wykorzystać. Wiem, że mnie ponownie zdradzisz. Ja ciebie zapewne też. Minie trochę czasu, zanim oboje nauczymy się wierności. Zawieziesz mnie do domu? Zaprosiłabym cię na noc, lecz boję się, że już i tak jesteś zbyt wyczerpany.

Miała rację.

— Muszę poszukać Y
— Wygodna wymówka. — Wstała i włożyła kartoteki medyczne do plastikowej torby. — Zabiorę je ze sobą, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Dzięki za wszystko.

— Tak przy okazji... Jak się ma Alison?

— Wariatka, jak zawsze.

Lekarka odczekała kilka minut.

— Wiem, że to śliczna dziewczyna, Romulusie. Jest wszakże zbyt dominująca i bardzo... bardzo niezrównoważona. W twoim przypadku nie może chodzić jedynie o pociąg fizyczny. Co ty w niej widzisz?

„Pogrzebane nadzieje”, odpowiedział sobie w myślach.

— W pewnym sensie jest członkiem mojej rodziny.

— Ona naprawdę potrzebuje pomocy, Poe. Jest chora.

— Jak cała moja rodzina. — Popatrzył na nią. — A ty co, nagle zrobiłaś się taka normalna?

— Jasne, też mam problemy. Kto ich nie ma? Potrafię jednak w miarę normalnie egzystować... w sensie społecznym. Mało tego. Jestem osobą użyteczną, gdyż pracuję dla społeczeństwa. — Uśmiechnęła się. — I powiem ci coś jeszcze, Rom. Wykonuję naprawdę dobrą robotę. A wiesz, skąd o tym wiem? Ponieważ moi pacjenci nigdy się nie skarżą.

Rozdział dwudziesty trzeci

Pustynna noc zachowała sporą dawkę dziennego upału i Poemu zrobiło się przyjemnie, gdy tylko wszedł do klimatyzowanego pomieszczenia. Co roku obiecywał sobie, że kupi generator. Jednak stale był albo zbyt zajęty, albo zbyt zmęczony. Każde lato znosił ciężko, lecz wmawiał sobie, że zdrowo jest się czasem spocić. Ze pot oczyszcza ciało. Powinien teraz wziąć kąpiel i porządnie wyszorować ciało szczotką ryżową.

Zanim zlokalizował Y, zrobiła się prawie pierwsza nad ranem. Stary Indianin miał na sobie dżinsy i krótki czerwony bezrękawnik ze skóry kozłowej. Grał w wideopokera we Flamingo Hilton. Pomarszczonymi palcami wsuwał monety do nienasyconego otworu. Na czole nosił przepaskę. Sierżant przyszedł przygotowany. Podał starcowi cztery słupki zawiniętych w papier ćwierćdolarówek. Y popatrzył na nie, po czym schował je do kieszeni jednym płynnym ruchem.

— Jak tam szczęście? Nie opuszcza cię?

— Nie narzekam.

— Doskonale.

— Czego chcesz?

— Przysługi.

Y odczekał chwilę, sugerując, że usłyszał, po czym podjął grę.

— Chodzi o moją matkę. — Poe poczekał w milczeniu, aż elektroniczny diler rozłoży karty dla Y. — Zachorowała, wodzu. Musi poddać się badaniom, a nie chce się położyć w szpitalu. Szczerze mówiąc, odmawia pomocy zachodniej medycyny. Zażyczyła sobie indiańskiego szamana.

— Szamani uosabiają właśnie zachodnią medycynę. Byliśmy na Zachodzie na długo, zanim *marukats* przybyli tu i ukradli nam ziemię.

Sierżant narzucił sobie cierpliwość.

— Rozumiem. Nikt nie twierdzi, że biali ludzie postąpili uczciwie setki lat temu. Teraz wszakże powinniśmy się skupić na pewnej, bardzo chorej kobiecie, którą mogą uratować jedynie nowoczesne leki.

Przez minutę żaden z nich się nie odzywał.

— Jak bardzo jest chora? — spytał w końcu Y.

Policjant wytarł twarz chusteczką.

— Na tyle, by potrzebować prawdziwej pomocy. Nie chcę niczego odrzucać... niech więc szaman również ją obejrzy. Jednak zdaniem Rukmani mama potrzebuje szpitalnej kuracji. Ponieważ jestem hazardzistą, powiem obrazowo, że bez leczenia szpitalnego ma taką szansę jak kareta przeciwko parze.

Stary Indianin zgarnął strita przeciwko dwóm parom automatu, który zaczął głośno brzęczeć i wypływać monety.

— Co jej jest? Ma raka?

— Tak. — „Czyżby zgadł przypadkiem?”, zastanowił się. — Powiedziała ci?

— Nie, nie, nic mi nie mówiła. Nawet z nią nie rozmawiałem. Po prostu twój opis... skojarzył mi się z nowotworem.

Sierżant poczuł kropelki potu spływające po karku. A przecież w kasynie panował chłód.

— Cierpi na jakąś dziwną odmianę białaczki. Ale Rukmani jest optymistką.

Wódz sączył wódkę i milczał.

— Mama musi się poddać chemioterapii. Bez niej umrze. I proszę nie zarzucaj mnie tekstami w stylu, że wszyscy musimy w końcu umrzeć. Nie jestem w egzystencjalnym nastroju.

Starzec wyjął jeden ze zwitków ćwierćdolarówek, które otrzymał od Poego. Słyszał w głosie młodego przyjaciela prawdziwą desperację.

— Porozmawiam z nią. Nic wszakże nie obiecuję.

Ciężar spadł nagle policjantowi z serca. Poczul w oczach łzy.

— Dziękuję.

Y popatrzył na niego i wręczył mu swoją szklaneczkę wódki.

Sierżant potrząsnął głową.

— Już i tak za dużo wypilem. Odnoszę wrażenie, że w głowę stuka mi dzieciół.

Starzec wsunął ćwierćdolarówkę w otwór, wbił rękę w kieszeń i wyciągnął celofanową paczuszkę.

— Weź to. Poczujesz się lepiej.

— Co to takiego?

— Domowy środek. Jeśli dręczyć cię będą wizje, nie zwracaj na nie uwagi.

Policjant popatrzył na proszek, po czym schował torebkę do kieszeni koszuli.

— Jakiś gatunek pejotlu?

— Trochę pejotlu, trochę grzybków, kilka innych pustynnych

roślinek i pieprz cayenne. Zmieszaj proszek z sokiem pomidorowym i wódką na jedną porcję Krwawej Mary. — Y wciągnął parę asów przeciw słabszej parze maszyny. Włożył kolejną monetę do otworu. — Wypij, a później rozbierz się do naga... jest dość ciepło... wyjdź na pustynię i wyj do księżycy.

— Dziś w nocy nie ma księżycy.

— W takim razie wyj do gwiazd... wyj do czegokolwiek. Uderz się w pierś i stań się jednością z pustynią. Wierz mi, to naprawdę działa. Och, tylko załóż wysokie buty. Wiele węży wokół.

— Możesz przyjść do mnie jutro, żeby porozmawiać z mamą?

Y wymusił półuśmiech.

— Zapowiedz Emmie, że ją odwiedzę.

— O której?

— W dzień.

— Mógłbyś mówić trochę dokładniej?

— Nie. Przyjdę na pewno po świcie, lecz przed zmierzchem.

Poe poddał się.

— Dzięki, wodzu.

— Pamiętaj, że nic nie obiecuję. — Wsunął kolejną ćwierćdolarówkę w maszynę. — Niczego nie obiecując, nigdy nikogo nie ranimy.

Od momentu, gdy matka została przyjęta do szpitala, życie sierżanta zaczęło pospiesznie pędzić naprzód. Zewsząd otaczała go teraz śmierć i choroba. Musiał też podejmować szereg decyzji, na których konsekwencje nie był odpowiednio przygotowany. Dobrze chociaż, że brat go wspierał. Stworzyli zgrany zespół i wspólnie bombardowali lekarzy pytaniami, naciskając na nich, póki nie otrzymali odpowiedzi. Wybrali strategię „wojenną”, stali się zaczepni i uparci. Takie zachowanie błyskawicznie zapewniło im niechęć personelu medycznego i denerwowało Rukmani, jednak dla bliźniaków liczyło się teraz wyłącznie zdrowie matki. Ostentacyjna nieżyczliwość otoczenia przypomniła Poemu własną bolesną młodość. Na szczęście wraz z bólem odrodził się ciepły, emocjonalny związek z Remusem.

Gigant żył jeszcze bardziej szaleńczo. Przylatywał do Las Vegas z Reno ostatnim samolotem, odlatywał wprost do pracy wczesnym rankiem. Wydawał się posiadać niespożyte pokłady energii — był przeciwieństwem Romulusa, który budził się co rano zmęczony, wręcz wyczerpany.

Przyjemność stała się tylko wyrazem w słowniku. Sierżant spędzał dnie w kołowrocie między pracą i szpitalem, wciąż żywiąc nadzieję na trwałą poprawę. Przez wiele minut trzymał za rękę starą kobietę, która spała niespokojnie po dawce metotreksatu. Oddychała chrapliwie, jej oddech był nieświeży, często cuchnący. Jej włosy kruszyły się i łamały, skóra wysuszała się niczym pustynny grunt. Rukmani ciągle zastanawiały wyniki badań komórkowych Emmy: histologia niezupełnie pokrywała się z danymi z literatury medycznej. Na szczęście chemioterapia działała i to było najważniejsze.

Mimo swego wzrostu i wagi Remus zdołał się jakoś zdrzemnąć na szpitalnym krześle. Poe cierpiał na bezsenność; stale był zdenerwowany i rozdrażniony. Po dwóch tygodniach piekielnego życia w pewne gorące popołudnie Weinberg wysłał go do domu. Ach, sierżant spędził trzy godziny na błogim śnie... We własnym domu i we własnym łóżku. Cisza, spokój, wokół tylko pustynia. Słowo „niebo” zyskało dla niego nowe znaczenie.

Kiedy się obudził, była piętnasta; środek skwarne go dnia. Poe był mokry, jakby dopiero co wyszedł spod prysznicy, i swędziało go całe ciało. Oblał głowę zimną wodą, włożył czyste ubranie, potem zdjął przemoczoną pościel, poskładał ją i pojechał do samoobsługowej pralni. Gdy dotarł na miejsce, powietrze falowało z gorąca nad asfaltowym parkingiem. Czuł żar nawet przez podeszwy butów.

Wepchnął ubrania i pościel do pralki. Zamierzał jak najszybciej wrócić do szpitala. Aż się wzdygnął na myśl o przejściu przez przeszklone drzwi i słuchaniu ściszonych głosów w pokoju intensywnie śmierdzącym antyseptykami. Życie wśród morza spanikowanych, skonfundowanych ludzi, między którymi personel w białych fartuchach biegał niczym duchy na przyspieszonych obrotach. Policjant

uświadomił sobie, że nie ma na to siły.

Zamiast tego zboczył więc do archiwum.

Za biurkiem siedziała ta sama kobieta w koku, nazwiskiem Madison. I miała tę samą niemiłą minę.

— Wrócił pan.

— Ja i liszaje... równie trudno się nas pozbyć.

Urzędniczka skrzywiła się.

— Z jakiegoś konkretnego powodu porównuje się pan do chorób skórnych?

— Nie, ale tym przecież dla pani jestem... zarazą. — Zakołysał się na stopach. — Sprawa wygląda tak. Nie mam czasu ani ochoty na wypełnianie stosownych wniosków, ale pani i tak pozwoli mi wejść, ponieważ... zmuszę panią do tego. Jestem w kiepskim humorze i niczym walec mogę rozjechać na miazgę każdego, kto znajdzie się na mojej drodze. — Wyciągnął rękę. — Klucze?

Madison zmarszczyła brwi, tym niemniej wstała.

— Który rok?

— Siedemdziesiąty trzeci.

— Zabójstwo?

— Właściwie samobójstwo. — Wyjęła kółko z kluczami, otworzyła drzwi do sali i włączyła światło. — Tędy.

— Moja droga, zasłużyła pani na podwyżkę.

— Wie pan, na co sobie zasłużyłam? Powinna wygrać na loterii. Ale pewnie nigdy nie wygram, tak samo jak nie dostanę podwyżki. Marzenia ściętej głowy.

Urodzona w stanie Utah Linda Joanne Hennick z domu Paulson miała w dniu zgonu trzydzieści osiem lat. Była zatem trzy lata starsza niż obecnie Poe, co go zastanowiło. Zapamiętał matkę Alison jako kobietę piękną, lecz wydawało mu się, że była dużo starsza.

Znaleziono ją w pokoju hotelowym kasyna Four Aces. Poe znalazł to miejsce. Należało do kwartetu tanich spelunek, które zajmowały

smagane burzami piaskowymi pogranicze Nevady z Kalifornią. Dwadzieścia pięć lat temu kasyno nie było dużo większe od stodoły ze stolikami do gry i automatami nazywanymi „jednoręki bandyta”. Kiedy powiał wiatr, krokwie grzechotały, podłogę zasypywały drobi-ny żwiru... Obecnie jednak Four Aces stało się najukochańszą hazardową mekką dla osób, które nie mogły sobie pozwolić na grę w Las Vegas lub dla ludzi niecierpliwych, którzy zatrzymywali się tu, zamiast pojechać do miasta. Niedawno w jednym z motelowych pasaży handlowych znaleziono zamordowanego chłopca, ucznia szkoły podstawowej; ochroniarze powiadomili ojca przez megafon. Wcześniej dziecko włóczyło się samotnie godzinami po motelu, płakało i chciało wrócić do domu. Niestety, mężczyznę za bardzo pociągały karty. Hazardowy nałóg okazał się silniejszy od rodzicielskiej miłości.

Poe przeglądał mikrofilmy.

Natrafił na zdjęcie kobiety przed samobójstwem. Podobnie jak jej córka, Linda była piękna. Alison odziedziczyła po niej orzechowe oczy i blond włosy. Jednak twarz matki była pełniejsza, wargi zaś węższe. Fotka ukazywała kobietę po trzydziestce o intensywnym spojrzeniu. Jej zimne oczy nie tyle „wpatrywały się” w sierżanta, co wręcz go sondowały.

Dotarł do następnej mikrofisy i czytał.

Przyczyną śmierci było wykrwawienie spowodowane wieloma ranami klutymi i ciętymi, które odkryto na nadgarstkach i ramionach kobiety. Na pośmiertnym, czarno-białym zdjęciu leżała na łóżku, półnaga, z głową odrzuconą w tył i poduszką pod karkiem. Jedna noga była wyprostowana, druga — zgięta w kolanie. Lewe ramię Lindy spoczywało przy boku, prawe zasłaniało również poranione piersi. Dolną część tułowia i uda przykrywała czerwona sukienka; nogi były gołe.

Policjant obejrzał kilka zbliżeń ran, wyjątkową uwagę poświęcając podkreślanym w raporcie koronera głębokim rozcięciom na nadgarstkach. Nacięcia i poprzeczne rany szpeciły także brzuch i twarz. Fotografia głowy ukazywała powierzchowne przecięcia wzdłuż i w szerz, spuchniętą dolną wargę i podbite oczy.

Poe skrzywił się, po czym odwrócił na moment wzrok i zaczerpnął powietrza. Takich ran Linda w żadnym razie nie mogła sobie zadać sama; zaklasyfikowanie jej śmierci jako samobójstwo było czystym absurdem. Szczególnie, że rany wydawały się chirurgicznie precyzyjne. A jednak zabójstwo rozważono, a następnie wykluczono.

Dlaczego?

Kontynuował przewijanie.

Trafił na zdjęcie brzucha, który został pokryty siateczką nacięć. Nie wyglądały na przypadkowe, a kiedy sierżant przypatrzył im się uważniej, ułożyły się w pewien wzór — przypominały krzyż lub literę „T”. Nieco krzywą, lecz wyraźną.

Również i te rany zadano z wielką dokładnością.

Może kobieta oszalała albo dokonała aktu rytualnego samookaleczenia w geście jakiejś religijnej pokuty? A może pociął ją ktoś inny? Niektóre sekty znane są z okrutnego torturowania własnych wyznawców, którym cierpienie ma przynieść rozgrzeszenie.

Sierżant obejrzał wszystkie zdjęcia na monitorach, po czym przewinął szpulę aż do raportu patologa. Przejrzał pobieżnie szczegóły i odkrył, że gdy Lindę znaleziono, nie żyła mniej więcej do dziesięciu godzin. Nastąpiło stężenie pośmiertne, przyspieszone panującym gorącem (temperatura w pokoju wynosiła trzydzieści pięć stopni Celsjusza). Ciało było posiniałe, krew spłynęła do najniższych partii ciała.

Poe zabrał się za czytanie raportu. Zwłoki odkryła hotelowa pokojówka, która zastukała około dziesiątej rano. Ponieważ nie otrzymała odpowiedzi, otworzyła drzwi własnym kluczem. Matka Alison zameldowała się o godzinie osiemnastej poprzedniego wieczoru; wynajęła jedynekę. Wypełniła formularz i zapłaciła recepcjoniście czterdzieści dziewięć dolarów gotówką.

Kobieta przebywała w pokoju szesnaście godzin, czyli umarła mniej więcej po sześciu...

Na miejscu zbrodni znaleziono następujące przedmioty;

Jedną skórzaną torebkę damską.

Jeden średniej wielkości portfel zawierający prawo jazdy, kartę kredytową na benzynę, zdjęcie małej dziewczynki i dwadzieścia pięć dolarów w gotówce.

Jeden złoty naszyjnik typu „żmijka”.

Jeden złoty zegarek z diamentami.

Ten ostatni przyciągnął uwagę sierżanta. Hennickowie nie byli majątną rodziną, zatem złoty zegarek z diamentami wydawał się dość niezwykły. W dodatku, po co miałyby zakładać tak kosztowny przedmiot, idąc do taniej spelunki?

Chyba że spotkała się z kimś przed śmiercią. Z kimś, na kim chciała zrobić wrażenie. Albo ktoś podarował jej biżuterię, a później ją zamordował. Tragiczny finał kłótni kochanków? A jednak śmierć uznano za samobójstwo. Dlaczego?

Inne przedmioty:

Jedna czerwona sukienka.

Jedna para czerwonych butów.

Jeden komplet kluczyków samochodowych (na nocnej szafce).

Jeden zakrwawiony nóż do krojenia mięsa.

Policjant potrząsnął głową.

Ostatnia pozycja na liście brzmiała: „Notatka pozostawiona przez samobójczynię”.

„Notatka?!”

Otworzył szeroko oczy. Alison nigdy nie wspomniała o liście pożegnaniowym. Może o nim nie wiedziała.

Sierżant szaleńczo przeglądał mikrofilm, starając się odnaleźć treść notki. Przewijał stronę po stronie. Gdzie, do diabła, podziła się treść listu?

Naprawdę nie miał ochoty wracać do początkowej części pliku. Gdzie ta notka? Czy jeszcze istniała?

Narzucił sobie spokój.

Po raz kolejny przejrzał akta. Wreszcie znalazł. Jedno zdanie:

„Oto, co zrobiłam”.

Tylko co właściwie Linda zrobiła?

Rozdział dwudziesty czwarty

Nie mógł zadać tego pytania Alison. Gdyby ją zapytał, wiedziała by, że węszył. Zresztą, jaki stopień wiarygodności miały wspomnienia ośmiolatki? Może powinien porozmawiać z jej ojcem, Geraldem Hennickiem? Tak, byłby to logiczny wybór. Tyle że oficjalnie sprawę zamknięto ćwierć wieku temu i Poe nie chciał dręczyć mężczyzny, który dość się już nacierpiał. I nie chodziło wyłącznie o śmierć żony, ale również o jej zachowanie za życia. Zdradzała go, poniżała, sąsiadki nieustannie o niej plotkowały...

„Ach, biedny mężczyzna”, mówiły.

„Jest taki święty”.

„Za jego oddanie Bóg nagrodzi go miejscem w niebie”.

Sąsiedzi zaś szydzili z niego:

„Co za rogacz!”

„Czemu to znosi?”

„Facet bez odrobiny dumy”.

„Pantoflarz”.

Po prawdzie, Hennick nie zasłużył sobie ani na bezgraniczne współczucie, ani na bezduszną pogardę. Jego żona była chora psychicznie, a żył z nią dokładnie tak samo, jak miliony innych ludzi doświadczonych przez tragedię, chorobę czy pech. Bóg jest kapryśnym krupierem.

Jeśli Poe nie chciał rozmawiać z przedstawicielami rodziny Hennicków, pozostała mu tylko jedna opcja.

Wyjechał ze szpitalnego parkingu o godzinie dwudziestej trzeciej, wiedział bowiem, że Y nie wybiera się na obchód kasyn przed dziesiątą wieczór. Po raz pierwszy od wielu tygodni policjant był w dobrym nastroju. Emmę mieli wypisać ze szpitala w poniedziałek. Oczywiście będzie musiała się dalej leczyć, lecz jej ciało domagało się odpoczynku — przez trzy tygodnie miało zbierać siły na następny etap chemioterapii. Na ten czas matka miała zamieszkać z Poem. Dlatego wynajął pielęgniarkę. A zatem w jego glinianej chatce zamieszkały trzy osoby... Czekala ich prywatność na japońską modłę.

Po pierwszej turze kuracji Emmie ponownie zrobiono szczegółowe badania. Okazało się, że poziom białych krwinek niemal wrócił do normalności, neutrofile nowotworowe zaś najwyraźniej pospiesznie się cofały. Gdyby tylko jeszcze choć trochę przytyła. Za każdym razem, gdy sierżant patrzył na jej szczupłe ciało, gdy widział, z jakim mozołem oddychała i poruszała się, czuł ukłucie bólu i nieznośne wyrzuty sumienia.

Powyżej uszu miał zmartwień. Dość"! Wreszcie znalazł się na ulicy, wśród ludzi. Opuścił szyby w oknach samochodu. Noc była piękna, kojąca, usiana gwiazdami, „podbarwiona” dzięki neonom; księżyc w pełni świecił niczym jupiter. Policjant głęboko zaczerpnął powietrza, smakując je i ciesząc się swobodą. Powoli ruszył w górę Pasa. Chodnikami szli ludzie, wszędzie słychać było śmiech... Wspaniałe miasto anonimowych milionów.

Wjechał hondą na podjazd Luxoru, zatrzymał się, wysiadł z samochodu i wręczył kluczyki boyowi. Wciągnął następny głęboki wdech i zagapił się na holograficzną twarz Tutanchamona; faraon wyglądał na mężczyznę w średnim wieku, nie na czternastoletniego króla-chłopca, którym był w istocie.

Poe wszedł do środka wielkiej czarnej szklanej piramidy. Jego wzrok natychmiast przyciągnęła winda, która wspinała się pod równie ostrym kątem jak szczyt Eiger. Trójkątny sufit znajdował się tak wysoko, że zerknięcie nań często powodowało chwilowy zawrót głowy. Kasyno na parterze otaczała niczym fosa imitacja Nilu, po którym pływały stylizowane łodzie. Podczas spływu turyści spotykali rozmaitych Ramzesów i ich żony, a także skalne ściany pokryte wykonanymi techniką graffiti hieroglifami. Sierżant często zastanawiał się, co te napisy znaczą.

„W potrzebie wezwij Totmesa...”

Poe ponownie zadarł głowę i spojrział w górę. Samobójcy uwielbiają skakać z położonych wysoko miejsc, toteż i w Luxorze zdarzały się tego typu wypadki. Kilka lat temu pewna zdesperowana kobieta wjechała na jedno z górnych pięter hotelu, skoczyła i spadła na stoliki

wokół bufetu. Siła uderzenia była tak wielka, że wybiła samobójczwi galki oczne. Ciało wyglądało paskudnie, ale pomysł na śmierć okazał się skuteczny.

Sierżant zaczął od paru automatów dolarowych i w kwadrans przegrał pięćset dolarów. Później poszedł do stołu i grał tak długo, aż go uprzejmie wyproszone. Najwyraźniej jego szczęście denerwowało przegrywających. Zanim wyszedł, przeszukał bary; nigdzie nie znalazł starego Indianina.

Opuścił kasyno i ruszył Pasem, oświetlonym neonami migoczącymi w ciepłym wietrze. Spacerował wśród tłumów i był szczęśliwy, że żyje. Z Luxoru poszedł do Excalibura, z Excalibura do Tropicany. Kiedy zegar wybił północ, policjant zaczął odczuwać niepokój. Wyznał sobie misję i nie chciał się przyznać do porażki.

Poszedł na północ, do kasyna New York-New York. Stanowiło miniaturową replikę metropolii, toteż Poego natychmiast otoczyły isticie nowojorskie widoki. Kasyno i hotel mieściły się w słynnych gmachach, znajdowała się tu nawet, pomniejszona do jednej trzeciej rzeczywistego rozmiaru, replika Statuy Wolności. Sierżant przypuszczał, że hotel miał zaspokajać tęsknotę u świeżo przybyłych mieszkańców Wschodniego Wybrzeża. Jego zdaniem wszakże teren stanowił urbanistyczny koszmar pełen hałasu, cieni i graffiti, który wyglądał na brudny, choć wcale taki nie był. Kasyna oddzielono od siebie kanałami wodnymi, sklepami i restauracjami; z pozoru w kompleksie panował całkowity chaos i nieporządek.

Poe popatrzył w górę, śledząc wzrokiem sporą rzeszę ludzi wieszonych przezroczytymi windami do wesołego miasteczka o nazwie Coney Island oraz pasażu handlowego. W New York-New York można było zagrać niemal w każdą grę i zdobyć mnóstwo nagród, jednak główną atrakcją stanowiła szalona kolejka górską, która kursowała po całej posiadłości. Gości hotelowych budziły w nocy zgrzyty kół na zakrętach i wrzaski pasażerów piekielnego pociągu.

Zapalił papierosa i zatrzymał się przed strumykiem z wybetonowanym dnem; w wodzie błyskały setki drobnych monet. Za sobą

policjant miał cuchnącą czosnkiem restaurację, na lewo od niego ciągnął się rząd dolarowych automatów, na prawo — obwieszone fałszywymi tablicami sklepiki o frontach ze sztucznej cegły. Ilekroć sierżant przyglądał się uważnie ścianom, znajdował ciekawe nazwy przemieszane z mało znaczącymi. Logo Bloodsand Crips — powszechnie znanego gangu ulicznego z Osiemnastej Ulicy w Los Angeles. Taki znak w mieście, w którym zastrzelono raperà Tupaka Shakura?! Poe zastanowił się nad sensem epatowania turystów znakami subkultury oprychów.

Wyprostował się i rozejrzał wokół. Ani śladu Y.

Kątem oka zobaczył jednakże melonik!

Niemal bezwiednie ruszył w jego kierunku. Nogi zareagowały szybciej niż mózg. Poe przepchnął się przez tłum i ruszył biegiem. Niestety mężczyzna dostrzegł go, bo popędził prędko i płynnie, niczym wściekła rzeka, przez nieskończone labirynty sklepów, magazynów i restauracji. Policjant dotrzymywał mu kroku, przeciskając się przez grupy ludzi. Wpadał w „sztuczne” alejki kasyna i obskurne boczne uliczki. Melonik pojawił się w polu widzenia sierżanta, lecz po chwili zniknął. Kiedy uciekinier skręcał za róg, Poe zauważył więcej: mignęła mu łopocząca luźna marynarka dwurzędowa i kawałek sportowego buta na gumowej podeszwie.

„Buty do biegania z garniturem?!”

Takie obuwie ułatwiało ucieczkę.

Gdy sierżant dopadł narożnika, nigdzie nie widział charakterystycznego melonika. Zgodnie ze zdrowym rozsądkiem „kapelusznik” powinien się skierować do wyjścia, więc policjant pognał ku pobliskim bocznym drzwiom. Potykając się, pędził przez labirynt i nagle zastanowił się. Dwa przypadkowe spotkania?! Uff, chyba nie w tym Układzie Słonecznym. Ktoś się z nim wyraźnie zabawiał w kotka i myszkę.

Poe wybiegł przez podwójne szklane boczne drzwi i znalazł się w prawdziwej alei: małej uliczce oznaczonej jako przejazd dla taksówek. Zwolnił i rozejrzał się. Jezdnia znajdowała się między dwoma masywnymi budynkami, które tworzyły szeroki tunel.

Ciemna... wąska... ukryta.

Tutaj wiatr zmienił się w groźne podmuchy. Lamentując żalobnie, wietrzysko unosiło sadzę i kurz.

Sierżant odgarnął włosy z oczu, zamrugał prędko i oszacował możliwe warianty. Po lewej miał światła Pasa, po prawej węższe pasma asfaltu i sieć ulic dla obsługi. Spozstrzegł w oddali kilka samotnych duszyczek; wyglądały na tle ściany jak kukiełkowy teatr cieni. Nikt nie nosił kapelusza. Wichura prędej czy później zrzuciłaby każde nakrycie z głowy. Większość pieszych kierowała się na wschód ku Pasowi. Jeśli ktoś chciał uciec i wmieszać się w tłum, niechybnie podążałby na wschód.

Coś jednak kazało policjantowi skrócić między budynki. Wiatr wiał coraz mocniej i szare nocne powietrze poczerniało od niesionej sadzy. Poe zacisnęła szczelniej kurtkę wokół ciała. Rzucił okiem przez ramię i szedł wytrwale, aż panujący na bulwarze hałas osłabł do jednostajnego szumu. Słyszał uderzenia własnych butów o ziemię i własny oddech.

Nagle rozległ się krzyk.

Sierżant rozejrzał się niespokojnie. W piersi gwałtownie łomotało mu serce. Skąd dochodził odgłos? Z prawej? Z lewej? Ciałem Poego szarpnął kolejny podmuch wiatru i nagle minęła go taksówka, trąbiąc wściekle jak syrena przeciwmgielna. Policjant odskoczył, rąbnął plecami o ścianę budynku i przeklął nierozważnego kierowcę. Silnik samochodu umilkł i znowu słychać było tylko wycie wichury. Kawalki papieru i fragmenty gruzu pędziły w powietrzu niczym krwiożercze nietoperze. Ach, te ciepłe wiatry. Jakież były złowieszcze...

Poe wszedł głębiej w ciemność.

Zatrzymał się na widok czegoś. Było białe... świeciło fluorescencyjnie w świetle księżyca. Pochylił się i podniósł przedmiot.

But do biegania. Męska ósemka.

Facet o małych stopach.

W tym momencie ponownie usłyszał krzyk!

Powietrzem wstrząsnęły kolejne wrzaski. Policjant pobiegł w kierunku odgłosów, ku wylotowi alei wychodzącej na Pas.

Wokół miejsca zgromadzili się ludzie. Uszy sierżanta zaatakował lament i zawodzenie. Wyłowił z hałasu słowa.

— Odejdź!

— Nie!

— Nieceeee!!!

— Policja! Cofnąć się! — Poe przepchnął się przez tłum. Na ziemi jęczała jakaś kobieta. — W tył! — krzyknął. — W tył! Policja!

Tłum niechętnie się rozstał. Sierżant przypatrzył się twarzy i prawie opadł na kolana. Widok naprawdę go zaszokował.

Góra sukienki Alison została oddarta, piersi — obnażone. W niezdarnym geście obrony kobieta zakrywała biust podrapanymi szczupłymi ramionami. Pończochy miała podarte, stopy — gołe, włosy rozczochrane, twarz — pobrudzoną i również podrapaną. Kopała na oślep nogami, ilekroć ktoś próbował się do niej zbliżyć.

Poe klęknął przy niej i za swoje wysiłki natychmiast otrzymał od Alison cios pięścią w twarz. Zdjął kurtkę i starał się przykryć kobietę, lecz ta odepchnęła go, kopiąc wściekle.

— Alison, to ja — zawołał. — To ja, Rom...

Trafiła go stopą w żołądek. Przez chwilę łapał powietrze, po czym wrzasnął:

— Niech ktoś wezwie ambulans!

— Nieceee! — Kobieta zaczęła machać zawzięcie wszystkimi kończynami.

— Alison, popatrz na mnie! — Lewą ręką zdołał unieruchomić jej nadgarstki, prawą uniósł jej podbródek i odwrócił jej twarz ku swojej. — Popatrz na mnie, kochanie, popatrz...

Podczas gdy mówił, zawyła tak straszliwie, że po kręgosłupie przebiegły mu dreszcze.

— Alison! Spójrz na mnie!

— Co się dzieje? — krzyknął ktoś.

— Jestem policjantem...

— Gdzie pańska odznaka, kolego?

Jak gdyby miał wolną rękę, by pokazać ciekawskiemu gnojkiowi

odznakę! Niestety, ludzie denerwowali się coraz bardziej. Na pierwszy rzut oka można było sądzić, że Poe znęca się nad leżącą kobietą. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, był obywatelski bunt.

— Alison, posłuchaj...

Nagle zarzuciła mu ramiona dokoła szyi i przycisnęła się do niego całą pierśią.

— Och, Romulusie! — Łkała na jego ramieniu. — Ktoś mnie pochnął! Ktoś mnie uderzył! Nic mu nie zrobiłam, a on po prostu na mnie naskoczył, zaczął mnie bić i drzeć moją sukienkę. Och, Boże, to było straszne!

Zapłakała gorzko. Kiedy uwiesiła mu się na szyi, podniósł kurtkę i otoczył nią jej nagie ramiona.

— Chodź, kochanie! Zabiorę cię do szpitala...

— Niecee!

— Alison...

— Niecee! — Przytuliła się do niego mocniej, ściskając mu szyję niczym zapaśnik. — Nie mogę, nie mogę, nie mogę...

— Cii. — Wolną ręką wyjął odznakę i pokazał ją tłumowi. — Policja! — wrzasnął. — Rozejść się! No dalej!

Ktoś uklęknął obok niego.

— Mój Boże, co się stało? — Zmartwiony męski głos.

Poe zerknął przez ramię. To był Y. Spocony starzec nie mógł złapać tchu. Skąd się tu wziął? Poe czuł się zbyt oszołomiony, aby wypytować o szczegóły.

— Została napadnięta — wyjaśnił zwięźle. — Musimy pojechać do szpitala...

— Niecee!

— Już w porządku. — Uspokoił ją, odwrócił się do ciekawskich gapiów i powoli wstał. Alison ciągle wisiała mu na ramieniu. Kurtka spadła z jej pleców.

— Podnieś — rozkazał staremu Indianinowi.

Y podniósł kurtkę i ponownie okrył nią Alison. Ciężko oddychał i nadal intensywnie się pocił. Sierżant miał nadzieję, że starzec nie dostanie ataku serca. Znowu błysnął odznaką.

Rozejść się! No już! Cofnijcie się albo was aresztuję!

— Wredna gadka — mruknął wódz.

Poe zmierzył go morderczym spojrzeniem. Alison ciągle płakała na jego ramieniu. Stary Indianin klasnął kilka razy w ręce.

— Okej, ludzie. Przyjęcie skończone. Wynocha do domu!

Żadnej reakcji.

— Kazałem wam iść do domu! — Y wskazał Poego. — Albo ten facet was wszystkich aresztuje. — Podniósł dwa palce. — Honor zwiadowcy.

Powoli gapie zaczęli się rozstępować — coraz szybciej, gdy zrozumieli, że dziwaczny pokaz naprawdę się skończył. Kiedy większość się rozeszła, sierżant zwrócił się do Alison:

— Kochanie, muszę cię zabrać do szpitala...

— Nieee! — Z kącików ust Alison kapłała ślina. — Nie, Rom, proszę, tylko nie to. Nie, nie!

— Zabierz ją do domu — zasugerował Y.

— Muszę zadzwonić do Steve'a...

— Nieee. — Płakała nieszczęsna kobieta. — Nie dzwoń do Steve'a. Proszę. Nie pojedę do domu, nie mogę. Nie w takim stanie. Nie mogę... przecież dzieci... nie mogę spotkać się ze Steve'em...

— Zabierz ją do siebie — nalegał stary Indianin.

— Nie mogę jej zabrać do siebie — odparował Poe. — Kochanie, może zabiorę cię do mojej przyjaciółki lekarki...

— Nie! — Odepchnęła go i zaczęła uciekać pasem zarezerwowanym dla taksówek. Sierżant bez trudu ją dogonił i przycisnął do piersi. Przytuliła się do niego i załkała. — Proszę, weź mnie ze sobą. Proszę, błagam cię, Romulusie. — „Płacze jak zraniony szczeniak”, pomyślał. — Błagam cię! Tylko ten jeden jedyny raz. Proszę. Mogę?

Grał na zwłokę.

— Gdzie cię zaatakował ten człowiek?

Alison wytarła nos.

— Och, przechodziłam... wybrałam skrót. A on po prostu na mnie napadł.

Policjant przełknął z trudem ślinę.

— Widziałas go?

Potrząsnęła głową.

— Odepchnął mnie. Upadłam na twarz. Zrobił mi to bez powodu, Rom! Później... później zaczął zdzierać ze mnie ubranie.

Znowu łkała.

— Alison, chodź, zawiozę cię gdzieś, gdzie będziesz bezpieczna...

— Zabierz mnie do swojego domu... tylko na trochę. Przysięgam, że nie sprawię ci kłopotu. — Pauza. — Błagam cię!

Zagryzł wargę. Spuścił wzrok i dostrzegł but do biegania, który sterczał mu z kieszeni płaszcza.

— Zaparkowałem przy Luxorze — zwrócił się do Y. — Przypro-
wadź samochód i zawieź ją do mnie do domu...

— Ty nie jedziesz?! — wydarła się kobieta.

— Kochanie, muszę się rozejrzeć...

— Proszę, Rom, nie zostawiaj mnie. Tylko ten jeden raz... Nie opuszczaj mnie.

— Zadzwoń po któregoś ze swoich detektywów.

— Myślisz, że to takie łatwe? — Wypuścił głośno powietrze. — Y, idź po samochód! Wszyscy troje pojedziemy do mnie...

— Dziękuję ci, Romulusie! — Alison pocałowała go mocno w usta. — Dziękuję ci, dziękuję. — Wybuchnęła płaczem.

— Gdzie twój kwit parkingowy? — spytał stary Indianin.

Z Alison uwieszoną u ramienia, Poe nie mógł sięgnąć do kieszeni.

— Mam w kieszeni spodni... w portfelu.

Y wyciągnął portfel sierżanta i wyjął kwit parkingowy wraz z dwiema dwudziestodolarówkami. Wsunął banknoty do własnej kieszeni, ignorując policjanta, który patrzył na niego wilkiem.

— Zapłata dla szofera — wyjaśnił.

— Przywieź ten pieprzony samochód.

Wódz pobiegł truchtem, Poe zaś usiłował w tym czasie uporządkować myśli. Alison ciągle do niego przywieriała. Zacisnął kurtkę wokół jej ciała, rękawy zawiązał jej na szyi.

— Poczekaj jeszcze chwilę. Zaraz pojedziemy.
— Do twojego domu?
— Tak, ale później cię zostawię. Naprawdę muszę się rozejrzeć.
Postaram się czegoś dowiedzieć.
— Nie opuszczaj mnie, Rom.
— Nie, nie opuszczę cię. Nie martw się na zapas.
„Może facet w meloniku zranił Alison? Chociaż nie, nie zdążyłby.
Jak mógł zaatakować kobietę, gdy deptałem mu po piętach?”
Zastanowił się.
„A może właśnie dlatego tak zrobił. Uderzył Alison i uciekł. Skupi-
łem się na niej i już go nie gonilem. Właśnie w ten sposób mnie
oszukał”.

— Jak dawno temu cię napadł?
— Bo ja wiem, może... — Alison wciągnęła nosem powietrze. —
Może z dziesięć minut temu.
— Jak mu uciekłaś?
— Nie uciekłam. Nagle sam czmychnął i tyle. Chyba coś go prze-
straszyło. — Milczała przez moment. — Dzięki Bogu, że tak się stało.
Poczuł, że łzawią mu oczy.
— Strasznie mi przykro, Alison.
— Nieważne — bąknęła. — Na szczęście przeżyłam i skończyło
się. Nic innego się nie liczy.
Sierżant wiedział wszakże, że jest inaczej.
— Wkrótce odwiozę cię do domu... — zaczął.
— Nie odsyłaj mnie do domu!
— Hmm... Miałem na myśli mój dom. — Wyprostował się. — Od-
poczniesz i się uspokoisz.
— Dziękuję. — Przyłgnęła do niego bardzo mocno i szeptała mu
do ucha. — Nie zostawiaj mnie, Rom. Nigdy mnie nie zostawiaj.

Rozdział dwudziesty piąty

Alison zasnęła w ciągu kilku minut. Zwinęła się w pozycję płodową na tylnym siedzeniu hondy Poego. Spała z lekko otwartymi ustami. Wyraźnie coś jej się śniło, ponieważ powieki nieprzerwanie jej drgały. Sierżant odchrząknął, wyjął komórkę i zadzwonił do domu Jensena. Po trzech sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Rozłączył się i wybrał numer pagera Steve'a, niestety ten również dzwonił i dzwonił. Poe pomyślał, że wystukał zły numer, więc spróbował jeszcze raz.

Znowu pager dzwonił i dzwonił...

Policjant przerwał połączenie. Dziwne! Steve nie zawsze odpowiadał na zostawione przez niego informacje, lecz nigdy wcześniej nie wyłączał pagera i Poe zawsze mógł zostawić wiadomość. Znowu zadzwonił do domu Jensenów. Tym razem się nagrał.

— Mówi Rom. Skontaktuj się ze mną jak najszybciej. To ważne.
— Rozłączył się. Przez moment jechał pustą drogą. — Steve'a nie ma w domu — rzucił do Y.

— Cóż w tym niezwykłego?

— I pager ma wyłączony. A to jest dość niezwykłe.

— Może nie chce, żeby mu przeszkadzano.

Sierżant potrząsnęła głową.

— Coś mi tu śmierdzi. — Zamyślił się. — Poza tym, nie mogę ot tak trzymać Alison u siebie bez wiedzy jej męża. Mam dość jego podejrzeń i ataków zazdrości.

— Poręczę za ciebie — odparł stary Indianin.

— Nie obraż się, wodzu, ale twoje poręczenie niewiele jest warte. Muszę odnaleźć Steve'a.

— Co powiem Alison, gdy się obudzi? Że ją okłamałeś?

Poe zabębnił w kierownicę.

— No dobra, weź samochód i odszukaj Steve'a.

— Co mam mu powiedzieć, gdy go znajdę?

Honda skręciła cicho.

„Co, do cholery, powinien mu powiedzieć?”

— Hmm... Powiedz, że spotkałem Alison na Pasię i była

roztrzęsiona. Ponieważ nie mogłem go złapać, zabrałem ją do siebie do domu, żeby jej przypilnować. Niech Steve się ze mną jak najszybciej skontaktuje. Milczeli.

— No chyba że chcesz mu powiedzieć prawdę.

— Ja? Żartujesz, oczywiście?

— Zatem przekaż mu moje słowa.

— Okej, Romulusie. Nie będę się z tobą spierał.

Następne kilka minut sierżant prowadził w ciszy. Gnębiła go pewna myśl.

— Jak się właściwie na nas natknąłeś? Byłeś akurat w pobliżu?

Y zachował kamienne oblicze.

— Dokładnie tak.

— Niesamowity zbieg okoliczności.

— Ty też się tam znalazłeś właśnie wtedy, gdy ją zaatakowano.

Policjant uniósł brwi.

— Rzeczywiście.

Coś mu jednak nie pasowało. Za pierwszym razem, gdy gonił i zgubił Melonika, także natknął się na Indianina... Sięgnął do kurtki i wyłowił but do biegania. Mały rozmiar. Y też miał małą stopę... Co mu się, do diabła, roilo w głowie?! Znał starego wodza od dziecka. Był chyba przemęczony. I zdenerwowany. A jednak...

Wziął telefon i wystukał numer Patricii. Gdy się odezwała, rzucił:

— To ja.

— O co chodzi, sierżancie?

Mówiła sennym głosem. Poe zastanowił się, czy jest sama.

— Nie wiesz przypadkiem, gdzie może być Steve?

— Nie mam najmniejszego pojęcia. — Chwila ciszy. — A czemu pan pyta? — Ziewnęła. — Stało się coś?

— Jego żonę ktoś napadł i poturbował...

— Co takiego?! Ktoś napadł Alison?

— Tak, Alison. Przypadkowo byłem w pobliżu. Chyba jej nie

zgwałcił, chociaż nie mam pewności... Mówiła, że ją pchnął i uderzył. Potem coś go przestraszyło. Jest podrapana, ale nie chce jechać do szpitala ani wracać do domu. Nie mogę znaleźć Jensena, toteż zabieram ją do siebie.

— Zaraz go poszukam.

— Mam dla ciebie inną robotę. Pojedziesz na miejsce przestępstwa i zobaczysz, czy gnojek zostawił jakieś ślady. — Podał jej dokładną lokalizację. — Sprawdź całą aleję w górę i w dół. I weź ze sobą kogoś do pomocy. Jest ciemno, nie chcę, żebyś się tam kręciła sama.

— Zadzwońię do Marine Martina.

Poe nie zareagował.

— Wiesz? Znalazłem jego but do biegania — powiedział zamiast tego.

— But do biegania? To znaczy sportowy?

— Otóż to. — Opisał go i podał rozmiar. — Może znajdziesz drugi do pary. Poza tym... — Skrzywił się. — Poszukaj melonika.

— Melonika?! — Milczała chwilę. — Takiego, jak opisał Nate?

— Możliwe. — Przekazał jej szczegóły. — Mało prawdopodobne, że właśnie facet w meloniku zaatakował Alison. Nie zniknął mi z oczu na więcej niż pięć minut... Chociaż wtedy właśnie usłyszałem krzyki. Jeśli Kapelusznik na nią napadł, musiałyby działać bardzo szybko.

— Pięć minut wystarczy. Sądzę, że to mógł być on.

— To prawda, ale wolałbym lepszego kandydata. Tak czy owak, pojedź tam i powiadom mnie, co znalazłaś.

— Wychodzę — odparła policjantka.

— Daj mi znać na pager, gdy dotrzesz. I bądźmy w kontakcie telefonicznym.

— Dobrze. — Przerwała połączenie.

Poe zerknął w tył, na Alison. Oddychała głęboko i niespiesznie.

— Wiesz, właściwie szukałem cię przez całą noc — oświadczył wodzowi.

- Z jakiegoż to powodu? — spytał Y.
 - Co wiesz o śmierci Lindy Hennick?
- Twarz Indianina pozostała nieruchoma.
- Ludzie w snach słyszą różne rzeczy.
 - To naprawdę ważne.
 - Nie teraz.

Poe zabębnił o kierownicę. Ponieważ zostało jeszcze kilka minut jazdy, ponownie wykręcił domowy numer Jensena. Gdy zgrzytnęła sekretarka, rozłączył się. Mechanicznie wykręcił numer Rukmani, chcąc po prostu usłyszeć jej głos. Ku swemu zaskoczeniu, także włączył się automat.

- Ruki, to ja. Możesz podnieść słuchawkę? Ruki?

Odpowiedziało mu milczenie.

— Ruki, jesteś tam? Hmm... Chyba nie. Zadzwońię do twojego biura.

Zadzwoził do biura. Po trzech dzwonekch usłyszał pocztę głosową. Rukmani nie miała zbyt wiele przyjaciółek, więc najprawdopodobniej wyszła gdzieś z mężczyzną.

Mała zemsta za jego fatalne spotkanie z Honey dwa tygodnie temu? Oboje byli równie wierni jak suki w rui. Po co w ogóle zaprzętać sobie głowę małżeństwem? A przecież poprosiła go, aby uklęknął i oświadczył się jej. Po cholere?

— Skoro biorę twój samochód, może poszukam również Rukmani?

- Niekoniecznie — sierżant odpowiedział zbyt raptownie.

- Jeśli ją spotkam, powiem, żeby do ciebie zadzwoniła.

— Nie — wyrzucił z siebie policjant. — Patricia ma się ze mną skontaktować, gdy dotrze na miejsce przestępstwa. Nie chcę blokować linii z powodów osobistych. Ale dzięki za chęci.

- Nie ma sprawy.

Poe przybrał obojętną minę. Wiedział, że Y potrafi go przejrzeć. Przyspieszył, mimo że jechał błotnistą drogą, która prowadziła ku zachodniemu pogórzcu. W pięć minut później zaparkował auto przed swoją glinianką.

- Możesz z nią poczekać, aż rozłożę tapczan?

Starzec pokiwał głową.

Sierżant wrócił po kilku minutach. Trochę się namęczyli, ale w końcu we dwóch wnieśli Alison do środka, nie budząc jej. Policjant odprowadził wodza do samochodu.

— Chcesz teraz porozmawiać?

— O czym?

— O Lindzie Hennick.

— To długa historia.

— Spiesz ci się gdzieś?

— Sądziłem, że mam odnaleźć Steve'a. Zdecyduj się!

Poe potarł twarz.

— Tak, tak, jedź poszukać Steve'a. — Przypomniał sobie dwie dwudziestki w kieszeni Y. — Na pewno go poszukasz?!

— Tak.

— Nic cię nie rozproszy?

— Powiedziałem, że go poszukam. — Oblicze Indianina stwardniało. — Mam to wypisać własną krwią, bracie?

Sierżant rzucił mu kluczyki i obserwował wodza, który wślizgnął się na siedzenie kierowcy i odjechał. Gdy przeszedł przez próg swoich drzwi, przypomniał sobie, że telefon komórkowy został w samochodzie.

Niech to szlag!

Przecież telefon był jedynym jego łącznikiem ze światem.

Usadowił się przed domem — wygodnie z butelką szkockiej i paczką papierosów. Po paru łykach rozluźnił się. Przez dziesięć minut patrzył na rozgwieżdżone niebo, wdychał świeże powietrze i pił wspaniałą wodę ognistą. Kiedy mama się wprowadziła, musiał ukrywać dalwhinne. Prowadził wtedy przyzwoite życie.

Nagle brzęk pagera rozproszył czarowną chwilę. Patricia zostawiła numer, ale Poe nie miał telefonu, nie mógł więc oddzwonić. Y powinien wrócić wkrótce, o ile nie dał się wciągnąć jaśnie panu wideopokerowi i jego córce, pannie wódeczce.

Po raz pierwszy w swojej karierze sierżant wyłączył pager.

Siedział w podkoszulku, rozpiętej koszuli i w jasnych cienkich spodniach, palce nóg zagłębił w ciepłym piasku.

Rozmyślał w samotności o Alison... Przypadkowo zabrnęła w tę samą alejkę, co on. Na dodatek w tym samym czasie, gdy gonił faceta w meloniku. W tej całej sprawie istniał jakiś wspólny mianownik. Łącznik, którego korzenie sięgały głęboko w przeszłość. Lindę Henrick łączyło coś z zabójcą nazywanym Koszmarem, jej córkę zaś, Alison Jensen — z panem Kapelusznikiem, który być może zamordował Brittany Newel i Sarę Yarlborough...

— Rom?

Jej głos przestraszył go. Poe zerwał się na równe nogi, wytarł ręce w spodnie i znowu usiadł.

— Tak, jestem tutaj.

Alison wyszła. Wyglądała dość ponętnie. Włożyła jego szorty i luźną koszulkę bez rękawków. Z otwartej pachy wychylał się fragment jędrnej piersi. Jej rozwichrzone włosy poruszały się w ciepłym wietrze, stopy miała bose. W sekundę później usiadła obok niego i otoczyła go ramieniem.

— Piękna noc.

Skinął głową.

Zamrugła, by pozbyć się z oczu łez.

— Trudno sobie wyobrazić, że taka cudowna noc na łonie natury może być równocześnie tak... nieprzyzwoita.

Objął ją i przyciągnął blisko.

— Przepraszam.

Położyła mu głowę na ramieniu. Czuł wilgoć jej skóry.

— Chcesz opowiedzieć mi o napaści? Pomoże ci to?

— Później. Po co psuć ten moment? Ty... ja... Jest niemal identycznie jak niegdyś. — Wtulili się w niego. — Jakże niewinnie... Dziewiczo.

Nie odezwał się. Obejmując ją, na pewno nie czuł się niewinnie. Gładził ją po głowie, a potem po plecach; jego palce śledziły wzniesienia i pochyłości kręgosłupa. Krągłe ramiona, delikatne łopatki.

W głowie mu tętniło, kiedy zastanawiał się, jak wybrnąć z sytuacji. Wiedział, że musi to przerwać. Alison podniosła ku niemu usta.

- Pocałuj mnie, Romulusie.
- Kochanie, to nie jest dobry...
- Jeden pocałunek...
- Jesteś mężatką...
- W imię starych dobrych czasów.

Zamknął oczy, przycisnął swoje wargi do jej. Jej usta rozchyliły się i Poe wpadł w słodką otchłań. Ich soki mieszały się w niebiańskim tańcu, jej język igrał z jego językiem.

„To nie może dłużej trwać”, pomyślał rozpaczliwie.

Jej wargi pieściły jego, ręce zatonęły pod jego podkoszulkiem. Gładziła jego pierś, prześlizgiwała się po jego sutkach. Potem palce zaczęły się zsuwać. Na moment zatrzymały się przy jego pasku, lecz szybko opuściły się niżej, zanurzając się między jego nogi.

Natychmiast się od niej odsunął. Miał erekcję, sapał i ociekał potem.

- Nie możemy tego zrobić.

Wstała.

- Ależ możemy...
 - Nie, nie możemy. — Zrobił krok w tył. — Jesteś mężatką. ..
 - Nie kocham Steve'a — niemal wypluła imię męża. — Nigdy go nie kochałam. Zawsze tylko ciebie...
 - Skończ, proszę...
 - Ale kiedy to prawda, Romulusie. Wiesz, że cię kocham.
- „Kompletna bzdura”, pomyślał, jednak serce aż w nim podskoczyło.

Przybliżyła się do niego.

- Wiem, że i ty mnie kochasz.

Zrobił pół kroku w tył, wciąż ciężko oddychał. W okamgnieniu sytuacja się skryzalizowała. Wszystko było jasne. Gdyby uległ Alison,

nie miałby odwrotu. Alison stanowiła niebezpieczny klin dla jego związku z Rukmani. Czy naprawdę miał ochotę spieszyć tamtą miłość? Starł kropelki z czoła.

— Tak, kocham cię, Alison, ale nie mogę — jęknął. — Jestem zakochany w kimś innym.

Jej rysy stały się stanowcze, oczy — zimne i twarde. Kobieta rzuciła się na niego z prędkością błyskawicy i zaczęła rozdzierać jego podkoszulek długimi, spiczastymi paznokciami. Następnie zobaczył, jak podnosiła rękę. Usiłował uchylić głowę w tył. Niestety, Alison zdołała dosięgnąć boku jego policzka.

Oczekiwał na żądający ból przeciętego policzka, lecz zamiast tego ostre niczym brzytwa paznokcie wbiły mu się w skórę skroni i w mgnieniu oka przesunęły w dół, ku gardłu. Jego szyja natychmiast zapłonęła. Brutalnie odepchnął kobietę i złapał się za paskudną ranę, z której ciekła krew. Krzyknął, gdy poczuł wartką strużkę krwi spływającą po grdyce. Zacisnął kurczowo palce na jabłku Adama, szarpnięciem zdjął podkoszulek i owinął sobie szyję.

— Oszalałaś, kurwa?! — wrzasnął na Alison.

Dostrzegł w jej oczach prawdziwe przerażenie. Odsunęła się i przykryła dłońmi usta. Z oczu popłynęły jej łzy. W chwilę później odwróciła się i rzuciła w otwartą przestrzeń, pod osłonę gór. Choć była boso, pędziła jak na skrzydłach.

Minęło kilka sekund, zanim Poe zdołał zareagować, uspokoić roztrzęsione dłonie i skłonić do ruchu dygoczące stopy. Biegając za kobietą, przeklinał ją.

— Alison! — wrzasnął za stale przyspieszającym cieniem.

— Alison! Zatrzymaj się!

W parę minut zniknęła za monolitem granitowej skały.

— Alison! — wołał rozpaczliwie. Prowizoryczny opatrunek nasiąkł już krwią razem z połą koszuli. Poe przełożył podkoszulek na drugą stronę i dodatkowo docisnął suchy fragment koszuli. Twarz mu pulsowała, ból palił całe gardło, ledwie mógł mówić, a cóż dopiero krzyżeć. — Alison — jęknął — wyjdź, na Boga! Nie gniewam się!

Tylko wyjdź i wróćmy do domu!

Żadnej reakcji.

— Alison! Proszę! Potrzebuję pomocy i to pilnie! Ale nie ruszę się stąd, póki nie będę miał pewności, że jesteś bezpieczna. Proszę...

Jego prośbę przerwało krótkie, gwałtowne wycie. W ciemnościach mignęła para czerwonych oczu i błysk obnażonych ostrych zębów.

Kojot! Na pewno wyczuł krew. Sierżant ruszył powoli naprzód. Był przyzwyczajony do kościstych, wyliniałych zwierząt w typie dzikich psów, natomiast sierść tego była... gęsta i lśniąca. Można by z niego uszyć niezłe futro... Przypominał krótkowłosego wilka i nie był podobny do żadnego z licznych kojotów, które Poe widział dotąd na pustyni.

Zgrabne łapy o długich, zaostrzonych pazurach; ich koniuszki polyskiwały w poświacie księżycowej.

Bestia bez strachu kroczyła naprzód; jej czerwone oczy skupiły się na policjancie, wpatrując się w niego z niemal ludzkim wyrazem.

Dostrzegł w nich głębokie pragnienie.

Zrobił krok w tył. Zwierzę zbliżało się.

„Co robić, co robić?”, zastanawiał się gorączkowo.

Cofnął się aż do skały. Kojot kroczył z gracją ku niemu. Obnażał zęby... ostre i mordercze.

Poe zerknął na boki i zauważył dwa wielkie kamienie. Podniósł lżejszy i cisnął nim w kojota, muskając jego łapę. Spodziewał się ataku, lecz bestia tylko zapiszczała, spojrzała w dół, po czym podniosła wzrok przepelniony melancholią!

Sierżant przez chwilę trwał w oszołomieniu, lecz prędko się otrząsnął i, rzucił większy kamień. Kamień roztrzaskał się na kawałki o głaz leżący w pobliżu smętnego kojota, który pospiesznie się oddalił.

Zniknął wśród gór.

Policjant ciągle opierał się o granitową ścianę. Był osłabiony,

dyszał, pocił się i krwawił. Czuł się jak zranione zwierzę. Przelykanie stawało się coraz trudniejsze. Poe wyprostował się, spojrzął poza górską ścianę, w ciemną jaskinię pełną skał i kamieni. Usłyszał cichy syk, potem skamlenie... Jak gdyby kojot płakał...

— Alison, słyszę twój oddech! Wyjdź natychmiast! — Zrobił parę kroków do przodu. — Alison, przestań się ze mną zabawiać. Potrzebuję twojej pomocy, kochanie. Proszę, wyjdź wreszcie.

Znowu syk i jeszcze jeden.

— Wracam, jeśli zaraz nie wyjdiesz. — Wszedł głębiej w ciemność. — Alison, kompletnie nic nie widzę. Naprawdę nie czuję się zbyt dobrze. Proszę cię, proszę. Nie jestem...

Zrobił gwałtowny wydech.

— Proszę, wyjdź!

Syk.

Zaczął się wycofywać.

— Alison, idę sobie. Jeśli nie wyjdiesz, nie zamierzam cię ratować.

Syk, syk, syk.

Ciągle się cofał, tyłem kierując się ku wyjściu.

— Posłuchaj mnie, mała. To twoja ostatnia szansa!

Nagle słuch mu się wyostrzył, a włoski na karku stanęły dęba. Sierżant zmartwiał. Syczący odgłos zmienił się w jawne grzechotanie. Nie sposób było tego dźwięku pomylić z żadnym innym.

Zrobiło się ciepło i grzechotniki obudziły się ze snu zimowego. Zapewne Poe zaniepokoił śpiącą samicę, którą zdenerwowało jego wtargnięcie.

Przed nim rozciągała się ciemność, za plecami ucieczkę blokował mu wąż. Odnosił wrażenie, że ma do wykonania jedną z prac Herkulesa. Stał niczym sparaliżowany i starał się myśleć bez paniki. Wiedział, że przerażenie zabija szybciej niż wszystkie znane trucizny.

Słuchał złowrogich odgłosów — wąż syczał, grzechotał i sunął po ziemi. Na nieszczęście znajdował się za plecami sierżanta, więc ten go nie widział. I do tego natężenie dźwięków rosło.

Niedobrze!

Poe szaleńczo przeszukiwał wzrokiem mrok; szukał jakiejś broni – pałki lub odłamka skały. Bezskutecznie. Zresztą, wokół niego było ciemno jak w grobie.

Wiedział, że gad go ukąsi, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Chodziło jedynie o to, by sprowokować węża do ukąszenia w najmniej „niebezpieczną” część ciała...

Grzechot stał się głośniejszy. Policjant był boso. Zrozumiał, że jeśli nie poruszy się wystarczająco szybko, gad podejmie za niego decyzję i dopadnie jego kostki. A ukąszenie w kostkę może się okazać paskudne w skutkach. I pozbawi go możliwości pobiegnięcia do domu. Najlepszą ze złych opcji wydało się Poemu poświęcenie lewego przedramienia. Nie potrzebował ręki, by iść.

Jednym płynnym ruchem odwrócił się i spróbował odepchnąć grzechotnika lewą dłonią. Wąż od razu zatopił zęby jadowe w jego nadgarstku. Sierżant krzyknął, gdy ognisty płyn popędził przez jego żyły. Z całej siły ścisnął głowę gada, aż ten otworzył szczęki. Wtedy szarpnął ręką w górę i odrzucił grzechotnika na bok.

Pognał z powrotem ku domowi, który był jedynie małym światełkiem w oddali. Serce waliło mu jak szalone, lecz stopy nie przestawały się poruszać. Kiwał głową na boki, ilekroć jego oddech stawał się mniej pewny i płytszy. Biegł równie chwiejnie jak nałogowy alkoholik.

„Nie bzikuj, nie bzikuj. Masz czas... chociaż nie tyle, ile byś chciał”.

Gdy wpadł do domu, przetrząsnął kuchenną szafkę. Miał nadzieję znaleźć starą butelkę antytoksyny. Nie znalazł jej i wpadł w furję. Grzebał na półkach, a butelki i półmiski spadały na ladę i na podłogę. Szybko zacisnął nad nadgarstkiem lekką opaskę uciskową. Mimo to ręka puchła w tempie, które przeczyło teoriom Einsteina. Na otwartej ranie od ukąszenia Poe położył sobie kawałek lodu.

Nie miał telefonu, faksu ani rakiet świetlnych. Nie miał samochodu i znajdował się kilka kilometrów od cywilizacji. Lewe ramię

dwukrotnie już zwiększyło swój normalny rozmiar, szyja bolała sierżanta i pulsowała od zadrapania. Czuł się jak po spotkaniu z Wielkim Inkwizytorem. Apatia była najgorszym wyjściem. Na szczęście, bierne oczekiwanie na śmierć nie leżało w jego naturze.

Zrzucił mokrą koszulę, która spowijała mu szyję i włożył czystą. Potem wyjął z szafy podkoszulek i ponownie delikatnie owinął ranną szyję. Wsunął na nogi nike'i i zaaplikował sobie środki przeciwbólowe.

Miał mniej więcej godzinę, zanim jad, który na razie powodował jedynie ból, zacznie zagrażać jego życiu.

Potykając się, zaczął iść ku miastu. Miał zawroty głowy i mdłości, ale starał się trzymać prosto i zmuszał ścierpnięte stopy do kolejnych kroków. Usiłował też mówić do siebie w myślach, by jego mózg nie popadł w odrętwienie. Musiał zachować przytomność.

„Oddychaj, Rom. Po prostu ciągle oddychaj”.

Po piętnastu minutach wędrówki dostrzegł zbawienny błysk reflektorów samochodu. Stał na drodze i zamachał na pojazd. Była to jego własna honda z Y za kierownicą. Starzec pobladł, gdy zobaczył stan przyjaciela. Zerknął na zabandażowaną szyję, potem na gigantyczny nadgarstek i natychmiast odgadł, co się zdarzyło. Z prędkością, która zadawała kłam jego wiekowi, chwycił Poego w ramiona i usadowił na tylnym siedzeniu, po czym nacisnął gaz i z wzięciem opon ruszył w stronę Las Vegas.

Sierżantowi wydawało się, że jego ciało składa się z płynnego ołowiu.

— Alison... została tam.

— Jest ranna?

— Nie wiem. — Przełknął z trudem ślinę. — Zdenerwowała się na mnie i uciekła. Pobiegłem za nią i wtedy... — Zamilkł i chwyciły go drgawki.

— Znajdę ją. Ale teraz najważniejszy jesteś ty. — Y pędził ponad sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. — Czy w szyję też zostałeś ukąszony?

- Nie... tylko w nadgarstek.
- Jak dawno temu?
- Mniej więcej przed pół godziną — wymamrotał policjant.
- Mamy zatem dużo czasu, synu. Trzymaj się.
- Jasne, nie takie rzeczy w życiu... — wycharczał Poe. I zemdlął.

Rozdział dwudziesty szósty

Mdłości napływały falami. Gdy przytomniał, ciężko dyszał i wymiotował. Później zalewał się potem, jego ciałem zaś wstrząsały dreszcze, które strasznie wyczerpywały jego organizm i powodowały utratę kontaktu z otoczeniem. Chwilami zasypiał, przeważnie jednak tylko niespokojnie drzemał. W malignie słyszał różne rzeczy; po głowie tłukły mu się bezładne głosy — zniekształcone, niemożliwe do rozszyfrowania słowa. W końcu rozszalałe płomienie w jego ciele niemal całkowicie zgasły; już nie parzyły, a tylko lekko łaskotały jego trzewia. Wtedy Poe zaczął odczuwać inne niedogodności: ucisk igieł kroplówki w zgięciach ramion i bandażę pokrywającą twarz.

Gorączkował. Budził się i zapadał w półsen, który wydawał się nie mieć końca. I pewnego dnia niespodziewanie zdał sobie sprawę, że zupełnie się rozbudził. Chociaż piekło minęło, wciąż bolało go całe ciało, wnętrzości nieustannie łapały kurcze, mięśnie wydawały się chore i obumarłe, zaś lewe ramię rwało niemiłosiernie, gdy je podnosił. Odważył się otworzyć jedno oko.

Przy jego łóżku siedziała Rukmani i oglądała jakieś wykresy. Wyglądała spokojnie... i tajemniczo.

Otworzył drugie oko. Chciał usiąść, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Ze strachu aż się oblał zimnym potem. Czyżby dotknął go paraliż?

„Spokojnie, stary — nakazał sobie w myślach. — Rusz palcami”.

Udało się Skoro zarówno palce u rąk, jak i nóg się poruszały także kończyny powinny być sprawne. Po prostu zastrajkowały.

Popatrzył na lekarkę. Wspomnienia wypełniły jego zmęczony umysł. Od jak dawna przyjaciółka siedziała przy jego łóżku? Oceniał, że chyba czuwała nad nim dość długo. Pamiętał, że ktoś przytrzymał nerkę, gdy wymiotował. Usiłował się odezwać. Z jego ust wydobył się jedynie niezrozumiały bełkot, który jednak przyciągnął uwagę patolog. Rukmani odwróciła się i spojrzała szeroko otwartymi oczami. Dotknęła palcami twarzy sierżanta, pogładziła czoło, odgarnęła mu włosy z twarzy...

— Witaj, kochany.

Rozróżnił słowa, widział też prawie klarownie jej rysy. Odchrząknął.

— Gdzie jestem?

— W University Medical Center.

Och, zrozumiała jego pytanie. Doskonale!

— Jaki dziś dzień?

— Wtorek po południu.

Poe obliczył w pamięci. Wąż ukąsił go nad ranem w sobotę. Stracił zatem ponad trzy dni. Przypomniały mu się dwie osoby — Alison i jego matka, dokładnie w tej kolejności. Niech to, ależ kiepski był z niego syn... Rukmani ciągle głaskała go po twarzy. Ściśle rzecz biorąc, wciąż po tym samym policzku. Drugi... Policjant odnosił wrażenie, że drugi został rozbity tłuczkiem do mięsa.

— Moja matka? — wyrwało mu się.

— Ma się świetnie — odparła Rukmani. — Umieściłam ją wraz z pielęgniarką w moim mieszkaniu. Zostanie u mnie, póki nie wydobrzejesz. O nic się nie martw.

Nadal go gładziła, jakby był kotem lub... talizmanem. Pewnie jedną nogą był już w grobie i cudem się wykpił śmierci.

— A Alison?

Lekarka na sekundę przestała go głaskać, po czym kontynuowała pieśczętę.

— A o co konkretnie pytasz?'

— Nic się jej nie stało?

— O ile wiem, nie. — Zastanowiła się. — Niestety, nie przyszła cię odwiedzić. Za to Steve przyszedł. Prosił, bym ci przekazała najlepsze życzenia szybkiego powrotu do zdrowia. Podobnie inni... Patricia, Weinberg, Y, twój brat... Wszyscy tu byli.

„Ależ jestem wzruszony”, pomyślał zgryźliwie i od razu się zreflektował. Dlaczego przyjął ich troskliwość tak cynicznie? Prawdopodobnie przez to, że czuł się jak spłaszczony przez walec parowy...

Z wysiłkiem zdołał podnieść storturowane ciało do pozycji półleżącej. Wraz z każdym obrotem głowy i zmianą pola widzenia gdzieś w głębi jego mózgu przeraźliwie głośno bił dzwon. Tym niemniej Poe rozejrzał się. Przez pomarańczową półprzezroczystą draperie do pomieszczenia docierało przytłumione światło słoneczne. Łóżko sierżanta otaczała zasłona, do przedramienia miał podłączoną kroplówkę, a wystająca z brzucha rurka odprowadzała mocz do woreczka. Cewnik!

Poczuł wypieki na policzkach; najwyraźniej się zarumienił. Nie tylko go uziemiono, ale i poniżono.

„Myśl pozytywnie, Rom — polecił sobie. — Wszystko się ułoży”.

Pod sufitem dostrzegł telewizor. Poza łóżkiem, w pokoju znajdował się jeszcze nocny stoliczek, na nim telefon. Poe miał na nogach koc, lewy nadgarstek i rękę zaś — obandażowane, choć palce wystawały. Mógł nimi poruszać w lewo i w prawo, ale odczuwał wtedy pieczenie. Prawa strona jego twarzy była zeszywniała. Dotknął szyi. Jego gardło owinięto gazą. Sprawdzał dalej. Szpitalna koszula, pod spodem nic. Zastanowił się, kto go rozebrał.

Odwracał powoli głowę, aż tuż przed nim pojawił się telefon. Wyciągnął prawą rękę i podniósł słuchawkę. Wcisnął dziesięć, połączenia jednak nie otrzymał.

— Jakie jest wyjście na miasto?

— Romulusie... co robisz?

- Chcę zadzwonić...
- Oddaj telefon...
- Przestań na mnie krzyczeć. Proszę cię tylko o odpowiedź na jedno pytanie.

Potoczyła wzrokiem. Dostrzegł w nich raczej rezygnację niż gniew.

- Wciśnij ósemkę.
- Dzięki. — Powoli, spokojnie zdołał wystukać numer pagera Steve'a. Tym razem brzęczyk się odezwał. — Jaki jest tu numer?
- Tutaj? Pytasz o pokój czy o szpital?
- O mój pokój.
- Cztery, siedem, dwa, osiem.
- A prefiks?
- Osiem, trzy, trzy. Wcisnął kolejne cyfry.
- Osiem... trzy... trzy... siedem...
- Cztery, siedem. Rozłączył się i zaczął od nowa.
- Osiem, trzy, trzy...
- Cztery, siedem, dwa, osiem.
- Cztery... siedem... — Podniósł wzrok i czekał.
- Dwa... osiem — dopowiedziała Rukmani.
- Mam.

Skończył numer, po czym wcisnął znak funta. Pager Jensena zaczął dzwonić. Zatem sukces, aczkolwiek niewielki. Dobrze i to. Wręczył słuchawkę lekarce, która odłożyła ją na widelki.

- Masz lusterko? Chcę zobaczyć, jak wyglądam.
- Mam tylko małą puderniczkę.
- Jest aż tak źle?
- Rana jest... dość rozległa. Sięga ci od skroni w dół... do samego gardła. Na szczęście szrama znajduje się na linii twojej brody. Y naprawdę znalazł się na rzeczy. Spytał natychmiast o chirurga plastycznego. Robota wyglądała na czystą i bardzo dokładną. Jestem pewna, że

kiedy to się zagoi, będziesz wyglądał bardzo... męsko.

Zadzwoił telefon. Rukmani podniosła słuchawkę i podała ją sierżantowi.

— Poe — wykrakał.

Jensen mówił z fałszywą wesołością:

— Hej, kolego. Wspaniale znów słyszeć twój głos.

— Co z Alison?

— Mógłbyś chwilę poczekać? — W pół minuty później Steve wrócił na linię. Udawana radość zniknęła. — Nie mogę zbyt długo rozmawiać. Siedzę w pokoiku sprzątaczek.

— Aaa, jesteś na posterunku.

— Tak. Nie chcę, żeby ktokolwiek usłyszał...

— Co się stało?

— Alison przeszła załamanie, Rom... — Jego głęboki głos podniósł się niemal do pisku. — Zamknąłem ją w zakładzie na obserwację... Siedemdziesiąt dwie godziny... Z polecenia lekarza. Stale powtarzała, że się zabije. A biorąc pod uwagę historię jej rodziny...

— Postąpiłeś właściwie.

— Dręczą ją wyrzuty sumienia.

Sierżant poczuł ulgę. Przynajmniej była bezpieczna.

— Czy myśli logicznie?

— Nie mam pojęcia. Nie odzywa się podczas moich odwiedzin. Jej psychiatra twierdzi, że popadła w głęboką depresję. Faszerają ją pigułkami, ale jeszcze nie wiadomo, czy leki pomagają. Za wcześniej. Lekarze nie wypuszczą jej przed piątkiem. Zresztą, zdaniem psychiatry piątek też jest wątpliwy... Poe, nie wiem, co robić. Mam w domu dwóch synów, którzy tęsknią za matką. Ja również za nią tęsknię. Potrzebuję jej w domu, lecz zdrowej... Chyba sam zacznym wariować.

— Pamiętaj o waszych dzieciach, Steve. Nie możesz się załamać.

— Wiem, wiem. Staram się.

- Czy pomoże, jeśli powiem, że się na nią nie gniewam?
- Poproszę jej psychiatrę, żeby przekazał jej tę wiadomość.
- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym sam do niej zadzwonić.

Jensen milczał przez chwilę.

- Najpierw musisz porozmawiać z jej lekarzem, który spyta o ciebie Alison. Poczekaj, dam ci numer.

Poe odwrócił się do Rukmani:

- Potrzebuję ołówek i kawałek papieru.

Patolog zaczęła grzebać w torebce.

- Zrób nam obojgu przysługę i podyktuj mi go.

Sierżant odnosił wrażenie, że jego mózg ktoś stale rozbija tasakiem. Chociaż bardzo chciał działać, jego ciało odmawiało posłuszeństwa. Wiedział, że przyjaciółka ma rację — sam pewnie źle zapisałby numer. Powtarzał więc cyfry, które dyktował mu Jensen.

- Miło mi było z tobą pogawędzić, stary.

- A gadałeś z Patricią?

— Tak. Opowiedziała mi o wszystkim ze szczegółami. Ścigałeś faceta w kapeluszu, zgubiłeś go...

- Tylko na minutę...

— Wtedy usłyszałeś krzyk Alison... Byłeś świadkiem jej... ataku. Tłusta Patty i Marine Martin rozejrzeli się po miejscu przestępstwa w piątkową noc, potem jeszcze raz w sobotni poranek. Poszedłbym sam, ale byłem zajęty Alison...

- Znaleźli coś?

— Pozbawione znaczenia drobiazgi. Nic istotnego. Zajmiesz się tą sprawą później, Poe. Najpierw wyzdrowiej.

— Sprawdź swój pager, Jensen. W piątkową noc nie mogłem się z tobą połączyć, bo nie działał.

— Tak, domyśliłem się, gdy odsłuchałem twoją wiadomość na sekretarce. Hmm... Zniknęła bateria w pagerze.

- Jak to zniknęła?

— Albo go upuściłem i bateria po prostu wypadła... albo ktoś ją wyjął.

— Niby kto?

Długa pauza.

— Czasami Gretchen denerwuje się, że stale ktoś nam przerywa. Nie twierdzą, że ona wyjęła baterię... Tak czy siak, to się już nigdy nie powtórzy...

— Porozmawiamy później — przerwał mu Poe.

— Nie wiem, czy ten fakt ma dla ciebie znaczenie, ale odbyłem z Gretchen poważną rozmowę. Wiem, że dziewczyna nie jest aniołem. Jednak gdybyś był na moim miejscu, też...

— Steve, obecnie ledwie mogę się skupić na tym, co mówisz. Zapomnijmy o osobistych niesnaskach i weźmy się za zabójstwa. Chcę tylko, żeby twój pager działał.

— Nie wkurzaj się, zrozumiałem.

— Cieszę się, że Alison wróciła do domu.

— Gliniarze znaleźli ją o czwartej trzydzięci nad ranem. Ukrywała się w pobliżu Red Rock. Strasznie krzyczała... i bełkotała. Ale wtedy, przynajmniej wtedy jeszcze... mówiła. — Po chwili ciszy dodał: — Muszę już kończyć.

— Na razie. — Sierżant oddał słuchawkę przyjaciółce i zapatrzył się na kropłówkę. — Co mi wstrzykują?

— Glukozę, antybiotyki... Chyba również demerol, gdy zachodzi potrzeba.

— Pewnie właśnie od niego mam mdłości. Źle znoszę środki przeciwbólowe.

Rukmani dotknęła jego czoła.

— Gorące? — spytał.

— Stan podgorączkowy. Jakieś 37.7 stopni Celsjusza. — Zawahała się. — Nie chcę wścibiać nosa w twoje życie, ale powiedz mi, proszę... Kto ci rozrył pazurami twarz?

Westchnął.

— Alison.

— Co takiego?!

— Och, nie była wtedy przy zdrowych zmysłach. — Poe z grubsza zreleakcjonował przyjaciółce wypadki. — To pewnie szok spowodowany napaścią. Gdy zdałem sobie sprawę, jak źle się czuła, było już za

późno. Jensen właśnie mi powiedział, że zamknął ją w zakładzie. Muszę z nią pomówić. Osobiście. Muszę stąd wyjść.

Lekarka odpowiedziała twardym tonem:

— Musisz zrobić tylko jedno — wyzdrowieć.

— Ona siedzi w wariatkowie, Rukmani.

— Sądząc po twojej ranie, powiedziałabym, że powinna tam pozostać do końca życia.

— Słuchaj, wiem, że jej nienawidzisz...

— Nie czuję do niej nienawiści, Rom. W gruncie rzeczy nawet jej nie znam. — Wzięła go za zdrową rękę. — Mój drogi, musisz odpocząć...

Wyszarpnął dłoń.

— Nie potrzebuję ani twoich rad, ani twojej pomocy, droga Florence Nightingale*. Byłaś mi potrzebna w piątkową noc. A wtedy nie było cię w domu!

* Florence Nightingale (1820-1910) — angielska pielęgniarka i działaczka społeczna, twórczyni nowoczesnego pielęgniarstwa.

Rukmani przelknęła ślinę.

— Przepraszam, że nie mogłeś mnie znaleźć, gdy mnie potrzebowałeś — szepnęła. — Jeśli zaś teraz mnie nie potrzebujesz, odejdę. — Wstała. — Zadzwoń, kiedy zmienisz zdanie.

— Zostań. — Poe odwrócił powoli głowę. Pragnął popatrzeć jej w oczy. Wysiłek okazał się jednak zbyt duży jak na jego siły i sierżant opadł z powrotem na poduszkę. — Wybacz mi. Jestem chory i rozdrażniony.

— Wybaczam. — Pocałowała go w czoło. — Cudownie słyszeć znowu twój głos, Romulusie. Kocham cię.

Policjant odpowiedział na jej wyznanie półuśmiechem. Uśmiech zabolał, gdyż wraz z mięśniami twarzy rozciągnęły się szwy. Podniósł rękę do szczupłej, kościstej twarzy lekarki. Przesunął palcami po gładkim policzku, potem odgarnął długie proste kosmyki z jej oczu. Rukmani rzadko nosiła rozpuszczone włosy. Zazwyczaj spletała je w zwarty warkocz. Jedynie kiedy się kochali, rozplatała go. A miała

wspaniałe, gęste włosy, które łagodziły jej porane zmarszczkami oblicze i zdecydowanie ją odmładzały — nie wyglądała wtedy na swoje czterdzieści trzy lata. Poe ujął dłoń ukochanej i podniósł do ust, czule muskając wargami jej smukłe brązowe palce.

— Chyba powinienem ci kupić pierścionek.

— Wybrałam już jeden. Kupię go, a ty później mi oddasz pieniądze. Wyjdzie na to samo.

— Ależ romantyczne — mruknął zrzędliwie.

Tym razem ona ucałowała jego dłoń.

— Jedne pary bogowie tworzą z serca, inne z narządów płciowych, a jeszcze inne z głowy.

— Wybieram drugą opcję.

— Niestety, należymy do trzeciej grupy, ponieważ pozwalamy, by praca zakłócała nam życie osobiste. Zabawne, lecz nie mam nic przeciwko temu. Podobnie jak ty.

Mówiła prawdę.

— Kiedy twoim zdaniem będę mógł opuścić szpital?

— Gdy gorączka ustąpi na dwadzieścia cztery godziny... gdy będziesz się pewnie trzymał na nogach i gdy... będziesz mógł sikać bez rurki.

— Więc kiedy mniej więcej?

— Za parę dni — odparła lekarka. — W tej chwili lekarze bardziej się martwią ranami od paznokci niż ukąszeniem. Twój organizm dość szybko usuwa toksynę, chociaż jestem przekonana, że nadal odczuwasz palący ból. W przyszłości uzupełnij apteczkę o kilka buteleczek z antytoksyną.

— Masz rację, muszę to zrobić. Sądysz, że mógłbym wyjść już jutro? Naprawdę muszę wrócić do pracy.

— Naprawdę potrzebujesz tylko jednego, Poe... odpoczynku. Przecież Brittany Newel i Sarah Yarlborough nie żyją. Co więcej, jutro nadal będą martwe. W żaden sposób nie przywrócisz im życia...

Sierżant z rezygnacją przewrócił oczami.

— Przyniesiesz mi lunch?

— Hmm... mogę co najwyżej zdobyć dla ciebie tosta i herbatę...
— Dieta? Tylko nie to! — poskarżył się. — Potrzebuję porządnego lunchu!

— Najpierw zobaczymy, jak sobie poradzisz z tostem i herbatą. — Zadzwoń na pielęgniarkę. — Dlaczego Alison cię zaatakowała?

— Ponieważ oświadczyłem, że się z nią nie prześpię. — Popatrzył na kobietę z ciekawością. — Wyjaśniłem jej, że jestem zakochany w tobie. No cóż... właściwie powiedziałem, że jestem zakochany w kimś innym. Ale na pewno wiedziała, kogo mam na myśli.

Rukmani uśmiechnęła się, a czubeczek jej nosa poczerwieniał.

— Tak jej powiedziałeś? Niech mnie! Porzucam wszelkie złośliwe myśli na twój temat.

Roześmiał się, po czym skrzywił z bólu.

Weszła młoda pielęgniarka. Z plakietki wynikało, że ma na imię Lilith. A może to było nazwisko? Lekarka zamówiła jedzenie. Kiedy znowu zostali sami, stwierdziła:

— Prawdopodobnie nie powinnam ci tego mówić, bo zwiększę tylko twój apetyt na pracę.

— Co takiego? — Podniósł się do pozycji siedzącej. — Powiedz mi natychmiast.

— Pamiętasz? Prosiłeś mnie, żebym sprawdziła typ trawy, którą znalazłam pod paznokciami Sary Yarlborough?

Poe ożywił się.

— Tak. Co to za trawa?

— Żdźbła należą do jakiegoś niezwyklego gatunku. Nasz botanik nie potrafił ich zidentyfikować na pierwszy rzut oka.

— Co to twoim zdaniem znaczy?

Westchnęła.

— Rozmawiałam z właścicielami lokalnych szkółek hodowlanych. Zwykła trawa na Południowym Zachodzie nazywa się maraton. Jest to handlowa nazwa kostrzewy — wysokiej trawy o szerokich, płaskich

żdźbłach. Wszystkie okoliczne szkółki posiadają tylko ten jeden gatunek... zarówno w postaci nasion, jak i darni. Czyli że trawa spod paznokci Sary pochodziła z nieznanego nam źródła.

— Czy ten twój botanik w ogóle potrafi ją sklasyfikować?

— Być może. — Rukmani zastanowiła się. — Tyle że dokładne badania niosą ze sobą pewne problemy. Po pierwsze, potrwają trochę. Po drugie, mamy mało próbek. Część muszą zachować jako dowody, więc do testów zostanie niewielka, może nawet niewystarczająca ilość.

Poe oparł głowę na podwyższonej poduszce.

— Cholera, to w tej chwili kluczowa sprawa. Powiedz mi jeszcze, że nie zdołamy zbadać tej trawy, a zaraz trafi mnie szlag.

— Och, nie, sprawa nie wygląda aż tak źle.

— Doprawdy? — Sierżant uśmiechnął się szyderczo. — Wiedziałem, że coś knujesz... Tak przy okazji, sądzisz, że mój lunch przybędzie w tym tysiącleciu?

Lekarka ponownie zadzwoniła po pielęgniarkę.

— Chyba nie byłam dość stanowcza.

Lilith ponownie weszła do pokoju.

— Tak?

— Gdzie lunch? — spytała Rukmani. — Przybędzie w tym stuleciu?

Pielęgniarka wydeła usta.

— Staramy się, jak możemy, pani doktor. — Wzburzona dziewczyna obróciła się i odeszła.

— Bardzo dobrze, Ruki — mruknął policjant. — Miejmy nadzieję, że Lilith nie ma dostępu do chlorku potasu. — Zamyślił się. — Trawę gdzieś się chyba hoduje, prawda? Tak jak inne rośliny...

— Cóż... Za stolicę trawy w Ameryce uważa się Eugene w stanie Oregon. Hrabstwo to posiada najwięcej zarodników zieleniny w Stanach.

— Weź próbkę i pojedź z nią do nich.

— I jeśli tam ustalą gatunek, to... Co wtedy, Rom?
— Cóż, wiemy, że nie chodzi o zwykłe zielsko trawnikowe, prawda?

— Czyli?

— Jeśli jest to rzadka odmiana trawy, może ma jakieś szczególne przeznaczenie. A gdy zdołamy ustalić, w jakim celu się ją uprawia, wtedy możemy tę trawę połączyć z jednym specyficznym miejscem.

— Takim na przykład jak biuro pewnego właściciela kasyna? — spytała wyzywająco Rukmani. — Poe, potrzebujesz nakazu, nie botanika.

— Zadowolilibym się nawet mglistą wskazówką związaną z polem golfowym. — Podniósł słuchawkę i wystukał numer posterunku.

Lilith wróciła z tacą w rękę.

— Lunch.

— Postaw, dziewczyno. — Odprawił ją ruchem ręki. — Witaj, Brendo, mówi sierżant Poe... Tak, dzięki, mieszam się nieźle. Poczuję się o wiele lepiej, kiedy znajdę się w pracy, nie zaś w łóżku... Czy Patricia jest może przypadkiem przy swoim biurku?... Jasne, poczekam.

Podniósł wzrok. Pielęgniarka ciągle stała nad nim z tacą.

— Och, wielkie dzięki — powiedział do niej. — Postaw to na łóżku, moja droga.

— Może otworzycie składany stolik? — warknęła Lilith.

— Składany stolik? A gdzie jest?

Rukmani wyjęła składany stolik.

— Szczęśliwa, Lily?

Dziewczyna postawiła tacę na stoliku.

— Słodka z pani osoba, doktor Kalii. Teraz rozumiem, dlaczego pracuje pani z trupami.

— Tak, oni nigdy nie odszczekują. — Lekarka uśmiechnęła się uprzejmie. — Dziękuję ci, Lilith. Naprawdę ci dziękuję.

Pielęgniarka potrząsnęła wściekle głową i wyszła.

— Poe! — krzyknęła w telefonie Patricia. — Poe? To pan? Wreszcie może pan mówić!

— Rzeczywiście, mogę.

— Och, cieszę się, że pana słyszę. Lepiej się pan miewa?

— W każdym razie będę żył. To najważniejsze.

— Słyszał pan o Alison?

— Tak. To straszne.

— Jensen wyszedł jakieś dziesięć minut temu na lunch. Biedny facet. Jak powiedziałby Weinberg, straszny z niego *szlemiel**. Wie pan, co to słowo znaczy?

* *Szlemiel* (jidysz) — wiecznie zakłopotany pechowiec.

— Jasne.

— Stara się, stara, ale pożytek z tego niewielki.

— Tak, szkoda — odparł szybko. — Wiesz? Mam dla ciebie zadanie.

— Pracuje pan nawet w szpitalnym łóżku — zauważyła Patricia.

— To prawdziwe poświęcenie.

— Słuchaj, obskocz kilka miejscowych pól golfowych, szczególnie te, które często odwiedza Parker Lewiston. Potrzebuję próbek trawy.

— Próbek trawy?

— Tak, trawy. — Poe roześmiał się. — Patty, i chodzi o trawę z trawnika. Jeśli pomyślałaś o trawce, to pamiętaj, że jest nadal nielegalna w całym naszym stanie. Poza tym, lekarze twierdzą, że jej palenie jednak szkodzi.

— Kiepska sprawa.

— Niestety. — Sierżant westchnął. — I takie moje szczęście. Leżę chory, mam mdłości i nawet nie mogę sobie popalić — dodał żartobliwie. — Musiałbym w tym celu opuścić nasz piękny stan... pojechać na wschód lub na południe. Zamiast tego tkwię tu w towarzystwie humorzastej pielęgniarki i dietetycznego lunchu.

Rozdział dwudziesty siódmy

Weinberg przesunął się na krzesło. Starał się ukryć niepokój. Szpitale denerwowały go. Zastanawiał się, ile czasu Poemu zajmie całkowite wyzdrowienie. Żeby przynajmniej zabrali mu ten woreczek. Cewnik drażnił porucznika najbardziej. Uważał, że miejsce rurek jest w laboratoriach, nie w ludzkich ciałach, szczególnie nie w częściach intymnych.

Znowu poruszył się niespokojnie.

— Interesująca teoria, Rom. Cieszę się też, że mimo osłabienia zaczynasz myśleć w... kategoriach zawodowych...

— Komplement na wyrost, szefie.

— Wcale nie. — Weinberg miał kłopoty z nawiązaniem kontaktu wzrokowego, ponieważ za każdym razem mimowolnie zerkał na woreczek. — Niezła hipoteza, lecz na nic nam się nie przyda.

— Właśnie, że się nam przyda — upierał się sierżant. — Możemy wejść do biura Parkera Lewistona, pobrać próbkę trawy i sprawdzić, czy pasuje do fragmentów znalezionych pod paznokciami Sary Yarlborough...

— Poe, nie masz nic, co by łączyło Lewistona z Sarą Yarlborough — przerwał mu porucznik. — Nie wiesz, czy ją znał. Romans miał nie z nią, lecz z Brittany Newel... o ile wierzyć jej urażonemu chłopakowi. Newel zaś nie miała trawy pod paznokciami.

— Szefie, trawa spod paznokci Yarlborough jest podobno absolutnie unikalna. Nikt w okolicy takiej nie sprzedaje. Jeśli będzie pasowała do darni w biurze Lewistona, zdobędziemy...

— Wyłącznie poszlakę. — Weinberg zmusił się, by spojrzeć na twarz swego sierżanta. — Powiedzmy, że biuro Lewistona jest jedynym miejscem w mieście... cholera, nawet jedynym miejscem w całym hrabstwie, w którym znajduje się ten gatunek trawy. Taka poszlaka to wciąż za mało. Jeśli próbki będą pasowały, możesz... powiedzmy... wysunąć hipotezę, że dziewczyna przebywała w biurze Parkera Lewistona. Nie udowodnimy wszak, że tam zginęła. A nawet

jeśli rzeczywiście tam ją zabito, nie poznamy dzięki tej próbce sprawy owej zbrodni.

— Szefie, ilu ludzi może mieć dostęp do biura Parkerboya? Nie mówiąc o czasie na popełnienie morderstwa...

— Poe, najpierw powiąż Lewistona z Yarlborough. Potrzebujemy dowodu... świadka albo fotografii, na której będą oboje. Kiedy taki dowód zdobędziesz, wtedy wrócimy do rozmowy.

Porucznik przybrał nieustępliwą minę. Policjant wycofał się.

— Może rzeczywiście wysnułem zbyt daleko idące wnioski. Ale nie zawadzi dokonać rewizji w biurze Parkerboya. Wejdziemy tam i pobierzemy próbkę trawy...

— Na jakiej niby podstawie mam wystąpić o nakaz?

— Poruczniku, Lewiston pieprzył Brittany Newel...

— Sierzancie, kręcimy się w kółko. Brittany Newel nie miała trawy pod paznokciami. Chcesz nakazu, znajdź jakiś łącznik między Parkerem i Yarlborough.

— Wypytałbym alfonsa Yarlborough, niestety Ali Abdul Williams zmarł wskutek dziwaczного wypadku. W kieszeni miał dwadzieścia tysięcy dolarów w nowiutkich banknotach. Wiesz, szefie, co myślę? Parker zabawił się z Yarlborough, a Williamsowi zapłacił za milczenie. Jednak dla pewności Parkerboy sprzątnął niewygodnego świadka.

— Zatem... sugerujesz, że to Lewiston zorganizował wypadek samochodowy Williamsa?

— Jasne, wystarczyło pogrzebać przy aucie.

— Może i tak... Tyle że gdyby Parkerboy faktycznie chciał się pozbyć Williamsa, znalazłby na to pewniejszy sposób. Przecież alfons mógł wyjść cało z kraksy. — Weinberg usiłował zachować cierpliwość. — Poe, masz głowę wypełnioną domysłami. To nawet dobrze, bo znaczy, że wracasz do zdrowia. Ale nie mogę poprosić sędziego o wystawienie nakazu w oparciu o płodną wyobraźnię mojego człowieka. Jesteśmy przedstawicielami prawa i musimy działać zgodnie z nim.

Sierżant nie odpowiedział.

— Wiesz, że Lewiston zawsze się ze wszystkiego wykręci.

— A cóż to ma wspólnego z naszą sprawą?!

— Nie bądź złośliwy — odparował porucznik. — Mówię tylko, że nigdy nie słyszałem, by ktoś kiedykolwiek przyłapał go z małolată. Znasz choć jeden taki przypadek?

Poe potrząsnął głową.

— Czyżby zatem nagle polubił dziewczynki?

Policjant przyjrzał się porucznikowi, analizując pytanie. Odpowiedź pojawiła się w nagłym natłoku chaotycznych myśli. Spróbował je zorganizować.

— Lewiston jest dobrym graczem.

— No więc?

— Szefie, ten facet dotarł na szczyt. Postawił wszystko i zgarnął całą pulę w tej mekce dla graczy. Należy do najbogatszych osób w Las Vegas! Posiada cztery kasyna, należą do niego sportowe sławy oraz sportowe areny... Zbudował całe imperium, może mieć każdą dziwkę, jakiej tylko zapragnie. Nazywają go Midasem, bo czego się tknie, zamienia w złoto. I taki hazardzista, taki notoryczny ryzykant... Szefie, facet, który zbudował swoją potęgę dzięki błyskawicznej i trafnej reakcji na niespodziewane wyzwania... Jak taki facet spędza obecnie wolny czas? Czym się podnieca?

— Gra w golfa. Poe zachichotał.

— No właśnie.

— Szydzisz. Ale skoro grywa cztery razy w tygodniu...

— Golf może być sposobem zabijania wolnego czasu, ale nie sprawia, że Parkerboyowi zawrze krew w żyłach. Ponieważ w golfa trzeba grać zgodnie z regułami, a Lewiston nie lubi się podporządkowywać regułom, on je raczej tworzy. W ostatecznym rozrachunku gra według własnych zasad. I może dla podniesienia sobie poziomu adrenaliny gwałci nieletnie panienki i bawi się w kotka i myszkę z policją. Szczególnie podniecająca zabawa, szefie, ponieważ wyjątkowo nikczemna... Zresztą, może nawet seks z dziewczynką mu nie wystarczył. Może posunął się do morderstwa...

— Naprawdę nie lubisz tego faceta, co?

— Nie, nie lubię go.

— Okej, Poe. Przypuśćmy, że facet rzeczywiście ma coś grubszego na sumieniu. Zdobądź jakieś dowody, a wtedy załatwię ci nakaz.

Sierżanta ogarnęła frustracja, nic jednak nie powiedział. Kończyły go bóle, w głowie mu się kręciło, jakby płynął po wzburzonym oceanie. Poza tym musiał szybko zadzwonić do psychiatry Alison.

— Jestem zmęczony, poruczniku — oznajmił.

Weinberg wstał. Cieszył się, że wreszcie może odejść i znaleźć się z dala od nieprzyjemnego woreczka.

— Mogę coś dla ciebie zrobić, stary?

— Nie, poradzę sobie. Dzięki za odwiedzin.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Właściwie, wyświadczyłeś mi przysługę, Poe. Dzięki tobie ja, Żyd, spełniłem mój dobry uczynek na dzisiejszy dzień.

— Jaki?

— No... Złożyłem ci wizytę. — Weinberg poklepał sierżanta po żyłastym ramieniu. — Zdrowiej, stary. — Zawahał się, po czym wyciągnął z kieszeni cygaro i wetknął pod poduszkę. — Kiedy poczujesz się lepiej... To prawdziwa cohiba.

— Niechybnie spróbuję — odparł Poe. — Dzięki.

— Zdrowiej i to szybko. Mówię bardzo poważnie.

Gdy tylko Weinberg wyszedł, głowa opadła sierżantowi na poduszkę. Zamknął oczy i próbował się skupić na sprawie. Myślał o biurze Lewistona... Musiał zdobyć próbkę. Malutką próbkę trawy. Wiedział, że musi znaleźć jakiś fortel nie całkiem zgodny z prawem. Liczył się tylko cel główny: ogniwo łączące...

Pobyt w zamknięciu przyprawiał ją o szaleństwo. Musiała stąd wyjść! I to zaraz!

Miała przecież zadanie do wykonania. Akta służące jej do badań powoli gniły. Musiała wyjść, musiała zakończyć pracę! Gdyby tylko znalazła w sobie dość energii... Dysponowała wprawdzie mocą... Tyle że tu nadwątlili jej siły lekami. Czuła się po prostu zbyt zmęczona,

by cokolwiek przedsięwziąć. No i księżyc nie był dzisiejszej nocy we właściwym stadium.

Jak stąd wyjść?!

Najwłaściwszą metodą wydawała jej się współpraca. Mówić gładkie zdanka i zachowywać się w odpowiedni sposób. Przynajmniej porozmawiać z psychiatrą. Ale nie miała ochoty rozmawiać. Nie z tymi idiotami, którzy nie rozumieli ani jej mocy, ani jej śledztwa... ani tego, czego musiała dokonać...

— Alison?

Ktoś wypowiedział jej imię. Głos tej osoby był niższy niż piskliwy jazgot pielęgniarki. Prawdopodobnie przemawiała do niej jedna z psychiatrów. Tak, nowa — rudowłosa kobieta.

Alison oczywiście nie zamierzała jej odpowiadać. Nawet nie poruszyła się, pozostała nieruchoma w swoim łóżku, spowita w śnieżnobiałą bawełnianą koszulę. Popatrzyła na swoje dłonie w mitenkach. Założyli jej te grube rękawiczki bez palców i z tego powodu nie mogła utrzymać na przykład łyżeczki... Nawet gdyby zechciała coś zjeść. Próbowali ją karmić na siłę, pakując jej do ust jedzenie. Nie przelykała go, otwierała szerzej wargi i pokarm wypadł. Sprawiała, że się o nią martwili, nie tylko o jej psychikę, lecz także o fizyczny stan organizmu.

Głos znowu się odezwał:

— Alison, ktoś do ciebie dzwoni.

Powstrzymała się przed ruchem. Niesamowite! Psychiatrzy pozwalali jej na rozmowę przez telefon... Z kimś z zewnątrz! Na pewno nie dzwonił Steve. Steve przyszedłby osobiście. Zresztą, wszyscy już wiedzieli, że Alison nie będzie rozmawiała ze Steve'em. Z żadnym Steve'em. Ani z tym nowym, ani z jej dawnym Steve'em...

— Dzwoni Romulus Poe — dodała lekarka. — Znasz Romulusa, prawda?

Alison nadal milczała. Jednak jej oczy chyba coś wyrażały, ponieważ Rudowłosa mówiła dalej:

— Romulus chce z tobą porozmawiać — ciągnęła — ponieważ cię lubi, Alison. Jest twoim przyjacielem.

Jej serce zaczęło bić szybciej. Może telefon Poego do niej był dobrym znakiem. Tak, w każdym razie wiedziała, że Rom żyje. Nie umarł.

— Masz ochotę z nim porozmawiać, Alison? On bardzo chciałby z tobą pomówić.

Nie odpowiedziała. Nie zamierzała dawać satysfakcji tej suce. Nie, nikt nie zobaczy, że Alison w ogóle czegoś pragnie. Miejsce, w którym się obecnie znajdowała, nie mogło jej niczego zaoferować. Niczego! Po raz milionowy przekłęła swego męża. Dlaczego nie przeczekał jej ataku. Przecież zawsze wracała w końcu do zdrowia!

— ...Przyłożę ci słuchawkę do ucha. Nie musisz rozmawiać, jeśli nie chcesz. Ale nawet samo słuchanie może ci pomóc. Może ci się spodoba samo wsłuchiwanie się w znajomy głos.

Alison nadal milczała.

Nastąpiła nieprzyjemna pauza. W końcu rudowłosa lekarka wydała z siebie ciche, poirytowane westchnienie. A przecież wytrawni psychiatrzy posiadali nieskończone pokłady cierpliwości. Jej kondycja nie powinna ich frustrować, gdyż widzieli już w życiu wszystko, wszystkiego już doświadczyli...

Dlaczego trafiła jej się tak nieopierzona lekarka? Może w zakładzie uważano, że Alison nie jest dość chora, by zasługiwać na prawdziwego psychiatrę...

— ...Nawet nie musisz go słuchać, jeśli nie masz ochoty — powtórzyła tamta i znowu westchnęła. — Skoro nie odzywasz się do mnie, nie mam pojęcia, czego rzeczywiście pragniesz. No cóż. Zatem po prostu przytrzymam słuchawkę przy twoim uchu.

Teraz jej serce waliło jak młotem. Czy naprawdę miała ochotę usłyszeć głos Roma?

Lekarka podeszła bliżej.

„Nie wolno ci, Alison — nakazała sobie w myślach. — Nie bij jej. Nie uderzaj, nie pchaj, nie drap. Nie możesz tego zrobić. To zły pomysł. Zostaw ją, pozwól jej stanąć obok siebie.”

Psychiatra przyłożyła jej słuchawkę do ucha, pochyliła się i przemówiła do słuchawki:

— Sierzancie Poe, przyłożyłam Alison słuchawkę do ucha. Może pan się do niej odezwać.

— U mnie wszystko w porządku. Powiedz coś, Alison.

Zachowała milczenie.

— Doktor Braverman, słyszy mnie pani?

— Tak, słyszę.

— Proszę mi zrobić przysługę. Domyślam się, że Alison ma w jakiś sposób zabezpieczone ręce. Czy w ogóle jest w stanie utrzymać słuchawkę?

— Prawdopodobnie tak. — Doktor Braverman przystawiła słuchawkę do własnego ucha. — Chodzi wszak o to, sierzancie, że moim zdaniem ona nie zechce jej trzymać.

— Cóż, w takim razie niech pani położy słuchawkę przy jej uchu i opuści pokój. Będę krzyczał i mam nadzieję, że Alison zdoła mnie usłyszeć. Muszę porozmawiać z nią osobiście i bez świadków.

— Takie postępowanie jest niezgodne z naszymi przepisami.

— Zdaję sobie z tego sprawę — odburknął Poe. — Jeżeli jednak wy nie potraficie jej skłonić do mówienia, może mnie się uda. Proszę dać mi szansę.

— W porządku... ale nie za długo.

— Zgoda.

Doktor Braverman położyła słuchawkę na łóżku, pozostała jednak w pokoju.

— Lekarka poszła, Alison? — wrzasnął sierżant.

Nie otrzymał odpowiedzi, więc zawołał:

— Doktor Braverman, wiem, że pani tam jest. Proszę pozwolić mi spróbować.

Usłyszał głośne westchnienie, później kroki stóp, wreszcie trzaskanie drzwiami. Policzył do dziesięciu.

— Poszła? — spytał.

Alison wymamrotała coś.

— Podnieś słuchawkę, kochanie.

Nic.

Policjant starał się być cierpliwy. Wiedział, że Alison jest taka krucha...

— Proszę, kochanie, jeśli możesz, podnieś słuchawkę i wsuń ją sobie pod brodę. Poczekam.

Przez jakiś czas nie słyszał niczego, potem zakłócenia na linii, głośne trzaski, jakby ktoś z trudem przynosił słuchawkę. W końcu zaległa cisza.

— Jesteś tam?

Nic.

— Alison, posłuchaj mnie. Nie jestem na ciebie zły. Jak mógłbym być na ciebie wściekły?

Znowu odpowiedziała mu cisza. Postanowił trochę odczekać. Usiadł na materacu, zmieniając pozycję, by uniknąć odleżyn.

— Jak się masz? — wyszeptwała wreszcie.

— W porządku. Cieszę się, że słyszę twój głos.

Zaczęła płakać.

— Omotali mi czymś ręce. Nie wypuszczają mnie, nie mogę zobaczyć chłopców. Boję się.

Rzadko słyszał taką szczerłość w jej głosie. Alison była teraz szczerą, ponieważ lękała się, że straci swoich synów.

— Kochanie, posłuchaj mnie. Zatrzymali cię tylko na siedemdziesiąt dwie godziny. Po tym okresie ocenią twój stan. Znasz procedurę. Jeśli chcesz wyjść, musisz z nimi porozmawiać. Musisz ich przekonać, że jesteś zdrowa. Że jeśli cię wypuszczą, nie zrobisz sobie krzywdy.

Milczała. Poe ujrzał w wyobraźni wielkie łzy spływające po jej policzkach.

— Słuchaj, chcesz zobaczyć swoich chłopców, prawda?

— Steve nastawił ich przeciwko mnie...

— Nie, na pewno nie... — wyrzucił z siebie. — Słuchaj, nie mamy dużo czasu na rozmowę. Niedługo wróci doktor Braverman. Jeżeli pragniesz opuścić zakład, nie możesz mówić, że wszyscy ludzie źle ci życzą, że są twoimi wrogami. Musisz myśleć pozytywnie... używać takich słów jak „chwilowe załamanie”. Musisz powtarzać, że dobrze

ci zrobił pobyt w szpitalu, bo miałś czas na przeanalizowanie wszystkich problemów... Że uświadomił ci, jak bardzo potrzebujesz pomocy. I koniecznie dodaj, że zamierzasz poddać się terapii...

— Ale Steve naprawdę nastawił moich synów przeciwko mnie. Zatrąwa też umysły pielęgniarek. One też są przeciwko mnie. To zły człowiek, Rom. Chce się mnie pozbyć. Od dawna tego pragnie. Ponieważ chce pieprzyć te swoje dziwki, a ja mu stoję na drodze. Chce mnie usunąć ze swojego życia.

Jakże wygodnie jest ignorować fakty. Zapomniała już, że pokiereszowała swemu przyjacielowi twarz paznokciami, że wpadła w szal. Że gdy znaleziono ją w górach o czwartej nad ranem, bełkotała od rzeczy. Czy coś z tego pamiętała? ...A jednak jej oskarżenia miały nieco sensu. Jensen rzeczywiście spotykał się z innymi kobietami. Stale miewał kochanki, ponieważ Alison podobno nieustannie unikała seksu, zamykała się w sobie i była niekomunikatywna. O ile mówił prawdę...

Tak, ten medal miał dwie strony.

— Widziałeś faceta, który mnie zaatakował w alei za New York-New York? — spytała nagle Alison.

— A o co chodzi?

— Steve go nasłał! Wierz mi, Rom, tak było. Wysłał kogoś, kto miał mnie skrzywdzić. Dzięki temu Steve zostałby z chłopcami i ze swoimi dziwkami, a ja nie wchodziłabym mu więcej w drogę. Dlatego to zrobił... nasłał na mnie kogoś, aby mnie zaatakował. Zrobił to, jestem pewna, że to zrobił...

Poe poczuł, że serce zamiera mu w piersi. Alison najwyraźniej nie chciała wyjść z zakładu. Nie chciała wyzdrowieć. Zaczynał myśleć, że ona nie może zmienić swego postępowania. Może powinna rzeczywiście spędzić jakiś czas w szpitalu psychiatrycznym. Może tam było jej miejsce... Myśl ta bardzo go zasmuciła.

— Steve za tym wszystkim stoi. — Znowu bełkotała. — To wszystko jego sprawka. Wszystko... Nawet te martwe dziewczyny.

Sierżant aż zeszywniał.

— Jakie martwe dziewczyny?

— Zabójstwa, nad którymi pracujesz. I on niby też. Steve to zrobił.

— Co zrobił?

— Popełnił te morderstwa! Jest ich sprawcą. Jego właśnie szukasz, jego! Wiem o tym kapeluszu...

Teraz Poe wręcz skamieniał z wrażenia.

— O czym ty mówisz?

— Nie zgrywaj durnia, Rommie. Wiem wszystko. Zgadnij, do kogo należy ten kapelusz. Do Steve'a! Kupił go na bal przebierańców cztery lata temu.

Policjant uprzytomnił sobie, że oddycha z coraz większym trudem.

„Niedobrze. Zwolnij. Uspokój się. Pomyśl, Poe, pomyśl!”

Coś mu zaświtało w głowie. Jensen rzeczywiście coś kiedyś wspominał o należącym do niego meloniku. Że kupił go na jakieś przyjęcie. Czy wspominał o kapeluszu, żeby go wyprowadzić w pole? Czy Alison mogła mówić prawdę?

„Poe, ty idioto! — krzyknął do siebie. — Ona zaraża cię swoimi urojeniami”.

— Jesteś pewna? — zapytał łagodnie.

Kobieta ożywiła się.

— Tak, tak, Steve naprawdę posiada melonik! Sprawdź to, Rom. Ten kapelusz należy do niego. Znajdź go i sprawdź.

Żałowała.

— Wiesz, Rommie? Mężczyzna, który mnie zaatakował, nosił kapelusz. Idź więc tam, gdzie na mnie napadł i poszukaj melonika.

— Alison, oskarżasz własnego męża o napaść?

— Och, nie! — odparła. — To nie Steve mnie zaatakował. On tylko nasłał na mnie kogoś.

— Czyli że... ktoś inny na ciebie napadł. Nie Steve.

— Oczywiście. Nie byłby tak głupi, by napadać na własną żonę.

— Więc osoba, która cię zaatakowała, także nosiła kapelusz Steve'a?

— Tak, Steve mu go dał. I Steve zamordował też te dwie dziewczyny.

Powiaadała coraz dziwniejsze rzeczy.

— Steve zamordował dwie dziewczyny? — drążył cierpliwie sierżant.

— Tak, właśnie mówię! Steve zamordował obie dziewczyny! Zwróć uwagę, że to już nie jest ten sam Steve, co kiedyś. Nie, mężczyzna, za którego wyszłam, nikogo by nie zabił. To zrobił mój nowy mąż, zły Steve. On właśnie pozabijał dziewczyny.

— Zły Steve — powtórzył przeciągle Poe.

— Właśnie... Zły Steve. Zamordował dwie biedne dziewczyny.

— Obie?

— Tak. — Pauza. — No cóż, w zasadzie nic nie wiem o tej drugiej. Ale pierwszą, Brittany Newel, zabił na pewno.

Jej iluzje splotały się z faktami. Poe zastanowił się, dlaczego Alison obarcza Steve'a odpowiedzialnością za śmierć Newel, a za Yarrowborough nie. Polizał spierzchnięte usta.

— Mówisz, że Steve zabił pierwszą, a tej drugiej nie?

— No cóż, może zabił obie. Ale pewność mam jedynie co do Newel. Miał z nią romans. Chciała, żeby się z nią ożenił. Naciskała go, a to się Steve'owi nie spodobało. Opowiedziała mi całą historię, wiesz.

Policjant odłożył długopis.

— Kiedy rozmawiałaś z Brittany Newel?

— Och, nie wiem. Tuż przed jej śmiercią. Zanim ją wykończył. Miał dość jej natręctwa. — Zniżyła głos do szeptu. — Może była w ciąży.

Policjant zagryzł wargę. Rukmani nie odkryła ciąży u Newel.

— Alison, powinnaś wcześniej o tym ze mną porozmawiać. Cemu tego nie zrobiłaś?

— A jak myślisz? Nie chciałam pakować mojego męża w morderstwo. Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Przecież chciał zranić również mnie.

„Poranić je wszystkie!”, pomyślał Poe.

— Kogo jeszcze chce zranić?

— Och... tylko mnie, Rom. Wierz mi. Musisz uwierzyć, że Steve chce mi zrobić krzywdę.

Chyba coraz bardziej popadała w szaleństwo. A jednak nie potrafił jej opowieści odmówić osobliwej logiki.

— Alison, gdyby Steve chciał cię zranić, po co miałby cię zamykać w zakładzie? Pod własnym dachem łatwiej mógłby cię skrzywdzić.

— Rom, Steve nie chce mnie zabić. Jestem matką jego synów... synów dawnego Steve'a. On chce tylko mnie oswoić... Ponieważ posiadam moc. To prawda. Mam moc, o którą Steve jest zazdrosny.

— Rozumiem.

— Jest zazdrosny, Rom! Zawsze moc należała do niego, a teraz ją mam. Steve to naprawdę zły facet! Przyjdiesz mnie odwiedzić?

Ostatnie pytanie wypowiedziała tym samym oskarżycielskim tonem. Jej umysł pędził wariacko i na oślep.

— Przyjdę natychmiast, gdy będę mógł.

— Czemu nie możesz przyjść teraz? — Chwilę milczała. — O co chodzi, Rommie? Umówiłeś się na randkę ze swoją przyjaciółką?

Na wzmiankę o Rukmani, nawet jeśli Alison nie użyła imienia... sierżant poczuł przebiegające po kręgosłupie mrówki.

— Nie, kochanie, nie mam randki. Leżę w szpitalu. Ciągle wracam do zdrowia...

— Nie podrapałam cię aż tak mocno!

„Czyli że pamięta!” Odniósł wrażenie, że ta myśl niemal wybuchła mu w głowie.

— Ukąsił mnie grzechotnik...

Przez moment chwytiała głośno powietrze.

— O mój Boże, o mój Boże.

— Alison, nic mi nie jest.

— O mój Boże...

— Nic mi nie jest! — wrzasnął do niej.

Przestała jęczeć.

Zapanowało błogosławione milczenie. „Cierpliwości, Poe”, nakazał sobie.

— W porządku, Alison — oświadczył spokojnie. — Potrzebuję tylko trochę odpoczynku. Podobnie jak ty. Oboje potrzebujemy odpoczynku.

Długa pauza. Już, już miał się poddać, gdy nagle przemówiła:

— Kiedy możesz mnie odwiedzić? Jak sądzisz?

— Może za parę dni.

— Dopiero?!

— Może szybciej. Staram się, jak mogę.

— Kocham cię, Romulusie. Wiesz, że cię kocham.

— Dbaj o siebie, Alison.

— Rozłączasz się? Zaskowyczała.

— Będą mi teraz pobierać krew — skłamał. — Muszę kończyć.

— Zadzwońisz jeszcze do mnie?

— Natychmiast, gdy mi pozwolą. Lekarze chcą mi chyba podać środek usypiający, po którym stracę przytomność na parę godzin...

— Nie bierz tego! — zawołała. — Oni w ten sposób nas kontrolują. Udawaj, że polykasz, ale potem natychmiast wypluj.

— Dziękuję za ostrzeżenie. Muszę już kończyć.

— Kocham cię, Rom.

— Do widzenia, Alison. Dbaj o siebie. — Odłożył słuchawkę.

Rozmowa prawdziwie nim wstrząsnęła.

W chwilę później zadzwonił telefon.

— Mówi doktor Braverman. Wie pan, rejestrujemy rozmowy telefoniczne naszych pacjentów...

— Tak przypuszczałem.

Milczała.

— Wiedział pan, że jesteście nagrywani?! Ale przecież dał jej pan wskazówki, jak ma stąd wyjść.

— Ja wiedziałem, że nas nagrywacie, ale ona nie. — Był rozdrażniony. — Alison przebywa w szpitalu psychiatrycznym. Nic by się nie

stało, gdybyście jej pozwolili na swobodne korzystanie z telefonu. Kolejna pauza.

— No cóż...

— Poza tym jestem policjantem. Jestem po tej samej stronie co pani.

— Czy pobierają panu teraz krew?

— Nie. Po prostu czuję się zmęczony, więc wymyśliłem pretekst do szybszego zakończenia rozmowy. — Wypił łyk wody ze szklanki. — Ma pani wobec mnie dług wdzięczności. Skłoniłem przecież Alison do mówienia, zgadza się?

— Co z tymi morderstwami, o których wspomniała? Zmyśliła je?

— Nie. Chodzi o sprawy, nad którymi pracuję wraz z jej mężem.

Wie pani... Pracujemy razem... jej mąż i ja.

— Kto został zamordowany?

— To nie ma najmniejszego związku z...

— Ależ może mieć związek, sierżancie. Kim jest Brittany Newel?

Ta, z którą rzekomo pacjentka rozmawiała przed śmiercią?

— Dziwką.

— Czy rzeczywiście Alison Jensen mogła z nią rozmawiać?

— Nie jest to niemożliwe. Ale czy jest prawdopodobne? Hmm...

Raczej nie.

— Czy zabita była rzeczywiście kochanką męża pacjentki?

Poe zawahał się. Nie wiedział, czy Alison znała fakty, czy też je wymyśliła. Kolejne urojenie? Szczególnie że Jensen zapewniał, iż z Newel spotkał się tylko raz. Ale czy Steve mówił prawdę? Czy oboje mówili prawdę? W tej sprawie istniało zbyt wiele niewiadomych.

— Wie pani? Jestem naprawdę zmęczony. — Usiłował się wykręcić.

— Mógłby się pan dowiedzieć prawdy? Ponieważ jeśli nasza pacjentka ma rację, cóż... Taki fakt mógłby nam pomóc w lepszym zrozumieniu jej zachowania. Ponieważ każde urojenie zawiera w sobie elementy prawdy.

— Rozumiem pani ciekawość. Niestety, nie jest w moim interesie wtrącanie się w prywatne życie współpracownika. — Wiedział, niestety, że będzie musiał powęszyć. Musiał się przecież dowiedzieć, czy Alison nie kłamała. — Potrzebny mi odpoczynek, pani doktor. Rozmowa z pani pacjentką kompletnie mnie wyczerpała.

— A ten atak, o którym wspomniała... — ciągnęła bezlitośnie doktor Braverman. — Czy rzeczywiście na nią napadnięto?

— Samego napadu nie widziałem... jedynie efekt. Dla mnie jednak wyglądał przekonująco.

— Więc może rzeczywisty atak wyzwolił inne złudzenia.

Poe miał zawroty głowy.

— Brzmi logicznie.

— Wie pan, spotkałam kilka razy Steve'a Jensa. Chciałabym usłyszeć pańską opinię na jego temat. Dzięki temu lepiej rozumiałabym Alison.

Czyżby żartowała?

— Pani doktor, nie rozmawiam o moich współpracownikach za ich plecami.

— Nie chce mi pan pomóc?

— Nie rozmawiam o moich współpracownikach... — powtórzył.

— Pojęłam, sierzancie — przerwała mu, po czym westchnęła. — Dokonałiśmy przełomu. Po prostu staram się ustalić fakty.

„Wy dokonałiście przełomu, droga pani?! — pomyślał gniewnie policjant. — Przecież to ja wciągnąłem Alison w rozmowę. Pani jedynie się przysłuchiwała”.

— Proszę sobie ustalać, co się pani żywnie podoba, pani doktor. Chętnie pomogę, jeśli nie muszę rozmawiać o osobach trzecich.

— A jaki jest pański stosunek do Alison, sierzancie?

— Bardzo dobre pytanie. Tyle że ja naprawdę muszę odpocząć...

— Sierzancie, czy na pewno nie wykorzystuje pan swojej choroby, by uniknąć trudnej rozmowy?

— Pani doktor, nie potrzebuję pretekstu, by unikać trudnych rozmów. Uciekam od nich nawet wtedy, gdy jestem w najlepszym zdrowiu.

Odłożył słuchawkę, zaskoczony własną celną ripostą.

Tyle że nie zamierzał wyciągać z niej żadnych daleko idących wniosków.

Rozdział dwudziesty ósmy

Poe postawił lusterko przed swoją twarzą. Trzy proste, równoległe linie bieging pionowo wzdłuż jego szyi — od szczęki aż po krtań. Szramy były schludne niczym japońska kaligrafia. Nie wyglądały bardzo źle, a jednak sierżant czuł się paskudnie. Może z powodu ukąszenia węża. Nie był pewny, która z odniesionych ran mocniej boli. Zresztą, nieważne, liczył się jedynie fakt, że Poe odzyskał władzę nad swoim ciałem i wreszcie odłączyli mu ten przeklęty cewnik.

Doktor Guenswite odłożył nożyczki i pincetę. Teraz robił swemu pacjentowi wykład na temat utrzymania rany w czystości i metody zmiany opatrunku. Chirurg plastyczny był po czterdziestce, jego twarz połyskiwała w typowym dla Las Vegas odcieniu spizuu, paznokcie zaś miał idealnie przycięte i wypolerowane. Pod białym kitlem nosił elegancki krawat i przemawiał profesorskim tonem. Jeśli sierżant nie chciał, by została mu blizna, powinien zakrywać ranę, ilekroć będzie wychodził na dwór. Słońce było najgorszym wrogiem takich ran. Balsam z najmocniejszym filtrem nie wystarczy. Poe musi...

— Nie dbam o blizny — przerwał lekarzowi. — Ani mi się śni chodzić z bandażem na twarzy. Odstrasza ludzi.

— Rozumiem — odparł autorytatywnie chirurg — że to dla pana pewna niedogodność. Jeżeli jednak nie zachowa pan ostrożności i będzie postępować lekkomyślnie, może pan tego później żałować.

— Na pewno będę — odparował sierżant. — Jednak na razie proszę zostawić ranę odkrytą. Zaryzykuję.

— Paul — wtrąciła się Rukmani — mogę spędzić minutkę sam na sam z twoim pacjentem?

Lekarz przekreślił nadgarstek, błyskając złotym rolexem.

— Goni mnie czas, Rukmani.

— Hmm... Już prawie skończyłeś. Może dokończę za ciebie opatrunek?

Guenswite'owi spodobała się jej propozycja. Szybko wpisał do karty dane pacjenta i wyszedł, posyłając obojgu szeroki uśmiech i prezentując nienagannie białe zęby. Rukmani odczekała moment, po czym oznajmiła:

— To goguś, ale cholernie dobry chirurg. I ma rację w kwestii twoich blizn.

— Tak, tak, wierzę — rzucił niedbale policjant. — Daj mi jeszcze raz lusterko.

Lekarka z niechęcią i ostentacją spełniła jego prośbę.

— Nie musisz się zaraz owijać jak mumia, Rom. Wystarczy zwyyczajny bandaż z gazy, aby ochronić...

— Sądziłem, że uważasz moją bliznę za bardzo męską.

— Wygląda jak pomniejszona kopia ran Brittany Newel. — Uśmiechnęła się. — Hej, a właściwie gdzie była Alison w noc morderstwa?

— Włoczyła się gdzieś po mieście — odparł Poe. — Skąd mogę wiedzieć? Ale coś ci powiem. Kazałem Patricji sprawdzić ją za plecami Jensena.

Rukmani zawahała się.

— Rom, żartowałam.

— Wiem. Ale ja nie. Mam w to wklepać jakąś maść antybakteryjną?

— Zrobię to za ciebie. — Lekarka otworzyła tubkę, wycisnęła nieco maści na palec w rękawiczce, po czym przyłożyła go do chorej skóry sierżanta. Mężczyzna cofnął się instynktownie. Ciągłe pamiętał paznokcie Alison.

— Szczypie? — spytała Rukmani.

- Troszkę.
- Nie ruszaj się. — Wtarła balsam w jego rany. — Powiedz szczerze... Naprawdę ją podejrzewasz?
- Sama zauważyłaś, że rany są podobne. Mam też inne powody. Lekarka smarowała następne miejsce na jego szyi.
- Jakie powody?
- Zastanawiał się przez chwilę.
- Alison zna zbyt wiele szczegółów śledztwa. Wiem, wiem, mogła usłyszeć, co Jensen mówił przez telefon... Mimo to jednak... jest zdecydowanie za dobrze poinformowana.
- Na przykład?
- Wie, że Jensen miał romans z Newel. A trzymaliśmy to w głębokiej tajemnicy. Steve na pewno jej nie powiedział. Skąd się zatem dowiedziała?
- Żony mają swoje sposoby.
- Wiedziała też o meloniku naszego podejrzanego. Mało tego. Oświadczyła mi, że jej mążnek posiada podobne nakrycie głowy. I dodała, że osobnik, który ją zaatakował, nosił taki sam kapelusz. Zaczynam wątpić, czy w ogóle została zaatakowana... Alison ma bardzo bujną wyobraźnię.
- Widziałeś przecież zadrapania na jej twarzy.
- Mogła je sobie zadać sama. Po to, by uwiarygodnić swoją historię albo przyciągnąć uwagę gapiów.
- Rom, nawet jeśli rzeczywiście sfabrykowała cały incydent, nie znaczy jeszcze, że kogoś zabiła!
- Nie mówię, że to zrobiła. Wie wszakże o tych morderstwach coś, czego nam nie zdradziła. Jak tylko stąd wyjdę, zabiorę się za ten trop.
- Nie bronię Alison... Możesz podnieść głowę?
- Tak wystarczy?
- Idealnie. Postaraj się nie ruszać. — Ostrożnie przyłożyła maść do jego szyi. — Skąd wzięłaby siły, by pozbawić Newel przytomności i zamordować ją? Jak zaciągnęła ją na pustynię? Przecież dziewczyna nie została tam zamordowana...

— Mogła dosypać jej coś do drinka...
— Usypiacz zadziałałby szybko. Czyli że Alison musiałaby zaciągnąć Newel do swojego samochodu, potem związać ją i okaleczyć w straszliwy sposób...
— Cholera, moje rany też wyglądają dość paskudnie.
— Sądziłam, że uwielbiasz tę kobietę.
— Rzeczywiście, żywię do niej pewne uczucia. Ale nie jestem ślepy.

— Przechył trochę głowę.

Poe wypełnił polecenie.

— Zawsze była jakaś dziwna. Podobnie jak i ja. Gdyby nasze dzieciństwo przypadło na obecne czasy, psychiatrzy chcieliby nas oboje wyleczyć z obsesji i natręctw. Zresztą, Alison się leczyła.

— Nadal bierze leki?

— Ruki, testowano na niej mnóstwo leków i wszelkie dostępne terapie. Wszystko zawiodło. Jasne, czasem jej stan się polepsza i wtedy Alison wydaje się prawie normalna. Niestety, w miarę upływu czasu okresy poprawy zdarzają się coraz rzadziej i są coraz krótsze. Aktualnie jest kompletnie niezrównoważona emocjonalnie, może nawet ciężko chora... umysłowo. Obawiam się, że byłaby zdolna zaatakować Brittany, gdyby uwierzyła, że dziewczyna usiłuje ukraść jej Steve'a.

— Może i tak, chociaż... zamordowanie Brittany byłoby dowodem wyrachowania i premedytacji, co do obecnego stanu Alison — wnioskując z twoich słów — raczej nie pasuje. Musiałaby bardzo precyzyjnie myśleć... Taką akcją trzeba przygotować.

— Jej lekarka z zakładu powiedziała mi, że złudzenia są często mieszaniną faktów i fikcji. — Poe zamknął oczy. Czuł się jak zdrajca. — Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła. Kiedy Alison była u mnie w domu, użyła mojej szczotki do włosów. Gdybym dał ci parę jej włosów, zdołasz zrobić test DNA?

— Zastanawiasz się, czy jej DNA pasuje do DNA skrawków skóry spod paznokci Brittany Newel?

— Dokładnie.

— Do testu bardziej nadają się włosy wyrwane wraz z cebulkami. Ale tak, mogę je zbadać. Szczególnie dzięki nowej metodzie wydobywania DNA z mitochondriów. Tyle że takie badanie zajmie sporo czasu i jest kosztowne.

— Alison nigdzie się nie wybiera. Podobnie jak Newel.

— Co z Sarą Yarlborough? Chcesz, żebym także porównała DNA znalezionych u niej próbek?

— Pytasz o moją opinię? Sądzę, że te dwa przypadki nie są ze sobą powiązane. Yarlborough uważam za ofiarę Parkera Lewistona.

— Dowiedziałaś się czegoś nowego? — Rukmani otworzyła szeroko oczy. — No tak, trawa pod paznokciami Yarlborough! Dopasowałeś próbkę do trawy z biura Lewistona! Wspaniale...

— Nie całkiem.

Lekarka popatrzyła na niego badawczo.

— Co więc masz na Lewistona?

— Właściwie nic.

— Hmm... zatem to tylko intuicja? Wysnuwasz wnioski bez cienia dowodów?

— Mniej więcej. Jestem jednak szczerze przeświadczony...

— Poe, dlaczego Lewiston miałby mordować dziwkę-narkomankę i ryzykować utratę wszystkiego, co posiada?

— Dla zastrzyku adrenaliny i z nudów. A może zdarzył się wypadek? Wszyscy wiedzą, że Parkerboy lubi dziwki...

— Lubi callgirls — poprawiła go Rukmani. — Wykształcone, piękne girlaski, które umieją zabawić majątnych mężczyzn. Ale nie takie ćpające crack uliczne dziwki jak Brittany i Sarah. Skoro go podejrzewasz, czemu nie posuniesz się dalej? Może zabił obie?

— Sama mówiłaś, że dowody nie pasują.

— Nie, nic takiego nie powiedziałam — odburknęła lekarka. — Stwierdziłam tylko, że na pierwszy rzut oka te dwie śmierci wydają się niepowiązane.

— Skończyłaś z moją twarzą?

— Prawie. — Zakręciła maść i wyjęła krem.

— Wiesz, poprosiłam o zrobienie testu DNA z wielu próbek: i tych znalezionych pod paznokciami obu ofiar, i tych pobranych z pochwy. Chcę sprawdzić, czy są zgodne. Wyniki dostanę w ciągu dwóch, najwyżej trzech tygodni. Jeśli chcesz poprzeć swoją intuicję dowodami, zdobądź dla mnie włos Lewistona. Wiem, że nie możesz go oficjalnie poprosić o próbkę, to wymaga nakazu. Ale gdyby zdobyć ją od tego fryzjera... Nasz miliarder lubi modne fryzury.

— Jeśli mam wykorzystać włos do formalnego oskarżenia, muszę zdobyć go legalnie, inaczej taki dowód się na nic nie zda.

— No cóż, zdobądź próbkę, a wtedy wyślę ją do laboratorium. Kiedy dostaniemy wyniki, zastanowimy się, co robić dalej. Zależnie od rezultatu. O ile zdecydujesz się zapłacić za testy. Nie uda mi się obarczyć tym budżetu hrabstwa.

— Nie ma problemu. Zanurzę tylko rękę w moim przepastnym worze z gotówką...

— Skończ te gierki. Przede mną nie musisz udawać biedaka. Wiem, że masz sporo odłożonych pieniędzy z wygranych w kasynach.

— Raczej miałem! — Zauważył bez uśmiechu. — Mama nie ma pełnego ubezpieczenia zdrowotnego.

Rukmani zachowała spokój.

— Ma wykupioną polisę, nieprawdaż?

— Ma. Ale wiesz, jak to jest, Ruki. Nie wszystkie wydatki pokryjesz z polisy. Nie każdego lekarza. A podczas kuracji nie myślisz w kategoriach kosztów. Po prostu wybierasz najlepsze rozwiązania. Chodzi wszak o jej życie. Dopiero potem dostajesz rachunki. — Wzruszył ramionami. — Do diabła z pieniędzmi. Najpierw muszę jej pomóc wyzdrowieć. Jak się miewa?

— Dużo lepiej. Znowu zaczęła jeść. Zdaje mi się, że nawet poprosiła pielęgniarkę o piwo.

Sierżant uśmiechnął się.

— Nigdy nie sądziłem, że to powiem, ale czekam z niecierpliwością na spotkanie z nią. Może przewieziemy ją do mojego domu w niedzielę po południu?

— Świetnie.
— Późnym popołudniem.
— Odkładasz jej przeprowadzkę, jak tylko możesz.
— Przyłapałaś mnie. — Kręcił nerwowo szyją. — Jeszcze nie skończyłaś?

— Naprawdę powinnam cię starannie obandażować. Pozwól mi, proszę. Zarówno ze względów zdrowotnych, jak i... estetycznych. — Ruki podała policjantowi lusterko. — Rzuć okiem.

Lewa strona jego twarzy przypominała plamę ropy, poprzecinaną śladami wodnych nart.

— Zapuszczę brodę.

— Nigdy nie widziałam cię z zarostem. — Uśmiechnęła się. — Będziesz wyglądał równie podniecająco, jak podejrzewam?

— Stracisz oddech na mój widok. — Poe roześmiał się, w sekundę później zaś skrzywił.

Okazywanie emocji nadal sprawiało mu ból.

Podpisał stos papierów związanych ze zwolnieniem. Do biura dotarł około piętnastej. Gdy wszedł, dwie recepcjonistki — Molly w błękitnym uniformie oraz Brenda ubrana w czarne spodnie i białą bluzkę — powitały go oklaskami. Obie jednak uciekały spojrzeniem gdzieś ponad jego twarz.

— Zagoi się — zapewnił zmartwione dziewczyny.

— Wygląda pan doskonale — odparła Molly.

— Znakomicie — zgodziła się Brenda. — Bardzo... męsko.

— Spora blizna po pojedynku — dodała Molly. — Widać, że na pewno go pan nie przegrał.

Sierżant uśmiechnął się dobrodusznie.

— Jakieś wiadomości dla mnie?

— Kilka telefonów. — Brenda wręczyła mu gruby plik papierów.

— To ma być kilka? — spytał Poe, kartkując stertę.

— Najwyraźniej cieszy się pan popularnością — wyjaśniła żartobliwie Molly.

— Szczególnie u ludzi, którzy potrzebują przysługi.

— Przyjemnej zabawy, sierżancie — odparowała Molly.

Poe posłał jej całusa i wszedł do niemal całkowicie pustego pokoju detektywów. Po wymianie uprzejmości z kilkoma zapracowanymi przy aktach policjantami (którzy również starali się na niego nie patrzeć) usiadł przy biurku i zaczął nadrabiać zaległości. W trakcie jego choroby zdarzyło się jedno nowe zabójstwo. Bójka w barze. Na noże.

Reszta spraw wiązała się z czysto papierkową robotą: rozprawy sądowe, akta, dowody, świadkowie, przesłuchania. Czekala go także pozbawiona ujęcia rzeka kolejnych rozmów telefonicznych.

W parę godzin później podskoczył na klepięcie w ramię.

— Czyżbym zobaczyła ducha? — spytała Patricia.

Uśmiechnął się do niej krzywo.

— Raczej potwora z czarnej laguny. Kogo twoim zdaniem przypominam? Lona Chaneya*? Petera Lorre**? Ala Pacino z *Człowieka z blizną!*

* Lon Chaney (1883-1930), właśc. Alonzo Chaney; amerykański aktor filmowy i teatralny; sławę przyniosły mu role w filmach grozy.

** Peter Lorre (1904-1964) — właśc. Laszlo Loewenstein; niemiecki i amerykański aktor teatralny oraz filmowy pochodzenia węgierskiego; specjalizował się w rolach psychopatycznych morderców (*M jak morderca*).

— Wygląda pan świetnie.

— Zrób sobie zdjęcie mojego dobrego profilu, kochana.

Policjantka przysunęła krzesło.

— Jak się pan czuje?

— Hmm... Całkiem dobrze. — Zabębnił w blat biurka. — Zdobyłaś coś dla mnie?

Obniżyła głos.

— Ustaliłam, co robiła Alison.

Poe skinął głową i wyjął notes.

Patricia przejrzała notatki.

— No więc tak. W noc morderstwa Brittany Newel, Alison wyszła na kolację wczesnym wieczorem. Zweryfikowałam to z jej kartą kredytową i sprawdziłam w restauracji. Kelner ją zapamiętał. Siedziała

sama, zjadła krewetki i stek, była bardzo uprzejma. Kelner powiedział, że dała duży napiwek. Wyszła około... dwudziestej pierwszej. Sierżant zapisał w notesie.

— Kontynuuj.

— Nie poszła bezpośrednio do domu, ale zadzwoniła tam kwadrans po dziewiątej. Dowiedziałam się od firmy telefonicznej. Rozmawiała z ojcem, który został z chłopcami. — Odchrząknęła. — Powiedział mi.

— Doprawdy.

— Tak, pan Hennick był bardzo miły, lecz... no cóż... wydał mi się dość powściągliwy. Nie wiem, dlaczego. Może starał się ochronić córkę, może rzeczywiście nie pamięta tej rozmowy. Odbyła się w końcu miesiąc temu.

— Co ci konkretnie powiedział?

— Pamiętał, że Alison dzwoniła. Mówiła, że niedługo wraca do domu.

— Ile zajął jej powrót?

— Podobno przyszła do domu w kilka godzin później. Sądzę, że około dwudziestej trzeciej... może około północy.

— Duży Ray twierdził, że Newel wyszła z facetem w kapeluszu około dwudziestej drugiej trzydzieści. Skoro Alison przyszła do domu o dwudziestej trzeciej, nie zdążyłaby... Nawet w szaleństwie nie potrafiłaby działać tak szybko... porwać kogoś, a później go zamordować.

— Tak, jeśli jednak przyszła do domu później, około północy... wtedy miałyby dość czasu.

— Zadzwonię do Hennicka i spytam, czy potrafi sobie przypomnieć dokładną porę. A Jensen? Ma alibi?

— Według gońca, który go zaprowadził do pokoju w Big Top, Jensen spotkał się z Gretchen około północy.

— Goniec zaprowadził Jensena do pokoju?

— Dokładnie mówiąc, wprowadzał Gretchen. Mieli umowę.

— Ten goniec to sutener Gretchen?

— Współpracują.

Policjant przetrwał fakty. Newel wyszła z Kapelusznikiem około dwudziestej drugiej trzydzieści. Steve nie miał alibi na okres od tej godziny do pierwszej trzydzieści, gdy w końcu od: powiedział na wiadomość Poego... Dość czasu, by zrobić coś paskudnego.

— O której był anonimowy telefon z Big Top?

— Około północy, może później.

Sierżant strzelił palcami prawej ręki. Duży Ray pamiętał, że Newel wyszła z niskim, szczupłym mężczyzną. Słowo „mężczyzna” dyskwalifikowało Alison... chyba że się przebrała. Słowo „niski” dyskwalifikowało Steve'a... chyba że się bardzo zgarbił albo w inny sposób ukrył swój wzrost. Może Poe przesadzał, podejrzewając któreś z Jensenów. Do diabła, może Lewiston zabił obie dziewczyny!

Patricia zamknęła notes.

— I co? Czy moje informacje w ogóle nam pomogą?

— Czas pokaże. — Odczekał chwilę. — Mam dla ciebie kolejną robotę.

— Świetnie, o ile nie dotyczy botaniki — odcięła się. — Musiałam się skontaktować z setkami szkółek, podczas gdy szef odsypiał sobie w ciepłku ukąszenie węża.

— Znalazłaś coś ważnego?

— Gdybym się czegoś dowiedziała, powiedziałabym. Wszyscy hurtownicy w zachodniej części Stanów Zjednoczonych sprzedają te same trzy typy trawy, nasion i darni. Wszystkie to odmiany maratonu — kostrzewa karłowata, kostrzewa wysoka i kostrzewa średnia. Dobrze tu rosną.

Kolejna ślepa uliczka. Ale Poe nie spodziewał się rewelacji. Nie rozczarował się więc.

— Pojedziesz do Nagiego Miasta i pogadasz z dziwkami. Zrobiłbym to sam, ale moja twarz je odstraszy.

Deluca zareagowała nerwowo.

— Kiedy?

— Dziś wieczorem. Weź dla ochrony paru policjantów po cywilnemu.

— O co mam pytać dziewczyny?
— Czy którąś z nich jej alfons podsunął kiedyś Parkerboyowi.
— Szefie, jeśli spotkały się z Parkerboyem, prawdopodobnie zapłacił im za milczenie.

— Jeżeli zapłacił im za milczenie, to trzeba go przepłacić, a wtedy zaczną mówić. — Wręczył jej kopertę. — Z mojego osobistego skarbca. Spożytkuj je mądrze.

Patricia popatrzyła na banknoty w kopercie. Było tam około pięciuset dolarów w dwudziestkach.

— Nie mogę wziąć tych pieniędzy.

Zacząła mu je oddawać, jednak sierżant pchnął je z powrotem ku jej piersi.

— Jeśli zdobędziesz dowody, departament zrefunduje mi koszty. Gdybyś się dowiedziała, że któraś panienka spotkała się z Parkerem, niech ci opowie o jego skłonnościach.

— A jeżeli żadna nie była z Lewistonem?

— Wtedy spytaj je o Sarę Yarlborough. Ustal, czy spotkała się z nim kiedykolwiek. Do diabła, możesz nawet pogadać o A. A. Williamsie. Może któraś z dziewcząt wyzna ci, że nie uważa jego śmierci za nieszczęśliwy wypadek.

— A jeśli nadal nie będą mówić?

— Jeśli dziewczyny nie będą chciały mówić, możesz zatrzymać moje pieniądze.

Policjantka zamrugła.

— O ile wcześniej z nimi nie ucieknę...

— Kochana, gdy łamiesz prawo, rób to w wielkim stylu. Jak staroświeccy arystokraci bandyckiego fachu albo zuchwali przestępcy z Dzikiego Zachodu... lub choćby jak taki D.B. Cooper. Pamiętasz go, prawda? Wskoczył z samolotu na spadochronie z milionem dolców w plecaku. I nikt nigdy już nie zobaczył dobrego starego D.B. Oto różnica między drobnym złodziejaszkiem a legendą.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Kiedy ból zrobił się tak nieznośny, że przeszkadzał Poemu w pracy, sierżant się zwolnił. Przed szóstą siedział w swoim samochodzie. Zmierzał na kolację do Rukmani; czekało go spotkanie z mamą. Pięć minut drogi od mieszkania lekarki skręcił i skierował się do Honey. Po drodze jednak zastanowił się i zawahał. Ostatnio pożegnał się z callgirl dość cierpko. Sposób, w jaki dziewczyna mówiła o Rukmani...

„Jest taka spełniona”.

Szydziła. Chyba nikt nie mógł być równocześnie spełniony i seksowny...

Właściwie Poe nie lubił Honey — była próżna i egoistyczna — musiał wszakże zaspokoić dotkliwe ssanie w łądzwiach. Chciał się wyżyć bez komplikacji. Jasne, nie była jedyną znaną mu callgirl, ale z każdą inną trzeba się wcześniej umawiać. A Honey zawsze miała dla niego czas.

Niemniej jednak, gdy podjeżdżał do jej apartamentu, drżał mu żołądek. Zdał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy wcale nie pragnie szybkiego numerku. Pożądał prawdziwej miłości. Nagości, spoconych ciał... zatracenia się w seksie z kimś, do kogo żywił czułe uczucia. Miał ochotę zawieźć Rukmani na pustynię, położyć ją na kocu i wraz z nią pić dobry rocznik caberneta prosto z butelki. Potem rozebrać kobietę, ułożyć ją na plecach... Promienie zachodzącego słońca odbijałyby się od jej wilgotnej, orzechowej skóry. Policjant odwróciłby butelkę i wylał nieco wina na brzuch ukochanej. Potem przytrzymałby ramiona lekarki i powoli zlizalby...

Zahamował ostro. Zatrzymał się w ostatniej chwili! Zaledwie centymetry przed nim znajdował się tylny zderzak samochodu.

Poe wrócił do rzeczywistości.

Do diabła z Honey! Zawrócił auto i ponownie skierował się ku mieszkaniu Rukmani. Niemal przed samym budynkiem przepełnił go jednak lęk. Miał zobaczyć matkę... Tak słabą... Sam czuł się

niewiele lepiej. Potrzebował opieki... Ale wiedział, że mama potrzebuje jej bardziej.

Podniósł komórkę i wystukał doskonale znany numer. Odebrała Rukmani.

— Gdzie jesteś?

— Dwie przecznice od Alison. — Skłamał. — Nie rozmawiałem jeszcze z Jensenem. — To była prawda. — Dzwonił, że jest chory i nie przyjdzie do pracy. — To również była prawda. Powiedział tylko jedno kłamstwo w trzech zdaniach. Ciągnął dalej: — Pomyślałem, że wpadnę i sprawdzę...

— Jensen nie ma pagera?

— Łatwiej pomówić w cztery oczy.

Przez chwilę panowało milczenie. Rukmani mu nie wierzyła. O ironio, przecież tym razem był szczery.

— Jak sądzisz? Kiedy do nas dotrzesz? — Lekarka była wyraźnie poirytowana. — Emma wciąż o ciebie pyta, Romulusie.

Ogarnęły go wyrzuty sumienia.

— Daj mi godzinę — odrzekł.

— Zrób, co musisz. — Ściszyła głos. — Tęsknię za tobą, Rom. Chcę się z tobą kochać.

Poczuł grudę w gardle.

— Wierz mi, Ruki, czuję dokładnie to samo.

— Naprawdę?

Gdyby tylko wiedziała...

— Myślisz, że uda nam się dziś wieczorem ukraść kilka minut tylko dla siebie?

— Mam wielką nadzieję, że tak. — Po sekundzie pauzy dodała: — I mam nadzieję, że ukradniemy więcej niż kilka minut.

U Jensenów nie było nikogo.

Sierżant stał na progu z telefonem w rękę, pot spływał mu po twarzy. Słońce już zachodziło, lecz promienie nadal gotowały wszystko, co napotkały na swojej drodze. Poe wytarł czoło chusteczką, po czym wyjął tubkę z maścią i posmarował ranę. Balsam okazał się

galaretowaty i spływał mu po policzku. Policjant starł nadmiar, potem połknął środki przeciwbólowe. W głowie mu tętniło, skóra wydawała mu się twarda niczym stary stek. Wystawił się na słońce na ledwie pół minuty, a czuł taki ból, jakby się opalał przez wiele godzin.

Wrócił do samochodu, włączył klimatyzację na najwyższy stopień i wysłał wiadomość na pager Jensena. Przez kwadrans czekał, aż Steve oddzwoni; po upływie tego czasu miał pewność, że odpowiedzi nie będzie. Powinien uruchomić hondę i pojechać prosto do Rukmani. Podjął inną decyzję — wyjął wytrych i ponownie wysiadł.

Otwarcie frontowych drzwi zajęło mu minutę. Wszedł do pustego domu.

W środku było gorąco i duszno.

Ktoś zamknął szczelnie okna i wyłączył klimatyzację. Mieszkańcy Las Vegas nigdy tak nie postępowali, jeśli mieli wyjść tylko na kolację. Utrzymywanie raz ustawionej temperatury zabierało bowiem mniej czasu i energii niż ponowne ochłodzenie mieszkania.

Przeważnie tutejsi ludzie wyłączali klimatyzację tylko wtedy, jeśli planowali wypad na całą noc. Poe sprawdził w notesie numer Geralda Hennicka, ojca Alison, i zadzwonił do niego. Po piętnastu sygnałach zrezygnował. Dlaczego stary nie odbierał? Wyszedł? A może coś mu się stało? Chyba sierżant powinien go odwiedzić. Nagle zadał sobie pytanie, dlaczego tak się martwi o bezpieczeństwo Hennicka.

Wysłał wiadomość na pager Patricii. Kiedy policjantka oddzwoniła, usłyszał w tle gwar rozmów i głośną muzykę.

— Przeszkodziłem w czymś?

— Jestem w knajpcie „U Barry'ego”. Zbieram siły na wyjazd do Nagiego Miasta.

— Brzmi przyjemnie.

— Tak, jeśli ktoś lubi łysych, tłustych facetów. — Roześmiała się.

— Dobrze, że Nate nie słyszy. Właśnie robi kanapki. Wpadliśmy po drodze do Myry po autentycznie koszerne jedzenie na wynos.

Zaoferowała nam mnóstwo mięs, ale nie miała serów... Więc Big Ray dodał ze swoich osobistych zapasów *provolone** i parę kawałków różnych szwajcarów. Mamy spory wybór niezłego żarcia, gdyby chciał pan wpaść i coś przekąsić.

* *Provolone* (wł.) – włoski dojrzwały, podwędzany ser o jasnym kolorze.

— Chciałbym, niestety, muszę grać rolę troskliwego syna.

— Jak się miewa pańska matka?

— Lepiej, dzięki. — Po chwili spytał. — Patty, możesz swobodnie rozmawiać?

— Och... Zadzwoń jeszcze raz za pięć minut.

Zadzwońska po dwóch.

— Rozmawiałaś dziś rano z Jensenem? — spytał sierżant.

— Nie. Dzwonił, że jest chory.

— Tyle wiem. Kto z nim rozmawiał?

— Chyba Molly albo Brenda.

— Nie ma go w domu — poinformował ją Poe. — Dokładnie rzecz ujmując, nikogo nie ma w domu. Nawet dzieci.

— Może Jensen poczuł się lepiej i zabrał rodzinę na kolację.

— Hmm... Klimatyzacja jest wyłączona. Po co ją wyłączać, jeśli wychodzi się tylko na parę godzin?

— Skąd pan wie, że jest wyłączona?

— Jestem w środku.

Zapadło skonsternowane milczenie.

— Dobra, nie pytam o nic więcej. — Kolejna pauza. — Sierżancie, może Jensen wziął dzieci i pojechali do Alison. Na posterunku wykręcił się chorobą, ponieważ zbyt kłopotliwe wydało mu się tłumaczenie, dokąd jedzie.

Idealnie racjonalne wyjaśnienie. W ten sam sposób można było wyjaśnić nieobecność Hennicka. Jensen mógł zabrać również teścia do Alison.

— To ma sens.

— Coś jeszcze?

— Kto jedzie z tobą do Nagiego Miasta?

— Marine Martin.

- Patricio...
- Niezły z niego siłacz, szefie. Damy sobie radę.
- Lubię go... prywatnie, lecz do takiego zadania absolutnie się nie nadaje. Ma odznakę wypisaną na twarzy...
- Błagał mnie o to! Pali się do pracy w terenie.
- Nikt tam nie będzie z nim gadał. Ten facet nie umie rozmawiać. Potrafi tylko wydawać rozkazy. I każdemu salutuje.
- Kazałam mu się trzymać z tyłu i z daleka monitorować sytuację. Wie pan, tajny agent... Spodobało mu się to porównanie. Poza tym, skoro nie ma Jensena, tylko jego mogę załatwić w tak krótkim czasie. No i ma naprawdę dobre oko do szczegółów.
- Tak, to świetny detektyw... póki nie musi pracować z ludźmi.
- Będę go trzymać w odwodzie. — Po minucie spytała: — Coś jeszcze? Wie pan, czekają na mnie. Jest pan pewien, że nie chce się do nas przyłączyć?
- Nie, nie dziś. Ale dzięki za propozycję. Zawiadom mnie, gdy skończysz w Nagim Mieście.
- Będzie późno.
- Nie zamierzam kłaść się przed świtem. Czekam na twój telefon.

Rozłączył się, po czym kilkakrotnie z namysłem poklepał dłonią aparat. Wiedział, że powinien wyjść z domu Jensenów. Jednak... skoro dotarł już tak daleko...

Zaczął od szafy w sypialni. Pobieźnym spojrzeniem obrzucił wiszące tam ubrania. Było ich sporo, ale po stronie Alison dostrzegł też parę pustych wieszaków. Jakiś tuzin. Więcej, niż się spodziewał. Czyżby Jensen zapakował kilka sukienek dla żony, aby w szpitalu czuła się bardziej swojsko?

Sprawdził stronę Steve'a — tu także zauważył puste wieszaki.

No i co z tego? Może Jensen zaniósł do pralni kilka koszul, a po powrocie nie miał czasu ponownie ich powiesić. Nic nie sugerowało ucieczki.

Na podłodze szafy stało dziesięć par męskich butów i około

piętnastu par damskich, w rogu zaś piętrzył się stos pudełek po obuwiu. Poe chwycił najmniejsze — po damskiej siódemce — i wysunął z szafy, by obejrzeć je w świetle. Na boku pudełka widniał napis: „BADANIA”. Wyraziste litery wypisane czarnym mazakiem. Sierżant uniósł pokrywkę.

Duch z szafy... Krótka historia Lindy Paulson Hennick w zdjęciach i wycinkach gazetowych. Poe rozłożył je na łóżku w porządku chronologicznym.

Wyłuskał szereg pozólkłych czarno-białych zdjęć młodej Lindy. Na jednym miała około ośmiu lat i była w długiej białej sukience komunijnej; jej szyję ozdobił filigranowy krzyżyk. Starszy chłopiec z wystającymi zębami wręczał jej jakąś księgę. Sierżant przyjrzał się tomiśku zmrużonymi oczami i odczytał tytuł: *Księga mormonów*. Wziął następny komplet starych skrawków gazetowych. Jeden pochodził z „Deseret News”. Fotka przedstawiała Lindę po zwycięstwie w stanowym konkursie literowania. Radosny uśmiech, idealnie zakręcone włosy... Drugi wycinek był z lokalnej gazety wydawanej w Utah. Na zdjęciu Linda prezentowała czerwoną wstążkę, którą wygrała w kościelnym konkursie wypieków.

Dobra mała mormonka.

Następny zestaw fotografii — już nie czarno-białych, lecz równie wyblakłych, odbarwionych fotek — pokazywał ubraną w dżinsy wesołą nastolatkę o podniecająco wydętych usteczkach.

Tę samą minę często przybierała Alison.

Kolejny zbiór skupiał się wokół Lindy popisującej się figurą w dwuczęściowym stroju kąpielowym. Kostium był dość pełny, typowa moda lat pięćdziesiątych... Lecz to jej spojrzenie! Był w nim autentyczny głód miłości. A może raczej głód seksu, jeśli Poe miał być precyzyjny. Późniejsze fotografie przedstawiały dorastającą ślicznotkę. Zdjęcie szkolne: Linda w angorowym sweterku, z końskim ogonem i sznurem pereł na szyi. Duży artykuł z gazety i fotka: Linda z różdżką w dłoni i w koronie na głowie. Podpis głosił:

Panująca Królowa Piękności miasta St. George.

Linda Joanne Paulson: Królowa z ostatniej klasy szkoły Hamilton High.

Następnie sierżant znalazł parę późniejszych zdjęć — z Geraldem Hennickiem. Na jednym z nich dziewczyna miała na sobie lekką bluzkę bez rękawów i kolorowe bawełniane spodnie; na głowie miała przepaskę. Jej towarzysz założył koszulkę z krótkim rękawem i dżinsy. Trzymali się za ręce, lecz patrzyli na siebie spode łba, ona bardziej niż on. Poemu przyszła na myśl złagodzona wersja Jamesa Deana z gniewną Natalie Wood.

Sierżant przeglądał dalej strzępki życia nieżyjącej od lat kobiety. Natknął się na spłowiełe zdjęcie z gazety „St. George Telegraph”. Grupowe zdjęcie dwudziestu nastoletnich dziewcząt — dziesięć stało, dziesięć klęczało przed nimi. Na twarzy Lindy Hennick (klęczała z przodu, druga od lewej) ktoś zakreślił duże czarne kółko.

Policjant zagapił się na fotografię. Młode twarze dorastających dziewcząt. Z jakiegoś powodu zdjęcie wydało mu się znajome, choć nie potrafił podać przyczyn tego odczucia. Tak czy owak, fotka urzekła go; szerokie uśmiechy podlotków sprawiały wrażenie autentycznie szczerych. Jakby dziewczyny naprawdę dobrze się bawiły... Schował wycinek do kieszeni.

Zadzwoił jego telefon komórkowy. Głos Patricii był spięty.

— Nie wiem, czy to coś znaczy, ale pomyślałam, że przekażę...

— Wal.

— Chodzi o Jensena. Zaskoczył mnie pan, więc zadzwoniłam do szpitala, gdzie przebywa Alison...

— No słucham!

— Przedstawiłam się jako detektyw, naciskałam i w końcu połączono mnie z doktorem Randem, dyrektorem administracyjnym. Powiedziałam mu, że próbujemy zlokalizować detektywa Jensena, że mamy nagły przypadek... — Przerwała na chwilę. — Szeffie, Alison wypisała się dziś rano. Właściwie wypisał ją mąż, wbrew prośbie lekarzy.

Poe zerwał się na równe nogi.

- Czy ten doktor Rand wie, dokąd pojechali?
- Nie. Powiedział zresztą, że nawet gdyby wiedział, nie zdradziłby mi tej informacji. Wspomniał coś o tajemnicy lekarskiej...
- Ten facet jest lekarzem, czy tylko urzędasem?
- Nie mam najmniejszego pojęcia. — Chwilę milczała. — Dlaczego Steve to zrobił, szefie? Najpierw sam ją tam wpakował, a potem zabrał wbrew zaleceniom lekarza. To się nie trzyma kupy.

Rzeczywiście, dlaczego?

Może Alison nie była w aż tak złym stanie, jak sądził Poe. A jeśli w jej słowach była część prawdy? Jeśli Jensen rzeczywiście usiłuje się jej pozbyć? Albo postanowił przenieść żonę do jakiegoś odległego domu wariatów, a sam będzie się zabawiać ze swoimi dziwkami... Może Poe powinien potraktować słowa Alison poważniej.

Istniała jeszcze druga możliwość. Alison rzeczywiście była wariatką, lecz potrafiła narzucić innym swoją wolę i w jakiś sposób namówiła Jensena, aby zabrał ją z zakładu. Planowała uwolnić się od niego, uciec i żyć dalej w swoim szalonym, psychotycznym świecie. Jeżeli zechce, będzie mogła nawet popełnić samobójstwo.

Obie opcje jakoś sierżantowi nie pasowały.

Dwie brutalnie zamordowane kobiety, a wszyscy podejrzani byli nietykalni, zginęli albo zaginęli.

- Okej, Patricio, skoncentruj się teraz na Nagim Mieście. Wykonam parę telefonów.
- Uprzedzałam pana, że nie wiem, czy ma to jakieś znaczenie.
- Na pewno ma, Patricio. Najważniejszy jest w tej chwili... no cóż... czas. Musimy działać szybko.

Rozdział trzydziesty

— Takie są fakty — oświadczył Weinberg. — Jensen poprosił mnie o parę dni wolnego i zgodziłem się. Biorąc pod uwagę okoliczności, prośba wydała mi się uzasadniona. Koniec faktów.

Poe policzył w myślach do dziesięciu.

— Nie masz więc pojęcia, dokąd pojechał?

— Błatego.

Sierżant zatrzymał się na czerwonym świetle i przełożył komórkę do drugiego ucha.

— Musiał coś sugerować.

— Powiedział tylko, że wyjeżdża z Alison i chłopcami na jakiś czas. Chcieli odpocząć i zrelaksować się.

— Nie wymienił żadnego miejsca?

— Czekał, teraz przypomniałem sobie, że wzmiankował coś o nurkowaniu z akwalungiem. Może gdzieś koło Cabo de San Lucas.

Poe o mało nie parsknął śmiechem.

— Podpuszczasz mnie, szefie.

— Jasne, że podpuszczam. — Weinberg wyraźnie się zirytował. — Niczego nie zatajam. Nie powiedział mi, dokąd jedzie, a ja nie wypytwałem. Wyglądał dość kiepsko. Prawdę mówiąc, chciałem go odsunąć na jakiś czas. Nie bardzo nam się przydaje od czasu załamania żony.

Sierżant spróbował innej taktyki dla podtrzymania rozmowy.

— Bardzo się martwię o bezpieczeństwo Alison. Steve zabrał ją ze szpitala wbrew zaleceniom lekarza. Alison potrzebuje leków, kiedy się zdenerwuje. Jensen może nie do końca zdaje sobie sprawy, do czego ona jest zdolna.

— Poe, jestem pewien, że Steve zna swoją żonę znacznie lepiej niż ty. Skoro zabrał ją z zakładu... — Weinberg wyraźnie ironizował. — Lekarze nic nie zrobili dla tej biednej kobiety. W końcu choruje... od lat.

— Dlatego właśnie powinna pozostawać pod obserwacją specjalistów.

— Słuchaj, stary, w czysto teoretycznej dyskusji przyznałbym ci rację. Nie jestem jednak Steve'em, nie wiem, co mu się roi we łbie, i nigdy nie żyłem z kobietą, która ma problemy psychiczne. Mój podwładny poprosił mnie o trochę wolnego na „odbudowę rodziny”, a ja się zgodziłem. Powinieneś to zrozumieć i żyć dalej.

Poe przełknął sarkazm przełożonego.

— Alison to moja stara przyjaciółka, szefie. Martwię się o nią.

Porucznik złagodził ton.

— Wiem, wiem. Tyle że ona jest żoną Steve'a. Jeśli chcesz zachować nos w jednym kawałku, to nie wtykaj go tam, gdzie nie należy.

Hmm, życiowa sentencja porucznika Micka Weinberga.

— Jeśli pojawi się coś nowego, natychmiast daj znać, dobrze?

— Jasne. — Przerwa. — A w ogóle, jak się miewasz?

— Naprawdę w porządku.

— A twoja twarz? Wygląda dobrze?

— Nie bardzo, raczej paskudnie. Na szczęście nie boli.

Weinberg zachichotał.

— Odpocznij trochę. Po czym się rozłączył.

Poe wcisnął guzik kończący rozmowę, złożył telefon i schował go do kieszeni. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Jego wieczorno-nocne plany erotyczne obracały się wniwecz, gdyż gnębiły go zgryzoty i zmęczenie. No i ta perspektywa opieki nad matką...

Nic nie zabija romansu szybciej niż obecność matki.

Mimo zastrzeżeń sierżanta Patricia cieszyła się, że ma obok siebie Marine Martina. Może i nie był mistrzem kamuflażu, wydawał się jednak spostrzegawczy i czujny. Przy wzroście metr, osiemdziesiąt Martin był dość chudy, miał obwisły podbródek, a równocześnie szerokie ramiona, dzięki codziennym treningom na siłowni. Był łysy, a z powodu bardzo jasnej karnacji panicznie obawiał się raka skóry, toteż — między innymi dlatego — nie miał nic przeciwko pracy w nocy.

Na dzisiejszą akcję ubrał się tak niedbale, jak tylko potrafił: w spodnie khaki i koszulkę polo, ale i tak wyglądał raczej na zagubionego turystę niż stałego bywalca „podziemnego” świata. Kiedy zbliżyli się do Nagiego Miasta, Patricia zmierzyła go krytycznym spojrzeniem.

— Rozejrzę się trochę i pogadam z ludźmi. — Ubrana była w czarne spodnie i luźną długą bluzę, pod którą skrywała broń. — Ty po prostu sobie pochodź i miej oczy szeroko otwarte.

— Jak jakiś turysta z Needle, który późnym wieczorem wybrał się na spacer?

— Dokładnie.

Podniósł dwa palce do czoła i zasalutował.

— Nie martw się o nic, Patricio. Mam doświadczenie w inwigilacji.

— Cieszę się, Martin, tylko już więcej nie salutuj.

— Okej. — Tuż przed Nagim Miastem wyszeptał: — Idź i wykonuj zadanie. Zadbam o twój tyłek.

Policjantka nie była tego zbyt pewna, tym niemniej weszła w mrok i poczekała, aż jej wzrok przyzwyczai się do otoczenia. W końcu dostrzegła pierzchające na wszystkie strony postaci ludzkie. Zrozumiała, że jeśli chce się czegoś dowiedzieć, musi zamachać banknotami. Wyjęła z kieszeni dwudziestkę i podniosła ją wysoko. Natychmiast zjawiała się dilerka cracku — biała nastolatka w luźnej spódnicy i krótkim podkoszulku. W dwóch palcach trzymała spory woreczek z narkotykiem.

Patricia skinęła na nią. Dziewczyna zawahała się i Patricia ponowiła ruch.

— Szukam chętnej panienki.

Nastolatka zerknęła na swoje buty.

— Za dwadzieścia dolców?

— Dam więcej, jeśli znajdę to, czego szukam.

Dziewczyna ostentacyjnie lustrowała krzykliwie pomalowane panokkie swoich rąk. Brak kontaktu wzrokowego był elementem gry.

— Dla pani?

- Nie, dla pewnego dużego gościa.
- Dużego czyli tłustego?
- Nie, dużego w sensie posiadania wielkich pieniędzy... i władzy...

Nagle nastolatka bez słowa uciekła w stronę zwalniającej białej hondy.

Policjantka została sama. Zastanawiała się, co zrobiła źle. Czyżby na odległość leciało od niej gliną? Uznała, że za wcześnie się przejmować. Wokół było mnóstwo dziewczyn. Po kilku minutach zauważyła młodego chłopca. Szedł w jej stronę. Potrząsnęła głową, a wtedy dzieciak zrobił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i zniknął.

Znowu poczekała na właściwy moment. Nie trwało to długo. Szybko zbliżyła się do niej kolejna biała nastolatka w czarnej sukience mini. Wyciągnęła palec wskazujący. Gest ten oznaczał propozycję zakupu narkotyku. Należało odpowiedzieć twierdząco lub przecząco.

Patricia pospieszyła do dziewczyny i zmierzyła ją wzrokiem. Jej rozmówczyni była bardzo młoda.

— Potrzebuję chętnej panienki. — Po czym dodała: — Dobrze płacę.

— Do czego jej pani potrzebuje?

— Ma być po prostu miła dla pewnego nadzianego faceta. Kogoś bardzo, bardzo forsiastego.

Dziewczyna potrząsnęła głową i odeszła. Fakt ten nie tylko zakłopotał Patricję, ale i wytrącił z równowagi. Coś, co robiła — albo mówiła — odrzucało młodzieńcze dilerki... Weszła głębiej w ciemność i zapaliła papierosa. Wydychała rzadkie smugi dymu i obserwowała, jak wznoszą się w zachmurzone nocne niebo.

Czekała.

Nagle poczuła czyjąś obecność. Podskoczyła, potem zdała sobie sprawę, że u jej boku stanął Marinę Martin. Gniewnie wyszeptwała:

— Co robisz?

— Zniknęłaś mi z pola widzenia...
— Martin, mam mikrofon. Słyszysz mnie...
— Wizualny kontakt to najważniejszy element w inwigilacji.
Dźwięki można czasem zinterpretować niewłaściwie.

— Znikaj, zanim mnie zdekonspirujesz.
Ostrzegawczo pokiwał jej palcem.
— Najważniejsze jest bezpieczeństwo, Deluca.
— Znikaj!
— Twoja metoda jest do bani. Bez mojej współpracy niczego nie osiągniesz...

— Idź już!

Martin syknął, po czym zostawił ją samą w pustce. Była strapiona, lecz jednocześnie wdzięczna za jego ostrożność.

Nie miała ochoty czekać na następną kandydatkę. Woląca wymusić rozmowę. Schowała dwudziestaka, wyjęła dwa banknoty pięćdziesięciodolarowe. Przeczesała wzrokiem teren i zobaczyła czyjeś szalone oczy wpatrzone w nią z uwagą. Podeszła na skraj mroku i podniosła otwartą dłoń. Dziewczyna zbliżyła się do niej.

— Towar? — spytała.

Policjantka pokazała jej pięćdziesiątkę.

— Potrzebuję chętnej panienki.

Dilerka zerknęła przez ramię.

— Do czego?

— Zwykle spotkanie.

Dziewczyna rozejrzała się nerwowo.

— Musi być szybko. Mój facet nie lubi, gdy przepadam na zbyt długo. Gdzie samochód?

— Nie mam samochodu. Przejdź się ze mną.

Potrząsnęła głową.

— Nie mogę. Jeśli nie wrócę za dwie minuty, alfons mnie wypieprzy.

Tym razem Patricia pokazała jej oba banknoty.

— Potrafisz być miła dla kogoś?

— Dla kogo?

— Potężny facet. Mocno forsiasty.

Oczy dziewczyny zwęziły się.

— Dlaczego ja?

— Lubi młode.

— Och nie. — Odwróciła się z zamiarem odejścia, tym razem jednak policjantka poszła za nią.

— Ma strasznie dużo pieniędzy.

— Na nic mi się nie przydadzą, jeśli będę martwa jak inne.

Zaczęła biec. Patricia chwyciła ją za ramię.

— Jakie inne? Porozmawiaj ze mną o tym.

Dziewczyna wywinęła się z uchwytu.

— Odwal się! Umknęła.

Deluca ruszyła za nią, ale po kilku krokach się zatrzymała. Przez chwilę stała w ciemnościach, sapiąc i zastanawiając się, co robić... Nagle poczuła, że ktoś szarpnął ją w tył.

Czyjeś ramię zaciskało się na jej gardle!

Dusiło ją!

Policjantce brakowało powietrza!

Popatrzyła w dół... Dostrzegła parę butów...

Nadepnęła z całej siły na but. Gdy nacisk na jej tchawicę zelżał, w obie ręce schwyciła ramię, po czym — balansując i wprawnie wykorzystując własny ciężar — przerzuciła napastnika do przodu.

Mężczyzna zwałił się z łoskotem. W następnej sekundzie błyskawicznie, jak spod ziemi, pojawił się Marine Martin i usiadł na nim okrakiem. Brutalnie przystawił broń do głowy agresora.

— Policja! — wrzasnął. — Nie ruszaj się! Spróbuj choć mrugnąć, to cię rozwalę!

Oszołomiona Patricia nadal dyszała. Tymczasem jej towarzysz wyjął kajdanki i zakuł swoją ofiarę.

— Dobra robota! — Martin oddychał ciężko. — Dobra robota! — Teatralnie zaczął wygłaszać mężczyźnie jego prawa.

Policjantka przerwała mu w pół zdania. Złapała za zapięte kajdanki i szarpnęła napastnika w górę, do pozycji siedzącej. Pochyliła mu się nad uchem i wyszeptwała:

— Masz broń wycelowaną w głowę, dupku. Rusz się, a twój mózg zmieni się w galareteę.

Mężczyzna skinął głową. Biały, pod trzydziestkę. Nie wydawał się wysoki, lecz był cholernie tłusty. Miał ogromny, obwisły brzuch. Jak, w imię Boga, zdołała przerzucić takie cielsko? Nagle poczuła, że jest cała obolała. Alfons miał długie, rozwichrzone włosy w odcieniu brudnawego blondu, na brodzie — parodniowy zarost. Patricia przysunęła się blisko niego. Mężczyźni śmierdziało z ust.

— Dlaczego mnie zaatakowałeś?

— Pieprz się, świnió! — Splunął na nią.

Starła ślinę z policzka, po czym grzmotnęła faceta pięścią w nos. Krzyknął, gdy z nozdrzy połała mu się krew.

— Wygląda na to, że nasz przyjaciel nieszczęśliwie upadł. Nie wiadomo tylko jeszcze, jak groźne odniósł obrażenia.

Marine Martin posłał jej badawcze spojrzenie.

— Może go już zabiorę, pani detektyw?

Policjantka zignorowała pytanie. Chwyciła siedzącego mężczyznę za tył kołnierza i pchnęła twarzą ku ziemi. Teraz nie mógł już na nią napluć. Zaczęła powoli sączyć mu do ucha kolejne zdania:

— Trafił ci się interes życia, facet. Trzymaj swoją paskudną gębę na kłódkę, a zamknę cię i pozwolę ci zgnić w mamrze. Chyba że będziesz współpracował... Wtedy może cię puszcze.

Alfons wyczuł okazję wyjścia z opresji, a przy okazji trafienia paru dolców. Przestał przeklinać. Patricia poderwała go w górę, aż usiadł. Kucnęła obok niego i obserwowała, jak zlizywał krew z górnej wargi. Sięgnęła do kieszeni i pokazała tłuszciochowi kilka pięćdziesiątek.

— Widzisz je? No... zobaczmy, czy jesteś rozmowny.

Mężczyzna zerknął na banknoty i skinął głową.

Marine Martin wyglądał na przerażonego.

— Sądzę, że powinniśmy zawieźć go...

— Minutka, Martin. — Do alfonsa powiedziała: — Zaczniemy od początku. Dlaczego na mnie napadłeś?

— Pieprzysz się z moimi dziewczynami. Chcesz ubić interes, to gadaj ze mną.

— Rozpytywałam o młodą chętną panienkę. Ilekroć jednak wspomniałam, że chodzi o usługę dla ważnego faceta z pieniędzmi, zamiast się ekscytować, uciekały. Wyjaśnij mi to w dziesięciu słowach, albo jeszcze krócej.

Jego przypominające paciorki oczy zagapiły się na twarz Deluki.

— Daj mi te pięćdziesiątki, to może ci pomogę.

Marine Martin wyglądał na szczerze zatrwożonego.

— Zamierzasz go puścić?! Ten człowiek wymusza od ciebie pieniądze! No i musi trafić do więzienia za napaść!

— Może i trafi. Ale nie martw się, nie dam się wykorzystać — odparła, po czym ponownie zwróciła się do alfonsa: — Na razie jedna pięćdziesiątka jest dla ciebie, stary, oczywiście jeżeli spodoba mi się twoja odpowiedź.

— Daj mi chusteczkę. Krew mi leci z nosa.

Patricia znacząco podniosła wzrok na Martina.

— Możesz mu pomóc?

Policjant skrzywił się, lecz wyciągnął z kieszeni chusteczkę i starannie wytarł mężczyźnie nos. Później rzucił mu zakrwawiony płacheć na kolana.

— Zatrzymaj ją.

— Czekam na odpowiedź — mruknęła Deluca. Alfons zebrał ślinę i splunął na bok.

— Bogaty facio może tu przychodzić... tylko z jednego powodu. Gdy potrzebuje jednorazowego mięsa. W przeciwnym razie, zrobiły sobie zakupy w sklepie dla takich jak on. Jeśli przychodzi tutaj, chce czegoś, co wykorzysta, a później wyrzuci. Lubię, gdy każda z moich lasek jest w jednym kawałku. Dlatego kazałem im się trzymać z dala od facetów, którzy zbyt wiele obiecują. Jeśli dziewczyny mnie słuchają, zwykle dłużej żyją.

— Więc bywają tu czasem bogacze, kolego?

— Nie podam ci żadnych nazwisk, ponieważ ich nie znam. Poza tym bogaci faceci nigdy nie przychodzą osobiście. Wysyłają pośredniczki. Ich własne dziwki załatwiają dla nich młody towar.

- Kto tutaj prowadzi interesy z takimi pośredniczkami?
- Tylko głupi popaprańcy. Debile, którzy potem giną w wypadkach samochodowych.

Ali Abdul Williams!

- Rozumiem.

Alfons wzruszył ramionami.

- Cóż, wypadki się zdarzają.
- Rzeczywiście. — Wręczyła mu pięćdziesiątkę i wyjęła następną.
- Podaj mi nazwiska pośredników lub pośredniczek, koleś. Ale zanim coś powiesz, dobrze się zastanów. Ponieważ mam czuja do kłamstw. Pamiętaj, że na twoich łapach ciągle tkwią kajdanki, a ja bynajmniej nie przestałam się wkurzać.

Mężczyzna popatrzył z chciwością na pieniądze, potem na kobietę.

- Nie znam nazwisk. Ale za forszę mogę puścić nieco farby.

Wsunęła mu do kieszeni spodni kilka banknotów.

- Mów.

— Jest taki Nali Abousayed — odrzekł. — Kręci się w pobliżu Lady Slipper. Nie sposób go z nikim pomylić. Gnojek jest typowym Arabem. Nosi luźne złote szaty.

Lady Slipper należało do kasyn Parkerboya!

- Abousayed jest pośrednikiem jakiegoś bogacza?

— Nie, sam jest bogaczem. Ale dostaje swoje babki z Lady Slipper.

„Czyli, że dziwki załatwia mu Lewiston”, dopowiedziała w myślach policjantka.

- Gadaj dalej — zachęciła alfonsa.

— Bywa tutaj jedna z ulubionych dziwek Naliego. Widziałem ją. Przychodziła kupować młode dziewczyny.

- Jak wygląda?

— Blondynka. Wszystkie jego dziwki to blondynki. Arabowie lubią blondynki.

— Mógłbyś podać mi nieco dokładniejszy rysopis tej konkretnej blondynki?

- Niech mi pani pokaże zdjęcia. Może coś sobie przypomnę.

Patricię ogarnął sceptycyzm. Facet wydawał się zwyczajnym oszustem i pewnie opowiadał jej to wszystko wyłącznie po to, by ocalić tyłek. Z drugiej strony... może jednak znalazła jakiś ślad...

— Lady Slipper to duże kasyno. Czy Abousayed ma jakieś ulubione miejsca, w których bywa?

— Rzuca na stoły grube zwitki gotówki.

— Gra w kości czy w oczko?

— W bakarata.

Wymówił to słowo z francuska, stawiając akcent na ostatnią sylabę.

Coś takiego możliwe jest tylko w Las Vegas.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Całe pięć minut zabrało Emmie wstanie z łóżka, kolejne pięć — założenie szlafroka. Nogi miała jak z waty, ledwo się na nich trzymała, nie zamierzała się jednak poddawać. Szła, powoli stawiając jedną nogę przed drugą. Najpierw dotarła do łazienki, żeby opróżnić pęcherz. Była dumna, że może to teraz robić sama.

Gdy się załatwiła, poczuła nagle pragnienie. Miała dwa wyjścia — mogła zawołać Rukmani lub przedsięwziąć samotną wyprawę do kuchni. W ciemnościach! Wybrała samodzielność.

Szła niezbyt szybko, lecz wytrwale. Tak, tak, powinna ciągle iść!

Gdy dowlokła się do salonu, niepewnie zmrużyła oczy. Nie myliła się — z kuchni sączyło się światło.

Włamywacz!

Głodny włamywacz?!

Bardziej prawdopodobne, że jej syna lub jego przyjaciółkę męczyła bezsenność. A nawet jeśli był tam włamywacz, co może jej zrobić? Zastrzeli ją? Żaden stan nie może być gorszy od aktualnego. Zebrała

wszystkie siły i zdołała pchnąć ramieniem wahadłowe drzwi.

Romulus podniósł wzrok, po czym wstał.

— Mama? Wszystko w porządku?

— Tak, tylko zachciało mi się pić.

Poe zauważył, że oczy Emmy zwięzły się do szparek, więc wyłączył światło.

— Wróćmy do salonu. Tam będzie ci wygodniej...

— Jest świetnie.

— Chodź. — Wyprowadził ją w mrok i posadził na tapczanie. — Co ci przynieść? Wody? Soku? Lemoniady?

— Wystarczy woda. — Mrugnęła porozumiewawczo, siląc się na żart, ale jej słowa zabrzmiały głucho: — Najlepiej ognista.

— Przykro mi, ale z tym koniec. Zaraz wrócę.

Zamknęła oczy i opadła na poduszki. Na odgłos jego kroków zmusiła się i wyprostowała.

Podniósł szklankę z wodą do jej ust.

— Proszę, pij.

Woda była chłodna i świeża.

— Jestem potwornie zmęczona, a mimo to nie mogę spać.

— Zawsze miałaś kłopoty ze snem. Terapia prawdopodobnie całkowicie zwichrowała twój wewnętrzny zegar.

— Jak się miewasz?

— Ja? — parsknął. — Świetnie. Poszedłem nawet dziś do pracy.

— Kiedy zabierzesz mnie do domu?

— W niedzielę.

Mimo zmęczenia rozpromieniła się.

— W niedzielę?

— Tak, w niedzielę. — Już jej to wcześniej mówił. Musiała zapomnieć. — To będzie za pięć... nie, od dziś zaledwie za cztery dni.

Serce w niej zamarło.

— Całe cztery dni?!

— Minie szybko. — Uśmiechnął się. — Zamierzam nawet dla ciebie gotować.

— Chyba raczej planujesz mnie wykończyć.

Posłał jej słaby uśmiech.

— Może powinnaś spróbować zasnąć...

— Pierwszy raz od miesiąca jesteśmy we dwoje i tak szybko masz mnie dosyć?

— Martwię się o twoje zdrowie, mamo.

— Zajmij się lepiej własnym. — Wzięła głęboki wdech, po czym gwałtownie wypuściła powietrze. Szczupłe palce powoli podniosły się do rany na twarzy Poego i Emma dotknęła jej łagodnie. — Jak się czujesz?

— Dobrze. Naprawdę — zapewnił ją ponownie. — Wygląda paskudnie, lecz nie boli.

— Powinieneś się przespać.

— Masz rację. Położę się natychmiast, gdy tylko przemyślę pewne szczegóły sprawy, którą się zajmuję.

— Poczekam na ciebie...

— Mamo...

— Muszę najpierw dopić wodę.

Podniósł szklankę i przysunął jej do ust. Chwyciła naczynie w dłonie.

— Nie jestem inwalidką. Mogę pić sama.

Usiadł prosto na tapczanie.

— To przykre być zależnym od innych osób.

— Nieprawda.

Odwrócił się do niej i pocałował ją w pomarszczony policzek.

— Wkrótce poczujesz się lepiej.

Zagryzła wargę, by powstrzymać ją przed drżeniem.

— Być może — odburknęła.

— Lekarze twierdzą, że robisz niesamowite postępy.

— Nienawidzę lekarzy. — Skupiła spojrzenie na synu. — Kiedy sprowadzisz mi szamana?

— Przypomnę o nim Y. Odwiedził cię podobno w szpitalu...

— Tak, tak, był dwukrotnie. Kiedy wraca Remus?

Sierżant uśmiechnął się w myślach. Jeszcze z nim nie zamieszkała, a już tęskniła za swoim „dobrym” synkiem.

— Będzie tu w niedzielę. Pomoże ci się przeprowadzić do mojego domu. — Przerwał. — Tęsknisz za nim, prawda?

Wzruszyła kościstymi ramionami.

— Znosił mnie przez piętnaście lat. Przypuszczam, że teraz twoja kolej.

Milczał.

— Przeraza cię perspektywa opieki nade mną — oświadczyła niespodziewanie.

— Wcale nie.

— Kłamiesz. — Roześmiała się, ale jakoś słabo. — My, członkowie klanu Poe, jesteśmy jedną wielką paczką kłamców. Wiem, że cię przerażam. Ale przyzwyczaisz się do tego. Twój ojciec się w każdym razie przyzwyczaił. — W jej oczach zakręciły się łzy. — Chociaż nie na długo.

Policjant uciekł spojrzeniem w bok. Nienawidził, gdy matka mówiła o jego ojcu, kiedy rozważała, jak mogłoby wyglądać ich życie, gdyby ojciec nie prowadził samochodu tamtej deszczowej nocy...

— Dogadamy się.

— Raczej będziemy walczyć jak pies z kotem. Nie sposób ze mną mieszkać. Jednak przynajmniej jestem uczciwa. — Kobieta zakaszlała. — Daj mi wodę.

Sierżant podał jej szklanekę i obserwował, jak matka opróżnia jej zawartość. Potem zaproponował:

— Może się już położysz?

Emma rozejrzała się.

— Usilnie starasz się mnie pozbyć.

— Rzeczywiście, ale to dla twojego dobra.

Posłała mu nieznaczny uśmiešek.

— Niech ci będzie. Zaprowadź mnie do mojego pokoju.

Pomógł jej wstać. Miała takie kruche ciało! Podtrzymał jej kościste ramię i skierował ją do łóżka. Kiedy dotarła do materaca, stanęła

nieruchomo, aż szlafrok ześlizgnął jej się z wychudzonych ramion; koszula nocna wisiała na niej niczym marynarka na strachu na wróble. Emma usiadła. Poe podniósł jej nogi i podłożył pod głowę poduszkę. Ostrożnie naciągnął kołdrę na jej ramiona.

— Wygodnie?

— Jasne — zadrwiła. — Mam mdłości, jestem łyśa jak orzeł i wyglądam jak wiedźma.

— Wyglądasz pięknie. — Pochylił się i pocałował ją w policzek. Jej cera oświetlona promieniami księżyca miała odcień popiołu. — Dobrej nocy, mamó. Spotkamy się rano.

Podniosła z kołdry skrawek papieru. Obejrzała go, po czym wyciągnęła ku synowi.

— Wypadł ci z kieszeni.

Sierżant popatrzył na to, co trzymała — był to wycinek gazety, który Poe zabrał z domu Alison.

— Wygląda znajomo, prawda?

Emma przytrzymała papier przy świetle księżyca.

— Znam te dziewczyny. Ta w kółku... to jest... była Linda Paulson... Linda Hennick. To Elizabeth Adams. Ta nazywa się Abby Taylor. Tamta to Helen Raymer... Jej brat był w mojej klasie.

— Linda Hennick była rok niżej?

— Dwa lata.

— Wiesz, kiedy wykonano to zdjęcie?

— Prawdopodobnie w połowie... może pod koniec lat pięćdziesiątych. Wydaje mi się, że były wtedy w ostatniej klasie. Posiadam podobną fotkę. Wtedy mormoni nie tolerowali klas koedukacyjnych.

No tak, dlatego właśnie zdjęcie wyglądało swojsko. Prawdopodobnie policjant widział matkę w tej samej pozie.

— Gdzie je zrobiono, mamó?

— Zapewne w liceum w St. George... — Przypatrzyła się, mrużąc oczy. — Och nie, nie! Pamiętam tę fotografię! Zrobiono im ją z okazji zakończenia szkoły podczas ostatniej wycieczki klasowej do OTN.

Fotka trafiła do gazety. To było wtedy wydarzenie... nie wyjazd do OTN, lecz zdjęcie w gazecie.

— OTN? — Poe przyjrzał się matce. — Mówisz o Obszarze Testowym Nevada?

— Tak. Co roku najstarsze klasy organizowały sobie tygodniową wycieczkę przez południową Nevadę i dalej, do Las Vegas. Oczywiście, świętoszkowaci wychowawcy nie pokazywali grzecznym mormońskim dzieciom Pasa... który zresztą nie wyglądał wtedy jeszcze tak jak dziś. Chociaż w Las Vegas stało już kilka kasyn i nie miałam nic przeciwko zwiedzeniu ich... Tak czy owak, nie zabrali nas tam. Obejrzelśmy mormoński kościół, Muzeum Pustyni i rezerwat Pajutów... Sklepik, w którym Indianki sprzedawały wyplatane ręcznie koszyki. — Westchnęła. — Robiły naprawdę piękne rzeczy, a sprzedawały je za psie pieniądze. Po rezerwacie pojechaliśmy do widmowego miasta i...

— Mamo, a tak właściwie po diabła nauczyciele z twojej szkoły ciągali uczniów na Obszar Testowy Nevada?

— Bombę uważano wtedy za wielką sprawę. Stanowiła naszą obronę przeciwko Stalinowi i komunistom.

O ile Poe wiedział, bomba nadal stanowiła wielką sprawę.

— Co tam właściwie robiliście?

— Gdzie?

— Na obszarze testowym?

— A jak sądzisz? Obserwowaliśmy wybuch bomby.

— Gdzie? Zabrali was pod ziemię?

— Nie, nie. W tamtych czasach dokonywano jeszcze testów naziemnych. Zeszli pod ziemię dopiero później... Nie pamiętam roku, ale byłeś już wtedy na świecie. W końcu odkryli; że promieniowanie źle wpływa na ludzi.

Sierżant z wrażenia otworzył usta, po czym je zamknął.

— Twoja klasa oglądała w trakcie wycieczki wybuch bomby atomowej?!

— Wtedy teren Yucca Flat stanowił niezwykle atrakcyjną turystyczną.

Policjant był oszołomiony. Yucca Flat uważano za najbardziej

zbombardowaną powierzchnię na ziemi. Region był straszliwie pokiereszowany kraterami od setek bomb. W latach sześćdziesiątych astronauta programu Apollo używali go jako pola treningowego, ponieważ jego powierzchnia przypominała księżycową. I równie trudno jak na Księżycu było tu znaleźć ślady życia. W dodatku poligon atomowych testów był tak napromieniowany, że niemal świecił w ciemnościach...

Emma zatraciła się we wspomnieniach.

— Zawieźli nas tam bardzo wcześnie rano... przed świtem. Było ciemno, zimno i trochę przerażająco. Musiałyśmy siedzieć w kucki w płytkich rowach, które żołnierze wykopali kilka lat wcześniej. Byłyśmy tylko nastolatkami, chichotałyśmy i straszłyśmy się nawzajem różnymi opowieściami... ponieważ byłyśmy zdenerwowane i podnieczone. Nad naszymi głowami krążył samolot. Wiedziałyśmy, że rozgrywa się przed nami historia.

— Jeśli chcesz tak to nazwać...

Emma zareagowała defensywnie.

— Ależ tak, Romulusie, prawdziwa historia Stanów Zjednoczonych! Patrzyłyśmy na samolot i miałyśmy świadomość, że coś się za chwilę zdarzy. Wtedy zaczęli odliczanie...

Zrobiła potężny wdech.

— Zaczęli odliczać przez głośniki. Padały słowa głośne i wyraźne niczym uderzenia dzwonu. Dziesięć! Dziewięć! Osiem, siedem, sześć... Aż doszli do zera i wtedy samolot upuścił ładunek... wielki ładunek! Oczywiście wszyscy obserwatorzy zakryli oczy. Tak nam kazali. A jednak, mimo zaciśniętych powiek nakrytych przedramieniem, i tak widziałam... Fantastyczny wybuch światła, które muskało moją skórę... Czułam się, jakby na moich oczach Bóg tworzył wszechświat. A potem... równocześnie... ten potężny podmuch gorącego wiatru... Moje ubranie niemal skwierczało. Kiedy ktoś oświadczył, że można już spojrzeć, natychmiast posłuchaliśmy. I ujrzeliśmy ją. Na niebie... Słynną chmurę podobną do grzyba... co za dreszczyk!

— Jeśli nazywasz dreszczykiem megatony promieniowania...

— Och, nic nie rozumiesz. Musiałbyś zobaczyć wybuch na własne oczy.

— Wierzę ci na słowo.

— Lubili tam zapraszać szkoły i indywidualnych turystów. Przywozili całe autokary ludzi... jedno po drugim.

— Zastanawiam się, kto rozreklamował OTN? Założę się, że ten sam facet, który ciągle sprzedaje Most Brooklyński.

— Jesteś sarkastyczny, a OTN naprawdę stanowił wtedy turystyczną atrakcję. Pamiętam taki stary plakat Izby Handlowej... Hmm... chyba gdzieś z początku lat sześćdziesiątych. Na plakacie jest Pas... Co na nim wtedy stało? Hacjenda na południowym końcu, dalej, po drodze do centrum Las Vegas, może Flamingo, Last Frontier, Dunes, Sahara i Stardust. Okolica była wówczas dość zapuszczona. Dopiero później powstały te wszystkie kiczowate wspaniałości. Pamiętam jedynie takie jak Horseshoe czy Lady Slipper...

— Znam miejscowe hotele, mam.

— Tak czy owak... na plakacie była neonowa perspektywa miasta, obok odświętnie ubrany kowboj uchylający kapelusza z szerokim rondem. W tle rozkwitała atomowa chmura w kształcie grzyba.

Dla podkreślenia Emma pokiwała głową.

— Tak, tak, właśnie takie było tamto Las Vegas... Bomby i hazard. Nie wiem, co jest gorsze dla zdrowia.

— Obserwacja nuklearnego wybuchu jako atrakcja dla dzieciaków... — Poe potarł twarz. — Nie mieści mi się coś takiego w głowie!

— No cóż, właściwie nie patrzyliśmy. Blask mógłby nas oślepić, był bowiem bardzo silny. Widziałam pod skórą kości moich rąk...

— Dlatego, że całe twoje ciało prześwietlono promieniami rentgenowskimi, mam.

— Byli uważni. Istniała odpowiednia procedura. Ostrzegali, że nie wolno podchodzić zbyt blisko... Mówili, w jaki sposób mamy patrzeć. Wypuszczali broszurki...

— Kto je wypuszczał?

— Nie pamiętam. Może rząd albo Izba Handlowa Las Vegas. To nie był żaden wielki sekret, Romulusie. O bombach napisano mnóstwo artykułów we wszystkich możliwych gazetach! Byliśmy dobrymi Amerykanami, więc popieraliśmy testy. Poczytaj sobie historię stanu Nevada.

— Nie muszę, znam ją na pamięć. Przywożenie grupy nastolatków na poligon atomowy jest po prostu moim zdaniem kompletnie nieodpowiedzialne.

— Był przecież środek zimnej wojny. Skoro rząd nam wyjaśnił, że potrzebujemy bomby, aby trzymać z dala od nas czerwonych... No cóż, naszym patriotycznym obowiązkiem było jej wypróbowanie i byliśmy dumni, że włączono nas do testów. Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, że rząd potrafi kłamać w żywe oczy, zatajając niewygodne dla siebie fakty. I nikt nie przypuszczał, że promieniowanie jest tak niebezpieczne...

— Wiesz co, mamó? Cud, że naszego miasta nie zamieszkują same mutanty. — Zamyślił się. — A zresztą, może je zamieszkują, tylko tego nie widzimy. — Odczekał moment. — Powiedz mi, kiedy przyjechaliśmy z St. George?

— Tutaj? — Przelknęła głośno. — W sześćdziesiątym czwartym. Mielicie z Remusem po trzy latka.

— A kiedy zakończono naziemne testy atomowe? W sześćdziesiątym pierwszym?

— W sześćdziesiątym trzecim.

— Czyli nie mogliście zobaczyć wybuchów.

— Tak. I całe szczęście. Eksplozje były tak strasznie hałaśliwe... Przysięgam, że wyraźnie słyszeliśmy je aż w St. George. Obaj z Remusem kiepsko sypialiście. Bomby na pewno nie pomagałyby wam w zaśnięciu. Więc wyjechaliśmy.

— Wiesz, mamó, skutki promieniowania ujawniają się po wielu latach...

— Co sugerujesz? Że promieniowanie ma coś wspólnego z moim rakiem?

— Dokładnie taka myśl przyszła mi do głowy.

— Wiesz, Romulusie, też o tym pomyślałam. Ale popatrz na moje przyjaciółki z młodości, które cały czas tu mieszkają. Praktycznie wszystkie żyją i na dodatek w zdrowiu. Hmm... z wyjątkiem Bessy. Bessy ma raka piersi. Ma go od lat. A Katherine jest diabetyczką. Tyle że już dawno skończyła sześćdziesiątkę i waży ponad dziewięćdziesiąt kilo. Ogólnie rzecz biorąc, moje koleżanki są raczej zdrowe...

— Może nigdy nie znalazły się tak blisko bomby jak ty.

Emma zastanowiła się nad jego słowami.

— Sądzisz, że możemy zaskarżyć rząd? Przynajmniej niech pokryją rachunki za szpital?

— Wiem, że był już jakiś zbiorowy pozew w podobnej sprawie. Złożyły go chyba ofiary raka tarczycy. Nie zaszkodzi, jeśli przyjrzę się tej sprawie.

— No cóż, nie przypuszczam, żebyś wiele zdziałał. Podczas tylu lat wielu turystów przyjechało tu i wyjechało. Gdyby wszyscy zachorowali na białaczkę, na pewno byśmy o tym usłyszeli. Dobrze pamiętam też, że na OTN brali pod uwagę czynnik w postaci wiatru. Gdy wiało zbyt mocno, odwoływali wybuch.

— Mówiłem ci, że promieniowanie nie znika ot tak sobie, lecz zawisa w powietrzu. Powiedzmy, że zrzucano bombę w bezwietrzny poranek, a w tydzień później zrywała się wichura. Sama wiesz, jakie w tych okolicach bywają wiatry... Rany, rozrzucali to gówno po całej okolicy. Wiesz? Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego lokalni oficjele z Las Vegas pozwalali na testy naziemne, przecież OTN znajduje się ledwie... hmm... chyba dziewięćdziesiąt sześć kilometrów od miasta. Przecież to bomba zegarowa z opóźnionym zapłonem. Nie kła się własnego gniazda!

— Nie wiedzieli...

— Bzdura, mamó! Doskonale wiedzieli. Od wielu lat testowali to gówno na morzach południowych.

— Ależ się wyrażasz. — Emma zasłoniła dłońmi uszy. — Nie rozumiesz tamtych czasów. Komuniści byli naszymi wrogami... Stanowili prawdziwe zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa i dobrobytu. Uważaliśmy bombę za niezbędny parasol ochronny.

- Parasol ze sporymi dziurami.
- Może i tak. Jeśli spojrzysz z perspektywy czasu, wszystko wygląda inaczej. Życie jest zabawne. — Wyciągnęła w jego stronę skrawek gazety. — Może mi to zostawisz, wiesz, wspomnienia...
Poe odebrał od niej zdjęcie.
- Niestety, muszę je zwrócić. Nie należy do mnie.
- Linda Hennick nie żyje od lat. Fotka należy do Geralda czy do Alison?
- Do Alison.
- Nadal czujesz do niej miętę?
- Trochę.
- To niedobrze. Wolę tę twoją hinduską przyjaciółkę.
- Rzeczywiście, ja również bardziej lubię Rukmani.
Emma uśmiechnęła się.
- Och, czyżbyś dojrzał? Z jakiej to okazji?
- Na twoją cześć.
- Żebyś się tylko nie zrobił zbyt dojrzały. — Matka mrugnęła do syna. — Jeden Remus w rodzinie wystarczy.

Rozdział trzydziesty drugi

W kopercie pozostała jedna dwudziestka.

— Gnojkwowi, który splunął ci w twarz, dałaś ponad trzysta osiemdziesiąt dolców? — spytał Poe.

Patricia zamyśliła się nad pytaniem.

— Nie, dostał tylko jedną pięćdziesiątkę. Reszta pieniędzy poszła na innych. Przeciętnie wyszło około pięćdziesięciu dolców na łebka. Przykro mi, ale nie udało mi się kupić nikogo za mniej niż dwadzieścia. — Wzruszyła ramionami. — Przynajmniej przyniosłam coś z powrotem.

Sierżant schował kopertę i usiadł wyprostowany na krześle przy biurku.

— Sprawdź tego alfonsa... Jak się nazywa?

— Lamar Larue — odparła policjantka. — Tłuścioch. Waży chyba niemal sto trzydzieści kilo. A ja go przerzuciłam, ot tak!

— Kobieta, która nie zna własnej siły.

— Dostał, co mu się należało.

— Od jak dawna przebywa w Las Vegas?

— Od dwóch lat.

— Długo — zauważył Poe. — Zastanawiam się, dlaczego nie wpadł nam w łapy wcześniej. — Zamyślił się. — Prawdopodobnie ma konszachty z jakimiś znaczącymi facetami. Drobne przysługi, brudne interesy. Pewnie go kryli. Co mówił o tym Arabie? Znalazłaś go w komputerze?

— Do tej pory nie natrafiłam na Naliego Abousayeda w żadnym kryminalnym banku danych. Ale to nic nie znaczy. Plotka głosi, że facet jest członkiem rodziny królewskiej... księciem z jakiegoś emiratu. Pewnie posiada immunitet dyplomatyczny.

— Gdzie słyszałaś te plotki?

— Od paru dilerów... i od kelnerek, które podają w kasynach koktajle. Dziś około szóstej rano rozmawiałam z wieloma osobami z Lady Slipper... kiedy kończyli pracę. Byłam przekonana, że Larue natychmiast popędzi do Abousayeda albo do jego goryli i oświadczy, że pewna tłusta policjantka zagięła na niego parol. Nie chciałam się w to pakować bez odpowiedniej oceny sytuacji. Staralam się zachować najdyskretniej jak to możliwe.

— Dobry pomysł, szczególnie jeśli księżę ma nerwowych goryli.

— Otacza go cały orszak... Żony, kochanki, dzieci, nianie, lekarze, kucharze, nauczyciele, tłumacze, ochroniarze...

— Czyli że jest nietykalny.

— Na to wygląda.

— Dokładnie tak samo jak Lewiston. — Poe zabębnił palcami w blat biurka. — Czuję obrzydzenie na myśl, że tacy parszywcy chodzą sobie bezkarnie i nie można ich aresztować. Hmm... chciałbym cię jednak dobrze zrozumieć. Larue ci powiedział, że pośredniczki Parkerboya kupowały w Nagim Mieście dziewczyny?

— Tak, dziwki Lewistona. — Patricia zadumała się. — Właściwie,

nigdy nie padło nazwisko miliardera. Stale nazywaliśmy go ważnym facetem.

— Nazwisko nie padło?

Policjantka potrząsnęła głową.

Poe westchnął.

— Odniosłaś wrażenie, że Larue mówi prawdę... albo przynajmniej część prawdy?

— Wie pan, sierżancie, wolałabym się nie przyznawać, ale... jestem osobą bardzo łatwowierną. Ktoś puszcza obok mnie wiatry, a ja daję sobie wmówić, że to nowy gatunek perfum. Taka już jestem.

Poe roześmiał się.

— Okej, zapytałem dla pewności, nie unoś się.

Patricia uśmiechnęła się.

— Szefie, sądzę, że Larue nie kłamał. Abousayeda może i nie sposób tknąć, lecz nie jest niewidzialny. Moim zdaniem powinniśmy zrobić jego dziwkom fotki i spróbować ustalić, które panie wyprawiają się na łowy do Nagiego Miasta. A nuż nam się uda znaleźć tę, która pośredniczyła w wynajęciu Newel czy Yarlborough. Wiem, że Las Vegas posiada nieskończony rezerwuar najróżniejszych kurewek. Kiedy jednak dwie z nich zostają zamordowane... No cóż, wieść niesie się po mieście i robi się nerwowo. Wszyscy tak mówią.

Sierżant pokiwał głową.

— Idź tym tropem.

— Och... tylko... szefie?

— Tak?

— Jak już wcześniej mówiłam, jestem pewna, że Larue ostrzegł przede mną Abousayedą. Prawdopodobnie będą mi się od tej pory bacznie przyglądać. Myślę, że ktoś inny powinien zrobić zdjęcia.

Policjant zabębnił w biurko.

— Tylko kto? Jensen na urlopie, Marine Martin był z tobą ubiegłej nocy. Jeśli Larue ostrzegł Abousayedę przed tobą, prawdopodobnie również przed Marine'em... — Głośno sapnęła. — No jest

jeszcze dziadek Herrod. Ostatnio humor mu się poprawił, nawet postawił sobie na biurku fotkę dziecka. Chociaż jeżeli zagadnąć go o wnuka, nie wiezieć czemu, strasznie się wkurza.

— Szefie, chodzi tylko o pstryknięcie paru fotek. Może pan założy jakieś turystyczne wdzianko i sam je zrobi?

Nieźły pomysł: uzasadniony pretekst do ucieczki z domu. Mógłby zjeść szybką kolację z mamą u Rukmani, potem wyskoczyć na ulicę. A może zostawiłby mamę z pielęgniarką i wzięłby. Ruki do kasyna. Byłaby nie tylko dobrą towarzyszką, ale też wspaniałym kamuflażem. Później zameldowałiby się w jednym z hoteli... albo nawet zwyczajnym moteliku... a jeszcze lepiej zaparkowałiby po prostu w ciemnej alejce...

— ...Polaroid, jeśli pan chce — kontynuowała Patricia, wrywając sierżanta z zamyślenia.

— Przepraszam, nie słyszałem, co powiedziałaś. Ciągle jeszcze jestem nieco otumaniony. — Dotknął palcem skroni. — Skutki działania leków.

— Mam polaroid, jeśli pan chce.

— Jasne. — Polaroid przydawał się w takich sytuacjach. — Dzięki. Patricia zerknęła na zegarek.

— Muszę być w sądzie za pół godziny. Powinam przejrzeć notatki.

Poe przez chwilę strzelał palcami, potem przestał. Był spięty i wiedział dlaczego.

— Miałś jakieś wiadomości od Jensena?

— Zero. Żywię nadzieję, że korzysta ze słońca i dobrze się bawi. Ten facet był w strasznym stanie, sierżancie. Naprawdę potrzebował relaksu.

— Wszyscy czasem potrzebujemy relaksu. — Wstał. — Pora na lunch. Jadę do matki.

— Jak ona się czuje?

— Całkiem dobrze. Najgorsze ma za sobą.

— Tak, wygląda, że pochodzi pan z rodu silnych ludzi.

— Małych, lecz silnych.

- Czy pański brat jest mały?
- Cóż, kiedyś faktycznie był bardzo niski — odparł policjant — Dawno, dawno temu... W innej dekadzie... w innym stuleciu.

Miał już taką wprawę, że posługiwał się wytrychem równie dobrze jak kluczem. Otworzył drzwi, wszedł do środka, włączył wentylator, by wywiać zatechły odór i zaczął otwierać okna. Gorące świeże powietrze mieszało się z gorącym nieswieżym powietrzem... Pojezuźnił krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli, po czym wszedł do małżeńskiej sypialni.

Otworzył szafę i po raz drugi przejrzał ubrania. Od jego ostatniej wizyty w tym domu nic się nie zmieniło. Te same puste wieszaki, na podłodze szachownica dziur po zabranych butach. Jensenowie spakowali w sumie niewiele rzeczy — mniej więcej na tydzień. Ale może wytrzymają i dwa.

Sierżant złożył ramiona na piersi i poruszył palcem u nogi. Coś mu nie grało. Nie potrafił powiedzieć co... po prostu miał niewyraźne przeczucie zbliżającej się katastrofy.

Usiłował poukładać sobie fakty.

Paranoiczne rojenia Alison. Jej wyniosłe maniery i iluzja posiadanej mocy. Dobry Steve i zazdrosny Steve. Steve próbował doprowadzić ją do szaleństwa? Ależ skąd, nie musiał jej do niczego doprowadzić. Była kompletnie pomylona!

Żyła w świecie ułudy. Przeżywała nie pierwsze już załamanie nerwowe... No tak, zatem skąd u niego to niesamowite przeczucie?

Przekreślił nadgarstek i spojrzał na zegarek.

Dwunasta dziesięć.

Gdyby teraz wyszedł, mógłby pojechać do mieszkania Rukmani i spędzić trochę czasu z mamą.

Wystarczyło odłożyć na miejsce skrawek gazety i wyjść.

Pochylił się i grzebał w rogu szafy, aż znalazł pudełko po butach z napisem „BADANIA”, które zawierało szczegóły smutnego życia Lindy Hennick. Pod tym kartonem stały jeszcze dwa pudła z tym samym

napisem, ale zdecydowanie większe. Poe przyjrzał się etykietkom.

Męskie jedenastki. Rozmiar Steve'a.

Wyjął ustawione w stos pudełka, otworzył je i postawił na łóżku. Dokumenty związane z Lindą Hennick mieściły się w pudle po damskiej siódmce. Tej nocy, gdy Alison została zaatakowana, sierżant znalazł męski but sportowy numer osiem.

Zbyt mały dla Steve'a. Za duży na Alison.

Męska ósemka...

Jakiś drobny facet o małej stopie. Ponieważ nawet Poe nosił dziewiątkę, buty do biegania zaś — w rozmiarze dziesięć i pół... Chwila, przecież pod wpływem wywołanego joggingiem ciepła stopa się rozszerzała, toteż zawsze kupował sobie sportowe obuwie przynajmniej o numer większe...

A zatem kobieca siódemka!

Obejrzał etykietkę na pudle. Kiedyś zawierało parę czarnych damskich czółenek numer siedem... Może więc Alison kupowała do biegania męską ósemkę...

Potarł z przejścia twarz.

„Dziewczyno, coś ty najlepszego zrobiła?”

Może nic. Może dawał tylko upust swojej wyobraźni...

Otworzył pudełko z dokumentami poświęconymi Lindzie Hennick i odłożył na miejsce zdjęcie klasowe wykonane na OTN. Nałożył ponownie przykrywkę i polizał wargi.

Wziął następne pudełko i zajrzał do środka.

Artykuły z gazet... tuziny artykułów. Fotografie i polityczne dowcipy rysunkowe. Nic oryginalnego, same przedruki lub kserokopie. W żaden sposób nie łączyły się z Lindą Hennick.

Skupiały się natomiast wokół Obszaru Testowego Nevada i próbnych eksplozji nuklearnych.

Wybrał najdłuższy artykuł — dwie strony zszyte razem i wydrukowane na gładkim, białym papierze. Prawdopodobnie Alison znalazła artykuł w Internecie. Tekst poświęcony był historii powstania OTN oraz bombie atomowej. Poe przejrzał go pobieżnie. Znał większość faktów.

Truman powołał do życia poligon atomowy Nevada w 1950 roku, ponieważ testowanie bomb na środkowym Pacyfiku stało się zbyt niewygodne. 27 stycznia 1951 roku — na jedenaście lat przed urodzeniem się Poego — zrzucono jednokilotonową bombę o nazwie Able na Frenchman: równinę, która znajdowała się w liczącej osiemset sześćdziesiąt tysięcy akrów strefie poligonu atomowego, przemianowanego następnie na Obszar Testowy Nevada. Po pierwszej eksplozji nastąpiły dalsze. Kolejne bomby otrzymywały nazwy... jak gdyby rząd rodził i chrzczył dziecko... Niektóre z bomb zdetonowano bezpośrednio na powierzchni OTN, inne zrzucano z samolotów, umieszczano na stalowych wieżach lub wieszano na wielkich balonach. Jedną wystrzelono nawet z jakiegoś działa. Pierwszy był Able w 1951 roku, ostatnia zaś nazywała się Little Feller Pierwszy i spadła w lipcu 1962. Ogółem dokonano ponad stu naziemnych bądź atmosferycznych detonacji w siedmiu różnych seriach.

Zakończenie działań wymusił Traktat o Ograniczonym Zakazie Prób Nuklearnych. Od jego podpisania zdetonowano jeszcze więcej bomb — ponad osiemset — wszystkie wybuchy odbyły się jednakże pod powierzchnią ziemi. A jednak promieniowanie i tak wznosiło się w powietrze, ponieważ gigantyczna energia potrzebowała ujścia i ładunki jonizujące przenikały przez warstwy pustyni. Miliony promieni gamma i radioaktywnych cząsteczek jodu strzelało w atmosferę, mieszało się z chmurami deszczowymi i opadało Bóg jeden wie gdzie.

Sierżant rzucił artykuł na łóżko. Podniósł garść skrawków i posortował je.

Akapit z „Deserei News”, gazety datowanej na dwunastego stycznia 1951 roku, czyli piętnaście dni przed Able'em:

„TESTY ATOMOWE PLANOWANE W OKOLICACH LAS VEGAS NIE WYSTAWIĄ NA SZWANK ZDROWIA MIESZKAŃCÓW STREFY”, POWIEDZIAŁ W CZWARTEK DOKTOR JOHN BOWERS, NOWY DZIEKAN COLLEGE OF MEDICINE UNIWERSYTETU UTAH I KONSULTANT KOMISJI ENERGII ATOMOWEJ.

Przedruk obwieszczenia wydanego przez Komisję Energii Atomowej z jedenastego stycznia 1951 roku, czyli na szesnaście dni przed Able'em:

OD TEGO DNIA AMERYKAŃSKA KOMISJA ENERGII ATOMOWEJ ZOSTAŁA UPOWAŻNIONA DO UŻYCIA OKOLICY LAS VEGAS DLA DZIAŁAŃ TESTOWYCH NIEZBĘDNYCH W PROGRAMIE ROZWOJU BRONI ATOMOWEJ.

DZIAŁALNOŚĆ TESTOWA BĘDZIE OBEJMOWAĆ EKSPERYMENTALNE DETONACJE NUKLEARNE, KTÓRE SŁUŻYĆ MAJĄ PRACOM NAD BOMBĄ ATOMOWĄ...

Poe dotarł do napisu wytłuszczonego drukowanymi literami:

NIE ZOSTANIE UPUBLICZNIONY TERMIN ŻADNEGO TESTU.

Następnie natrafił na rysunek niejakiego Bruce'a Russella z „Los Angeles Times” z 1951 roku. Chmura w kształcie grzyba z hasłem: „BRONĀ ATOMOWA DAJE AMERYCE PRZEWAŻE”. Obok siedziała ropucha z podpisem: „SOWIECKA AGRESJA”. Komentarz pod obrazkiem głosił: „TYLKO GRZYB MOŻE ZATRZYMAĆ PLAGĘ ROPUCH”.

W głowie policjanta echem odbiły się słowa matki: „Był środek zimnej wojny. Skoro rząd nam wyjaśnił, że potrzebujemy bomby, aby trzymać z dala od nas czerwonych... No cóż, naszym patriotycznym obowiązkiem było jej wypróbowanie i byliśmy dumni, że włączono nas do testów”.

Dumni, że włączono ich do testów? Że stali się królikami doświadczalnym skutków promieniowania?!

Inny fragment z „Boulder News”. Chorągiewka z napisem: „NASZ ATOMOWY BUDZIK TO DUMA MIASTA BOULDER”.

Cytaty z wypowiedzi mieszkańców strefy na temat nuklearnych testów:

„JEŚLI WYBUCHY MAJĄ NAM POMÓC W OSIĄGNIĘCIU POKOJU I ZWIĘKSZENIU BEZPIECZEŃSTWA NASZEGO KRAJU, NIE DBAM O TO, JAK WIELU LUDZI ZGINIE”.

„SĄDZĘ, ŻE EKSPLOZJE SĄ KONIECZNE DLA NARODOWEGO BEZPIECZEŃSTWA I ABSOLUTNIE MNIE NIE PRZERAŻAJĄ”.

„PEWIEN MŁODY MĘŻCZYŻNA «PRAGNIE, ABY WYBUCHY ODBYWAŁY SIĘ CO PIĄTEK O TRZECIEJ RANO. DZIĘKI TEMU BUDZIŁYBY JEGO BRATA MIKE'A, KTÓRY RANKAMI DOSTARCZA GAZETY»„.

„NEW YORK TIMES”, DZIEWIĄTY CZERWIEC 1957:

„NAJLEPIEJ WIDAĆ DETONACJĘ Z GÓRY CHARLESTON, KTÓRA LEŻY NA WSCHÓD OD LAS VEGAS. ZALEDWIE GODZINĘ JAZDY DOBRYMI DROGAMI”.

Góra Charleston znajdowała się około piętnastu minut od domu Poego. Westchnął na wspomnienie słów matki z ubiegłej nocy: „To była atrakcja turystyczna”.

Przeglądał dalsze artykuły. Początkowo społeczeństwo popierało bombę. Później zaczął powoli narastać krytycyzm.

Satyryczny rysunek Herblocka przedrukowany w „Las Vegas Sun” w czerwcu 1957 roku. Pucolowaty mężczyzna o dobrodusznym wyglądzie maluje chmurę w kształcie grzyba. Na wiadrze z farbą widniał napis: „CIĄGLE SIĘ UŚMIECHAJ”, na malarskiej drabinie zaś znak, który mówił: „KOMISJA DOBRYCH WIEŚCI NA TEMAT ENERGII ATOMOWEJ”. Rysunek podpisano: „MALUJĘ CHMURY PROMIENIAMI RADOŚCI”.

Teksty zawierały liczne ciekawostki, jednak generalnie sierżant nie znalazł w nich niczego nowego. Jak powiedziała matka, bomba stanowiła część historii Srebrnego Stanu lub — inaczej mówiąc — dobrze udokumentowany, perfekcyjnie zaaranżowany nieprawdopodobny kant popełniony na Amerykanach i południowej Nevadzie

przez Komisję Energii Atomowej. Ponieważ ludzie z Komisji doskonale wiedzieli, że promieniowanie jest niebezpieczne.

Ale czy na pewno wiedzieli, jak bardzo?

I jaki związek miała ta sprawa z Alison?

Zarówno Alison, jak i Poe urodzili się w St. George, w stanie Utah. Rodzina sierżanta wyprowadziła się z miasteczka, gdy chłopcy mieli po trzy lata. Hennickowie wyjechali w kilka lat później, gdy młodsza od Poego Alison miała również trzy lata. Oboje w zasadzie wychowywali się w Las Vegas, zaledwie godzinę drogi samochodem od terenu testowego.

Pudełko z dokumentami dotyczącymi jej matki.

I drugie — pełne artykułów o OTN?

Czyżby Alison obwiniała OTN o chorobę matki?

Czy obwiniała OTN o własną chorobę?

Dla wypaczonego umysłu taki wniosek mógł mieć sens. Matka dziewczyny zachorowała psychicznie krótko po narodzinach Alison i po ich przeprowadzce z St. George do Las Vegas. Niewykluczone, że promieniowanie rzeczywiście miało coś wspólnego z jej chorobą.

Zadumał się.

A zatem... może miało również coś wspólnego z chorobą Alison.

Albo z rakiem jego matki.

A może (skoro posunął już się tak daleko) wpłynęło także na problemy ze wzrostem, których doświadczyli on i Remus. Nie mówiąc o ich bezpłodności.

Tyle że... testy przeniosły się pod ziemię, zanim Poe przyjechał do Las Vegas. Wcześniej mieszkał przecież w odległości wielu kilometrów od OTN.

Myślał przez moment.

Dokładnie tak, jak oznajmił matce, promieniowanie wisiało w powietrzu i przemieszczało się dzięki wiatrom. Wszyscy słyszeli o pustynnych wiatrach. Poza tym istniało też takie zjawisko jak odpowietrzanie się podziemnych eksplozji.

A jednak — co trafnie zauważyła matka — jej przyjaciółki z Las Vegas były całkiem zdrowe. Podobnie koledzy z klasy Poego. O ile sierżant wiedział, żaden poważnie nie chorował.

Jego wzrok przyciągnął kolejny satyryczny rysunek.

Powstał dużo później... w roku 1984! Autorem był Mike Smith z „Las Vegas Sun”. Rysunek składał się z dwóch części.

Lewa pokazywała chmurę w kształcie grzyba, przed którą rozmawiało dwóch mężczyzn. Pierwszy mówił: „NIE MARTW SIĘ. KTÓREGOŚ DNIA PRZEJDZIE”.

Prawa część pokazywała tę samą chmurę. Drugi mężczyzna odpowiadał pierwszemu: „TAK, PRZEJDZIE... NAD UTAH, NEVADA, ARIZONĄ...”

Podpis głosił: „RZĄD LEKCEWAŻY NAZIEMNE TESTY. AMERYKAŃSKI SĄD APELACYJNY”.

Policjant popatrzył na rysunek.

Ponad Utah, Nevada, Arizoną...

Dlaczego nie nad Kalifornią? OTN znajdowało się równie blisko granicy z Kalifornią, jak i Utah. Przerzucił gazetowe wycinki. Niewyraźnie przypominał sobie rozprawy apelacyjne. Pamiętał, że stosunkowo od niedawna pracował w policji Las Vegas, toteż chodziło zapewne o późne lata osiemdziesiąte.

Otworzył trzecie pudełko po butach.

Kolejne artykuły na temat OTN. Kiedy Poe je segregował, znalazł odpowiedź na swoją wątpliwość. Amerykański Sąd Apelacyjny oddalił sprawę przeciwko rządowi, oczyszczając Komisję Energii Atomowej z zarzutu niedbalstwa, w wyniku którego w powietrze wypromieniowały miliardy radioaktywnych cząsteczek.

Ludzie zaskarżyli rząd z powodu swoich dolegliwości. Niestety, przegrali.

Jakie były detale tej pierwszej sprawy? Sierżant przerzucił kilkanaście wycinków. W końcu znalazł artykuł z „Reno Gazette-Journal”. Nagłówek brzmiał: „Ludzie: rząd, 1:0”.

„TRWAŁO TO DŁUGO — PRAWDĘ MÓWIĄC, O WIELE ZA DŁUGO — LECZ OSTATECZNIE ZAPADŁ WYROK SĄDU FEDERALNEGO. USŁYSZELIŚMY

WSZYSCY TO, W CO WIELU MIESZKAŃCÓW STANU NEVADA WIERZYŁO OD DAWNA: ŻE NAZIEMNE TESTY ATOMOWE TRZY DEKADY TEMU NARAŻAŁY ŻYCIE LUDZI ZAMIESZKUJĄCYCH TERENY, NA KTÓRE WIAŁY WIATRY ZNAD OBSZARU TESTOWEGO NEVADA”.

Pierwszą sprawę przeciwko rządowi wniesiono do sądu mniej więcej tuż po przeprowadzce matki Poego do Reno. Wyrok zapadł w parę lat później, gdy Poe wrócił do Las Vegas.

Kolejny artykuł pochodził z 1991 roku. Właściwie był to przedruk oficjalnego dokumentu prawnego — „Ustawy o odszkodowaniu za napromieniowanie”, nowelizowanej w roku 1990. Policjant przejrzał ją i wywnioskował, że dotyczy ona rekompensaty dla osób, które zostały narażone na choroby związane z napromieniowaniem.

Zrobił sobie przerwę.

Tak, prawdopodobnie znajdzie tu przypadek swojej matki.

Czytał dalej.

Wymieniono kategorie osób, które narażone były na napromieniowanie — górników wydobywających uran (Emma na pewno nie pasowała do tej kategorii), ofiary eksperymentów z promieniowaniem na ludziach (czy Emma kiedykolwiek była ofiarą eksperymentów?), wojskowy personel zaangażowany w testy broni atomowej (z tego, co wiedział, Emma nigdy nie była w wojsku) oraz mieszkańców terenów, na które wiał wiatr z obszarów testowych.

Tak, tu tkwiła odpowiedź!

Poe stuknął się w głowę.

„Oczywiście, idioto! — powiedział sobie. — Ci, którzy mieszkali z wiatrem...”

Ponieważ wiatr wiał z zachodu na wschód, zatem i opad radioaktywny przemieszczał się w tę samą stronę. Ziemie położone na wschód od OTN były wystawione na najwyższe ryzyko w postaci nadmiernej radiacji: wschodnia Nevada, Arizona, Utah. Na wschód od OTN zaś leżała zapomniana kraina — regiony rzadko zaludnione, z przewagą trawiastych stepów, gdzieś tam małe miasteczka

zamieszkałe przez dobrego mormońskiego ludek. Szczególnie w 1950 roku, gdy mama była jeszcze nastolatką.

Bóg, szarlotka i Chevrolet!

Patriotyzm!

Ameryka: Kochaj ją albo wyjedź.

Boże, błogosław Amerykę.

Nieistotni, zbyt liczni ludzie...

Bunkerville w Nevadzie, a w Utah: Cedar City, American Fork, Ephraim, Kanab i... St. George.

Kiedy Poe mieszkał w St. George, nadal wykonywano naziemne testy. Ogromne chmury i napromieniowane wiatry regularnie skażały powietrze, które wdychał jako niemowlę. A jego młoda matka zabierała dziecięcą spacerówkę na długie wędrówki. Synowie niemal całe dni przebywali na powietrzu. Jej dwa ukochane maluchy, niemowlęta, którym rozwijały się mózgi, gruczoł grasicy, tarczycy i gruczoły przysadkowe. Wszyscy troje wchłaniali dawki radiacji z każdym, nawet najłagodniejszym podmuchem wiatru.

Co promieniowanie uczyniło Remusowi i jemu?

Co uczyniło jego matce?

Co uczyniło Lindzie Hennick?

I co uczyniło Alison Jensen?

Rozdział trzydziesty trzeci

Sytuacja nie była nieodwracalna. Wiele spraw można zmienić, przekształcić, przedefiniować... Fizycznie lub siłą woli. Jako że starszy pan i chłopcy zainstalowali się już w Los Angeles, pozostało sporo czasu na osobistą ocenę sytuacji.

Nikt nie wiedział, gdzie znajduje się ich rodzina. I nikt się nimi nie przejmował. Nikt nie będzie ich szukać. Dzięki urlopowi.

Uśmiech na twarzy.

Wszystko przebiegało idealnie. Długie dni i noce, podczas których

można skupić się na właściwych rzeczach. Wykonać robotę poprawnie...

Poprawność jest przyjemna.

Wspaniale jest być idealnym.

Ponieważ perfekcja to atut w świecie chaosu. Jakże niewiele osób potrafi się naprawdę skupić... naprawdę bacznie obserwować.

Tak czy owak, nadeszła pora.

Teraz trzeba się jedynie wykazać odwagą i dokonać czynu...

Wyjść z fasonem. Jak w starej piosence.

„Żegnaj okrutny świecie. Odchodzę, by przyłączyć się do cyrku”.

Życie rzeczywiście było cyrkiem — pospiesznie skleconym teatrem absurdu. Żyjesz w szambie i stale musisz odpierać ataki nic nie wartych ludzi, którzy okładają cię pięściami i pozbawiają poczucia własnej wartości. Aż stajesz się tak zde gustowany i zmęczony tym wszystkim, że odparowujesz cios i...

Hmm... jakie to wszystko ma w gruncie rzeczy znaczenie?

Gdyż... gdyż... „świat to teatr marionetek”.

Albo przynajmniej kiepski hollywoodzki film.

Światła! Kamera! Akcja!

A tutaj jest reżyser, producent, scenarzysta i gwiazda... w jednej osobie...

Teraz czas na tytuł.

Może: *Nocni drapieżcy*.

Albo: *Noc ofiary*.

Lub też: *Śmierć w świetle księżyca*.

Bądź: *Księżycowa śmierć*.

Nie, najlepszy będzie: *Księżycowa muzyka*.

Taniec w rytmie nocnej muzyki.

„Będzie żywy czy martwy, i tak skruszę jego kości, by z tej ludzkiej mąki upiec sobie chleb”*

* Cytat pochodzi z ludowej baśni angielskiej *Jack and the Beanstalk* (*Jaś i fasola*).

*

— Y, mam dla ciebie robotę.

Starzec nie odpowiedział. Spokojnie wsunął dolara w otwór pokrowej maszyny.

Poe popatrzył na posrebrzone opuszki palców wodza.

— Dlaczego nie używasz żetonów, kolego?

— Zbyt bezosobowe — odparł Indianin. — Nie czuję wtedy, że gram.

Sierżant zachichotał, lecz świetnie rozumiał, co jego towarzysz ma na myśli.

— To proste zadanie. I zapłacę ci.

— Zawsze mi płacisz. — Chwilę milczał. — Jak twoje ramię?

Policjant obrócił rękę, napiął nadgarstek.

— Całe. Wiesz? Mama czeka na swojego szamana.

— Negocjuję.

— Negocjujesz?

Rozległ się brzęk! Moneta wpadła w bezkresną czeluść.

— Te sprawy wymagają czasu. Wielu jest w tym biznesie szarlatanów. Nawet ci prawdziwi szamani... gdy poczują pieniądze, stają się chciwi. Powiedz jej, że jeszcze kilka dni.

— Powiem.

Nagle maszyna zaczęła dzwonić i błyskać neonowymi światełkami w kolorach błękitnym i różowym. Y cicho zarechotał. Policjant odniósł wrażenie, że od uśmiechu staremu popęka pomarszczona skóra.

— Popatrz no tylko! — Klepnął Poego w plecy. — Pieprzony królewski poker! — Dźgnął sierżanta w zębra. — Ile wygrałem?

— Jak gdybyś nie wiedział. — odparł policjant z lekką drwiną.

— Powiedz ile!?

— A ile monet wrzuciłeś?

— Pięć.

— W takim razie wygrałeś cztery tysiące. Chyba że grałeś progresywnie.

— Cztery pieprzone tysiące! — Wódz wyszczerzył zęby. — Nieźle, co?

- Niezgorzej.
- Gdzie moja forsa?
- Musisz poczekać, aż ktoś z obsługi wyczyści...
- Gdzie ten pieprzony ktoś z...
- Tu jestem!

Wesoła kobietka po czterdziestce w szerokich czarnych spodniach, białej bluzce, czarnym krawacie i pasiastej kamizelce wyjęła kluczyk, wsunęła do zamka, otworzyła maszynę, po czym wcisnęła kilka guziczków. Po chwili maszyna została wyzerowana.

Kobieta wręczyła Y poświadczenie wygranej. Uśmiechała się przyjaźnie i zachęcająco. Jej uśmiech mówił: „Jesteś na fali. Spróbuj znowu. Postaw wygraną”. Głośno zaś powiedziała:

— Gratuluję, proszę pana. Chce pan zamówić drinka, aby oblać sukces?

— Dla mnie czysta wódka, dla mojego przyjaciela piwo... A może chcesz szkocką, Rom?

— Może być piwo.

— Jedna czysta wódka i jedno piwo. Jakiś szczególny gatunek, proszę pana?

— Heineken.

— Już przynoszę.

Gdy odeszła, stary Indianin włożył w wideopokera kolejnego dolara.

— Co robisz? — spytał sierżant.

— Nadal zostało mi pół rulonu monet.

Poe zabrał staremu pieniędzy.

— Może choć raz wyjdiesz stąd jako zwycięzca?

— Nawet jak przegram wszystko, co mam w kieszeni, i tak zostanie mi duża wygrana...

— Chciałbym ci opowiedzieć o robocie.

Y pocałował wydruk.

— Nie potrzebuję twojej roboty.

— W takim razie zrób mi przysługę.

— Nad przysługą mogę się zastanowić. — Zrobił dziecinnie niewinną minę. — A jaką?

— Chcę cię poprosić o pstryknięcie kilku zdjęć. Sekretnych... dyskretnych.

— Pornograficznych?

Poe potoczył wzrokiem.

— Nie, nie porno. — Dorzucił szybko: — Co wiesz o Nalim Abousayedzie?

Y wzruszył ramionami.

— Jakiś arabski szejik czy ktoś.

— Niebezpieczny facet?

— Każdy, kto ma władzę i pieniądze, jest niebezpieczny.

Sierżant pokręcił kilka razy nadgarstkiem.

— Poza zwykłymi wykroczeniami... Ma na sumieniu jakieś poważne zbrodnie?

— Na przykład jakie?

— Seks z nieletnimi?

— Nie mam pojęcia.

— Jesteś moim jedynym źródłem informacji dzisiejszego wieczoru. Skup się.

— To prawda, prawdziwe ze mnie źródółko. — Indianin ponownie pocałował zwycięski wydruk. — Dlaczego interesuje cię Abousayed?

Poe pochylił się blisko i mówił szeptem. Opowiedział całą historię, poczynając od podejrzeń co do Lewistona, a kończąc na Nalim Abousayedzie i dziwkach, które dostarczał mu Parkerboy. W miarę jak sierżant mówił, twarz wodza ciemniała; w końcu stary Indianin przybrał kamienne oblicze. Niepokojące! Poe uprzytomnił sobie, że trafił w czuły punkt.

Tym niemniej kontynuował:

— Według tego alfonsa, jedna z dziwek Abousayedą bywa w Nagim Mieście. Działa jako pośredniczka dla jakiegoś potężnego faceta.

— Lewistona?

— Tak przypuszczam, bo Abousayed dostaje od niego dziwki. Może jedna z dziwek wynajęła Sarę Yarlborough. Szukam po prostu jakiegoś łącznika...

— Poddaj się — wtrącił Y.

— Co? Dlaczego?!

Dziarska krupierka wróciła z napojami. Stary Indianin szturchnął swego towarzysza.

— Daj jej setkę.

— Ja? — Poe popatrzył znacząco na wodza.

— Będę wdzięczny.

Kiedy kobieta postawiła napoje, sierżant wsunął jej do kieszeni studolarowy banknot. Kobieta odeszła.

— Słuchaj, Y. Chodzi mi jedynie o kilka fotek dziwek Abousayeda. Nic wielkiego.

— W takim razie, sam je pstryknij.

— Znają mnie w Lady Slipper. Ilekroć tam wejdem, patrzą mi na palce.

— I co, nie domyśla się, że ty mnie przysłałeś? — Y demonstracyjnie wypchnął językiem policzek. — Romulusie, chyba już tylko ty jeden nadal ze mną rozmawiasz.

— Ech, wejdiesz tylko i pograsz sobie w wideopokera. A po drodze do kibla zrobisz dla mnie parę zdjęć.

— Nigdy nie grywam w lokalach Lewistona.

Sierżanta na moment zatkało.

— Niby dlaczego?

— Nie lubię faceta. — Y wypił wódkę jednym łykiem. — Wyjdźmy stąd.

I dosłownie zerwał się z krzesła. By za nim nadążyć, policjant musiał iść bardzo szybko.

— Nie sądzisz, że wskazane byłoby skasować wygraną, zanim wyjdiesz?

Y zatrzymał się.

— Przypuszczam, że to dobry pomysł.

Razem podeszli do kasy. Po dziesięciu minutach czekania i sprawdzania identyfikatorów, wódz opuścił kasyno z czekiem na cztery tysiące sto dolarów. Poszli Pasem, oświetlonym nowoczesnymi neonami i poświatą księżycową. Noc była dość ciepła, więc Poe zdjął kurtkę.

— Też nie lubię Lewistona — oświadczył. — No to spróbujmy go przyskrzypić!

Stary potrząsnął głową.

— Przegrasz, Rom.

— Dlaczego tak twierdzisz?

— Ponieważ taka jest prawda.

Sierżant położył Indianinowi rękę na ramieniu. Starał się go skłonić do przerywania spaceru i starannie szacował wyraz jego twarzy.

— Staniesz przeciwko niemu, wodzu?

Y zamruczał.

— Kiedyś, gdy byłem na tyle szalony, zabrakło mi jaj. Teraz mam jaja, lecz nie ma już we mnie gniewu.

— Co Parkerboy ci zrobił? Wódz zapatrzył się w dal.

— Ukradł mi kobietę i zmienił ją w mięso dla robali. „Mięso dla robali”? Interesujący dobór słów. W życiu Y była tylko jedna kobieta, która pasowała do tego opisu.

— Lindę Hennick.

Stary Indianin nic nie powiedział; żuł dalej nieistniejący kawałek tytoniu.

— Czy miał coś wspólnego z jej samobójstwem?

— Zabił ją, Romulusie.

Policjant prowokacyjnie złagodził jego osąd:

— To było tylko niezwykle samobójstwo...

— Oczywiście, że było niezwykle! — Warknął Y. — Ponieważ Linda wcale nie popełniła samobójstwa, lecz została zamordowana! Four Aces należały do ukochanych kasyn Lewistona. I do tych najbardziej dochodowych. Później Parkerboy kupił Bucking Bronco, a wtedy Komisja Gier zmusiła go do sprzedaży Four Aces. Według ówczesnych przepisów, jedna osoba nie powinna była posiadać zbyt wiele. Jakies tam ustawy antytrustowe. Jednak wtedy, dwadzieścia pięć lat temu, Aces należały do Parkerboya. A po interesującej nas sprawie opłacił wszystkich, Romulusie. Od gliniarzy, przez telefonistkę przyjmującą zamówienia z pokojów, aż po świadków. Wszystkich!

Zwolnili.

Poe potarł czoło.

— Podaj mi jakieś nazwiska, a przycisnę kogo trzeba i wznowimy sprawę.

— Po co?

— Jak to po co? — Sierżant nie dowierzał w to, co słyszy. — Y, chodzi przecież o ukaranie sprawcy. Cóż, wiem, że zdarzyło się to ćwierć wieku temu... Niektóre z zaangażowanych osób mogą już nie żyć. Wiele wszakże na pewno nadal...

— Zostaw zmarłych w spokoju.

Policjant zatrzymał się.

— Chyba nie mówisz poważnie! — Stary Indianin nadal szedł. Poe podbiegł kilka kroków i dogonił go. — Właśnie oskarżyłeś Lewistona o morderstwo.

— Rzeczywiście.

— A teraz każesz mi o tym zapomnieć?

— Linda Hennick nie żyje. Afera po latach nie przywróci jej życia. Sierżant ponownie przystanął.

— Zdawało mi się, że kochałeś tę kobietę! — zawołał. Wódz przybrał pokerowe oblicze.

— Bo kochałem.

Policjant poczekał na wyjaśnienie.

— Przyprawilem już Geralda Hennicka o dostateczny ból głowy. — Starzec spojrział w górę i zapatrzył się w niebo. — Nie chcę mu dodawać więcej zmartwień.

Poe parsknął cicho.

— Och, niech mnie diabli. Ależ jesteś litościwy.

Y odszedł. Sierżant dogonił starego i chwycił go za ramię.

— Nie bądź taki cholernie drażliwy. Zamierzasz mi pomóc czy nie?

— Nie, jeśli masz w planie bezcześcić pamięć Lindy.

— Nie mówimy o Lindzie Hennick. Mamy przygwoździć Lewistona, który zabija młode dziewczyny... Zwolnij, stary, bo dostaniesz zawału.

- Co się martwisz, odziedziczysz wtedy cały mój majątek.
- Najpierw spienięż swoją dzisiejszą wygraną. Potem możesz umrzeć.

Indianin zwolnił. Policjant westchnął.

- Słuchaj, nie chcesz mi pomóc? Powiedz otwarcie, a zajmę się sprawą sam. Jeżeli mi się nie uda jej ponownie otworzyć, hmm... nic wielkiego się nie stanie. Przyzwyczaiłem się już do niepowodzeń. No dobrze. A co z Abousayedem? Zrobisz te fotki? Tak czy nie?

Y polizał suche usta.

- Eee... Dziś wieczorem?

— Nie, dam ci tydzień. Gdy dostanę zdjęcia, pokażę je Larue. Może potrafi zidentyfikować pośredniczkę Lewistona.

- Tyle kłopotów, bo jakiś bizoni kutas coś wam zasugerował?

— Tak, informatorzy to czasem gnoje i bywają niesolidni... Niestety, nic innego nie mam. Proszę cię tylko o głupie fotografie, Y. Proszę!

- Dobra, daj mi jakiś bajerancki aparat.

Poe stanął.

- Jest w moim samochodzie.

— A gdzie jest twój samochód?

- W przeciwnym kierunku. — Starzec zrobił w tył zwrot.

— Dziękuję ci, wodzu.

Indianin nie odpowiedział.

- Mam przechować ci czek? — spytał sierżant.

Y wyjął karteczkę i podał mu ją.

- Pójść z tobą jutro do banku?

Wódz skinął głową.

- Miałeś może jakieś nowiny od Alison? — rzucił policjant.

— Zamierzałem cię spytać o to samo — odparował Y. — Zgaduję, że otrzymałbym przeczącą odpowiedź.

Przez długą chwilę milczeli.

- Niedobrze — stwierdził w końcu Poe.

— Bardzo niedobrze.

Rozdział trzydziesty czwarty

Molly wsunęła głowę do pokoju detektywów.

— Jest sierżant Poe?

Patricia podniosła wzrok znad biurka.

— Poszedł wywołać film. Powinien wrócić za dziesięć minut. A o co chodzi?

— Mam rozmowę telefoniczną do niego.

— Przyjmę ją. — Policjantka obniżyła oślepiającą lampę.

— Detektyw Deluca — rzuciła w słuchawkę.

Zapanowała cisza, potem rozległ się słaby głos starca:

— Z sierżantem Poe poproszę.

— Wyszedł na chwilę. Mogę w czymś panu pomóc?

Mężczyzna znowu się zawahał.

— Pewnie powinienem zadzwonić później... powiedział, że wróci szybko?

— Tak, proszę pana, powinien być niedługo. Kto mówi?

— Eee... Gerald Hennick.

Patricia wyprostowała się na krześle.

— Dzień dobry, panie Hennick. Co mogę dla pana zrobić?

— Odpowiedzi nie było, więc dodała: — Wszystko w porządku?

— Widzi pani, ja nie... zastanawiałem się, czy kontaktował się z państwem mój zięć, Stephen? Stephen Jensen?

Przez kręgosłup przebiegł dziewczynie nieprzyjemny dreszcz.

— Panie Hennick, sądziłszy, że Stephen i Alison są z panem.

— No cóż, byli, ale...

Do pomieszczenia wszedł Poe. W jednej ręce miał kubek z kawą, w drugiej papierosa. Patricia szaleńczo zamachała do niego.

— Panie Hennick — krzyknęła do słuchawki — sierżant Poe właśnie wszedł.

— Gerald Hennick? — Policjant biegł do jej biurka, oblewając sobie palce kawą. Poirytowany, postawił kubek, potrząsnął nadgarstkiem i wytarł dłoń w spodnie. Zaciągnął się papierosem, zgasił go

o podeszwę buta i wrzucił niedopałek do kosza. Policjantka podała mu telefon.

— Witam, panie Hennick. Jak się pan miewa?

— No cóż, dobrze... całkiem dobrze, dziękuję. — Po sekundzie podjął: — Nie chodzi o mnie... Widzi pan, zastanawiałem się po prostu, czy miał pan jakieś wiadomości od Stephena albo od Alison?

— Nie są z panem?!

— Byli, sierżancie, ale już nie są. Widzi pan, pojechaliśmy całą rodziną na wakacje, żeby Alison mogła trochę odetchnąć. Biedaczka nie czuje się ostatnio zbyt dobrze.

— Tak, wiem.

— No więc Stephen pomyślał, że jego żona powinna wyjechać... Tylko Alison i rodzina. Pojechaliśmy na kemping i tu nagle Stephen zdecydował, że muszą spędzić nieco czasu we dwoje. Sami, on i Alison. No i gdzieś pojechali...

— Nie powiedzieli dokąd, panie Hennick?

— Nie... — Milczał przez minutę. — Nie powiedzieli. Stephen wspomniiał coś o niespodziance. Oświadczyłem mu, że niespodzianka nie wydaje się dobrym pomysłem. Jednak mój zięć wyglądał na strasznie z siebie zadowolonego, a ja nie chciałem niczego popsuć. Widzi pan, ostatnio im się nie układało.

— Rozumiem — odparł Poe. Stary przemawiał jak James Stewart. — Gdzie pan jest teraz?

— Stephen zostawił mnie i chłopców u mojego brata i bratowej. Czujemy się dobrze i świetnie się bawimy...

— To znaczy gdzie? W jakim mieście?

— W Los Angeles.

— Na pewno nic wam nie jest.

— Tak, tak, sierżancie, naprawdę wszystko w porządku. Niech się pan nie martwi ani o mnie, ani o chłopców. Tyle że moja córka... wyjechali ze Stephenem już dwa dni temu. I od tej pory nie dali znaku życia. Zaczynam się niepokoić.

— Ale chłopcy są zdrowi?

— Tak, absolutnie... doskonale się miewają. Właśnie pojechali do Disneylandu z moim bratankiem, jego żoną i dziećmi. Wszyscy świetnie się dogadują. Nie wiem, dlaczego Alison nie zadzwoniła. Mój brat ma automatyczną sekretarkę, lecz niektórzy ludzie nie lubią się nagrywać... Tak czy owak, miałem nadzieję, że Stephen kontaktował się z panem... że zadzwonił do pracy.

— Nie, nie dzwonił, ale też nie spodziewałem się od niego telefonu. Jest przecież na wakacjach. — Sierżant zabębnił palcami w biurko. — Panie Hennick, proszę mi podać numer swojego telefonu w Los Angeles. Zadzwonię w kilka miejsc i jeśli się czegoś dowiem, poinformuję pana. A jeżeli pan otrzyma jakieś informacje, proszę do mnie natychmiast zadzwonić.

— W porządku. — Ojciec Alison wyrecytował swój numer.

— Dziękuję panu, sierżancie. Mam nadzieję, że nie naprzykrzam się za bardzo.

— Ależ skąd.

— Do usłyszenia.

Słyszając, że Hennick odkłada słuchawkę, policjant położył swoją na widelkach.

— Najwyraźniej Steve zabrał Alison na wycieczkę z „niespodzianką”. Pojechali tylko we dwoje. Jej ojciec nie ma pojęcia, dokąd się wybrali i już dwa dni nie miał od nich wiadomości.

Martwi się.

Patricia posłała Poemu słaby uśmiech.

— Czyli że Steve bywa spontaniczny...

— Daj spokój! Robić niespodzianki chorej psychicznie żonie? Zna jej stosunek do niego. W najlepszym razie Alison go toleruje. W najgorszym... nie cierpi go... Jakby jej ułatwiał samobójstwo... — Przerwał. — Może tego właśnie chce.

Policjantka popatrzyła na niego ze strachem.

— Szefie, mnie to wygląda na niewinny i słodki gest.

Sierżant chrząknął.

— Steve nie jest niewinny, a już na pewno nie jest słodki.

— Podszedł do swojego biurka i wyjął wytrych. — Nie podoba

mi się ta cała sprawa. Musimy pamiętać o dzieciach. Trzeba coś zrobić.

— Co takiego?

— Na początek, dowiedzieć się, gdzie są. — Podeszedł do biurka Jensena i usiadł na krześle. Przyjrzał się szufladzie współpracownika i szarpnął, próbując ją otworzyć. Patricia rozejrzała się po sali detektywów. Jedyne Marine Martin i Herrod siedzieli na swoich miejscach. Reszta gdzieś się rozeszła. Marinę popatrywał to na nią, to na sierżanta, pytając spojrzeniem, co się dzieje. Dziewczyna odpowiedziała mu wzruszeniem ramion.

Podeszła do biurka Jensena. Poe atakował je właśnie wytrychem.

— Szeffie, co pan robi?

— Włamuję się do biurka kolegi.

Policjantka zastukała stopą. Nie wiedziała, co powiedzieć.

— Chyba nie powinien pan tego robić... szeffie.

Rozległo się kliknięcie zamka. Sierżant wyjął górną szufladę i zaczął przeszukiwać jej zawartość. Znalazł parę rachunków za opłaty kartą kredytową i włożył je do kieszeni.

— Szeffie, to jest pogwałcenie prywatności — upierała się dziewczyna. — Gdyby zrobił pan coś takiego mnie, byłabym wściekła.

— Więc dobrze, że robię to komuś innemu. — Wsunął z powrotem górną szufladę i otworzył boczne szafki. Na półkach leżały porządnie poukładane stosy teczek dotyczących spraw. Nie było wśród nich zapewne niczego prywatnego. — Jeśli Steve będzie wściekły, jakoś przeżyje jego gniew.

— Sierżancie, czego dokładnie pan szuka?

Poe pokazał jej odcinki od karty kredytowej.

— Prawdopodobnie mam numer jego karty, więc mogę zatelefonować do banku i podać się za niego. Dowiem się, gdzie Steve ostatnio używał karty.

— Sądzę, że zadadzą panu dodatkowe pytania... Na przykład o panińskie nazwisko matki Jensena i numer jego ubezpieczenia.

— Wiem. Jestem pewny, że wszystkie te informacje znajdują się w aktach zatrudnienia Steve'a.

— Ale pan łamie prawo!
— Zadzwoń zatem po gliny.
— To nie w porządku.
— Więc zaskarż mnie. — Sierżant zatrzasnął szufladę i szafki, wrócił do swojego biurka i podniósł słuchawkę telefonu. Patricia podążyła za nim.

— Reaguje pan przesadnie, z tego co wiemy, nic się przecież takiego nie stało...

Poe odłożył słuchawkę.

— Posłuchaj, może i Steve nie zadzwoniłby, by zapytać o dzieci. Lecz Alison na pewno by to uczyniła... gdyby mogła. Zgoda, jest stuknięta, ale szczerze kocha tych chłopców.

— Czy grozi im niebezpieczeństwo?

— Nie, dzieciom nic nie jest. Jednak żadne z rodziców o tym nie wie.

— Nie rozumiem...

— Droga pani detektyw, pragnę się tylko dowiedzieć, dokąd ta parka pojechała. Gdy się upewnię, że wszyscy są bezpieczni, odpuszczę. — Znowu podniósł słuchawkę. — Molly, możesz mnie połączyć z działem kadr?

Patricia rozłożyła ręce.

— Co się zatem zdarzyło ubiegłej nocy?

— Ubiegłej nocy? — Policjant wyglądał na zakłopotanego. — A co się miało zdarzyć?

— Chodzi o Abousayeda. Chciał pan zrobić zdjęcia jego kobiet.

— A tak! Wysłałem tam Y, ponieważ mnie łatwo by zauważyli. Pstryknął kilka rolek filmu. Mam nadzieję, że wyjdą. Wódz nie jest zbyt biegły w technice.

— Wciska się guziczek i czeka, aż zdjęcie się wysunie...

— Tak, tak... Tyle że nie dałem mu polaroida. Robi zbyt duży hałas. Uznałem, że bardziej się nada canon Rukmani.

— A gdzie mój polaroid?

— Leży w moim aucie. I jestem ci dłużny jeden film.

— Co się z nim stało?

— Zużyłem go. — Uśmiech rozjaśnił jego twarz. — Fotki rodzinne.

Patricia przypatrzyła mu się sceptycznie, zdecydowała się wszakże nie kontynuować tematu.

— To był dobry pomysł, sierżancie. Myślę o wysłaniu Y.

— Czasem... raz na tysiąc razy przyjdzie mi coś mądrego do głowy. — Napił się letniej już kawy, po czym rzucił do telefonu: — Mówi detektyw Romulus Poe z Wydziału Zabójstw. Mam nagłą sytuację i muszę obejrzeć akta personalne jednego z moich ludzi. Jest na wakacjach, a jego matka umarła. W aktach powinna się znajdować lista jego bliskich krewnych... Nie, raczej nie da się tego załatwić przez telefon. Przyjdę osobiście. Wiem, że moja prośba jest niezwykła, ale to sprawa niecierpiąca zwłoki... Dobrze, już dobrze. Będę za dziesięć minut.

Odłożył słuchawkę.

— Zdjęć nie dostaniemy jeszcze przez jakiś czas — zwrócił się do Patricii — może więc też spróbujesz namierzyć Steve'a i Alison.

— Jestem pewna, że mają się dobrze, szefie.

Poe wstał, dopił kawę i wyjął kluczyki od samochodu.

— Przyjemnie być tak pewnym, Deluca. Tyle że ja pochodzę z dziwacznej rodziny. I dlatego nigdy niczego nie jestem pewien!

Podążając szlakiem rachunków płatnych kartą kredytową, sierżant dowiedział się, że Jensenowie jedli ostatnio w tanim barze w małej osadzie na końcu świata. Osada nazywała się Vista de la Mesa, pokój wynajęli w motelu Dunes Inn. Poe poszukał owej nazwy na mapie i w końcu ją znalazł: małą dziurę położoną dwieście czterdzieści kilometrów od granicy Nevady z Kalifornią. Leżała też nieco ponad trzydzieści kilometrów od autostrady numer piętnaście, głównej arterii łączącej Los Angeles z Las Vegas. Może para kierowała się do domu?

Kiedy policjant zadzwonił do motelu, młody, ospały głos męski poinformował go, że Jensenowie wymeldowali się około dwóch godzin temu.

- Czy posprzątałeś już pokój? — zapytał sierżant.
Odpowiedziało mu milczenie. W końcu mężczyzna sapnął ciężko.
- Nie wiem.
- Mógłby pan to dla mnie sprawdzić?
Kolejna przedłużająca się przerwa.
- Przypuszczam, że tak.
- Może pan sprawdzić teraz?
- Mam sprawdzić pokój? — Przerwał. — A może mam się dowiedzieć, czy pokój został posprzątan?
- „Mów prosto, Poe — powiedział sobie. — Nie każdy rozumie skomplikowane zdania”.
- Tak, proszę sprawdzić pokój. Niech pan zobaczy, czy został posprzątan.
- Poczeka pan? Muszę znaleźć kogoś, kto popilnuje biura, podczas gdy ja pójdę sprawdzać pokój.
- Poczekam.
- Poe usłyszał odgłos słuchawki odkładanej na blat, po nim nastąpiły cichnące dźwięki oddalających się kroków. W tle usłyszał krzyk:
- Kathy? Kathy, jesteś tu?
- Czekanie przeciągało się bez końca. Policjant bębnił palcami, strzelał nimi, kołysał się na nogach, wyjmował otrzymanego zeszłej nocy od Y papierosa, po czym wkładał go na powrót do kieszeni.
- Panu Ospalemu wyprawa zajęła całe dziesięć minut.
- Uff, w pokoju jest straszliwy bałagan — odezwał się drżącym głosem.
- Bałagan?
- Tak, prawdziwy bałagan. Krew na pościeli...
- Och, Boże!
- Chyba powinienem zatelefonować po policję.
- Dobry pomysł.
- A pan skąd dzwoni?

— Z departamentu policji w Las Vegas. Który departament obsługuje pański teren?

— Który departament? — powtórzył mężczyzna.

Poe starał się wymawiać starannie każde słowo.

— Chciałbym zadzwonić do waszej lokalnej policji. Z kim mam rozmawiać?

— Z kim?

— Tak, z kim... Jak się nazywa wasz departament policji?

— Ach... Departament szeryfa w Vista de la Mesa.

— O, dziękuję panu. Doskonale. Hmm... Ma pan może numer telefonu?

— Noo... jasne. — Zapadła cisza i sierżant znowu czekał. W końcu recepcjonista wrócił i powoli wyrecytował numer. — Jeśli pan do nich zadzwoni — dodał — wtedy linia będzie zajęta i nie będę się mógł połączyć.

— Proszę mi dać minutkę. Zadzwonię pierwszy, pan drugi. Proszę dopilnować, żeby nikt w pokoju niczego nie ruszał.

— Eee... dotknąłem już klamki.

— Nie szkodzi, ale proszę już niczego więcej nie dotykać. Wykonam ten telefon bardzo szybko.

— To dobrze, ponieważ tam panuje prawdziwy bałagan. Straszny.

— Do usłyszenia. — Poe przerwał połączenie i zadzwonił do departamentu szeryfa Vista de la Mesa. Odebrała starsza kobieta o wesołym głosie.

— Mówi detektyw sierżant Romulus Poe z policji miejskiej w Las Vegas. Muszę pilnie rozmawiać z kimś z Wydziału Zabójstw.

— Nie mamy takiego wydziału — odparła. — Nie potrzebujemy go.

„Tak się tylko pani zdaje”, skomentował w myślach sierżant.

— Az kim mógłbym w tej chwili rozmawiać?

— Może z szeryfem Brucknerem?

— Świetnie.

Po krótkiej przerwie odezwał się głęboki męski głos:

— Bruckner. Kto mówi?

Poe przedstawił się i jak najzwięźlejš wyjaśnił sytuację.

— Dzięki za telefon — powiedział szeryf. — Zaraz tam pojadę.

— Mógłby pan do mnie oddzwonić, gdy pan dotrze? Jeśli sytuacja przedstawia się tak paskudnie, jak mówił recepcjonista, chciałbym do was przyjechać.

— Miło z pańskiej strony, że pan się martwi, jednak przyjazd nie jest konieczny. Nasi ludzie całkiem dobrze znają to miasto. Sądzę, że rozwiążemy tę sprawę lokalnymi siłami.

Policjant wiedział, że mężczyzna oznacza własne terytorium niczym drapieżnik, więc nakazał sobie cierpliwość.

— Jasne, że tak. Ale widzi pan... Jensen to jeden z naszych najlepszych ludzi. Jestem osobiście zainteresowany sprawą. Do diabła, gdyby chodziło o pańskiego człowieka, na pewno chciałby pan być blisko, prawda?

Długa pauza. W końcu Bruckner oświadczył:

— Okej, niech pan przyjeżdża. Tylko proszę nie ciągnąć ze sobą całej kawalkady. Żyjemy tutaj spokojnie i działamy inaczej niż wy w Los Angeles czy Las Vegas.

— Naprawdę bym się nie wtrącał, gdyby nie fakt, że Steve Jensen to mój współpracownik. — Poe zastanowił się, po czym dodał: — Wie pan? Jeśli wyjadę w tej chwili, będę u was za dwie godziny. Mógłby pan poczekać...?

— Hmm, aż dwie godziny?!

— W porządku, rozumiem. Śledztwo prawdopodobnie i tak zajmie sporo czasu. Recepcjonista mówił, że w pokoju panuje okropny bałagan, że widział tam... sporo krwi. Może będzie pan potrzebował techników.

Na linii zapadło milczenie.

— Jeżeli — zaczął Bruckner — sytuacja okaże się rzeczywiście tak paskudna, poczekam. Wyświadcę panu tę grzeczność, bo przecież chodzi o pańskiego człowieka.

Najwyraźniej wystraszyła go myśl o krwi. A może departament policji w Vista de la Mesa nie zatrudniał techników?

— Dziękuję, szeryfie. Do zobaczenia później. — Odłożył słuchawkę i chwycił kluczyki od samochodu. Po wyjeździe z parkingu natychmiast wysłał wiadomość na pager Weinberga. Porucznik odzwonił w minutę później i sierżant streścił mu sytuację.

— Jestem u Myry. Wpadnij po mnie. Każę przygotować parę kanapek na drogę.

— Chciałbym także wziąć ze sobą Rukmani Kalii.

— Dobry pomysł. Jakie kanapki lubi?

— Jest wegetarianką.

— A jajka? Jada? Mogę zdobyć dla niej kanapkę z sałatką jajeczną.

— Jada jajka, o ile nie są zapłodnione.

— Na pewno tu takich nie mamy, Poe. To koszerny lokal.

— Szefie, a w kwestii samych Jensenów? Powinniśmy chyba rozśleść rysopisy obojga?

— Niezły pomysł. Najpierw jednak powinniśmy wyruszyć. Podczas jazdy możemy zadzwonić do motelu... Jak się nazywa?

— Dunes Inn.

— W jakim mieście?

— Vista de la Mesa.

— Nigdy o takim nie słyszałem.

— Ani ja. Na pewno nie jest to idealne miejsce na drugi miesiąc miodowy.

Weinberg zawahał się.

— Za wcześnie na wnioski. Porozmawiamy z Brucknerem osobiście i zobaczymy, co nam powie. Jeśli pokój wygląda naprawdę paskudnie, roześlemy rysopisy. Mówiłeś, że miasteczko leży blisko autostrady numer piętnaście?

— Tak, trzydzieści dwa kilometry od niej.

— A dzieci Jensenowie pozostawili w Los Angeles?

— Tak.

— Czyli że kierują się na południowy wschód. Może wracają do Las Vegas...

— Też mi to przyszło do głowy.

— Istnieje możliwość, że minimy się z nimi na trasie.

- Byłoby wspaniale, o ile ich, rzecz jasna, zauważymy.
- Oby tak się stało — odparował porucznik. — Oszczędziliby nam nerwów i mnóstwa spekulacji.

Rozdział trzydziesty piąty

Zebrali się na parkingu przed motelem: Poe, Weinberg, Rukmani oraz Bruckner i Byron — ospały recepcjonista. Asfalt aż skwierczał od gorąca, słońce bezlitośnie paliło na otwartym terenie. Szeryf zupełnie nie pasował do wizerunku człowieka, jakiego sierżant wyobraził sobie po rozmowie telefonicznej. Około pięćdziesiątki, wysoki i tak szczupły, że mundur w kolorze khaki wręcz wisiał na jego chudym ciele. Miał też cieniutki wąsik i krótko przycięte włosy, które srebrzyły się na skroniach. Ogólnie rzecz biorąc, chuda tyczka o aksamitnym głosie radiowego spikera.

— Porucznik? — spytał.

— Nie, jestem sierżant Poe. — Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Szeryf chwycił jego rękę krzepko, lecz nie przesadnie mocno. Policjant wskazał swojego zwierzchnika. — A to jest porucznik Weinberg.

Porucznik wyciągnął rękę.

— Dziękuję, że poczekał pan na nas — zagaił.

— Skoro to jeden z waszych — mruknął Bruckner i zerknął na zegarek. — Szybko przyjechaliście.

— Pędziliśmy z piekielną prędkością — wyjaśnił Weinberg. — Przedstawiam panu doktor Kalii. Chyba nie przeszkadza panu, że nam towarzyszy?

Rukmani wyciągnęła rękę.

— Cieszę się, że mogę pana poznać.

Poe zauważył, że szeryf zawahał się na ułamek sekundy, zanim chwycił dłoń kobiety.

— Ja również — oświadczył w końcu. — Mam nadzieję, że nie będziemy potrzebowali pani usług, pani doktor.

— Też mam taką nadzieję, ponieważ jestem z biura koronera.

Weinberg wytarł twarz chusteczką. Badawczo przyglądał się jednopiętrowej speluncie, która wyglądała jak otynkowany na szaro bunkier. Kiedyś zapewne jego zewnętrzne ściany były białe, ramy okienne zaś niebieskie (większa część farby już złuszczyła się i odpadła). Wszystkie domki — ogółem dwadzieścia cztery — miały smołowane dachy. W recepcji stały dwa automaty: jeden z wodą sodową, drugi z przekąskami. W zasięgu wzroku nie było śladu nawet przydrożnego baru. Najwyraźniej główną atrakcją osady stanowił suchy, gorący teren pustyni. Dlaczego, u diabła, Steve przywiózł tu Alison?

Porucznik i sierżant mieli identyczne odczucia.

Poe starł pot z czoła i spytał:

— Byron, możemy zajrzeć do księgi gości?

Recepcjonista spojrzał pytająco na szeryfa. Byron liczył sobie niewiele powyżej dwudziestu lat, był średniej postury, miał pucołowatą twarz i sflaczały brzuch, wydatny, pękaty nos i okulary, które tłumily ciemnoniebieski odcień jego oczu.

— Pokaż sierżantowi księgę, Byron — polecił mu Bruckner.

Chłopak bez słowa odwrócił się i skierował do biura. Sierżant wzruszył ramionami i podążył za nim.

— Który to pokój? — spytał Weinberg.

— Dwudziestka — odparł szeryf. — Tam z tyłu. Wszedłem, rozejrzałem się i... Recepcjonista nie kłamał. W pokoju wszędzie widać krew. Nie ma jednak ciał.

— Sprawdził pan dokładnie? — spytała Rukmani.

— Oczywiście, proszę pani — odparł. — Musiałem się przecież upewnić, czy nie ma rannych.

Lekarce nie umknęła protekcjonalność w głosie mężczyzny.

— Czyli że chodził pan po pomieszczeniach?

Bruckner uśmiechnął się.

— Przez jakieś trzydzieści sekund.

Wrócił sierżant.

— Ktoś zameldował się jako Stephen Jensen z żoną imieniem Alison. Imię zapisano we właściwy sposób... przez jedno „l”. Podpis

wygląda na pismo Jensena. Ale mógł też zostać sfalszowany...

— To nie ma sensu — przerwał mu porucznik. — To, że Steve przywiózł tu żonę.

— Rzeczywiście, dla mnie również nie ma...

Przez chwilę cała grupa milczała.

— Nie wiem, jak wy, panowie — odezwała się w końcu Rukmani — ja jednak jestem gotowa rzucić okiem na pobojowisko.

Bruckner uśmiechnął się.

— Tak, za gorąco tutaj dla kobiety.

Lekarka odwzajemniła uśmiech.

— W Pendzabie, szeryfie, taka pogoda panuje wiosną. — Ruszyła przed siebie. — Numer pokoju to dwadzieścia, zgadza się?

— Zgadza się — przyznał bez entuzjazmu Bruckner.

Uszli zaledwie kilka metrów, gdy Poe usłyszał czyjeś kroki.

Odwrócił się. Recepcjonista celował w jego twarz kamerą wideo. Bruckner również zerknął przez ramię.

— Byron — krzyknął — zabierz to cholerstwo!

— Och, tylko parę ujęć, szeryfie...

— Byron, my tu pracujemy — odparował szeryf. — Wyłącz ją, zanim ci ją roztrzaskam na głowie.

Młodzieniec opuścił kamerę.

— Mogę pożyczyć? — spytała patolog.

Bruckner zastanowił się, w końcu dał recepcjoniście znak. Mężczyzna podszedł.

— Daj mi ją.

— Przecież nie kręcę...

— Ta pani chce ją od ciebie pożyczyć.

Byron popatrzył na Rukmani podejrzliwie. Kobieta wyciągnęła rękę.

— Jestem z biura koronera. Kamera przydałaby mi się na miejscu przestępstwa. Jeśli otrzymam pozwolenie, po wszystkim wyślę panu kopię kasety.

- Daj ją jej — ponaglił go Bruckner.
- Recepcjonista niechętnie wręczył lekarce kamerę.
- Dziękuję — powiedziała.
- Chyba powinienes już wrócić do recepcji, Byron — oświadczył szeryf.
- Kathy pilnuje recepcji — odciął się chłopak.
- W takim razie idź i pomóż jej.
- Mnie on nie przeszkadza — zauważył Poe. — O ile nie wejdzie z nami do pokoju.

Bruckner zeszytniał. Był wyraźnie niezadowolony, że sierżant z Las Vegas podważa jego autorytet.

- No, szeryfie, niech pan nie będzie taki zasadniczy.
- Przypuszczam, że nic się nie stanie — mruknął Bruckner przez zaciśnięte szczęki.

Byron uśmiechnął się.

— Hej, dzięki, szeryfie. Obiecuję, że nie będę wam wchodzić w paradę. — Rukmani zaś spytał: — Naprawdę przyśle mi pani kopię taśmy?

— Nie.

Zdumiał się.

— Nie?

— To wbrew przepisom. — Lekarka nałożyła rękawiczki, przerwała żółtą policyjną taśmę przed drzwiami i nacisnęła klamkę. — Panie pierwsze, szeryfie?

Bruckner odsunął Byrona. Weszli gęsiego, Poe ostatni.

Na widok pomieszczenia żołądek podskoczył mu do gardła.

Po relacji szeryfa spodziewał się wiele krwi... na skotłowanej poscieli, na meblach, na wytartym różowym dywanie, który pokrywał podłogę. Ale nie oczekiwał takiej jatki... Wielkie abstrakcyjne plamy koloru karmazynu szpeciły ściany i sufit. Jakby ktoś użył makabrycznego sprayu. Oczy sierżanta przesunęły się po plamach, potem po całym pokoju. Chybotliwe łóże królewskich rozmiarów i podniszczony różowy dywanik były wręcz zalane krwią, która gdzieś zakrzepla w paskudne brązowe strupy. Dwa tanie, plastikowe, oblepione drewnopodobną tapetą nocne stoliki. Lampki do czytania

przymocowane do ścian. Naprzeciwko łóżka stała komoda, na niej dwudziestosześcioro telewizor i dekodery. Telewizor przytwierdzono bolcami do komody, pilota zaś — łańcuszkiem do blatu jednego z nocnych stolików. Właściciel motelu wyraźnie nie pokładał zbyt wielkiej ufności w uczciwości swoich gości.

Policjant przełknął głośno ślinę. Poczował, że drżą mu ręce. Aby ukryć zdenerwowanie, wyjął notes i zaczął sporządzać notatki. Młdy odór przenikał duszny pokój. Był na tyle intensywny, że Poe mimowolnie zmarszczył nos, ale na szczęście nie ogarnęły go torsje.

Potworny widok najprawdopodobniej wytrącił też z równowagi Weinberga.

— Jesteś pewien, że podpis był Jensena? — spytał Poego.

Sierżant podniósł wzrok znad notesu.

— Nie. Ale w książce gości obok jego nazwiska widnieje też numer karty kredytowej.

— Chryste!

Z łazienki wyszła Rukmani. Opuściła kamerę.

— Pod prysznicem nie ma ciała. To nie *Psychoza* Hitchcocka... — Przez chwilę wachała powietrze, po czym wyjęła maskę. — Przyszanicie jednak, że cuchnie dość paskudnie. Szukaliście trupa w szafie?

Poe przytknął do nosa chusteczkę, potem otworzył małe drzwi i ostrożnie zajrzał do środka.

— Dla mnie wygląda tu niewinnie.

— Poczekaj, nakręcę wnętrze. — Lekarka zaczęła nagrywać na zbliżeniu. — Rzeczywiście, nikt nie zwisa z wieszaka na płaszcze.

Bruckner skrzywił się. Rukmani odsunęła się od szafy.

— W środku jest czysto. — Wyłączyła kamerę. — To znaczy... jest sporo kurzu, lecz nie ma krwi.

— Widzicie te zacieki na ścianie? — spytał Poe. — Pochodzą chyba z miejsca, w którym północna ściana łączy się z sufitem.

— W suficie łazienki zauważyłam pokrywę.

Mężczyźni popatrzyli na siebie.

— Dajcie mi drabinę — zaoferował się sierżant. — Wejdem tam.

— Ja mogę to zrobić — oświadczył szeryf.

— Świetnie — zgodził się policjant. — W końcu to pański teren.

Bruckner zawahał się.

— Hmm, no tak, ale chodzi o waszego człowieka. Wybór należy do pana.

— Dobra, wejdem tam — powtórzył Poe.

— Przyniosę panu drabinę.

Gdy Bruckner wyszedł, patolog spytała:

— Czyż nie jest słodki?

— Miejcie trochę litości — mruknął porucznik. — Facet zapewne nigdy nie pracował przy zabójstwie... Założę się, że jest cholernie przerażony. — Odwrócił się do sierżanta. — Jesteś zdecydowany tam wejść?

— Za to mi płacą.

— Myślę o twojej ewentualnej reakcji — wyjaśnił Weinberg.

— Wiesz przecież, kto może tam leżeć.

— Wiem. — Nikt się nie odezwał, więc policjant dorzucił:

— Ona lub on. Albo oboje...

— Na pierwszy rzut oka — wtrąciła Rukmani — nie wygląda to na krew dwojga ludzi.

— Poza tym Alison nie jest dość silna, aby wepchnąć ciało Steve'a przez klapę w suficie. Musiałaby podnieść nad głowę martwe ciało o wadze stu kilo. Że nie wspomnę o pewnym drobiazgu... Przecież pokrywa sufitowa jest za wysoko... poza jej zasięgiem. Kobieta musiałaby się zatem na coś wspiąć. Nie, nie zdołałyby czegoś takiego zrobić. — Potrzęsnał głową z niedowierzaniem. — Nie zdołałyby.

Lekarka wzięła go za rękę.

— Romulusie, mam, na Boga, nadzieję, że Alison jest cała i zdrowa. Mówię poważnie.

Poe znowu twardo przełknął ślinę.

— Wiem o tym. Dzięki. — Strzelił kilkakrotnie palcami, potem przestał. — Zrób może jeszcze parę ujęć kamerą.

— Mam już dość. — Rukmani rozejrzała się. — Przydaliby się nam technicy.

— Jeśli znajdziemy ciało — oznajmił Weinberg — i będzie ono należało do... Alison, Steve'a bądź innego mieszkańca Las Vegas, wtedy przejmujemy sprawę. Wszystko w swoim czasie.

— Tak przy okazji, Rom — spytała lekarka — jak wyszły zdjęcia?

— Zdjęcia? — spytał sierżant.

— Fotki, które miał zrobić ubiegłej nocy Y.

— Ech, nie miałem okazji ich zobaczyć... — Potarł twarz. — Kogo trzeba skopać, by dostać wreszcie tę drabinę?! — wybuchnął nagle.

— Cierpliwości, Poe — powiedział porucznik. — Słuchaj, jeśli nie czujesz się na siłach, niech Bruckner...

— Nie pozwolę temu pajacowi niczego dotykać. — Policjant wyszedł z pokoju. Ujrzał szeryfa. Mężczyzna był równie chudy jak drabina, którą targał, więc Poe podbiegł do niego i pomógł mu.

— Kim jest ta kobieta? — spytał Bruckner.

— Doktor Kalii? Zastępcą koronera.

— Czy jest dobra?

— A cóż to za pytanie?! — Sierżant obrzucił go piorunującym spojrzeniem. — Rozmawiamy prywatnie czy oficjalnie?

Szeryf poczerwieniał.

— Niech pan posłucha, ja tylko...

Policjant zmilczał wyjaśnienia szeryfa, pogłębiając jego konsternację. Wnieśli drabinę do łazienki i ustawili ją pod klapą. Bruckner zrobił się nagle służalczy:

— Jest pan pewien, że chce tam wejść, sierżancie?

„Wręcz przeciwnie, dupku, jestem pewien, że za nic nie chcę tam wchodzić”, pomyślał.

— Nic mi nie jest. Potrzebuję tylko silnej latarki.

— Już się robi. — Szeryf pospiesznie odszedł.

Poe zaczął się wspinać po szczeblach, Weinberg przytrzymał drabinę. Sierżant dotarł do klapy, podważył ją i odrzucił na bok. Strumień krwi chlusnął na głowę porucznika.

— Cholera! — psioczył oblany, lecz nie puścił drabiny. — Niech mi ktoś poda...

— ...ręcznik — dokończyła za niego Rukmani. — Już. — Pędem wybiegła i wróciła ze stosem pościeli. Wytarła łysinę i twarz Weinberga. — To świeża krew.

— Domyślam się, pani doktor. Lekarka uśmiechnęła się.

— Przepraszam, poruczniku.

Szeryf wrócił z latarką. Zmarszczył nos.

— Cholera, co jest... pomogę panu, poruczniku.

— Proszę przez moment przytrzymać tę drabinę. Wytrę się...

— Już... już. — Bruckner podał latarkę sierżantowi. — Wystarczy taka?

— Idealna.

Weinberg puścił drabinę i odsunął się.

— Nie spiesz się, Poe.

Sierżant wziął głęboki wdech, wypuścił powietrze, po czym weknął głowę w zatechły stryszek. Aż się skurczył pod wpływem smrodu — odoru ciała, które najwyraźniej zaczynało się już rozkładać. W gorącym, leniwym powietrzu wisiał też ciężki, metaliczny fetor. Poe zapalił latarkę i rozświetlił przestronną niszę dzielącą sufit domku od dachu. W półmroku podłoga wydawała się mokra i lśniąca, jakby smołowana. Policjant dostrzegł jakieś kałuże. Metodycznie oświetlał całe pomieszczenie, aż zobaczył nieruchomą bryłę w odległości mniej więcej półtora metra od swojej głowy.

Zszedł do łazienki zaczerpnąć powietrza. Wziął kilka wdechów i oświadczył:

— Na górze coś jest. Nie sposób dosięgnąć tego z drabiny.

Muszę tam wejść. — Przypatrzył się Weinbergowi. — Czyli że zniszczyć dowody... może zادةpczę odciski butów. Istnieje oczywiście

alternatywa — można wejść przez dach. Rozebrać jego część...

— Poe — przerwał mu Weinberg — popatrz tylko na tę budę. Jeśli zaczniemy przy niej grzebać, zawali się niczym domek z kart.

— Pewnie masz rację, szefie.

— Wejdz i zrób, co trzeba.

— Dam ci okulary i maskę... — zaproponowała lekarka.

— Nie trzeba. Mam chusteczkę.

— Proszę, Poe — nalegała kobieta. — Poza krwią i smrodem znajdziesz tam prawdopodobnie wieloletni kurz oraz martwe nietoperze i ptasie odchody. Wierz mi, nie będziesz chciał tego wdychać, a już na pewno nie masz ochoty, żeby pył podrażnił ci oczy.

— Ona ma rację — odpowiedział porucznik.

— W porządku. — Sierżant poczekał, aż Rukmani da mu środki ochronne. Gdy skrył się pod maską, mruknął: — Czuję, że na nic mi się nie przyda.

— Bądź ostrożny — zawołała lekarka.

Przecisnął się przez wąski otwór.

Czasami cieszył się, że jest drobnej postury.

Z huczącą głową i podchodzącym do gardła żołądkiem wczuł się na mokłą, lepką powierzchnię. W ochronnych okularach widział całkiem dobrze. Słyszał też własny oddech i czuł zgniły zapach przez maskę. Było gorąco i wilgotno. Odniósł wrażenie, że brnie w szambie.

Małymi kroczkami dotarł do leżącej bryły. Rękawiczki miał już mokre od krwi. Starając się utrzymać lunch w żołądku, wyciągnął rękę i chwycił nieruchome ramię. Zaczął odciągać ciało ku wejściu.

Wydało mu się lekkie. Na pewno nie należało do Steve'a.

A więc kobieta!

Serce w nim zamarło. Obmacał poddasze wokół siebie. Miał duszności i zawroty głowy.

„Nie mdlej, palancie!”, zbeształ się.

Holował trupa ku wolności. W słabym świetle nie mógł wychwycić rysów twarzy. Wreszcie zbliżył się do otworu.

— Nie dam rady znieść jej na dół... — krzyknął.

— To kobieta?! — wrzasnął Weinberg.

— Tak, kobieta — odparł Poe. — Ale nie wiem kto. Twarz ma zmasakrowaną, poza tym jest tu zbyt ciemno. Zamierzam ją opuścić, a wy musicie ją ode mnie odebrać.

— Niech pan potrzyma drabinę — rzucił porucznik szeryfowi. — Chwyć ciało. I tak już jestem zakrwawiony.

Bruckner skinął głową.

— To chyba dobry plan.

Weinberg zauważył, że jego towarzysz gwałtownie pobladł.

Poe złapał z całych sił zwłoki w pasie. Poczuł, że jego palce zagłębiają się w miękkie, zimne ciało. Do gardła napłynęła mu fala mdłości.

— Opuszczam ją.

— Powoli, sierżancie.

— Staram się, jak mogę. Opuścił trupa stopami w dół.

— Masz ją, szefie?

— Jeszcze nie...

— A teraz...

— Trochę bardziej... na lewo.

— Teraz?

— Jeszcze bardziej.

— Ślizgam się...

— Mam ją — oświadczył porucznik. — Możesz puścić.

Z głośnym westchnieniem policjant pozbył się zwłok. Ponownie zlustrował stryżek, omiatając podłogę snopem światła latarki. Tym razem żadna bryła nie przyciągnęła jego uwagi, choć nie udało mu się niestety sprawdzić narożników. Później zrobi gruntowniejszą rewizję.

Później...

Gdy tylko zidentyfikuje...

— To nie jest Alison — zawołał Weinberg z dołu.

— Jesteś pewny? — spytał Poe.

— Tak.

Z sierzanta uszło całe napięcie. Odczekał jeszcze sekundę, całkowicie się uspokoił i rozpoczął drogę w dół. Kiedy dotknął stopami podłogi, zdarł okulary i przyjrzał się zwłokom.

Skrzywił się.

Podobnie jak w przypadku Brittany Newel, połowa twarzy ofiary pozostała nietknięta, druga zaś była straszliwie pokiereszowana i wyglądała niczym rozorana przez zaostrome ogrodowe grabie. Głębokie bruzdy przypominały rany na jego policzku. Poe powstrzymał odruch dotknięcia własnej twarzy i skoncentrował się na pracy.

W przeciwieństwie do Newel, ktoś lub coś nadgryzło to ciało — w tułowi ziały wielkie krwawe dziury. Pozostała nieregularna bryła porozdzieranego mięsa i tkanek. Nogi kobiety również zostały pocięte, a w niektórych miejscach wręcz odarte do kości.

— Dobry Boże! — jęknął.

Rukmani wzięła go za rękę.

— Dobrze przynajmniej, że to nie Alison.

— Jasne. — Zrobił wdech, potem wydech. — Dzięki za troskę.

— Po prostu martwię się o ciebie...

Wypuścił powietrze z płuc i studiował oblicze ofiary. Wreszcie go olśniło.

— Och, mój Boże! Wiem, kto to jest! Gretchen Wiler! Wszystkie oczy skupiły się na nim.

— Kto? — spytał Weinberg.

— Gretchen Wiler! — powtórzył Poe, jednocześnie skacząc na równe nogi. — Na pewno o niej słyszeliście! Była kochanką Steve'a!

Rozdział trzydziesty szósty

Chociaż w motelu było wiele wolnych miejsc, na „apartament gościny” wyznaczono domek numer dwadzieścia cztery. Gdy Poe wszedł do pokoju, zdarł rękawiczki i okulary, po czym zatrzasnął za sobą drzwi stopą. Ruszył prosto do łazienki, odkręcił oba kurki na pełną parę i obryzgał sobie ciepłą wodą brudną twarz. Głowa mu pękała, więc wziął proszki przeciwbólowe. Potem zdjął ubranie, skorzystał z prysznica i wysuszył ciało ręcznikiem równie chłonnym jak gaza. W pomieszczeniach panowało gorąco i duchota, tym niemniej sierżant oddychał głęboko i cieszył się, że choć na chwilę opuścił miejsce rzezi. Obecnie tamten domek roił się od techników i podłogę pokrywało mnóstwo czarnego proszku do identyfikacji odcisków palców.

Sporządzono też rysopisy Steve'a i Alison.

Usiadł na łóżku, lekko dotknął chorego policzka, potem wytarł pozostałą część twarzy i wysuszył ręcznikiem włosy. Akurat smarował ranę maścią, gdy otworzyły się drzwi. Do środka weszła Rukmani. Przeciągnęła się, po czym niedbale przetała spoconą twarz rękawem. Nagle go zobaczyła i zrobiła krok w tył.

— Mój Boże! Tu jest nagi detektyw! — krzyknęła żartobliwie.

Poe uniósł brwi.

— Weź prysznic, kochana. Mydło dobrze ci zrobi.

— Ciągle tu będziesz, kiedy wyjdę?

— Żartujesz?

Uśmiechnęła się, weszła do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi. Po chwili sierżant wstał i wszedł za nią do wypełnionego parą pomieszczenia. Otoczył ramionami jej ociekające wodą, szczupłe ciało. Jego ręce przesunęły się w górę do jej jędrnych, małych piersi, czubkami palców muskał jej sutki. Lekarka miała nadal splecione w warokocz, lecz mokre już włosy. Pod skórą widział jej wydatne żebra. Wyglądała jak wychudzony dzieciak.

— Kiedy po raz ostatni jadłaś?

— Jestem Hinduską. Przywykłam do głodowania. — Popatrzyła mu wyzywająco w twarz, po której spływała woda. Stała na czubkach palców i pocałowała go w usta, potem opuściła głowę i polizła gęstą linię czarnych włosów, biegnących pionowo przez środek jego piersi. — Boże, jesteś piękny, gdy jesteś mokry. Jak z wypolerowanej skóry. — Possała jego sutki. — Smakujesz również wspaniale.

— Ty też. — Łagodnie pociągnął w górę jej głowę i żarliwie wpił się w jej usta. Ich pocałunki mieszały się ze świeżą, płynącą wodą. Policjant zniżył się do jej szyi i piersi.

Zakręcił wodę.

A później szaleńczo kochali się na podłodze kabiny prysznicowej.

W końcu ponownie się opłukali. Tym razem nie mieli nawet luksusu w postaci suchych ręczników. Wilgotni i rozgrzani rozpoczęli żmudny proces ubierania się w brudne, lepkie ubrania.

Gdy lekarka wsunęła pokrwawione chirurgiczne spodnie, rzuciła:

— Można by tę scenę nakręcić znacznie lepiej.

Poe popatrzył na nią pytająco. Opuszki palców miał tłuste od maści.

— Słucham?

— Gdybyśmy grali w filmie, daliby nam czyste ubrania.

Sierżant włożył przesiąkniętą potem i upstrzoną zakrzepłymi plamami krwi koszulę.

— Sprzedamy tę historię Hollywoodowi, a wtedy wprowadzimy do scenariusza czyste ciuchy.

Ktoś poruszył klamką.

— Minutkę — zawołał policjant.

— W porządku. — Głos szefa! — Nie spiesz się.

— Jak sobie radzą? — spytał Poe.

— Mają sporo pracy. Kończysz już? Też chciałbym wziąć prysznic, a ktoś musi mieć oko na ludzi.

— Wychodzę za kilka minut.

— Czy Rukmani pojechała już z ciałem? Nie mogę jej nigdzie znaleźć.

Oczy kochanków spotkały się. Kobieta zachichotała jak pensjonarka.

— Tutaj jestem, poruczniku! — krzyknęła. — Wracam z wami. Chyba nie pokrzyżuję panu planów, prawda?

— Och nie, nie — odparł Weinberg. — W porządku, w porządku. Zapanowało krępujące milczenie.

— Przestań się uśmiechać z wyższością — szepnęła lekarka.

— Jak gdyby nie wiedział...

— Nie o to chodzi. Co innego wiedzieć, a co innego nakryć kogoś. Pewnych spraw nie wywleka się bez potrzeby na światło dzienne i już, więc głupio wyszło.

Sierżant włożył brudne spodnie i odwrócił się.

— Lepiej?

— Bardzo profesjonalnie.

Otworzył drzwi i uśmiechnął się cierpko.

— Pokój należy do ciebie, szefie. Każę Byronowi poszukać suchych ręczników.

Porucznik z uwagą przyjrzał się ich twarzom.

— Dzięki.

Gdy wyszli na zewnątrz, oboje wybuchnęli salwami śmiechu, które stanowiły raczej odreagowanie stresu niż objaw radości. Było późne popołudnie i upał robił się jeszcze bardziej nieznośny. Oddychanie wymagało sporego wysiłku.

— Cholera! — zawołał policjant. — Zostawiłem tam moją maskę...

— Mam dodatkowe.

Zatrzymał się i chwycił Rukmani za ramiona.

— Muszę rozwiązać tę sprawę, rozumiesz?

— Och...

— Nie, nie. Nie chodzi mi o nas, lecz o sprawę. Wierz mi... Jeśli ten bałagan jest dziełem Steve'a, nie będę się zbytnio przejmował. Ale jeżeli zrobiła to Alison... Ruki, martwię się o ciebie!

— O mnie?!

— Najwyraźniej Alison atakuje kobiety, które jej zdaniem krzywdzą

ją... które kradną jej ukochanych mężczyzn. Newel miała romans ze Steve'em, Gretchen była jego kochanką...

— A teraz Alison skończyła z kobietami Steve'a — przerwała mu lekarka — i zamierza się zabrać za ciebie, to znaczy...

za twoje kobiety... czyli za mnie.

Poe smętnie skinął głową.

— W przeszłości, gdy o tobie wspominała... hmm... czyniła to niezbyt czule... Strzeliłbym sobie w łeb, gdyby coś ci się stało.

— No wiesz... Nie możesz tego zrobić. Kto by mnie pomścił?

Sierżant polizał nerwowo usta.

— Nie żartuj, mówię poważnie. Uśmiechnęła się.

— Czy to znaczy, że niepokoisz się o mnie?

— No pewnie, i to strasznie! Słuchasz mnie w ogóle? Nieoczekiwanie spoważniała.

— Słucham cię. Będę ostrożna. — Ruszyli ku miejscu zbrodni. — Sama trochę nad tym wszystkim rozmyślałam.

— No i?

— Te zabójstwa... mają jakiś rytualny aspekt, nie sądzisz?

— Rozwiń tę myśl, proszę.

— Na przykład to, że tylko połowa twarzy została zniszczona.

— Tak, ten szczegół może mieć rytualny aspekt. A może chodziło o... jakby to ująć... zamysł identyfikacyjny. Może Alison... czy ktośkolwiek zabija... pragnie, byśmy znali tożsamość ofiary.

— Ciekawe spostrzeżenie.

— A jednak, coś mi w tej koncepcji nie pasuje — mruknął Poe. — Te regularne rany jak po grabieniu. Czasem myślę, że morderca oporządza ofiary przed... konsumpcją. — Stanął. — Gretchen została okaleczona znacznie okrutniej niż poprzednie ciała. Co to znaczy? Że zabójca naprawdę się na nią wkurzył. Jeśli zabójcą jest Alison, gniew ma sens. Ponieważ z Gretchen Steve nie miał jedynie przelotnego

romansu. Dla żony stała kochanka stanowi prawdziwe zagrożenie.

— Albo choroba Alison pogłębia się.

Pokiwał głową.

— Istnieje również i taka możliwość.

Znowu powoli ruszyli ku miejscu rzezi.

— Wiesz, Rom? — odezwała się Rukmani. — Nie te ślady na twarzy mnie martwią. Raczej brakujące, wyszarpane czy też wygryzione fragmenty ciała. Zwłaszcza po wewnętrznej stronie ud. Perspektywa psychiatryczna sugeruje skojarzenia seksualne. To atak na erotyzm Gretchen, który bardziej pasowałby do Steve'a niż do Alison. Ponieważ wnętrze ud jest strefą erogenną. Wiesz, zawsze mi się wydawało, że Jensen ma osobliwy stosunek do kobiet... Że w gruncie rzeczy ogromnie nimi pogardza.

— Naprawdę?

— Ty tak nie sądzisz?

— Szczerze mówiąc, nie. Zawsze mi się wydawało, że je uwielbia, szczególnie ładne dziwki... — Zatrzymał się i spojrzał na swoją przyjaciółkę. — Czy kiedykolwiek cię podrywał?

Lekarka spłonila się.

— Raz.

Sierżant poczuł ukłucie zazdrości i złość.

— Co takiego? Kiedy?!

— Sześć, siedem miesięcy temu. Spotykałam się z tobą dopiero od niedawna i...

— Dlaczego mi nie powiedziałaś?!

— Po co miałam cię niepokoić? W owym czasie nasz związek nie wyglądał jeszcze zbyt poważnie...

Niespodziewanie przerwała i w powietrzu zawisło niezadane pytanie: „Czy teraz łączy ich coś naprawdę poważnego?” Wzruszyła ramionami.

— Pracujesz z tym człowiekiem, Rom. Gdybym się wtrąciła, nie tylko popsułabym stosunki między wami, lecz także i nasz związek. Tak czy owak, Steve nie był szczególnie natrętny. Po prostu zaproponował wspólne wyjście, na drinka. Powiedziałam mu, że tkwię po

uszy w pracy, i uznał to stwierdzenie za odmowę, czyli zinterpretował je właściwie...

— Świetnie — warknął policjant. — Teraz naprawdę się martwię o ciebie. Zarówno Steve, jak i Alison mogą chcieć się mścić...

— Och, przeceniasz znaczenie mojej osoby. Położył jej palec na ustach.

— Na pewno nie.

— Widzę, że się szczerze trapisz — zauważyła Rukmani — bo zachowujesz się strasznie słodko... Może wrócimy do rozmowy o ciele? Szczególnie o ranach na wewnętrznej stronie ud...

Poe wytarł czoło.

— Kontynuuj.

— Rom, widziałam ofiary pogryzień...

— Ja również.

— W takim razie wiesz, że wyglądają makabrycznie, ale nie mają takich ran, jak Gretchen... dużych, postrzępionych dziur w ciele. Cóż, muszę to w, Końcu powiedzieć! Mam wrażenie, że morderca pożywał się Jej ciałem...

— Uff! Nie chcę nawet myśleć o tym...

— Z drugiej strony zwłoki nie posiadały typowych oznak kanibalizmu!

Sierżant zawahał się.

— Ofiara nie została zarżnięta w odpowiedni sposób... ciało nie było też oporzędzone jak... jadalne mięso.

— Właśnie.

— Może jemu, jej... czy też, im... zabrakło czasu na dokończenie...

— Dlaczego więc morderca żarł trupa na surowo?!

— Nie wiem, Ruki, nie wiem.

Kobieta podskoczyła na gorącej ziemi.

— Och, tutaj nie ma ani metra cienia. Może się gdzieś przejeździemy?

Policjant przecesał palcami suche już włosy.

— Muszę nadzorować techników.

— Okej, będę się streszczać. Słyszałeś kiedyś o chorobie

psychicznej zwanej likantropią? A może obiała ci się o uszy pospolit-sza nazwa: wilkołactwo?

Poe zastanowił się nad jej pytaniem.

— Uważasz Alison za wilkołaka?

— Nie, nie, ależ skąd. Powiedziałabym raczej, że ona sama siebie uważa za wilkołaka.

— Wątpliwa hipoteza.

— Dlaczego?

— Po... ponieważ... — sierżant zająknął się. — Po prostu nie wydaje mi się, żeby ona... Jak częsta jest ta ułuda? Bo to przecież złudzenie, prawda?

— Tak, likantropię można nazwać złudzeniem psychotycznym. Pytasz o częstość występowania? Hmm... zależy ona od rejonu zamieszkania. W Skandynawii opowieści o wilkołakach możesz posłuchać w każdej wiosce, a w takiej na przykład Anglii prawie nikt nie słyszał o wilkołakach.

— W Anglii nie ma wilkołaków?

— Z jakiegoś powodu po tym kraju nie krążą związane z nimi legendy. Nie znam przyczyny tego zjawiska, przecież w angielskich lasach żyje sporo wilków. Najwyraźniej Brytyjczycy inaczej do nich podchodzą. Jestem pewna, że zdarzyło się parę przypadków wilczej transgresji, kiedy ludzie uważali się za zwierzęta, ale... W każdym razie napaści wilkołaków nie figurują w zestawie ludowych podań, toteż takich ludzi traktuje się jak chorych psychicznie.

— Gdzie się tego wszystkiego dowiedziałas?

— Zanim zajęłam się patologią, specjalizowałam się w psychiatrii. W pewnym momencie zdecydowałam po prostu, że wolę trupy od szaleńców.

— Mam wziąć na poważnie twoją deklarację?

— Wiesz? Napisałam imponującą, bardzo uczoną dysertację na temat pewnego hinduskiego dzieła pod tytułem *Panchatantra*, sanskryckiej księgi bajek. Rozebrałam opowieści na części pierwsze i zinterpretowałam je pod kątem aberracji psychologicznych, takich jak likantropia, kuantropia... gdy się komuś wydaje, że jest dzikim

psem... czy też boantropia związana z krowami i bykami. Przypuszczam, że te pojęcia wydają się dziwne i obce Amerykanom, jednak u nas, w Indiach były na porządku dziennym. Możliwość zmiany powłoki cielesnej stanowi nieodłączną część naszych wierzeń religijnych. W ich wyniku wielu z nas to wegetarianie. Właśnie wiara w metempsychozę skłania nas do odrzucania mięsa. Nie chcemy przecież zjeść cioci Benazir...

— Jesteś naprawdę okropna. — Zastanowił się. — A co to jest metempsychoza?

— Transformacja z formy ludzkiej w zwierzęcą i odwrotnie. W przypadku pewnych nieszczęsnych chorych duszyczek akt ten odbywa się bez ich udziału. Decydują za nie inni. Po Indiach krążą setki bajek o ludziach przemieniających się w wilki, w dzikie psy albo w byki czy niedźwiedzie. Cały ten kontekst nie ma chyba jednak nic do rzeczy. Chodzi o coś innego, Rom. Wiesz, jaki czynnik łączy te wszystkie bajki i legendy? Potrzeba świeżego mięsa, najlepiej samodzielnie ubitego stworzenia. Jest to imperatyw, od którego zależy przetrwanie dzikiego zwierzęcia.

— Czyli... Alison uważa się za dzikie zwierzę.

— A dlaczegożby nie? Ma wszelkie objawy.

— I w tym stanie ułudy ona naprawdę pożera... zjada kogoś? A może tylko sądzi, że go zjada?

— Wnosząc po ranach, powiedziałabym, że morderca rzeczywiście pożywał się ciałem. Obejrzę skórę pod mikroskopem, aby ustalić, czy są to ślady zębów. — Rukmani wytarła twarz bluzą chirurgiczną. — Boże, ależ gorąco. Nawet ja się pocę. Wejdę do recepcji. Mam ochotę na colę i paczkę cheetos.

— Możesz po tym wszystkim jeść chipsy?

— Twierdziłaś, że powinnam coś zjeść.

— Myśl, że Alison... — Zakrył twarz. — Skąd u niej... ta podatność na tego rodzaju złudzenia?

— Odpowiedzi na to pytanie zapewne nie zna nikt. — Rukmani zaczęła iść do bungalowu. — Może miała traumatyczne doświadczenia związane z jakimś zwierzęciem: psem, kotem albo nawet kojotem. Żyjemy na pustyni. Kojoty mamy niemal na co dzień.

Poe przypomniał sobie zadrapania na własnym policzku... Pamiętał, jak Alison zmieniła się nagle w dziką bestię.

— A węże?

— Węże często występują w bajkach — odparła lekarka. — Popatrz na własną religię: Adam, Ewa i gigantyczny gadający wąż, który ma ręce i nogi. Macie mity... tak samo jak my. Wiesz, na czym polega jedyna różnica między wami a nami? Wy przeciwstawiacie się logice i upieracie się, że wasze mity to prawda. Na pewno nie chcesz cheetos?

— Na pewno.

— Jak wolisz. — Pocałowała go w usta. — Kocham cię.

Odeszła, zanim zdążył jej odpowiedzieć.

Zresztą, i tak nie potrafiłby odwzajemnić jej wyznania.

Był facetem bardzo powściągliwym w sensie emocjonalnym. Ale takim go zaakceptowała. Na tym właśnie polega cud miłości. Miłość wygładzała nierówności i przekształcała chropowate drzewo w starannie polakierowany mebel.

Obserwował, jak Rukmani idzie ku biuru, lekko kołysząc biodrami. W normalnym stanie erotycznie rozmarzyłyby się myślą o jej pięknych nagich pośladkach. Jednak obecnie, jego umysł był już gdzieś indziej — Poe rozmyślał o szponach opętanej kobiety, wyjąłym kojocie o smętnych oczach i grzechotniku, którego ukąszenie było równie bolesne jak odrzucenie.

Rozdział trzydziesty siódmy

Kiedy słońce zaszło, technicy spakowali torby. Mimo że Bruckner odgrodził domek żółtą taśmą z napisem „Miejsce zbrodni”, interes w Dunes Inn kwitł. Od morderstwa nie minęło jeszcze dwanaście godzin, a Byron już oprowadzał grupki wczasowiczów, snując fantazyjne, krwawe opowieści. Nikt oczywiście nie mógł przejść za taśmę, lecz od czegoż ludzie mają wyobraźnię? Recepcjonista opowiadał im o dzikich orgiach i piskliwych krzykach, które słyszał w środku nocy.

A ponieważ o niczym takim nie wspomniał policji, Poe podchodził do jego historyjek z dużą rezerwą. Właściciel Dunes Inn — niejaki Roy „Mac” MacDonald — był zapewne zadowolony z zarobku na napojach i przekąskach.

O ósmej wieczorem sierżant był już z powrotem w drodze. Weinberg siedział obok niego, Rukmani zasnęła na tylnym siedzeniu w pierwszych dziesięciu minutach po wyruszeniu. Porucznik kilka razy spróbował zagaić rozmowę, po czym również zapadł w sen. Poe czuł zmęczenie i głowa mu ciążyła. Żeby nie zasnąć za kierownicą, zaczął rozmyślać o sprawie.

Alison i jej załamania. Alison jako zwierzę. Bez wątpienia zachowywała się jak bestia owej nocy, gdy poraniła mu twarz. Gorzej niż zazdrosna kobieta... miała w sobie coś z kocicy.

Tak, zachowywała się jak kocica i była jak kocica piękna... Sprężysta, umięśniona kobietka o magnetyzujących oczach. A jej nogi... Długie i smukłe. Przypomniał sobie czas, gdy otaczały go podczas ich miłosnych zapasów na tylnym siedzeniu jego kiczowatego buicka.

Taka młoda.

Dwadzieścia lat temu.

Co takiego się stało w trakcie tych lat?

Dokąd odeszła tamta Alison?

Owej nocy, gdy Poe przeszukiwał jaskinię, patrzył na niego kojot. Miał smętne oczy... ludzkie oczy. A wył... jakby cierpiał z powodu głębokiego psychicznego bólu...

Sierżant potrząsnął głową, starając się uporządkować myśli.

Chyba poniosła go wyobraźnia. Tak bardzo się wtedy bał, że mimowolnie nadał ludzkie cechy dzikiemu stworzeniu, które dzięki temu wydało mu się mniej przerażające. Poza tym, dlaczego niby Alison miałaby się uważać za zwierzę?

Rukmani poruszyła się i otworzyła oczy.

— Usta mam suche jak pieprz.

Policjant wręczył jej butelkę wody sodowej. Opróżniła ją w trzech łykach.

— Dzięki.
— Przyjemnie się drzemało?
— Tak, dziękuję. Gdzie jesteście?
— Za jakąś godzinę będziemy w domu.
— Mam mnóstwo pracy. — Zamrugała parę razy. — A ponieważ szeryf Bruckner był tak uprzejmy, że podarował trupa hrabstwu Clark, spędzę noc nad sekcją.
— Masz na to siły?
— Jestem pewna, że poczuję się lepiej, gdy tylko coś zjem. Jestem diabelnie głodna.

— Zabiorę cię na kolację.

— A twoja mama?

No właśnie, co z mamą? Poczul w głowie tętnienie.

— Powinienem do niej zajrzeć. Nie masz nic przeciwko późnej kolacji?

— Nie, nawet wołałabym najpierw trochę popracować. Wiesz, w zwłokach z każdą godziną następują nieodwracalne, chemiczne zmiany. Wyjdźmy późno. Może być restauracja hinduska?

— O ile nie każesz mi jeść przy tobie kurczaka *tanduri*. Po co masz myśleć, że zjadam twoją kuzynkę Shobę... — Zamilkł, potem spytał: — Powiedz mi, Rukmani, czy w swojej rozprawie analizowałaś tylko legendy o wilkołakach? A może rozmawiałaś też z osobami cierpiącymi na wilkołactwo?

— Ukazywałam związek mitów z *Panchatantry* z klinicznymi przypadkami likantropii.

— W tych mitach ludzie przeobrażali się w zwierzęta? Czy tylko sądzili, że się w nie przekształcają?

— To zależy od legendy. — Lekarka zastanowiła się nad jego pytaniem. — Niektórzy rzeczywiście zmieniali swój kształt, gdy tylko zechcieli. Inni potrzebowali konkretnego obiektu, aby mogło dojść do przeobrażenia. Zwykle musieli mieć zwierzęcą skórę. Jeśli dokładnie pamiętam, skóry w wielu kulturach są wymagane do transformacji... Właściwie słowo *berserk** pochodzi od mitycznych dzikich

* *Berserk* (staroskandynawskie) — morderczy szal.

wojowników, znanych ze staroskandynawskich sag. Ci rabusie i mordercy chodzili odziani w zwierzęce skóry, a podczas walki wpadali w szał bojowy. Ludzie straszliwie się ich lękali i opowiadali o nich przerażające historie. Ser znaczy „niedźwiedź”, a *serk* — „koszuła”, bo nosili niedźwiedzie skóry.

— Ci berserkowie byli zatem prawdziwymi ludźmi.

— Tak.

— Nakładali skóry i gnębili okolicę. Zabijali ludzi, wierząc, że są niedźwiedziami.

— Dokładnie.

— Prekursorzy pieprzonego kanibala Eda Geina.

Rukmani z niesmakiem zmarszczyła nos.

— Tak, Gein obdzierał ze skóry swoje ofiary i zakładał na siebie ich skóry.

— Przypuszczam, że skądś zaczerpnął ten pomysł. — Sierżant zawahał się. — Nie widziałem żadnych zwierząt w domu Alison.

— A jakie to ma znaczenie?

— Że ona nie pasuje do wzorca.

— Romulusie, nie istnieje żaden wzorec. Są tylko legendy, które objaśniają średniowieczną psychozę. Skoro Alison wierzy, że jest wilkiem, jest nim! Poza tym, czy nie mówiłeś, że przebierała się w męski strój? Że może właśnie ona jest tym facetem z baru Nate'a Malealaniego?

— Rzeczywiście, sugerowałem taką możliwość...

— Sądzę, że Alison jest obecnie w trakcie przeobrażenia.

— Ruki, to tylko spekulacje.

— Jeśli tak bardzo utknęła w stanie iluzji, iż uważa się za mężczyznę, może też uwierzyć, że jest wilkiem.

— Może. — Przez parę minut jechali w milczeniu. Nagle rzucił: — Nigdy nie powiedziałem, że Alison przebiera się za mężczyznę z kitką.

— Mówiłeś jednak, że znalazłeś but sportowy należący do twojego tajemniczego mężczyzny w meloniku...

— Może naprawdę do niego należał...

- Ale twierdziłeś, że był w rozmiarze Alison...
- Sugerowałem, że był w jej rozmiarze. Rzuciłem myśl...
- Świetnie. Dajmy temu na razie spokój. Znowu zapadło milczenia. Przerwał je Poe.
- Nie śmieję się ze mnie, okej?
- Nigdy się z siebie nie śmieję, Rom. Co ci chodzi po głowie?
- Tej... nocy... — Głęboko zaczerpnął oddechu. — Tej nocy, kiedy ukąsił mnie wąż, widziałem kojota. — Stukał palcami w kierownicę samochodu. — Wyglądał dla mnie bardzo ludzko, szczególnie jego oczy.
- Oczy wyglądały jak ludzkie?
- Tak. Jak ludzkie... i wyglądały bardzo znajomo.
- Przypominały ci oczy Alison?
- Ruki, było bardzo ciemno, a czułem się strasznie obolały. Pewnie miałem halucynacje. Ale tak, ślepie skojarzyły mi się z oczami Alison. Ten sam kolor, ten sam wyraz. — Uderzył się w czoło. — Ale może wariuję.
- Żyjesz w dużym stresie, Rom. Szaleńczo szukałeś Alison i znajdowałeś ją wszędzie, gdzie tylko mogłeś.
- Westchnął ze smutkiem.
- Prawdopodobnie masz rację...
- Z drugiej strony, Alison uciekła natychmiast, gdy cię zraniła — ciągnęła Rukmani z namysłem. — Może zatem bywała wcześniej w tej jaskini. Może nawet trzymała w niej kojocie skóry. Ktoś powinien tam pojechać i to sprawdzić.
- W jaskini są grzechotniki, dziewczyno. Pamiętasz? — Poe głośno wypuścił powietrze i dodał spokojniejszym tonem: — Sądzę, że mógłbym tam wrócić w wysokich butach i rękawiczkach.
- Lekarka poklepała go po ręce.
- Właśnie co ściągnałeś ciało ze strychu. Jaskinia może poczekać.
- Nie, nie, trzeba ją sprawdzić. Sytuacja może się pogorszyć, a ja... muszę stawić czoła własnym demonom. — Znowu sapnął. — Może matka Alison zachowywała się w podobny sposób... to znaczy jak

zwierzę? Była uwikłana w morderstwa Koszmara.

— Lecz jako ofiara, niejako zabójca — wtrąciła szybko Rukmani. Sierżant zastanowił się nad samobójczą notką.

„Oto co zrobiłam”.

A może to ona zamordowała Janet Doward? Później, w przeblasku przytomności, zdała sobie sprawę ze swojego potwornego czynu, zaczęła go żałować i nie mogła dalej udawać przed sobą, że nic się nie stało?

„Oto co zrobiłam”.

— Kiedy włamałem się do domu Alison — zauważył — znalazłem tam pudło po butach wypełnione artykułami na temat jej matki.

— Czy Alison wspomniała kiedyś o jakichkolwiek związkach swojej matki ze zwierzętami?

— Nie. Tyle że... w ogóle rzadko o niej rozmawiała. Kropka.

Pokonał ostry zakręt. Milczenie przerywało tylko ciche pochrapywanie Weinberga.

— Właściwie były tam trzy pudełka po butach. Tylko jedno dotyczyło Lindy, pozostałe zaś Obszaru Testowego Nevada.

— No cóż, chyba nie ma to związku...

— Niekoniecznie — przerwał jej Poe. — Wydaje mi się, że w swoim obłąkanym umyśle Alison obwinia OTN i testy atmosferyczne o stan umysłowy swej matki... Wiesz, promieniowanie i opad radioaktywny. Moim zdaniem, właśnie dlatego zbierała artykuły o wybuchach.

— Zazwyczaj opad obarczano winą za raka tarczycy. — Lekarka wzruszyła ramionami. — Cóż, dotykamy jedynie czubka góry lodowej. Nikt nigdy dokładnie nie zbadał historii OTN. Tyle było w tej sprawie rządowych kłamstw i bzdur gazetowych, że nigdy nie do wiemy się prawdy.

— Zgadzam się z tobą. Wiesz, zaczynam wierzyć, że opad radioaktywny wywołał u mojej matki nowotwór. Mieszkała na linii wiatru wiejącego z obszaru testowego.

Rukmani wyprostowała się na siedzeniu.

— Naprawdę?

— Tak. Mieszkała w stanie Utah, w miasteczku St. George.

Wprost na linii wiatru.

— Hmm... można by tym faktem wytłumaczyć jej nietypową białaczkę.

— Więc mam rację? Opad mógł spowodować u niej raka?

— Naturalnie!

— Dowiedziałem się — podjął policjant — że w 1990 roku rząd wydał jakiś dokument, w którym wspomniał o odszkodowaniu dla takich osób. Może zdobędę dla niej trochę pieniędzy... choćby na zapłatę rachunków za leczenie.

— Tak, koniecznie spróbuj, roszczenie ma pełne podstawy... — Zawahała się. — Rom, mówiłeś, że Alison obwinia za stan matki testy nuklearne?

— Tak, zasugerowałem coś takiego.

— Czy jej matka również mieszkała na linii opadu?

— Owszem. Także pochodziła z St. George. Była o dwa lata młodszą od mojej.

— A Alison? Gdzie się urodziła?

— Też tam.

— Podobnie jak ty. Wasze rodziny się znały?

— Tak. Tyle że Linda Hennick była białą mormonką, a moja mama — indiańską.

— Mormonką gorszej kategorii?

— Trochę.

— Skąd ja to znam... A Alison i ty... wy dwoje byliście... blisko.

— Tak, chodziliśmy ze sobą przez sześć miesięcy. Jednak odsunęła mnie zaraz na początku średniej szkoły. Czerwonoskóry chłopak przeszkadzał jej w karierze licealistki. Rozumiem jak to jest... chciała być popularna... ale... — Rozłożył ręce i natychmiast położył je z powrotem na kierownicy. — Ciągłe mnie to boli. A minęło już prawie dwadzieścia lat. Jestem głupi jak but.

- Och, nie. Wszyscy jesteśmy więźniami naszej przeszłości.
- Zadowolilibym się zwolnieniem warunkowym.
- Ty, ja, Alison. — Rukmani potrząsnęła głową. — Pomyśl o pudełkach z informacjami poświęconymi jej matce.
- Tylko jedno pudełko jej dotyczy. Pozostałe dwa pudełka wiążą się z OTN.
- Co chcesz przez to powiedzieć? Poe uśmiechnął się.
- Więcej ludzi pisało o OTN niż o Lindzie Hennick.
- Lekarka zastanowiła się.
- Chyba na coś trafiłeś.
- To dobrze. — Przerwał. — Jak sądzisz, na co?
- Te pudełka z materiałem o poligonie testowym... Może Alison obwinięła testy również za stan własnego umysłu.
- Tym razem sierżant się zamyślił.
- Brzmi logicznie. Promieniowanie ma w sobie jakąś mistyczną, związaną z genetyką aurę...
- W dodatku deformacje zostały naukowo potwierdzone — wtrąciła Rukmani.
- Z pewnością masz rację. Problem pasuje idealnie do ułud współczesnej kobiety. Tak, to ma sens, Alison może w swoją psychozę włączać i testy atomowe... Do diabła, z tego co wiemy, ta dziewczyna rzeczywiście może obarczać OTN winą za swoje wilkołactwo.

Rozdział trzydziesty ósmy

Starzec robił wrażenie zmęczonego, bez przekonania wrzucał ćwierćdolarówki do otworów dwóch wideopokerowych maszyn — raz do jednej, raz do drugiej. Piaskową koszulę miał pogniecioną, na dżinsach dużą brązową plamę, na nogach rozpadające się mokasy. A ponieważ nie golił się od jakiegoś czasu, ogólnie rzecz biorąc, wyglądał jak włóczęga. Do wielu lokali w kraju nie miałby szans wejść,

jednak w tym mieście... póki ktoś ma pieniądze...

Poe przysunął stołek i usiadł obok Y.

— Ile przegrałeś, wodzu?

Indianin nie odpowiedział. Wystukał kod i automat wydał mu dwie elektroniczne karty.

— Chcę odzyskać moje pieniądze — oświadczył.

— Jakie pieniądze?

— Te, które mi zabrałeś.

— Nie zabrałem ci żadnych pieniędzy...

— Moje wygrane.

Sierżant uśmiechnął się cierpliwie.

— Chcesz skończyć na ulicy, wodzu?

— Już na niej żyję. — Wyciągnął parę szóstek. Przegrał, gdyż automat wylosował parę dziewiątek. — To moja forsa. Chcę ją z powrotem. Moja forsa, mój interes.

— Musimy przez to przechodzić za każdym razem?

Y trafił trójkę.

— No proszę! Szczęście frajera. Potrwa z dziesięć minut.

— Przyjrzał się wymizerowanej twarzy Indianina. — Jak długo tu jesteś?

Wódz nie odpowiedział; wrzucił kolejną monetę do otworu.

— Jadłeś coś podczas ostatniej doby?

Poe znowu nie otrzymał odpowiedzi, skinął więc na kelnerkę i dał jej pięćdziesiąt dolarów.

— Kanapkę z wołową pieczenia na ryżu poproszę. Reszta dla pani.

Kobieta schowała banknot.

— Dziękuję panu.

— Cóż jeszcze? Może piwo... Heinekena.

— Już się robi...

— I wódkę — mruknął Y. — Czystą. Stolichną. Żadne barowe zlewki.

Uśmiechnęła się.

— Oczywiście, proszę pana. Dla pana wódka jest gratis.

Gdy odeszła, stary Indianin oświadczył:

- Nie mogę jeść w kasynach.
- Dlatego zamówiłem na wynos.
- Nigdzie nie idę.
- A moja robota?
- Jaka robota?

Sierżant podniósł rękę do oka, przycisnął wymaginywany przycisk migawki.

— Już je przecież zrobiłem. — Y przestał grać i odsunął się od wideopokera. — Czy moje fotki pomogły?

— Gdy wróciłem z motelu, było za późno, by je wywołać. Wszystkie zakłady fotograficzne pozamykano.

Stary wrzucił do otworu kolejną ćwierćdolarówkę.

— Możesz mnie o to spytać — podsunął policjant.

Y przez chwilę bawił się swoim warkoczem, nawijając koniuszek na mały palec.

— Nie będę cię o nic pytać. Jeśli coś wiesz, powiedz mi.

Stary wcisnął guzik automatu.

— Sądzisz, że coś zatajam?

Wódz skończył z królewskim stritem.

— Gdzie twoim zdaniem mogli pojechać...? — Policjant zakrył wlot na monety. — Wodzu, mówię do ciebie. Spójrz na mnie.

— Patrzę na ciebie. Jesteś brzydki.

— Wydaje mi się, że Alison chyba usiłuje naśladować swoją matkę.

Y wrzucił monetę w maszynę.

— Musisz ze mną o tym porozmawiać, wodzu. — Poe spowaźniał.

— Zbyt wiele osób już zginęło. Czas skończyć z mordowaniem. Nie mogę dłużej działać na oślep.

— Nie jestem ci w stanie pomóc, Rom. — Zaordynował dobór trzech kart. — Nigdy nie rozumiałem Lindy, a cóż dopiero mówić o jej córce...

— W takim razie powiedz mi, co wiesz o Lindzie Hennick.

— Nie tutaj.

— Wyjdźmy zatem.

- A moja kanapka?
- Świetnie. Poczekamy na kanapkę.
- Pogram trochę podczas oczekiwania. — Wrzucił monetę i wylosował zwyczajnie dwie pary.

Kelnerka wróciła z zapakowaną kanapką, wódką i piwem. Sierżant wziął łyk heinekena, przypatrując się staremu, który pieścił szklaniczkę i gapił się w monitor automatu. Tym razem wygrał dwanaście dolarów.

- Niezły finisz — podsumował Poe.

Wódz wypił wódkę, zgarnął wygraną, wziął torebkę z kanapką i wstał. Policjant wypił jeszcze jeden wielki haust, odstawił piwo i podążył za starym Indianinem na dwór. W milczeniu szli Pasem. Ot, dwóch facetów, którzy znajdowali przyjemność w nocnym spacerze. Y wyjął kanapkę i ugryzł ją.

- Myra robi lepsze.
- Przekażę szefowi.

Wódz wziął kolejny kęs i powiedział:

— Powinna postawić maszynę do wideopokera w restauracji. Teraz ma jedynie parę marnych „jednorekich bandytów” na drobniaki. Typowy turystyczny szajs. Chcesz gryzą?

- Nie, dzięki. Za godzinę jem hinduską kolację z Rukmani.
- Tak późno?
- Miała pracę.

Stary skończył jeść i wrzucił torbę do pojemnika na śmieci. Znajdowali się przed jednym z hoteli. Y schylił się, zerwał piękny czerwony kwiat z bogatego klombu i podał go swemu towarzyszowi.

- Dla Rukmani — powiedział. — Prawdziwie hinduskie kwiecie. Poe uśmiechnął się i przyjął kwiat.
- Ależ szarmancko. Opowiedz mi o Lindzie.

Wódz szedł bardzo powoli.

- Nie była szczęśliwa w małżeństwie — oznajmił.
- A konkretnie?

Starzec podniósł oczy i zapatrzył się w pokryte chmurami niebo.

- Gerald nie był dla niej dobry? — spytał sierżant.
- Gerald to dobry człowiek. Dobry mormon i dobry ojciec.
- Tyle że Linda szukała kogoś bardziej interesującego?
- Była zafascynowana Pajutami. Uważała, że jesteście inni.
- Egzotyczni.
- Powiedziała mi, że mamy większe penisy.

Policjant rozkaszał się. Y klepnął go w plecy.

— Nie dyskutowałem z jej opinią, lecz pomyślałem, że ta kobieta nie może być szczęśliwa w małżeństwie. Zresztą, nie omawialiśmy tej sprawy długo. Linda była piękna, szybko poszła w górę.

— Czemu właściwie poślubiła Geralda?

— A jak sądzisz?

— Była w ciąży? — Poe zastanowił się nad własnym pytaniem. — Czyli że — dodał — Gerald wcale nie był takim dobrym mormonem.

— A kto powiedział, że zaszła w ciążę z Geraldem? — Y przyspieszył. — A jednak ją poślubił i zajął się Alison jak własną córką. Może nawet jest jego córką. Jej dzieciak ogromnie przypomina Geralda.

— Harrison. Tak, jest bardzo podobny do dziadka.

— Poza Geraldem Linda miała jeszcze dwóch mężczyzn. — Indianin polizał wargi. — Ale nie była głupia. Potrafiła sobie radzić ze swoimi facetami. Nadal by jej się udawało, gdyby nie poznała Lewistona.

Sierżant wbił ręce w kieszenie. Szedł, patrząc na swoje stopy.

— Pominąłeś temat choroby umysłowej Lindy.

— Jej umysłowym problemem był Gerald. Nie lubiła go. Nie był zabawny.

Poe odchrząknął.

— Mówisz bez osłonek — zauważył.

Y wzruszył ramionami.

— Gerald wolał mieć żonę chorą niż nudną. Więc spreparował te wszystkie opowieści, które miały wyjaśnić jej nocne eskapady. Opowiadał światu, że Linda nie pamięta... Hmm... może to i prawda.

Czasem Linda przesadzała z alkoholem... upijała się do nieprzytomności.

— Y, przecież ona cały czas pozostawała pod opieką psychiatryczną. Nie leczy się rozrywkowych pańienek.

— Wtedy tak było. Żony miały być potulne i łagodne, a nie napałone. Gerald zamknął Lindę w zakładzie, bo sądził, że żona ma problemy z głową. Oczywiście, natychmiast po jej wyjściu wszystko zaczęło się od nowa.

— Skąd się wziął w jej życiu Parker Lewiston?

— Linda była piękna. A on potrafił wyłowić z tłumu piękne kobiety.

— Mieli więc romans? I dlaczego miałby ją zamordować?

— Nie wiem, dlaczego ją zabił. Wiem tylko, że to zrobił. A później, jak ci powiedziałem, opłacił wszystkich wokół.

— Czemu zatem nie chcesz mi pozwolić na wznowienie sprawy?

— Na jakiej podstawie? — spytał Y.

— To już mój problem. Podaj mi tylko kilka nazwisk...

— Nie. — Y przyspieszył. — Sprawa Lindy należy już do historii.

— Zwolnij. — Poe przytrzymał go za ramię. Dalej szli wolniej. —

Wiesz, że zostawiła samobójczy list?

Stary Indianin zatrzymał się.

— Bzdura.

— Nie.

— W takim razem, ktoś go podłożył.

— Został napisany jej ręką.

— No to ktoś go sfalszował!

— Chcesz poznać jego treść?

Wódz spuścił wzrok. Nie odpowiedział.

— Na notce było napisane: „Oto co zrobiłam”.

Y ponownie się ożywił.

— Nonsens, Rom. List podłożyli gliniarze, żeby odsunąć podejrzenie od Lewistona. Zapłacił im za to!

Ruszył przed siebie pędem.

Sierżant pobiegł za nim, złapał go za ramię i skłonił do zatrzymania się.

— Powiedzmy, że masz rację... Ale skąd to wszystko wiesz? Starzec znowu zagapił się w dal.

— Wiem i już.

— Ale skąd? Jakiś mistyczny bóg zszedł na ziemię, nachylił się do twojego ucha i szeptem zdradził ci fakty? Daj spokój. Nie pragniesz poznać prawdy? Dowiedzieć się, co naprawdę zaszło?

— Wiem, co zaszło. Lewiston ją zabił. Teraz puść moje cholerne ramię.

Policjant cofnął rękę.

— Szczęśliwy?

Wódz zamachał na taksówkę.

— Gdzie mój pieprzony aparat?

Poe wyciągnął z kieszeni kompakt.

— Pomogę ci...

— Umieć wsiąść sam!

Y wsiadł do taksówki i zatrzasnął drzwi, zostawiając sierżanta samego. Poe poczuł się, jakby czekał na dziewczynę, z którą umówił się na randkę. Wysłał sygnał na pager Patricii. W minutę później odzwoiła. W tle usłyszał odgłosy przyjęcia. Prawdopodobnie była u Barry'ego i jadła z Nate'em *ziti marinara**.

* *Ziti marinara* (wl.) — makaron w sosie pomidorowo-czosnkowo-ziolowym.

— Miałaś nowiny w związku z Jensenem? — spytał. Pytanie wyraźnie ją zasmuciło.

— Nie, szefie, zniknęli bez śladu.

— Nie znaleźli nawet samochodu?

— Nie, nic.

— Gerald Hennick też nie dzwonił, prawda?

— Szefie, gdyby zadzwonił, natychmiast bym pana powiadomiła.

Poe zaśmiał się niewesoło.

— Tak, jestem tego pewien. Trzymaj się. Jeśli się czegoś dowiem, zadzwonię.

— Ja również.

Odniósł wrażenie, że dziewczyna z chęcią kończy rozmowę.

Najpierw wykonał obowiązkowy telefon do domu Rukmani i porozmawiał z pielęgniarką Emmy. Matka spała — zmęczona, lecz poza tym w dobrej kondycji. Potem zadzwonił do biura koronera.

— Rukmani, o której jemy kolację?

— Podjedź po mnie za pół godzinki.

— Może przyjadę teraz i poczekam na ciebie?

Cisza.

— Gdybym cię lepiej nie znała, powiedziałabym, że czujesz się samotny.

— Jestem samotny. I tęsknię za tobą. — Poukładał myśli. — Jedyny sens tego marnego dnia tkwi w spotkaniu z tobą.

Kolejna chwila ciszy.

— Robisz się sentymentalny — rzuciła w końcu. — Ale wiesz? Podoba mi się to. — Zaśmiała się. — Naprawdę mi się to podoba.

— Podjadę za dziesięć minut.

— Czekam.

Poe zawahał się, po czym się rozłączył. O mało nie powiedział tych słów. Tych dwóch słów... Był tak blisko. Poczł wielką dumę. Ale tym razem przynajmniej je pomyślał...

Telefon zadzwonił, budząc go z półsnu. Przez moment macał w poszukiwaniu komórki, gdy nagle uświadomił sobie, że dzwoni stacjonarny telefon Rukmani. Lekarka odezwała się do słuchawki głosem ciężkim od snu. Nie otwierając oczu, wyciągnęła rękę ze słuchawką.

— Do ciebie, Rom.

Wziął telefon.

— Poe.

— Znasz miejsce, w którym można o tej porze wywołać zdjęcia? Mam nowe, które mogą cię zainteresować.

— Co takiego? Y? — Sierżant aż usiadł. — Gdzie jesteś?

— Tuż za Lady Slipper.
— Zaraz przyjadę...
— Nie, nie zostaję. Biorę taksówkę do Havany. Tam się spotkamy.

Rozłączył się. Wstał i zaczął się ubierać.

— Co robisz? — spytała Rukmani.
— Dzwonił Y. Wysłałem go do Lady Slipper, żeby zrobił kilka fotek temu Arabowi... Abousayedowi. A właściwie jego kobietom.

— No i czego chce wódz?

— Chce wywołać film. Akurat teraz! Najwidoczniej ma dla mnie coś ciekawego. Mówił poważnym tonem i wyraźnie był trzeźwy. Hmm... brzmi niebezpiecznie. Wiesz, gdzie można przez całą dobę wywoływać zdjęcia?

— Nie mam pojęcia. Książka telefoniczna leży na kuchennym kontuarze. Chcesz, żebym z tobą pojechała?

— Nie, nie, śpij.

Obróciła się na drugi bok i zapadła w drzemkę.

Poe ubrał się i poszedł do kuchni. Przez pół minuty przeszukiwał sterty papierów pokrywające kontuar, aż pod stosem medycznych tekstów znalazł książkę telefoniczną. W chwilę później usłyszał ciche kroki. Zerknął przez ramię. Emma wydawała się dość rześka, a jej twarz — znacznie mniej blada niż ostatnio.

— Hej, mam, jak się miewasz? — spytał znad książki. — Chcesz szklanek wody?

— Tak, poproszę. — Opadła na kuchenne krzeselko. — Co robisz?

Podał jej napełnioną szklanekę i wrócił do szaleńczego przeszukiwania zawartości książki telefonicznej. Jego palec przesuwiał się w dół rządka ze sklepami fotograficznymi.

— Szukam całodobowego sklepu, w którym można wywołać film.

— Planujesz moją przeprowadzkę na niedzielę?

Z wysiłkiem oderwał się od książki. Nawet zdołał się uśmiechnąć. Spokojnie! Co tam sprawa! Matka jest najważniejsza!

— Oczywiście, że zorganizujemy przeprowadzkę. Natychmiast, gdy przyjedzie Remus...

— Chcę wrócić do domu, Romulusie.

— Do domu? — Polizał wargi. — Masz na myśli powrót do Reno? Staruszka pokiwała głową. Z oczu pociekły jej łzy.

— Tęsknię za moim chłopcem. Dlaczego mnie wyrzucił?

Poe wziął ją za rękę i usiadł obok.

— Remus cię nie wyrzucił. Wiesz, że bardzo cię kocha. Jest tylko strasznie zapracowany...

— Wcale nie tak bardzo w porównaniu z tobą.

Sierżant poczuł się winny.

— Mamo, zaczęłaś w Las Vegas kurację, więc skończ ją tutaj. Odzyskaj najpierw siły, a wtedy porozmawiamy o przeprowadzce do Reno.

— Niełatwo się ze mną żyje, Romulusie. Sądzisz, że twój brat przyjmie mnie z powrotem?

— Jasne, że cię przyjmie.

— Będę się dobrze sprawować...

— Mamo, Remus kocha cię taką, jaka jesteś. — Pauza. — Chociaż jeśli przestaniesz pić, będzie cię kochał jeszcze bardziej.

— Wiem. Spróbuję... o ile przeżyję tę... kurację.

— Oczywiście, że ją przeżyjesz. Prawdopodobnie przeżyjesz nas wszystkich, doprowadzając nas przez cały czas do szału.

Mimo cierpienia wymusiła na twarzy łobuzerski uśmiech.

— Może.

— Chcesz jeszcze wody, mamo?

— Nie, dziękuję.

— Odprowadzę cię do pokoju.

Skinęła głową. Otoczył jej kruchą talię i powoli zaprowadził Emmę z powrotem do łóżka. Gdy się położyła, przykrył ją kołdrą aż po podbródek.

— Wygodnie ci?

— Wychodzisz?

Potwierdził i pocałował ją w czoło. Zmarszczyła nos.

— Co jadłeś na kolację, Romulusie?

Jego kubki smakowe nadal szalały od pikantnego *chutneya**, który zamówił ostatniej nocy.

* *Chutney* (ang.) lub *czatn* (hind.) — typowa dla kuchni indyjskiej ostra przyprawa o gęstości dżemu z marynowanych jarzyn i owoców z cebulą, rodzynkami, daktylami, korzeniami i octem.

— Aż tak mocno pachnę?

— Sam imbir.

— Zgadza się. Śpij dobrze. — Zastanowił się, po czym spytał: — Mamo, jak dobrze znałaś Lindę Hennick?

— Niezbyt dobrze. Była biała, a ja czerwonoskóra. Obracaliśmy się w innych klasach społecznych.

— Czy miała złą... reputację?

— Jeśli tak, w pełni na nią zasłużyła. — Łobuzerski uśmieszek ponownie przemknął przez jej wargi. — Jak my wszyscy.

Poe roześmiał się.

— Nie chcę tego słuchać.

— Mówiąc poważnie, Linda była gorsza niż większość, lecz lepsza niż niektóre. Zawsze jednak trzymała klasę. Jak Natalie Wood w *Buntowniku bez powodu*.

Sierżant przypomniał sobie fotografie.

— Tak, miała za sobą jakiś ponury etap... Czy tak?

— Zgadza się... Ponieważ nie dostała tego, co chciała.

— A czego chciała?

Uśmiech Emmy rozszerzył się.

— Twojego ojca.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Gdyby mama tego nie powiedziała, Poe z pewnością byłby bardziej podekscytowany telefonem od Y. Teraz jednak policjanta mężczyły straszliwe podejrzenia. Wiedział, że po przeprowadzce rodziny jego ojciec co pewien czas wyprawiał się z powrotem do St. George.

Twierdził, że w interesach. Aż w końcu zginął w St. George w wypadku samochodowym. Rozbił się na oblodzonym odcinku drogi. Nie było świadków ani innych samochodów... Tyle sierżant wiedział, nic więcej. Choć wielokrotnie pytał, nigdy nie poznał charakteru interesów ojca. Emma stale mu udzielała wymijających odpowiedzi. Mówiła, że organizował wycieczki autobusowe na obszarze od Gór Skalistych po Las Vegas. W owym czasie zarówno Remus, jak i Poe wierzyli w każde słowo matki. Wtedy matka była ich prywatnym bohaterem. Może w jakiś sposób nadal pozostała romantyczną heroiną...

Poe zatrzymał się na Flamingo Avenue i zagapił w feerię neonowych świateł.

Matka rzadko wspominała ojca. Wszelkie informacje sierżant zdobywał z trudem od „stronniczo nastawionych” krewnych, w których mniemaniu jego ojciec był przystojnym czarusem, choć również urwisem, bawidamkiem i złodziejem. Nie zdołał zostać gangsterem, gdyż tylko w części był Włochem. Wydał wszystkie posiadane pieniądze na bzdury. Gdy się upił, często bywał złośliwy.

Kiedy Emma wchodziła do pokoju, natychmiast milkli, jakby ktoś wymaginowanym guzikiem wyłączał głos w telewizorze.

Światło drogowe zmieniło się na zielone. Policjant wcisnął pedał gazu.

Hmm... Bawidamek, który odbywa regularne podróże w stare miejsce zamieszkania... Czyżby tam czekała na niego jakaś piękna pani?

„Poza Geraldem Linda miała jeszcze dwóch mężczyzn”.

Jeśli Linda Hennick i jego ojciec mieli romans, w takim razie... on i Alison mogli być... może Poe miał siostrę...

Wstrętna myśl.

Lepiej uważać, że do niczego takiego nie doszło. Przecież syn Alison, Harrison Jensen naprawdę stanowił niemal idealne młodsze wydanie Geralda Hennicka. Prawdopodobnie ojcem Alison był Hennick... A jednak, Poe był przecież detektywem, toteż ciekawość należała do jego podstawowych cech, nawet jeśli czasami bywała w złym

smaku. Szkoda, że jedyne dwie osoby, które mogły rozwiać jego wątpliwości, leżą od dawna półtora metra pod ziemią.

Zastanowił się, ile wie jego matka. Wnosząc po radości na jej twarzy, pokonała Lindę Hennick. Jeśli jednak wiedziała o romansie ojca, nigdy w żaden sposób nie spróbowała zakończyć związku między nim i Alison, więc coś tu nie grało.

Gerald Hennick też nigdy nic nie powiedział.

Tak czy owak, pytanie wymagało odpowiedzi. Jakakolwiek by była.

A Alison? Czy coś wiedziała?

Może właśnie z tego powodu zerwała z nim, kiedy rozpoczęła naukę w średniej szkole?

Przez moment myślał o niej.

Nie, nie, teraz naginał fakty. Zerwali, bo po prostu już go nie chciała. Zwyczajnie go odrzuciła.

Siedzieli przy kontuarze pobliskiego baru i czekali na wywołanie filmu, paląc papierosy i popijając letnią kawę. Gawędzili o niczym, ponieważ Y nie chciał rozmawiać o zdjęciach. Sierżant nie naciskał na niego: wszystko w odpowiednim czasie. Mówili więc o Emmie i o Alison.

Policjant spytał, czy wódz domyśla się, gdzie ta ostatnia mogła pojechać.

Stary Indianin stale odpowiadał wzruszeniem ramion.

Kiedy minęła wyznaczona godzina, wstali, zapłacili kelnerce dwadzieścia dolarów („Proszę zatrzymać resztę”) i wrócili do centrum handlowego, w którym znajdował się zakład fotograficzny — okienko w ścianie. Opłata za nocne wywołanie była podwójna. Jednak darowanemu koniowi... Toteż Poe bez mrugnięcia zapłacił.

Zaczął przeglądać zdjęcia już w trakcie drogi na parking.

— Czego szukam, wodzu?

— Będiesz wiedział, gdy zobaczysz.

Policjant przypatrzył się Y.

— Takie to oczywiste? — Otworzył samochód, usiadł na siedzeniu pasażera, włączył sufitowe światelko, po czym z kieszeni w spodniach wyjął flaszkę wódki.

Wypił długi łyk.

— Wreszcie.

Obejrzał pobieżnie cztery fotografie i zdecydował się zacząć jeszcze raz od początku; tym razem dokładnie je studiował.

— Jasne, chciałeś mi je pokazać — stwierdził Poe — zanim się kompletnie urzniesz. Jakież to rozważne z twojej strony!

— Jeśli stracę przytomność, zaopiekuj się mną.

Poe uśmiechnął się.

— Znajdę najczystszy śmietnik po tej stronie Missisipi.

Y pociągnął kolejny haust.

— Wcale nie jesteś taki wredny, jak sądzisz.

— W ogóle nie jestem wredny. Niektórzy nazywają mnie wręcz frajerem. — Wskazał na mężczyznę ubranego w arabski kafidzeh. — Mniemam, że jest to słynny Nali Abousayed.

Indianin zerknął na fotkę.

— Masz nosa do szczegółów.

Sierżant ponownie się uśmiechnął. Badał twarz na zdjęciu. Mężczyzna miał ciemną cerę i ładne, wydatne rysy.

— Masz dryg do fotografii. Chcesz popstrykać na moim ślubie? — Po chwili dodał: — O ile będzie ślub...

— Zrobię zdjęcia... wyłącznie dla Rukmani.

Kolejna fotka...

— Nali jest bardzo przystojnym facetem. — Poe podniósł brwi. — Bogatym i przystojnym. Zastanawiam się, dlaczego płaci za seks?

— A dlaczego ty płacisz?

— Wygoda. — Sierżant zaśmiał się cicho. — Wiesz od początku, że ci się uda. Przyjemna sprawa...

— Może on ma identyczne poglądy na tę kwestię.

— Może. — Policjant odrzucił następne zdjęcie. — Słuchaj, naprawdę chciałbym wiedzieć, czego szukam. Powiedz mi przynajmniej, czy to już przegapiłem.

— Nie przeoczysz.
— Ta twoja pewność... — Wyjął papierosa, wsunął go do ust, ale nie zapalił. — Kim są te kobie...?

Y wyjął Poemu papierosa z ust.

— Nie rozumiem ani słowa, gdy mówisz z papierosem w gębie.

— Kim są te wszystkie kobiety z Abousayedem? — powtórzył pytanie Poe. — Żadnej z nich nie rozpoznaję. Wiesz, ile się będę musiał namęczyć, zanim je zidentyfikuję?

— Zrobisz to osobiście?

— No cóż, z Delucą. Nawet gdyby Jensen nie zniknęła, musiałbym go odsunąć od sprawy, bo nie wiem, czy nie jest w nią zamieszany. I rozumiem to dosłownie.

Wódz przez chwilę nie odpowiadał.

— Podejrzewasz bardziej ją niż jego, prawda? — spytał w końcu.

— Wmawiałem sobie, że to on. Naprawdę pragnę wierzyć, że on jest winien, naprawdę... Niestety, jeśli mam być szczery... równie dobrze morderczynią może być Alison.

— Albo oboje.

— Albo oboje... — powtórzył. — Tak, jestem otwarty na różne koncepcje. Na pewno chciałbym dowiedzieć się, czy... — Nagle przerwał.

„Ta twarz. Ta cholerna twarz!”

— Mówiłem, że będziesz wiedział, gdy ją zobaczysz.

Poe pocił się. Tak, jasne jak słońce! I dlatego prawdopodobnie zareagowała tak cholernie... defensywnie, gdy po raz pierwszy pokazał jej fotografię Newel. Nie chciała mieć nic wspólnego z głupimi dziwkami...

— Czemu nie powiedziałeś mi tego przez telefon?

— Miałem cię pozbawić fascynującej drobiazgowej policyjnej roboty?

— Założę się, że ta suka załatwiła mu dziewczyny!

— Wiesz to na pewno?

— Zamierzam spytać, kogo trzeba. — Poe wytarł czoło rękawem koszuli. — Gdzie mam cię wysadzić?

Y zerknął na zegar na tablicy rozdzielczej.

— Jest trzecia nad ranem.

— Wiem. W Nagim Mieście na pewno panuje spory ruch. Mam nadzieję, że Lamar Larue będzie w nastroju do pogawędki.

— Może pojedą z tobą...

— Nie ma mowy, stary.

— Romulusie, wyglądasz i pachniesz jak gliniarz. Gdy tylko pojawisz się na horyzoncie, wszyscy czmychną, jak karaluchy przed latarką. Ja to co innego. Wyglądam raczej jak desperado. Zobaczą mnie, uznają za niegroźnego starucha na garnuszku opieki społecznej i...

— Starucha? — upewnił się sierżant.

— Co, nie wiesz, jak to jest? Lekarze nie lubią starych biedaków. Za plecami nazywają nas nędzaczami.

— Ty nędzaczem? — Policjant przyjrzał się swemu towarzyszowi.

— Jakim cudem tak się maskujesz?

Stary Indianin opróżnił flaszkę do dna.

— To łatwe, gdy nie posiadasz nic trwałego.

Poe spędził w swojej hondzie kilka niespokojnych, bezsennych godzin. Czekał aż do siódmej rano. Wcześniej wysadził Y przed Havana, wynajął mu pokój i dał pięćdziesiąt dolarów. Nie miał pojęcia, dlaczego płaci staremu człowiekowi, skoro ten posiada całkiem spore konto bankowe. Gest ten miał chyba coś wspólnego z plemienną lojalnością i autentycznym przywiązaniem.

Kiedy zastukał do drzwi, Honey spytała, kto tam. Przedstawił się. Otworzyła i powitała go w rozchylonym lawendowym szlafroku z lejącego się materiału; pod szlafrokiem miała zwykłą krótką nocną koszulkę, na nogach zaś grube puchate kapcie. Orle oczy dziewczyny były senne i na wpół zamknięte, jej wargi — różowe i spuchnięte. Zero makijażu. Sierżant nie był zatem klientem, dla którego warto się stroić. Położyła rękę na biodrze i skarciła mężczyznę spojrzeniem.

— Jest taki zwyczaj, że najpierw się dzwoni.

— Mogę wejść?

— A zdołam cię przed tym powstrzymać? — Zrobiła krok w bok i policjant wszedł.

Wpatrzył się intensywnie w jej twarz. Honey miała już pewnie trzydziestkę na karku, choć zupełnie na to nie wyglądała. Na jej czole nie dostrzegął zmarszczek. Jakby przez jej głowę nigdy nawet nie przemknęła żadna niepokojąca myśl. Wspaniała, arogancka panienka. Równie beztroska jak motyl, póki faceci chcieli od niej jednego — aby rozłożyła nogi.

— Wiedziałam, że wrócisz — oświadczyła zarożumiale.

— Siadaj — warknął.

Posłała mu uwodzicielski uśmiech.

— Zły tekst?

Poczuł się jak pies Pawłowa.

— Czekaj, na razie usiądź. — Po sekundzie zastanowienia dorzucił: — Proszę.

— Jesteś jakiś dziwny. — Honey przybrała twardą minę. — O Boże! Nie zamierzasz chyba znowu gadać o tej dziewczynie, prawda?

— O Brittany Newel...

Zareagowała gwałtownie.

— Poe, jest siódma rano! Ściągaj gacie albo spadaj.

Sierżant nie poruszył się.

— Nie zamierzam cię pytać o Newel.

Zastukała nerwowo stopą.

— Więc czego chcesz?

Policjant wyjął zdjęcie zmasakrowanego ciała Sary Yarlborough.

— Znasz ją? Mam świadka, który to potwierdzi.

Honey natychmiast się rozgniewała i odwróciła głowę.

— Nawet nie spojrzę. Wyjdź, zanim cię wyrzucę!

— Nie ma mowy. Jak ci się nie podoba moja obecność, zadzwoń po policję.

Zasunęła poły szlafroka i podeszła do kuchennego telefonu.

— Wiesz, nawet gliniarze nie mają prawa... — Wystukała numer informacji. — Nie możesz mnie zmuszać...

— Nie tknąłem cię, Honey. I ani mi to w głowie, więc daruj sobie. Odrzuciła głowę. Wyraźnie była skonsternowana. Ktoś odezwał się w słuchawce. Dziewczyna zawahała się, po czym powiedziała:

— Tak, chcę numer policji Las Vegas... Nie wiem, który posterunek! Obojętnie który! — W chwilę później, uderzyła w widełki i zaczęła wykręcać usłyszany numer.

Poe czekał spokojnie. Sądził, że callgirl blefuje.

— Będiesz miał plamę w swoich nieskazitelnych aktach. Sierżant aresztowany w takim miejscu... oskarżony o próbę gwałtu. Nie wywiniesz się z tego!

Odezwała się recepcjonistka. Honey znowu się zawahała, tym razem jednak odłożyła słuchawkę i stanęła bez ruchu z założonymi na piersiach rękami.

— No dobra... Czego chcesz?

Policjant wszedł do kuchni.

— Tylko rzuć okiem na zdjęcie... — poprosił cicho.

— Nie!

— Niby dlaczego?

— Bo nie chcę! — Przeszła go pełnym nienawiści wzrokiem. — I nie zdołasz mnie do tego zmusić!

Schował zdjęcie do kieszeni.

— Twoja reakcja wiele mówi.

— Cóż takiego?

— Że jesteś śmiertelnie przerażona.

Zbladła.

— Nie, raczej nie lubię oglądać martwych dziewczyn!

— Szczególnie, jeśli miałaś coś wspólnego z ich śmiercią.

— Zwariowałaś, Romulusie! — Polizała kusząco wargi. — Może zwyczajnie potrzebujesz czegoś, czego nie dostajesz od swojej przyjaciółki lekarki i szukasz pretekstu. Przyznaj się, o to ci chodzi?

— Honey, mówię poważnie! Jeśli nadal będziesz strugać idiotkę, bekniesz za morderstwo.

Odsunęła się od niego.

— Nie wiem, o czym gadasz! Wynoś się stąd!

— Dobrze zatem. Wyjaśnię ci tę kwestię najzwięźlej, jak potrafię — oznajmił. — Posłuchaj. Była sobie kiedyś bardzo młoda i piękna dziewczyna, która starała się przeżyć w tym zapomnianym przez Boga mieście. Udało jej się, osiągnęła sukces, ale gwiazdą była tylko w pościeli...

W tym momencie Honey trzasnęła go mocno w twarz, trafiając w chory policzek.

— Pieprz się, człowieku z blizną!

Poe zmusił się do spokoju. Nie cofnął się, przełknął ból i kontynuował:

— Zadawała się z ważnymi facetami, na przykład z Parkerem Lewistonem. Przez parę lat odpowiadało im jej towarzystwo, a gdy uznali, że się zestarzała, wypchnęli ją bezceremonialnie na ulicę. I tam się znalazła. Zniszczona, a przecież dopiero dwudziestojednoletnia...

Honey ponownie chciała go spoliczkować, lecz złapał ją za nadgarstek i łagodnie opuścił jej dłoń.

— Uderz mnie jeszcze raz, to cię aresztuję, kochanie.

Z oczu Honey popłynęły łzy. Szarpnęła się, lecz sierżant przytrzymał jej ramię.

— Niby się skończyła — podjął Poe — ale nie była głupia. Co więcej, cechowała się wytrwałością. Chociaż wiedziała, że Lewiston przestał się nią interesować w sensie fizycznym... Lubił młodziutkie dziewczyny, toteż jako dwudziestojednolatka była dla niego zbyt cholera, stara... Rezolutnie spytała go, czy chciałby jej wyznaczyć inne zadania. Zawarł z nią umowę, ponieważ wiedział, że nie jest typową głupiutką kurewką. Pracowała teraz jako callgirl, Parker podsuwał ją ważnym klientom. A sam mógł się z nią czasem pokazać, wyjść na kolację... Dzięki takim kobietom nie wyglądał na zbrodźcę, który lubi tylko małolaty...

— Dlaczego mi to robisz?! — krzyknęła. — Zawsze byłam dla ciebie taka miła!

— Parkerboy dotrzymał słowa i ustawił dziewczynę. Po pewnym czasie stała się już za stara nawet na funkcję kolacyjnej towarzyszki. Wtedy wyznaczył jej prawdziwe zadanie... dał jej prawdziwą pracę... miała mu załatwiać nieletnie dziewczynki. Ponieważ takie najbardziej lubił... właściwie dzieci...

— Przestań!

— A ona się zgodziła i zaczęła mu sprowadzać młody, choć już nieco zniszczony towar...

— Przestań, proszę, przestań! — Z oczu Honey ciekły wielkie łzy. Chwytała łapczywie powietrze i w kółko powtarzała: — Przestań, proszę! Pozwól mi odejść! — Straciła oddech. — ...Proszę! Puść mnie, proszę!

Lamentowała. Wziął ją w ramiona i mocno przycisnął. Przez długą chwilę szlochała szaleńczo na jego ramieniu. Początkowo jej emocje wydawały się prawdziwe — straszliwe jęki smutku i żalu. Wkrótce jednak uspokoiła się i już tylko udawała. Otoczyła ramionami jego szyję, przycisnęła biodro do jego pachwiny. Wyciągnęła rękę, sprawdzając, czy Poe ma erekcję. Miał.

„Pies Pawłowa”.

Uciszyła się i wytarła oczy dłonią.

— Cała ta sprawa jest taka obleśna, Romulusie. Po co żyć w brzydocie, skoro można mieć przyjemność...

Oderwał się od niej i przytrzymał ją na wyciągnięcie ramienia.

— Honey, wysłuchaj mnie. Załatwiłaś Sarę Yarlborough Parke-
rowi Lewistonowi, a ten ją zabił...

— Nie...

— Wiesz, czym to cię czyni? Jesteś współwinna zbrodni...

— Nie! Mylisz się...

— Możesz zostać oskarżona o morderstwo pierwszego stopnia!

— Ale ty nic nie rozumiesz! — wyjęczała.

Pomyślał, że musi odczytać Honey jej prawa. Jednak jej zeznania przed sądem byłyby warte funta kłaków. Krótka mówiąc, wymusił je. Wiedział, że jeśli zacznie oficjalną procedurę, kobieta zamknie się przed nim szczelniej niż bankowy sejf. Poprosił ją więc o wyjaśnienia.

Wytała oczy i popatrzyła na niego ze złowrogą miną.

— Nie tak to miało wyglądać!

Czekał na dalszy ciąg.

— To był... wypadek.

Poe skinął głową i dał jej znak, by mówiła dalej.

— Parker... czasami robi się... — Odwróciła wzrok.

— Brutalny?

Popatrzyła mu ufnie w oczy i skinęła głową.

— Musisz mnie zrozumieć. Od początku zawsze prosiłam o dziewczyny, które godzą się na odrobinę brutalności... Można takie znaleźć, jeśli dobrze zapłacisz. A pieniędzy było sporo. I dla nich, i dla mnie. Jeśli dziewczyny były dobre, Parker zawsze starał się je zabezpieczyć. Na tym polegała umowa wiązana...

Sierżant przerwał jej.

— Czy wobec ciebie Parkerboy był okrutny, Honey?

Pokiwała głową.

— Opowiedz mi o tym.

Odsunęła się od niego i zapaliła papierosa. Ręce jej drżały.

— Muszę mówić o sobie?

— Im więcej mi powiesz, kochana, tym lepiej dla ciebie.

Gwałtownie wypuściła kłąb dymu — prosto w twarz Poemu.

— Lubi używać różnych... zabawek. — Popatrzyła na niego z furją. — Potrzebujesz więcej szczegółów?

— Nie, wyobrażam sobie tę... zabawę. — Również zapalił papierosa i ostentacyjnie wydmuchnął dym w bok. — Co się zdarzyło między nim i Sarą Yarlborough?

— Sarah Yarlborough to taka mała narkomanka o różowych włosach?

— Tak.

Honey nadal paliła.

— Nigdy nie poznałam jej nazwiska. Podsunął mi ją jej alfons. Twierdził, że mała zna się na rzeczy i nada się do tej roboty.

— Ali Abdul Williams... alfons Sary.

Gdy wymienił nazwisko, kobieta wydawała się zaszokowana.

— Tak, tak, moja droga, w końcu nie od parady jestem gliniarzem. Taką mam pracę. Wiesz, co się stało z Williamsem?

Popatrzyła na niego wyczekująco. Przejechał wskazującym palcem po gardle. Honey bezwiednie podniosła dłonie do własnej szyi. Po raz pierwszy wyglądała na zmartwioną.

— Jak zginął?

— Wypadek samochodowy.

Nagła ulga.

— Och, no cóż, bywa...

— Tyle że ktoś mu pomógł, grzebiąc przy jego aucie...

Przyjęła strategię defensywną.

— Skąd ta pewność?

— Widzisz, to się nazywa reakcja łańcuchowa. Ginie facet, którego mamy na celowniku, i to w dość dziwnych okolicznościach. Nawet w kompletnie skasowanym samochodzie da się sprawdzić, czy ktoś uszkodził hamulce albo jakąś inną część. A wtedy policjanci stają się z reguły podejrzliwi. Podobnie z Sarą Yarlborough. Zaczynasz przecinać jej ciało nożem i nagle...

— To nie była moja wina!

Miał ochotę zaprzeczyć, lecz zrezygnował.

— Okej, nie twoja. Ustalmy zatem, co zrobić, by wyciągnąć cię z tej paskudnej historii.

Natychmiast się uśmiechnęła.

— Ciągłe mnie lubisz, prawda?

— Honey, muszę ci odczytać twoje prawa.

Zrobiła krok w tył.

— W takim razie nie zamierzam z tobą rozmawiać.

— To tylko formalność.

— Bzdura! — Wiedziała, co to instynkt samozachowawczy. Odwróciła się. — Chcę prawnika...

— Dobrze, już dobrze. — Poe zaciągnął się papierosem i wypuścił dym. — Posłuchaj mnie, dziewczyno. Chcę ci pomóc. Mogę spróbować załatwić ci układ i wierzę, że mi się uda. Nie zostaniesz o nic oskarżona... Musisz tylko zeznawać przeciwko Lewistonowi...

— Nie ma mowy, nie stanę przeciwko niemu! — Z uporem potrząsnęła głową. — Możesz mnie zakuć w kajdany, a nie powiem ani słowa. Zaryzykuję wyrok.

— Ten facet nie jest nietykalny, Honey. Mam już pewne dowody przeciwko niemu. Beknie za morderstwo.

— Jakiego rodzaju dowody?

— Kiepski byłby ze mnie glina, gdybym ci powiedział. — Przez chwilę układał sobie w myślach odpowiedź. — Dość powiedzieć, że mam silne, niepodważalne dowody. A także świadków, którzy widzieli go z Yarlborough.

— Więc po diabła ci moje zeznanie?

— Być może dzięki niemu już teraz mógłbym wystąpić o nakaz aresztowania.

— Zapomnij o tym! — Callgirl zdusiła niedopałek w kryształowej popielniczce. — Wolę raczej iść za kratki.

Jej nieustępliwość zaskoczyła sierżanta.

— Honey, Lewiston idzie na dno. Chcesz zatonać wraz z nim?

Wybuchnęła złośliwym śmiechem.

— Ty arogancki przygłupie! Może i znajdziesz coś na mnie, ale Parker na pewno nie pójdzie na dno. Jesteś przy nim nikim, Poe, zwyczajnym cherlakiem. Parkerboy zjada tabuny podobnych do ciebie gnojników na śniadanie.

— Nie zostawiasz mi zbyt dużego wyboru, moja droga. — Poe wrzucił niedopałek do zlewu. — Jeśli nie dopadnę Lewistona, będę musiał przyjść po ciebie. Zdziwisz się, jak prędko i skutecznie potrafię działać.

— Jasne, dokładnie tak jak w łóżku!

Uśmiechnął się cierpko.

— Za każdym razem chciałem ci zrobić przysługę. Sądziłem, że dziwki lubią pieprzyć się szybko.

— Wynoś się!

Sierżant chwycił ją za wyłogi szlafroka. Pod wpływem jego siły materiał rozdarł się. Poe zbliżył twarz do twarzy dziewczyny. Niemal dotykali się nosami.

— Zapamiętaj tę gębę, Honey. Bo odtąd nie zjesz już spokojnie żadnego posiłku, nie będziesz spać, pieprzyć się... nawet srać... zanim nie rozejrzysz się i nie upewnisz, że gdzieś się nie czają...

— Nie możesz mnie napastować! Jesteś przecież policjantem! Wynocha!

Puścił ją gwałtownie. Aż się zatoczyła. Podniosła słuchawkę.

— Porozmawiam z twoim przełożonym! Zniszczę cię!

— Powodzenia! — Otworzył drzwi i wyszedł na dwór. Chciał jej dać do zrozumienia, że nie zdołała go zdenerwować, toteż bardzo spokojnie zamknął drzwi.

Rozdział czterdziesty

To były długie łowy... i ciężkie... Jednak większa część roboty została wykonana.

Wykonana i zakończona. Cóż za ulga!

Pora była odpowiednia. Odpowiednia na samodzielne i całkowicie niezależne działanie.

Działanie, które powodowało zawroty głowy.

Wynikiem była niezależność od innych istot, które ci mówią, co masz robić, a czego ci nie wolno. Od durnych duszyczek, które usiłują cię przekonać, że wcale głupie nie są i że mają rację, choć wiesz, że właśnie one są winne. Nie sposób się przed nimi obronić. Gdy gnębią cię istoty gorsze od ciebie...

Okres harówki i znużenia. Czy to odpowiednie określenie?

Poe znalazł właściwe słowo, bo znał się na tego typu szczegółach. Miał bystry umysł, mógłby być kimś więcej... Jednak popełniał błędy. Miewał humory, bywał impulsywny i łatwo nim było manipulować.

Inteligentny, lecz z pewnością łatwy do przechytrzenia.

A przecież wystarczyło popatrzeć wokół siebie...
Nadal nie rozwiązał zagadki żadnej śmierci. Czyżby był idiotą?
Myśl ta wywołała uśmiech.
Wilczy uśmiech.
A kiedy zwierzęta się uśmiechają, obnażają kły.

Pocąc się z gorąca, Remus wtaszczył większy z dwóch kufrów i postawił go na brudnej podłodze Romulusa. Kufer zajął prawie połowę pokoju. Sierżant wszedł chwilę później, z trudem utrzymując w rękach lżejszy kufer. Rozejrzał się po pokoju i zmarszczył brwi.

— To się nie uda.

Remus odebrał bratu ciężar i postawił mniejszy kufer na większym.

— Powrzucałem jej ubrania, jak leciało. Na twoim miejscu, zostawiłbym oba spakowane. Niech matka sama je posegreguje.

— Jeśli nie potrzebuje tych wszystkich rzeczy, zabierz część z powrotem. — Poe wytarł pot z czoła i zaczął strzelać palcami. — Popatrz na mój dom! Ledwie się mogę precyzyjnie, taki w nim panuje tłok.

— Matka chce tu mieć jak najwięcej swoich rzeczy. Dzięki nim czuje się bardziej swojsko.

— Wiesz, czego naprawdę chce nasza matka? Wrócić do domu.

Remus znieruchomiał. Jego masywne ciało zawisło w połowie ruchu. Po twarzy mężczyzny spływał strumieniami pot. Remus starł go wilgotną już chusteczką i popatrzył na bliźniaka. W głęboko osadzonych oczach kryło się szczere zakłopotanie.

— To twoje słowa czy jej?

Sierżant przeklął własną impulsywność.

— A co za różnica?

— Odpowiedz mi, Romulusie!

Policjant przestał strzelać palcami i klasnął w dłonie.

— Mówiła mi, że chce pojechać do domu... czyli do Reno.

— Co jej odrzekłeś?

— Żeby została w Las Vegas do końca kuracji. Potem podejmie decyzję. — Popatrzył na brata. — Chyba oblałem test na syna.

— Zgadza się — odparł Remus. — A wiesz co? Natychmiast, gdy zabiorę ją do jej domu, będzie chciała wrócić tutaj.

— I tak nie ma o czym gadać — mruknął sierżant. — Musisz najpierw zbudować pałac. Wtedy wrócimy do tej rozmowy. Poza tym... nigdzie jej nie puszczę, zanim nie skończy chemioterapii.

Tym razem gigant przyjrzał się bratu i dostrzegł na jego czole głębokie zmarszczki, spowodowane stresem i zmęczeniem.

— Dziękuję za pomoc, Romulusie.

Poe wzruszył ramionami,

— Przynajmniej tyle mogłem zrobić.

— Czytałem o tym straszliwym morderstwie w Kalifornii. O okaleczonych kobiecych zwłokach, które znaleziono na motelowym poddaszu...

Sierżant nie odpowiedział.

— Prowadzisz w tej sprawie śledztwo? — naciskał Remus.

— Dlaczego miałbym prowadzić śledztwo w sprawie morderstwa dokonanego w Kalifornii?

— Ponieważ wiąże się ono z Alison.

Policjant zareagował zaskoczeniem.

— Skąd wiesz?

— W tym artykule ona i Steve wskazywani są jako podejrzani.

— Żartujesz! — wrzasnął Poe. — W jakiej gazecie to przeczytałeś?

— „Reno Times”.

— Chryste Panie! — Policjant zaczął chodzić po pokoju, co było trudne, ponieważ musiał omijać kufry. — Cholera jasna!

— Nie chciałeś, żeby to przeciekło do prasy?

— Oczywiście, że nie. Sądziliśmy, że Alison ze Steve'em... lub bez niego... skierowała się z powrotem tutaj, to znaczy do Vegas. Nie chcieliśmy ich spłoszyć. A jednak coś przeoczyliśmy... — Kopnął kufer, po czym podskoczył, gdyż zaboląła go stopa.

„Trzecie prawo Newtona, idioto! — przemknęło mu przez głowę.
— Każdej akcji odpowiada reakcja!” Kuśtykając, gderał:
— Gdzie, do diabła, podziały się Rukmani i mama?
— Ruki wzięła Emmę na zakupy, chciały kupić parę potrzebnych rzeczy, skoro ma u ciebie zamieszkać.
— Czy kobiety nie mają nic lepszego do roboty od zakupów?
— Twoja łódzka jest nieco pustawa — zauważył Remus.
— Sam powinienes być pomyśleć o zakupach.
Poe ciągle się wściekał. Brat położył mu rękę na ramieniu.
— Daj spokój. Chodź, kupmy trochę żarcia. Czym byłoby życie bez *salsy** i chipsów?

* *Salsa* (hiszp.) — używany w kuchni meksykańskiej ostry sos, sporządzony z pomidorów, cebuli i papryczek chili.

— Świetnie — wymamrotał sierżant. — Po prostu rewelacja.
— Wziął kluczyki.
— Poprowadzę — zaoferował się Remus. — Chociaż ten twój samochód jest dla mnie jakiś przyciasny.
— Muszę jeszcze zamknąć dom. — Policjant rozejrzał się za kluczami. — Właściwie, sam nie wiem, po co tak się przejmuję tą chałupą. W końcu, co można by z niej ukraść. Jeśli lubisz kibel na dworze, chętnie sprzedam ci moją lepiankę.
— Czy Rukmani ma klucze do twojego domu?

Zastanowił się.

— Nie, nie ma.
— Więc zostaw drzwi otwarte, w przeciwnym razie nasze panie nie wejdą. Nie wiem, czy wrócimy przed nimi.

Odezwała się komórka sierżanta.

— Poe — powiedział.

Remus zobaczył, jak brat się rumieni.

— Wszystko w porządku? — spytał.

Policjant z irytacją zamachał ręką, po czym aż podskoczył w miejscu. Remus usłyszał krzyczący w słuchawce gniewny męski głos. Rom nic nie mówił przez minutę.

— Nie było tak... — bąknął w końcu. — Pozwól mi wyjaśnić... — Potoczył wzrokiem. — No dobra... Słuchaj, spotkajmy się w biurze... Tak, wiem, że jest niedziela. Przeprowadzam akurat matkę do swojego domu. Jeśli jednak uważasz, że to ważne... Wiesz, że gdy coś jest ważne dla ciebie, jest ważne również dla mnie... — Sierżant ponownie się skrzywił. — Nie, właściwie nie sędzę, by to było ważne! Jeśli pozwolisz mi...

No dobra, dobra... W porządku... Nie, nie uważam tego za problem, szefie. Moja matka czuje się lepiej, dzięki. Jadę. Będę za dwadzieścia minut, okej?... Dobrze.

Wyłączył telefon i ciężko usiadł na tapczanie.

— W niezłe gówno wdepnąłem!

— Co zrobiłeś?

— Nastraszyłem pewną dziwkę.

— Gdzie tu tragedia?

— To była dziwka Parkera Lewistona. Pewnie do niego zadzwoniła, a on wykonał kilka telefonów. Ktoś wysoko postawiony u nas... nagadał mojemu porucznikowi, że napastowałem callgirl, która nie chciała dać się przelecieć za darmochę.

Remus przyjrzał się Romulusowi. Bratu drżały szczęki.

— A napastowałeś ją?

Poe posłał mu cierpkie spojrzenie.

— Nie. Ale wpadam... wpadałem do niej od czasu do czasu.

— Ho ho ho!

— Na dodatek nawrzeszczałem na nią. Bóg jeden wie, że nie chodziło mi o marne pieprzenie. Potrzebowałem informacji o morderstwie.

— Tej dziewczyny na poddaszu?

— Nie, kogoś innego.

Gigant wytarł sobie twarz.

— Jestem pewien, że ci się uda... że rozwikłasz tę zbrodnię.

— Nie w najbliższej przyszłości. Szef zawiesił mnie na okres wewnętrznego śledztwa w mojej sprawie. — Zaklął pod nosem.

— Jestem cholernie sfrustrowany! Przecież ten drań, Lewiston, zamordował dziecko! Rozwiązanie tuż tuż, braciszku. — Spektakularnie

rozstawił palec wskazujący i kciuk na szerokość centymetra. — I nie mogę drania dostać!

— Cierpliwości, stary.

— Cierpliwość to wysoce przereklamowana cecha.

— Ma swoje dobre strony. — Remus usiadł, wgniatając tapczan niemal do podłogi. — Ja jestem cierpliwy. Naucz się czegoś od dużego brata.

— Duży brat, też coś. — Poe przypatrzył się twarzy bliźniaka. — Mój drogi, jestem od ciebie o siedem minut starszy.

— Mówię tylko o wzroście. Wiesz, co ludzie gadają. Najważniejszy jest rozmiar.

Sierżant roześmiał się, słysząc stary żart. Nie żeby wiedział cokolwiek na temat genitaliów brata. Jako cudaczne dzieciaki, obaj charakteryzowali się przesadnym poczuciem skromności.

— Wiesz, skoro już o tym mowa, zawsze chciałem cię zapytać... — zaczął policjant z błyskiem w oku.

— Wiem, o co chcesz spytać. — Remus wyszczerzył zęby. — Lepiej nie pytaj. I tak jesteś już o krok od depresji. Nie chcę do końca cię pognać.

Poe wstał, podrzucił kluczyki i schwycił je.

— Muszę jechać. Nic wszakże nie stoi na przeszkodzie, żebyś... sam zrobił zakupy.

— Ciągłe zwalasz na mnie brudną robotę.

— A od czegoś są gigantyczni, dobrze... hmm... wyposażeni bracia?

Weinbergowi pot spływał po twarzy. Z powodu weekendu klimatyzacja w całym budynku była wyłączona. Temperatura w pokoju musiała wynosić ponad trzydzieści stopni Celsjusza. Porucznik przez chwilę wachlował się złożonym kawałkiem papieru, potem wskazał na krzesło przy biurku Poego.

Sierżant usiadł.

— Nigdy nie biorę niczego na krechę. Zawsze spłacam swoje długi. Spytaj kogokolwiek. Nie posiadam nawet kredytu hipotecznego.

Weinberg usiłował być cierpliwy.

— Czym zatem doprowadziłeś dziwkę Lewistona do takiego szalu? — Podniósł się z krzesła. — I co ważniejsze, czym rozwścieczyłeś Parkera Lewistona? Jest bardzo zdenerwowany, co właśnie przekazała mi przez telefon pewna wysoko postawiona i również niezłe wkurzona osoba.

Poe zagapił się w sufit.

— Nie spodoba ci się to, co powiem — stwierdził w końcu.

Porucznik skrzywił się.

— Jakoś wytrzymam. Wal.

— Nazwę to pościgiem... Miałem powód, by wierzyć... — Policjant odchrząknął. — Wierzyłem, że ta callgirl... Honey Kramer jest uwikłana... wraz z Parkerem Lewistonem w morderstwo Sary Yarborough. — Znowu odchrząknął. — W zasadzie... Honey prawie przyznała... że Lewiston zabił dziewczynę.

— Co takiego?!

— Nieoficjalnie. Gdy tylko spróbowałem odczytać jej prawa, odmówiła zeznań.

— Aż nie mogę uwierzyć... — Weinberg oblizwał usta. — No dobra, zamieniam się w słuch, sierzancie.

Poe powoli opowiedział całą historię. Zaczął od pierwszej wizyty Deluki w Nagim Mieście, streścił jej rozmowę z alfonsem Lamarem Larue, przyznał się też, że zlecił Y zrobienie zdjęć kobiet Naliego Abousayeda... Na jednym z nich była Honey Kramer. Wtedy sierżant wrócił do Nagiego Miasta i Larue zidentyfikował Honey jako dziwkę, która naganiała nieletnie dziewczyny dla pewnego nieznanego mu bogatego klienta. Nigdy nie powiedziała, o kogo chodzi, wszyscy jednak wiedzieli, że o Lewistona.

— Następnym krokiem — ciągnął policjant — który wydawał się absolutnie logiczny w tym momencie, była wizyta u Honey...

— Złamałeś niemal każdy punkt wewnętrznego regulaminu i olałeś wszelkie stosowne procedury.

Sierżant przybrał zmieszany uśmieszek.

— Poe — spytał Weinberg — dlaczego... dlaczego nie dałeś tego przydziału Deluce? Nie tylko jest kobietą, której owa callgirl nie mogłaby oskarżyć o molestowanie... w dodatku właśnie Patricia rozpoczęła śledztwo w Nagim Mieście.

— Tak, byłoby to zręczne posunięcie.

— Każdy byłby lepszy od ciebie! Szczególnie, że miałeś wcześniej prywatne kontakty z tą prostytutką. — Porucznik wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. — Co cię, do diabła, podkusiło?

— Spieprzyłem sprawę — przyznał sierżant. — Nie umniejsza to jednak rangi informacji, jakie zdobyłem...

— Zdadzą się psu na budę. Nie możesz z nich zrobić użytku.

— Nie twierdzę, że zrobię. Ale można by je wykorzystać, jako odskocznię do...

Weinberg westchnął i potarł czoło.

— Okej, okej, okej — wymamrotał do siebie. — Najpierw kwestia najważniejsza. Jak mam uratować twój tyłek? Zrobił się już szum wokół całej tej afery i sprawa nie wygląda dobrze.

— Czy Honey wniosła oficjalną skargę?

— Nic na piśmie — odparł porucznik. — Może chodziło jedynie o ostrzegawczy telefon.

— Ktoś próbuje mnie odstraszyć?

— Dokładnie. Co oznacza, że jeśli znajdziesz się w odległości kilometra od Honey Kramer, wystarczy jeden twój ruch... nawet całkowicie legalny... a ktoś natychmiast wykona kolejny krok przeciwko tobie... A wówczas nikt... naprawdę nikt, sierżancie, nie zdoła cię wyratować z opresji. Rozumiesz?

— Tak.

— Miejmy nadzieję, że na tym się skończy. — Gestem kazał mu odejść. — No dobra, wynos się stąd. Zaopiekuj się swoją matką.

Poe wstał.

— Mogę coś jeszcze dodać?

— A powstrzymam cię? — odwarknął szef.

— Lewiston zabił to dziecko z zimną krwią. Chyba powinniśmy coś zrobić... Mylę się?

— Gdybyś przyszedł ze swoimi teoriami najpierw do mnie, może mógłbym ci pomóc. — Weinberg zastanawiał się przez chwilę. — Lewiston nigdzie nie ucieknie. Spotkajmy się u Myry w poniedziałek, czyli jutro... rano. O dziesiątej. Zastanowimy się wspólnie... ty, ja, Patricia... — Popatrzył na sierżanta. — Skoro nie ma Jensena, chcesz wprowadzić kogoś nowego do zespołu?

Policjant skrzywił się.

— Może Marine Martina. Był z Delucą podczas pogawędki z Larem Larue. Sprawił się całkiem przyzwoicie.

— Zadzwoń do niego.

Zabrzączał pager Poego. Rom popatrzył na numer. Policyjny! Zadzwoił z telefonu na biurku. W chwilę później porucznik zauważył, że oczy sierżanta otwierają się szeroko, po czym zaczyna coś pospiesznie notować.

— Co się stało?

— Znaleźli samochód.

— Jaki samochód? Jensena?

Poe skinął głową i rzucił do słuchawki:

— Połączcie mnie z policjantami na miejscu... W każdym razie spróbujcie... Tak, poczekam.

— Gdzie go znaleźli? — spytał porucznik.

— Nieco ponad sto dziesięć kilometrów na północny wschód. W hrabstwie Lincoln.

— Kolejna zmarnowana niedziela. — Weinberg podniósł słuchawkę drugiego telefonu i zadzwonił do żony. — Dwa powody, dla których ciągle topię pieniądze w tej restauracji — bąknął. — Po pierwsze, knajpka stanowi prawdziwą miłość mojej żony. Po drugie, przynajmniej mamy szansę zjeść razem.

— Tak — wrzasnął Poe do telefonu — zadzwóńcie na numer jednostki, potem do mnie. Wiem, że są zakłócenia, ale... musicie się w jakiś sposób połączyć... Tak, jestem świadom, że tam znajduje się baza wojskowa, jednak... Ach... Proszę posłuchać, ciągle próbujcie się połączyć... Tak, natychmiast. Niech najpierw sprawdzą bagażnik... Dokładnie. Powinni otworzyć bagażnik, by się upewnić... Niech

wyłamiam zamek, jeśli trzeba... Koniecznie trzeba go otworzyć!

Policjant z frustracji uderzył się w czoło.

— Wiem, wiem... powiedziano im, żeby niczego nie dotykali, w tym momencie wszakże... Tak, sierżant Poe wydaje rozkaz otwarcia bagażnika! Wyjeżdżamy natychmiast... Porucznik Weinberg i ja. Tak... Tak... Próbujcie dalej. Dziękuję. — Odłożył słuchawkę i popatrzył na żalną minę szefa. — Myra raczej nie wpadła w ekstazę?

— Wkurzyła się. Tym niemniej robi dla nas kanapki.

— Cóż za wspaiała kobieta!

Oblicze Weinberga złagodniało, oczy marzycielsko zapatrzyły się w dal.

— Myra jest rzeczywiście cudowną kobietą. Szczęśliwy ze mnie facet. Chodźmy.

Rozdział czterdziesty pierwszy

— Jest zamknięty szczelniej niż słoik — tłumaczył miejscowy policjant, z którym rozmawiali przez zestaw głośnomówiący. — Próbowaliśmy podważyć bagażnik nożem, ale tylko złamałem czubek ostrza. Mógłbym oczywiście odstrzelić zamek. Lecz jeśli w środku znajduje się ktoś żywy, istnieje ryzyko postrzału.

— Kategorycznie zakazuję strzelania! — Porucznik wyobraził sobie kulę odbijającą się rykoszetem od stalowej powierzchni bagażnika i trafiającą prosto w twarz przedstawiciela prawa hrabstwa Lincoln. — Dotrzemy za pół godziny.

Poe nacisnął pedał gazu. Samochód pędził z szaleńczą prędkością.

— Sądzi pan, że ktoś znajduje się w bagażniku?

— No cóż, bardzo prawdopodobne — odparł tamten. — Parę razy go nacisnąłem i chyba wyczułem w środku jakiś ciężar. Jednak cokolwiek tam jest, na pewno się nie porusza.

Honda gwałtownie podskoczyła na wyboju, po czym z łomotem wylądowała na drodze. Pod wpływem wstrząsu Weinberga zabolął kręgosłup. Ból nieubłaganie wspinał się po plecach.

— Zwolnij! — warknął.

— Słucham? — spytał policjant na linii.

— To nie do pana — odparł Poe. — Spieszmy się i irytują nas dziury na drodze, do których nie jesteśmy przyzwyczajeni ani my, ani nasz samochód.

— Zadzwoń do pańskiego sierżanta. Niech wie, co się dzieje. Dzięki za telefon — dodał porucznik.

— Drobiazg.

— Będziemy najszybciej, jak się da. Koniec, wyłączam się.

Poe ponownie zwiększył prędkość. Samochód podskoczył.

— Twoja jazda przyprawia mnie o mdłości — gderał Weinberg. — Poza tym... słyszałeś, co mówił. Ktokolwiek jest w bagażniku, nie porusza się.

— Ale nadal może żyć.

— A nie uważasz, że my również powinniśmy tam dotrzeć żywi? Zwolnij!

Sierżant spróbował nad sobą zapanować. Zaciśnął dłonie na kierownicy i zmusił się do zredukowania prędkości. Jego oczy badawczo obserwowały rozległe obszary monotonnej pustyni — płaski, piaszczysty teren, spieczony i złowieszczy. Kłębki chmur dryfowały po niebie w kolorze morza. Słońce zaczynało zachodzić. W ciągu godziny samochód znajdzie się pod sklepieniem w odcieniach olśniewających oranży i różów. Świerszcze się rozśpiewają, powietrze stanie się balsamiczne i spokojne, lekki chłód rozkosznie złagodzi rozgrzane powietrze...

Porucznik odłożył mikrofon.

— Współpraca między departamentami to czysta rozkosz. Ktoś w hrabstwie Lincoln najwyraźniej czyta stanowe biuletyny.

— Wypił łyk wody. — Mamy szczęście.

Poe skinął głową.

— Co mam zrobić, gdy opuścimy drogę numer dziewięćdziesiąt pięć?

— Powiem ci, co robić, gdy dotrzemy do skrzyżowania. Zostało nam jeszcze z dziesięć minut jazdy.

Podróżowali w milczeniu, przygnębieni smętnym krajobrazem za oknem: nieskończonym, pozbawionym życia pasmem piasku i żwiru. Sierżant zauważył, że wskaźnik temperatury wewnątrz samochodu wpełza na czerwoną strefę skali. Przykręcił klimatyzację i otworzył okno. Podmuch gorąca uderzył ich obu w twarz.

Poe uśmiechnął się przepraszająco do szefa.

— Nie chcę, żeby nam potem wysiadł akumulator.

— Jasne. Jesteśmy już blisko. Zakręt za jakieś sto metrów.

Policjant zwolnił. Weinberg wpatrzył się w pustynię, mrużąc oczy przed światłem.

— Jesteśmy niedaleko Obszaru Testowego Nevada, prawda?

— Zgadza się.

— Wiesz? To miejsce przyprawia mnie o gęsią skórkę. Odnoszę wrażenie, że oddycham radioaktywnym jodem 131.

— I prawdopodobnie tak jest.

— Niech cię, stary, masz niesamowity talent do...

— Tu mam skrócić? — przerwał sierżant.

Porucznik sprawdził notatki.

— Tak, tutaj.

Opony zapiszczały na ostrym zakręcie.

— Potem skręć jeszcze raz — dodał Weinberg. — Około ośmiuset metrów dalej. Auto Jensena spadło jakieś sześćdziesiąt metrów od pobocza. Ktokolwiek je tam zrzucił, nie mógł odejść daleko na piechotę. W takim upale nie sposób przejść więcej niż parę kilometrów, chyba że ktoś ma ochotę odwodnić organizm.

Poe nie odpowiedział.

— Zastanawiam się, czy czekał tu na nich pickup. To znaczy... chyba nie porzucili samochodu i nie zdecydowali się na pieszą wędrówkę.

— Pickup to sensowny pomysł. — Jednak niespodziewanie sierżantowi przemknęło przez myśl słówko „metempsychoza”. A jeżeli złudzenia Alison nie są wcale złudzeniami? Co wtedy? Gdyby odstawić

logikę i zapomnieć o prawach fizyki... wszystko mogło się zdarzyć.

Jeżeli i gdyby...

A może udzielały mu się jej ułudy? Przeżycia ostatniego miesiąca w połączeniu z pustynnym skwarem mogły osobliwie wpływać na jego umysł.

— To gdzieś tutaj — stwierdził Weinberg. — Skręć w prawo.

Chwilę później w polu widzenia pojawił się wynajęty buick.

Obok niego stał radiowóz patrolu z autostrady; miał otwarte drzwi. Po zaparkował hondę przy drodze. Wyłączony silnik auta rzeźił, więc sierżant otworzył przednią maskę, aby go schłodzić, po czym wyskoczył z wytrychem w dłoni. Podbiegł do śliwkowego sedana.

Natychmiast zabrał się za bagażnik, parząc sobie opuszki palców o straszliwie rozgrzany metal. Ręce mu drżały i pot spływał wielkimi strugami po jego orzechowobrazowej twarzy.

Z samochodu patrolowego wysiadło dwóch mężczyzn w mundurach koloru khaki. Weinberg założył kapelusz panama, wysiadł z hondy i przywitał się z funkcjonariuszami. Pierwszy nazywał się Beai i był krępy młody człowiek. Drugi przedstawił się jako Polk. Wyglądał na Indianina.

Podczas gdy sierżant pracował nad zamkiem, porucznik zajrzał do środka buicka, skupiając wzrok na tylnym siedzeniu. Tapicerka była ciemnoczerwona, lecz Weinberg zdołał dostrzec kilka ciemniejszych plam. Założył rękawiczki i obmacał te wyraźnie widoczne miejsca. Mimo gorąca, ciągle pozostały wilgotne, a właściwie lepkie. Coś wsączało się w aksamit. Porucznik popatrzył na czubeczki własnych palców, odzianych w lateksowe rękawiczki. Były usmarowane metaliczniebrązową mazią.

Kleista plazma.

— Jak idzie, Rom? — zawołał do Poego.

Sierżant był zlany potem, lecz stale popędzał się w myślach.

— Jest zablokowany — odrzyknął. — Przypuszczam, że ktoś wepchnął kit w zamek.

— Potrafisz się dostać do środka?

— Sądzę, że tak. Wyczuwam poszczególne zapadki.

Zamilkł.

— Pracuj dalej — zachęcił go Weinberg. Włożył lateksowe rękawiczki do torebki na dowody. Wytarł wilgotną twarz. Zdjął kapelusz i przetarł również głowę. Włożył kapelusz, potem rozpiął górną część koszuli. Wiedział, że wszystkie te posunięcia są daremne, bo i tak w żaden sposób się nie ochłodzi.

— Jeszcze jedna zapadka... o jest... mam drania!

Bagażnik odskoczył.

Poe wstał, zerknął do wnętrza i... stracił oddech. Ujrzał purpurową twarz usmażoną na średnio krwisto i zastygłą w grymasie cierpienia. Wpółotwarte błękitne oczy tonęły w strasznej różowej opuchliznie. Z łomoczącym sercem policjant poszukał pulsu.

— Jeszcze żyje! — wrzasnął wreszcie. — Pomóżcie mi go stąd wyciągnąć!

We czterech podnieśli niemal stukilowe ciało. Sierżant natychmiast zakomenderował:

— Przenieśmy go na tylne siedzenie hondy. Tam jest chłodniej...

— Mam koc w bagażniku — zaoferował się Beai. — Oślonimy mu głowę.

— Poe — polecił Weinberg — wyjmij z bagażnika hondy skrzynkę z lodem. Musimy obniżyć temperaturę jego ciała.

— Mam dzbanek wody — dodał Polk.

— Zadzwońię po pogotowie — dorzucił Beai.

— Trzymaj się, Stevie — jęknął porucznik. — Trzymaj się, chłopcze. — Weinberg oddychał ciężko. Twarz miał spoconą i bladą. — Zajmiemy się tobą — dorzucił.

Ostrożnie położyli mężczyznę.

— Połóżcie mu koc pod głowę — warknął porucznik. — Siedzenia są diabelnie rozgrzane.

— Macie drugi koc? — spytał Beai Weinberga. — Jeśli przykryjemy przednią szybę, zakryjemy go przed zachodzącym słońcem.

Sierżant wtaszczył lodówkę na tylne siedzenie. Kostki lodu zdążyły

się już niemal całkowicie roztopić. Oderwał kawałek swojej mokrej od potu koszuli, zanurzył w letnim płynie, wykręcił trochę i delikatnie ułożył skrawek na czole Jensena. Okład błyskawicznie zrobił się gorący. Poe powtórzył całą operację, a później jeszcze raz i jeszcze... Byłoby świetnie, gdyby mógł ochłodzić w ten sam sposób całe ciało Steve'a. Niestety, mieli za mało wody.

Pracował w milczeniu, szybko, bezmyślnie. Serce łomotało mu szaleńczo. Zamaczał materiał, wyżył z nadmiaru wody i przykładał do rozpalonej twarzy. Zamaczał, wyżył, przykładał...

Kiedy Weinberg przykrył przednią szybę dodatkowym kocem, zdjął własną koszulę i pomógł Poemu ochładzać ciało Jensena. Sprawdził też puls — był nieregularny i słaby, oddech zaś ciężki i powolny.

Beai i Polk kontaktowali się z odpowiednimi służbami.

Porucznik przemawiał cicho, zachęcając Steve'a do ciągłego oddychania. Jakby słowa mogły pomóc! Sierżant polizał popękane wargi.

— Czy ci faceci przyniosą dzbanek z wodą? Powoli nam się kończy.

— Przypomnę im.

W ciągu kilku minut cała trójka wróciła do hondy. Polk wręczył dzbanek Poemu, który wlał zawartość do lodówki.

— Ambulans powinien być tu za dziesięć... może piętnaście minut — oświadczył Beai.

„Toż to cała wieczność”, pomyślał Poe, lecz tylko skinął głową. Stale zanurzał, wykręcał, przykładał.

— Cud, że ten człowiek w ogóle żyje — zauważył Beai.

— Zamknięty w bagażniku w taki upał! — Pauza. — Gdybym wiedział, że tam jest, odstrzeliłbym zamek.

— I niewykluczone, że za jednym zamachem jego głowę — odparował Weinberg.

— A jednak, gdy tam leżał, o mało się nie usmażył... — Beai wytarł twarz. — Nie powinienem tak mówić. Ranni czasami słyszą.

— Świetnie sobie radzisz, Stevie — szeptał sierżant. — Wytrzymaj

jeszcze trochę. Tylko trochę... wytrzymaj... — Nagle ciało chorego skręciło się w konwulsjach, kończyny zadrżały niczym kłosa zboża na wietrze, dolna szczęka trzasnęła o górną.

— Poe warknął: — Dajcie mi coś, co można mu wsunąć między zęby. Jego usta muszą pozostać otwarte.

Polk wyjął zza paska gumową pałkę i razem łagodnie wcisnęli ją mężczyźnie między górne i dolne tylne zęby. Jensen trząsł się jeszcze przez minutę.

— No cóż — zauważył porucznik — dobrze, że zaczął reagować, ale skutki szoku termicznego trudno przewidzieć.

Sierżant dotknął czoła Steve'a. Nadal było rozpalone, lecz wydało mu się nieco chłodniejsze.

— Niech ktoś sprawdzi, czy jedzie ten cholerny ambulans!

— Dzwoniliśmy zaledwie parę minut temu — odparł Polk.

— Upewnijcie się! — odburknął Poe, zerkając na policjantów. — Robi się ciemno.

— Zadzwoń — zaoferował się Beai.

— Znowu ma drgawki — zauważył Polk.

Ciało Jensena poddało się niepohamowanemu napadowi spazmów, a jego zęby wgrzyły się w policyjną pałkę. Sierżant wykorzystał ten moment i przeciągnął się, po czym zrobił kilka skłonów. Plecy bolały go od pochylania się nad Steve'em; niewygodna pozycja przyprawiała też o ból karku.

Gdy nieprzytomny się uspokoił, Weinberg polecił:

— Miej na niego oko, Rom. Pójdę zadzwonić, niech miejscowi przeczeszą okolicę. Za pół godziny zapadną egipskie ciemności. Powtórzę raz jeszcze: ktokolwiek porzucił samochód, nie mógł ujść za daleko na piechotę.

— Samochód mógł zostać porzucony przed kilkoma godzinami — zauważył Beai.

Sierżant potrząsnął głową, patrząc na Jensena.

— Nie ma mowy. Nikt nie zdołałby przetrwać kilku godzin w bagażniku.

— Będziemy szukać Alison, stary — zapewnił go porucznik.

— Będziemy szukać i znajdziemy ją. Żywą czy martwą.

Poe skinął głową. Intuicyjnie wiedział, że kobieta żyje. Żyła i była kompletnie szalona, jeśli coś takiego zrobiła. Nawet jeżeli wydawała się fizycznie odpowiedzialna za ten przerażający czyn, nie sposób jej było oskarżyć. Jej choroba osiągnęła punkt, z którego nie było odwrotu. Alison po prostu przestała nad sobą panować. Prawdopodobnie resztę życia spędzi zamknięta w zakładzie.

Jednak emocjonalna niewinność prawdopodobnej winowajczyni stanowiła dla Poego niewielką pociechę. Gretchen nie żyła, Steve zaś był w stanie krytycznym — lada chwila mógł umrzeć z powodu udaru słonecznego lub odwodnienia.

Sierżant zanurzył materiał w wodzie, wykręcił go i przyłożył do rozgrzanego ciała. Po chwili mechanicznie powtórzył kolejne ruchy.

Pracował i pracował. Sam był rozpalony i wyczerpany, zachodzące słońce prażyło mu mokre od potu plecy, maksymalnie przyspieszając działalność komórek produkujących melanine.

Po dziesięciu minutach jego modlitwy się spełniły i rozległ się odległy sygnał karetki.

— Będę dalej ochładzał ciało, a wy sprowadźcie sanitariuszy — rzucił Bealowi.

W dwadzieścia minut później, gdy słońce skryło się już za pustynnym horyzontem, Jensen leżał na noszach w ambulansie. Od razu został podłączony do kroplówki, a jego temperaturę obniżono do „ludzkich” trzydziestu dziewięciu stopni Celsjusza. Pojawiły się też dwa samochody patrolowe hrabstwa Lincoln; miały krążyć po okolicy. Niewiele wszakże można było zobaczyć, ponieważ zapadł mrok — kolory zbladły, widoczność została zredukowana do szarości oraz cieni słabo widocznych w świetle gwiazd, blasku poświaty księżycowej i w wąskich snopach latarek.

Weinberg nie założył ponownie swojej mokrej koszuli, ale błękitną bluzę medyków. Identyczną zarzucił sobie na grzbiet Poe. Porucznik wziął głęboki wdech i przyłożył do szyi chusteczkę.

— Pojadę z nim do szpitala. Hrabstwo Lincoln udzieliło naszemu

zgody na odholowanie buicka do Las Vegas. Ty zostaniesz tutaj. Pokieruj poszukiwaniami. Wystrzel tuzin rakiet świetlnych. Może coś znajdziecie. Sierżant skinął głową.

— Masz dość wody? — spytał Weinberg.

— Teraz tak. — Wraz z porucznikiem wypili około pół galonu* butelkowanej wody, którą przywieźli sanitariusze. Po każdym łyku Poe odnosił wrażenie, że tyle samo wypaca. Mimo nocnej pory, temperatura wynosiła trzydzieści dwa stopnie Celsjusza.

* Galon — jednostka objętości ciał ciekłych używana w USA, równająca się 3.8 litra.

— Jak twój wóz? — spytał Weinberg.

— Przykryłem chłodnicę. Pewnie wrócę bez zbytnich komplikacji.

— Masz telefon?

Sierżant pokazał mu komórkę.

— Utrzymuj stały kontakt z Patricią. Jeśli nie dostanie od ciebie wiadomości w ciągu godziny, wyśle kogoś po ciebie. Tak ją poinstruowałem.

— Nic mi nie będzie.

Porucznik nałożył na łysą głowę panamę.

— To na wszelki wypadek.

Chociaż był poniedziałkowy ranek, Poe był zmęczony jak po całym tygodniu pracy. Sierżant smętnie gapił się na ciepłą kawę; z palców zwisał mu niezapalony papieros. Myra włączyła klimatyzację i w restauracji powoli się ochładzało. Żona szefa była teraz w kuchni, gdzie przygotowywała jajecnicę. Sierżant usiadł naprzeciwko Weinberga i Deluki. Cała trójka była piekielnie znużona. Poe przynajmniej przespał się we własnym łóżku. Wiedział, że porucznik spędził noc w szpitalu. Potrafił się poświęcać dla swoich ludzi...

Sierżant schował papierosa do kieszeni.

- Powiedzieli, że do nas zadzwonią? — spytał.
- Jeśli jego stan się zmieni. — Weinberg napił się kawy. — Gdy wychodziłem stamtąd dziś rano, Jensen najgorsze miał chyba za sobą. W każdym razie, opanowano ataki.
- Ale ciągle był nieprzytomny? — upewnił się Poe.
- Tak.
- Co oznaczają te ataki? — zapytała Patricia.
- Że Steve'owi usmażył się mózg — odparł ze smutkiem sierżant.
- Jezu Chryste, co za paskudna sprawa! — Popatrzył na porucznika.
- Na tapicerce była krew.
- Wiem i nie byłbym zaskoczony, gdyby należała do Steve'a. Chociaż lekarze nie wspominali o poważniejszych ranach. Podobno ma zaledwie parę draśnień czy przecięć ta i tam. — Przyjrzał się bacznie Poemu. — Nie wysnuwaj żadnych pochopnych wniosków na temat Alison. Może żyje, może jest zdrowa i cała.
- Uważam, że żyje i jest cała.
- Weinberg zdumiał się.
- Nie sądzisz zatem, że to może być jej krew?
- Nie, nie sądzę. — Sierżant posmarował wysuszone wargi balsamem do ust. — Moim zdaniem, to raczej krew Gretchen Wiler...
- Ciało na poddaszu? — spytała Patricia.
- Sierżant pokiwał głową.
- Ekskochanki Steve'a — dodała policjantka.
- Właśnie. — Poe zawahał się. — Albo... krew nie jest w ogóle ludzka.
- Porucznik ponownie zrobił zdziwioną minę.
- Skąd to podejrzenie?
- Sądzę, że Alison popadła w szaleństwo. Nie znajduję innego wytłumaczenia, skoro zabiła kochankę męża, a jego samego zamknęła w bagażniku na pewną śmierć.
- Weinberg skrzywił się.
- Więc uważasz, że Alison to zrobiła?
- Poważnie biorę tę możliwość pod uwagę.
- A krew w buicku? — spytała Patricia.

— Może Alison składała ofiarę z jakiegoś zwierzęcia... Chociaż to jedynie moje przeczucie. — Wypił kawę. — Tak czy owak... Zdaniem lekarzy... kiedy Steve się obudzi?

— Ich opinię określiłbym mianem ostrożnego optymizmu.

Policjantka zmarszczyła brwi.

— Co szef ma na myśli? Trzydzieści procent, czterdzieści procent, pięćdziesiąt procent? Czy ktoś wierzy w te statystyki?

— Lekarze nie są w stanie podać takich danych — wyjaśnił jej Poe. — To nie ich wina. Statystyki przyjmują całkiem nowe znaczenie, kiedy sprawa dotyczy życia i śmierci.

— Czy ktoś chce porozmawiać o przyznaniu się Honey Kramer?

Sierżant zerknął na porucznika.

— Jeszcze jakieś skargi? — spytał.

— Nie sprawdzałem sekretarki automatycznej — odparł Weinberg. — A do ciebie ktoś dzwonił?

— Jak dotąd nie.

— W takim razie prawdopodobnie chyba jesteś chwilowo bezpieczny. Po prostu trzymaj się z dala od dziewczyny.

— Tyle że Lewiston nadal chodzi sobie...

— Nie obwiniaj mnie, gdy sam spieprzyłeś robotę — zbeształ go porucznik. — Masz kogoś poza Lamarem Larue, kto potrafi połączyć Honey Kramer i Sarę Yarlborough?

— Był A. A. Williams — bąknął Poe. — Niestety nie żyje.

— Wiesz zatem, co musisz zrobić, Rom. Znajdź świadka, który widział je wchodzące do hotelu Lewistona. Gdzie facet ma swoje główne biuro? W Lady Slipper czy w Laredo?

— W Laredo.

— Potrzebujesz kolejnego świadka. Zacznij polowanie.

— Czas na śniadanie — zaszczebiotała Myra i postawiła na stole półmisek z jajkami i cebulą oraz koszyk świeżych kajzererek. — Nie mówcie mi, że nie wygląda dobrze.

— Wygląda wprost niebiańsko — ocenił sierżant, wymawiając każde słowo z emfazą.

— Świetnie, więc smacznego.

Podawała mężowi jarmułkę. Porucznik przykrył nią łysą głowę, po czym zaczerpnął na swój talerz pełną łyżkę jajek.

— Przyłączysz się do nas, Myro?

— Mam *kugiel** w piecyku i zupę na palnikach. Jedzcie.

Patricia zatopiła zęby w kajzerce.

* *Kugiel* (hebr.) — zapiekanka o konsystencji puddingu; należy do tradycyjnych potraw szabasowych oraz świątecznych.

— Ludzie, doskonała bułka!

— Prawda? — spytała retorycznie Myra. — Mam zamówienie na sześć tuzinów. Za dwa dni obsługuję obrzezanie. Wiecie, co to jest obrzezanie?

— Jasne — odparła policjantka. — Obcinają napletek.

Poe skrzywił się z niesmakiem.

— Kolejny plemienny rytuał związany z dorastaniem.

Myra klepnęła go w ramię.

— Dziecko niczego nie czuje.

— A spytał ktoś kiedyś dziecko o opinię?

Właścicielka restauracji klepnęła go ponownie, po czym roześmiana odeszła na zaplecze.

Weinberg poprawił jarmułkę i wgrzył się w bułkę.

— Jeżeli chcemy wykorzystać nieoficjalne zeznanie Honey Kramer, musimy ustalić dwie rzeczy. Po pierwsze, potrzebujemy świadka, który potwierdzi związek między nią i Sarą Yarlborough. To twoje zadanie, Poe...

— Powtarzasz się, szefie!

— Zamknij się i słuchaj. — Porucznik sącył kawę. — Deluca, będziesz obserwowała Honey. Sprawdź, jak często dziewczyna odwiedza Lady Slipper, Laredo bądź inny lokal Lewistona.

— Honey z pewnością nie pójdzie już do naszego bogacza — zauważył sierżant. — Parkerboy będzie ją trzymał jak najdalej od siebie.

— W takim razie, może uda ci się ustalić jakiś związek między Honey i którymś z goryli Lewistona. Weź aparat. Rób zdjęcia. — Zarbręcał jego pager. Porucznik sprawdził numer. — To szpital.

Patricia odłożyła kajzerkę. Po pięciu minutach przełączania Weinberga wreszcie połączono z właściwym oddziałem. Przedstawił się, posłuchał przez moment, po czym wyprostował się na krześle.

— Cudownie! — zawołał.

— Obudził się? — spytał Poe.

Porucznik skinął głową.

— Tak. I zaczął mówić!

— Wspaniale! — Sierżant głośno zaklaskał w ręce. — Dzięki Bogu!

— Cii — skarcił go przełożony. Kiwał głową, słuchając wypowiedzi lekarza na drugim końcu linii. — Tak, jest tutaj. Lekarz chce z tobą mówić — rzucił Poemu.

— Ze mną?

Wręczył mu telefon.

— Tak twierdzi.

Sierżant wziął komórkę.

— Mówi sierżant Romulus Poe. — Posłuchał przez moment, potem oświadczył: — Nie ma problemu. Potrzebuję tylko wskazówek.

— Do szpitala? — spytał Weinberg.

Policjant potwierdził.

— Dam ci je. Zresztą, pojedziemy razem.

— Przyjadę z porucznikiem Weinbergiem — powiedział Poe do słuchawki. — Powinniśmy dotrzeć w mniej więcej godzinę... może półtorej.

— Deluca, zadzwoń do laboratorium. Dowiedz się, czy technicy odkryli coś nowego w związku z buickiem.

— Dobrze — odparła. — Potem mam śledzić Honey? Ot, na wszelki wypadek?

— Tak, śledź ją — potwierdził Weinberg. — Na pewno nie zawadzi, a nuż na coś trafimy.

— Przyjadę najszybciej, jak będę mógł — sierżant zakończył rozmowę telefoniczną. — Dziękuję i do widzenia. — Wstał. — Steve chce się ze mną zobaczyć.

- Z panem?! — spytała Patricia. — Po co?
- Nie wyjaśnił. Sądzę, szefie — zwrócił się do porucznika — że powinniśmy wziąć ze sobą parę galonów butelkowanej wody. — Włożył do kieszeni kilka bułek. — I coś do jedzenia, skoro już o tym mowa... — Wyjął banknot dwudziestodolarowy i położył go na stole. W odpowiedzi na zdziwione spojrzenie Weinberga oświadczył: — Napiwek.
- Nie musisz płacić.
- Nie płacę panu, szefie, lecz pańskiej żonie.

Rozdział czterdziesty drugi

Minęły już dwa dni od ostatniego polowania. Dwa dni bez świeżego mięsa!

Pragnienie stawało się coraz dotkliwsze. Ach, soczyste, kruche mięso, bogate w krew i białko. Niezbędny element zrównoważonej diety. Konieczny dla zdrowych oczu, silnych zębów i lśniącej sierści.

Odoczynek w jaskini z głową wygodnie ułożoną w zgięciu przednich łap. Chłodno i ciemno. Jaskrawe słońce przesuwają się obok wejścia. Od jego promieni bolą oczy.

I płyną z nich łzy.

Kiedyś była normalna. Kiedyś żyła, śmiała się i kochała. Kiedyś zaspokajała pragnienie filiżanką kawy, a głód połową kwarty wiejskiego twarogu. Jedzenie mięsa równało się stekowi z grilla na czwartego lipca.

Jak popadła w ten stan? Jak? Jak?! Jak?!!

Chyba wiedziała, w jaki sposób weń popadła... Odpowiedź na pewno znajdowała się w jej badaniach. Kiedyś interesowały ją własne badania... Teraz nawet one przestały się liczyć. Ważne było tylko mięso!

Surowe mięso!

Jej futro wysychało od intensywnych pustynnych promieni, sierść

robiła się łamliwa z powodu odwodnienia. Spieczone biodra wyglądały równie goło jak normalne kobiece uda. Jej stawy skokowe przypominały dawne łydki. Pierś miała zapadniętą i kościstą. Czowała się brzydka i zmarniała. Dzikie, wyliniałe zwierzę o przekrwionych oczach i ostrych zębach.

Przecież nie zawsze tak było! Kiedyś jadła, aby żyć. Teraz żyła, by jeść. Pewnego dnia poczuła przemożną potrzebę nasycenia głodu mięsem z ostatniego zabójstwa. Był to nakaz jej nowego ciała. Steve tego nie zrozumiał, chociaż próbowała mu wytłumaczyć. Nie potrafił niczego dostrzec tymi swoimi „ślepyimi” oczami i nigdy nie analizował szczegółów, które znajdowały się głębiej, pod powierzchnią materialnej rzeczywistości. Aż sprawy zaszły zbyt daleko i okazało się, że jest za późno na jakiegokolwiek tłumaczenia.

Było za późno!

Dlatego zrobiła to, co musiała!

Tak czy owak, naprawdę nie chciała, żeby Steve wychowywał dzieci. Zmieniał chłopców w takich jak on sam tępaków. Powinna wychowywać ich ona, wtedy wyrosliby na jej podobieństwo. Byliby superinteligentnymi zwierzętami, kierującymi się instynktem, istotami wolnymi od kategorii dobra i zła, ani ich fizyczna postać bowiem, ani zachowanie nie podlegałyby ludzkim osądom.

Już lepiej niech starzec się nimi zajmuje. Opowie im o pięknie i boskiej mądrości. Na tym w sumie polegała jedyna różnica między jej poprzednim życiem i aktualnym. Kiedyś tłumiała swoje instynkty, ponieważ Bóg powiedział...

Bóg powiedział, że źle jest kraść.

Bóg powiedział, że źle jest popełniać cudzołóstwo.

Bóg powiedział, że źle jest zabijać.

Bóg powiedział, że źle jest zjadać zwierzęta żywcem.

Ale wszystkie te „Bóg powiedział...” stosowały się do ludzi, nie zaś do zwierząt. A ona zmieniła się teraz w zwierzę i boskie zakazy przestały mieć dla niej znaczenie. Zwierzęta mogły kraść i parzyć się z kim chciały. Mogły też zabijać i jeść... i nie musiały się czuć winne.

Takie są zwierzęta. Tak właśnie postępują. Akceptują się nawzajem, akceptują swoje wzajemne potrzeby. Wszystkie są tym samym... wszystkie są zwierzętami. Istniało powszechne przekonanie, że mięsożercy muszą zabijać, że potrzebują do życia świeżego mięsa. I była to prawda.

Jej umysł trapiło tylko jedno jedyne pytanie: w jaki sposób się przeobraziła? Wiedziała, że odpowiedź znajduje się w zielonej książeczce. W oficjalnej broszurce rządowej, poświęconej pierwszym wybuchom bomb. We wszystkich tych pudełkach po butach, w skrawkach gazetowych. W jej badaniach.

Gdyby tylko przejrzała je dokładnie...

Przekręciła się na drugi bok i zamknęła zmęczone oczy.

Dobrze być zwierzęciem... Nie ponosiła odpowiedzialności za swoje zachowanie... Rządził nią instynkt, nie świadomość.

Gdyby popłynęły łzy...

Łzy należały do ostatnich pozostałości jej starego świata. Ach, ta straszna faza przejściowa... Życie jeszcze w dwóch światach: w jednym była kobietą, której nieobca była moralność i etyka, w drugim — bestią, zależną od popędów, ostrożną i podstępną w działaniu.

Czasami czuła, że wraca do swej ludzkiej postaci. Jeśliby tylko odkryła, jak kontrolować przemiany, w jaki sposób swobodnie przemieszczać się między światami, jak przekształcać się z jednej postaci w drugą, i z powrotem, łatwo i szybko.

Żywiła przekonanie, że potrafiłaby opanować tę sztukę bez trudu. Wiedziała, że przemiana wiąże się z kwestią atomów i sprawami anatomicznymi. Hmm... Tak przynajmniej sądziła... Manipulacja cząsteczkami, utrzymanie masy, lecz zmiana ustawienia molekuł... Nieodłączne pojęcia — entropia, entalpia* i inne. Z zakresu fizyki. Gdy zrozumie zasady, z pewnością zdoła wywoływać metamorfozę, kiedy tylko zechce.

* Entalpia — w fizyce termodynamiczna funkcja stanu, wyrażana jako suma energii wewnętrznej układu ciał (gazu lub pary) i iloczynu jego ciśnienia i objętości; inaczej zawartość ciepła.

Całość danych znajdowała się w jej badaniach. Sposób przeobrażania w kolejne istoty... Obsesyjnie wracała do tej myśli. Wszystko tam było. Niestety, akurat teraz badania wydawały się bardzo, bardzo odległe i w gruncie rzeczy nieistotne.

Aktualnie najważniejsze było zaspokojenie pragnienia i zdobycie świeżego mięsa.

Szpitalny zapach, ta obrzydliwa mieszanka preparatów antyseptycznych i śmierci, przyprawiła Poego o mdłości. Kiedy szedł niekończącym się korytarzem, serce zaczęło mu bić szybciej. Koszulę pod pachami miał nasiąkniętą potem, czoło — wilgotne, lepkie i zimne. Nagle świetlne kropki zatańczyły mu przed oczami. Zatrzymał się, oparł o ścianę i zakrył twarz dłonią.

Weinberg stanął za nim.

— Dobrze się czujesz?

— Jasne...

— Wytrzymaj, stary. — Porucznik rozejrzał się za krzesłem. Znalazł jedno składane w pustej, otwartej salce szpitalnej, wywlókł je na zewnątrz i rozłożył na korytarzu. — Usiądź.

— Nic mi nie jest...

— Siadaj!

Sierżant nie spierał się, szczególnie, że przed oczami nadal mu migąło. Opadł na krzesło i opuścił głowę między kolana.

— Potrzebujesz lekarza, Rom? — spytał Weinberg.

— Jeśli już, to psychiatry — wymamrotał przez palce.

Porucznik znalazł kolejne krzesło i usiadł obok policjanta.

— No dobra, nic ci nie będzie. Zrób tylko kilka głębokich wdechów.

Poe nie odpowiedział, zawstydzony własną fizyczną słabością. Weinberg najwyraźniej wyczuł jego zażenowanie.

— Nic się nie stało, Rom. Po prostu ostatnio zbyt często bywałeś w szpitalach. I tyle. Pamiętam, jak moja matka umierała na raka. To było przed moim przyjazdem tutaj... do Las Vegas. Wtedy mieszkałem w Chicago i pracowałem w tamtejszej policji. Ilekroć miałem wolną chwilę, przyznam, że niezbyt często, pędziłem ją odwiedzić.

Widzisz, byliśmy sobie bardzo bliscy. Mój ojciec zginął podczas drugiej wojny światowej, więc matka sama wychowywała mnie i moją siostrę. Ona oraz rabini, którzy i ze mnie chcieli zrobić rabina... Możesz mnie sobie wyobrazić jako rabina?

Poe podniósł ostrożnie głowę. Pokój falował, lecz sierzantowi udało się nie zemdleć.

— Z trudem, ale znam parę bardziej absurdalnych pomysłów.

Porucznik roześmiał się.

— W samym środku jej choroby wydało mi się, że mam atak serca. Trafiłem do szpitala, lekarze przebadali mnie i... niczego nie znaleźli. Kiedy przysłali psychiatrę, wiedziałem, że sam muszę wziąć się w garść. A później latami nie potrafiłem spojrzeć na lekarski stetoskop, nie oblewając się przy tym zimnym potem. Wyglądasz już lepiej. Możesz wstać?

Policjant podniósł się i wytarł twarz.

— Tak. — Przeciągnął ramiona, po czym się otrząsał. — Nic mi nie jest. Chodźmy.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Gdy dotarli do pokoju Jensena, Weinberg wszedł na palcach pierwszy; Poe wkroczył tuż za nim. Steve spał. Miał na sobie szpitalną piżamę; góra była rozpięta. Leżał na wznak. Blond włosy lepiły mu się do opuchniętej, nienaturalnie różowej twarzy. Chrapał głośno. W ramię miał wbity igłę kroplówki, do głowy przylepione mnóstwo elektrod. Monitor ukazywał jednostajny odczyt jego fal mózgowych, dokonywany przez aparaturę EEG.

— Zdobądź dla nas trochę kawy i gazetę — polecił Weinberg szeptem. — Kto wie, jak długo jeszcze będzie spał.

Sierzant przez chwilę studiował potwornie odparzoną skórę na twarzy chorego... Istny cud, że Jensen przeżył.

— Wróć za minutkę.

W godzinę później, gdy obaj przeczytali już dwa nevadzkie dzienniki i kilka magazynów motoryzacyjnych, chory poruszył się. Jego powieki zatrzepotały, igielki EEG zaś zaczęły wykreślać na ekranie szalenie sinusoidy, jakby przez korę mózgową mężczyzny przechodziło

trzęsienie ziemi. Porucznik i Poe popatrzyli po sobie. Zastanawiali się, czy to normalna reakcja aparatury, czy też może powinni wezwać lekarza. Jednak po chwili Jensen otworzył oczy i igielki uspokoiły się.

— Witaj, detektywie — zagaił cicho Weinberg. — Poznajesz mnie?

Leżący powoli obracał głowę w kierunku dźwięku. Zamrugał parę razy i gapił się przez chwilę na Weinberga. W końcu skinął głową.

— Potrzebujesz czegoś, Stevie?

Spod szpitalnej pościeli powoli wypełzła wielka ręka. Przesunęła się ku nocnemu stolikowi i zacisnęła na stojącym tam papierowym kubku. Jensen zdołał go sobie przystawić do ust, lecz woda pocięła mu po podbródku.

Porucznik wytarł twarz i pierś mężczyzny, lecz policjant poruszył głową i powiedział:

— Lodu.

Sierżant wstał i podszedł do pojemnika. Wrócił z kostką lodu owiniętą w serwetkę i wsunął ją Steve'owi w dłoń. Policjant przez moment ssał, a gdy lód stopił się, położył sobie mokry papier na głowie.

— Zrobić ci chłodny kompres, stary? — spytał Poe.

Jensen potrząsnął głową.

— Może więcej lodu?

— Tak.

Sierżant owinął kolejną kostkę w serwetkę. W chwilę później chory zaczął mówić:

— Boli mnie... — Westchnął. — Cholernie boli mnie głowa. Ale nic nie mogę wziąć. — Ponownie westchnął. — Póki mój mózg nie będzie działał normalnie. Domyślam się, że nieprędko doczekam się jakiegoś uśmierzacza.

Poe uśmiechnął się.

— Świetnie sobie radzisz.

— Tak myślisz? — wydukał Steve.

— Tak myślę.

— Zrobileś od wczoraj wielki krok — dodał Weinberg.
— Dziś wyglądasz znacznie lepiej — potwierdził sierżant. — Możesz już podrywać pielęgniarki.

— Więc zamień się ze mną miejscami, dupku. — Jensen zagryzł wargę. — Jeszcze lodu.

Porucznik zadzwonił do pokoju pielęgniarek.

— Możemy dostać trochę lodu?

— Zaraz — odpowiedział obojętny głos.

— Czyli za trzydzieści minut — warknął chory.

Weinberg wstał.

— Załatwię to.

Natychmiast po jego wyjściu Jensen spytał Poego:

— Znaleźliście Alison?

Sierżant potrząsnął głową.

— Szukamy...

— Kompletnie jej odbiło. — Przełknął głośno ślinę. — Jest strasznie agresywna. — Zakaszlał sucho. — Musisz ją znaleźć... zanim odszukają ją zwyczajne służby. W przeciwnym razie ona... znowu kogoś zabije. Kogoś albo siebie.

Zamilkł.

— Gdzie się twoim zdaniem ukrywa?

— Na pustyni.

— Kalifornijskiej? Czy na pustyni Nevada?

— Na pustyni Nevada. W południowej części.

— W pobliżu OTN?

Steve odwrócił wzrok. Jego fale mózgowe znowu szalały.

— Prawdopodobnie. Odbiło jej... Kompletnie zwariowała.

Poe miał ochotę strzelić palcami, na szczęście się powstrzymał.

— Stary, zdaje mi się, że twoja żona obarcza OTN winą za własne szaleństwo.

— Tak, wiem, promieniowanie... stale o nim mówi. — Oddech Jensena stał się płytki. — Tarczycę ma zdrową, za to mózg... — Zapadła bardzo długa cisza. — W jakiś sposób zrobiła się potwornie silna, Rom. Naprawdę silna! Może brała coś... sterydy. Wierz mi, że potrafi... wyrządzić krzywdę...

- Na przykład zabić Gretchen Wiler. Wiem, znaleźliśmy ciało.
Chory zamknął oczy.
- Gdy wróciłem, było... za późno...
Pojawił się Weinberg z lodem.
- Mówimy o morderstwie Gretchen Wiler — wyjaśnił Poe.
- Steve twierdzi, że gdy wrócił, dziewczyna już nie żyła. — Zastanowił się, po czym spytał: — Skąd wróciłeś?
- Wróciłem do siebie — poprawił się. — Chciałem powiedzieć... że oprzytomniałem. — Sporo wypilem... Tequilę. Prawie całą butelkę. A jednak, zwykle nie... nie tracę przytomności.
- Może Alison czegoś ci dosypała — wtrącił sierżant.
- Prawdopodobnie. Wiesz? To był jej pomysł.
Porucznik owinął łód serwetką i podał Steve'owi.
- To znaczy co?
- Jensen ssał kostkę lodu.
- Wprowadzenie Gretchen. — Po chwili dodał: — Mówiła, że marzy o trójkacie. — Odwrócił wzrok. — Coś mi nie grało... Wiedziałem... Nie chciałem jednak psuć... och tylko... próbowałem... a powinienem był...
- Weinberg przerwał mu.
- Steve, możemy porozmawiać o tym później.
- Nie! — Chory nagle się ożywił. — Słowo „później” może oznaczać kolejne zwłoki. Musicie znaleźć Alison, i to zaraz!
- Znajdziemy ją. Obiecuję, Steve, obiecuję ci, że ją znajdziemy...
- Poe odczekał kilka minut i spytał: — Kto ściągnął Gretchen do motelu?
- Ja... ja ją przywiozłem... Zadzwoiłem do niej — odparł Jensen. — Nawet chciałem jej za to zapłacić. Oczywiście się zgodziła. Pojechałem do Las Vegas i zabrałem ją. — Zrobił słaby wydech. — Zawiozłem ją do motelu. — Znowu się zawahał. — Bawiliśmy się. Wiedziałem, że sytuacja jest niesamowita. Lecz Alison wyglądała na zadowoloną.
- Zamknął oczy. Spod powiek pociekły mu łzy.

— W którymś momencie podczas przyjęcia straciłem przytomność. Gdy ją odzyskałem... wszędzie wokół siebie zobaczyłem krew. A... Alison... — Sapnął. — Alison jadła ciało Gretchen.

Poe usiłował zachować kamienną twarz.

— Twoja żona uważa się za zwierzę, prawda? Za wilka albo za kojota...

Steve popatrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

— Zwierzyła ci się?

Teraz również Weinberg spojrział dziwnie na Poego. W jego spojrzeniu czaiło się pytanie: „Bo jeśli nie, to skąd o tym wiesz?”

— Właściwie nie powiedziała mi wprost — odrzekł. — Ale mam rację, prawda?

Chory potwierdził, kiwając głową.

— Kiedy się obudziłem, miała na sobie wilczy kostium... Była pokryta futrem od stóp do głowy. I zachowywała się jak dzikie zwierzę... warczała... wydawała groźne pomruki... a jej twarz... — Zaczął gwałtownie dyszeć. — Och, Boże, jej wilczy pysk był cały uwalany krwią!

Igiełki EEG ponownie zaczęły fiksować. Zapadła ponura cisza, porucznik i sierżant posępnie patrzyli na swoje stopy, Jensen zaś płakał. Kiedy się uspokoił, Poe próbował podjąć temat następnym rzeczowym pytaniem.

— Widziałeś już kiedyś ten kostium... przed ową nocą w motelu?

Steve zakrył rękami oczy i przecząco potrząsnął głową.

— Co się zdarzyło po twoim przebudzeniu...? — ciągnął sierżant. — Gdy zobaczyłeś wszędzie wokół krew?

— Ciągle byłem odurzony... zbyt zszokowany, by coś powiedzieć. Nagle Alison... zaatakowała mnie. Po prostu doskoczyła do mojego gardła i ugryzła mnie. — Odwrócił się i pokazał im ślady zębów z boku szyi. Przypatrzył się Poemu. — Brzmi znajomo?

— Tak, część o ataku. Tyle że mnie podrapała. — Mimowolnie uniósł rękę do zeszpeconego policzka. — Pokonałeś ją?

— Nie byłem w stanie... jej uderzyć. Mimo że wiedziałem, co zrobiła. Byłem strasznie słaby... nawet się nie bronilem. — Spuścił wzrok. — Gdy mnie ugryzła, chyba wstrzyknęła mi równocześnie jakiś narkotyk albo inny środek. Zupełnie nie pamiętam, co się dalej działo. Nic a nic. Aż do następnego ranka. Tak to pamiętam — wszedłem w zamgloną plamę i wyszedłem z niej. Niczego nie widziałem ani nie słyszałem...

Wziął lód i przyłożył go sobie do czoła.

— Wezwałem cię, Rom, ponieważ moim zdaniem ona poluje teraz na ciebie. Według mnie, Alison szuka zemsty na wszystkich osobach, które... jej zdaniem... ją skrzywdziły.

— Dzięki za ostrzeżenie.

Steve ponownie ssał lód.

— Jakoś przeżyłem... Może Bóg uznał, że ktoś musi się zaopiekować chłopcami, i dlatego mnie uratował. Ty wszakże... możesz nie mieć tyle szczęścia. — Spojrzał na sierżanta z troską. — Jest jak wściekła bestia. Bądź ostrożny... I nie tylko ty, także Rukmani. Nie chcę mieć więcej ofiar... na sumieniu... Proszę!

Nigdy jeszcze nie był tak potwornie zaniepokojony. Po prostu poklepał go przyjacielsko po ramieniu.

— Zachowam ogromną ostrożność. Nie martw się, nic się nie stanie ani mnie, ani Rukmani.

Jensen westchnął.

— Jestem strasznie zmęczony.

— Prześpij się — powiedział Weinberg. — Porozmawiamy jutro. O szczegółach opowiesz nam, kiedy poczujesz się lepiej.

— Najpierw znajdźcie moją żonę — wyszeptał chory. — Proszę, Rom. Znajdź ją, zanim ona znajdzie ciebie.

Rozdział czterdziesty trzeci

— To projekcja... że Alison uważa się za wilka — oświadczył porucznik. — Osobiście uważam, że Steve szuka jakiegokolwiek usprawiedliwienia dla zabójczego amoku swojej żony.

— Szefie, sądzę, że ona naprawdę oszalała.

— Może, ale nie wszyscy szaleńcy są od razu kanibalami. — Weinberg pił wodę z butelki. — Nie paradują w wilczych kostiumach i nie jedzą zwłok... O ile można polegać na wspomnieniach Steve'a.

— Wiesz co, szefie? Rukmani mówiła mi, że od początku istnienia rasy ludzkiej zdarzali się odszczepieńcy, którzy uważali się za zwierzęta... Znasz legendy o wilkołakach?

— Och, zatem teraz doszedłeś do wniosku, że Alison jest nie tylko wilkiem, ale też i wilkołakiem? Że wychodzi z domu przy pełni księżyca i morduje dziwki... szczególnie te, które przypadkiem są kochankami jej męża... — Porucznik wyglądał na zde gustowanego. — Kazała Steve'owi ściągnąć do motelu Gretchen. Nie mów mi, że nie dokonała zbrodni z premedytacją.

Poe nerwowo zastukał palcami w kierownicę samochodu.

— W gruncie rzeczy, szefie... — Odchrząknął. — Steve miał romans zarówno z Gretchen Wiler, jak i z... Brittany Newel.

— Co takiego?! — Porucznik rozkaszał się. — Skąd to wiesz? Jesteś pewien?

— Tak.

— Kiedy się dowiedziałeś?

„Czas zwierzeń”, pomyślał sierżant.

— Hmm... Wiedziałem od samego początku... To znaczy, mam na myśli... — dodał szybko.

— Poe... — warknął Weinberg.

— Steve powiedział mi, że spędził z Brittany tylko jedną noc. A ponieważ przeleciał połowę dziwek z tego miasta, nie skojarzyłem...

— Nie skojarzyłeś?!

— Wiem, że powinienem był ci...

— Tak, z pewnością i natychmiast powinienieś — odburknął przełożony. — Rozmyślnie zataiłeś przede mną istotne informacje, Poe. Z jakiego powodu? Można wiedzieć, z jakiego cholernego powodu?!

— Nie chciałem stawiać Jensena w trudnym położeniu.

Porucznik klepnął się w czoło.

— No tak, przecież ty jesteś nieobliczalny i kompletnie nieodpowiedzialny! Właściwie powinienem ci odebrać tę sprawę. Jesteś za bardzo... zaangażowany emocjonalnie!

— Szefie, ja...

— Zamknij się! Nie mam ochoty z tobą gadać!

Przez dziesięć minut jechali w milczeniu. Przerwał je w końcu Weinberg:

— O czym rozmawiałeś z lekarzem Steve'a?

— Pytałem jedynie o jego stan.

— Przestań mi wciskać kity i odpowiedz na proste, pieprzone pytanie!

Poe polizał wargi.

— Chciałem wiedzieć, czy sfotografował ugryzienia na jego szyi.

— Dlaczego?

Sierżant grał na zwłokę.

— Chciałem je pokazać Rukmani.

— Kontynuuj, Poe!

— Chciałem się upewnić, czy rzeczywiście ugryzła go Alison.

— Czyli że wątpisz w opowieść Jensena?

— Szefie, nie wątpię, że ktoś zaatakował Steve'a. Sam się jednak przyznał, że przez większość czasu znajdował się pod wpływem narkotyków. Może coś przeoczył. Mogła go ugryźć Gretchen w szale miłosnym... — Przerwał. — Staram się tylko wypełnić luki.

Porucznik rozmyślał, popijając wodę.

— I co? Lekarz miał zdjęcie ugryzienia?

— Tak, nawet kilka. Mam fotkę w plecaku.

— Tak po prostu ci ją dał?

- Zrobił całą serię zdjęć. Jedno mniej nie robiło mu różnicy.
- Powiedz mi... Jensena chyba o nic nie podejrzewasz, co? Policjant potrząsnął głową.
- W tej chwili nie.
- Ciągle nie potrafisz sobie wyobrazić — zauważył Weinberg — w jaki sposób Alison sobie sama poradziła. Zabiła Gretchen i zaciągnęła ją na poddasze. Później wpakowała Steve'a do bagażnika... — Przetarł oczy. — Nawet jeżeli brała sterydy. Nawet jeśli uwierzyła, że jest damską wersją Herkulesa. Ta sprawa jest nielogiczna. Musiał jej ktoś pomagać.
- Możliwe — odparł ostrożnie sierżant.
- Widzę, że nie bardzo się znasz na kobietach. Nic dziwnego, że nigdy się nie ożeniłeś. — Porucznik zmienił kąt nawiewu klimatyzacji, oddalając podmuch od swojej twarzy. — Oświeć mnie zatem, jak zdołała sama zawlec Gretchen na poddasze.
- Alison mierzy około metra siedemdziesiąt, metra siedemdziesiąt dwa. Jeśli brała sterydy...
- Okej — przerwał mu Weinberg. — Uznajmy, że mogła podnieść Gretchen. Przyjmijmy, że mogła... Ale, jak u diabła, udało jej się włożyć ciało Jensena do bagażnika.
- Dźwignia.
- Co takiego? — spytał szef z powątpiewaniem.
- Z dużą dawką adrenaliny w żyłach, a także przy użyciu... taczki i rampy można tego dokonać.
- Zostawiła auto w środku pustkowia. W jaki więc sposób odjechała z tawką i rampą. Gdyby je tam zostawiła, znaleźlibyśmy je. Gdzie taczka? Gdzie rampa? Twoja koncepcja wydaje ci się sensowna?
- Właściwie, niespecjalnie.
- Nie wiesz czasem, czy miała kochanka?
- Nie wiem.
- Taka przystojna kobieta jak Alison... nawet jeśli jest stuknięta... potrafi przyciągnąć mężczyzn.
- Na pewno.

— Może zatem namówiła kogoś, by pomógł jej w dokonaniu morderstw.

— Niewykluczone.

— Chcę, żebyś wraz z Patriciaą wypytał jej sąsiadów — polecił. — Dowiedzcie się, kto odwiedzał Jensenów.

Sierżant westchnął.

— Okej.

— Dlaczego wdychasz niczym zakochana gęś? W czym problem, stary?

— Nie ma problemu. Pogadam z sąsiadami.

— Wiem, że masz ochotę jej szukać. Zapomnij o tym, Poe! Gdy chodzi o Alison, nie wierzę w twój rozsądek. Zacznie do ciebie słodko przemawiać i namówi cię do czegoś głupiego. — Porucznik zamilkł na moment. — Nie wiem, kiedy znowu zacznę ci ufać... Nie powiedziałaś mi o związku Steve'a z Brittany Newel, a później sponiewierałaś Honey Kramer. Mógłbym podejrzewać także ciebie.

— Masz do tego prawo.

— Może jad węża uszkodził ci mózg. Może przyczyną twojego dziwnego zachowania jest stres... spowodowany chorobą matki. Niezależnie od powodów, zostawmy poszukiwanie Alison chłopcom z autostrady. Twoim zadaniem będzie poskładanie opowieści Steve'a w logiczną całość.

— Zrobię, co w mojej mocy.

Zadzwoił telefon komórkowy Poego.

— Tak? — spytał.

— Boże! Wreszcie! — Kobięcy głos. — Byłeś poza zasięgiem chyba przez kilka godzin.

— Patricia?

— Musisz natychmiast wracać.

— Właśnie jedziemy. Co się stało?

— Jestem przed mieszkaniem Honey Kramer. A raczej przed ruiną, która pozostała z budynku. Jakies dziesięć minut temu był w nim wybuch.

— Niech to diabli!

— O co chodzi? — spytał porucznik.

Poe oddał mu słuchawkę.

— Mówi Weinberg. Co się dzieje?

— Budynek, w którym mieszka Honey Kramer, eksplodował przed mniej więcej dziesięcioma minutami.

Porucznik przeklął pod nosem.

— Gdzie jesteś, Deluca?

— Tuż przed jej domem. — Pauza. — Widziałam to, szefie. Akurat obserwowałam miejsce... a później rozległ się głośny huk... i budynek po prostu... eksplodował.

— Co się teraz dzieje?

— Straż pożarna przybyła błyskawicznie. Podobnie ambulanse. Zadzwoiłam po ekipę z Wydziału Podpaleń...

— Dobra myśl...

— Rany, szefie, w życiu nie byłam świadkiem niczego straszniejszego!

— Będziemy tam za pół godziny — stwierdził porucznik. — Powiedz mi, moja droga... — Pauza. — Czy Honey była w środku?

— Szefie, widziałam, jak wchodziła do budynku... Właśnie dlatego obserwowałam.

— Istnieje szansa, że przeżyła?

— Nie sądzę.

Z mieszkania buchały ciemne pióropusze dymu, lecz policjantka nie dostrzegła już nigdzie płomieni. Strażacy zaprzestali polewania, lecz pół tuzina ciągle wyrąbywało sobie toporkami drogę przez poczerniałe zgliszcza. Strażackie węże leżały skręcone na ziemi niczym śpiące kobry. Przyjechało kilka ambulansów, by odtransportować ofiary do szpitali. Ludzie z Wydziału Podpaleń przystąpili do rutynowych czynności. Deluca poczuła, że od unoszącej się w powietrzu zawiesiny wody i popiołu dusi ją w gardle. Zastanawiała się, po co tu stoi, gdy wreszcie w pobliże pogorzeliiska wjechała zakurzona honda Poego. Dziewczyna odetchnęła z ulgą. Gdy porucznik wysiadł z samochodu, natychmiast przejął dowodzenie.

Patricia wycofała się na przeciwny chodnik i z daleka obserwowała piekło. Ramiona założyła na piersi, twarz miała pokrytą sadzą. Poe podszedł do niej i stanął obok. Palił papierosa. Wspólnie obserwowali błyskające światłami ambulanse, które pospiesznie i na sygnale odjeżdżały ulicą. Nie odzywali się, ale oboje usiłowali zapamiętać jak najwięcej z tego, co widzą. W końcu policjantka spytała o stan Jensena.

— Wrócił do świata żywych — odparł sierżant. — Zdziwiałe!

— Co panu powiedział?

— Że jego żona zamordowała Gretchen Wiler. Jego użyła jako przynęty, dzięki której zwabiła dziewczynę do motelu. Gretchen przyjechała, ponieważ sądziła, że Steve ma ochotę na trójkąt. Zabawili się we troje. Steve się upił i stracił przytomność. Kiedy się obudził, znalazł się w zalanym krwią pokoju, Alison zaś uctowała nad trupem jego kochanki...

Patricia skrzywiła się.

— Jensen niczego nie pamięta w związku ze zbrodnią?

— Tak twierdzi.

Zamyśliła się.

— Sądzi pan, że coś ukrywa?

— Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

— Sądzi pan... — Przerwała. — Sądzi pan, że Jensen jest zamieszany w to ostatnie morderstwo?

— Kiedy go znaleźliśmy, był o krok od śmierci. Jestem skłonny uwierzyć zarówno w jego opowieść, jak i w jego niewinność.

— Ma pan jakąś teorię... Dlaczego ona to zrobiła?

— Mam tylko jedną teorię. Alison jest po prostu szalona.

— Chyba nie aż tak bardzo — odparła Patricia. — Przecież celowo ściągnęła Gretchen do motelu.

Poe skinął głową. Wpatrywał się ponuro w poczerniały budynek.

— Ten wybuch to moja wina... — Głęboko zaciągnął się papierosem. — Powinienem był... skoro ludzie przeze mnie giną...

— Nikt nie zginął — przerwała mu policjantka. — Nawet Honey Kramer przeżyła.

— Żartujesz?!

— Jest w dość kiepskim stanie, lecz żyje. — Dziewczyna zagapiła się na własne stopy. — Przyznam, że się zdziwiłam. Rany, taka eksplozja! — Sapnęła ciężko. — Podobno miała niebotyczne szczęście... Prawdziwy fuks, że obserwowałam jej dom i natychmiast zadzwoniłam po strażaków. Szef straży mówił, że jeszcze kilka minut i płomień mogły osiągnąć centralnego systemu grzewczego, a wtedy cały budynek zapaliłby się jak pochodnia.

— Więc Honey żyje?

— Tak, choć jest poparzona. — Po przerwie dorzuciła: — Strasznie poparzona.

Sierżant oblizwał wargi.

— Tak czy owak, to przeze mnie. Powinienem był rozegrać całą sprawę lepiej.

Policjantka rzuciła mu ostre spojrzenie.

— Ach, więc to pan wysadził ten dom w powietrze, szefie?

— Doskonale wiesz, co mam na myśli.

— Hmm... Uważałam dotąd, że tylko kobiety mają skłonności do irracjonalnego poczucia winy.

— A inne ofiary? Jaki jest ich stan?

— Nie znam szczegółów, sierżancie. Jednak, tak jak mówiłam, strażacy i ambulanse przyjechali w okamgnieniu.

Poe zaciągnął się po raz ostatni.

— Cóż, mogłem się domyślić, że dziewczyna pobiegnie prosto do Lewistona... i że mu się na mnie poskarży. Powie, że ją napastowałem. Łatwo było przewidzieć, jak facet zareaguje. — Zdeptał niedopałek z przesadną energią. — Teraz za późno na próżne rozważania. Zawaliłem i tyle.

— Szefie, nawet gdyby się pan nie wmieszał, Lewiston prawdopodobnie i tak starałby się pozbyć Honey. Przecież śledztwo się posuwało... i zbliżyliśmy się do niego. Sam pan wie, co się przydarzyło A. A. Williamsowi. Pamiętaj pan, że ktoś manipulował przy jego furgonetce.

Sierżant musiał jej przyznać rację. Spojrzał jej czujnie w oczy.

— Honey była przytomna, gdy ją zabierali?

— Nie wiem. Zawieźli ją do University Medical Center.

— Niech pilnują jej pokoju przez całą dobę. — Zobaczył, że Weinberg oddała się od tłumy funkcjonariuszy i kiwa na nich.

— Niech to!

— Niestety — skonstatowała policjantka. — Porucznik ma nam najwyraźniej coś do powiedzenia.

„Prawdopodobnie zamierza mnie odsunąć”, pomyślał Poe.

Przełożony podszedł do nich, bezskutecznie strzepując z ubrania mokry popiół; udało mu się jedynie pomazać spodnie szarymi smugami.

— Jak dotąd, nikt nie umarł — obwieścił poważnym tonem.

— Nawet Honey Kramer żyje.

— Patricia mi mówiła. Cóż za ulga...

— Moja droga, zostań na miejscu i pogadaj z ludźmi z Wydziału Podpaleń. Postaraj się czegoś dowiedzieć. Zadzwoń też po naszą fotografkę. Niebawem przyjedzie. Dopilnuj, żeby pstryknęła, co trzeba. — Odwrócił się do sierżanta. — Zabrali Honey na oddział oparzeń do University Medical Center. Jedziemy.

— Ja? — spytał policjant.

— Tak, ty.

— Szefie, kazałeś mi się trzymać z dala...

— To było przedtem. A teraz jest teraz. — Weinberg zakaszłał. — Gdy dziewczynę ładowali do ambulansu, ciągle wykrzykiwała twoje imię. Nie wiem, czy prosiła o ciebie, czy przeklinała dzień, w którym się urodziłaś. Pojedziemy i sprawdzimy.

Rozdział czterdziesty czwarty

Trudno było uwierzyć, że pod stosem bandażu ktoś żyje i oddycha. Honey miała ramiona i piersi ściśle zawinięte, nogi prawdopodobnie także (Poe nie był pewny, ponieważ były przykryte lekką pościelą).

Jej głowę również spowijała gaza. Uwolnienie od tych wszystkich bandaży potrwa niechybnie długo i będzie bolesne...

Sierżant obserwował niespokojnie drzemającą dziewczynę i zastanawiał się, dlaczego ktoś zarządził, że on, Poe, ma spędzić swoje trzydzieste szóste lato w szpitalach. Popatrzył na poowijane oblicze Honey. Jej oczy poruszały się nerwowo pod jaskrawo-czerwonymi powiekami. Usta miała sinawe i pokryte czymś lepkiem, skórę — nad ustami — czerwoną i pokrytą pęcherzami.

Minęła godzina, zanim usłyszał jakiegokolwiek odgłosy życia rannej — ciche i słabe jęki, które w innych okolicznościach można by zinterpretować jako erotyczne; teraz jednak oznaczały niemal niemożliwy do zniesienia ból. Powieki Honey zatrzepotały, podniosły się, potem opadły. Sierżant zaczął się obawiać, że dziewczyna ponownie zapadnie w sen, jednak z wysiłkiem otworzyła oczy. Na jego widok rozszerzyły się, potem powoli poruszyły i skupiły na twarzy porucznika. Weinberg skinął głową i zerknął na Poego, który włączył przypięty do piersi dyktafon.

— Jeśli wolisz, odejdę — szepnęła policjant.

— Nie — odparła szeptem callgirl.

— Ktoś mi powiedział — stwierdził łagodnie sierżant — że o mnie pytałaś. Mrugnij raz, jeśli to prawda.

— Nie muszę mrugać. — Przy każdym wyrazie oddychała z dużym trudem. — Mogę... mówić.

Słowa wydobywały się stłumione, lecz Poe je rozumiał.

— Chcesz więcej leków przeciwbólowych?

Skinęła głową.

— Tyle że... jestem po nich nieprzytomna. Lepiej poczekam, aż...

— Włączyłem dyktafon, Honey. Zgadzasz się?

— Tak... dobrze. — Długa pauza. — Chcę złożyć zeznanie.

Policjant myślał tak szybko, jak chyba nigdy dotąd.

— Na temat sprawy, o której rozmawialiśmy?

Skinęła głową.

— Tak.

Zakaszłał w pięść.

— W porządku. Masz coś przeciwko, że ktoś jeszcze cię wysłucha? Świadkowie? Aby nikt mi nie zarzucił, że wszystko sobie wymyśliłem?

— Jestem zmęczona. Teraz... albo nigdy.

— Muszę ci przeczytać, jakie masz prawa.

— Szybko.

Miała łzy w oczach. Gdy sierżant odczytał jej prawa, na chwilę zapadło nieprzyjemne milczenie. Przerwała je Honey:

— On to zrobił — mruknęła w końcu. — Parker Lewiston. Zabił tę dziewczynę... z różowymi włosami... Sarę Yarlborough. — Zawahała się. — Widziałam... widziałam, jak ją zamordował.

Zagapiła się na zaskoczonego Poego. Jej oczy były już suche.

— Parker... pieprzył ją, a potem powiedział, że pokaże jej najwyższą... rozkosz. Biedna mała sądziła, że facet ma na myśli narkotyki.

Oddychała z coraz większym trudem, jej cichy głos przypominał szelest.

— Kiedy zaczął... szczytować... udusił ją. Nie wiem, czy od początku chciał ją zabić... ale... skutek był właśnie taki.

Trzy głębokie wdechy, później stęknienie sugerujące straszliwą udrękę.

— Kiedy przestała oddychać — podjęła — nie zdziwił się. Ani nie... przejął. Sięgnął do kieszeni... wyjął nóż... i podciął jej gardło. Żeby wyglądało... żeby wyglądało jak...

Poe przestał rozumieć, co dziewczyna mówi.

— Podciął jej gardło, żeby to wyglądało jak co, Honey?

— Jak tamta wcześniejsza śmierć. Żeby wyglądała jak tamta druga... jak tamta na zdjęciu, które mi pokazywałeś...

— Jak Brittany Newel?

— Tak. — Oddychała z trudem. — Tak, Brittany Newel.

— A więc Parker Lewiston udusił Sarę Yarlborough. Aby zamaskować zabójstwo, podciął jej gardło.

— Tak.

— Policja miała zatem pomyśleć, że Sarę Yarlborough i Brittaney Newel zamordował ten sam zabójca.

Potwierdziła z wielkim wysiłkiem.

— Gdzie ją zabił?

— W swoim biurze... W Laredo. — Odwróciła wzrok. — Zmęczyłam się. Załatw mi teraz prochy.

— Natychmiast. — Weinberg zadzwonił po pielęgniarkę. — Wspaniale się pani spisała, panno Kramer. Naprawdę.

Honey nie odpowiedziała. Wszedł lekarz, sprawdził odczyty i zadysonował podanie odpowiedniego środka. Po kilku minutach lek zaczął działać i dziewczyna zaczęła odpływać w niespokojny sen. Z zamkniętymi oczami wymamrotała:

— Teraz... mogę... w końcu... zasnąć.

Weinberg dokończył kanapkę z *pastrami* i wrzucił serwetkę na tylne siedzenie hondy Poego.

— Jedź wreszcie umyć to auto. Wygląda paskudnie. Zapłacę. Sierżant wyjechał ze szpitalnego kompleksu parkingowego.

— Co robimy dalej?

— Dobre pytanie — odparował porucznik. — Zeznanie Honey wygląda bardziej na spowiedź niż na prawdziwe przyznanie się do winy.

— Przecież wyraźnie oświadczyła — zauważył policjant — że zrobił to Parkerboy! Powiedziała, że była świadkiem popełnionego przez niego morderstwa. Opowiedziała, w jaki sposób zabił tę małą. I gdzie ją zabił. A ja mam świadka, który potwierdzi, że widział Honey i Sarę w noc morderstwa. Były razem. Sądzę, że to wystarczy.

— Nie dla ławy przysięgłych.

— Zgoda — przyznał Poe. — Ale może wystarczy, by sędzia wydał nakaz rewizji biura Lewistona w Laredo.

— I cóż znajdziemy w jego biurze? Może nóż?

— Raczej tylko w przypadku boskiej ingerencji. Ale właściwie... chodzi mi o próbkę trawy.

— Trawy?

— Całe biuro Lewistona w Laredo jest wyłożone darnią... do golfa...

— Ach, tak, ta próbka znaleziona pod paznokciami Yarlborough. Trawa dziwnego typu... — Weinberg zastanawiał się przez moment.

— Okej. Prawdopodobnie mamy dość, aby zdobyć nakaz.

— Na początek.

— Pamiętaj, że adwokaci będą podważać jej zeznanie na wszelkie możliwe sposoby. Powiedzą, że zarejestrowaliśmy je, gdy dziewczyna była pod wpływem silnych leków, że zostało wygłoszone pod przymusem, że nagrywaliśmy bez obecności jej prawnika... Nie ma mowy, na pewno nie zdołamy go wykorzystać, póki Honey Kramer nie wydobreje. Szczególnie, że wniosła na ciebie skargę trzy dni temu... Prawne orły Lewistona oskarżą cię, że ją zmusiłeś, napadną na ciebie jak...

— Poddam się testowi na wykrywaczu kłamstw.

— Nie warto. Ta sprawa i tak nie stanie przed sądem.

— Okej, zdobądźmy więc najpierw nakaz na biuro Parkerboya. Jeśli źdźbła trawy będą się zgadzać z próbką, spróbujemy wnieść sprawę do sądu. Pospieszmy się. Musimy zdążyć, zanim Lewiston się dowie, że dziewczyna nadal oddycha.

— Skontaktuję się z sędzią. Gdzie kaseeta z nagraniem?

— W moim plecaku.

Porucznik pomacał za sobą, podniósł plecak z podłogi przed tylnym siedzeniem i zaczął przeszukiwać jego zawartość.

— Trudno ją było zrozumieć na żywo. Na taśmie głos będzie jeszcze bardziej słumiony.

— Można wychwycić słowa, jeśli się wystarczająco intensywnie wsłuchać. — Poe rozmyślał przez moment. — Jeśli się zgodzisz, szefie, możemy dać kasetę do laboratorium i wyczyścić dźwięk...

— Lepiej nie kombinujmy — przerwał mu przełożony. — Zwłaszcza że czas nas goni. Póki nie zajdzie potrzeba, nie będziemy niczego zmieniać.

— Zgadzam się.

Weinberg wyjął z plecaka magnetofon i wsunął go do aktówki.

— Wracaj do biura i popracuj z Delucą nad eksplozją. Wyślę Baylora i Herroda, niech przeszukają biuro Lewistona...

— Co takiego? — wrzasnął sierżant. — Szeffie, nie możesz mnie teraz wyłączyć ze sprawy! To moje śledztwo! Od samego początku go podejrzewałem!

— No właśnie... A ja potrzebuję ludzi, którzy podejną do problemu w sposób beznamiętny i profesjonalny. Te dwa przymiotniki z pewnością nie mają zastosowania, jeśli chodzi o twój stosunek do Parkerboya. Zobaczysz, że Baylor i Herrod świetnie sobie poradzą.

— Och, nie, wyznacz przynajmniej Marine Martina.

— Poważnie?

— Tak, niech on idzie. — Poe uniósł brwi. — Jest uosobieniem beznamiętności... Zresztą, Marine i tak pracuje z Herrodem.

— W porządku. Herrod i Marine Martin. — Porucznik zamachał komórką. — Wysadź mnie przy magistracie. Sam jedź do naszego biura i wprowadź tę parkę w kwestie związane z Lewistonem. — Wystukał numer i czekał. Łypnął spod oka na sierżanta. — Poe?

— Co, szefie?

— Lewiston to naprawdę gruba ryba. Uważaj na swój tyłek.

Przylizane włosy, na grzbiecie brązowy garnitur, biała koszula z krótkimi rękawami i wąski krawat... Marine Martin wyglądał raczej na turystę niż gliniarza. Z drugiej strony jednak, wystarczyło mu spojrzeć w oczy, by natychmiast rozpoznać policjanta. Mężczyzna badawczo przyglądał się tłumom, notował w pamięci wejścia i wyjścia, obserwował ruch w Laredo. Był gotów do akcji, w kieszeni jego płaszcza zaś spoczywał starannie złożony nakaz. Partner detektywa, Kurt Herrod, nosił ciemnoniebieski garnitur i pomarszczoną białą koszulę. Był mniej więcej tego samego wzrostu i w tym samym wieku, co Marine. I — tak jak Marine — miał mglistoniebieskie oczy oraz wielką łysinę okoloną siwizną. Różnili się jedynie sylwetką, gdyż

Herrod był znacznie potężniejszy. Razem wyglądali jak klony w dwóch wersjach: przed i po kuracji odchudzającej. Herrod przesunął wzrokiem po kasynie.

— Znasz nazwisko osoby, która zawiezie nas do biura Lewistona?

— Jeśli o to kogoś spytamy, stracimy przewagę w postaci elementu zaskoczenia — odparł zwięźle Marine. — Zaczniemy tę misję przez nikogo niezapowiedziani.

— Martin, to nie żadna misja, lecz zwyczajny przydział. — Herrod uderzył się ręką po kieszeni. Na szczęście, Marine przynajmniej nie nazywał go dziadkiem. — To praca...

— Misja, przydział czy praca, słowo nie ma znaczenia. Liczą się rezultaty. — Marine zerknął na zegarek i oznajmił: — Mamy dokładnie dwudziestą pierwszą...

— Tylko nie salutuj.

— Będę gotów wtedy, kiedy ty.

— Jasne, zaczynajmy.

Po tej wymianie zdań Marine pomaszerował do informacji. Wepchnął się na początek kolejki, położył odznakę na blacie i przesunął ją ku recepcjonistce. Dziewczyna liczyła niewiele ponad dwadzieścia lat — urodziwa blondynka z jasnozielonymi oczami była niemal idealnym piękną. Podniosła odznakę i studiowała ją, podczas gdy Marine mówił:

— Detektywi Martin Donaldson i Kurt Herrod z miejskiej policji Las Vegas. Wydział Zabójstw. Musimy się natychmiast zobaczyć z panem Parkerem Lewistonem. — Wyciągnął rękę.

— Mogę prosić o zwrot odznaki?

Recepcjonistka wręczyła mu z powrotem odznakę. Dziewczyna wydawała się wyraźnie zmieszana sytuacją. Wtedy z pomocą przyszedł jej Herrod.

— Jeśli łaska, proszę zadzwonić po kierownika piętra. — Odsunął Marine'a kilka metrów. Gdy upewnił się, że tłum ich nie usłyszy, szepnął: — Martin, musimy się trzymać procedury.

— Procedura zrukuje moment zaskoczenia...

— Takie tutaj panują zasady. Nie możesz po prostu zamachać dłonią i oczekiwać, że Morze Czerwone rozstąpi się przed tobą.

— Jeśli Morze Czerwone się przede mną nie rozstąpi, wtedy je przepłyniemy. — Oczy Marine'a zwięzły się do szparek. — Ta mała gdzieś dzwoni.

— Przecież prosiłem ją, by wezwała przełożonego.

Marine wrócił do recepcji i przyjął pozycję wartownika, która dała mu pewności. W kilka minut później pojawił się szef piętra — barczysty i bardzo muskularny, o mięsistej twarzy. Wyciągnął rękę i odsunął obu policjantów na bok: z dała od kolejki i graczy. Zachowywał się poważnie i profesjonalnie.

— Bobby Guard. Co mogę dla panów zrobić?

Herrod pokazał odznakę.

— Przyszliśmy się zobaczyć z panem Lewistonem.

Kierownik rzucił okiem na odznakę, po czym ruszył przed siebie, kiwając im, by za nim podążyli. Przeprowadził ich przez kasyno, wypełnione błyskającymi światłami, kakofonicznymi piskami automatów, cichym szelestem tasowanych kart oraz głośnymi owacjami, które rozlegały się tu i ówdzie przy stolikach do kości. W końcu znaleźli się na tyłach kasyna, przy kasie. Mężczyzna zatrzymał się przed bocznymi drzwiami, które zlewały się w jedno ze ścianą. Były zamknięte na klucz, a obok nich widniało światełko alarmu. Guard wystukał kod i otworzył drzwi. We trzech przemierzyli labirynt korytarzy, aż w końcu weszli do klimatyzowanego apartamentu — szczelnie zamkniętego salonu, wyposażonego w szereg skórzanych kanap i cztery krzesła z wysokimi oparciami ustawione wokół stolika pokerowego. W pomieszczeniu znajdował się również barek, miniaturowy stolik do gry w kości i kilka „jednoręcznych bandytów”. Po lewej stronie na przymocowanym do podłogi biurku stały ekrany telewizyjne monitorujące kasyno. Kierownik usiadł na kanapce, im zaś zaproponował krzesła. Jednak Herrod wybrał również kanapę, a Marine wolał stać.

— Drinka, panowie?

— Nie, dziękujemy, panie Guard — odparł Herrod. — Przyszliśmy porozmawiać z panem Lewistonem. Im szybciej, tym lepiej.

— Pana Lewistona nie ma. — Kierownik nalał sobie centymetr szkockiej whisky marki Glenmorangie. — Gdyby panowie zadzwonili wcześniej...

— Człowieku! — przerwał mu Marine. — Pański szef nie musi być obecny przy naszej akcji. — Wyciągnął z kieszeni zwitek. — Mamy podpisany i opieczętowany nakaz rewizji jego biura tu, w Laredo. Jesteśmy zatem upoważnieni do przeszukania i zajęcia wszystkiego, co znajduje się na piętrze dwudziestym szóstym. Ponieważ, z tego co wiem, całe piętro stanowi prywatne biuro pana Lewistona...

— O czym panowie mówicie?!

— Goni nas czas, drogi panie. Docenimy, jeśli zaprowadzi pan nas tam natychmiast...

— Proszę mi to pokazać!

Marine wręczył mu nakaz.

— Może pan sobie czytać do woli. Tyle że...na nas czeka robota.

— A skąd mam wiedzieć, że ten nakaz jest prawomocny?

— Niech pan go przy okazji zabierze do swego prawnika — odciął się Herrod — jeśli pan ma ochotę. Stan na teraz jest taki, że nakaz jest legalny, my zaś nie musimy czekać na pańskie pozwolenie. Niech nas pan skieruje, gdzie trzeba, a zejdziemy panu z oczu.

— Będziecie musieli na tym poprzestać. — Guard sęczył spokojnie drinka, rozparty wygodnie na miękkiej kanapie. — Nawet gdybym chciał, nie mógłbym panom pomóc. Nie mam odpowiednich kompetencji... Jesteście pewni, że niczego się nie napijecie...?

— Drogi panie, gra pan na zwłokę — oświadczył Marine. — I zaczynam się wkurzać, a to dobrze nie wróży!

— Nie gram na zwłokę, detektywie — odparł spokojnie kierownik. — Widzi pan, pracuję tutaj. I moim zadaniem jest ochrona mienia pana Lewistona, zarówno jego kasyna, jak i prywatnego biura...

— Pan ma swoją pracę, my swoją! — Marine spojrział na zegarek.
— Wchodzimy?

— Słyszał pan, co powiedziałem — odparł Guard. — Powtarzam, że nawet gdybym chciał, nie potrafię panom pomóc. Biuro pana Lewiston znajduje się w prywatnym, zamkniętym skrzydle. Jest zabezpieczone alarmem i nie mam klucza. Hmm... Teraz odprowadzę panów do wyjścia. Mój szef zawsze utrzymywał doskonale stosunki z departamentem policji. Spytajcie swojego kapitana, na pewno potwierdzi...

— Nalegam — wtrącił zimno Marine — żeby pan się lepiej postarał. Albo pan coś zrobi, albo ja.

— Detektywie, muszę w tym celu wykonać kilka telefonów. To może trochę potrwać. Może zatem pochodzicie sobie po kasynie, a ja was zawiadomię, kiedy...

— Żarty sobie stroisz, człowieku? — warknął Marine.

Kierownik uśmiechnął się.

— Detektywie, chwilowo tylko tyle mogę dla was zrobić. Skorzystajcie z mojej pomocy lub nie. Wasz wybór.

— Rozważyłem pańską propozycję i mam ją w dupie. Najwyraźniej nie jest pan właściwą osobą do tej roboty. Poszukam kogoś innego. — Marine odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia.

Guard gwałtownie podskoczył, aż whisky opryskała mu koszulę.

— Hej! Dokąd pan idzie?

Marine był już w drzwiach.

— Zamierzam poszukać kogoś, kto dysponuje tu jakąś władzą...

— Niech pan poczeka minutkę! — Kierownik chwycił go za ramię.
— Nie może pan tak po prostu...

— Zabieraj łapy!

— Jeśli chce pan mojej pomocy, musi pan poczekać tylko jedną cholerną minutę...

W sekundę później Guard leżał na plecach, a Marine przyciskał go do podłogi. Szklanka wypadła kierownikowi z ręki, uderzyła o wykładzinę, podskoczyła, potoczyła się kilka metrów i uderzyła w nóżkę

kanapy. Herrod zapatrzył się z podziwem na staroświecką szklanę. Dobry, mocny kryształ! Zapewne bardzo drogi...

Martin obrzucił leżącego mężczyznę wściekłym spojrzeniem i oznajmił uroczyście:

— Następnym razem, gdy mnie tkniesz, choćby palcem, aresztuję cię za napaść na policjanta. A teraz prowadź nas do biura Lewistona, człowieku! Spróbuj tylko jakichś sztuczek, a pokażę ci dobry stary styl amerykańskich komandosów!

Do biura wpadło dwóch ochroniarzy.

— Stójcie! — wrzasnął Guard. — Zostawcie ich!

Ochroniarze zatrzymali się w pół kroku. Marine podał kierownikowi dłoń, po czym szarpnął go w górę, do pozycji pionowej.

— Pańska ochrona ma nieco spóźniony refleks. Gdybym naprawdę stanowił zagrożenie, niewiele by z pana zostało.

Para mięśniaków popatrzyła z furią najpierw na niego, potem na Herroda, który posłał im złośliwy uśmieszek. Guard łypał spod oka na swoich goryli.

— Wynocha stąd! — krzyknął.

Dwaj olbrzymi popatrzyli tępo po sobie, po czym wyszli.

— Jadę na dwudzieste szóste piętro. Z panem lub bez...

— Nie rozumie pan po angielsku, detektywie?! — Rozgniewany, lecz i podłamany Guard zrobił głęboki wdech. — Naprawdę nie mam klucza do prywatnej windy mojego szefa... ani do jego biura, ani do jego skrzydła...

— To niedopuszczalne! — zakomunikował Marine. — Znajdę sposób na wykonanie swojego zadania.

— Detektywie Donaldson — tłumaczył kierownik spiętym ze zdenerwowania głosem — nie zdoła się pan dostać do biura Lewistona, chyba że wsiądzie pan do właściwej windy, do której potrzebny jest klucz...

— Ale niewątpliwie macie tu gdzieś schody przeciwpożarowe, nieprawdaż?

— Jestem pewien, że tak, są jednak prawdopodobnie dobrze ukryte i zamknięte.

- Znajdź je pan dla mnie.
- Poszukiwania także zabiorą czas.

Marine poczuł na policzkach rumieniec wściekłości.

— Nie zostawia mi pan wyboru. Jak podejrzewam, biuro pana Lewistona posiada okna?

- No cóż, tak, ale...
- W takim razie zdołam się dostać do środka, panie Guard.
- Tam są okna panoramiczne, detektywie. Nie da się ich rozbić.

Marine zacisnął pięści i napiął bicepsy.

— Ależ da się. Groźba paru drobnych skaleczeń nie odstraszy starego wojaka, mój drogi. — Podniósł słuchawkę i poprosił o natychmiastowe połączenie z departamentem straży pożarnej.

— Pomogą mi znaleźć schody przeciwpożarowe. Jeśli nie, ich sprzęt wystarczy, by mnie podnieść na dwudzieste szóste piętro. A tam uruchomimy armatki ciśnieniowe i trach, po szybach.

Guardowi żołądek podskoczył niemal do gardła.

- Chyba pan żartuje.
- Nigdy nie żartuję!

Kierownik od razu mu uwierzył.

— Detektywie — odparł — jeśli zacznie pan rozbijać okna, będę musiał pana powstrzymać!

— Bardzo proszę. — Chwilę milczał, po czym odezwał się do telefonu: — Dobry wieczór, mówi detektyw Martin Donaldson z miejskiej policji Las Vegas. Potrzebuję natychmiast wóz strażacki z drabiną i pół tuzina najlepszych ludzi.

- Kurwa, nie wierzę...

Teraz Herrod zagrał swoją rolę.

— Tak drastyczne rozwiązanie problemu będzie niewygodne dla nas wszystkich, panie Guard. Wyobraża pan sobie to wycie wozu strażackiego przed kasynem? Może nawet wywołać panikę...

Kierownik złapał za telefon. Najwyraźniej uznał, że ma do czynienia z szaleńcem.

- Gdybyście panowie poczekali jedną cholerną minutę...

— Nie musi pan zaraz przeklinać — upomniął go Marine, w słuchawkę zaś rzucił: — Zaistniały nowe okoliczności. W razie czego, jeszcze zadzwonię. — Rozłączył się i wręczył słuchawkę kierownikowi piętra. — Daję panu pięć minut na załatwienie tej sprawy. Zaczynam odliczać!

Guard potarł czoło. Starał się zachować spokój. Wystukał numer i przeprowadził krótką rozmowę. Następnie wystukał kolejny. I trzeci. W końcu, odwrócił się i stawiał czoła dwóm detektywom.

— Ktoś zjawi się za piętnaście, dwadzieścia minut...

— Znowu pan sobie z nas żartuje! — Martin podniósł nadgarstek na wysokość serca i skupił wzrok na zegarku. — Daję panu siedem minut i ani sekundy dłużej. Jeśli nikt nie przyjdzie w ciągu tego czasu, ponownie zadzwonię po straż pożarną...

— Detektywie, tej kobiety nie ma w kasynie. Musi przyjechać z...

— W całym kasynie nikt nie ma kluczy?! Radzę panu znaleźć kogoś tu, na miejscu... — Marine wpatrywał się w nadgarstek z zegarkiem. — Gotów... Start!

Guard wyglądał na coraz bardziej zdesperowanego.

— Kurwa — odezwał się do Herroda — niech pan przemówi do rozumu swojemu koledze...

— Daj mu osiem minut, Martin — poprosił Herrod.

— W porządku. Osiem minut. Niech pan działa!

— To istne szaleństwo! — oburzył się kierownik. — Panowie są nienormalni...

— Zostało siedem minut i czterdzieści dwie sekundy...

— Powinno się was zamknąć w domu wariatów...

— Siedem minut i trzydzieści siedem sekund... trzydzieści sześć...

— Nie potrzebuję pieprzonego stopera! — Guard wysypał na dłoń tabletki tagamet i maaloksu; połknął je, popijając szkocką z butelki. Potem znowu zaczął dzwonić. Kiedy się rozłączył, Marine oświadczył mu, że ma jeszcze dwie minuty i dwanaście sekund.

Mężczyzna otworzył drzwi.

— Przez zwykły przypadek... znalazłem pewnego człowieka. Chodźcie, spotkamy się z nim przy windzie.

— Dobra robota, panie Guard. Wiedziałem, że się panu uda. — Marine podszedł do wyjścia. — Pan prowadzi, w końcu jest pan tu gospodarzem.

Kierownik zrobił nieszczęśliwą minę i nerwowo wbił prawą pięść w lewą dłoń. Ruszył niechętnie przed siebie. Znalazł się między młotem a kowadłem. Wiedział, że jeśli pozwoli tym dwóm tępakom wejść do biura Lewistona, straci posadę. Co gorsza, Lewiston nigdy mu nie wybaczy, a już na pewno mu tego nie zapomni.

Ale jaki miał wybór? Dopuszczać, by strażacka armatka rozbiła jego szefowi okna i niczym w przedziurawionym samolocie wysłała połowę wyposażenia biura?

Co robić?

Właściwie... raczej, co może zrobić?

A jeśli ten sukinsyn blefuje?

Co wtedy?

Kto lepiej znał się na blefach od Guarda, który widział miliony blefujących graczy, usiłujących przechytryć krupierów i innych zawodowców? Kierownik piętra bacznie wpatrywał się Marine'owi w twarz, gdy szli w stronę rzędu lustrzanych wind. Twarz policjanta nie wyrażała niczego z wyjątkiem woli i determinacji; miał też w oczach coś szalonego.

Blefował czy nie, dupek miał minę zaprawionego w bojach pokrzysty.

Rozdział czterdziesty piąty

Stan Honey pogorszył się z poważnego w krytyczny. Chociaż Poe już nie obwiniał się o spowodowanie wybuchu, i tak miał wyrzuty sumienia. Podczas przeczesywania gruzów w mieszkaniu dziewczyny

ludzie z Wydziału Podpaleń znaleźli ślady podłożonej bomby, jednak żadne dowody nie wskazywały na Lewistona. Poe wiedział, że śledztwo zajmie kilka miesięcy. Aby potwierdzić rzeczywistą przyczynę eksplozji, trzeba będzie dokonać metodycznej analizy popiołów, sadzy i gruzów.

A jednak żywił minimalną nadzieję na to, że uda mu się przywoździć Lewistona. Ubiegłej nocy Marine Martin dostarczył parę woreczków trawy z biura właściciela kasyna Laredo. Obecnie żdźbła badano w specjalistycznym laboratorium w Reno. Marine — choć generalnie dziwak — tym razem wykonał świetną robotę.

Sierżant nie miał żadnych informacji o Alison, czuł wszak, że kobieta jest gdzieś niedaleko. Jego długoletnia przyjaciółka, jego cierpiąca przyjaciółka, kochanka sprzed lat, a może nawet siostra przyrodnia...

Wiele godzin spędził na bardzo intensywnej pracy i teraz cieszył się perspektywą odpoczynku. Uruchoił hondę i popędził do swego ukochanego domu pośrodku pustki. Matkę wysłał na przedkolacyjną drzemkę, sam zaś włożył strój sportowy i wyszedł pobiegać. Podczas joggingu czuł, jak jego naprężone długotrwałym stresem mięśnie powoli się rozluźniają; ociekał potem. Słońce kierowało się ku horyzontowi, złocąc pustynię łagodnymi, późnopołudniowymi promieniami. Wokół panował spokój, zakłócany jedynie chrzęstem podszew butów policjanta na spieczonej powierzchni. Powietrze było klarowne. Jedynie spod butów Poego wznosił się i wirował nad ziemią kurz. W górze krążył jastrząb, którego wydłużony, ruchliwy cień przemieszczał się w ślad za biegaczem.

Ostatni odcinek z wyznaczonych ośmiu kilometrów sierżant przemierzył szybkim, równomiernym marszem zajęło mu to piętnaście minut. Oddychał ciężko i był cały mokry. Wytarł twarz koszulą. Czuł, że skórę ma zarumienioną i pulsującą od gorąca. Pokręcił szyją, przeciągając równocześnie ramiona; dawno niećwiczone stawy aż głośno zgrzytnęły. W oddali dostrzegł ciemnoniebieskiego lincolna town car zaparkowanego przed swoim domem. Ozdobne chromowane

elementy karoserii odbijały się w słońcu. Zaalarmowany Poe zwolnił krok i zbliżał się czujnie. W chwilę później zobaczył dwóch facetów w hawajskich koszulach, plażowych spodniach i sandałach. Kręcili się wokół domu. Mierzyli po metr osiemdziesiąt, może nieco więcej. Obaj byli zwalisci, mieli okrągłe, tępe twarze złane z szycjami, umięśnione ramiona i wielkie dłonie.

Zapewne ochroniarze.

Jakie miał z nimi szanse? Ubrany w gimnastyczne szorty, podkoszulek i buty do biegania na gumowych podszewkach. Nie wziął broni. Równie dobrze mógł być nagi! Zesztywnieli na jego widok, po czym wyprostowali się na baczność niczym na wojskowym apelu. Byli ogorzali, mieli ciemne oczy i lekki zarost. Jeden miał na sobie koszulę w odcieniu niebieskim — z falami i deskami surfingowymi, drugi — z licznymi ukulele, motywami liści i Hawajkami w bikini na czerwonym tle.

Sierżant zatrzymał się cztery, pięć metrów przed nimi. Przetarł dłonią mokrą twarz.

— Mogę w czymś panom pomóc?

Mięśniak w czerwonej koszuli złożył ramiona na piersi, rozstawił szeroko nogi i całym cielskiem zablokował policjantowi drzwi do domu.

— Pan jest sierżant Poe?

— Tak.

Ręka mężczyzny w błękitnej koszuli opadła pod skraj hawajskiego arcydziela. Zapewne palce ochroniarza zacisnęły się na rękojeści rewolweru.

— Jesteśmy z biura pana Lewistona — oświadczył. — Nasz szef chce z panem pogadać.

— Niech pan wsiada do wozu — dodał facet w czerwonej koszuli — a natychmiast pana do niego zawieziemy.

Poe przyjrzał się lincolnowi. Samochód nie posiadał tablic rejestracyjnych. Na przedniej szybie nalepiono wprawdzie tymczasowy numer, lecz z tej odległości Poe i tak nie mógł go odczytać. Zresztą, słońce świeciło jeszcze zbyt intensywnie.

- Teraz chce ze mną porozmawiać?
- Zgadza się, proszę pana. — Mężczyzna w czerwonej koszuli zrobił ku niemu krok.

Policjant cofnął się. Ciągłe przemawiali do niego uprzejmie, lecz jak długo jeszcze? Doskonale wiedział, że jeśli wybierze ucieczkę, pieszo go nie dogonią, samochodem zaś nie przejadą wybranej przez niego trasy. Znał w okolicy mnóstwo zapadlisk i bez trudu mógłby zgubić w górach każdy pościg. Ucieczka nie stanowiła zatem problemu...

Tyle że... ponosił odpowiedzialność za matkę. Pielęgniarka miała przyjechać dopiero około dwudziestej pierwszej i Emma była w domu sama. Policjant miał niemal stuprocentową pewność, że ochroniarze na razie o niej nie wiedzą... Ale... jeśli ucieknie, a tamci wrócą? Jeśli włamią się do domu z zamiarem przeszukania jego rzeczy? Jeśli ją zobaczą? Co wtedy? Może zechcą się mścić? Może zachowają się brutalnie?

Co wtedy? Co wtedy...?

Kiedy wychodził, Emma drzemała na tapczanie. Modlił się, żeby nadal tam spała, znał jednak lekki sen swojej matki. Co gorsza, była ciekawska. Gdy usłyszy głosy, czy nie zechce sprawdzić, co się dzieje na zewnątrz? Nie chciał, aby wyszła z domu i trafiła w sam środek filmu *W samo południe*. Szczególnie że nowy Gary Cooper nie miał przy sobie swojego sześciostrzałowca.

Jak się pozbyć natrętów?

— Boję się, że przysłiście w nieodpowiednim momencie — oznajmił. — Mam napięty harmonogram.

Błękitna Koszula zbliżył się do niego.

— Sierżancie, skończył pan na dziś służbę. Nawet jeśli ma pan jakieś plany na wieczór, jest dopiero osiemnasta. Spotkanie nie potrwa zbyt długo.

Poe powoli się odsunął.

— Naprawdę nie mogę.

— Niech pan nam nie utrudnia, sierżancie — dorzucił Czerwona Koszula.

Zachodzili go z flank, niczym szkolni tyrani w dzieciństwie.

— Nie chcę być dla was utrapieniem, chłopcy... ale powiem to jasno. Spieprzajcie z mojego terenu!

— Teraz robisz się pan niemiły — zauważył ostro Błękitna Koszula.

— Można by nawet powiedzieć, że pan nas prowokujesz.

— Ho, ho! Skąd znasz, człowieku, takie trudne słowa? — Poe zrobił dwa duże kroki w tył. — Jestem pod wrażeniem.

— Odsuwa się pan od nas — mruknął Błękitna Koszula. — Denerwujemy pana, sierżancie?

— Wy, klauni? — Zachichotał. — Oglądaliście sobie ostatnio brzuchy? Jesteście tak grubi, że żaden z was nie zdoła przebiec piętnastu metrów bez upadku. Sugeruję, żebyście się wynieśli, zanim słońce was roztopi!

— Osobiste przytyki w ustach publicznego urzędnika? — warknął Czerwona Koszula. — Brzydko. Ktoś powinien na pana donieść. — Zrobił pauzę. — Albo przynajmniej dać panu lekcję.

— Nie pozostawia nam pan wyboru, sierżancie — dorzucił Błękitna Koszula. — Daj pan spokój. Jeśli będzie pan z nami współpracował, obiecuję, że załatwi pan sprawę przed kolacją.

Policjant stężał z gniewu.

— Słuchajcie, dupki, może i nie zdołam was pokonać. Ale, do jasnej cholery, zapewniam, że wy również nie dostaniecie mnie. Mówiąc w skrócie, przepadliście z kretesem. Powtarzam wam jeszcze raz, kretyni, że na piechotę nigdy mnie nie dogonicie.

Błękitna Koszula wyciągnął swego sojusznika, słynne magnum kaliber .44.

— Świetnie! — zadrwił z niego Poe. — Zastrzel gliniarza, idioto. Wspaniały pomysł, cholera! Widzę, że Parkerboy zatrudnia prawdziwych mądrali.

Ochroniarz miliardera pomachał na niego bronią.

— Włącz do wozu, pedale.

— Za nic, dupku. Będziesz musiał mnie zabić — odburknął sierżant.

Mężczyzna strzelił mu pod stopy.

— Następna kula zamieni cię w panienkę. Wsiadaj do auta, ale już!

Nagle ostry, głośny huk odbił się echem, a nad powierzchnią pustyni uniośł się dym. Gdy opadł, Poe dostrzegł w progu staruszkę.

Swoją matkę, Emmę Oakley.

Trzymała w dłoniach jego śrutówkę. Przeładowała ją z wprawą profesjonalistki, później podniosła do oka i wycelowała w Błękitną Koszulę. Broń ważyła niewiele mniej niż starsza pani.

— Daję wam dziesięć sekund, debile. Jeśli w tym czasie nie znikniecie mi z oczu, zrobię wam trwałe dziury w płucach.

Błękitny i Czerwony popatrzyli po sobie. Emma wystrzeliła kolejny ładunek śrutu, który śmignął niebezpiecznie blisko czaszki Błękitnego.

— Właśnie minęło pięć sekund.

Ochroniarze rzucili się do lincolna. Otworzyli drzwi i wpadli na siedzenia. Matka Poego celowała w samochód. Miała nadzieję, że nie przyszły im do głowy żadne sztuczki i nie przejadą ich obojga samochodem ani nie staranują domu.

Czerwony krzyknął, zanim zamknął drzwi:

— Na twoim miejscu, kolego, miałbym oko na swoją małą hinduską przyjaciółkę.

— Wynocha stąd, pieprzone chamy! — Emma nacisnęła spust i wystrzeliła kolejny ładunek. Choć trafiła w ziemię, część śrutu musnęła tylną oponę lincolna od strony pasażera.

W tym momencie siedzący za kierownicą ochroniarz w błękitnej koszuli ruszył. Matka Poego obserwowała odjazd samochodu, wreszcie opuściła broń. Wściekle drżała jej dolna szczęka.

Sierżant zauważył, że trzęsą mu się ręce, więc wsunął palce za pasek sportowych szortów.

— Dobry strzał, mamo.

— Tej umiejętności nigdy się nie zapomina. — Wytarła czoło. — Nie czułam się tak wspaniale od lat. — Po chwili dodała: — Szkoda,

że tak jak tamtych dwóch... nie mogę postraszyć potworów, które pożerają moje ciało od środka.

Była to wyraźna aluzja do białaczki. Emma tak doskonale sobie poradziła, że Poe niemal zapomniał o jej chorobie.

— Chyba rzeczywiście śmiertelnie przeraziłaś te potwory, mamó, ponieważ twoja kuracja przebiega wspaniale. — Podszedł do niej, odebrał jej strzelbę i pocałował kobietę w policzek. — Dzięki, uratowałaś mi życie.

— Ach! — Odprawiła go machnięciem. — Po prostu na moment zmieniłam się w prawdziwą matkę-kwokę.

Objął ją ramieniem i zaprowadził do domu.

— Jestem twoim dłużnikiem.

— Ech, nic mi nie jesteś dłużny. — Zawahała się. — Ale przypuszczam, że możemy nasze zwycięstwo oblać piwem.

— A może zamiast piwa podam ci bezalkoholową Krwawą Mary?

Podniósł komórkę i wystukał numer Rukmani. Czekając, aż lekarka odbierze, otworzył puszkę soku pomidorowego i dodał do niego odrobinę sosu tabasco.

Niestety, odezwała się automatyczna sekretarka. Sierżant zaczął błagalnie przemawiać do ustrojstwa, żywiąc nadzieję — choć niewielką — że lekarka jednak jest w domu:

— Ruki, to ja. Podnieś słuchawkę. Proszę, podnieś ją. Mam trudną sytuację... — Rozgoryczony, rozłączył się i wystukał numer do biura Rukmani.

Emma sączyła pikantny sok pomidorowy z puszki.

— Martwisz się o nią?

Policjant stukał stopą. Telefon w biurze dzwonił i dzwonił.

— Chciałbym usłyszeć jej głos.

— Ci faceci tylko grozili, Romulusie.

— Tak, ale grozili magnum .44. — Znowu się rozłączył. — Do diabła, gdzie ona jest?

— Może wyszła na wieczorny spacer?

— Dlaczego ludzie zawsze dzwonią do nas akurat wtedy, kiedy

nie mamy ochoty z nimi rozmawiać? I dlaczego nigdy ich nie ma, gdy są potrzebni?! — Tym razem policjant wystukał numer centrali budynku, gdzie mieściła się kostnica. — Błagam, niech ktoś się odezwie!

W końcu odebrał starszy mężczyzna, który sapał, jakby brakowało mu tchu. Sierżant przedstawił się.

— Może mi pan powiedzieć, czy doktor Rukmani Kalii jest gdzieś w budynku? Telefon w jej biurze nie odpowiada.

— Rukmani Kalii? — powtórzył drżący głos.

— Tak. — Policjant starał się zachować spokój. — To patolog. Z pochodzenia Hinduska...

— Och, tak, tak. Jasne. Bardzo miła pani.

— Rzeczywiście, miła. Mam nagły przypadek i muszę z nią natychmiast rozmawiać.

— Och, takie to pilne?

— Tak, bardzo pilne!

— Proszę poczekać. Pójdę się rozejrzeć.

Poe usłyszał dźwięk odkładanej na stół słuchawki. Nagły dotyk matczynej ręki przestraszył go. Emma poklepała go po ramieniu.

— Jestem pewna, że nic jej nie będzie, Romulusie.

— Też to sobie powtarzam.

— Wypijmy po piwku w tym czasie...

— Nie będzie piwa, mamó.

— Jedno piwko. Uspokoi cię.

— Dziękuję za troskę, ale nie.

Jego matka zacisnęła wargi.

Po pięciu boleśnie długich minutach rozległ się odgłos podnoszonej słuchawki.

— Halo? — Ten sam starszawy głos.

— Tak, pytałem o doktor Kalii.

— Wiem, wiem. Nie ma jej tutaj...

— Cholera!

— Słucham?

— Nic... nic. Dziękuję, że się pan fatygował. — Sierżant rozłączył

się i zaczął nerwowo strzelać palcami. W końcu zadzwonił do Patricii. Gdy odebrała, mruknął: — Nie mogę uwierzyć, że jesteś.

— O co chodzi?

— Dwie rzeczy. Po pierwsze, właśnie ostrzelało mnie dwóch goryli Lewistona...

— Żartuje pan!

— Chciałbym.

— Ochroniarze krezusa strzelają do gliniarza? Parkerboy nie jest chyba tak głupi.

— Oczywiście, że nie jest głupi. Gdy go oficjalnie spytamy, wyprze się, że ich wysłał, lub oświadczy, że przysłał ich dla mojej wygody, a oni sami postanowili posłużyć się bronią. Tak czy owak, tych dwóch maniaków jeździ ciemnoniebieskim lincolnem town car bez tablic rejestracyjnych. Zdołałem jedynie zauważyć, że samochód pochodzi z Desert Rose Lincoln.

— Natychmiast spróbuję ich zlokalizować...

— Nie — przerwał jej — mam dla ciebie inny przydział. Chciałbym, żebyś jak najszybciej zjawiała się w moim domu. Zanim goryle odjechali, jeden z nich rzucił groźbę pod adresem Rukmani. Próbowałem się do niej dodzwonić, lecz nie ma jej ani w domu, ani w biurze. Zamierzam jej poszukać, ale ktoś musi posiedzieć tutaj z moją matką. Ktoś, kto... nie zawaha się odstrzelić im łbów, gdyby wrócili...

— Potrafię sama o siebie zadbać — zawołała Emma.

— Mogę poszukać doktor Kalii — zauważyła Patricia.

— Nie, sam to zrobię...

— Niby co? — spytała Emma.

— Mamo, nie mogę prowadzić dwóch rozmów równocześnie.

— Sądziłam, że zwracasz się do mnie...

— Sierzancie?

— Tak, tak, jestem — odparł Poe. — Sam poszukam Rukmani. Z grubsza znam listę miejsc, w których często bywa, chociaż trudno by mi było podać ich adresy. Proszę, posiedź z moją matką.

— Będę u pana za dziesięć minut. Co z lincolnem?
— Zadzwoń w tej sprawie, gdzie trzeba. — Policjant zakończył rozmowę, potem wystukał numer drogówki i podał dane. Następnie zatelefonował do Marine Martina i poinformował go o ostatnich zdarzeniach.

— Rozejrzę się — odparł tamten. — Z którego kierunku jadą?

— Skierowali się na wschód. Prawdopodobnie wracają do Lady Slipper albo może do Laredo. Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, gdzie są, póki nie znajdą się blisko mojego domu bądź mieszkania doktor Kalii.

— Będę miał oczy szeroko otwarte, sierzancie.

— Doskonale. — Poe odczekał chwilę. — Słyszałem, że świetnie się spisałeś podczas rewizji, detektywie. Byle tak dalej.

— Dziękuję, sierzancie. Rozłączam się.

— Ja również. — Poe wyłączył telefon. W głowie kłębiły mu się tyśiące myśli. Szybko założył podkoszulek, dżinsy i wysokie buty, po czym przypiął kaburę z bronią na biodrach i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. W kilka chwil później zauważył, że matka nadal trzyma w dłoni puszkę. Uśmiechnął się do niej i spytał: — Jak tam bezalkoholowa Krwawa Mary?

Emma skończyła napój i oblizała usta.

— Zbyt pikantna. Prawdopodobnie rozboli mnie żołądek. Rom — stwierdziła w chwilę później — latasz jak kot z pęcherzem. Wyjdź jej poszukać, zanim zrobi się zbyt ciemno. Nic mi nie będzie, aż przyjedzie ta, jak jej tam...

— Detektyw Patricia Deluca. — Sierzant skoczył na równe nogi. — Jesteś pewna, mamó?

— Tak, zupełnie pewna — odparła z przekonaniem. — W tej starej broni ciągle jeszcze zostało parę nabojów. — Skinęła głową ku śrutówce. — Będzie dobrze.

Policjant się jednak wahał.

— Bądź ostrożna, mamó — powiedział w końcu.

Emma zmarszczyła nos.

— I kto to mówi!

Rozdział czterdziesty szósty

Pędził hondą, usiłując odgadnąć ruchy lekarki. Skoro nie było jej w domu ani w pracy... Dokąd mogła pójść o osiemnastej trzydzieści?

Mogła robić pranie, zakupy albo wyszła na kolację.

Lub na jakieś spotkanie.

Podczas ich ostatniej rozmowy nie wspomniała o żadnym spotkaniu ani randce. Poe doskonale wiedział jednak, że Rukmani potrafi być bardzo spontaniczna.

Pierwszym przystankiem sierżanta była samoobsługowa pralnia w okolicy domu przyjaciółki. Zazwyczaj jeździli tam we dwoje — mniej więcej dwa razy na tydzień. Było to wielkie pobielone pomieszczenie z pięćdziesięcioma przemysłowymi pralkami i tuzinem suszarek, w których wirowało kolorowe pranie. Policjant rozejrzał się pobieżnie. Nigdzie nie dostrzegł lekarki. Przez chwilę lustrował twarze wpatrzonych w automaty osób.

Nie zauważył wśród nich Rukmani.

Wszedł do sąsiedniego lokaliku o nazwie Coffee Hut. Ludzie przychodzili tutaj po włączeniu pralek. W kawiarence łatwo można też było poderwać dziewczynę. Poe dostrzegł wokół sporo przedstawicieli pokolenia X. Mężczyźni byli rozczochrani, z dwudniowym zarostem, dziewczęta miały włosy ułożone na żel i kolczyki w różnych dziwnych miejscach. Lekarki tu nie było.

Wrócił do hondy, ruszył, minął kilka przecznic i wjechał na parking Beeny Boy's Coffee Shop. Kafeteria stanowiła ulubione miejsce bezdomnych, którzy mieli ochotę napełnić brzuchy tłustym, gorącym jedzeniem. Serwowano tu mnóstwo kolacyjnych specjałów. Na ulubiony posiłek sierżanta składała się zupa z małży oraz kotlet cielecy w sosie grzybowym, z pieczonymi ziemniakami, kwaśną śmietaną i groszkiem; wszystko za jedyne 2.99 dolara. Rukmani nazywała ten lokal „atakami serca na talerzu”.

Poe przyjrzał się towarzystwu przy kontuarach, przy zniszczonych ławach i na podartych czerwonych kanapach. Poprosił nawet jedną

z klientek, by zajrzała do damskiej toalety. Po powrocie kobieta poinformowała go, że obie kabiny są puste. W pewnym momencie policjanta zauważyła jedna ze znanych mu kelnerek — trzydziestokilkuletnia brunetka imieniem Hallie.

— Sierżancie, mam dla pana miejsce.

Pomachał jej.

— Ach, witaj, Hallie. — Uśmiechnął się nerwowo. — Była tu może dzisiaj doktor Kalii?

Kelnerka potrząsnęła głową.

— Nie widziałam jej.

— Jeśli przyjdzie, przekaż, żeby do mnie zadzwoniła, dobrze? To bardzo ważne.

— Jasne, od razu jej powiem — odparła dziewczyna. — Wszystko w porządku?

— Hmm... Mogłoby być lepiej.

— Kawa przed wyjściem?

— Och, nie, dziękuję. — Zastanowił się. — Może wrócę za jakąś godzinę.

— Zatrzymam dla pana stolik.

Uśmiechnął się. Hallie lubiła policjantów, bo dawali duże napiwki. Wyszedł, wsiadł do hondy i pospieszenie pojechał do następnej kafeterii. Znowu na próżno. Nagle zadzwoniła jego komórka.

„Proszę, niech to będzie Rukmani”, pomyślał.

Niestety, jego prośba nie została wysłuchana.

— Przeżyłam. — Patricia zrobiła pauzę. — Ledwie.

— O co chodzi? — zatroskał się. — Nic ci nie jest?

— Może potrafi pan — odparła szeptem — namówić swoją mamę, żeby oddała mi broń.

— O Chryste! Co się stało?

— Na szczęście nic! Po prostu wycelowała we mnie strzelbę...

— Boże, tak mi przykro!

— Przeraziłam ją. Nie obwiniam jej, ale...

— Podaj jej słuchawkę.

- Syn chce z panią rozmawiać — powiedziała Patricia do Emmy. Staruszka protestowała, lecz w końcu wzięła telefon.
- I co tam znowu? — rzuciła.
- Wycelowalaś broń w detektyw Delucę?
- Sądziłam, że tamci wracają.
- Mamo, naprawdę świetnie sobie z nimi poradziłaś. A teraz bardzo cię proszę, oddaj mojej policjantce broń.
- Rom...
- Mamo, od tej pory będzie cię chronić profesjonalistka. Błagam, nie spieraj się ze mną. Oddaj jej strzelbę i to już.
- Emma dąsała się.
- Nie krzyczałaś na mnie godzinę temu, kiedy odgoniłam te dwie wszy.
- Mamo, naprawdę wspaniale się spisałaś. Ale teraz się odpręż. Niech detektyw Deluca weźmie sprawy w swoje ręce. Proszę!
- Nie odpowiedziała.
- Mamo...
- Słyszałam, nie jestem głucha! — Przerwa. — No dobrze, niech ci będzie.
- Dzięki, mamo. Porozmawiamy później. Możesz jeszcze na chwilę oddać słuchawkę Patricii?
- Emma mruknęła coś pod nosem, a po chwili na linię wróciła policjantka.
- Bardzo panu dziękuję, sierżancie.
- Czy moja matka dobrze się czuje?
- Jest... pobudzona, najsubtelniej mówiąc.
- Patricio, proszę, bądź ostrożna. Mięśniaki mogą w każdej chwili wrócić. Masz pistolet. Jeśli zajdzie potrzeba, użyj go.
- Będę mieć oczy i uszy otwarte.
- Wkrótce powinna się zjawić pielęgniarka. Doceniłbym jednak, gdybyś poczekała na mój powrót.
- Oczywiście. Znalazł pan doktor Kalii?

- Jeszcze nie. Wybieram się właśnie do jej mieszkania.
- Powodzenia.
- Też na nie liczę.

W pięć minut później Poe otworzył frontowe drzwi mieszkania Rukmani. Wyglądało normalnie. Z pozoru wszystko było tu na swoich miejscach; łóżko starannie zasłane, w zlewie nie stały brudne naczynia. Policjant obrzucił jednakże profesjonalnym okiem pomieszczenia. Z emocji zaczął mu drgać nerw pod okiem.

W ekspresie stał kubek pełen świeżej kawy.

W piecyku grzała się zapiekanka z ziemniaków.

Na stole w jadalni leżała złożona wieczorna gazeta.

Zasłonki były zaciągnięte.

Klimatyzacja — włączona.

Serce w piersi sierżanta zamarło. Najwyraźniej Ruki wyszła tylko na chwilę i zamierzała zaraz wrócić. Więc gdzie, u diabła, przepadła?!

„Nie panikuj, stary, nie panikuj”, powiedział sobie.

Przez głowę przemknęły mu słowa matki: „Może wyszła na wieczorny spacer”.

Tak, logiczne. Był przecież piękny wieczór.

Poe wrócił do samochodu i zaczął krążyć po bocznych uliczkach.

W prawo, w lewo, w górę, w dół.

Wszędzie widział tylko puste chodniki i rzędy martwych budynków z apartamentami, które w mroku wydawały się szare.

„Chodź, chodź. Bądź gdzieś tutaj! Pokaż mi się!”, błagał w myślach przyjaciółkę.

— Cholerni dranie — przeklął pod nosem. — Sukinsyny.

Dupki. Pieprzony Lewiston! Jeśli coś jej się stało, jeśli coś jej się stało...

Jeszcze raz objechał kwartał.

Uprzytomnił sobie, że stracił już do miliardera cierpliwość. Sukinsyn od zbyt długiego czasu tyranizował wszystkich wokół i narzucał swoją wolę... Dość! Jego dni na tej planecie były policzone! Ostatniej nocy nieźle go przygwoździli! Zdobyli garście trawy. Teraz trzeba

było tylko odkryć jej związek z próbką spod paznokci ofiary, skojarzyć jedną niezwykłą trawę z drugą. A jeśli Honey się wyliże, będą mieli naocznego świadka morderstwa, a nie tylko słowne zeznanie... Zresztą, Poe uważał, że poradzi sobie nawet bez Honey, miał przecież taśmę... I Lamara Larue, który widział Yarlborough z Honey.

Wszystko zależało od trawy. Żeby tylko próbki spod paznokci Yarlborough pasowały do trawy w biurze Lewistona! Dziś rano Ruki wysłała je do laboratorium.

„Kochanie, gdzie jesteś, do cholery?”

W głowie łomotało mu, jakby ktoś walił w bębny. Sierżant znowu zastanowił się nad miejscem pobytu lekarki i po raz trzeci objechał jej apartamentowiec.

„Proszę, niech Rukmani się pojawi. Niech mi się ukaże!”

Pragnął zobaczyć jej twarz, usłyszeć jej głos i dotknąć jej delikatnej skóry...

Nagle mignęła mu postać w sukni z lejącego materiału; kobieta skręcała akurat za róg.

„Dziękuję Ci, Boże, dziękuję!”

Kiedy lekarka stała się w pełni widoczna, uznał, że nigdy nie wyglądała równie pięknie. Była taka piękna i tak cudownie żywa!

Zmrużył wilgotne od łez oczy. Nagle zmartwiał...

Ktoś na niego patrzył... Poe poczuł czyjś wzrok na swoim karku. Gwałtownie obrócił głowę w lewo, nikogo jednak nie zobaczył.

Pusto!

Niestety, nie mógł się pozbyć złowrózbnego przeczucia.

„Niech cię szlag, Lewiston”.

Ruki miała na sobie tradycyjne hinduskie sari w kolorze kiwi, ozdobione błyszczącą nicią. Jej włosy — wilgotne i rozpuszczone, prawdopodobnie świeżo umyte — kołysały się, gdy szła. W rękach niosła dwie torby z zakupami. Sierżant podjechał hondą do krawężnika i pospiesznie wysiadł. Odskoczyła w tył, przestraszona, i o mało nie upuściła siatek.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

— Przeraziłeś mnie, Romulusie!

Wziął od niej torby i położył je na tylnym siedzeniu.

— Jesteś niespokojny. Coś się stało?

— Nie. — Oparł się o drzwi samochodu. Niespodziewanie poczuł się beztrojski. — Wszystko w porządku.

Wsunął się na siedzenie kierowcy. Rukmani obeszła hondę, zajęła siedzenie pasażera i zamknęła drzwi.

— O co chodzi?

Otoczył ręką jej kark i złożył na jej wargach długi, mocny pocałunek. Po chwili przerwał i rozejrzał się nerwowo. Nadal miał wrażenie, że ktoś go obserwuje.

— Gdzie byłaś?!

Popatrzyła na niego z troską.

— Wyszłam po zakupy. Chcesz zjeść ze mną kolację?

— Czy ktoś cię śledził?

Zmrużyła oczy.

— Romulusie, co się dzieje?

— Czy ktoś szedł za tobą?

— Rozejrzyj się. Widzisz tu kogoś?

Policjant skorzystał z okazji i zlustrował wzrokiem otoczenie. Później pochylił się i zagapił w przednie okno, desperacko starając się dostrzec jakiegokolwiek oznaki życia. Otoczenie jednak było bezbarwne i opuszczone. Zerknął wyżej. Jedyne samotny jastrząb krążył nad nimi. Wspaniały ptak, jakiego Poe rzadko widywał na przedmieściach. Ptaki drapieżne wołały polować na pustyni, gdzie miały do dyspozycji węże, szczury, króliki i jaszczurki.

Sierżant zatopił głowę w dłoniach, potem szarpnął ją w górę.

— Co to było? Coś słyszałem.

Rukmani wzruszyła ramionami.

— Co słyszałeś?

— Jakby odgłos ciosu... albo strzału. — Potarł głowę. — Raczej strzał... coś w tym rodzaju. — Ponownie przypatrzył się ptakowi. — Może dotarł tu ze Sky King...

— Romulusie, chyba się przepracowujesz i stąd...
— Nie, nie, nic mi nie jest. — Znowu ją pocałował. — Czuję się świetnie!

Lekarka uśmiechnęła się do niego z lekką wyższością.

— Przeanalizujmy fakty. Wyskoczyłeś z samochodu, by mi pomóc donieść do domu dwie torby pełne artykułów spożywczych. Pocałowałeś mnie, jakbyś się z nikim nie kochał od długiego czasu. A przecież z własnego doświadczenia wiem, że się kochałeś.

— Nie zamierzam się z tobą spierać w tej kwestii.

— Ciągłe mnie pytasz, czy ktoś mnie śledzi. — Uśmiechnęła się.

— Myślałeś, że przydarzyło mi się coś złego i teraz bardzo się cieszysz, że mnie widzisz... żywą.

Wyciągnęła palec i ukuła się lekko w pierś.

— Zamierzasz mi to wyjaśnić?

Poe szybko zdał jej relację z wydarzeń, które zaszły w ciągu minionej godziny.

— Boże, to straszne! — zawołała kobieta, po czym dorzuciła: — Mama zachowała się wspaniale.

— Och, skoro o niej wspomniałaś, muszę iść... — Zerknął za siebie, przez ramię. — Przysięgam, że ktoś nas śledzi!

— Nikogo tu nie ma, Romulusie.

Sierżant znowu wyrzwał przez przednie okno. Wokół było pusto. Nic nie przyciągnęło jego spojrzenia. Nawet jastrząb zniknął. Poe westchnął. Najwyraźniej zdenerwowanie i strach wywołały u niego paranoiczne halucynacje.

— Wyczuwam po prostu czyjąś obecność...

— Biorąc pod uwagę twoją opowieść, to normalne. Martwisz się i tyle. — Wzięła w swoje ręce jego dłonie i ucałowała je.

— Jestem bezpieczna i ty również.

Potarł czoło.

— Chyba zaczynam wariować.

— A może powinieneś coś zjeść? To pomaga. — Uśmiechnęła się.

— Jeśli rzeczywiście włamałeś się do mojego mieszkania...

- Nie włamałem się. Miałem klucz.
- ...widziałeś świeżą kawę, a w piecyku *gobhi matar rasedar*...
- Przyszło mi coś innego do głowy...
- Na jedzeniu nie musi się skończyć.

Posłał jej tęskny uśmiezek.

— Wysłałem do mamy Patricię. Poprosiłem, żeby jej popilnowała do mojego powrotu. Pielęgniarka przyjedzie dopiero za godzinę.

Rukmani nie odpowiedziała.

Poe wzruszył ramionami, wyjął komórkę i zadzwonił do domu.

— Czołem, Patricio.

— Znalazł pan doktor Kalii?

— Tak.

— Rzeczywiście, słyszę w pańskim głosie radość. Kiedy pan wraca?

— Posłuchaj. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pomyślałem, że mógłbym skoczyć do biura i przejrzeć efekty rewizji w Laredo. I chciałem omówić z doktor Kalii szczegóły... — Przerwał, przypominając sobie, że komórka może być na podsłuchu. — Hmm, różne szczegóły.

„Różne szczegóły — pomyślała Patricia. — Tak, najlepiej omawia się je w łóżku”.

— Jeżeli masz inne plany, mogę popracować z doktor Kalii później.

— Nie ma problemu, szefie, zostanę.

— Dziękuję, detektyw Deluca. — Przerwał na moment. — Posłuchaj, Patricio. Nie sądzę, żeby wrócili, ale... naprawdę uważaj na siebie, okej? — Po chwili dodał: — Widzisz, ciągle mi się zdaje, że ktoś mnie śledzi. Proszę cię tylko o wyjątkową ostrożność.

— Nic mi się nie stanie, szefie. Poza tym, w razie potrzeby ochroni mnie pani Emma Poe.

— To prawda — odparł sierżant. — Mój tyłek ocalała.

— A od czego są matki!

Policjant roześmiał się.

— Przyjadę za jakiś czas.

Patricia rozłączyła się i schowała telefon do kieszeni.

— Nie wraca, prawda? — spytała Emma.

Takie rozczarowanie w głosie! Matka ocala synowi życie, a ten myśli tylko o zaspokojeniu pożądanego. Policjantka uśmiechnęła się do niej.

— Rzeczywiście, chce omówić z doktor Kalii pewne ważne dowody...

— Omówić dowody? — Emma prychnęła. — To tak się obecnie nazywa seks?

Dziewczyna chciała coś powiedzieć, w końcu tylko bezradnie rozłożyła ręce.

— No cóż, przeżyję i to — stwierdziła starszka. — Przecież miłość matki trwa wiecznie. — Zawahała się. — Nie wiem dlaczego, ale tak wygląda prawda. Może przygotuję coś na kolację?

— Jasne. — Patricia poklepała się po brzuchu. — Uwielbiam jeść.

Emma powoli podeszła do niej. Zatrzymała się przed nią i kościstymi palcami pogładziła jej twarz.

— Chciałabym mieć taką córkę jak ty.

Policjantka była oszołomiona.

— Dziękuję pani.

— Jesteś dumna z tego, jaka jesteś... z tego, kim jesteś.

— Dziękuję pani, ja... rzeczywiście jestem z siebie... dumna.

— I bardzo dobrze. — Starszka powłokła się do maleńkiej kuchni syna. Zapaliła lampę naftową i zaczęła ogrzewać gorącą blachę. — Jest całkiem spokojnie. Może się przejdiesz? Wróć za dwadzieścia minut. Nie uwierzysz, co potrafię zrobić, gdy rozpalę ogień.

— Po tym, co słyszałam na pani temat, nic mnie już nie zdziwi. Uwierzę we wszystko!

Emma uśmiechnęła się.

— Idź, dziewczyno, idź.

Patricia zachichotała i wyszła. Przeszła kilka kroków. Usiłowała się skupić. Miała sporo do przemyślenia: Alison grasowała na wolności, Steve wracał do zdrowia, Gretchen leżała w kostnicy, Honey — w szpitalu, Lewiston wysłał goryli na sierżanta... Groził, i Poemu, i Rukmani. A przecież to ona, Patricia zdobyła informacje na temat znajomości Yarlborough z Lewistonem. Może była następna w kolejce do odstrzału?

I jeszcze ten Nate! Zastanawiała się, czy ich związek nie rozwija się zbyt szybko.

„O niczym nie myśl, Patty. Tylko ciesz się świeżym powietrzem”.

Świeżym, gorącym powietrzem.

Wytarła czoło. Uprzytomniła sobie, że szła chyba znacznie szybciej, niż sądziła, dom sierżanta bowiem wydawał jej się teraz mniej więcej o połowę mniejszy. Przez cały dzień słońce prażyło pustynię i obecnie gorąco wznosiło się coraz wyżej. Policjantka czuła przez podszewy żar piasku. Za około pół godziny będzie tu cudownie — cicho i ciemno, ciepło i spokojnie.

Popatrzyła na ciemniejące niebo. Zapłonęły już pierwsze gwiazdy, księżyc wschodził nad horyzontem. Nigdzie nie dostrzegła śladów cywilizacji, toteż nic jej nie zakłócało w kontemplacji przyrody. Tylko jastrząb krążył na niebie. Wielka samica, piękna i zwinna, o potężnym zasięgu skrzydeł... chyba ponad metr osiemdziesiąt. Nagle ptak opadł ku Patricii, jakby uznał, że policjantka wtargnęła na jego prywatne terytorium.

Jastrząb opadł, po czym wzniósł się, wykonując idealny łuk. Schwytał wiatr i poszybował dalej. Duże ptaki zwykle polowały o tej porze dnia. Widoczność była jeszcze wystarczająca, ofiary drapieżników natomiast wychodziły z jam po przespaniu gorącego dnia.

Ptak krążył teraz niżej nad głową Patricii. Zastanowiła ją jego wielkość. Był naprawdę duży! Więcej niż duży. Był ogromny! Zauważyła szpony stworzenia, poczuła powiew, który wyzwalający jego skrzydła. Jastrząb rysował się na tle księżyca jak zakapturzony wampir.

Bez ostrzeżenia ruszył w dół. Gdy ponownie poderwał się ku niebu, policjantka dostrzegła w ptasim dziobie wijącego się bezradnie pustynnego szczura. Jastrząb połknął swą zdobycz w powietrzu, po czym wzbił się i ponownie zaczął krążyć. Jedno kłapnięcie dziobem i po szczurze nie został żaden ślad. Wszystko zdarzyło się w kilka minut.

Dziewczyna stała niczym zahipnotyzowana. Odnosiła wrażenie, że ptak popisuje się przed nią zarówno umiejętnością latania, jak i przerażającym talentem myśliwskim.

Teraz znajdował się bezpośrednio nad Patricia. Przez moment policjantkę ogarnął osobliwy paraliż, poczuła się wobec olbrzymiego łowcy bezradna i mała. Skarciła się jednak w myślach. Przecież była człowiekiem! Cóż mógł jej uczynić ptak... nawet tak duży, tak wielki ptak... Co mógł jej zrobić?

Tym niemniej jej ciałem wstrząsnął dreszcz niezrozumiałego lęku. I wtedy jastrząb znowu opadł ku ziemi.

Rozdział czterdziesty siódmy

Gdy Poe zapadł w błogą drzemkę, akurat zadzwoniła jego komórka. Zbyt wyczerpany, by się poruszyć, wymamrotał:

— Pewnie pomyłka.

Rukmani sięgnęła do nocnego stolika ponad jego na wpół uśpionym ciałem.

— Telefon sierżanta Poego. Mówi doktor Kalii.

— Tu Emma.

Lekarka usiadła prosto i nerwowo podciągnęła pościel, bezwiednie przykrywając sobie łono.

— Emmo, czy coś się stało?

Imię matki przyciągnęło uwagę policjanta. Chwyił słuchawkę i wetknął sobie pod brodę. Równocześnie zaczął wkładać spodnie.

— Co się dzieje? Wszystko w porządku?

— Patricia zniknęła.

Zdenerwował się, a w milisekundę później zaczęło mu łomotać serce.

— Jak to zniknęła?! — zawołał. — Dokąd poszła?

— Nie wiem. Wysłałam ją na króciutki spacer i zabrałam się za przygotowanie kolacji. Kiedy skończyłam, wysłałam na zewnątrz i zawołałam ją. Nie odpowiedziała. Wołałam i wołałam. A potem zauważyłam, że zniknął jej samochód...

— Mamo, zostań w domu...

— Czy Emmie coś się stało? — spytała Rukmani.

Poe potrząsnął przecząco głową.

— Nie, ale Deluca zniknęła. — Matce oznajmił: — Wysłałam radiowóz. Policja dotrze do ciebie prędzej niż ja...

— Przyjedziesz?

— Oczywiście. — Włożył podkoszulek i poprosił lekarkę, aby wystukała 911. — Powiedz, żeby wysłali radiowóz do mojego domu. Na syrenie i na światłach. Potrzebujesz wskazówek?

— Znam trasę do twojego domu.

— Zadzwoń też do mojej centrali i dowiedz się, czy Deluca nie dostała jakiegoś nagłego przydziału. Nie sądzę, sprawdźmy jednak... na wszelki wypadek. Nie chcę wyjść na idiotę. Mamo — spytał do słuchawki — gdzie jest strzelba, której użyłaś przeciwko tym dwóm pajacom?

— Mam ją przy sobie.

— Wiesz, gdzie trzymam naboje?

— Tak.

— Doskonale. Tylko nie strzelaj do policjantów, gdy zastukają do drzwi. Mam jeszcze jedno pytanie. Zastanów się dobrze, zanim odpowiesz. Czy detektyw Deluca wzięła ze sobą na spacer torebkę?

— Nie jestem pewna... — Zapadła krótka chwila ciszy. — Na pewno zostawiła swój telefon. Dzwonię z niego. Poczekaj, poszukam torebki, bo tutaj nigdzie jej nie widzę.

— Poszukaj jej mamo, poczekam.

Rukmani ubrała spodnie.

— Radiowóz jest w drodze — oświadczyła.

— Gdy zadzwonisz do mojej centrali, poproś recepcjonistkę o połączenie z porucznikiem Michaeliem Weinbergiem. Wyjaśnij, że to nagła sytuacja...

— Nie mogę znaleźć jej torebki, Romulusie — zawołała Emma. — Gdy się zastanowię, zdaje mi się, że zabrała ją ze sobą.

Poemu dziwnie ulżyło. Skoro Patricia zabrała torebkę, miała przy sobie broń.

— Pomyśl, mamó... Widziałaś może coś dziwnego? A może coś słyszałaś?

— Nie, Romulusie, miałam włączone radio. Nie było nastawione głośno, ale nie zwracałam na nic innego uwagi. Przykro mi...

— Nie rób sobie wyrzutów, w niczym nie zawiniłaś. Już wychodzę. Jeśli się pospieszysz, dojadę do ciebie za jakieś dziesięć minut.

— Nie spiesz się. Nie warto pędzić na łeb, na szyję. Zresztą, jeśli się znajdę w prawdziwym niebezpieczeństwie, wystrzelę ze śrutówki. Pamiętaj, że naboje podróżują znacznie szybciej od ludzi.

Sierżant szarpnął kierownicą w prawo, skręcając, aby uniknąć czołowego zderzenia. Opony przeraźliwie zapisały, ale honda nie wpała w poślizg, choć chyba tylko cudem.

— Może ja poprowadzę... — zaferowała się Rukmani.

— Trzeba było pojechać prosto do domu. Ale nie! Musiałem się pieprzyć, podczas gdy moja matka była w niebezpieczeństwie...

— Nie zrobiłaś nic złego...

— Powinienem być pojechać prosto do domu, natychmiast, gdy cię odnalazłem! — odburknął Poe. — Jeśli coś się stało Patricii...

— Romulusie, to policjantka... zna swój fach tak samo jak ty. — Lekarka splotła palce. — Wzięła torebkę, miała więc ze sobą broń i na

pewno wiedziała, co się dzieje. Opowiedziałeś jej całą historię. Jeśli przydarzyło jej się coś... złego, jestem przekonana, że było to nieuniknione.

— Znam ten teren lepiej od niej. I szybko biegam...

— Nie sposób prześcignąć kuli.

Nad głową usłyszeli rytmiczny warkot śmigła policyjnego helikoptera kierującego się ku zachodniemu krańcowi górskiego pierścienia. Teren Poego! Skoro porucznik uruchomił powietrzną kawalerię, sytuacja nie wyglądała najlepiej!

Patty jeździła kasztanowym Saturnem. Ktokolwiek siedział za kółkiem, nie mógłby zjechać z drogi, ponieważ tego typu auto na pewno natychmiast utknęłoby w jednym z licznych pustynnych zapadlisk — naturalnych min polowych tego nierównego terenu. Czyli... jeśli jej samochód poruszał się, albo znajdował się na szosie, albo kierował się z powrotem ku miastu (a do tej pory nie mijali żadnych aut w kolorze kasztanowym), albo sunął wzdłuż rozległej pustyni Nevada. W każdym przypadku powinien być widoczny nawet w nocy, w jasnym reflektorze.

O ile kierowca wybrał którąś z głównych dróg! Kłopot w tym, że okolicę przecinały dziesiątki maleńkich górskich drózek. Były niebezpieczne — niebrukowane i często pełne bruzd — lecz doświadczony mieszkaniec Las Vegas wiele z nich mógł uznać za idealną trasę ucieczki.

— Romulusie — Rukmani przerwała jego rozważania — dlaczego Lewiston miałby porwać policjantkę. Przecież w ten sposób wystawiałby się wam na cel... Nie, to nie ma sensu.

— Taaa, a nasyłanie na mnie goryli ma twoim zdaniem sens? Jest logiczne?

— Oczywiście, że nie. — Lekarka usiadła po turecku na siedzeniu, położyła ręce na kolanach, wzięła głęboki wdech, po czym powoli wypuściła powietrze, wykonując ćwiczenie oddechowe jogina. Poe uznał, że jego towarzyszka jest naprawdę zaniepokojona i myśl ta zdenerwowała go jeszcze bardziej.

— Możesz mi zapalić papierosa? — spytał kobietę. — Paczkę mam w schowku na rękawiczki.

Wypuściła powietrze i otworzyła oczy.

— Jasne. — Zapaliła papierosa i wetknęła mu go do ust.

Sierżant zaciągnął się, chwycił papierosa między dwa palce i wyjął z ust.

— Moja matka powiedziała, że zniknął samochód Deluki, nie jednak nie wspomniała o innym aucie. Jeśli zmusili Patricię do jazdy własnym samochodem, w jaki sposób sami dotarli pod mój dom?

Rukmani wyjęła komórkę policjanta i wystukała numer. Poe zaciągnął się jeszcze raz i zgasił papierosa. Lekarka połączyła się z jego matką.

— Nikt się jeszcze nie zjawił, ale słyszę syrenę... — rozległ się głos Emmy.

— Mamo, czy widziałaś inny samochód? — spytał Poe.

— Co takiego?

— Jeśli ktoś porwał detektyw Delucę jej własnym autem, musiał jakoś podjechać do naszego domu. Czy przed domem stoi jakiś samochód?

— Nie, Romulusie, nie ma tu żadnego auta — odparła. — O, nadzieżdza policja — dodała.

— Tylko do nikogo nie strzelaj, mamó! Zadzwoń za chwilę.

— Nie ma innego pojazdu? — spytała Rukmani.

— Nie — odparł sierżant. — Albo gdzieś się zaczęli... choć nie mam pojęcia gdzie, bo teren jest płaski jak talerz i zupełnie pozbawiony kryjówek... albo ktoś podrzucił tam ochroniarzy... albo przyjechali we dwóch i jeden odjechał z Patricią jej saturnem.

Lekarka wzruszyła ramionami.

— Jeśli to robota Lewistona, nie zaplanował jej zbyt starannie. Uważałam go za bystrzejszego.

— Wiesz, jaki jest Lewiston? To cwaniak i bufon przekonany o własnej nietykalności. Uniknął oskarżenia za morderstwo dwadzieścia pięć lat temu...

— Kogo zabił?

— Lindę Hennick — odparł policjant. — Y jest przekonany, że

miliarder ją zabił i zapłacił komuś za zatuszowanie tej zbrodni.

— Zastanowił się. — Ja również nie uważam porwania policjantki za zręczne posunięcie. Najwyraźniej facetowi się zdaje, że wszystko mu ujdzie płazem. Przecież jego ludzie naprawdę do mnie strzelali!

— Tak, to nie było mądre...

— Lewiston najwyraźniej sądzi, że prawo się go nie ima. I nie sposób mu nie przyznać racji... Ponieważ nikt nie chce zadzierać z bogaczem, który odprowadza tak wielkie podatki do miejskiej kasy. Nikt mu nie powie złego słowa, gdyż facet ma dość pieniędzy, by latami toczyć proces o zniesławienie. A jednak nie jest całkowicie bezkarny. Udało nam się przecież załatwić nakaz rewizji...

— I było to naprawdę świetne posunięcie.

— Mick Weinberg umie pociągnąć za odpowiednie sznurki.

— Poe zabębnił w kierownicę. — Ale mieszkamy na Dzikim Zachodzie. Lokalna władza rzuciła Lewistonowi wyzwanie i teraz nasz krezus dąży do ostatecznej rozgrywki.

Nad nimi przemknął kolejny policyjny helikopter. Kierował się ku domowi sierżanta. Jego reflektor przesunął się nad ziemią niczym spadająca gwiazda.

— Na jakiej podstawie Y sądzi, że Lewiston zamordował Lindę Hennick? — spytała Rukmani.

— Nie wiem. Hmm... zwierzył mi się jednak, że byli kochankami.

— Kto? Y i Linda?

— Chodziło mi o Lindę i Lewistona, ale rzeczywiście... Linda była również kochanką Y. Wódz twierdzi nawet, że rzuciła go dla miliarda. A ten później ją zabił. Zgodnie z policyjnym raportem zameldowała się w hotelu sama, po czym popełniła samobójstwo w pokoju... Jej samobójstwo było dość niezwykle, bo okropnie się poraniła... Musiała być rzeczywiście szalona...

— Była niezrównoważona psychicznie, Rom. Znałam pacjentów, którzy tak strasznie pocięli sobie ciało, że umarli z upływu krwi.

— No cóż, aż tak źle nie było, ale jej twarz i brzuch szpecily liczne rany. Miała też podbite oczy, a ten fakt wskazywałby raczej na pobicie... Stary Indianin zazwyczaj we wszystkim wietrzy spisek, choć w tej sprawie faktycznie jest zbyt dużo zagadek.

— Tak, do samobójstwa nie bardzo pasują opisane przez ciebie obrażenia.

Poe zauważył w oddali błyski błękitnych świateł. Zatem mundurowi już dojechali i mama była bezpieczna. Z okien domu padał ostry blask, pochodzący z naftowych lamp i świec. Krążące helikoptery ryczały nad głowami, ich jupitery rozświetlały ciemne, piaszczyste drogi. Rukmani zatkała uszy. Od dziesięciu lat pracowała w ciszy i drażnił ją hałas.

— Dlaczego kręcą się tak blisko twojego domu? — zaciekała się.
— Powinni przecież przeszukiwać górskie drogi.

— Masz rację. — Sierżant podjechał do dwóch radiowozów. Obok stał również samochód pielęgniarstwa. Policjant wysiadł, włączył latarkę i zaczął oświetlać teren. Wyraźnie czegoś szukał.

— Czego tak wypatrujesz? — zapytała lekarka.

— Szukam śladów opon. — Zamachał latarką w stronę radiowozów. — Tamte należą do mundurowych. Zobacz, kończą się dokładnie przy ich autach. Te obok zostawił najwidoczniej samochód pielęgniarstwa.

— A te trzecie twoja honda — dodała.

— Tak, te są moje.

Oświetlił kolejny komplet kolein.

— Te ciągną się od drogi aż tutaj... Są częściowo zatarte, ponieważ przejechał po nich jeden z radiowozów. Można jednak dostrzec, że zakręcają ku drodze. Moim zdaniem zrobił je saturn Patty. Później zrobię gipsowy odlew.

Powoli podszedł do drogi i wrócił, następnie małymi kroczkami okrążył dom, rozświetlając twarde, zbity piach, poszatkowany gdzieś niedługo norami polnych szczurów i kryjówek węży. Pokrywało go też sporo kamieni, wysuszonych traw oraz innej roślinności, nigdzie jednak sierżant nie zauważył śladów opon ani ludzkich stóp, poza

niewyraźnymi odciskami własnych butów.

— Wiem, że jest ciemno, z pewnością jednak nie przejechało tędy żadne obce auto. — Spojrzał na swoją towarzyszkę. — Więc w jaki sposób dostali się tu porywacze?

Emma wyszła na zewnątrz i powitała syna. Poe już miał jej odpowiedzieć, kiedy z domu wyłonili się dwaj mundurowi i pielęgniarka.

Sierżant pokazał im odznakę.

— Dzięki, że przyjechaliście — powiedział. — Mam prośbę. Kiedy będziecie odjeżdżać, starajcie się unikać tamtej strefy. — Zakreślił ręką teren. — Chciałbym zrobić odciski opon, więc ruszajcie ostrożnie, żeby nie wzniecać pyłu...

— Oczywiście. — Policjanci wsiedli do radiowozów i powoli odjechali. Kiedy dotarli do drogi, przyspieszyli. Pielęgniarka stała w miejscu. Miała pod trzydziestkę, szeroką brązową twarz i wielkie ciemne oczy. Była w połowie Latynoską, w połowie — Indianką. Jej imię brzmiało Anya.

— Czy coś mi tu grozi? — spytała.

Odpowiedziała jej Rukmani, zanim Poe zdążył się odezwać:

— Może pani i Emma spędzicie dzisiejszy wieczór w moim mieszkaniu?

— Chętnie. — Pielęgniarka posłała sierżantowi znaczące spojrzenie. — Apartament tej pani jest klimatyzowany.

Matka policjanta wydeła wargi.

— A co z Remusem? Przylatuje dziś wieczór.

— Dziś wieczór? Czyli akurat teraz?

Kobieta wyraźnie się zmieszała.

— Co jest grane, mamó? Dzwoniłaś do niego?

— Tak, Romulusie, dzwoniłam. Poprosiłam, żeby mnie zabrał do domu. Tam podejmę kurację. Tutaj zbyt wiele się dzieje. — Spuściła wzrok. — Poza tym, tęsknię za ciotką Shirley.

Co oznaczało: tęsknię za alkoholem, który po kryjomu daje mi ciotka Shirley. - Nad ich głowami zahuczał kolejny helikopter.

Poe rozmyślał nad ewentualnym miejscem pobytu Patricii, toteż spytał obojętnym tonem:

— O której ląduje samolot Remusa?

— O dwudziestej trzeciej. Twój brat spędzi tu noc. Jutro rano wracamy razem do Reno.

— Mamo, porozmawiamy o tym później. Zaginęła moja policjantka.

Emma pocałowała go w policzek.

— Nie ma o czym rozmawiać. Lecę. — Chwyliła Rukmani za rękę i przytrzymała je w swoich. — Romulusie, jesteś paskudną wszą, a jednak trafiła ci się wspiana kobieta. No dobra, biorę się za coś pożytecznego, czyli za pakowanie.

Anya stała nieruchomo w miejscu.

— Może jej pani pomoże? — zaproponowała lekarka.

— Może. — odburknęła pielęgniarka. — Przecież płacicie mi za opiekę. — Ciężkim krokiem wróciła do domu.

Sierżant wyjął komórkę. Najpierw zadzwonił do laboratorium kryminalnego i polecił technikom, żeby przywieźli materiał potrzebny do wykonania gipsowych odlewów. Następnie połączył się z centralą i poprosił o połączenie z pilotami helikopterów. Poleciał im przeszukać boczne drogi w górach. Wreszcie skontaktował się z porucznikiem Weinbergiem i poinformował go o ostatnich zdarzeniach.

Gdy skończył, oświadczył Rukmani:

— Szef już jakiś czas temu przesłał opis saturna Patty patrolowi z autostrady, a także szeryfom granicznych hrabstw naszego stanu. Do chwili obecnej nikt niczego nie zauważył. Założę się, że wybrali boczne ścieżki i jadą z wyłączonymi światłami. — Wypuścił powietrze i zagapił się na niebo rozświetlone księżycem w pełni. — Wiesz, że Weinberg wraz z kapitanem pojechali osobiście do Laredo? Oczywiście Lewistona nie było. Lata sobie prywatnym samolotem. Zgadnij, komu życzę awarii silnika?

Lekarka spłotła palce.

— Przykro mi, Rom.

— Honey wyleciała w powietrze, jego ochroniarze strzelali do mnie, zniknęła Patricia. A ten sobie gdzieś poleciał. Jakie wygodne alibi! — Potrząsnął głową. — Dobrze, że przynajmniej ty jesteś bezpieczna. Dzięki Bogu! — Znowu oświetlił latarką ziemię. — Jak te gnojki dopadły Patricię?

— Pamiętasz, Romulusie? Poszła się przejść. Może zaskoczyli ją gdzieś dalej. Dwóch facetów wysiadło, trzeci odjechał. Dwa zbiry przystawiły jej pistolety do głowy i zmusiły, żeby wróciła do własnego auta. I we troje nim odjechali.

— Deluca nie pozwoliłaby im podejść tak blisko. Miała przecież broń i na pewno otworzyłaby ogień.

— No cóż, może i otworzyła. Może doszło do strzelaniny.

— Dźwięk bardzo się tutaj niesie. Sądzę, że moja matka nawet przy włączonym radiu usłyszałaby strzały. — Rozpaczliwie usiłował coś wymyślić. — Patricia wiedziała, że do mnie strzelano, a jednak wybrała się na długą wędrowkę i bardzo oddaliła od domu. Dlaczego? Coś mi chyba umknęło...

Przez kilka minut oboje rozmyślali. W końcu Poe postanowił po raz kolejny okrążyć dom. Rukmani podążyła za nim.

— Na pierwszy rzut oka nie widać żadnych dużych plam krwi. Jeśli są gdzieś drobne ślady, nie widać ich w ciemnościach. Bez wątpliwnia jednak nie przeoczylibyśmy kałuży...

Wyjął notes i zaczął robić notatki.

— Skupmy się na tym, co wiemy. Zniknęła Patricia i jej samochód. Najprawdopodobniej miała przy sobie torebkę, w niej broń. Jeżeli zatem ktoś ją zaatakował, musiał się zakraść od tyłu.

I zachowywał się cicho niczym duch. Tyle że dźwięk nieźle się tutaj niesie, a poza tym nigdzie wokół nie można się ukryć, bo teren jest płaski jak tortilla. Więc w jaki sposób ewentualni napastnicy podeszli policjantkę, tak że ich ani nie usłyszała, ani nie zobaczyła?

Wciąż nie przychodziła mu do głowy żadna sensowna odpowiedź, więc dalej głośno myślał:

— Jak to zrobili? Spadli z nieba? — Znowu rozejrzał się po ziemi, szukając na niej wskazówek.

— Emma twierdzi — odezwała się Rukmani — że Patricia wyszła na wieczorny spacer, prawda?

— Zgadza się.

— Wiem, że grunt jest tu twardy, Rom... Może jednak znajdziemy gdzieś odciski butów.

Poe uśmiechnął się szeroko.

— Dobry pomysł, pani doktor!

Zaczął się oddalać od domu, machając latarką nad ubitym piaskiem. Miał nadzieję odnaleźć trop policjantki. Księżyc w pełni wspiął się wyżej na niebo, stanowiąc dodatkowe oświetlenie. Cała okolica rysowała się w czerniach, bielach i szarościach. Sierżant rozglądał się bacznie, niestety niczego nie dostrzegł; na dodatek wysiłek spowodował u niego potężny ból głowy.

Mijały sekundy, potem minuty.

— Mam! — Policjant oświetlił maleńki pagórek wznieconego piasku. — Widzisz? To może być odcisk sportowego buta. — Przeszudiował najbliższą okolicę. — O, tutaj jest kolejny. Chyba znalazłem trop.

Rukmani popatrzyła przez zmrużone oczy na wgniecenie w terenie.

— Czy aby na pewno wiemy, czego szukamy? — stwierdziła z powątpiewaniem.

— Mamy szczęście — stwierdził Poe. — Wiatr nie zwiął ich jeszcze.

Ruszyli powoli za śladami na piasku. Odciski zatrzymały się w odległości mniej więcej stu metrów od domu. Na końcu szlaku znajdował się płytki krater o średnicy około metra osiemdziesiąt; wgłębienie miało niemal ludzki kształt.

— Tu zapewne upadła — oświadczył sierżant. — Upadła bądź została powalona. — Poświecił dokoła. — Nie widzę żadnych innych odcisków. Ani śladów opon czy stóp. Co zatem przegapiłem?

— Mnie pytasz? — odcięła się lekarka.

— Co się z nią stało? Zapadła się pod ziemię? — Przypatrzył się „kraterowi”, ale nie bardzo mógł się skupić. — Gdyby ktoś przy użyciu

broni zmusił Patricię do powrotu w stronę auta, dostrzeglibyśmy inne odciski stóp. Czy mogłem ich nie zauważyć?!

— Nie potrafię ci odpowiedzieć.

— Rany, co tu się dzieje? Mamy niewidzialnego porywacza?

— Pochylił się i zbadał wgłębienie w piasku. Wcisnął pięść w jego środek, oczekując twardej skały. Jednak jego dłoń zapadła się w piasek.

— Trafiłeś na zapadlisko?

Zaczął wściekle kopać, odrzucając piach na bok. Szybko ogarnęła go frustracja, ponieważ piasek stale zapełniał dziurę. Rukmani nachyliła się i pomogła kopać. Poe niecierpliwie, a równocześnie niechętnie wsunął rękę w ziemię aż po ramię. Wbijał ją najgłębiej, jak tylko mógł. W końcu przebił się przez skorupę zaschniętej ziemi.

— Ma prawie osiemdziesiąt centymetrów głębokości.

— Jest szerokie? — spytała lekarka. Policjant ostrożnie przesunął rękę na boki.

— Oceniam jego średnicę na około sześćdziesięciu centymetrów. Jestem cholernie pewny, że nie ma tam ciała.

— Czujesz coś poza piaskiem?

— Tak, są jakieś graty...

— Uważaj na węże.

— Masz rację, to może być legowisko jakiegoś zwierzęcia.

— Wyciągnął dłoń. W palcach trzymał garść piór. Rozrzucił je na ziemi.

Pięknie ubarwione długie pióra z ogona. Z podobnego typu Indianie robili sobie pióropusze. Pióra pochodziły od dużego ptaka. Orła lub jastrzębia...

Poe zbladł.

— O co chodzi? — spytała Rukmani.

Z szoku stracił na chwilę mowę. Przypomniał sobie nagle ogromnego jastrzębia krążącego nad samochodem, w którym siedział z lekarką. Ptak skrzeczał. Jakby chciał zakłócić ich prywatność.

Absurdalne myśli przeleciały sierżantowi przez głowę.

Zaatakowało go zwierzę. Steve'a również. Zwierzę jadło ciało świeżo zabitej Gretchen...

Kobieta ubrana w kostium wilka! Czy aby na pewno był to kostium?!

I te czerwone, żalodne oczy kojota.

Bolesne ukąszenie węża.

Mężczyzna z kucykiem, który dwa razy go prześcignął.

Cała historia wydawała się zbyt niesamowita, aby mogła być prawdziwa. A jednak rozważał ją...

— Romulusie, strasznie pobladłeś! — zawołała jego towarzyszka. — O co chodzi?

— To wcale nie Lewiston! — Poe zaczął chodzić w kółko. — To wcale nie on. To Alison! Steve Jensen ma samochód z napędem na cztery koła... Explorera. — Mówił teraz szybko i z wielkim ożywieniem, robiąc kółko za kółkiem. — Alison porwała Patricię jej własnym samochodem. Jakos jej się to udało.

— Jakim cudem dokonałaby tego bez niczyjej pomocy?

— W ten sam sposób, w jaki wrzuciła ciało Steve'a do bagażnika — mruknęła bełkotliwie. — Zniosła Patty do saturna i odjechała z nią do kryjówki, gdzie przesiadła się do dżipa. A dżipem mogła zjechać z głównej drogi, a później pojechać dosłownie wszędzie... I zrobić wszystko, co zechce...

— A jak znalazła się wraz z Patricią w samochodzie, nie zostawiając odcisków stóp?

— Dokonała metamorfozy! — Poe popatrzył na nią dzikimi oczyma. — Po prostu odleciała.

— Co takiego?!

Złapał kobietę za ramię.

— Nie rozumiesz? Zmieniła kształt. Była tym jastrzębiem, którego widzieliśmy...

— Ależ Rom...

— Chwyciła Patricię i poleciała z nią do auta. Zniosła ją w szponach. Dlatego właśnie skorzystała z samochodu. Nie uniosłaby Patricii daleko. Zbyt duży ciężar... Więc ponownie przybrała ludzką postać i odjechała z policjantką jej autem.

Rukmani zagapiła się na niego.

— Rom, to czyste szaleństwo!

— Zgadzam się z tobą. — Sierżant trzymał przyjaciółkę kurczowo za ramiona, wbijając jej palce w skórę. Nie zauważał, że sprawia jej ból. — Wiem, że moja hipoteza brzmi jak bełkot wariata, ale wierz mi, mam rację! — Oddychał ciężko, jego ubranie coraz bardziej wilgotniało od potu. — Jest dokładnie tak, jak powiedział Steve. Alison postanowiła zniszczyć wszystko, co według niej jest mi bliskie i stoi na przeszkodzie... Jakimś sposobem zyskuje magiczną moc, niezbędną do tych wszystkich okropieństw... Zmienia postać niczym istoty w twoich legendach...

— Rom, to przecież tylko legendy! Nie są prawdziwe...

— A jeśli są? Pomyśl o skażeniu promieniotwórczym powstałym po naziemnych testach nuklearnych. O tych wszystkich wybuchach... Chcę powiedzieć, że promieniowanie, szczególnie tak skoncentrowane... może dokonać prawdziwego spustoszenia w komórkach.

— Tak, zabija je... czyni bezużytecznymi...

— Nie w przypadku Alison! Ona dzięki radiacji posiadała jakieś niewyobrażalne zdolności... Umiejętność zmiany kształtu. — Puścił lekarkę, popatrzył w niebo i aż podskoczył. — Nieprzypadkowo w legendach zawsze wspomina się o pełni księżyca. Wszak pełnia ma związek z cyklem przemieszczania się fal oceanicznych...

— Rom, za przyływy i odpływy odpowiada grawitacja, a nie promieniowanie.

Policjant jednakże jej nie słuchał.

— Weź ogromną dawkę opadu radioaktywnego po wybuchu bomby atomowej, dodaj do niego promieniowanie księżyca w pełni i kto wie, co można z tego wyprodukować?

Kobieta znowu zapatrzyła się na niego bez słowa. Odnosiła wrażenie, że jej towarzysz oszalał na jej oczach. Ciągłe chodził w kółko.

— Nie mamy zielonego pojęcia, co radiacja po wybuchach z nami

zrobiła. Żadnego tropu, żadnej wskazówki. Departament Energii Atomowej nigdy nie przedstawił wiarygodnego raportu na temat efektów długoterminowych. Istnieją tysiące stronic poufnych dokumentów, których nie możemy nawet tknąć.

— W tej akurat sprawie zgadzam się z tobą — oznajmiła cicho Rukmani. — Rzeczywiście, nigdy nie usłyszeliśmy całej prawdy...

— Popatrz na przykład na to cholerne klonowanie — mruknął sierżant. — Już duplikuje się duże ssaki. Jaki będzie następny krok? Zmiana kształtu, nie sądzisz? Przemieszczanie komórek nie tylko od jednego ssaka do drugiego, lecz także między przedstawicielami różnych gatunków. Może wszystkie te legendy wcale nie są... tylko mitami. Może nie mówią o chorobie zwanej likantropią. Może ludzie w dawnych czasach posiadali wiedzę, którą my w swej naukowej pysze gdzieś zagubiliśmy.

Znowu złapał ją za ramiona.

— Muszę ją znaleźć, Ruki. Muszę ją znaleźć i to szybko! Zanim zabije Patricię!

Lekarka spojrzała na policjanta z ogromną troską. Był niesamowicie pobudzony. Pocił się, drżał i nękały go tiki. Widziała wcześniej to samo spojrzenie, ten sam zestaw neurologicznie patologicznych zachowań u pacjentów z zaburzeniami umysłowymi. Podawano im wtedy torazynę. Jak Rom mógł być tak logiczny w jednym momencie, szukać śladów stóp zimnym okiem racjonalisty... a po chwili opowiadać bajdy głosem szaleńca?

Nikt nigdy nie zrozumie postępowania człowieka...

Narzuciła sobie spokój.

— Romulusie, nie zamierzam spierać się z tobą — oświadczyła łagodnie. — Twoje słowa... mają pewien sens...

— Na swój szalony sposób, prawda?

— Chcę tylko powiedzieć, że jeśli Alison rzeczywiście krąży gdzieś po okolicy i cię szuka, powinniśmy zostawić jej złapanie osobom, które nie są osobiście zaangażowane w...

— Nie, nie. — Poe odsunął się od niej. Trząsał się, kiedy to mówił.

— Muszę jej stawić czoło. Jestem związany z tą sprawą bardziej, niż

sądzisz. Testy nas zmieniły... i mnie, i Alison. Dzięki nim jesteśmy tacy, jacy jesteśmy... — Skierował się z powrotem do samochodu. — Wszyscy jesteśmy ofiarami bomby. Nie rozumiesz?!

— Rom...

— Zabierz moją matkę i Anyę do swojego mieszkania. I zamknij drzwi na klucz! — Podbiegł do samochodu. — Jadę się zobaczyć z szamanem. Zadzwoń do ciebie z drogi.

Lekarka rzuciła się ku niemu.

— Romulusie, dokąd jedziesz? Proszę, powiedz mi...

— Nie mam czasu...

Pociągnęła go za rękaw, lecz strząsnął jej rękę.

— Romulusie, proszę! Przerażasz mnie.

Szarpnięciem otworzył drzwi i wszedł.

— Poe, nie powinieneś prowadzić w takim stanie. Rozbijesz się!

— Zadzwoń po wsparcie dla mnie. — Włączył silnik, po czym opuścił szybę. — Trzymaj się, moja droga. Kocham cię.

Nie słuchała go. Nie zamierzała ulegać jego szaleństwu, pragnęła tylko poznać jego zamiary.

— Powiedz mi przynajmniej — zawołała — dokąd jedziesz!

— Tam, gdzie cała ta sprawa się zaczęła! — odkrzyknął, ruszając. — Na Obszar Testowy Nevada!

Rozdział czterdziesty ósmy

— Chcę, żebyś wiedziała, że osobiście nic do ciebie nie mam.

Gdyby Patricia mogła odpowiedzieć, krzyknęłaby: „Pieprz się, Alison, ty szalona dziwko”. Niestety, leżała zakneblowana na podłodze dżipa wariatki, przywiązana sznurem do tylnego siedzenia. Ręce i stopy miała ściśle związane, usta zaklejone taśmą. Wstrętna suka podłożyła jej pod głowę poduszkę. Policjantce pozostawała jedynie obserwacja. Spróbowała ułożyć się nieco wygodniej, gdyż własne

pięści wbijały jej się w kręgosłup, po czym oszacowała sytuację. Początkowo była naprawdę śmiertelnie przerażona. Gdy nieco otrząsnęła się z nastroju beznadziei, zaczęła intensywnie rozmyślać, jak się wydostać z tej opresji? Ciągle nie była pewna. Ostatnim widokiem, jaki zapamiętała, był atakujący ją ptak wielkości mamuta — niesamowite latające stworzenie o częściowo ludzkiej twarzy. Patricia nie miała czasu zbyt dokładnie mu się przyjrzeć, prawie natychmiast bowiem straciła przytomność. Gdy ją odzyskała, znajdowała się w tym samym paskudnym położeniu, co obecnie: związana i bezradna. Alison użyła zamiast sznura plastikowej żyłki, z której praktycznie nie można się było uwolnić. W dodatku ta wariatka, dysponująca niezwykłą mocą nie przestawała mówić; bez końca wysyłała ku swemu więźniowi strumień bełkotu.

— Do nikogo nigdy nie podchodziłam w sposób osobisty — paplała. — Do nikogo. Po prostu, jakoś przyciągnęły moją uwagę. Rozumiesz mnie, prawda?

Jak gdyby policjantka mogła jej odpowiedzieć. Na nieszczęście, brak odpowiedzi nie powstrzymywał żony Steve'a przed psychotycznymi bzdurami.

— Nie, nigdy w sposób osobisty, nigdy... No cóż, może tylko w przypadku mojego męża, wtedy tak... jego potraktowałam w sposób trochę osobisty. Chodzi mi o dziwki, z którymi się spotykał. Nie, wcale go nie obwiniam. Zachowywałam się nieco dziwacznie przez długi czas. To znaczy, nieco po wariacku, chociaż nie wobec Steve'a, nigdy wobec niego... i nie wobec naszych chłopców. Wiesz, jakie są dzieci. Wchodzą w zupełnie nieodpowiednim momencie i... problem!

Dżip podskoczył gwałtownie na kamieniu i wylądował z łoskotem na wszystkich czterech kołach równocześnie. Alison zachichotała.

— Pewnie ci twardo w tyłek, co? Spróbuję jechać uważniej. Jestem ci dłużna przyjemną jazdę. Zresztą, takie podskoki nie najlepiej działają także na mój kręgosłup. Wiesz, kto jest naprawdę winny tego całego bałaganu? Rom! Tak, to wszystko jego вина. Jesteś tylko

środkiem, za pomocą którego usiłuję do niego dotrzeć. Gdyby był bardziej spostrzegawczy, nic by się nie zdarzyło. Nazywacie siebie policjantami, ale jesteście strasznie powolni i tępi. Kochanka faceta zostaje pocięta i porzucona na pustyni, a żadne z was nawet nie przesłucha żony! Durne przeoczenie, nie sądzisz?

„Tak — pomyślała Patricia. — Rzeczywiście, zachowaliśmy się jak kretyni”.

— Całą winę ponosi Rom. On i tylko on. Z mojego powodu nie chciał wpakować Steve'a w kłopoty. Gdy chodzi o mnie, robi się ślepy. Ciągle mnie kocha... ciągle bardzo mocno mnie kocha.

Nabrała powietrza.

— Nawet jeśli nie zdaje sobie z tego sprawy. Próbuje walczyć z uczuciem do mnie. Och, znowu kamień... Trzymaj się!

Znowu zachichotała, gdy samochód podskoczył z impetem, po czym ciężko wylądował na piaszczystym terenie. Alison uniosła stopę nad pedał gazu i zwolniła do około stu kilometrów na godzinę.

— Ktoś powinien wybrukować pustynię i zalać betonem te wszystkie zapadliska. Pokryć cały teren asfaltem... Zamienić go w jeden wielki parking i stąd transportować ludzi do hoteli. Od razu w mieście zmniejszyłby się ruch. Dobry pomysł, co? Dziwię się, że nie wpadł na niego jeszcze żaden bogaty, chciwy kapitalista. Wyasfaltować pustynię! Interesujące, nieprawdaż?

Przerwała i ponownie zaczerpnęła powietrza.

— No cóż, osobiście uważam tę myśl za bardzo interesującą. Pokryć asfaltem cały stan Nevada. Nevada jako jeden gigantyczny parking! Jeden wielki cyrk! Ponieważ w gruncie rzeczy tym właśnie jest nasz stan. Cyrkiem. Na początku przybyli tu poszukiwacze srebra, potem hazardziści. Hmm... Nawet testy atomowe można uznać za jeden wielki cyrk. Ponieważ były tylko widowiskiem, były na pokaz... Mówię poważnie, wiesz? Tylko dwie bomby zrzuciliśmy na wroga, a na nasze terytorium około tysiąca! Sama powiedz, kto wyszedł na tym lepiej, co?

Przeoczyła pewien istotny drobiazg — w Japonii zrzucono bomby atomowe na miasta pełne ludzi. Ale w końcu paranoja nie dopuszcza logiki, najwyżej jakąś pokrętną... Gdyby Alison przestała głądzić, może Patricia zdołałaby się skupić i coś wymyślić. Spróbowała podnieść głowę. W nos połaskotało ją pióro, więc się rozejrzała. Na tylnym siedzeniu leżał ogromny indiański pióropusz, obok zaś kosmata maska goryla i brązowy melonik... dokładnie taki, jaki opisał Duży Ray.

„Nikt nawet nie przesłuchał żony!”, przypomniała sobie słowa wariatki.

Alison chyba dostrzegła, że policjantka zerka na akcesoria, ponieważ ponownie zaczęła mówić:

— Podoba ci się mój pióropusz... mój kapelusz z ptasich piór? Uważam, że jest fajny. Umiem robić mnóstwo pięknych rzeczy. Pewnie do tej pory już się domyśliłaś, że mam moc... Tak, posiadam niewiarygodną moc, która trafiła mi się dzięki uprzejmości Wujka Sama. Ponieważ, mówiąc obrazowo... to Wuj Sam zatrul studnię! Wiesz, o czym mówię, prawda?

Cisza.

— Mówię o promieniowaniu, Patricio. O promieniowaniu przez duże „P”. Pragnę zauważyć, że wy... a mam na myśli Amerykanów... nie znacie nawet połowy prawdy. Nawet jednej trzeciej ani ćwiertci... Nic nie wiecie. Poznaliście zaledwie drobiazgi. Wuj Sam rzuca wam kostkę cukru tutaj, łyżeczkę wanilii gdzie indziej. Nigdy jednak nie upiecze dla was całego ciasteczka, więc nigdy nie ułożycie całej układanki. Dokładnie tak jak Rom. Rom myśli, że materiały, które znalazł w moim domu, składają się na cały obraz.

Prychnęła pogardliwie.

— Och, pokazałabym mu cały obraz! Gdyby się tylko domyślił...

Policjantka miała ochotę wrzasnąć: „Zamknij się!”

— Zostawiłam mu dość danych, toteż powinien się domyślić całości. Zostawiłam mu zapach, za którym powinien pójść. Wskazówkę. Chciałam grać fair, do końca. Sądzę jednak, że się nie domyślił,

na pewno nie połączył w całość wszystkich faktów...

„Myśl, Patricio, myśl!”

— ...Pokładam jednak wiarę w Roma. Przecież coś odkrył. Na nieszczęście, nie dość szybko dla ciebie. Ten biedny chłopiec bywa czasami taki tępy. Trzeba go było widzieć w szkole średniej. Kurczył się wtedy niczym pchła na blasze. Ale nigdy, nigdy nie zaświtała mu w głowie odpowiedź na pytanie, dlaczego tak się kurczy. To znaczy... ty nie byłabyś ciekawa, dlaczego tylko ty jedna się męczysz?

Kobieta ponownie zamilkła i wzięła potężny wdech. Ach, gdyby Patricia potrafiła się pozbyć więzów. Albo choćby zerwać sobie taśmę z ust. Wtedy może dałaby radę zagadać wariatkę... Policjantka chrząknęła najgłośniej jak mogła, lecz Alison nie chciała usłyszeć odgłosu lub nie chciała zwrócić na niego uwagi.

— Pragnę jeszcze raz powtórzyć, Patricio, że nic do ciebie nie mam.

„Pieprz się!”

— ...Nie obwiniam nikogo, poza rządem. Naprawdę sądzisz, że mówią wam wszystko? Niczego wam nie mówią!

Policjantka jęknęła. Alison skrzywiła się.

— Dobrze się czujesz?

Patricia potrząsnęła głową i znowu zajęczała.

— Chcesz pewnie porozmawiać, co? Sądzisz, że jeśli pogadamy, zaprzyjaźnimy się, a wtedy zrezygnuję i nie zrobię tego, co muszę... Nic się nie zmieni. Bardzo mi przykro, ale będziesz kolejną ofiarą.

Dziewczyna ponownie jęknęła.

— Och, nie wściekaj się na mnie, droga moja! Pamiętaj proszę, że jest to wina Wuja Sama. Pokażę ci, dlaczego... za jakieś... hmm... dziesięć, piętnaście minut. Jedziemy szybko, a ja doskonale się bawię. Zostawiliśmy policję z Las Vegas daleko w polu, zresztą, twoi koledzy ugrzęźli w poszukiwaniu auta. No cóż, życzę im powodzenia. Znam doskonale tutejsze jaskinie, oni natomiast nie. Znam pustynię,

oni zaś nie. Hmm... Rom też zna pustynię. Może się domyśli, a może nie. Lepiej o nim zapomnij. Nie uwierzysz, dokąd jedziemy.

Alison usłyszała wreszcie desperackie mamrotanie Patricii.

— W porządku, w porządku. Może jednak zdejmę taśmę. O ile będziesz się dobrze sprawować. Jak powiedziałam, nie ma w tej sprawie niczego osobistego. Wiesz, dokąd jedziemy?

— Cooooo? — wydukała policjantka.

— Do początku, droga pani detektyw. Jedziemy do miejsca, w którym stworzono Stany Zjednoczone. Wiesz, o co mi chodzi. O ponowne stworzenie, ponowną kreację. Taką jak boska. Tyle że ta jest zła. Nuklearne zło! Nikt nie potrafi zaprzeczyć temu faktowi!

Patricia skinęła głową, chociaż wiedziała, iż Alison i tak nie dostrzeże jej ruchu, gdyż jest zbyt zajęta jazdą po mrocznej pustyni. Kobieta wyłączyła reflektory. Cud, że nie trzasnęła w żadną z granitowych skał i nie rozbiła siebie i swej ofiary na drobny mak. Policjantka wyjrzała przez tylne okno na czarne niebo upstrzone srebrem. Nagle świat wydał jej się bardzo piękny i na tę myśl po twarzy spłynęły jej łzy.

„Nie, nie, nie. Nie możesz się poddać! — nakazała sobie. — Nie możesz!”

Wariatka wzięła potężny wdech, po czym wypuściła powietrze.

— Nowa kreacja, choć dokonana nie przez Boga, ale przez człowieka. Widzisz, co się dzieje, moja droga, kiedy człowiek próbuje naśladować Boga? Partaczy wszystko i tworzy szkaradne formy. Wiesz, dlaczego? Bo człowiek nie wie, kiedy trzeba się zatrzymać. Ciągłe gna przed siebie, aż w końcu oznajmia: „Och nie, zaszedłem za daleko”. Znasz takich ludzi, prawda? Ja na pewno takich znam.

Patricia odpowiedziała niezrozumiałym chrząknięciem.

— Pomyśl na przykład o klonowaniu. Czy naukowcy naprawdę sądzą, że sklonowali jedynie zwyczajną owcę? To znaczy... przyznali się do sklonowania dorosłej owcy, ale do czego się nie przyznali?! Słyszała pani o tym szaleńcu... hmm... nie pamiętam jego nazwiska...

o tym, który chce klonować ludzi. — Parsknęła. — I społeczeństwo sądzi, że prawo powstrzyma takich jak on... Och, Amerykanie są tacy naiwni!

— Abooo... je — wydukała Patricia.

— Oczywiście, że mam rację! Więc co robi rząd? Klonuje ludzi. Z pewnością sklonowano już człowieka, tylko nikt się do tego nie przyznaje. Wiesz, jaki będzie następny krok? Klonowanie w połączeniu z krzyżowaniem gatunków. Tak, jeden gatunek zwierzęcia z innym... już je krzyżują. Kolejny oczywisty etap to skrzyżowanie zwierzęcia z człowiekiem. Potem mężczyzny z kobietą, a jeszcze później... kto wie, co przyjdzie im do głów. Wszystko zaś zaczęło się od tego, że kilku fanatycznych naukowców postanowiło zbombardować atomami połowę Japonii. I komuż daliśmy tak wielką władzę? Jakiemuś naziście... Wernerowi von Beethoven, czy komuś takiemu. Facet wymyślił tajemny sposób zemsty na Amerykanach za zniszczenie snu Hitlera. Sami na siebie ukręciliśmy bicz. Osobiście nie potrafię wymyślić niczego bardziej absurdałnego od obarczenia nazisty odpowiedzialnością za nuklearną potęgę Ameryki. Zresztą, poczekaj cierpliwie... Zaraz ci wszystko pokażę.

Patricia znowu wyjrzała przez okno. Księżyc w pełni przykrywały kłębki półprzezroczystych chmur. Poruszały się szybko, gdyż wiał spory wiatr.

— Gdyby Rom prędzej myślał, uratowałby cię. Jestem pewna, że kręci się po okolicy i cię szuka. Pytanie jednak brzmi: czy będzie wiedział, gdzie rozpocząć poszukiwania? Może się domyślił... chociaż wątpię. Szczególnie że goryle pewnego właściciela kasyn o mała nie odstrzelili mu łba...

Nagle szarpnęło samochodem.

— O cholera! — krzyknęła Alison. — Akurat teraz? Kiedy człowiek wjeżdża głębiej w pustynię, musi pamiętać o wietrze. Gdzie ja miałam rozum?

Przez dziesięć sekund w samochodzie panowało błogosławione milczenie.

— O czym to gawędziłyśmy? Ach tak. O Romulusie i nerwowych

palantach wysłanych przez Parkera Lewistona. Coś ci powiem, droga moja pani detektyw. Próbowałam ostrzec Roma. Próbowałam go uświadomić. Patrzyłam mu prosto w oczy, lecz czy go powstrzymałam? Nie, oczywiście, że nie. Ponieważ jego brązowoskóra kobitka pojawiła się na ulicy i wszystko zepsuła.

Dżipem znowu szarpnęło. Jeśli wiatr przybierze na sile, auto trzasnie w końcu w górski stok.

— ...i wtedy wrócili do mieszkania. Przykro mi, pani detektyw, ale trochę się wścieklam! — Dla podkreślenia Alison uderzyła w kierownicę. — Usiłowałam mu coś powiedzieć, ale ta dziwka nie mogła się wprost doczekać, aż się dorwie do jego rozporoka. Uważam, że to ohydne. Jest taka rozwiązła...

Patricia stęknęła.

— Och, poczekaj jeszcze minutę! — Wariatka nagle się zirytowała. Jej ofiara najwyraźniej wywierała na nią nacisk. Alison pomyślała, że wszyscy gliniarze są tacy sami. — W każdym razie, zabieram cię do najkoszmarniejszego laboratorium na ziemi. Jesteśmy prawie na miejscu. Widzisz je?

„Nie, do diabła — pomyślała policjantka. — Nie widzę żadnej pieprzonej rzeczy poza chmurami!” Niebo przybrało z czarnego odcień węgla kamiennego, światło księżyca przykrytego obłokami rozproszyło się. Patricia czuła, że piasek rysuje karoserię samochodu. Jakby po dachu chodziły koty...

— Tamtejsze zabezpieczenia są naprawdę porażające. Zresztą, niewiele osób się tam pcha. Tak czy owak, teren nie przypomina za bardzo Hawajów. Potrafisz sobie wyobrazić człowieka, który dostaje zadanie zareklamowania OTN? Przyjmijcie swoją codzienną dawkę promieni gamma! Silniejsze niż ultrafioletowe, a równie skuteczne. Wiesz co? Obszar testowy przypomina mi Las Vegas... Oba te miejsca powoli umierają. Zmieniają się w nieużytki.

— Aaach. Oooo, uuuuu, eeee...

— Zdejmę taśmę za minutę. Chcę ci tylko wcześniej wyjaśnić kilka rzeczy. Okej?

Patricia nie zareagowała.

— Muszę cię zorientować w sytuacji. Musisz wiedzieć, co się dzieje. Musisz wiedzieć! Hmm... Gdybyś mogła spojrzeć przez okno, zobaczyłabyś autostradę numer dziewięćdziesiąt pięć. Wybierasz tę trasę i jedziesz ku autostradzie Mercury, aż do obszaru testowego. Wiesz, jaki jest duży?

— Aaaaaaaaaki?

— Mniej więcej wielkości stanu Rhode Island. Jego powierzchnia wynosi wiele kilometrów kwadratowych. Zapomniałam dokładnej liczby, chociaż kiedyś ją znałam. Ach, no cóż, pamięć już nie ta. Przy padłość wieku średniego. A może pogorszenie pamięci ma związek z moją mocą. Coś zyskujesz, tracisz coś innego. W przyrodzie nic nie ginie. Ochrona materii. Po to była ta bomba. Chroniła materię lub energię, która w gruncie rzeczy jest materią. Spytaj Einsteina. „E równa się mc^2 ”. „E” to energia, a „m” materia. Można przekształcać jedną w drugą i stąd moja potęga. Mam ją dzięki bombie. Teraz rozumiesz, prawda? Nietrudno zrozumieć tę teorię. Chodzi tylko o przeskakowanie między stanami materii i energii. Trzeba jedynie mieć pewność, że właściwie dokonuje się przemiany... Ponieważ, jeśli zrobisz coś ile, stracisz energię na korzyść entropii, a wtedy zniszczysz komórki i nigdy nie odwrócisz tego procesu. Entropia zaś, musisz wiedzieć... jest pocałunkiem śmierci. Potrzebujemy raczej entalpii, czyli przemiany materii w energię bez utraty czegokolwiek... Tak to jest. Entalpia zachowuje, entropia rozprasza. Rozprasza coś, co znika, znika...

Sekunda milczenia.

— O czym to ja mówiłam?

Patricia wymamrotała coś niezrozumiale.

Nagle wariatka zahamowała i gwałtownym ruchem zerwała taśmę z ust policjantki. Zabolało, jakby po wargach przejechał gruboziarnisty papier ścierny.

— Dziękuję — powiedziała cicho.

— *De nada*, pani detektyw. O czym rozmawialiśmy? Ach, tyle tematów równocześnie poruszyliśmy. Wiesz, muszę ci się do czegoś przyznać. Znajduję przyjemność w tej pogawędce.

— Zrobiła pauzę. — Wiem już! Opowiadałam o obszarze testowym.

— Geografia — podsunęła Patricia. — Zamierzała mnie pani zorientować w terenie.

— W ogóle mnie nie słuchasz! — wrzasnęła tamta. — Nikt nigdy mnie nie słuchał. Na pewno nie mój mąż! — Zawahała się. — Naprawdę mi przykro, pani detektyw, ale mam do wykonania pewne zadanie i nie odstąpię od niego.

— Jeszcze niczego pani nie zrobiła — odparowała policjantka. — Jeśli nie zacznie pani teraz...

— Przykro mi, ale naprawdę muszę to zrobić. I najprawdopodobniej dość szybko. Tak będzie łatwiej i dla ciebie, i dla mnie.

„Świetna robota, Patricio — skarciła się w myślach. — Lepiej sobie radziłaś z zaklejonymi ustami”.

— Alison — powiedziała — mówiła mi pani o obszarze testowym...

— Właśnie! Chodzi o to, że z jego powodu nie jesteśmy już zwyczajnymi ludźmi. Ja w każdym razie nie jestem zwyczajna, widzisz to, prawda?

— Oczywiście.

— Tak czy owak, gdybyś chciała się tam dostać, musiałabyś wybrać bramę numer sto, czyli główne wejście strzeżone przez firmę Wackenhut Services Incorporation. Pokazałabyś odznakę, wcisnęła strażnikom jakąś gadkę i może by cię wpuścili. A ja? Ja wjeżdżam inaczej. Zabiorę cię na autostradę i do miasteczka Mercury... Nie ma tam nawet płotu. Pojedziemy równoległe do autostrady, lecz boczną drogą, dzięki czemu pozostaniemy niezauważone. Jest tam teraz stara strażnica o żalonym wyglądzie, która niemal nigdy nie bywa obsadzona ludźmi. Po prostu wjedziemy sobie i basta. Po drodze minimy starą zagrodę. Słyszałaś o niej, prawda? A może jesteś zbyt młoda. Tak, chyba tak. Nawet na pewno. Wiesz, do czego jej używano?

— Do czego?

— Przetrzymano tam osoby protestujące przeciwko testom. Dopiero później zabierano je do aresztu w najbliższym mieście.

Wtedy często dochodziło tutaj do manifestacji... W latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, a nawet na początku osiemdziesiątych. Potem wszystko po prostu... — Westchnęła. — Wszystko po prostu zniknęło. Moja mama tu przyjeżdżała... Jeszcze w czasach przed...

Kobieta zamilkła.

— Mnóstwo protestów — podjęła wreszcie. — Gdybyś się rozejrzała, zauważyłabyś, że tuż pod zagrodą, za bramą numer sto jest... czy też raczej był kiedyś Obóz Pokoju. Nigdy tu nie byłaś?

— Nie.

Alison ponownie westchnęła.

— Miejsce jest teraz opuszczone, podobnie jak spora część Nevada. Nazywamy je widmowym miastem. Jakież to smutne! Kiedyś było cierniem w oku dobrego starego Wuja Sama, teraz natomiast pozostaje jedynie patetycznym przypomnieniem wszystkiego, co zmarnowaliśmy. Zepsuliśmy, pani detektyw.

— Bardzo smutne — odparła Patricia. „Myśl, głupia!”, nakazała sobie równocześnie.

— Teren jest usiany tonami kamieni pomalowanych różnokolorowymi pacyfami — kontynuowała wariatka. — Pełno tam na wpół zagrzebanych i potrząskanych maleńkich świątyń braterskiej miłości. Hippisi często tu przychodzili, malowali skały, a także przyozdabiali je piórami i innymi drobiazgami. Wiesz, co jeszcze się tam znajduje?

— Cóż takiego?

— Stare szoszońskie namioty. Albo raczej to, co po nich zostało... Niemal same szkielety. Kiedyś wyglądały jak nowoczesne kopuły geodezyjne w stylu Fullera, teraz bardziej przypominają stelaże, na które wspinają się dzieciaki w parkach zabaw. Szoszoni są spokrewnieni z Pajutami. Rom jest częściowo Pajutem. Ale ty to już wiesz, prawda? Jakaż ta sprawa smutna! Dawniej mieszkali tu Indianie, później ludzie protestujący przeciwko bombie. A teraz wszystko zniknęło. Wszystko! Wiesz, co nam pozostawił Wuj Sam?

— Co?

— Wojskowe bunkry. Setki ich stoją przy bramie numer sto. Są uszeregowane jeden za drugim, rząd za rzędem; przywodzą na myśl hoteliki z gry Monopoly. Rząd za rzędem, rząd za rzędem... Podczas testów mieszkali w nich żołnierze, teraz nawet większość z nich wyjechali. Nic już nie zostało na tych skażonych nieużytkach, z wyjątkiem nielicznych głupków mieszkających w Mercury. Wyobrażasz sobie żyć tak blisko całego tego promieniowania gamma?

— Alison, plecy mnie trochę bolą. Mogłaby mi pani pomóc usiąść?

— Pani detektyw, za kogo mnie pani bierze? Nie jestem kretynką.

— Naprawdę bolą mnie plecy, to wszystko.

— Gdy ci dam zbyt wiele wolności, moja droga, wyprysniesz jak błyskawica.

„Boże, nie ma sposobu na tę babę”, przemknęło policjantce przez głowę. Przywiązana do siedzenia, nie potrafiła się skupić. „Musisz się lepiej postarać, Patty — nauczyła siebie. — Postaraj się lub módl o cud”.

— Chcesz słuchać dalej czy nie? — warknęła Alison. — Bo jeśli panią nudzę, mogę milczeć.

— Jakże mogłabym się znudzić tak fascynującą opowieścią?! — Patricia starała się mówić oburzonym tonem. — Oczywiście, proszę kontynuować.

Cisza trwała jeszcze około minuty.

— Coś ci powiem — odezwała się w końcu wariatka. — Pozwolę ci wybrać...

— Wybrać? Śmierć przez ukamienowanie czy przez spalenie?

— Nie, rodzaj śmierci jest niestety ustalony, możesz jednak wybrać sobie miejsce. — Zamilkła na moment. — Okej, jakieś dwie minuty temu minęłam furgonetkę wartowników i strażnicę, jesteśmy zatem oficjalnie na terenie Obszaru Testowego Nevada. Dokąd chcesz pojechać? Gdzie chcesz spędzić swoje ostatnie chwile?

— Skąd mam niby wiedzieć?

- Mam ci wymienić możliwości?
- Jasne, Alison! Niech mnie pani oświeci!
- Och, teraz robisz się złośliwa, moja droga.
- To przez promieniowanie.

Wariatka zastanawiała się chwilę nad jej stwierdzeniem.

— Prawdopodobnie masz rację. Promieniowanie osobiście zmienia psychikę. Więc powiem ci wszystko. Musimy najpierw objechać Mercury. To miasto przypomina bazę wojskową — są w nim tylko niezbędne budynki: bank, bar ze stekami, kręgielnia i parę sklepów. Steve znał kiedyś faceta, który pracował w tamtejszym biurze szeryfa. Tak tu, w Mercury, w hrabstwie Nye. Och, facet był prawdziwym palantem. Przystawiał się do mnie. Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby nie ta jego straszliwa brzydota! No tak... A może Frenchman Flat? Znasz to miejsce?

— Nie.

— Tam zrzucono pierwszą bombę. Wszyscy sądzą, że spadła na Yucca Flat, lecz to nieprawda. Pierwsza spadła na równinę Frenchman. Sprawdziłam ten fakt podczas moich badań. Owa pierwsza bomba nazywała się Abel. Jak ten z przypowieści o Ablu i Kainie. Mówiłam ci, że OTN skojarzyło się jego twórcom ze Starym Testamentem? Tak, tak. Stąd nazwy związane z pierwszą rodziną. Chcesz zobaczyć Frenchman Flat?

— Alison, na razie niczego nie widzę.

— Nie martw się o to. Szczegółowo ci opiszę wszelkie widoki. — Wariatka uśmiechnęła się do siebie. — Bardzo, ale to bardzo szczegółowo.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Kiedy Poe wsiadł do jednego z białych jeepów cherokee należących do firmy Wackenhut, strażnik John Keeper wręczył mu mapę Obszaru Testowego Nevada. Na zewnątrz mocno wiało i widoczność była kiepska.

— Nie do końca pana zrozumiałem — oświadczył strażnik. — Jeśli jednak uważa pan, że uciekinierki należy szukać tutaj, na pewno będzie pan potrzebował mapy.

Sierżant pojął ukryty podtekst tego stwierdzenia — Keeper pomyślał, że jego rozmówca oszalał.

Z tego też względu Poe nie potrafił spojrzeć strażnikowi w oczy bez poczucia wstydu. Jeszcze godzinę temu własny plan wydawał mu się logiczny, teraz jednak odnosił wrażenie, że w jakiejś wariackiej sztuce gra rolę faceta ogarniętego obsesją, kierowanego szalonymi przecuciami... Był wszakże odpowiedzialny za Patricję i skoro policja Las Vegas szukała jej w mieście, on mógł równie dobrze przetrząsnąć OTN. Weinberg i ludzie z departamentu szeryfa hrabstwa Nye załatwili mu wstęp na teren testowy bez zbytnich biurokratycznych ceregieli. Porucznik — choć nie odmówił mu wsparcia — przybrał sceptyczną minę. Poego męczyło nieprzyjemne uczucie, że szef chce go tylko zbyć.

Keeper wyglądał na dwadzieścia parę lat, był atletycznie zbudowany — miał ramiona ciężarowca i szeroki kark, rzadkie włosy w odcieniu bursztynu i ślady po młodzieńczym trądziku na rumianych policzkach.

— Rozesłaliśmy po całym hrabstwie Nye opis samochodu, ludzie szukają jej też w mieście Mercury.

— Gwarantuję panu, że jeżeli Alison faktycznie przebywa wraz ze swoją ofiarą na OTN, na pewno wybrała teren niezamieszkały. — Policjant przyjrzał się mapie i przeklął pod nosem na widok ogromu terytorium.

— Osiemset sześćdziesiąt tysięcy akrów — oznajmił strażnik. — Jesteśmy stanem w stanie. Stąd widać jedynie czubek góry lodowej. Mercury ze wszystkich stron otaczają góry. Za tym pierścieniem górskim ciągną się dziesiątki kilometrów pustkowia. Właśnie tam dokonano nadziemnych wybuchów bomb. Teren nadal jest skażony, lecz promieniowanie nie jest już tak intensywne jak niegdyś... — Odchrząknął. — No więc dokąd chce pan jechać?

— W sąsiedztwie miasta Mercury nie ma patroli z hrabstwa Nye i Wackenhut?

— Hrabstwo zajmuje się tylko miastem, my patrolujemy pozostałą część obszaru. — Keeper uruchomił silnik, po czym włączył wycieraczkę przedniej szyby, aby usunąć z niej warstwę brudu. — Na pewno nie chce pan skorzystać z helikoptera? Solidny reflektor znacznie ułatwiłby panu poszukiwania.

— I zaalarmowałby moją uciekinierkę. Nie chciałbym jej przestraszyć... Jeden pochopny ruch może sprowokować ją do jakiegoś szalonego czynu. — Do siebie zaś powiedział: — O ile Alison w ogóle tu jest.

Keeper uniósł pytająco brwi.

— No dobrze... Które miejsce pana interesuje, sierżancie?

Poe studiował mapę. Obszar Testowy Nevada podzielono na siedem głównych stref. Bezpośrednio na północy, przy autostradzie Mercury leżała Frenchman Flat, dalej Yucca Flat i w końcu Kanion Rainier. Gdyby cofnąć się na południe i skręcić na zachód, pojechać drogą Jackass, skręcić na północ, można by trafić do Jackass Flats, Kanionu Buckboard, aż do Kanionu Pajutów — najbardziej północnej i najwyżej położonej części OTN.

— Co znajduje się w Jackass Flats? — spytał sierżant.

— Przeważnie stare laboratoria badawcze i aparatura pomiarowa. Niektóre są nadal w użyciu.

— Alison tam nie pojedzie. — Policjant potarł oczy. — Będzie się raczej trzymać otwartego terenu.

— Tu wszędzie jest otwarty teren... — wtrącił Keeper, po czym przerwał na moment. — Sierżancie, mamy około dwustu pojazdów. Wszystkie są w ruchu. Jeśli pańska uciekinierka kręci się po okolicy, ktoś ją w końcu znajdzie. Nie bardzo wiem, co możemy dodatkowo zdziałać.

„Umiem ją przechytryć, facet, oto czym się od was różnię”.

— Gdzie Departament Energii przeprowadzał testy nadziemne? Wszędzie?

— Tak, prawie wszędzie — przyznał strażnik. — Podziemne odbywały się przeważnie na północy w kanionach Buckboard i Pajutów,

większość testów atmosferycznych zaś dokonywano w Yucca Flat, chociaż pierwsza bomba spadła na Frenchman Flat. Aby się dostać do Yucca, trzeba przejechać cały teren Frenchman Flat. Jeśli zatem nie interesuje pana okolica Jackass, możemy od razu pojechać na północ.

— Brzmi świetnie.

Keeper włączył pierwszy bieg. Dżip szarpnął, potem ruszył do przodu. Poe natychmiast poczuł siłę wiatru uderzającego w pojazd. W taką noc człowiek powinien siedzieć w domu, a nie włóczyć się po pustkowiach. Na niebie lśnił księżyc w pełni, w jego poświacie wiatr przemieszczał radioaktywny kurz. Sierżant pomyślał, że gdy wróci do domu, pewnie sam już będzie świecił w ciemnościach. Przytknął nos do okna i intensywnie patrzył to w jedną stronę, to w drugą, skanując równinę wzrokiem niemal równie dokładnie jak radar.

— Niech mi pan opowie o OTN — poprosił.

Strażnik wjechał na autostradę Mercury.

— A co pan chce wiedzieć? — spytał.

— Nie jestem pewny. Ale niewątpliwie wychwycę ważną informację.

— Mogę panu zwracać uwagę na interesujące szczegóły.

— Jasne. Może jednak najpierw zjedziemy z autostrady?

— Po co?

— Ponieważ moja uciekinierka najprawdopodobniej nie zamierza korzystać z uczęszczanych dróg. Byłaby zbyt widoczna. Też się porusza terenówką.

— Wie pan, sierżancie, żeby dotrzeć do Frenchman Flat, trzeba przejechać góry. Powinniśmy więc używać dróg. Dla mnie bardziej liczy się pańskie bezpieczeństwo niż ta uciekinierka.

— Jak daleko stąd do Frenchman Flat?

— Około trzech i pół kilometra.

— Okej, skoro musi pan jechać drogą, niech tak będzie.

Siedzieli w milczeniu. Dżip łatwo pokonywał ostre górskie zakręty. Gdy wjechał na płaski teren, przyspieszył; pędził teraz po odludnej dzicz.

— Może pan już zjechać z autostrady?
— Przypuszczam, że tak. Chociaż przy takim wietrze nie jest to dobry pomysł. — Keeper polizał wargi. — A gdybym tak zabrał pana na przejażdżkę po bocznych drogach? Znam wiele skrótów i pokażę panu sporą część tutejszego obszaru.

— No dobrze, w porządku.

— Niech się pan trzyma. — Strażnik chwycił mocniej kierownicę i sprowadził auto z gładkiej drogi na niebrukowaną ścieżkę. — Wielu gości zabieramy w tę strefę, ponieważ znajdują się tu tak zwane pamiętki po eksplozjach. Głównie po Priscilli, którą zdetonowano na początku lat pięćdziesiątych. Jeśli spojrzy pan w lewo, za unoszącym się żwirkiem dostrzeże pan duży gmach.

— Tak, widzę go.

— Służył do eksperymentów. Przy lepszej widoczności zobaczyłby pan gruzy po grubej na pięć centymetrów betonowej kopule, która załamała się pod wpływem fali uderzeniowej. Gmach nadal stoi, gdyż zbudowany został ze zbrojonego betonu o grubości piętnastu centymetrów. Dlatego się ostał...

— Skorzystam z tych danych następnym razem, gdy będę budował schron przeciwoatomowy.

Keeper uśmiechnął się.

— Ach, po cóż ten cynizm. Proszę jednak zauważyć, że wtedy świat naszego hrabstwa obracał się wyłącznie wokół kwestii nuklearnych. Wiele budynków nadal stoi i prowadzi się w nich liczne ważne badania naukowe. Właśnie w Frenchman Flat mamy największe na świecie urządzenie do testów związanych z przeciekami substancji radioaktywnych. Wystrzeliliśmy wszelkie rodzaje toksycznego materiału w środowiskowo kontrolowane komory i tunele wiatrowe, dzięki czemu studiowaliśmy jego rozproszenie w atmosferze. W ten sposób potrafimy zaprojektować nowoczesny i skuteczny system usuwania skutków jądrowych eksplozji.

— OTN płaci panu za reklamę, panie Keeper?

Strażnik uśmiechnął się.

— Ludzie sądzą, że coś jest albo czarne, albo białe, a prawda bywa zazwyczaj znacznie bardziej skomplikowana. Ekolodzy i pacyfiści uważają obszar testowy za coś w rodzaju laboratorium Frankenstein. Zupełnie nie wiedzą, z czym mają do czynienia i co Departament Energii robi tu teraz.

— Jasne! — Poe wpatrywał się w mętne powietrze, szukając śladów ruchu, migoczącego światła, czegokolwiek niezwykłego... Opowieść towarzysza rozpraszała go.

„Pomyśl, dupku!”, nakazał sobie.

Jeśli Alison zamierza zarznąć Patricię, tak jak poprzednie ofiary, będzie potrzebowała odpowiedniego miejsca. Na dworze wiał zbyt mocny wiatr, więc prawdopodobnie poszuka schronienia pod dachem. Chyba że dokona rzezi w samochodzie... Jeśli nie, musi sobie znaleźć inną ochronę przed wiatrem.

— Czy da się wejść do tych budowli? — spytał.

— Co takiego?!

— Potrafi się pan dostać do wnętrza schronów przeciwoatomowych?

— Do tych budynków? Nie, wstęp do nich jest zakazany. Wejścia zostały zaplombowane. Zresztą, nikt nie zna ich dokładnego stanu. Mogą się zawalić w każdej chwili.

Czyli że... Alison wybierze inne miejsce.

Jak daleko wjedzie na teren obszaru testowego? Czy pojedzie explorerem Steve'a aż do najwyższych wzniesień? Policjant szczerze w to wątpił. Jazda tam zajęłaby jej za dużo czasu, a każda dodatkowa chwila pobytu na otwartym terenie wystawiała ją na niebezpieczeństwo. Poe przypuszczał, że Alison postara się nie wjeżdżać zbyt głęboko na OTN i dokonać morderstwa blisko wejścia. Choćby dlatego, że podczas dłuższej jazdy w tych warunkach mógłby jej się zepsuć samochód.

„Na jej miejscu — zastanowił się — skoro nie chciałbym jechać zbyt daleko, gdzie wykonałbym brudną robotę?”

— Ile bomb tu zrzucano? — spytał.

— Tutaj? Ma pan na myśli Frenchman Flat?

— Tak.

— Niewiele w porównaniu z Yucca Flat. Na Frenchman spadło może piętnaście, góra dwadzieścia. Choć pierwsza z nich... Abel... spadła właśnie tutaj w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym. Operacja Strażnik Leśny. Słyszał pan o niej kiedyś?

Sierżant potrząsnął przecząco głową i zadał sobie pytanie, czy Alison przyjedzie do miejsca zrzutu pierwszej bomby. Może obarczyła je winą za swoją chorobę i chorobę matki?

Choć... w 1951 nie było jej przecież jeszcze na świecie!

Nagle sierżanta olśniło. Wiedział, że Alison tu nie ma. Jeśli znajdowała się gdzieś w okolicy, była w Yucca Flat.

— Większość bomb zdetonowano zatem w Yucca Flat? — upewnił się.

— Tak, proszę pana.

— A co tam jest dziś?

— Teren jest podziurawiony kraterami, które pozostały po bombach. Spora część powierzchni przypomina księżycową. W wielu miejscach grunt wręcz zapadł się do wnętrza pod ogromnym ciśnieniem wyzwolonym przez bombę...

— Zostało coś po tamtym okresie?

— O co pan konkretnie pyta?

— Pozostały jakieś budowle z okresu zrzucania bomb?

— Hmm... ciągną się tam przeważnie otwarte przestrzenie podziurawione licznymi kraterami.

— A co z wojskowymi bunkrami, w których niegdyś mieszkali żołnierze?

— Zniknęły. Pozostało jedynie News Knob — schron obserwacyjny dla dziennikarzy. Może są też ruiny kilku trybun widokowych...

— Ale żadnych zachowanych w całości budynków z tamtego okresu?

— Cóż, są stacje kontrolne — urządzenia, dzięki którym inżynierowie kierowali operacją wystrzelenia bomb. Nadal pozostają w użyciu...

— Pilnujecie tych urządzeń?

— Tak, ściśle bezpieczeństwo...

— Co jeszcze?

— W Yucca Flat... w kwestii istniejących budynków... — Keeper rozmyślał przez chwilę. — Znajduje się tam magazyn plutonu i składowiska odpadów radioaktywnych. Och, no i... główna platforma testowa laboratoryjnych wybuchów podkrytycznych.

— Proszę mówić dalej.

— Cóż, w Yucca stoi japońskie miasto...

— Co takiego?! Jakie miasto? — Z wrażenia Poe usiadł prosto na siedzeniu.

— Naukowcy z OTN postawili budynki podobne do tych, które buduje się w Japonii i rzucili na nie bomby. Potem zmierzyli pozostałe w domach promieniowanie powybuchowe. Dzięki temu rząd zyskał podstawowe dane na temat poziomu radiacji w Hiroshimie i Nagasaki.

— Czy to japońskie miasto nadal istnieje?

— Tak, główna część konstrukcji ciągle się jakoś trzyma.

Odpowiedź rozczarowała sierżanta.

— Czyli pozostał ledwie sam szkielet?

— Tak. — Keeper chwycił mocniej kierownicę. Bał się, aby wiatr nie przewrócił samochodu. — Może chce pan rzucić okiem na typowe domy amerykańskie? Zbudowano też bowiem przeciętną amerykańską osadę... Wie pan: kafeteria, kino, biblioteka, szkoła, siedziba władz miejskich... Potem zrzucono na nią bombę o nazwie Annie Druga. Inżynierowie chcieli również zmierzyć skutki promieniowania w typowym amerykańskim miasteczku...

— I też pozostały z niego jedynie ściany? — przerwał mu policjant.

— Właściwie... Ocalało kilka charakterystycznych dla naszego kraju domów. Wie pan... dwupiętrowe budynki z salonem, jadalnią, dwiema sypialniami i kuchnią. W niektórych leżą jeszcze zapasy...

— I te domy wciąż stoją?

— Można to tak ująć. Trochę się do tej pory rozchykotały.

— Ale struktury nie zniszczono?

— Nie.

— Możemy wejść do środka?

— Tak, możemy zrobić krótki objazd.

Poe nie był zainteresowany objazdem.

— Jak daleko jesteśmy od tego miejsca?

— Dotrzemy do niego za około dwadzieścia minut.

„W dwadzieścia minut można dokonać niejednego, lecz kilku morderstw”, pomyślał sierżant.

— Jesteśmy najbliżej, czy macie tam inny pojazd patrolowy? — spytał.

— Mogę to sprawdzić — odparł strażnik.

Policjant słuchał jego rozmowy — Keeper zadawał pytania, nie przerywając jazdy. Poe stłumił w sobie odruch wyskoczenia z dżipa i popędzenia na wybrane miejsce, starał się również nie wiercić i nie strzelać palcami. W końcu jego towarzysz odłożył mikrofon.

— Tak, jesteśmy najbliżej. Inny samochód ze strażnikami jest o dziesięć minut dalej. Powiedzieć im, że chcemy się tam z nimi spotkać?

— Tak, bardzo proszę.

— Sądzi pan zatem, że właśnie tam się skryła pańska uciekinierka?

— Możliwe — odrzekł wymijająco sierżant.

— To co, dajemy gazu i strzelamy prosto w cel? — spytał Keeper. Uśmiechnął się, zadowolony z żartobliwej gry słów, która jak ulał pasowała do OTN-u.

Poe zachował jednakże kamienną twarz.

To się działo... naprawdę... w każdej minucie... w każdej sekundzie. Różne dziwne rzeczy... po prostu zdarzały się. Wiedziała, że musi... walczyć z ociężałością... walczyć... nie pozwolić sobie...

Najstraszniejszy był właśnie fakt, że zdawała sobie sprawę ze wszystkiego, co się działo wokół niej. Wiedziała, że po raz ostatni... ostatni raz...

Tak bardzo chciało jej się spać... taką miała ochotę poddać się... Potrzeba walki... słabła w niej... i słabła...

Chciała spać...
Zasnąć... i spać... cudownym snem.

Rozdział pięćdziesiąty

Ciało Patrici i stygło, więc pragnienie niemal przygniatało Alison. To prawda, obiecała policjantce, że najpierw ją zabije, jednak mięso smakowało znacznie lepiej, gdy serce pompowało jeszcze do ciała płynną, ciepłą krew. Zresztą, czy nieprzytomna ofiara zauważy w ogóle różnicę?

Oczy policjantki nadal były otwarte. Otwarte, lecz zamglone i niewidzące. Alison podniosła piórko i połaskotała kobietę po nosie. Potem połaskotała jej stopy, pacnęła w kilka innych miejsc, wreszcie ukuła ją w dłoń. To był ostateczny test. Patricia nie zareagowała — ani się nie ruszyła, ani nie mrugnęła okiem. Miała w organizmie tyle prochów, że nie powinna niczego czuć.

Czemu więc Alison nie miała się posunąć dalej? Może już teraz powinna zezwolić mocom, by zapanowały nad nią i przeniosły ją w ten cudowny stan, w którym z racjonalnej istoty przemieniała się w bestię zaprogramowaną przez instynkt. Wpatrzyła się w nieobecne oczy ofiary i ponownie powtórzyła, że osobiście nie ma nic przeciwko niej. Potem dźgnęła ją w żołądek. Był pełny i dojrzały, zawierał dużą ilość soczystego tłuszczu.

Kobiety zawsze smakowały lepiej.

Alison siedziała na drewnianej podłodze opuszczonego domu. Postanowiła zabić Patricię tutaj, a później wysłać Rommiemu wiadomość o miejscu porzucenia ciała. Dzięki temu policjantka — czy też to, co z niej zostanie — będzie miała przyzwoity pogrzeb. Alison zamierzała także podsunąć Poemu kilka kolejnych kawałków układanki. Domyślenie się reszty będzie wtedy zależało już tylko od niego. Chociaż nie bardzo wierzyła, że mu się uda. W końcu zapewne będzie musiała pokazać mu wszystko wprost.

Na tę myśl aż się uśmiechnęła.

Detektyw Patricia Deluca leżała na białym lnianym obrusie. Wyglądała jak smaczny kawałek mięsa dla typowej amerykańskiej rodziny w typowym amerykańskim domu. Alison położyłaby ją w jadalni, jednak salon był większy — przyjemne dla oka pomieszczenie z kominkiem i wielkimi oknami pozbawionymi szyb. Wściekle wiatry przynosiły piasek i żwir, toteż ciało policjantki pokrywało się coraz grubszą warstwą ziemi. Dla Alison fakt ten nie miał jednak żadnego znaczenia. Zresztą, żwir ułatwiał trawienie. Dlatego właśnie zwierzęta jedzą kości...

Pokój został niemal całkowicie ogołocony z mebli. Alison i tak ich nie potrzebowała. W tej ruinie wszystko było zdewastowane i stare, równocześnie jednak budynek przypominał jej dom babci w St. George, w stanie Utah. Zastanowiła się, jak babcia sobie radzi.

„Och, babciu, ale ty masz duże zęby”.

„Są po to, abym mogła lepiej...”

Ten dom doskonale odpowiadał planom Alison, znajdował się bowiem na terenie OTN, lecz niezbyt daleko od wejścia! Był odseparowany, ale nie ukryty. Istniała tylko jedna niedogodność. Alison zaparkowała dzipa pod budynkiem, niestety auto pozostawało za bardzo widoczne. Mimo iż karoserię pokrywał gęsty, kamuflujący piasek, kobieta wiedziała, że musi się pospieszyć. Rytuał wymagał wprawdzie długiego czasu, nie miała wszakże wyboru.

Zadrżała pod wpływem szalejących podmuchów wiatru i drobin żwirku, lecz dzielnie rozebrała się do naga, po czym podniosła oczy ku światłu księżyca.

Zawyla raz — ot, tak, na początek. Potem jeszcze raz.

Z każdym kolejnym skowytym następowały w niej zmiany.

Zawyla cztery razy, by zwiększyć muskulaturę ud. I osiem razy, by wzmocnić i wydłużyć ramiona.

Wydawała coraz szybsze i coraz krótsze odgłosy.

I donośniejsze.

Krzyk z głębi duszy przywołujący duchy.

„Chodźcie, duchy, chodźcie!”

Palce u nóg zaczęły jej się wyciągać, włosy poczęły wyrastać z ukrytych cebulek, pokrywając jej stopy szorstkim, rudawobrazowym futrem. Wąskie i ostre paznokcie wydłużały się, aż przerosły długość palców, dotknęły ziemi pod nimi i przekształciły się w czerwone szpony... Polakierowała je wczoraj. Powłócząc nogami po podłodze, zostawiała na drewnie zgrabne równoległe linie. Teraz transformacji poddały się ręce — skróciły się, paznokcie zaś zmieniły się w mordercze pazury. Delikatny meszek na jej ramionach zagaścił się i przybrał formę szczeciny.

Alison nie przestawała wyc i zawodzić.

Dźwięk dochodził z głębi jej gardła, z samych trzewi... Jej kręgosłup zgiął się w pałąk i stanęła na czterech łapach. Nic nie mogła na to poradzić. Nie panowała nad metamorfozą. Jej głowa uderzyła w podłogę z łomotem i po kilku minutach kobieta nie była już w stanie podnieść się do pozycji wyprostowanej.

Jej moc wszakże rosła teraz w szybszym tempie, wzrastała wraz z każdą przesywającą arią, która sięgała niebios...

Nagle Alison zamilkła i zastanowiła się, czy rzeczywiście usłyszała jakiś podejrzaną dźwięk?

Czy był to tylko pęd wiatru?

Serce biło jej teraz niczym oszalałe. Znała dźwięki wydawane przez wiatr i znała dźwięki mechaniczne. Takie jak warkot samochodowego silnika...

„Nie, nie, to niemożliwe... To niemożliwe, niemożliwe!”

A jednak miała pewność, że zbliża się samochód.

Szum silnika stawał się z każdą sekundą głośniejszy.

Głośniejszy, coraz głośniejszy!

„To niemożliwe!”

Światła reflektorów przesunęły się ponad powierzchnią pustyni. Zbliżały się, aż natrafiły na otwory, które niegdyś były panoramicznymi oknami.

„Kto to może być? Chyba nie Rom... Nie, to niemożliwe. Nie tak prędko. Niemożliwe. Nie... nie. Niemożliwe, niemożliwe, niemożliwe!”

Rozejrzała się szaleńczo w poszukiwaniu nieistniejącej pomocy.

Była zdana tylko na siebie. Przyjrzała się Deluce. Ojej, porzucić taki smakowity kąsek...

Zdarzenia następowały wszakże po sobie w zbyt niesamowitym tempie. Alison nie mogła zabrać Patricii ze sobą. Wiedziała, że resztki jej energii pochłonęłaby ponowna metamorfoza. Sił starczyłoby jedynie na powrót do ludzkiego ciała i na nic więcej.

W dodatku musiała dokonać wyboru. Zastanowiła się nad alternatywą.

Co robić?

Uciekać czy podjąć walkę? I w jakim kształcie? Zwierzęcym czy ludzkim?

W gruncie rzeczy, wcale nie miała wyboru. Musiała wrócić do ludzkiej postaci.

Do drapieżnych zwierząt ludzie strzelają bez namysłu.

Gdyby tylko miała broń. Ależ miała ją jeszcze przed półgodziną! Miała pistolet Patricii. Niestety, zostawiła go w samochodzie policjantki!

To miała być wskazówka dla Poego... Sygnał, że Alison nie potrzebuje broni. Tak wtedy myślała.

Cóż, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

Światła przybierały na sile, później zaś nagle zapadła ciemność. Silnik zgasł. Dwie pary samochodowych drzwi otworzyły się, potem zamknęły.

Alison nie miała wyboru, musiała ponownie zmienić formę.

Jej grzbiet zaczął się już prostować. Poczowała też, że paznokcie u rąk i nóg kurczą się. Po chwili jej piękne czerwone szpony wróciły do swojego zwykłego stanu.

Nieważne. Wiedziała, że w każdej formie pokona napastników.

Poe otworzył frontowe drzwi i w kilka sekund ogarnął wzrokiem pomieszczenie. W ostatniej chwili dostrzegł wyskakujący przez pozabawione szyby okno kształt na poły jedynie ludzki. Chciał natychmiast popędzić za dziwacznym stworzeniem, lecz musiał pomóc nieprzytomnej Patricii; dziewczyna miała twarz szarą jak popiół.

Musiał natychmiast podjąć jakąś decyzję.

„Decyzja jest oczywista, idioto! — skarcił się w myślach. — Przecież Patricia leży tu na podłodze!”

Podbiegł do nieruchomego ciała, pochylił się nad nim i pomacał prawy bok szyi, szukając pulsu. Jednocześnie wpatrywał się w szkliste oczy dziewczyny. Ręce mu drżały, dłonie miał spocone, oddychał płytko i nieregularnie.

— Dalej, kochana... — wymamrotał.

Pomacał lewą stronę szyi. Nie wyczuł pulsu.

— Dalej, Patty, maleńka. Daj mi jakiś znak, kochana, daj mi znak!

Keeper stanął u boku sierżanta.

— Żyje? Może powinniśmy zastosować sztuczne oddychanie?

Poe wyczuł pod palcami nieznaczne drgnięcie.

— Wreszcie! — wysapał ciężko. Puls był strasznie powolny, lecz wyraźny. — Mam... Tak trzymaj, maleńka... — Słabe, powolne uderzenia. Policjant odetchnął z ulgą. — Tak, mam puls. Na pewno go wyczuwam. Niech pan sprawdzi, czy dziewczyna oddycha.

Strażnik przytrzymał lusterko przy ustach i nosie dziewczyny.

— Tak, oddycha! W strasznie zwolnionym tempie... Jest jednak trochę pary na lusterku.

— Dzięki ci, Boże! — mruknął sierżant. — Patricio, posłuchaj mnie, kochanie. Jesteś już bezpieczna, mała. Bezpieczna, zupełnie bezpieczna. Wszystko będzie dobrze...

Nagle Poe urwał i zasłuchał się. Na zewnątrz ktoś próbował uruchomić silnik samochodu. Policjant zrozumiał, że Alison próbuje uciec.

„Oddychaj, mała, oddychaj”, prosił w myślach.

Nagle wstał.

— Panie Keeper, jest w Mercury lekarz?

— Jasne...

— A coś w rodzaju szpitala?

— Tak, w bazie...

— Może pan sam zawieźć tam dziewczynę?
— Chyba tak. Ale dlaczego? Gdzie pan...
— Słyszy pan silnik samochodu? Muszę gonić sprawczynię. Niech pan załatwi wsparcie. Ma pan radio, niech pan wezwie, kogo trzeba. Tym razem może być helikopter!

— Jak się z panem skontaktuję...?

Jednak sierżant był już za drzwiami.

— Załatwię panu wsparcie! — zawołał strażnik.

Poe pognął przez wiatr. Drobiny żwiru kłuły go w oczy. Biegł wielkimi susami ku hałasującemu silnikowi.

Czuł, że za chwilę samochód ruszy.

Słyszał ryk silnika, czuł gorący powiew z rury wydechowej.

Rzucił się w chmury żwiru unoszone przez wściekle buksujące koła eksplorera.

Wyciągnął ręce i skoczył, gdy dziup szarpnęła i z impetem ruszył przed siebie.

Policjant zdołał jedynie zacisnąć dłonie na zimnym metalu zde-rzaka i już jego stopy przesunęły się po twardym podłożu, w tym momencie bowiem auto przyspieszyło. Gryzący zapach uderzył sierżanta w nos, gdyż gumowe podeszwy jego butów rozgrzały się.

Holowano go niczym zwłoki!

„No, moja pani ! — pomyślał. — Tym razem mi nie uciekniesz!”

Poe zebrał siły, podciągnął się w górę i postawił stopy na tylnym zderzaku. Przykleił się do okna, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że zaciska kurczowo palce na dachowym bagażniku pojazdu. Modlił się, żeby aluminiowy stelaż wytrzymał. Żwir i piasek uderzały go w twarz.

Kobieta skrzyła gwałtownie w lewo.

Najwyraźniej usiłowała go zrzucić.

— Nieładnie, Alison — krzyknął. — Bardzo nieładnie! Tak się nie traktuje starego przyjaciela...

Tym razem skrzyła w prawo. Jakoś się utrzymał.

— Zabijesz nas oboje! — wrzasnął, chociaż wątpił, czyjego głos do

niej dociera. Ale może potrafiła czytać z ust. Wiedział, że go zauważyła. Ciągle zerkala we wsteczne lusterko.

Przypieszyła, po czym nagle nacisnęła na hamulce. Explorer niebezpiecznie zachwiał się na dwóch kołach. Sierżant trząśł się niczym żagiel podczas sztormu. Na szczęście wiatr wiał w odpowiednim kierunku. Samochód podskoczył, wylądował na ziemi z hukiem, popędził naprzód, po czym zatoczył koło. Żwir spod przednich kół uderzył Poego w twarz, coś też grzmotnęło policjanta w dłoń — pewnie śruba albo sworzeń z bagażnika. Skrzywił się z bólu, lecz nie zwolnił uchwytu.

— Cwana próba, mała, niestety nieudana...

Alison ponownie przycisnęła pedał gazu i pognąła przed siebie. Sprawdziła we wstecznym lusterku, czy policjant nie spadł. Detektyw przycisnął twarz do szyby i uśmiechnął się złośliwie do kobiety.

— Już nie żyjesz, Romulusie — zawołała wściekle. — Jesteś tylko mięsem.

Zamrugął, nie miał bowiem pewności, czy dobrze zrozumiał. Może tylko mu się zdawało? Chyba się jednak nie przesłyszał. Przecież wiatr wiał w jego stronę i dźwięki niosły się ku niemu. Liczył na to, że i ona go słyszy...

— Kochanie — krzyknął — za chwilę zabraknie ci benzyny.

— Nie za twego życia! — odwrzasnęła.

Znowu ostro skręciła.

Zza pleców dotarła do uszu Poego kakofonia zawodzących syren. W kilka sekund później usłyszał również warkot krążącego nad nimi helikoptera, a szeroki snop reflektora przesunął się po pylistej powierzchni. Chwyciwszy mocno bagażnik lewą ręką, sierżant puścił prawą i zamachał nią niczym królowa Parady Róż. Skraj światła uchwycił jego rozpaczliwą próbę utrzymania równowagi. W chwilę później policjant znalazł się w centrum snopu reflektora.

Było jasne, że na Alison przyszedł koniec. Przegrała. Sierżant nie chciał jednak, by pociągnęła go za sobą.

Czasem trzeba wyskoczyć z pędzącego pociągu.

Syreny wyły głośniej; policja nieuchronnie się zbliżała. Kobieta przyspieszyła.

Jupiter świecił pełnym blaskiem. Poe musiał zmrużyć oczy. Za chwilę Alison się rozbije. Wypadek był tylko kwestią czasu. Syreny były coraz bliżej.

— Proszę się natychmiast zatrzymać! — rozległ się głos przez megafon. — Znajdujecie się w strefie zagrożonej promieniowaniem!

Innymi słowy, sierżant właśnie każdą porą skóry wchłaniał promienie gamma.

— Zatrzymajcie się natychmiast! Dla własnego dobra!

Mózg policjanta wywrzaskiwał własne rozkazy: „Wyskocz, zanim wpakujesz się w tony nuklearnego gówna”.

Odgłosy radiowozów stawały się głośniejsze.

Teren pod sierżantem pędził.

„Skacz, idioto! Zanim Alison wykona jakiś samobójczy ruch!”

Dżip straży jechał tuż za nimi. Niemal dotykał zderzaka explorera.

Był bardzo blisko.

O wiele za blisko. Jeśli Alison nagle zahamuje, Poe zostanie po prostu zmiażdżony.

„Skacz! — nakazał sobie. — Skacz!!!”

Kobieta nadal przyspieszała. Przejechała luźno wiszącą linę ostrzegawczą, po czym przejechała przez wyrwę w zdewastowanym metalowym ogrodzeniu. Nagle dźwięki syren zaczęły cichnąć. Czyżby wstrzymano pościg?

Policjant obejrzał się i zamrugał z niepokojem.

Rzeczywiście, policja się wycofywała!

Pojazdy zwalniały... aż w końcu się zatrzymały!

— Co, do cholery, robicie? — wrzasnął Poe.

Samochody wyglądały teraz jak świetliste drobinki. Alison nieprzerwanie pędziła przed siebie. Nagle również zaczęła hamować, po czym skręciła w kamienisty piarg. Explorer zwalniał. Toczył się jeszcze parędziesiąt metrów siłą rozpędu, po czym stanął.

Sierżant nie poruszył się.

Alison także siedziała nieruchomo.

Migające światła pojazdów ochrony i policji tkwiły w odległości niecałych dwustu metrów.

„Dlaczego się, u diabła, nie zbliżają? — zapytał siebie. — Dlaczego się ociągają?”

Tylko jedna odpowiedź przyszła mu do głowy — prawdopodobnie wraz z Alison wpadli w sam środek jakiegoś straszliwie śmiertelnego gówna!

Poe trwał przylepiony do tylnego okna. Podmuchy wiatru obrzucały mu piaskiem twarz i oczy. Helikopter krążył nad jego głową. Wszyscy oczekiwali na następny ruch szalonej towarzyszki sierżanta.

Zupełnie nieoczekiwanie ziemia zadudniła, a potem się rozwarła. Dżip osunął się o metr. Policjantowi żołądek podszedł do gardła.

Sierżant zerknął pod siebie. Piaszczyste podłoże poruszało się, jakby ktoś zamierzał utworzyć tunel do centrum kuli ziemskiej i wybierał piach dużym, niewidzialnym szpadlem.

Widocznie znajdowali się na bardzo niestabilnym gruncie!

Alison wysiadła z samochodu, powiewy wiatru szarpały sukienką ponad jej kolanami i unosiły jej długie włosy. Poe obserwował idącą kobietę. Szła powoli... małymi kroczkami. Chyba ku niemu. Ostrożnie zszedł ze zderzaka.

Akurat wtedy ziemia się poruszyła i niewiele ponad metr od policjanta utworzyła się szczelina. Nie miał już wątpliwości — zapadali się!

Kobieta zbliżała się do niego, a jej stopy tonęły coraz głębiej w piasku. Po chwili brnęła już w piachu po kolana.

Ziemia znowu ustąpiła.

Grunt zapadał się coraz bardziej.

Poe stał nieruchomo jak głaz. Alison również. Helikopter ciągle krążył im nad głowami i ich oświeślał.

— Lotne piaski?! — zawołał sierżant do swej towarzyszki.

Przecząco potrząsnęła głową, po czym zrobiła krok ku niemu.

— Nie ruszaj się! — ostrzegł ją Poe.

Uśmiechnęła się.

— No i co tam, Romulusie? ...Cóż nowego?

— Zatrzymaj się!

Posłuchała go.

— Wiesz, gdzie jesteśmy, Rommie?

Zacisnął ręce w pięści.

— Nie, Alison, nie mam pieprzonego pojęcia, gdzie jesteśmy!

Zadarła głowę, zwróciła ją w bok i spokojnie zatrzepotała rękami.

Ależ miała zimną krew!

— Na tym obszarze dokonywano kiedyś podziemnych testów, Rommie. Mówi ci to coś?

Wiatr smagał ich coraz wścieklej. Sierżant musiał wrzeszczeć, by go przekrzyczeć.

— Mam pomysł.

Kobieta odgarnęła włosy z oczu, podniosła głowę i popatrzyła na policjanta, mrużąc oczy.

— Każ im odjechać. Robią straszny hałas!

— Alison, dlaczego się zapadamy?

— OTN zdetonowało bombę tuż pod nami... dokładnie w miejscu, gdzie stoimy. Nie uważasz, że to niesamowite?! Stać nad punktem, w którym eksplodowała kiedyś bomba atomowa...

— Czuję się uprzywilejowany — odwrzasnął z sarkastycznym tonem Poe. — Alison, powiedz, dlaczego spod stóp ucieka mi grunt?

— No cóż — odparła lekceważąco — gdy atomowa bomba wybuchła pod ziemią, teren nad tym miejscem zazwyczaj się zapada.

Przez chwilę panowało milczenie. Przerwała je kobieta:

— Z powodu olbrzymiego ciśnienia dochodzi do czegoś w rodzaju implozji. Dlatego w Yucca Flat jest tyle kraterów. Dokonano tutaj setek podziemnych testów.

Sierżant polizał wargi.

— Twierdzisz, że zazwyczaj teren nad miejscem detonacji zapada się.

— Tak.
— Zazwyczaj — powtórzył. — Lecz nie zawsze.
— No cóż, przynajmniej nie od razu... Ziemia ponownie zadudniła i lekko się zapadła.

— Teren, na którym się znajdujemy... — odezwała się Alison. — Wiesz, jak się go nazywa? Potencjalną strefą kraterową.

— Co znaczy... — Poe poczuł, że traci równowagę. Piasek przesunął mu się pod nogami. — Że tutaj częściej niż gdzie indziej powstają kratery.

— I to spore, Rommie. Bardzo, bardzo duże kratery. Szerokie na setki metrów i na wiele metrów głębokie. Gdy ziemia się obsuwa, przysypuje ją coraz grubsza warstwa radioaktywnego pyłu. Proces ten może potrwać dni, tygodnie albo nawet lata... Lub tylko sekundy.

Z góry rozległ się wzmocniony przez megafon głos:

— Jesteście w zakazanej strefie testów podziemnych. Na tym terenie w każdej chwili mogą powstać nowe kratery. Nie ruszajcie się! Wyślemy po was ludzi, którzy was stąd wyciągną.

Kobieta wyszczerzyła zęby.

— Może poćwiczysz ze mną, Rommie? Zrobmy kilka pajacyków...

— Kochanie, proszę...

— W górę i w dół, w górę i w dół. Hop, hop!

Usiłowała brnąć przez piasek i ziemia pod nią natychmiast się zapadła. Alison szarpnęła się i chwyciła Poego. We dwoje męczyli się teraz w grząskim terenie.

— Przestań się ruszać. Przestań! — krzyknął sierżant. — Nie ruszaj się, do ciężkiej cholery!

Kobieta znieruchomiała, lecz w tym momencie oboje tkwili już w piasku po pas. Alison znajdowała się zaledwie o centymetry od boku Poego i trzymała go kurczowo za ramię.

— Jesteśmy złączeni, Romulusie — oświadczyła. — Zawsze byliśmy i zawsze będziemy. Nie możemy się już rozdzielić. Wiem, że jestem zależna od twojej dobrej woli, ty jednak jesteś dokładnie tak

samo zależny ode mnie. A zatem, Rommie... Jak mi się odwdzięczysz, jeśli będę dobrą dziewczynką i przestanę się kręcić na jakiś czas?

Policjant zmrużył oczy przed jaskrawym snopem światła z helikoptera. Przez moment pragnął, by maszyna odleciała, dzięki czemu mógłby zobaczyć niebo oraz księżyc... Może widziałby je po raz ostatni w życiu, ponieważ wiatr nieprzerwanie zagrzebywał ich coraz głębiej...

— Rommie, nie jesteś ze mną.

— Ależ jestem z tobą, jestem.

— Rommie, nie lubię tej kobiety, z którą jesteś.

Poe powstrzymał się przed nerwowym podskokiem.

— Z jaką kobietą?

— Jeśli będziesz się ze mną zabawiał, zacznę się wiercić...

— Mówisz o Rukmani? — spytał szybko. — O co ci chodzi? Co ci się w niej nie podoba? Ona nie stanowi dla ciebie zagrożenia, Alison. Jest stara i ani w procencie tak ładna jak ty. Nie powinna być dla ciebie problemem!

— Ty! — zawołała kobieta. — Ty jesteś moim problemem...

Ziemia znowu tąpnęła i poruszyła się. Piasek sięgał policjantowi już do połowy piersi.

Alison zachichotała.

— Już niedługo! — zauważyła.

Sierżant poczuł natłok sprzecznych emocji: strachu, przerażenia, beznadziei, intensywnej miłości do życia i szaleńczego pragnienia przetrwania. Powietrze, chociaż trujące i zanieczyszczone, wydało mu się nagle cenne niczym rubiny.

„Panie Boże, proszę cię! Daj mi jeszcze tylko kilka sekund!” Nadlatywał kolejny helikopter. Poe i jego towarzyszka podnieśli oczy i obserwowali maszynę. Po chwili drzwi się otworzyły i wyrzucono sznur, który upadł nieopodal ich dłoni.

— Tak blisko. — Uśmiechnęła się kobieta. — Tak blisko, a jednak jakże daleko od nas.

Zaczęła się szaleńczo poruszać. Ziemia jęknęła, po czym ponownie zapadła się o kilkanaście centymetrów. Poe wyciągnął rękę. Tonął już

w piasku po ramiona, pył zasypywał mu także usta i sięgał do oczu. Pokrywał go jak tsunami*. Sierżant panicznie wymachiwał ręką.

Jeszcze chwila i ziemia pochłonie go na zawsze. W ostatnim momencie policjant chwycił w palce linę.

* Tsunami (jap) — na oceanach i morzach fale wywołane przez sejsmiczne wstrząsy podwodne albo wybuchy wulkaniczne.

Ledwo się zaczepił, coś pociągnęło go w górę. Po chwili uwolnił także drugą rękę z piaskowej topieli i objął nią linę.

Powoli, lecz pewnie wznosił się. Trzymał się mocno i usiłował nie kaszleć. Łapczywie chwytał powietrze. Parsknął kilka razy, oczyszczając nos i usta z drobin piasku. Po chwili ziemia sięgała mu do pasa, później już tylko do kolan...

Po policzkach spłynęły Poemu łzy.

Im wyżej wlatywał, tym bardziej jego uchwyt słabł. Ciało miał ciężkie, wręcz ołowiane. Niespodziewanie uprzytomnił sobie, że coś go szarpie w dół.

Alison wynurzyła się z piachu i rozpaczliwie uczepiła jego nóg.

Czyżby starała się go pociągnąć z powrotem? A może pragnęła jedynie uratować własną skórę?

Sierżant ociekał potem. Kobieta kurczowo zaciskała palce na jego udzie, zaś jego zwilgotniałe palce zaczęły się zsuwać z linki holowniczej.

„Trzymaj się, palancie! — mówił sobie — Trzymaj się!”

Alison morderczo się do niego uśmiechała, szczyrzyła zęby i rzucała mu złe, sataniczne spojrzenia. Obnażyła zęby z niepohamowaną nienawiścią, po czym zatopiła je głęboko w jego udo.

Krzyknął i kopnął, starając się ją strząsnąć. Niestety, wraz z każdym zbędnym ruchem tracił centymetry liny i jego uchwyt słabł.

Zmusił się do zlekceważenia cierpienia i znieruchomiał. Wtedy ponownie go ugryzła. Jego ciałem targnął potworny ból i przed oczami zawirowały mu białe plamy. Zacisnął powieki, potem uniósł je i popatrzył w dół.

Oczy rozszerzyły mu się z przerażenia. Zniknął uśmiech Alison, zniknęły jej usta... Zniknęła cała jej twarz!

Zastąpił ją ohydny futrzasty pysk i ostre jak igły kły, które lśniły w jaskrawym świetle helikoptera. W ciało Poego wbijały się teraz już nie ręce, lecz szponiaste łapy potwora.

Helikopter szarpnął intensywnie po raz ostatni i w parę sekund później oboje całkowicie oderwali się od ziemi i lecieli w powietrzu, poniewierani przez porywy wichury. Maszyna powoli się wznosiła.

Bestia nadal kąsała udo udręczonego Poego. W pewnym momencie odgryzła mu kawałek ciała. Krzyki sierżanta odbiły się echem. Gwałtownie machnął nogą, machinalnie skopując stwora. Usłyszał wycie i wrzaski; osobliwie zmieniona Alison oderwała się od niego i poszybowała ku ziemi.

Poe śledził jej lot zszokowanym wzrokiem. Powierzchnia jęknęła pod ciężarem potwora, po czym ustąpiła z przerażającą siłą i w niesamowitym tempie. Policjant obserwował ciało, które wpadło w ruchomy piasek, poprzez ryk wiatru usłyszał wrzaski kobiety, gdy ziemia — równie bezlitosna jak trąba powietrzna — wessała ją w swoje wnętrze i pociągnęła ku pozbawionym powietrza czeluściom.

Uwolnwszy się od dodatkowego balastu, Poe ścisnął mocniej linę. Helikopter prędko poniósł go ku bezpiecznemu obszarowi, wichura zawzięcie szarpała ciałem sierżanta jak szybowncem z balsy. Policjant nerwowo obliznął spierzchnięte wargi, które przypominały kruchy pergamin; odnosił wrażenie, że każde dotknięcie języka obróci je w proch.

Maszyna opuściła mężczyznę do wysokości, z której mógł zeskończyć na powierzchnię.

Wyczerpany i odwodniony upadł na ziemię i zaczął z wdzięcznością całować piasek zmieszany z radioaktywnym pyłem, jakby miał przed sobą kamień z Blarney*.

Nigdy trucizna nie smakowała tak słodko.

* Kamień z Blarney (*Blarney Stone*) — według irlandzkiej legendy pocałowanie tego kamienia zapewniało elokwencję; do dziś znajduje się on w wieży zamku Blarney.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

W Romulusie dokonały się pewne zmiany, były wszakże subtelne i trudno uchwytny. Zaskoczył Rukmani po raz pierwszy jakiś czas temu, gdy złapał ją za rękę. Wtedy kuśtykał i wyraźnie potrzebował wsparcia — jeśli nie emocjonalnego, to przynajmniej fizycznego. Obecnie chodził już normalnie; krzywił się tylko, gdy źle stąpnął. A jednak na pogrzebie postanowił stanąć blisko niej i trzymać jej dłoń w swojej. Razem obserwowali spuszczaną do grobu trumnę. Chociaż sierżant wpatrywał się w trumnę, lekarka była przekonana, że umysł jej towarzysza dryfuje z dala od cmentarza. Policjant bez wątpienia rozmyślał o kobiecie, którą kiedyś znał. Wraz z Honey grzebano przecież dziś jakąś częśćkę jego samego.

Dawna praca na oddziale psychiatrycznym nauczyła Rukmani, że terapia to bardziej sztuka niż nauka. Najważniejszy okazywał się zazwyczaj odpowiedni moment: jeśli pacjent nie był gotowy, cała wiedza świata okazywała się bezużyteczna.

Gdy Patricia całkowicie odzyskała zdrowie, brukowce przestały wypisywać niestworzone historie o serii tajemniczych morderstw, ciekawscy czytelnicy przestali odwiedzać i tworzyć coraz to nowe poświęcone sprawie strony w Internecie... gdy spisano nieskończoną ilość raportów i przeróżnych sprawozdań, gdy tysiące pytań otrzymało odpowiedzi... wtedy Romulus opowiedział przyjaciółce o tym, co zobaczył podczas owej obłądnej godziny tamtej nocy. Byli akurat sami w mieszkaniu, Romulus jeszcze kuśtykał i krzywił się przy każdym wymagającym wysiłku ruchu. Odmówił jednak, gdy zaproponowała mu fotel.

- Uważasz, że zwariowałem, prawda?
- Wcale nie...
- Rukmani, wiem, co widziałem.
- Jestem pewna, że tak...
- No i? Sądzisz, że padłem ofiarą halucynacji. Prawdopodobnie uważasz, że powinienem się spotkać z psychiatrą. Wiedziałem, że lepiej nic ci nie mówić.

Uznała za bardzo pozytywny krok, że sierżant w ogóle jej się zwierzył, toteż na jego podniecenie odpowiadała opanowaniem i powagą.

— Do diabła, Rom — mruknęła — dlaczego miałabym ci nie wierzyć? Jesteś absolutnie racjonalnym człowiekiem i nie masz problemów ze wzrokiem. Istnieje wiele ukrytych, nieznanych nam sił, a jeszcze więcej rzeczy, które widzimy, ale ich nie rozumiemy. I nie, nie uważam, że potrzebujesz konsultacji psychiatrycznej. Nie chcę ani nie oczekuję, że zrobisz cokolwiek... Masz po prostu wyzdrowieć. I świetnie ci idzie.

Popatrzył na nią bez słowa, po długiej chwili zaś oznajmił, że jest głodny, i spytał, czy nie zostało z wczorajszej kolacji trochę *palak panir*?

Lekarka wiedziała, że pewnego dnia jej przyjaciel na własny użytek uporządkuje sobie wszystkie zdarzenia, w których wziął udział, oddzieli fakty od omamów, a rzeczywistość od zwidów, które zaczęły się w zakamarkach jego przerażonego umysłu. Wówczas na pewno dojdzie do właściwych wniosków.

Grabarze zaczęli zrzucać na drewnianą trumnę ziemię. Pogrzeb dobiegał powoli końca. Nikt nie wygłosił wspomnienia o zmarłej, jedynie jakiś ksiądz rzucił obojętnie kilka słów do pół tuzina osób biorących udział w obrządku. Teraz ludzie powoli odchodzili od grobu, lecz Poe trwał przy nim jak sparaliżowany, skupiając wzrok na dwóch pracujących olbrzymach, którzy pocili się i chrząkali. Słońce prażyło ich zaczerwienione od gorąca karki, gdy niestrudzenie brnęli ku ostatecznemu celowi — przykryciu trumny Honey Kramer dwoma metrami ziemi.

Rukmani była roztrzęsiona, nawet bardziej od Roma, którego zazwyczaj znacznie częściej męczyły tiki i inne nerwowe odruchy. Aby pozbyć się napięcia, kobieta badawczo popatrzyła na uczestników ceremonii. Dostrzegłszy po swojej prawej stronie Lewistona, dźgnęła sierżanta lekko w żebra. Poe wyrwał się z zadumy i zerknął ku miliarderowi. Mężczyźni wymienili spojrzenia.

Dobry, stary Parkerboy. Bogacz, który miał swój styl. Dziś założył czarny jedwabny garnitur i białą lnianą koszulę oraz oczywiście

charakterystyczny wąski krawat i wysokie buty. W palcach trzymał czarnego stetsona; otok kapelusza obito srebrną nicią. Pokryta kropelkami potu łysina na czubku głowy mężczyzny błyszczała w słońcu. Po obu stronach króla hazardu stali ochroniarze. Wzrostem i zwalistymi figurami przypominali nieco tych, którzy strzelali do Poego.

Gdy Lewiston napotkał wzrok policjanta, uklonił mu się.

Sierżant oddał ukłon.

Miliarder uznał to za zachętę i podszedł. Lekarka miała wielką ochotę zniknąć, ale kiedy zaczęła odchodzić, Romulus chwycił jej dłoń jeszcze mocniej.

Że też akurat teraz postanowił pokazać, jak bardzo jej potrzebuje!

Parkerboy zatrzymał się przed nimi, przyłożył kapelusz do głowy i uchylił go dwornie.

— A kimże jest ta piękna kobieta, synu?

— Owa piękna kobieta to moja narzeczona, doktor Rukmani Kalii — odpowiedział bez namysłu Poe. — Pracuje w biurze naszego koronera. Ilekroć utknę w jakiejś sprawie, konsultuję się właśnie z nią. Doktor Kalii jest najlepiej strzeżonym sekretem policji Las Vegas.

— Sierżant Poe użył hiperboli — wtrąciła lekarka. — Jestem jedynie urzędniczką... skromną urzędniczką państwową. — Jej oczy spoczyły na twarzy Lewistona. — Staram się po prostu dobrze wykonywać swoją pracę.

— Nie wątpię, moja droga — oświadczył bogacz. — Założę się, że tak... — Wytarł pot z czoła jedwabną chusteczką i ponownie zwrócił się do Poego: — Chyba jestem panu dłużny coś w rodzaju przeprosin — oznajmił z powagą. — Zwolniłem już ludzi, którzy tak nieuprzejmie wtargnęli na pański teren i zakłócili pana prywatność. Przyznaję, że wysłałem ich po pana, ale wyłącznie dla pańskiej wygody... Zapewniam, że nie mam zwyczaju straszyć kogokolwiek, a cóż dopiero policjantów. — Zachichotał. — Tylko szaleniec próbowałby takiego idiotycznego posunięcia. A ja nie jestem szaleńcem.

— Zgadzam się z panem — odparł sierżant. — Cokolwiek by o panu nie mówić, z pewnością nie jest pan szalony.

— Sierzancie, ma pan oczywiście prawo mnie zaskarżyć. Nie wypieram się, że ci kretyni byli u mnie zatrudnieni. Minęły już dwa miesiące... Nie wiem, co pan szykuje. Jeśli jednak zamierza mnie pan przygwoździć, proszę przyjść ze mną porozmawiać, zanim rozpocznie pan jakąkolwiek akcję i... zanim wynajmie pan jednego z tych krwio-pijczych prawników. Może jemu zaoszczędzę setek godzin papierkowej roboty, a panu kilkudziesięciu tysięcy dolarów, które wydałby pan na honorarium dla niego.

— Nie mam zamiaru pana zaskarżać, panie Lewiston — odpowiedział Poe obojętnym tonem. — Nie interesują mnie pańskie pieniądze.

„Innymi słowy, nie można mnie kupić, draniu!”, dodał w myślach.

Stary miliarder studiował oblicze policjanta spod zmrużonych powiek.

— Cieszę się, że to od pana słyszę, synu. Proszę pozwolić, że coś dla pana zrobię...

— Nie potrzebuję również pańskich przysług.

Magnat zachichotał.

— Niesamowicie szybko pan reaguje, synu, wie pan?

— Szybki refleks może uratować gliniarzowi życie. — Sierżant wytarł twarz rękawem. — Powtarzam, nie interesują mnie pańskie przysługi.

— Właściwie nie proponowałem przysługi, synu, wygłosiłem raczej deklarację współpracy. Wiem, że szuka pan czegoś na mnie, że chce mnie pan o coś oskarżyć... Nie jestem tylko pewien, o co...

— Zarzucam panu zamordowanie nieletniej prostytutki nazwiskiem Sarah Yarlborough — odparował Poe.

Rukmani szturchnęła go w zębra. Lewiston znowu się roześmiał.

— Cóż, dziękuję, że mnie pan informuje o tym zarzucie. Bardzo to uprzejmy gest z pańskiej strony.

— Nawet przyjazny, jeśli weźmiemy pod uwagę, że stoimy po przeciwnych stronach barykady.

— Niech pan szuka, gdzie tylko pan chce, sierżancie. Proszę sobie nie żałować nakazów i innych papierów. Zapewniam pana, że nie stanę panu na drodze. Ale powiem panu coś od serca. Bardzo się pan myli...

— Nie, nie myślę się, panie Lewiston. Ściśle rzecz biorąc, nie tylko się nie myślę, lecz dzieli mnie już zaledwie krok od rozwiązania pańskiej sprawy. Jest pan potężny, lecz można pana pokonać. Zamierzam pana przymknąć za morderstwo Sary Yarlborough, a także za spowodowanie śmierci Honey Kramer. Nie wiem, ile czasu potrwa moje śledztwo, nie znam jeszcze wszystkich swoich przyszłych posunięć, przysięgam jednak, że postaram się wpakować pana za kratki... Należało to zrobić już dwadzieścia pięć lat temu...

— Teraz naprawdę nie wiem, o czym pan mówi...

— Ależ wie pan.

— Niech mi pan nie przerywa, synu. Wiem, o kogo panu chodzi, nie pojmuję jednak, co mi pan zarzuca. Linda Hennick popełniła samobójstwo. Była bardzo chorą kobietą. Powinien pan o tym wiedzieć równie dobrze jak ja, ponieważ spotkał się pan z szaleństwem oko w oko. — Miliarder wskazał kciukiem za swoje ramię. — Za dużo pan gada z tym dziwakiem.

Poe podążył wzrokiem we wskazanym kierunku i w oddali dostrzegł niewyraźną postać. To był Y.

Parkerboy potrząsnął głową z udawaną litością.

— Jest jedynie chorym z miłości starym głupcem, detektywie sierżancie Romulusie Poe. Gdybym wiedział, co Linda do niego czuła, na pewno bym nie przeszkodził ich miłości. Widzisz, chłopcze, ona była zaledwie jedną z wielu moich dziewczyn. Podobną do innych. I tak jak wiele innych nie potrafiła znieść starzenia się. Patrząc wstecz, powiem, że nie była warta wysiłku. — Wypchnął językiem policzek, potem ponownie uchylił kapelusza i lekko się skłonił w stronę Rukmani. — Do widzenia pani.

Odwrócił się, umieścił stetsona na głowie i odszedł w towarzystwie ochroniarzy.

Policjant obrzucił go piorunującym spojrzeniem i wyszeptał pod nosem:

— Sukinsyn.

— Tak, niezły z niego drań — odparła lekarka.

— Potkniesz się, gnojku! — przeklął go Poe. — Upadniesz prosto na tę twoją pieprzoną gębę.

Nagle Lewiston rzeczywiście stracił równowagę i zwałił się z łoskotem na ziemię.

Rukmani aż parsknęła z wrażenia, po czym przykryła dłonią usta.

Goryle błyskawicznie podnieśli swego szefa. Mężczyzna miał zarumienione policzki, kolana spodni zaś — zdarte i brudne. Zamachał rękami, odpędzając precz swoich ludzi. Na odchodnym rzucił Poemu krótkie spojrzenie, otrzepał spodnie szybkimi ruchami i oddalił się ciężkim krokiem.

Sierżant zarechotał cicho.

— Głupi sukinsyn!

— Jak to zrobiłeś? — spytała oszołomiona Rukmani.

— Co takiego? — Policjant nadal chichotał.

— W jaki sposób sprawiłeś, że on... — Urwała.

Poe ciągle się uśmiechał.

— Nic nie zrobiłem, Ruki. Wcześniej przeklinałem starego pryka z tysiąc razy. Przypuszczam, że w końcu mu wywróżyłem ten upadek.

Lekarka nic nie odrzekła, ciągle zdumiona niezwykłym zbiegiem okoliczności. Sierżant przestał się śmiać i przez chwilę rozcierał sobie ramiona. Grabarze skończyli zasypywać trumnę i zabrali się za ubijanie ziemi i formowanie grobu.

— Honey przeżyła dwa miesiące w komie — powiedział. — Jak się człowiek czuje, gdy tak długo śpi?

— Prawdopodobnie nie czuła zbyt wiele, Rom.

— Pieprzony morderca! — Poe potrząsnął głową, wyjął z kieszeni garść płatków stokrotek i rzucił je na świeżo ubitą ziemię. — To

niedużo, Honey. Ale też nigdy nie łączyło nas zbyt wiele.

— Miło z twojej strony, że w ogóle przyszedłeś — zauważyła Rukmani.

— Miałem wrażenie, że jestem jej coś dłużny. — Puścił rękę lekarki, po czym ponownie chwycił jej dłoń i ucałował. — Chciałem ci coś powiedzieć.

Czekała.

— Dziękuję, że kiedy opowiadałem ci o tamtej nocy, nie próbowałaś mnie przekonać, iż wszystko mi się zwidziało. Ponieważ wiem, co widziałem, Ruki. Wiem!

— Rozumiem. Wierzę ci, Rom.

Uśmiechnął się.

— Wspaniale umiesz kłamać. Kocham cię za to. — Pocałował ją w policzek, potem odgarnął jej włosy z czoła. — Muszę iść. Y się niecierpliwi.

Rukmani otarła pot z twarzy.

— Czeka cię jedna z tak zwanych męskich rozmów?

— To niebezpieczny znak, Ruki... Wódz na nogach w ciągu dnia...

— Poe zapalił papierosa i pomachał staremu. Indianin odpowiedział podobnym gestem. — Spotkamy się w samochodzie.

Zejście ze wzgórza było trudne. Sierżant powoli przebijał się wśród kęp trawy pożółkłej w bezlitosnym letnim słońcu. O tej porze roku miasto usiłowało na wszelkie sposoby przyciągnąć turystów. Oferowano trzy noclegi plus cztery dni pobytu w takim a takim miejscu, w opłatę wliczano śniadanie z bufetu, darmowe bilety na popularne imprezy i tak dalej... Wszystko za cenę przysłowiowego dolara.

Ludzie chętnie spędzali czas w klimatyzowanych kasynach.

Wreszcie Poe dotarł na dół i dokuśtykał do Y. Zrobił się niesamowity upał, na szczęście na cmentarzu znajdowała się obsadzona wielkimi wiązami cienista alejka. Wódz przyniósł manierkę pędzonej whisky. Napili się i przystanęli pod jednym z drzew.

— Ależ paskudny trunek — ocenił cierpko policjant.

— Ma dobry posmak.
— Który nie wynagradza okropnego przedsmaku — odparował sierżant i zaciągnął się papierosem. — Smutna to chwila, gdy nikotyna musi zacierać smak kiepskiego alkoholu. Tak czy owak, co taki nietoperz jak ty porabia w świetle dziennym?

— Składam moje ostatnie wyrazy uszanowania.

Poe ponownie się zaciągnął, po czym zachichotał.

— O, zatem również należałeś do chłopaczków Honey? Nieźle, stary.

Wódz przeszył go przepętnionym złością wzrokiem.

— Nie przyszedłem po twoje gratulacje. Jestem tu, ponieważ sukinsyn, z którym przed chwilą gawędziłeś, znowu się wywinął. Co zamierzasz zrobić w tej sprawie?

— Ja?

— Tak, ty. Czyż nie jesteś gliniarzem z Wydziału Zabójstw?

— Tak mówią.

— Więc zbadaj to cholerne zabójstwo, Romulusie. Jeśli zaczniesz działać, może nawet kogoś aresztujesz!

Sierżant upuścił na trawę niedopałek, po czym zgasił go butem.

— Wiesz, Y, jesteś dziwnym facetem. Kiedy chciałem przeprowadzić śledztwo w sprawie śmierci kobiety, którą niegdyś kochałeś, zamknąłeś gębę na kłódkę. A teraz podjudzasz mnie w związku z Honey. Czego mi nie mówisz, stary?

— Odpieprz się, Poe! — Y odwrócił się na pięcie i odszedł.

Policjant dogonił go i chwycił za rękaw zamszowej koszuli.

— Ty zadufany w sobie sukinsynu! Wiesz cholernie dobrze, że Lewiston jej nie zamordował...

— Idi do diabła!

— Linda Hennick sama się zabiła...

— Zostaw mnie!

— Słyszałeś, wodzu? Sama się zabiła! Popełniła samobójstwo...

— Jednak wszyscy gliniarze to debile.

— Wolisz żyć wspomnieniami, czy chcesz usłyszeć prawdę? Nie

pozwołisz, by ktokolwiek próbował zhańbić wizerunek twojej prawdziwej miłości. Wiesz, Y, w jednej sprawie zgodzę się z tobą. Linda Hennick rzeczywiście nie była szalona! Jej nocne wypadki nie były psychotycznymi wędrówkami niepoczytalnej kobiety. Nie. Linda lubiła po prostu żyć. Lubiła się bawić... Była znudzoną, niepracującą żoną, która chętnie została by dziwką pewnego bogacza...

Przerwał, gdyż nagle poczuł potworny ból w głowie spowodowany potężnym ciosem. Pięść wodza niemal zmiażdżyła mu nos; krew tryśnęła z nozdrzy. Poe instynktownie wytarł nos rękawem, popatrzył na Indianina, potem na swoją zakrwawioną koszulę. Westchnął bardziej ze współczuciem niż z gniewem.

— W jednej kwestii Lewiston miał rację. Jesteś chorym z miłości starym głupcem.

Odszedł, kuśtykając. Y szarpnął go jednak za ramię. Starzec już miał coś powiedzieć, już otworzył usta, lecz nie wy dobył się z nich żaden dźwięk, w chwilę później zaś chwycił się kurczowo za koszulę i zaczął upadać w tył. Poe złapał go, zanim wódz uderzył o ziemię i zaniósł w cień drzewa. Tam sięgnął do kieszeni starego i wyjął z niej kapsułkę nitrogliceryny, którą przełamał i przytrzymał pod nosem przyjaciela. Później wytarł wilgotną twarz Y i czekał w napięciu, aż lekarstwo zadziała.

Wydawało mu się, że minęły godziny. Na szczęście, kolor dość szybko zaczął wracać na policzki wodza.

— Już... w po... rządku — wysapał powoli Indianin. W przerwach łapał powietrze.

— Odpreź się.

— Jak twój... nos?

— Okej, okej.

— Złamany?

— Nie, tylko zakrwawiony. Jesteś zbyt stary, by zrobić komuś prawdziwą krzywdę.

Y przywołał na wargi słaby uśmiech. Później kąciaki ust mu opadły, w oczach pojawiły się łzy i mężczyzna odwrócił wzrok.

— Słuchaj — odezwał się łagodnie Poe — znasz treść listu samobójczego, który twoim zdaniem ktoś podłożył? Cóż, nikt go nie podłożył.

Wódz nie odpowiedział.

— Karteczka napisana została jej pismem — zapewnił go sierżant. — Linda sama napisała tę notkę. Jestem co do tego absolutnie przekonany.

— No i co z tego? Kazał jej napisać notatkę! Prawdopodobnie trzymał jej broń przy głowie!

— Nie, Y, nie sądzę. — Policjant wytarł staremu czoło. — Masz zapewne nieco racji. Myślę, że Lewiston naprawdę pojechał tamtej nocy do jej pokoju hotelowego. I zapewne ją pobił. Może chciał ją nastraszyć i zmusić do milczenia. Jednak to nie pobicie stało się przyczyną jej śmierci. Według raportu koronera, umarła, ponieważ podcięła sobie nożem żyły na nadgarstkach. Wierzę w ten raport.

Y znowu zagapił się gdzieś przed siebie.

— Umierała bardzo powoli. Karała siebie, Y, próbowała zdobyć... rozgrzeszenie czy coś w tym rodzaju. — Zrobił głęboki wdech. — Umarła, ponieważ ruszyło ją sumienie. Czowała się straszliwie winna z powodu tego, co robiła. Nieco podobnie jak Honey Kramer...

Stary Indianin popatrzył na niego pytająco.

— Obecna historia przypomina tę sprzed dwudziestu pięciu lat. Wówczas nieznany morderca, który okaleczał ciała i zwany był Koszmarem zabił tutejszą dziewczynę o nazwisku Janet Doward. Najwyraźniej zachowanie zabójcy zainspirowało wtedy Parkera Lewistona do skopiowania zbrodni Koszmara. Parkerboy zabił jedną ze swoich panienek — dziecko właściwie. Zabita... podobnie jak Sarah Yarlborough... miała trawę pod paznokciami. Dziewczynę wyszukała mu Linda Hennick, a miliarder zapłacił jej za usługę.

Y odwrócił wzrok.

— Tak, tak, sądzę, że Linda... tak jak niedawno jeszcze Honey... znajdowała mu młodzietkie dziewczyny dla zaspokojenia jego

chorych żądź. W ciągu ćwierćwiecza prawdopodobnie miał mnóstwo takich asystentek. Nie wiadomo, czy w tym czasie popełnił jakieś inne morderstwa, o których nic nie wiem... Co ci mogę powiedzieć, stary? Lewiston to zwierzę, gorsze niż rozszalały bizon patrzący na samice w rui. Ten bydlak zdolny jest do każdej zbrodni, ale Lindy nie zabił. Milczeli.

— Romulusie — odezwał się nagle wódz — twierdziłeś, że znalazłeś tylko jedną sprawę Koszmaru w starych aktach.

— Widzę, że wracasz do swojej koncepcji, że Parkerboy opłacił ludzi po samobójstwie Lindy. Bez wątpienia dał komuś w łapę parę dolców i poprosił o szybsze zakończenie śledztwa. Do diabła, skoro spróbował przekupić mnie... detektywa, dochodzeniowca... na pewno nie miał żadnych skrupułów ze zwykłymi glińiarzami, którzy często tuszowali proste sprawy. Szczególnie, że zabita przez niego dziewczyna była niezidentyfikowaną z nazwiska uciekinierką.

— Lewiston próbował cię przekupić? — spytał stary Indianin.

— Ogólnikowo zaoferował mi pieniądze. Miałem zapomnieć o potyczce z nasłanymi przez niego goryłami. Brzmi identycznie jak łapówka. — Sierżant zamyślił się i polizał wargi. — Wiesz co, wodzu? Gdyby nie ty, nigdy nie dowiedziałbym się o tej drugiej sprawie. Właśnie ty mnie poinformowałeś o tym, że Koszmarowi przypisywano dwie zbrodnie... Ty i Alison. I uwierzyłem wam obojgu. Dlatego nie przestawałem szukać drugich akt... no i w końcu coś znalazłem.

Znowu zapadło milczenie.

— Linda Hennick przyprowadziła Lewistonowi tę anonimową dziewczynę, ponieważ uznała, że jest nikim. Dziewczyna faktycznie była nikim. Tak jak Sarah Yarlborough. Parkerboy od lat wysyła swoje podstarzałe dziwki na ulicę, by znajdowały mu panienki na jeden wieczór. Wśród tych rajfurek była Linda Hennick: nadal głodna miłości, kiedyś piękna, lecz szybko się starzejąca kobieta, która w pewnym momencie swojego życia musiała się zadowolić Geraldem Hennickiem.

Zapanowała cisza.

— Ponieważ mężczyzna — podjął Poe — którego Linda pragnęła, poślubił inną. A gdy Linda zaszła w ciążę z panem Żonatym Żigolo, musiała wziąć, co jej oferowano.

— Z twoim ojcem — dorzucił Y.

Sierżant skupił oczy na jego twarzy.

— Przez cały czas wiedziałeś, prawda?

— Nie jesteś jedynym mądrałą, który trzyma w rękawie asa.

— Wiedziałeś już wtedy, gdy chodziłem z Alison?

— Miałem podejrzenia.

— Bez słowa stałeś z boku, podczas gdy ja pieprzyłem przyrodnią siostrę!

— Powiedziałem ci, że miałem podejrzenia. Nie mówiłem, że byłem tego pewien! — Chrząknął. — Poza tym, nie skarżyłeś się.

Policjant zatopił głowę w dłoniach. Kiedy ją podniósł, zauważył, że ręce ma pokrwawione. Wytarł je w chusteczkę, potem nos.

— Lepiej bądź ostrożny, Poe — ostrzegł go stary Indianin. — Szaleństwo dziedziczy się często po rodzicach. Chociaż jak sam stwierdziłeś kilka minut temu... — Błysnął obleśnym uśmiechem. — Linda Hennick nie była szalona. Więc jak opisać twojego starego, skoro był ojcem Alison?

— Już się trzęsę ze strachu — warknął sierżant. Jednak głęboko w swoim wnętrzu poczuł niepokój. Co miał teraz myśleć o swoim ojcu?

— Pomóż mi wstać — mruknął Y.

— Niby dlaczego mam ci pomagać? — odparł zrzędlawie policjant. — Jesteś starym, złośliwym draniem.

— Romulusie, przeżyłem to wszystko. — Delikatnie klepnął Poego w twarz. — Dokładnie tak jak ty.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Ten sam pieprzony, uparcie powracający sen. Sierżant znalazł go już na pamięć.

Kiedy słońce oświetliło lodowaty teren, na powierzchni świeżo powstałego krateru zaczęły się pojawiać mikroby. Były bardzo, bardzo małymi istotami. Wiły się na piasku, wierciły lub biegały po nim. Niemal nic nie ważyły.

Na ich widok policjanta zaswędziała skóra. Podrapał się we śnie.

Stworzenia po raz pierwszy ujrzały światło słoneczne. Pod wpływem zachodzących w powietrzu reakcji budziły się ich proste ciała, które przez długi czas pozostawały w stanie spoczynku. Małeńkie istotki przekształcały się z beztlenowców w tlenowce, równocześnie zmieniając utlenione powietrze w energię.

Później przemierzyły powierzchnię pustyni, kierując się na pewniejszą glebę. Gdy znalazły się na twardszym terenie, poczęły się łączyć, tworząc postać bezkształtną, pozbawioną zdecydowanej formy i do niczego niepodobną. Wkrótce kolejne drobinki dołączyły do tej biologicznej mieszaniny, która zgęstniała i niczym heliotrop wyciągała się w górę, ku niebu. Jakby pod ręką magicznego rzeźbiarza zbita masa wydłużyła się na wysokość około sześćdziesięciu, może dziewięćdziesięciu centymetrów i osiągnęła półtora metra szerokości.

Oczy Poego drgały nerwowo pod powiekami, gdy próbował we śnie obserwować ten proces.

Protoplazma wypełniła przednią część, formując groteskową szyję i głowę, która ze względu na zbyt szerokie usta i zbyt nisko osadzone uszy przypominała głowę embriona. Następnie kształt się udoskonalił, aż pojawiły się małe czerwone oczka głęboko osadzone nad kościstymi oczodołami. W kilka minut później pojawił się długi, kosmaty pysk, a w nim ostre zęby. Spiczaste uszy pokryły się czerwonym futrem.

Sierżant zaczął drżeć, miał bowiem przed sobą tę samą monstrualną paszczę, którą widział podczas eskapady do OTN.

Komórki zaczęły się dzielić i z bezkształtnej masy wyłoniły się kości nóg oraz mięśnie: grube, silne, dobrze rozwinięte biodra. Na końcach kości powstały łapy z wydłużonymi palcami, z nich zaś wyrosły ostre niczym brzytwa szpony. Włosy pokryły całe stworzenie.

Serce waliło w piersi nerwowo śpiącego policjanta, który miał świadomość, że śpi, lecz nie potrafił się zbudzić.

Kojot otrząsnął futro jak mokry pies.

Zazwyczaj tutaj sen się kończył, tym razem jednak zwierzę popatrzyło Poemu prosto w oczy. Potem otworzyło pysk i wydało dźwięk. Sierżant wychwycił sens pozbawionej słów pieśni. Zrozumiał, że bestia zamierza do niego powrócić, że oni dwoje są wiecznie połączeni, związani na zawsze przez miłość i krew. Najpierw jednak monstrum miało do wykonania zadanie w mieście zamieszkanym przez anioły.

Nagle wizja zbladła.

Policjant jak zwykle obudził się przerażony, zmieszany i zdezorientowany. Zmusił się do otwarcia oczu.

Poświata księżycowa wniknęła przez otwarte okna. Świerszcze grały, cykały i poświstywały.

Poe — nagi i zlany potem — leżał na boku na rozłożonym tapczanie. Patrzył w kierunku zacienionej kuchni, słuchał brzęczenia wentylatora na baterie, który pompował gorące powietrze z jednej strony pokoju na drugą. Co kilka sekund sierżant czuł ulgę dzięki przelotnemu podmuchowi, potem jednak na nowo ogarniało go niemiłe, powodujące ociężałość ciepło.

Oszołomiony, powoli stał z czoła wyzwolony gorącem i strachem pot.

Przez jego umysł przetaczały się setki myśli:

„To zwykła rutyna, Poe. Opowiedz o tym, opowiedz”.

„Nie jesteś szalony”.

„To tylko sen, tylko sen”.

„Wszystko będzie dobrze”.

I miał logiczne powody, by w to wierzyć.

Ponieważ jego świat wracał do poprzedniego stanu, a życie toczyło

się jak przedtem. Gdy Jensen odzyskał siły, został przeniesiony z Wydziału Zabójstw do Wydziału Kradzieży Samochodów. Nie widywali się zbyt często, ale Poe słyszał, że Steve radzi sobie całkiem dobrze.

„To świetnie. Zobacz, nawet Jensen się otrząsnął”.

„Twoja sytuacja też wróci do normy”.

I jeszcze sprawa Patricii. Ją również szefostwo chciało przenieść, lecz sierżant walczył o nią i udało mu się ją zatrzymać w Wydziale Zabójstw. Dziewczyna była mu wdzięczna i zamierzała udowodnić, że jest warta jego wysiłków. Jakiś tydzień temu zabrał ją na kolację. Chciał porozmawiać o tamtej nocy... i znaleźć w tych wszystkich koszmarnych wspomnieniach jakiś sens.

Początkowo gawędzili o niepodważalnych faktach. O jej saturnie ukrytym w jednej z licznych jaskiń otaczających miasto. Gdy został znaleziony, Poe osobiście go przeszukał. Znalazł igłę i strzykawkę ze śladami jakiegoś silnego narkotyku, którego Alison użyła do pozbawienia Deluki przytomności.

Jednak tajemnicą pozostawał sposób, w jaki chora psychicznie kobieta zdołała wbić policjantce igłę w ramię. Nawet Patricia nie umiała rozwiązać tej tajemnicy, gdyż prawie nic nie pamiętała aż do ponownego przebudzenia we wnętrzu explorera Alison.

— Tak między nami, moja droga... pamiętasz, co się zdarzyło, zanim obudziłaś się związana w jej aucie?

Dziewczyna rozważała jego pytanie przez długi czas. Zauważył, że stawała się coraz bardziej niespokojna.

— Widziałam dużego ptaka, szefie. Jastrzębia albo orła... Spadał na mnie. Najwyraźniej mnie powalił. — Przerwa. — Tak, pewnie mnie przewrócił.

— Duży ptak? — upewnił się Poe.

— Tak, szefie, naprawdę wielki.

— Wielkości człowieka?

— Słucham?

— Czy był wielkości człowieka? Powiedzmy... wielkości Alison?

— Nie, sierzancie, nie sędzę. — Milczała. — Ale... był naprawdę ogromny.

— Pamiętasz, co jeszcze widziałaś?

— Zapadał mrok. Nie pamiętam, żebym widziała jakiegoś człowieka.

— Alison nie było nigdzie w pobliżu?

— Nie pamiętam, żebym ją widziała! Co nie znaczy, że jej tam nie było. Musiała ukryć się gdzieś w pobliżu. — Policjantka roześmiała się. — Nie mogła przecież spaść z nieba.

— Oczywiście, że nie. — Poe nie zamierzał jednak na tym poprzestać. — Opowiedz mi o indiańskich pióropuszech.

— Cóż, Alison miała jeden taki w samochodzie. Mówiła chyba, że na pewno mi się spodoba jej ptasi kapelusz, nie wiem jednak, co dokładnie miała na myśli.

Sierzant przypomniał sobie pióra, które wyjął z zapadliska. Było ich mnóstwo, znacznie więcej niż potrzeba dla zwykłego pióropusza.

Patricia ciągle mówiła:

— ...bełkotała, szefie. Wygadywała zwyczajne nonsensy. Chociaż rzeczywiście były przerażające. Przyznam się panu do czegoś... ponieważ przeszedł pan przez to samo. Alison wydawała mi się potworna. Nigdy w życiu nie byłam bardziej przerażona.

— Rozumiem.

Zmieniła temat, a policjant zrezygnował z drażenia przeszłości i nieuważnie słuchał jej opowieści o aktualnych wydarzeniach. Kiedy o nich mówiła, jej twarz ożywiała się. Podnieconym tonem zaczynała zdania od: „Och, muszę panu o tym opowiedzieć” albo „Nie uwierzy pan w to!”

Cokolwiek widziała, nie zbikowała od tego... W każdym razie nie tak jak on.

A może zbikowała i po prostu nie chciała się do tego przyznać.

Poe popatrzył na zamazane kontury przedmiotów, które stały na jego kuchennym kontuarze — miski z zamoczonymi naczyniami,

poranna gazeta, kubek, butelka gazowanej wody o pojemności jednej trzeciej litra, kilka luźnych kartek papieru... chyba także ołówek. Oblizawszy spierzchnięte usta, sierżant uprzytomnił sobie, że strasznie chce mu się pić. Gardło wręcz błagało jego nogi, by wstały i przyniosły wodę, niestety reszta ciała za bardzo tkwiła w odretwieniu.

Zamknął oczy i natychmiast odkrył, że popełnił wielki błąd, gdyż od razu nawiedził go obraz ze snu, tym razem wyrazistszy niż kiedykolwiek: policjant zobaczył pysk dokładnie i ze wszystkimi szczegółami. Istota odezwała się do niego. Chociaż nie zrozumiał przesłania, odpowiedział jej:

— Alison, okrutny dzieciaku — szepnęła. — Przez cały czas wiedziałaś o związku swojej matki z moim ojcem, prawda?

Westchnęła.

Ojciec Poego zawsze stanowił dla niego tajemnicę i prawdopodobnie na zawsze nią pozostanie. Sierżant w żadnym razie nie zamierzał poruszać kwestii romansu w rozmowie z matką, a tylko ona mogła wyjaśnić zagadkę. Emma dopiero co skończyła ostatni etap chemioterapii w Reno, gdzie mieszkała z Remusem. Czuli się tam znacznie lepiej niż w Vegas. Jej terapię lekarze nazwali wielkim sukcesem i optymistycznie oświadczyli, że doszło do pełnej remisji. Policjant obiecał wprawdzie odwiedzić matkę w najbliższy weekend, czuł jednak, że temat ojca nie wpłynąłby dobrze na jej samopoczucie. Niektórych kamieni nie wolno poruszać, bo mogą wywołać lawinę.

Skupił się na myśli o ugaszeniu pragnienia. Wyobraził sobie zimną wodę, a potem siebie — jak rusza nogami, wstaje z tapczanu i wlewa przezroczysty płyn w wyschnięte gardło.

Usta miał jak papier ścierny — szorstkie, suche i gorące. Odnosił wrażenie, że jeśli wkrótce się czegoś nie napije, jego język zacznie się łuszczyć. Popatrzył na butelkę z gazowaną wodą. Stała zaledwie kilka metrów od jego ręki. Wyciągnął palce w jej kierunku.

„Chodź tu, mały potworze. Niech ci urosną nogi i chodź do tatuśka”, pomyślał.

W tym momencie dom lekko się poruszył, butelka zaś wzniosła się w powietrze, przeleciała przez pokój i wylądowała prosto w dłoni Poego, a jego palce machinalnie otoczyły szkło. Jednakże, w ułamek sekundy później, kiedy całe zdarzenie dotarło do świadomości sierżanta, zszokowany mężczyzna połuźnił chwyt. Butelka z trzaskiem spadła na podłogę i zaczęła się z niej wylewać woda. Policjant zerwał się z tapczanu, pochylił i podniósł butelkę.

Serce łomotało mu w piersi, kolana miał jak z waty, przed oczami migotały mu kropki światła. Usiadł i opuścił głowę między kolana.

— Alison! — krzyknął po chwili.

Odpowiedzią było echo jego własnego głosu.

Wiedział, że musi nad sobą zapanować.

Był nagi, skórę miał wilgotną od potu. Zauważył, że kołysze się niczym maltretowane dziecko.

„Wstań, idioto!”, polecił sobie.

Podniósł się z tapczanu i spróbował ustać na drżących nogach. Powoli postawił butelkę z wodą, założył luźne spodnie, przez głowę wsunął podkoszulek bez rękawów.

Dom ponownie zadrżał. Poe pomyślał o trzęsieniu ziemi; przecież zdarzały się tutaj całkiem często. Tak, właśnie z jego powodu butelka latała. Tak, z pewnością właśnie ono wywołało to niezwykle zjawisko.

Sierżant drżącymi rękami sięgnął po papierosy i wsunął sobie jeden w usta. Poszukał zapalek. Gdzie te cholerne zapalaki? Prawdopodobnie na kontuarze. Strzelił palcami, lecz pudełko nie ruszyło ku niemu.

Poruszył palcami i rozkazał:

— Przylećcie do mnie, zapalaki. Przylećcie do mnie.

Nic się nie zdarzyło.

Powiódł wzrokiem, poszedł po zapalaki i wrócił. Usiadł na krawędzi materaca, zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko, po czym wypuścił dym równocześnie przez nos i usta.

Cóż za ulga!

Och, znowu miał halucynacje. Dokładnie tak samo jak tamtej nocy. Wszystko działało się tylko w jego głowie.

Tak w każdym razie twierdzili wszyscy wokół...

Wstał, podszedł do lodówki i jednym łykiem opróżnił butelkę piwa.

„Sen, Poe, to jedynie sen”.

Niestety, głęboko w swoim wnętrzu... w swoim sercu... wiedział, że dziś wieczorem nie spał. Alison naprawdę mu się ukazała. Przypomniawszy sobie zagadkowe i co najmniej dwuznaczne słowa Patricii. Dziewczyna nie potrafiła w racjonalny sposób wyjaśnić detali związanych z jej porwaniem, nie znajdowała odpowiedzi na pewne pytania...

Poe był przekonany, że to wcale nie omamy — ani wtedy, ani teraz.

Wierzył, że to, czego był świadkiem na OTN, a mianowicie transformacji Alison z człowieka w zwierzę, naprawdę się zdarzyło. Nikt nigdy nie przekona go, że sobie tę metamorfozę wymyślił.

Z drugiej strony, oczywiście nigdy nie zdoła nikogo przekonać, że faktycznie się ona odbyła. Gdyby zaczął opowiadać swoją wersję, reakcją byłaby pewnie pobłażliwa uwaga, że... to skutek stresu i lęku... że Poe uległ zwykłym w stanach niezwykłego napięcia iluzjom, że tylko wyobraził sobie różne rzeczy!

Na przykład butelkę w tajemniczy sposób wpadającą mu w dłoń.

Przemknęły mu przez głowę słowa: „Wiem, co widziałem”.

Zatrząsał się. Seria dreszczy, nad którymi nie mógł zapanować, ogarnęła jego ręce, ramiona i nogi. Czuł, że w tym stanie nie potrafiłby przejść ani kroku.

— Alison, Alison, Alison... Co mi tam zrobiłaś, dziewczyno? Próbowowałaś mnie zabić? A może chciałaś poprzez ugryzienie przekazać mi swoją moc?

„Jaką moc, do diabła?!”

Przez myśl przemknęło mu stwierdzenie starego wodza: „Szaleństwo

dziedziczy się często po rodzicach. Chociaż, jak sam stwierdziłeś kilka minut temu... Linda Hennick nie była szalona”.

— Zaczynasz wariować, Poe, prawda? — zapytał siebie.

Tyle że butelka z wodą nie spadła z kontuaru, lecz naprawdę wleciała mu w dłoń.

No a Lewiston potknął się akurat w momencie, gdy sierżant tego zapragnął. Widziała to również Rukmani.

Nakazał sobie: „Po prostu udawaj, stary, że te zdarzenia nigdy nie zaszyły”.

Wiedział, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko nie spróbuje znowu telekinetycznie poruszać przedmiotów.

Nie próbować, nigdy więcej nie próbować!

Czyli... postanowione.

Popęłnił jeden wielki błąd.

„Po prostu nie rób tego znowu, Poe, po prostu nie rób”.

Wiedział jednak, że kiedyś na pewno spróbuje jeszcze raz.

— No cóż — mruknął do siebie — w takim razie, nie próbuj tego przynajmniej dziś wieczorem.

Gwałtownie wypuścił powietrze i położył się na plecach. Wiedział, co widział.

W głębi duszy wiedział też, że Alison żyje. Najpierw miała wszakże do wykonania zadanie w mieście aniołów.

To znaczy, że Alison zmierzała obecnie do Los Angeles.

Znajdowała się zatem poza jego jurysdykcją.

Niech inni się o nią martwią.

Zamknął oczy.

Tym razem senne koszmary nie nadpłynęły.

Przynajmniej tę noc przespał spokojnie.